

STEVE BERRY

BURSZTYNOWA KOMNATA



**Memu ojcu,
który dekady temu nieświadomie rozpałił ognisko
oraz mej matce,
która nauczyła mnie, jak podsycać płomień, by nie zagasł.
Bez względu na przyczynę, jaka powoduje spustoszenie danego kraju,
powinniśmy oszczędzić te budowle, które stanowią chlubę ludzkiej
społeczności i nie przyczyniają się do wzmocnienia siły nieprzyjaciela -jak
świątynie, grobowce, gmachy użyteczności publicznej oraz wszystkie dzieła
cehujące się wybitnym pięknem...
Wrogiem ludzkości deklaruje się ten, kto bez skrupułów pozbawia ją
arcydzieł sztuki.**

Emmerich de Vattel, The Law on Nations, 1758r.

**Studiowałem ze szczegółami stan historycznych zabytków w Peterhofie,
Carskim Siole oraz Pawłowsku. We wszystkich trzech miastach byłem
świadkiem ogromnych grabieży wobec tych zabytków. Co więcej,
spowodowane szkody - których sporządzenie pełnego rejestru będzie
bardzo trudne z uwagi na skalę zniszczeń - noszą ślady premedytacji.
Zeznanie Josifa Orbellego, dyrektora Ermitażu przed Trybunałem Norymberskim,
22 luty 1946r.**

PODZIĘKOWANIA

Powiedziano mi kiedyś, że pisanie to samotne przedsięwzięcie, i to założenie z grubsza jest prawidłowe. Ale maszynopis nigdy nie jest wykańczany w próżni, zwłaszcza taki, który ma to szczęście, że zostaje publikowany, i w moim przypadku wiele osób pomogło mi w tym procesie.

Po pierwsze, Pam Ahearn, wyjątkowa agentka, która przerobiła niejedną sztorm na spokojną wodę. Następnie Mark Tavani, wyjątkowy redaktor, który dał mi szansę.

Ponadto Frań Downing, Nancy Pridgen i Daiva Woodworth, trzy cudowne kobiety, które sprawiły, że każdy środowy wieczór był wyjątkowy. Mam ten honor być „jedną z dziewczyn”. Pisarze David Poyer i Lenore Hart nie tylko zapewnili mi lekcje praktyczne, ale zaprowadzili też do Franka Greena, który poświęcił swój czas, by nauczyć mnie tego, co powinienem wiedzieć. Również Arnold i Janelle James, moi teściowie, którzy nigdy nie wypowiedzieli jednego zniechęcającego słowa. Wreszcie wszyscy ci, którzy słuchali moich wywodów, czytali moje wypociny i oferowali swoją pomoc. Obawiam się, że gdybym chciał teraz wymienić całą listę tych osób, mógłbym kogoś niechcący pominąć. Proszę, wiedźcie, że każdy z was jest dla mnie ważny i wasze wnikliwe spostrzeżenia bez wątpienia kierowały tę podróż do przodu.

Jednakże, ponad wszystko są dwie wyjątkowe osoby, które znaczą dla mnie najwięcej. Moja żona, Amy, i córka, Elizabeth, które razem sprawiają, że wszystko jest możliwe, w tym i ta książka.

PROLOG

OBÓZ KONCENTRACYJNY MAUTHAUSEN, AUSTRIA 10 KWIETNIA 1945

Więźniowie nadali mu przydomek Ucho, gdyż był jedynym Rosjaninem w baraku nr 8, który rozumiał niemiecki.

Nikt nigdy nie używał jego prawdziwego imienia ani nazwiska - Karol Boria. Uchem został w dniu, kiedy przed ponad rokiem przekroczył bramę obozu. Nosił to przezwisko z dumą, a ciężące na nim obowiązki wziął sobie głęboko do serca.

- Co słyszysz? - w ciemności zapytał go szeptem jeden z więźniów.

Wtulił się w okno, przyciskając twarz do lodowatej szyby.

Jego oddech w suchym, nieruchomym powietrzu był niczym babie lato.

- Czy będą chcieli się znowu rozerwać? - dopytywał się inny.

Wieczorem dwa dni wcześniej do baraku nr 8 weszło dwóch strażników i zabralo jednego z Rosjan. Był to żołnierz piechoty pochodzący z Rostowa, stosunkowo niedawno przybyły do obozu. Krzyczał przez całą noc; zamilkł dopiero po serii strzałów z automatu. Jego pokrwawione ciało wisiało następnego ranka obok głównej bramy, żeby wszyscy je widzieli.

Odwrócił na moment wzrok od okna.

- Cicho bądźcie! Wiatr zagłusza słowa.

Trzypiętrowe prycze roily się od wszy; każdemu z więźniów przysługiwał niecały metr kwadratowy powierzchni.

Setka par zapadniętych oczu wpatrywała się w niego.

Wszyscy mężczyźni posłusznie zamilkli, żaden nawet się nie poruszył; w Mauthausen już dawno przywykli do posłuszeństwa. Nagle Boria odskoczył od okna.

- Idą tu.

Chwilę później drzwi baraku otworzyły się z impetem.

Mroźna noc wciskała się za plecami sierżanta Humera, nadzorującego baraku nr 8.

- *Achtung!*

Klaus Humer był członkiem SS, *Schutzstaffeln der NSDAP*.

Dwóch uzbrojonych esesmanów stało za nim. Wszyscy strażnicy w Mauthausen byli esesmanami. Humer nigdy nie nosił broni. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu oraz napakowane mięśnie; w razie czego mógł się obronić sam.

- Potrzebni ochotnicy - odezwał się teraz. - Ty, ty, ty oraz ty.

Ostatnim z wybrańców był Ucho. Zastanawiał się, o co tym razem chodzi. Nocami nie

zabijano więźniów.

Komory śmierci nie pracowały po zmroku; była to pora, kiedy je wietrzono i zmywano glazurę przed rzezią zaplanowaną na następny dzień. Strażnicy zwykle o tej porze siedzieli w barakach wokół żeliwnych piecyków, w których palono drewnem - pozyskując je, więźniowie umierali z zimna. Obozowi lekarze oraz ich asystenci udawali się na nocny spoczynek, szykując się do kolejnego dnia medycznych eksperymentów.

Towarzysze Borii odgrywali rolę zwierząt laboratoryjnych.

Humer spojrział Borii prosto w oczy.

- Rozumiesz, co mówię, prawda?

Nie odpowiedział; patrzył prosto w czarne oczy strażnika. Znosząc terror przez ponad rok, doceniał wartość milczenia.

- Nie masz nic do powiedzenia? - zapytał po niemiecku esesman. - Dobrze. Musisz rozumieć... A gębę trzymaj zamkniętą na kłódkę.

Kolejny strażnik wniósł na wyciągniętych przed siebie ramionach cztery wojskowe wełniane płaszcze.

- Płaszcze? - zdumiony wymamrotał jeden z Rosjan.

Żaden więzień nie miał płaszcza. Po przybyciu do obozu wydawano im cuchnącą koszulę z grubego płótna oraz znoszone do cna spodnie; były to raczej szmaty niż odzież.

Po śmierci ściągano te łachmany z trupów, a potem, jeszcze bardziej cuchnące i oczywiście bez prania, przydzielano tym, którzy przybywali do miejsca kaźni w następnym transporcie. Esesman rzucił szynele na podłogę.

- *Mdntel anziehen*- polecił Humer, wskazując na wojskowe drelichy.

Boria sięgnął po zielony płaszcz.

- Sierżant każe nam je założyć - powiedział po rosyjsku.

Pozostała trójka poszła za jego przykładem.

Szorstka wełna gryzła w skórę, ale dawała ciepło. Minęło już wiele czasu, odkąd ostatni raz nie odczuwał zimna.

- Wychodzić - rozkazał Humer.

Trójka Rosjan spojrziała na Borię; ten ruszył w stronę drzwi. Wszyscy wyszli w ciemną noc.

Humer prowadził ich gęsiego po lodzie i śniegu w kierunku głównego placu; mroźny wiatr gwizdał między szeregami niskich drewnianych baraków. W tych barakach upchano blisko osiemdziesiąt tysięcy ludzi, co przekraczało liczbę mieszkańców obwołu na Białorusi, z którego pochodził Boria. Przestał już wierzyć, że kiedykolwiek będzie mu dane

zobaczyć ponownie ojczyste strony. Czas w praktyce stracił realne znaczenie, ale starając się uniknąć obłądu, nie przestał go odmierzać. Był koniec marca. Nie. Początek kwietnia. Ale wciąż trzymały mrozy. Dlaczego nie mógł po prostu umrzeć lub zostać zabity? Los ten spotykał codziennie setki współwięźniów. Czyżby jego przeznaczeniem było przeżyć to piekło?

Tylko po co?

Gdy dotarli do głównego placu, Humer skręcił w lewo i ruszył ku otwartej przestrzeni. Po jednej stronie rozlokowane były kolejne baraki. Obozowa kuchnia zaś, areszt oraz izba chorych zamykały plac z drugiej strony. Na samym końcu znajdował się walec, tony stali przeciąganej codziennie po zamrożonej ziemi. Miał nadzieję, że nie każą im wykonać tego uciążliwego obozowego obowiązku.

Humer zatrzymał się przed czterema wysokimi słupkami.

Dwa dni wcześniej specjalną drużynę wysłano do pobliskiego lasu; Boria był jednym z wybranych. Ścięli wtedy trzy osiki; jeden z więźniów złamał przy tym rękę i został zastrzelony na miejscu. Obcięli gałęzie, a pnie przepiłowali na krótsze kłocę, następnie zaciągnęli je do obozu i wkopali w ziemię na głównym placu; miały wysokość człowieka.

Przez dwa dni pale stały bezużytecznie. Teraz pilnowało ich dwóch uzbrojonych strażników. Lampy łukowe świeciły nad ich głowami i rozpraszały mglistą poświatę w suchym jak wiór powietrzu.

- Zaczekajcie tu - rozkazał esesman.

Stukając obcasami, sierżant wkroczył na niewysokie schodki i wszedł do baraku, w którym mieścił się areszt.

Światło z wewnątrz wylewało się żółtym prostokątem przez otwarte drzwi. Chwilę później wyszło na dwór czterech nagich mężczyzn. Nie ogolono im blond włosów na głowach, jak wszystkim Rosjanom, Polakom i Żydom, którzy więzieni byli w obozie. Ich mięśnie nie były w stanie zaniku, poruszali się z werwą i dziarsko. Nie mieli apatycznych spojrzeń, oczy nie były głęboko zapadnięte. Nawet brzuchów nie mieli wzdętych i nie opuchli z głodu. Wyglądali na silnych. Żołnierze. Niemcy. Widział już takich. Kamienne twarze, niewyrażające żadnych uczuć. Zimne jak gład, jak otaczająca ich noc.

Czterech żołnierze ruszyli przed siebie z butnymi minami, z rękami opuszczonymi wzdłuż tułowia, choć ich białe jak mleko ciała musiały odczuwać nieznośny chłód. Za nimi z aresztu wyszedł Humer i wskazał ręką słupy.

- Tam - zakomenderował.

Czterech nagich Niemców pomaszzerowało we wskazanym kierunku.

Humer się zbliżył i rzucił na śnieg przed Rosjanami cztery zwoje liny.

- Przywiążcie ich do słupów.

Trzej towarzysze spojrzeli na Borię. Schylił się i podniósł wszystkie cztery zwoje, rozdał im po jednym i powiedział, co mają robić. Podeszli do niemieckich żołnierzy, z których każdy stał wyprostowany przed nieokorowanym palem osikowym. Jakiego występku musieli się dopuścić, skoro zasłużyli na taką karę? Owinął szorstką konopną linę wokół torsu jednego z Niemców i przywiązał go do słupa.

- Zaciągać mocno supły - wykrzyknął Humer.

Boria zacisnął silnie pętlę i raz jeszcze owinął szorstkim konopnym włóknem nagą klatkę piersiową mężczyzny.

Niemiec nawet się nie skrzywił. Humer przyglądał się trójce pozostałych.

- Co zrobiłeś? - szeptem zadał Niemcowi pytanie Ucho, wykorzystując sposobność.

Ten nie odpowiedział.

Dociągnął mocniej linę.

- Czegoś takiego nie robią nawet nam.

- Przeciwstawienie się barbarzyńcy to honor.

Tak, pomyślał. To prawda.

Humer powrócił. Boria zawiązywał supę na ostatniej pętli.

- Przejdźcie dalej - polecił esesman.

Wraz z trójką Rosjan stanęli w kopnym śniegu, z dala od ubitej ścieżki. Ucho schował dłonie przed mrozem pod pachami i tupał nogami dla rozgrzewki. W płaszczu czuł się wspaniale. Było mu ciepło po raz pierwszy od czasu, gdy znalazł się w obozie. Wtedy całkowicie pozbawiono go tożsamości, stał się numerem 10901 który mu wytatuowano na prawym przedramieniu. Na wysokości piersi lewej poły łachmana, który kiedyś był koszulą, naszyto trójkąt. Litera R w środku oznaczała, że był Rosjaninem. Kolor naszywki również miał znaczenie. Czerwony nosili więźniowie polityczni. Zielony - kryminaliści. Żółtą gwiazdę Dawida zarezerwowano dla Żydów. Czerwono-czarny trójkąt był przeznaczony dla jeńców wojennych.

Humer sprawiał wrażenie, jakby na kogoś czekał.

Boria spojrział w lewą stronę.

Lampy łukowe oświetlały cały plac apelowy aż do głównej bramy. Droga prowadząca do obozu przez kamieniołom tonęła w ciemnościach. Nieoświetlony budynek komendy obozu stał tuż za ogrodzeniem. W tym momencie otwarto główną bramę i na teren obozu wkroczyła samotna postać.

Mężczyzna miał na sobie płaszcz do kolan. Jasne spodnie znikwały w cholewkach jasnobrązowych oficerek. Nosił oficerską czapkę w jasnym kolorze. Patykowate nogi stawiały zdecydowane kroki, okazałym brzuchem mężczyzna torował sobie drogę. W świetle Ucho dostrzegł prosty nos i bystre oczy, które nadawały twarzy szlachetny wyraz.

Rozpoznał go natychmiast.

Ostatni dowódca szwadronu von Richthofena, dowódca Luftwaffe, przewodniczący Reichstagu, premier Prus, przewodniczący Pruskiej Rady Państwa, minister leśnictwa i łowiectwa, przewodniczący Rady Obrony Rzeszy, marszałek Wielkiej Rzeszy Niemieckiej. Drugi po Führerze.

Hermann Göring.

Boria widział go wcześniej raz w życiu. W 1939 roku.

W Rzymie. Göring pojawił się wtedy w pretensjonalnym szarym garniturze, opasły kark zdobiła szkarłatna apaszka. Grube paluchy ozdabiała rubiny, w lewą klapę marynarki wpięty był nazistowski orzeł wysadzany brylantami. Przemawiał jeszcze dość powściągliwie, ale już domagał się należnego Niemcom miejsca na ziemi: „Czy wolicie mieć karabiny, czy masło? Czy powinniście importować smalec, czy rudy metali? Będziemy silni, jeśli będziemy gotowi. Masło robi z nas tłuszciochów”. Swoją orację zakończył Göring wizją Niemieckiej Rzeszy i Włoszech walczących ramię w ramię.

Ucho przypominał sobie, że słuchał go uważnie, ale ta przemowa nie wywarła na nim wrażenia.

- Panowie, ufam, że czujecie się komfortowo - odezwał się marszałek spokojnie do czwórki żołnierzy przywiązanych do słupów.

Żaden z nich nie odpowiedział.

- Co on powiedział, Ucho? - wyszeptał jeden z Rosjan.
- Pokpiwa z nich.
- Zamknijcie pyski - wymamrotał Humer - albo do nich dołączycie.

Göring stanął na wprost czwórki nagich mężczyzn.

- Pytam każdego z was ponownie: czy któryś ma mi coś do powiedzenia?

W odpowiedzi zaświstał tylko wiatr.

Göring podszedł bardzo blisko do jednego z dygocących z zimna Niemców. Do tego, którego przywiązał do słupa Boria.

- Mathias, z pewnością nie chcesz umierać w ten sposób? Jesteś żołnierzem, lojalnym sługą Führera.

- Führer... nie ma z tym... nic wspólnego - odparł żołnierz, szczękając zębami; jego

drżące ciało było fioletowe.

- Ale przecież wszystko, co robimy, przysparza mu chwały.
- Właśnie dlatego... wolę umrzeć.

Göring wzruszył ramionami. Zrobił to w taki sposób, jakby miał zdecydować, czy skusić się na jeszcze jeden kawałek ciasta. Dał znak Humerowi. Sierżant przekazał sygnał dwóm strażnikom, którzy przytoczyli dużą beczkę w pobliżu czwórki nieszczęśników przywiązanych do słupów. Inny strażnik przyniósł cztery warzachwie i rzucił je na śnieg.

Humer spojrział na Rosjan.

- Nabierzcie wody do chochli i stańcie każdy obok jednego z tych ludzi.

Boria wytłumaczył pozostałej trójce Rosjan, co mają robić. Cztery warzachwie zostały podniesione ze śniegu, potem zanurzone w wodzie.

- Nie wolno uronić ani kropli - ostrzegł Humer.

Ucho starał się, jak mógł, ale porywisty wiatr wytrącił kilka kropel. Nikt na szczęście nie zauważył. Podszedł do Niemca, którego osobiście przywiązał do słupa. Tego, którego nazwano Mathiasem. Göring stanął pośrodku, ściągając czarne skórzane rękawiczki.

- Spójrz, Mathias - powiedział. - Zdejmuję rękawiczki, żeby móc poczuć mróz na skórze tak samo jak ty.

Boria stał wystarczająco blisko, żeby dostrzec na ciężkim srebrnym sygnecie zdobitym środkowy palec prawej ręki otyłego mężczyzny wygrawerowaną pięść w kształcie kolczugi. Göring wsunął prawą dłoń do kieszeni spodni i wyciągnął kamień. Złocisty niczym miód. Ucho rozpoznał bursztyn.

Marszałek obracał go w palcach.

- Co pięć minut będziecie polewani wodą, dopóki któryś z was nie wyjawi mi tego, co chcę wiedzieć. W przeciwnym razie zginiecie. Mnie to nie robi różnicy. Ale pamiętajcie; ten, który powie, będzie żył. Wtedy jego miejsce zajmie jeden z tych nędznych Rosjan, a on otrzyma z powrotem swój płaszcz i będzie mógł polewać więźnia, dopóki ten nie umrze. Wyobraźcie sobie tylko, jaka to frajda. Wystarczy, że powiecie mi to, co pragnę wiedzieć. Może teraz któryś z was zmieni zdanie?

Milczenie.

Göring skinął głową w stronę Humera.

- *Giefte es* - rozkazał esesman. - Polewajcie.

Boria wykonał polecenie, a pozostała trójka poszła w jego ślady. Woda wsiąknęła w blond czuprynę Mathiasa, potem spłynęła po twarzy i torsie. Ciałem biedaka wstrząsnęły dreszcze. Niemiec nie wydał z siebie żadnego dźwięku oprócz szcęknięcia zębami.

- Chcesz coś powiedzieć? - zapytał ponownie marszałek.

Brak reakcji.

Po pięciu minutach procedura została powtórzona.

Dwadzieścia minut później, po kolejnych czterech dawkach lodowatej wody, zaczęła się hipotermia. Göring stał obojętny i obracał w palcach kawałek bursztynu. Zanim upłynęło kolejne pięć minut, podszedł do Mathiasa.

- To śmieszne. Powiedz, gdzie jest ukryty *das Bemsteinzimmer*, i natychmiast przestaniesz cierpieć. Nie warto za to umierać.

Dygocący z zimna Niemiec hardo spojrział mu prosto w oczy. Boria niemal się nienawidził za to, że został współnikiem Göringa w uśmiercaniu żołnierza.

- *Siesindein lugnerisches, diebisches Schwein* - Mathias zdołał wyrzucić to z siebie jednym tchem. I splunął.

Göring odskoczył do tyłu; plwocina spadła na przód marszałkowskiego szynela. Rozpiął guziki i starł ślinę, potem odciągnął poły płaszcza, odsłaniając perłowoszary mundur z odznaczeniami.

- Jestem twoim marszałkiem. Drugą osobą w hierarchii po naczelnym wodzu. Tylko ja noszę taki mundur. A ty ośmielasz się go opluwać? Powiesz mi, Mathias, to, co chcę wiedzieć, albo zamarzniesz na śmierć. Powoli. Bardzo powoli. I wcale nie będzie to przyjemne.

Żołnierz splunął raz jeszcze. Tym razem wprost na mundur. Göring, ku zaskoczeniu wszystkich, nie zareagował gwałtownie.

- Godna podziwu lojalność, Mathias. Już jej dowiodłeś. Ale jak długo jeszcze wytrzymasz? Pomyśl o sobie.

Nie chciałbyś ogrzać się nieco? Zbliżyć się do wielkiego ogniska, owinięty w ciepły i miękki wełniany koc?

Marszałek Trzeciej Rzeszy chwycił nagle Borię i przyciągnął go gwałtownym ruchem tuż przed oblicze spętanego Niemca.

- W tym płaszczu poczułbyś się jak w raj, prawda, Mathias? Zamierzasz pozwolić na to, by temu żalosnemu kozaczynie było ciepło, kiedy ty zamarzasz na śmierć?

Żołnierz nie odpowiedział. Wstrząsały nim dreszcze.

Göring odepchnął Borię.

- Chcesz poczuć odrobinę ciepła, Mathias? - Marszałek rozsunął suwak w rozporoku. Gorąca uryna przecięła łukiem powietrze, parując z zetknięciem z chłodem i spływając po

(z niem.) Jest pan zakłamaną, złodziejską świnią.

gołej skórze; jej żółte ślady odbijały się na białym śniegu. Göring strzepnął z członka resztki moczu i szybko zaciągnął suwak w spodniach.

- Lepiej ci teraz, Mathias?
- *Verrótte in der Schweinshölle.*

Boria życzył Göringowi tego samego.

Marszałek Trzeciej Rzeszy skoczył do przodu i wierzchem dłoni uderzył żołnierza mocno w twarz; sygnetem rozdarł mu skórę na policzku. Krew sączyła się cienką strużką.

- Lej! - rozkazał Göring.

Boria znów podszedł do beczki i napełnił warząchew wodą.

Niemiecki żołnierz o imieniu Mathias zaczął krzyczeć:

- *Mein Führer! Mein Führer! Mein Führer!*

Jego głos stawał się coraz silniejszy. Pozostała trójka skazańców przyłączyła się do niego.

Woda znów się poląła.

Göring obserwował to, teraz już z furią obracając bryłkę bursztynu. Dwie godziny później Mathias skonał, przemienił się w sopel lodu. W ciągu następnej godziny z powodu wyziębienia organizmu ostatnie tchnienie wydali trzej pozostali żołnierze. Żaden z nich nie zdradził, gdzie znajduje się *Bemsteinzimmer*.

Bursztynowa Komnata.

CZEŚĆ PIERWSZA

ATLANTA, GEORGIA

WTOREK, 6 MAJA, CZASY WSPÓŁCZESNE, 10.35

Sędzia Rachel Cutler spojrzała znad rogowych oprawek okularów. Adwokat po raz kolejny użył tego zwrotu i tym razem postanowiła mu nie odpuścić.

- Proszę powtórzyć, panie mecenasie?!
- Powiedziałem, że oskarżony wnosi o unieważnienie postępowania sądowego.
- Nie. Wcześniej. Co pan powiedział przedtem?
- Powiedziałem: tak, panie sędzio.
- Nie zauważył pan, mecenasie, że nie jestem mężczyzną?
- Nie ulega to dla mnie wątpliwości, Wysoki Sądzie.
- I pragnę przeprosić.
- W ciągu tego ranka powiedział pan tak czterokrotnie.
- Każdorazowo odnotowałam.

Adwokat wzruszył ramionami.

- To przecież taka błaha sprawa. Po co Wysoki Sąd marnuje czas, zapisując moje lapsusy?

Bezczelny szubrawiec pozwolił sobie nawet na uśmiech.

Wyprostowała się w fotelu i rzuciła w jego stronę gniewne spojrzenie. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, do czego właściwie zmierza T. Marcus Nettles. I powstrzymała się od dalszych komentarzy.

- Mój klient jest oskarżony o kwalifikowaną napaść, pani sędzio. Jednak Wysoki Sąd zdaje się przykładać większą wagę do moich błędów językowych niż do błędów popełnionych w trakcie policyjnego dochodzenia.

Skierowała wzrok na ławę przysięgłych, potem na oskarżyciela. Zastępca prokuratora okręgowego hrabstwa Fulton był najwyraźniej zadowolony z faktu, że jego oponent sam sobie kopie grób. Było oczywiste, że młody prawnik nie rozumiał, co zamierza Nettles. Ona jednak pojęła to w lot.

- Ma pan absolutną rację, mecenasie. To jest bez znaczenia. Proszę kontynuować.

Usadowiła się wygodniej w fotelu i dostrzegła na twarzy Nettlesa rozdrażnienie. Grymas, jaki pojawia się na twarzy myśliwego, gdy chybi celu.

- A co z moim wnioskiem o unieważnienie procesu? - zapytał adwokat.

- Oddalony. Wróćmy do rzeczy. Niech pan dokończy swoją przemowę.

Rachel obserwowała, jak przewodniczący ławy przysięgłych wstaje z miejsca i odczytuje werdykt uznający winę podsądnego. Posiedzenie ławników trwało zaledwie dwadzieścia minut.

- Wysoki Sądzie - odezwał się Nettles, powstając z miejsca. - Wnoszę o zbadanie zasadności orzeczenia wstępnego przed wydaniem ostatecznego wyroku.

- Oddalam.
- Wnoszę o zwłokę w ogłoszeniu wyroku.
- Oddalam.

Nettles zrozumiał, że jego intencje zostały rozszyfrowane.

- Wnoszę o zmianę składu orzekającego.
- Na jakiej podstawie?
- Z powodu stronniczości.
- Wobec czego lub kogo?
- Wobec mnie i mojego klienta.
- Proszę to wyjaśnić.
- Wysoki Sąd kierował się uprzedzeniem.

- Słucham?

- Demonstrował niezadowolenie z nieumyślnego używania przeze mnie zwrotu „panie sędzio”.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, mecenasie, przyznałam, że sprawa nie jest istotna.
- Tak. Ale ta wymiana zdań odbyła się w obecności ławy przysięgłych, co mogło mieć

negatywny wpływ na jej werdykt.

- Nie przypominam sobie sprzeciwu lub wysunięcia wniosku o unieważnienie procesu z powodu tej rozmowy.

Nettles nie odpowiedział. Spojrzała na zastępcę prokuratora okręgowego.

- Jakie jest stanowisko reprezentanta stanu Georgia?
- Stan Georgia odrzuca ten wniosek. Wysoki Sąd nie był stronniczy.

Z ledwością powstrzymała uśmiech. Młody prawnik wiedział przynajmniej, co powinien odpowiedzieć.

- Wniosek o zmianę składu orzekającego oddalony.

Skierowała wzrok na podsądnego, młodego białego mężczyznę z kręconymi włosami i twarzą pokrytą bliznami po ospie.

- Oskarżony, proszę wstać.

Mężczyzna się podniósł.

- Barry King, został pan uznany za winnego napaści.

Wobec tego tutejszy sąd przekazuje pana do dyspozycji Departamentu Resocjalizacji na okres dwudziestu lat. Strażnik sądowy odprowadzi podsądnego do aresztu.

Wstała z fotela i ruszyła w kierunku dębowych drzwi prowadzących do jej gabinetu.

- Panie Nettles, czy mogę pana prosić na chwilę? Zastępca prokuratora okręgowego również zmierzał w jej stronę.

- Chcę porozmawiać na osobności.

Nettles zostawił swojego klienta, któremu właśnie zakładano kajdanki, i podążył za nią do gabinetu.

- Proszę zamknąć drzwi.

Rozsunęła suwak w toczce, ale jej nie zdjęła. Stała za biurkiem.

- Sprytna sztuczka, mecenasie.

- Która?

- Ta wcześniejsza, kiedy usiłował pan wyprowadzić mnie z równowagi, zwracając się do mnie „panie sędzio”. Naraził pan swój tyłek, podejmując poronioną próbę obrony i licząc na to, że moje wzburzenie uzasadni wniosek o unieważnienie postępowania.

Adwokat wzruszył ramionami.

- Człowiek robi wszystko, co może.

- Pańską powinnością jest okazywanie szacunku sądowi, nie zaś zwracanie się do sędziego w spódnicy per „panie sędzio”. Użył pan tego zwrotu kilkakrotnie i z premedytacją.

- Dopiero co skazała pani mojego klienta na dwadzieścia lat więzienia, nie dopuszczając do wysłuchania zeznań przed ogłoszeniem wstępnego werdyktu. Jeśli nie uznamy tego za stronniczość, to co wobec tego jest stronniczością?

Rachel usiadła, nie proponując mecenasowi zajęcia krzesła.

- Nie potrzebowałam wysłuchiwać zeznań. Dwa lata temu skazałam Kinga za pobicie. Na sześć miesięcy z zawieszeniem na pół roku. Pamiętam to. Tym razem sięgnął po kij baseballowy i rozłupał czaszkę ofiary. Wyczerpał w ten sposób moją i tak już nadszarpniętą cierpliwość.

- Powinna pani sama zrezygnować z sądenia tej sprawy.

- Wcześniejsze informacje wpłynęły na brak obiektywizmu w tej sprawie.

- Czyżby? Wysłuchanie zeznań, którego domaga się pan tak hałaśliwie, ujawniłoby tak czy inaczej wszystkie te fakty. Zaoszczędziłam panu jedynie fatygi oczekiwania na to,

co było nieuniknione.

- Ty pieprzona suko!
- Będzie to pana kosztować sto dolarów. Płatne od ręki.
- Oraz drugie sto dolarów za numery, których dopuścił się pan na sali sądowej.
- Mam prawo do złożenia zeznań, zanim skąże mnie pani za obrazę sądu.
- To prawda. Ale pan wcale tego nie chce. Nie wpłynie to w żaden sposób na wizerunek męskiego szowinisty, jakim okazał się pan w trakcie postępowania sądowego.

Adwokat nic nie odpowiedział, ona zaś czuła, że wzbiera w niej fala złości. Nettles, przysadzisty mężczyzna z obwisłymi policzkami, miał reputację konserwatysty; z pewnością nie nawykł do wykonywania poleceń kobiety.

-1 za każdym razem, kiedy w moim sądzie pojawi się pana wielka dupa, będzie to pana kosztować sto dolarów.

Mecenas podszedł do biurka i wyjął zwitek pieniędzy, wyciągnął z niego dwie studolarówki, nowiutkie banknoty z wizerunkiem zapuchniętego Bena Franklina. Położył je ze złością na blacie, a potem rozwinął jeszcze trzy banknoty.

- Pierdol się.

Jeden banknot opadł na biurko.

- Pierdol się.

Drugi banknot opadł na biurko.

- Pierdol się.

Trzeci Benjamin Franklin sfrunął na podłogę.

Rachel zapięła togę i wkroczyła z powrotem do sali sądowej; weszła po trzech stopniach na dębowe podium, które od czterech lat było miejscem jej pracy. Zegar na przeciwległej ścianie wskazywał 13.45. Zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie piastować stanowisko sędziego. Był to rok wyborów, zgłaszanie kandydatur zakończyło się przed dwoma tygodniami. W lipcowych prawyborach musi stawić czoło dwóm rywalom. Plotkowano, że ludzie ubiegają się o to stanowisko, ale w piątek na dziesięć minut przed zamknięciem listy nie zgłosił się żaden chętny z kaucją blisko czterech tysięcy dolarów, gwarantującą uczestnictwo w wyborach. Teraz jednak te wybory bez konkurentów oznaczały długie i ciężkie lato wypełnione zbiórkami pieniędzy i przemówieniami.

Ani jedno, ani drugie nie napawało jej radością.

W tej chwili najmniej potrzebowała dodatkowych stresów i zmartwień. Rejestr spraw w toku, już i tak niezłe wypełniony, co dzień przynosił nowe. Dzisiejszy harmonogram był jednak nieco mniej napięty z uwagi na szybki werdykt w sprawie stanu Georgia przeciwko Barryemu Kingowi. Obrady ławy przysięgłych trwające krócej niż pół godziny odbiegały od standardu, a teatralne sztuczki T. Marcusa Nettlesa najwyraźniej nie wywarły wrażenia na ławnikach.

Mając wolne popołudnie, postanowiła zająć się niezakończonymi orzeczeniem sprawami, które nagromadziły się w ostatnich dwóch tygodniach w procesach z udziałem ławy przysięgłych. Czas poświęcony na posiedzenia sądowe okazał się efektywny. Cztery wyroki skazujące, sześć przypadków dobrowolnego przyznania się do winy wraz z ugodą oraz jedno uniewinnienie. Jedenaście procesów w sprawach karnych w toku pozwalało na nowe sprawy, które, jak poinformowała ją sekretarka, sądowy asesora przyniesie jutro rano.

„Fulton County Daily Report” publikował corocznie statystyki dotyczące pracy sędziów lokalnego sądu okręgowego.

W ciągu ostatnich trzech lat plasowała się zawsze blisko czołówki, skreślając sprawy z wokandy szybciej niż większość jej kolegów w togach, przy czym odsetek apelacji dla niej niekorzystnych, uwzględnionych przez sądy wyższej instancji, wynosił zaledwie dwa procent. Wydawanie w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach słusznych orzeczeń w sądzie pierwszej instancji sprawiało jej niekłamaną satysfakcję.

Usiadła za sędziowskim stołem i rozpoczęła się popołudniowa parada. Prawnicy wchodzili i wychodzili w pośpiechu, petenci czekali niecierpliwie na ostatnią rozprawę rozwodową lub podpis sędziego, inni - na rozstrzygnięcie wniosków cywilnych w

postępowaniu sądowym. W sumie blisko czterdzieści różnych spraw. Gdy ponownie spojrzęła na zegar, była godzina 16.15, a na wokandzie pozostały jedynie dwie rozprawy. Pierwsza dotyczyła adopcji i należała do tych, które lubiła najbardziej. W ostatnim postępowaniu tego dnia chodziło o zmianę nazwiska; powód występował bez pełnomocnika. Z rozmysłem umieściła tę sprawę na samym końcu, mając nadzieję, że sala już opustoszeje.

Pisarz sądowy podał jej dokumenty.

Spojrzała w dół na starszego mężczyznę w tweedowej beżowej marynarce oraz jasnobrązowych spodniach, który stał przed stołem obrony.

- Proszę podać pełne nazwisko.
- Karl Bates - w jego zmęczonym głosie dało się słyszeć wschodnioeuropejski akcent.
- Jak długo mieszka pan w hrabstwie Fulton?
- Od trzydziestu dziewięciu lat.
- Czy urodził się pan w tym kraju?
- Nie. Pochodzę z Białorusi.
- I ma pan obywatelstwo amerykańskie? Mężczyzna przytaknął.
- Jestem starym człowiekiem. Mam osiemdziesiąt jeden lat. Spędziłem tu prawie połowę życia.

Ostatnie pytanie i odpowiedź nie miały związku z meritum sprawy, ale żaden z sekretarzy i sądowych protokolantów nie odezwał się ani słowem. Na ich twarzach rysowało się zrozumienie.

- Moi rodzice, bracia, siostry... wszyscy zostali wymordowani przez nazistów. Wielu zmarło na Białorusi. Byliśmy Białorusinami. Bardzo dumnymi. Niewielu nas zostało, kiedy Sowieci po wojnie zaanektowali naszą ojczyznę. Stalin okazał się gorszy od Hitlera. Był szaleńcem. Rzeźnikiem. Kiedy był u władzy, nie miałem tam już nic do roboty, opuściłem więc ojczyznę. Ten kraj jest ziemią obiecaną, nieprawdaż?

- Czy był pan obywatelem rosyjskim?
- Tak naprawdę powinno się powiedzieć „obywatelem radzieckim” - poprawił i pokręcił głową. - Ale nigdy nie uważałem się za Sowietę.
- Czy był pan żołnierzem w czasie wojny?
- Zostałem przymusowo wcielony do armii. W Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, jak nazywał ją Stalin. Byłem porucznikiem. Dostałem się do niewoli i trafiłem do Mauthausen.
- Spędziłem szesnaście miesięcy w obozie koncentracyjnym.
- Jaki zawód wykonywał pan po przybyciu tu na stałe?

- Byłem jubilerem.

- Złożył pan do sądu wniosek o zmianę nazwiska. Z jakiego powodu pragnie pan nazywać się Karol Boria?

- To nazwisko nosiłem od urodzenia. Ojciec dał mi imię Karol. Oznacza to „człowieka o silnej woli”. Byłem najmłodszy z szóstki dzieci; omal nie umarłem w czasie narodzin.

- Kiedy przyjechałem do tego kraju, byłem zdania, że muszę ukrywać własną tożsamość. W Związku Sowieckim pracowałem dla rządowej komisji. Nienawidziłem komunistów, którzy zrujnowali moją ojczyznę, i mówiłem o tym głośno.

Stalin wysłał wielu moich rodaków do syberyjskich łagrów.

Sądziłem, że będą mścić się na moich krewnych. W tamtym czasie wyjeżdżali tylko nieliczni. Ale umrzeć chciałbym pod własnym nazwiskiem.

- Jest pan chory?

- Nie. Ale zastanawiam się, jak długo jeszcze moje zmęczone ciało pozostanie na chodzie.

Obrzuciła wzrokiem stojącego przed nią starego człowieka: sylwetka pochylona, ale wciąż okazała. Głęboko osadzone oczy wydawały się nieprzeniknione, czupryna pobieliała niczym śnieg, głos brzmiał chropawo i tajemniczo.

- Wygląda pan doskonale jak na swoje lata. - Karol Bates się uśmiechnął. - Czy wnioskowana zmiana wiąże się z popełnioną defraudacją, chęcią uniknięcia oskarżenia lub ukrycia się przed wierzycielami?

- W żadnym wypadku.

- W takim razie pański wniosek zostaje rozpatrzony pozytywnie. Znow będzie pan nosił nazwisko Karol Boria.

Podpisała sądowy nakaz dołączony do wniosku i przekazała dokumenty sekretarce. Zeszła z podestu i zbliżyła się do starego człowieka. Po jego policzkach z kilkudniowym zarostem spływały łzy. Oczy miał przekrwione. Rachel objęła go ramionami i przytuliła mocno.

- Kocham cię, tato - powiedziała cichym głosem.

3

16.50

Paul Cutler powstał z dębowego krzesła i zwrócił się do sądu, czując, że powoli traci cierpliwość.

- Wysoki Sądzie, mój klient nie kwestionuje jakości usługi wyświadczonej przez powoda. Podważamy wyłącznie kwotę, jaką powód usiłuje wyłudzić. Dwanaście tysięcy trzysta dolarów to bardzo wysoka suma za pomalowanie domu.

- To duży dom - oświadczył adwokat wierzyciela.

- Spodziewam się - dorzucił sędzia prowadzący postępowanie spadkowe.

- Jego powierzchnia wynosi niecałe dwieście metrów kwadratowych. To nie nadzwyczajnego. Robota również była rutynowa. Wykonawca nie powinien żądać tak wygórowanego wynagrodzenia.

- Panie sędzio, zmarły zlecił mojemu klientowi pomalowanie całego domu i z tego zlecenia mój klient się wywiązał.

- Panie sędzio, powód wykorzystał brak rozeznania siedemdziesięciosześcioletniego starca. Nie wyświadczył usługi wartej dwanaście tysięcy trzysta dolarów.

- Zmarły obiecał mojemu klientowi specjalną premię, jeśli skończy malowanie w ciągu tygodnia. I tak się stało.

Paul nie mógł uwierzyć, że prawnik bez żenady uważa te roszczenia za słuszne.

- To bardzo wygodne, zwłaszcza, że jedyną osobą, która mogłaby zaprzeczyć złożeniu takiej obietnicy, jest zmarły.

Nasza kancelaria jest wymienionym z testamentu wykonawcą ostatniej woli zmarłego i nie możemy z czystym sumieniem zapłacić rachunku opiewającego na taką kwotę.

- Czy zamierza pan wytoczyć proces w tej sprawie? - sędzia, którego twarz pokrywały zmarszczki, skierował pytanie do strony przeciwnej.

Adwokat wierzyciela pochylił się i szeptał coś na ucho malarzowi pokojowemu; młody mężczyzna w jasnobrązowym garniturze i krawacie był najwyraźniej niezadowolony.

- Nie, panie sędzio. Proponujemy ugodę. Siedem tysięcy pięćset dolarów.

Paul nie wahał się ani chwili.

- Tysiąc dwieście pięćdziesiąt. I ani grosza więcej. Wynajęliśmy innego malarza, by ocenił wykonaną pracę. Z tego, co powiedział, wynika niezbicie, że mamy do czynienia z ewidentnie tandetnym wykonaniem. Ponadto farba najprawdopodobniej została

rozcieńczona. Jeśli chodzi o nasze stanowisko, gotowi jesteśmy oddać sprawę pod orzecznictwo ławy przysięgłych - przerwał i spojrzał na swego oponenta. - Za godzinę spędzoną na tej potyczce otrzymuję dwieście dwadzieścia dolarów. Mecenasiu, niech pan nie marnuje mojego czasu.

Adwokat strony wnoszącej pozew nawet nie skonsultował się ze swoim klientem.

- Nie dysponujemy środkami, które pozwoliłyby nam wytoczyć proces w tej sprawie, a zatem, nie mając innego wyjścia, przyjmujemy ofertę wykonawcy ostatniej woli.

„Akurat. Cholerny, przekłety szalbierz” - zbierając papiery, wymamrotał Paul do siebie, na tyle jednak głośno, by słowa te dobiegły do uszu adwersarza.

- Proszę wystawić polecenie wypłaty, panie Cutler - nakazał sędzia.

Paul opuścił pośpiesznie salę rozpraw i ruszył w kierunku Wydziału Spadków urzędu hrabstwa Fulton. Dzielili go zaledwie trzy kondygnacje od siedziby Sądu Okręgowego, ale czuł się, jakby szedł na drugi koniec świata. Nie zajmował się głośnymi morderstwami, nie prowadził sensacyjnych procesów sądowych ani zawiłych spraw rozwodowych. Testamenty, fundusze powiernicze oraz kuratela prawna - do tego ograniczała się jego praktyka. Przyziemne i nużące sprawy, materiał dowodowy bazujący zazwyczaj na zawodnej pamięci i opowieściach krewnych i świadków, zarówno tych prawdziwych, jak i podstawionych. Ostatni kodeks stanowy, w którego tworzeniu Paul także uczestniczył, dopuszczał powołanie ławy przysięgłych w pewnych sprawach, w niektórych przypadkach ograniczając stronie pozywającej liczbę spraw do jednej. Jednakże ten obszar wymiaru sprawiedliwości był zdominowany przez ekipę starszych sędziów, którzy kiedyś też byli adwokatami i przemierzali te same korytarze z listami zawierającymi zapis ostatniej woli.

Od czasu, gdy Uniwersytet Stanowy w Georgii ekspediował go w świat z tytułem doktora praw, zajmował się urzędowym zatwierdzaniem testamentów. Nie rozpoczął studiów prawniczych od razu po szkole średniej: jego podanie odrzuciły w sumie dwadzieścia dwie szkoły, w których je złożył. Ojciec był tym przybity. Przez trzy lata Paul pracował w Georgia Citizens Bank w dziale spraw spadkowych i funduszy powierniczych. Był ceniony jako bardzo skrupulatny urzędnik, a zdobyte doświadczenie dało mu asumpt do ponownego złożenia papierów na uczelni. Ostatecznie jego podanie rozpatrzyły pozytywnie trzy wydziały prawnicze, a trzyletnia praktyka na urzędniczym stołku przesądziła o zatrudnieniu go w kancelarii Pridgen & Woodworth tuż po obronie dyplomu. Minęło od tego czasu trzynaście lat; stał się posiadającym udziały partnerem w firmie, najwyżej cenionym specjalistą w sprawach spadkowych i funduszach powierniczych oraz drugim w kolejności do zyskania statusu pełnego wspólnika; dzierżył też w swych dłoniach

zarządzanie własnym działem.

Skierował się ku podwójnym drzwiom na końcu korytarza.

Dzisiejszy dzień był gorączkowy. Pozew malarza został wpisany na wokandę ponad tydzień temu, ale tuż po lunchu do jego biura zadzwonił prawnik innego wierzyciela z wnioskiem o pospieszne rozpatrzenie już przygotowanego pozwu.

Pierwotnie rozprawę zaplanowano na 16.30, jednak prawnik powoda się nie pojawił. Paul przeszedł więc do sąsiedniej sali rozpraw, by zająć się wypełnianiem wniosku dotyczącego usiłowania kradzieży ze strony malarza. Otworzył gwałtownie drzwi i stanął w środkowym przejściu w opustoszałej teraz sali.

- Nie wiesz przypadkiem, co się dzieje z Marcusem Nettlesem? - zwrócił się do sekretarki siedzącej w drugim końcu pomieszczenia.

Na twarzy kobiety zagościł uśmiech.

- Jasne, że wiem.

- Dochodzi piąta. Gdzie on jest?

- W biurze szeryfa. Słyszałam, że zamknęli go w areszcie.

- Upuścił teczkę na dębowe biurko.

- Stroisz sobie żarty.

- Skądże. Twoja ekszona wpakowała go tam dzisiaj rano.

- Rachel? Sekretarka przytaknęła.

- Za obraźliwe słowa, które wypowiedział w jej gabinecie. Zapłacił trzysta dolarów, a potem trzykrotnie powiedział jej bez ogródek, co ma robić z tyłkiem.

Drzwi sali sądowej otworzyły się i do środka wtoczył się T. Marcus Nettles. Jego beżowy garnitur od Neimana Marcusa sprawiał wrażenie pomiętego, krawat od Gucciego zwisał krzywo, włoskie mokasyny był brudne.

- Nareszcie, Marcus. Co się stało?

- Ta suka, którą kiedyś nieopatrznie poślubiłeś, wsadziła mnie do pierdła i trzymała tam od rana - jego baryton przeszedł w pisk. - Powiedz mi jedno, Paul, czy ona jest rzeczywiście kobietą, czy też ta hybryda ma jaja między swoimi długimi nogami?

Chciał coś odpowiedzieć, ale w końcu puścił te słowa mimo uszu.

- Nakopała mi do dupy w obecności ławy przysięgłych tylko za to, że zwróciłem się do niej per „panie sędzio”...

- Podobno aż cztery razy - wtrąciła sekretarka.

- Cóż, być może. Zgłosiłem wniosek o unieważnienie postępowania procesowego, który powinna przyjąć, a ona skazała mojego klienta na dwadzieścia lat, nie wysłuchując

nawet zeznań świadków. Potem postanowiła dać mi lekcję etyki. Na cholere mi takie gówno? Zwłaszcza ze strony suki o zgrabnej dupie. Mogę ci teraz powiedzieć, że wyłożę kasę na wsparcie jej przeciwników. Naprawdę dużą kasę. W drugi wtorek lipca zamierzam pozbyć się tego problemu.

Paul doszedł do wniosku, że wysłuchał już dostatecznie dużo.

- Zamierzasz zaskarżyć jej decyzję? Nettles położył swoją aktówkę na stole.

- Dlaczego nie? Pogodziłem się z nawet z faktem, że spędzę w celi całą noc. Wygląda na to, że ta kurwa ma jednak serce.

- Dość już tego, Marcus - przerwał Paul, głosem bardziej szorstkim niż zamierzał.

Oczy Nettlesa się zwężyły, jego wściekły wzrok przenikał go na wylot; starał się czytać w myślach Paula.

- Cholera, ona jeszcze nie jest ci obojętna! Jesteś rozwiedziony... od ilu to?... od trzech lat? Co miesiąc pewnie zabiera ci lwią część wypłaty na utrzymanie dzieci.

Nie odpowiedział.

- Niech mnie diabli - dziwił się Nettles. - Ty wciąż coś do niej czujesz, przyznaj się!

- Możemy wrócić do sprawy?

- Ten sukinsyn naprawdę coś do niej czuje. - Jego reakcja utwierdziła Nettlesa w podejrzeniu. Pokręcił z niedowierzaniem swoją wielką głową.

Paul skierował się do drugiego stolika, przygotowując się do rozprawy. Sekretarka wstała z krzesła i wyszła, by poprosić na salę sędziego. Był zadowolony, że wyszła. W sądowym gmachu plotki rozchodziły się z szybkością błyskawicy.

Nettles usadowił na fotelu swą okrągłą sylwetkę.

- Paul, mój chłopcze, posłuchaj rady faceta, który sparzył się już pięć razy. Kiedy się którejś wreszcie pozbędziesz, niech tak pozostanie.

17.50

Karol Boria skręcił na własny podjazd i zaparkował oldsmobilea.

Mając osiemdziesiąt jeden lat, należał do nielicznych, którym nie zabroniono prowadzić samochodu. Wzrok miał zadziwiająco ostry, a koordynacja ruchowa, chociaż chodzenie sprawiało mu trudność, była zdaniem władz stanowych dostatecznie dobra, by wznowić jego prawo jazdy. Nie jeździł wiele ani daleko. Robił wypadki do sklepu spożywczego, od czasu do czasu podjeżdżał do pasażu handlowego oraz odwiedzał Rachel co najmniej dwa razy w tygodniu. Dzisiaj przejechał zaledwie cztery mile do stacji kolejki miejskiej MARTA i stamtąd pociągiem do centrum, w pobliże gmachu sądu, w którym miała odbyć się rozprawa związana ze zmianą nazwiska.

Od blisko czterdziestu lat mieszkał w północno-wschodniej części hrabstwa Fulton, zanim jeszcze Atlanta zaczęła rozbudowywać się w kierunku północnym. Wzgórza z czerwonej gliny sięgające aż po koryto pobliskiej rzeki Chattahoochee, kiedyś porośnięte lasami, teraz przejęli handlowcy i usługodawcy albo pobudowano na nich ekskluzywne osiedla mieszkaniowe, apartamentowce, a przede wszystkim ulice. Wokół niego mieszkały i pracowały miliony ludzi, a Atlanta zyskała status metropolii oraz „gospodarza Olimpiady”.

Wolnym krokiem wyszedł na ulicę, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś w skrzynce na listy stojącej przy krawężniku. Wieczór był nadzwyczaj ciepły jak na maj, co było dobrodziejstwem dla jego artretycznych stawów, które wyczuwały zawsze nadejście jesieni i darzyły szczerą nienawiścią zimę. Ruszył z powrotem ku domowi i zauważył, że okapy wymagają malowania.

Ziemię, której był posiadaczem, sprzedał dwadzieścia cztery lata temu, zgarniając dostatecznie dużo pieniędzy, by za nowy dom zapłacić gotówką. To osiedle było wtedy jednym z nowszych; teraz ulicę ocieniały baldachimy drzew liczących już ćwierć wieku. Jego ukochana żona Maya zmarła dwa lata po ukończeniu domu. Choroba nowotworowa zabrała ją bardzo szybko. Za szybko. Ledwo zdążył się z nią pożegnać. Rachel miała wtedy czternaście lat i zniosła to dzielnie, on skończył pięćdziesiąt siedem i nie mógł się pogodzić z jej śmiercią. Perspektywa samotnej starości budziła w nim trwogę. Jednak Rachel zawsze go wspierała. To szczęście mieć taką córkę. Była jedynaczką.

Wszedł do domu, wlokąc się noga za nogą. Nie upłynęło więcej niż kilka minut, gdy tylne drzwi otworzyły się z impetem i do kuchni wpadło dwoje jego wnucząt. Dzieciaki

nigdy nie pukały, on zaś nigdy nie zamykał drzwi. Brent miał siedem lat, Marla o rok mniej. Oboje przytulili się do niego.

W ślad za nimi weszła Rachel.

- Dziadku, dziadku, gdzie jest Lucy? - zapytała Marla.
- Śpi na swoim legowisku. A gdzieżby?

Kotka przywędrowała na jego podwórze przed czterema laty i postanowiła zostać tu na zawsze.

Dzieciaki rzuciły się pędem ku frontowi domu.

Rachel otworzyła lodówkę i znalazła w niej dzbanek herbaty.

- Rozczuliłeś się trochę w sądzie.
- Wiem, że powiedziałem zbyt wiele. Ale moje myśli pobiegły ku ojcu. Żałuję, że go nie znałaś. Codziennie pracował w polu. Był bardzo oddany carowi. Do samego końca.
- Nienawidził komunistów - powiedział i zamilkł na chwilę. Przyszło mi na myśl, że nawet nie mam jego fotografii.

- Ale znów nosisz jego nazwisko.
- I za to właśnie pragnę ci podziękować, moja kochana.
- Dowiedziałaś się, gdzie podział się Paul?
- Moja sekretarka to sprawdziła. Miał sprawę w sądzie spadkowym i nie mógł się wyrwać.
- Jak mu się wiedzie? Wypiła łyk herbaty.
- Chyba nieźle.

Obserwował twarz córki. Tak bardzo przypominała swoją matkę. Perłowobiała cera, falujące kasztanowe włosy i bystre brązowe oczy silnej kobiety. Była inteligentna. Być może zbyt inteligentna, by mogło jej to wyjść na dobre.

- A ty jak sobie radzisz? - zapytał.
- Jakoś sobie daję radę. Jak zawsze.
- Jesteś tego pewna, córko?

Ostatnio zauważył w niej pewne zmiany. Uciekała spojrzeniem, zachowywała się z dystansem i stała się pobudliwa.

Te przejawy braku życiowego celu go niepokoiły.

- Nie martw się o mnie, tato. Wszystko się ułoży.
- Wciąż żadnych kandydatów do ręki?

Wiedział, że od chwili rozwodu przed trzema laty w jej życiu nie ma mężczyzn.

- A czy ja mam na to czas? Zajmuję się wyłącznie pracą oraz opiekuję się tą dwójką. Nie

wspominając o tobie.

Musiał to powiedzieć.

- Martwię się o ciebie.
- Niepotrzebnie.

Jednak uciekła gdzieś oczami, odpowiadając. Być może sama nie była tego pewna.

- Życie w pojedynkę nie jest najlepszym rozwiązaniem.
- Udała, że nie rozumie, co ojciec ma na myśli.
- Nie jesteś sam.
- Nie mówię o sobie, wiesz o tym.

Podeszła do zlewu i wypłukała szklankę. Postanowił nie naciskać; sięgnął ręką do telewizora i nacisnął włącznik.

Odbiornik ustawiony był nadal na stację CNN Headline News, tak jak rano. Ściszył dźwięk i poczuł, że musi to powiedzieć.

- Rozwód nie był ci potrzebny.

Rzuciła w jego stronę jedno z tych swoich spojrzeń.

- Znowu zamierzasz mi zrobić wykład.
- Postaraj się poskromić dumę. Powinnaś spróbować jeszcze raz.
- Paul tego nie chce.

Patrzyli sobie prosto w oczy.

- Oboje jesteście zbyt dumni. Pomyśl o moich wnukach.
- Pomyślałam, kiedy brałam rozwód. Ciągle ze sobą walczyliśmy. Wiesz o tym.

Pokręcił z dezaprobatą głową.

- Uparta jak matka.

A może córka była taka jak on? Trudno powiedzieć.

Rachel wytarła ręce w ścierkę do naczyń.

- Paul przyjedzie tu koło siódmej po dzieci i zawiezie je do domu.
- Gdzie się wybierasz?
- Zbiórka funduszy na kampanię wyborczą. Szykuje się ciężkie lato i wcale mnie to

nie cieszy.

Spojrzał na ekran telewizora, na którym pokazywano górskie pasmo ze stromymi stokami i skalistą granią.

Natychmiast rozpoznał ten widok. Przeczytał napis na dole ekranu: STOD, NIEMCY. Podkreślił głośność.

- Przedsiębiorca budowlany i milioner Wayland McKoy jest zdania, że w tej części

Niemiec wciąż są ukryte skarby nazistów. Jego wyprawa w góry Harzu na obszarze byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej rozpoczyna się w przyszłym tygodniu. Tereny te zostały udostępnione poszukiwaczom dopiero niedawno, dzięki obaleniu komunizmu i ponownemu zjednoczeniu wschodnich oraz zachodnich Niemiec.

5

Boria odczekał następne pół godziny z nadzieją, że w kolejnej edycji serwisu informacyjnego zostanie powtórzona ta sama historia. I rzeczywiście. Pod koniec skrótu wiadomości emitowanego o szóstej po południu pojawiła się ponownie relacja na temat prowadzonych w górach Harzu przez Waylanda McKoya poszukiwań skarbów zagrabionych przez nazistów.

Dwadzieścia minut później, kiedy pojawił się Paul, nadal o tym rozmyślał. Siedział w salonie nad rozłożoną na stoliku do kawy mapą Niemiec. Kupił ją kilka lat wcześniej w pasażu handlowym zamiast starego egzemplarza wydanego przez National Geographic, który służył mu przez kilka ostatnich dziesięcioleci.

- Gdzie są dzieci? - zapytał Paul.
- Podlewają ogródek.
- Jesteś pewien, że nie zniszczą ci roślin? Karol się uśmiechnął.
- Ostatnio było sucho. Podlewanie na pewno im nie zaszkodzi.

Paul klapnął na fotel, rozluźnił krawat i rozpiął koszulę pod szyją.

- Czy twoja córka się pochwaliła, że dziś rano wsadziła do aresztu prawnika?

Nie podniósł wzroku znad mapy.

- Zasłużył na to?
- Prawdopodobnie. Ale ona ubiega się o ponowny wybór, a to nie jest gość, który pozwoli sobą pomiatać. Jej temperament któregoś dnia ściągnie na nią prawdziwe kłopoty.

Tym razem spojrzął na byłego zięcia.

- Zupełnie jak Maya. Wpada w szal w mgnieniu oka.
- -1 nie słucha zupełnie, co mówią inni.
- To również odziedziczyła po matce.
- Paul się uśmiechnął.
- Założę się, że tak - odparł. Wskazał gestem na mapę. Co robisz?
- Sprawdzam coś. W wiadomościach CNN usłyszałem, że jakiś facet zamierza szukać

cennych dzieł sztuki wciąż ukrytych w górach Harzu.

- W dzisiejszym numerze „USA Today” opublikowano artykuł na ten temat. Też zwrócił moją uwagę. Jakiś facet z Karoliny Północnej, chyba McKoy Można by pomyśleć, że ludzie dali sobie już spokój ze skarbem nazistów Pięćdziesiąt lat to sporo czasu dla płócien liczących ich trzysta kilkadziesiąt i butwiejących w zawilgoconej, zamkniętej

grocie. Uważałbym za prawdziwy cud, gdyby się okazało, że nie spleśniały.

Zmarszczył czoło.

- To, co wartościowe, zostało już odnalezione lub jest stracone po wsze czasy. Sądzę, że powinieneś zdawać sobie z tego sprawę.

Przytaknął.

- Odrobina doświadczenia z tamtych czasów, zgoda - odparł, usiłując nie okazywać zbyt żywego zainteresowania, choć w środku w nim wrzało. - Możesz kupić mi egzemplarz tej gazety z USA w tytule?

- Nie muszę kupować. Mam w samochodzie. Zaraz ci przyniosę.

Paul wyszedł frontowymi drzwiami, a w tym samym momencie tylne drzwi się otworzyły i do salonu wpadła dwójka dzieci.

- Wasz tata tutaj jest - powiedział Boria.

Paul wrócił, dał mu gazetę, a następnie zwrócił się do dzieci.

- Zatopiliście pomidory?

Dziewczynka zachichotała.

- Nie, tato - odparła i szarpnęła Paula za rękę. - Chodź obejrzyć warzywa dziadka.

Paul spojrzał na niego i uśmiechnął się.

- Zaraz wracam. Artykuł jest na stronie czwartej albo piątej.

Karol odczekał, aż wyjdą przez kuchnię, potem odszukał reportaż i zaczął czytać z zapartym tchem:

NIEMIECKIE SKARBY WCIAŻ CZEKAJĄ?

Fran Downing, kronikarz wyprawy

Upłynęły pięćdziesiąt dwa lata od czasu, gdy nazistowskie konwoje przemierzały góry Harzu i znikwały w tunelach wykopanych jakby specjalnie po to, by ukryć w nich dzieła sztuki oraz inne cenne zdobycze Trzeciej Rzeszy. Początkowo jaskinie wykorzystywano jako miejsce produkcji broni oraz magazyny amunicji. Jednak w ostatnich dniach drugiej wojny światowej stały się one idealnymi kryjówkami wojennych łupów i narodowych skarbów.

Dwa lata temu Wayland McKoy poprowadził wyprawę do jaskiń Heimkehl w okolicach Uftrugen w Niemczech w poszukiwaniu dwóch kolejowych wagonów zakopanych pod tysiącami ton gipsu.

Odnalazł wagony, a w nich kilka arcydzieł dawnych malarzy, za które rządy Francji i Holandii wypłaciły mu pokaźną premię tytułem znaleźnego.

Tym razem McKoy, przedsiębiorca budowlany z Karoliny Północnej, handlarz

nieruchomościami i poszukiwacz skarbów, miał nadzieję na większą zdobycz. Brał udział w sześciu poprzednich ekspedycjach i oczekiwał, że ta, która rozpoczyna się w przyszłym tygodniu, przyniesie mu największe trofea.

- Proszę sobie wyobrazić. Jest rok 1945. Z jednej strony nadciągają Rosjanie, z drugiej Amerykanie.

Jest pan kustoszem Muzeum Narodowego w Berlinie, przepełnionego zbiorami zrabowanymi we wszystkich okupowanych krajach. Zostało panu zaledwie kilka godzin. Co załaduje pan na wagony, żeby wywieźć z miasta? Oczywiście, dzieła najbardziej wartościowe.

McKoy opowiada o losach jednego z takich pociągów, który opuścił Berlin w ostatnich dniach drugiej wojny światowej i skierował się na południe, w stronę centralnych Niemiec i gór Harzu. Nie zachowały się żadne dokumenty stwierdzające, dokąd skierowano skład, ale poszukiwacz ma nadzieję, że ładunek leży w którejś z jaskiń odkrytych przezeń ostatniej jesieni. Rozmowy przeprowadzone z krewnymi niemieckich żołnierzy, którzy pomagali załadować pociąg, przekonały go o słuszności tych przypuszczeń. Na początku tego roku McKoy posłużył się radarem, by spenetrować wnętrza ziemi i określić położenie dalszych podziemnych komór.

- Tam coś jest - twierdzi McKoy. - Z pewnością jest to dość duże, by mogło się okazać wagonami towarowymi lub skrzyniami magazynowymi.

McKoy zdołał już uzyskać od niemieckich władz pozwolenie na prace wykopaliskowe. Za szczególnie ekscytujący uważa fakt, że, wedle jego wiedzy, nikt przedtem nie przeszukiwał tych miejsc. Przez dziesięciolecia obszary te należały do Niemiec Wschodnich i były niedostępne dla poszukiwaczy.

Obecne niemieckie prawo zezwala, by McKoy zachował niewielką część znaleziska: tę, do której nie zgłoszą roszczeń prawowici właściciele. Jednak to go nie zraża.

- Diabeł jeden wie, być może pod skalnymi zwałami odnajdziemy Bursztynową Komnatę.

Prace wykopaliskowe będą trudne i mozolne.

Podziemne świdry i buldożery mogą uszkodzić skarby, a zatem McKoy będzie zmuszony wiercić otwory w skale i trawić ją chemicznie.

- Jest to sposób powolny i niebezpieczny, ale wart zachodu - twierdzi poszukiwacz. - Wykorzystując pracę przymusowych robotników, naziści wydrążyli setki jaskiń, w których ukrywali amunicję przed alianckimi bombowcami. Nawet tunele, w których przechowywano dzieła sztuki, zostały zaminowane.

Szkopuł w tym, by znaleźć właściwą jaskinię oraz dostać się do wnętrza, nie naruszając jej.

Sprzęt McKoya, brygada złożona z siedmiu robotników oraz ekipa telewizyjna przebywają już w Niemczech. On sam zamierza udać się tam w najbliższy weekend. Koszty - blisko milion dolarów - zostały pokryte z funduszy wniesionych przez prywatnych inwestorów, liczących na pokaźne zyski w związku ze spodziewanym odkryciem złotej żyły.

- W tamtym miejscu pod ziemią coś się kryje.

Jestem tego pewien. Ktoś powinien w końcu wykopać te skarby. Dlaczego nie miałbym to być ja? - pyta McKoy.

Podniósł wzrok znad gazety. Matko Wszechmogącego Boga, czyżby to było to? Jeśli tak, czy można jakoś temu zapobiec? Był już starym człowiekiem i niewiele mógł zrobić.

Drzwi z tyłu domu otworzyły się i do salonu wszedł Paul.

Rzucił gazetę na stolik do kawy.

- Wciąż interesujesz się tą sprawą? - zapytał.

- To z przyzwyczajenia.

- Kopanie tuneli w tych górach może okazać się całkiem ekscytujące. Niemcy używali ich w charakterze skarbców. Nie wspominając już o tym, co może kryć się w ich wnętrzu.

- Ten McKoy wspominał nawet o Bursztynowej Komnacie - oznajmił, kręcąc powątpiewająco głową. - Jeszcze jeden gość poszukujący zaginionych płyt ściennych.

Paul wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Skarb to pokusa. Akurat na spektakularną relację telewizyjną.

- Widziałem raz w życiu te bursztynowe płaskorzeźby oznajmił Boria, nagle się rozgadując. - Pojechałem pociągiem z Mińska do Leningradu. Komuniści przemienili Pałac Jekaterynowski w muzeum. Widziałem komnatę w całym jej przepychu - zrobił gest rękoma. - Dziesięć metrów kwadratowych. Ściany z bursztynu. Gigantyczna układanka.

- Wszystko oprawione w pięknie rzeźbione i pozłacane drewno.

- Zachwycające.

- Czytałem o tym. Wiele osób uważało ją za ósmy cud świata.

- Można było odnieść wrażenie, że wkroczyło się w świat baśni. Bursztyn jest twardy i błyszczący jak kamień, ale nie tak chłodny jak marmur. Bardziej przypomina drewno.

- Żółc, brązy i wiśnia. Ciepłe kolory. Jakby na zawsze pochwycone słońce. To zdumiewające, czego potrafili dokonać dawni mistrzowie. Reliefy w postaci figur, kwiatów i muszelek. Niezwykle misterne ślimacznice. Tony bursztynu, a wszystko to rękodzieło. Nikt i nigdy nie stworzył czegoś podobnego.

- Naziści wykradli płyty w 1941 roku? Przytaknął.

- Przekłęci zbrodniarze. Zerwali wszystko do gołych ścian. Nikt ich nie widział po 1944 roku.

Wzbierała w nim złość, gdy o tym myślał. Zdawał sobie sprawę, że powiedział zbyt dużo, a zatem zmienił temat.

- Mówiłeś, że moja Rachel wsadziła jakiegoś prawnika do paki?

Paul usiadł na fotelu, wyciągnął nogi i skrzyżował stopy na otomanie.

- Królowa Lodu znów uderzyła. Tak nazywają ją w sądzie - odparł z westchnieniem. -

Wszyscy są przekonani, że to od czasu naszego rozvodu, ale mam to gdzieś.

- Cierpisz z tego powodu?

- Chyba tak.

- Kochasz Rachel?

- Oraz moje dzieci. Moje mieszkanie jest takie puste.

- Brakuje mi ich trojga, Karl. Chyba powinienem powiedzieć: Karol. Minie trochę czasu, zanim się przyzwyczaję.

- Obaj potrzebujemy czasu.

- Przepraszam, że nie przyszedłem wczoraj. Moja rozprawa została przesunięta na późniejszą godzinę. Przeciwnikiem był prawnik, którego Rachel wpakowała do aresztu.

- Jestem ci wdzięczny za pomoc w sporządzeniu wniosku.

- Zawsze chętnie ci pomogę.

- Wiesz co - powiedział z iskierką w oczach - ona nie spotkała się z żadnym mężczyzną od waszego rozvodu. Może dlatego tak się zachowuje? - Paul wyraźnie się ożywił. Był przekonany, że właściwie odczytywał intencje teścia. - Twierdzi, że jest za bardzo zajęta, ale ja w to nie wierzę.

Były zięć nie połknął przynęty i siedział w milczeniu. Znów skierował wzrok na mapę. Po kilku chwilach się odezwał.

- Na TBS leci ciekawa audycja.

Paul sięgnął po pilota i włączył odbiornik.

Karol nie wspominał więcej o Rachel; przez całą audycję wpatrywał się w mapę. Kolor jasnozielony oznaczał kontur górskiego pasma Harzu, ciągnący się z północy na południe i później skręcający na wschód, gdzie nie istniała już granica dzieląca Niemcy na dwie części. Nazwy miast napisano czarnymi literami: Gótingen, Munden, Osterode, Wartburg, Stod. Brakowało oznaczeń jaskiń i tuneli, ale wiedział, że one tam są. Całe setki.

Gdzie znajdowała się ta właśnie jaskinia?

Trudno powiedzieć.

Czy Wayland McKoy znajdował się na właściwym tropie?

22.25

Paul wziął w ramiona śpiącą Marłę i delikatnie wniósł ją do domu. Za nimi szedł ziewający Brent. Paul zawsze wchodził do tego domu z dziwnym uczuciem. Dziesięć lat temu, tuż po ślubie, on i Rachel kupili ten dwukondygnacyjny ceglany budynek w stylu kolonialnym. Kiedy po siedmiu latach się rozwiedli, wyprowadził się z własnej woli. Tytuł własności wciąż opiewał na nich oboje i, co ciekawe, Rachel się upierała, żeby zatrzymał klucze. Ale korzystał z nich rzadko i wcześniej ją o tym uprzedzał, bowiem paragraf VII orzeczenia o rozwodzie przyznawał jej wyłączne prawo do korzystania z domu. On zaś nie chciał ograniczać jej wolności, nawet jeśli czasami myśl o tym sprawiała mu ból.

Wszedł po schodach na piętro i położył Marłę do łóżka.

Dzieci wykapały się w domu dziadka. Rozebrał ją i włożył jej piżamę we wzory z *Pięknej i bestii*. Dwa razy zabrał maluchy na filmy Disneya. Pocałował córkę na dobranoc i głaskał ją po głowie, dopóki nie zasnęła głęboko. Ucałował na dobranoc Brenta i zszedł na dół.

W salonie i kuchni panował nieporządek. Nic niezwykłego. Gospościa przychodziła dwa razy w tygodniu, gdyż Rachel nie należała do osób schludnych. To jedna z rzeczy, które ich różniły. On był zawsze akuratny. Nie frapujący, za to zdyscyplinowany. Bałagan go denerwował, nie mógł nic na to poradzić. Rachel najwyraźniej nie miała nic przeciw zostawianiu garderoby byle gdzie, rozrzuconym wszędzie zabawkom i stosom brudnych naczyń w zlewie.

Rachel Bates stanowiła dlań zagadkę od samego początku.

Inteligentna, bezkompromisowa, stanowcza, ale jednocześnie kusząca. Fakt, że ona również poczuła do niego pociąg, go zdziwił, gdyż związki z kobietami nie były jego silną stroną. W trakcie nauki w college'u miał kilka randek; był też romans podczas studiów prawniczych, który traktował poważnie, ale dopiero Rachel go usidliła. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego. Miała cięty język i była szorstka w obejściu; nieraz go zraniła, chociaż wiedział, że w dziewięćdziesięciu procentach nie myślała tego, co mówiła. A przynajmniej chciał w to wierzyć, by móc wybaczyć jej złośliwości. On był wyrozumiały. Nadmiernie wyrozumiały. Wydawało się mu, że prościej jest ją ignorować niż stawić jej czoło. Niekiedy jednak odnosił wrażenie, że ona pragnęła właśnie, by się jej odszczeknął.

Czy ją rozczarował, nie podejmując walki? Pozwalając, by zawsze była górą?

Trudno powiedzieć.

Poszedł na przód domu i usiłował zebrać myśli, ale tu znów dopadły go wspomnienia. Mahoniowy stół z blatem inkrustowanym skamieniałościami, wypatrzony na targu antyków podczas weekendowej giełdy w Chattanooga. Kremowo-piaskowa sofa, na której spędzili wiele wieczorów, oglądając telewizję. Szklany kredens z ekspozycją lilipucich domków, które kolekcjonowali oboje; wiele z nich stanowiło bożonarodzeniowe podarki, które wręczali sobie nawzajem. Nawet zapach przywodził wspomnienia. Ten szczególny zapach, którym zdawał się emanować każdy dom. Piżmowa woń życia, ich życia, przesiana przez sito czasu.

Przeszedł do korytarza i zauważył, że na ścianie wciąż wisi fotografia jego wraz z dziećmi. Zastanawiał się, jak wiele rozwiedzionych żon trzymało w centralnym punkcie domu zdjęcia swoich byłych formatu dziesięć na dwanaście. Oraz jak wiele z nich się upierało, by były mąż zatrzymał klucze od domu. On też nadal zarządzał w imieniu ich obojga wspólnymi inwestycjami.

Ciszę przerwało zgrzytanie kluczy w zamku drzwi frontowych.

Sekundę później do środka weszła Rachel.

- Jakież problemy z dziećmi? - zapytała.

- Najmniejszych.

Przyjrzał się opinającemu jej kibić czarnemu żakietowi z ozdobnymi szwami oraz wąskiej spódnicy kończącej się tuż nad kolanami. Długim, wysmukłym nogom w czółenkach na niskim obcasie. Jej kasztanowe włosy opadały falami i były równo przycięte, ledwo dotykając smukłych ramion.

Srebrne kolczyki z tygrysimi oczkami zwisały z obu uszu i podkreślały kolor jej oczu, które teraz sprawiały wrażenie zmęczonych.

- Przepraszam, że nie dotarłem na rozprawę o zmianę nazwiska - odezwał się. - Ale numer, który wycięłaś Nettlesowi, przeciągnął sprawy w sądzie testamentowym i powierniczym.

- Ten drań jest seksistą.

- A ty jesteś sędzią, Rachel nie zbawicielem świata. Nie mogłaś się zdobyć na odrobinę dyplomacji?

Rzuciła torebkę i klucze na boczny stolik. Jej oczy stały się harde, przypominały zimny marmur. Znał to spojrzenie.

- Co, twoim zdaniem, miałam zrobić? Ten tłusty sukinsyn rzucił mi na biurko trzy banknoty studolarowe i trzy razy powiedział, że mam się pierdolić. Zasłużył na spędzenie kilku godzin w pace.

- Czy zawsze musisz sobie coś udowadniać?

- To już nie twoja sprawa, Paul.

- Może nie moja. Ale masz przed sobą kampanię wyborczą. Dwóch poważnych konkurentów, a za sobą dopiero jedną kadencję. Nettles już mówi, że będzie wspierał twoich przeciwników. Na co zresztą może sobie pozwolić. Niepotrzebnie zrobiłaś sobie z niego wroga.

- Pieprzę Nettlesa.

Poprzednio Paul zajmował się zbiórką funduszy; do niego należało przygotowanie ogłoszeń, kontakty z ludźmi, którzy mogli przydać się w akcji pozyskiwania funduszy; przyciągał dziennikarzy i zabiegał o głosy. Zmysł organizacji nie był najsilniejszą stroną Rachel. Dotąd jednak nie zwróciła się do niego o pomoc i, prawdę mówiąc, nie spodziewała się tego.

- Możesz przegrać.

- Nie potrzebuję lekcji dyplomacji.

- A czego potrzebujesz, Rachel?

- Nie twój zafajdany interes. Jesteśmy po rozwodzie.

- Pamiętasz?

Przypomniał sobie słowa jej ojca.

- A ty pamiętasz? Nie jesteśmy razem od trzech lat.

- Czy od tego czasu choć raz umówiłaś się z kimś na randkę?

- To także nie twój zafajdany interes.

- Być może. Ale odnoszę wrażenie, że jestem jedyną osobą, która się tym martwi.

Podeszła bliżej.

- Co właściwie chcesz przez to powiedzieć?

- Królowa Lodu. Tak nazywają cię w sądzie.

- Wykonuję swój zawód. W ostatnich statystykach „Daily Report” otrzymałam najwyższe oceny spośród wszystkich sędziów w hrabstwie.

- I to wszystko, co cię obchodzi? Jak szybko schodzą sprawy z twojej wokandy?

- Sędziowie nie mogą pozwalać sobie na przyjaciół. Zaraz oskarżają ich o stronniczość albo darzą nienawiścią za brak podstaw do takich oskarżeń. Wolę już być Królową Lodu.

Było późno, a on nie miał najmniejszej ochoty na kłótnię.

Otarł się o nią, zmierzając w stronę drzwi.

- Pewnego dnia poczujesz potrzebę przyjaznej duszy. Na twoim miejscu nie palilibym za sobą wszystkich mostów.

Otworzył drzwi.

- Nie jesteś na moim miejscu - odparła.

-1 Bogu dzięki.

Wyszedł w mrok nocy.

PÓŁNOCNO-WSCHODNIE WŁOCHY ŚRODA, 7 MAJA, 1.34

Jednocześnieowy kombinezon koloru umbry, czarne skórzane rękawiczki oraz tenisówki barwy węgla drzewnego były niewidoczne w ciemnościach. Nawet jego krótko ostrzyżone włosy ufarbowane na kasztanowy kolor oraz brwi w tym samym odcieniu i opalenizna na nordyckiej twarzy, efekt dwóch ostatnich tygodni spędzonych na przeczesywaniu północnej Afryki, wtapiały się w tło.

Ze wszystkich stron otaczały go surowe szczyty; skalisty amfiteatr z ledwością odcinał się od smolistego nieba.

Po wschodniej stronie świecił księżyc w pełni. Wiosenny chłód utrzymywał się w powietrzu, które było świeże, rześkie. Górskie masywy odbijały echem groźny pomruk dalekiego grzmotu.

Liście i źdźbła traw tłumili odgłos jego kroków; pod wysokimi drzewami rosły z rzadka krzaki. Światło księżyca przebijało się przez ażurowy baldachim, oświetlając ścieżkę opalizującą barwami. Stawiał kroki ostrożnie; nie musiał wyciągać kieszonkowej latarki: miał bystre i czujne oczy.

Wioska Pont-Saint-Martin była oddalona o dziesięć kilometrów w kierunku południowym. Jediną drogą wiodącą na północ była wijąca się meandrami dwupasmowa szosa, czterdzieści kilometrów od austriackiej granicy, prowadząca dalej do Innsbrucka. Wynajęte wczoraj na lotnisku w Wenecji bmw pozostawił o kilometr stąd, ukryte w kępie drzew.

Po załatwieniu sprawy zamierzał pojechać do Innsbrucka, skąd o 8.35 samolot rejsowy Austriackich Linii Lotniczych błyskawicznie miał przenieść go do Sankt Petersburga. Tam musiał załatwić kilka spraw.

Wokół panowała cisza. Nie były dzwony ani nie dochodził warkot samochodów przemierzających autostradę. Szumiały wiekowe dęby, jodły oraz modrzewie zdobiące na przemian górskie stoki. Paprocie, mchy i dzikie kwiaty wyścielały kobiercem ciemne kotliny. Nic dziwnego, że Leonardo da Vinci wybrał Dolomity, by na ich tle namalować Monę Lisę.

Dotarł do skraju lasu. Przed nim rozciągała się porośnięta trawą łąka z kwitnącymi pomarańczowo kwiatami. W oddali przed sobą widział już zamek i wygiętą jak podkowa brukowaną drogę dojazdową. Budowla była piętrowa, a mury z czerwonej cegły ozdobione szarymi rombami. Przypominał sobie ich wygląd z czasu, kiedy był tu po raz pierwszy

przed dwoma miesiącami; nie wątpił, że ściany zostały postawione przez murarzy dziedziczących tajniki kielni i zaprawy z pokolenia na pokolenie.

W żadnym z blisko czterdziestu mansardowych okien nie paliło się światło. Dębowe wrota wejściowe również pograżone były w mroku. Zamku nie chronił żaden płot; nie było żadnych psów ani strażników. Ani alarmów. Ot, położona wysoko wiejska posiadłość we włoskich Alpach, własność pędzącego samotny żywot fabrykanta, który od dziesięciu lat przebywał na emeryturze.

Wiedział, że Piętro Caproni, właściciel zamku, sypiał na piętrze w jednym z pokoi położonych w pobliżu głównego apartamentu. Gospodarz mieszkał sam, nie licząc trójki służących, którzy dojeżdżali codziennie z Point-Saint-Martin.

Tego wieczoru Caproni postanowił się zabawić; przed frontem stał zaparkowany kremowy mercedes, którego silnik prawdopodobnie jeszcze nie ostygł po podróży z Wenecji. Jego gościem była jedna z najdroższych prostytutek. Przyjeżdżały tu od czasu do czasu na noc lub na weekend do człowieka, który bez zmrżenia oka sownie wynagradzał im w euro trudy podróży. Dzisiejsze odwiedziny Niemca zbiegły się nieprzypadkowo z wizytą ekskluzywnej prostytutki; miał nadzieję, że kobieta zaprzętnie bez reszty uwagę gospodarza, a jemu pozwoli nie tylko szybko wejść do środka, ale równie szybko opuścić progi zamku.

Kamyki zgrzytały pod jego stopami, gdy szedł podjazdem w kierunku północno-wschodniego narożnika. Ścieżka prowadziła przez elegancki ogród do werandy ogrodzonej płotkiem z kutego włoskiego żelaza. Przez podwójne drzwi wchodziło się do wnętrza budowli, ale wszystko było zamknięte na cztery spusty. Wyprostował prawą rękę i wyrzucił ją szybko do przodu. Z metalowego pierścienia wysunął się sztylet i zjechał na spód przedramienia; wysadzana nefrytami rękojeść sztyletu wylądowała miękko w jego dłoni, odzianej w rękawiczkę. Ta konstrukcja była jego własnym wynalazkiem i niezawodną bronią.

Zagłębił ostrze w drewnianej ościeżnicy. Jeden obrót i rygiel puścił. Schował sztylet do pochwy.

Wszedł, do komnaty ze sklepieniem beczkowym, potem delikatnie zamknął za sobą przeszklone drzwi. Podobały mu się neoklasycystyczne dekoracje, które otaczały go ze wszystkich stron. Przeciwległą ścianę ozdabiały dwie etruskie figurki z brązu, a nad nimi wisiał *Widok Pompei*: płótno, o którym wiedział, że było przedmiotem pożądania kolekcjonerów.

Para osiemnastowiecznych *bibliothèques* stała wtulona między dwie korynckie

kolumny, a ich półki ugięły się pod ciężarem bezcennych woluminów. Podczas pierwszej wizyty zauważył ekskluzywny egzemplarz *Storia d'Italia* Guicciardiniego oraz trzydziestotomowe wydanie *Teatro Francese*. Oba dzieła były zabytkami najwyższej klasy.

Omijał po omacku pogrążone w mroku meble; przeszedł między kolumnami, potem zatrzymał się w holu i w pobliżu schodów zaczął nasłuchiwać. Nie dobiegał go żaden odgłos.

Ruszył na palcach po marmurowej posadzce ozdobionej kolistymi wzorami, dokładając starań, by gumowe podeszwy nie ślizgały się z piskiem po marmurze. Panele ze sztucznego marmuru ozdobione były płótnami mistrzów szkoły neapolitańskiej. Belki nośne z kasztanowca podpierały strop, zawieszony jakieś dwa piętra nad jego głową.

Wkroczył do salonu.

Przedmiot, który stanowił cel jego eskapady, leżał sobie niewinnie na hebanowym stoliku. Puzderko na zapalki.

Dzieło Karola Gustawowicza Faberge. Wykonane ze srebra i złota, miało ścianki ozdobione splotami typu *guilloche* i pomalowane emalią w kolorze truskawkowoczerwonym. Złoty kołnierz udekorowany był girlandą z liści, natomiast dźwignię otwierającą wieko pokrywał kaboszon z oszlifowanego szafiru. Widniały na nim inicjały oraz data wygrawerowana cyrylicą: „M. R. 1901”. Mikołaj Romanow Mikołaj II. Ostatni car Rosji.

Z tylnej kieszeni wyciągnął filcowy woreczek i sięgnął po puzderko.

Nagle komnatę zalało światło; jaskrawe promienie odbijały się niezliczonymi refleksami w wiszącym nad jego głową kryształowym żyrandolu, raziły go w oczy. Zmrużył powieki i odwrócił wzrok. W łukowym wejściu prowadzącym na korytarz stał Piętro Caproni z pistoletem w prawej dłoni.

- *Buona sera, signor Knoll*. Zastanawiałem się, kiedy pan wróci.

Usiłując odzyskać ostrość widzenia, odpowiedział po włosku:

- Nie zdawałem sobie sprawy, że oczekuje pan mojej wizyty Caproni przestąpił próg salonu. Był mężczyzną niskiego wzrostu, z masywnym torsem i włosami nienaturalnie czarnymi jak na swoje pięćdziesiąt kilka lat. Miał na sobie granatowy szlafrok z bawełny frotte, przewiązany w pasie. Nogi były gołe, a stopy bosc.

- Pańska historyjka opowiedziana za pierwszym razem nie trzymała się kupy. Christian Knoll, historyk sztuki i członek akademii. Coś podobnego. Nie miałem żadnych problemów ze sprawdzeniem tego.

Jego oczy przystosowały się już do ostrego światła.

Sięgnął po puzderko na zapalki. Caproni wysunął pistolet do przodu. Cofnął się i podniósł ręce do góry w udawanym geście poddania.

- Pragnąłem jedynie dotknąć tego cudenka.
- Niech pan rusza przed siebie. Powoli.
- Podniósł maleńki skarb.

- Rosyjski rząd poszukiwał tego cacka od czasów drugiej wojny światowej. Było własnością Mikołaja II. Wykradzione z Peterhofu pod Leningradem gdzieś w 1944 roku; jakiś żołnierz zabrał je na pamiątkę służby na terenie Rosji. Ale jakaż to była pamiątka! Jedyna w swoim rodzaju. Na wolnym rynku warta teraz ze czterdzieści tysięcy dolarów. Jeśli ktoś okaże się tak głupi, by wystawić to na sprzedaż. Cenny łup. Myślę, że Rosjanie sowicie wynagrodziliby mnie za to cacko, prawda?

- Czyli jeśli uda się panu ująć z życiem tej nocy, puzderko bardzo szybko znajdzie się w rękach Rosjan?

Nocny gość się uśmiechnął.

- Rosjanie nie są lepsi od złodziei. Chcą odzyskać swoje skarby tylko po to, żeby je odsprzedać z zyskiem. Mają problemy z gotówką, jeśli dobrze słyszałem. Najwyraźniej płacą teraz za czasy komunizmu.

- To ciekawe. Co więc pana tu sprowadza?

- Fotografia tej komnaty, na której widoczne było także to puzderko na zapalki. Dlatego za pierwszym razem dotarłem tutaj, podając się za profesora historii sztuki.

- Zdołał pan potwierdzić autentyczność arcydzieła w czasie tej krótkiej wizyty sprzed dwóch miesięcy?

- Jestem ekspertem. Specjalizuję się zwłaszcza w wyrobach autorstwa Faberge - odparł, odstawiając puzderko. Powinien pan przyjąć moją ofertę.

- Stanowczo zbyt niska cena jak na tak „piękny łup”.

- Oprócz tego, ten przedmiot ma dla mnie wartość sentymentalną. Mój ojciec jako żołnierz zabrał sobie to na pamiątkę, jak był pan to łaskaw ująć.

- I przestał się pan kryć z posiadaniem tego przedmiotu?

- Doszedłem do przekonania, że po pięćdziesięciu latach nikt już go nie zdoła rozpoznać.

- Powinien pan uważniej dobierać gości i nie dać się fotografować.

Caproni wzruszył ramionami.

- Niewiele osób tu bywa.

- Tylko *signoriny*? Jak ta na górze?

- I żadna z nich nie interesuje się dziełami sztuki.
- Wyłącznie zapłatą w euro? -1 przyjemnością.

Uśmiechnął się i mimochodem ponownie wskazał palcem puzderko.

- Jest pan człowiekiem zamożnym, *signor* Caproni. Ten zamek jest prawdziwym muzeum. Gobelin z Aubusson na ścianie jest po prostu bezcenny. Dwa rzymskie *capriccios* zapewne także spędzają sen z oczu kolekcjonerom. Jak mniemam, to dzieła Hofa z dziewiętnastego stulecia?

- Doskonale, *signor* Knoll. Jestem pod wrażeniem.
- Zakładam, że liczy się pan z rozstaniem z tym puzderkiem.
- Nie przepadam za złodziejami, *signor* Knoll. Ponadto jak wspomniałem w trakcie pańskiej poprzedniej wizyty, ten przedmiot nie jest na sprzedaż - oznajmił Caproni, patrząc wymownie na pistolet. - Teraz musi pan opuścić mój zamek.

Gość jednak stał w miejscu, jakby nogi wrosły mu w ziemię.

- Cóż za dylemat! Z całą pewnością nie może pan mieszać w to policji. W końcu w pana rękach znajduje się arcydzieło sztuki rosyjskiej, którego zwrotu rosyjski rząd życzyłby sobie bardzo - zabytek zrabowany przez pańskiego ojca. Co jeszcze w tej budowlu podpada pod tę samą kategorię? Pojawilyby się pytania, wszczęto by dochodzenie, a sprawa nabrałaby rozgłosu. Pańscy przyjaciele w Rzymie nie na wiele by się zdali, gdyż wtedy potraktowano by pana jako zwykłego złodzieja.

- Na pańskie szczęście, *signor* Knoll, nie mogę skorzystać z pomocy władz.

Od niechcienia wyprostował ramię, potem nim szarpnął.

Ruch ten był niemal niewidoczny, częściowo przesłonięty przez jego udo. Obserwował nieruchomy wzrok Caproniego, utkwiony z puzderku, które trzymał w lewej dłoni. Sztylet uwolnił się z pochwy i powoli, centymetr po centymetrze, zsuwał się w dół, aż poczuł go w dłoni.

- Nie zamierza pan zastanowić się raz jeszcze, *signor* Caproni?
- W żadnym razie - odparł Caproni i wycofał się na korytarz, ponownie pokazując mu kierunek bronią. - Tędy, *signor* Knoll.

Zacisnął mocno palce na rękojeści. Szybki zamach i sztylet przemknął przez pomieszczenie, wbijając się w odkrytą szyję Caproniego, ponad wycięciem w serek między połami szlafroka. Starszy mężczyzna zachwiał się i spojrzał na rękojeść; potem upadł do przodu, a pistolet ze stukotem potoczył się po posadzce.

Szybko włożył puzderko do filcowego woreczka, potem stanął okrakiem nad zwłokami. Wyciągnął sztylet i sprawdził puls. Niewyczuwalny. Zdumiewające. Caproni zmarł od razu.

Tego właśnie się spodziewał.

Wytarł o szlafrok krew z ostrza, wsunął sztylet z powrotem do pochwy i ruszył schodami na piętro. Ściany w korytarzu były ozdobione panelami z alabastru, od czasu do czasu ustępującymi miejsca drzwiom, z których wszystkie były zamknięte. Szedł po posadzce lekkimi krokami i skierował się ku tylnej części zamku. Na końcu długiego korytarza znajdowały się półprzymknięte drzwi.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Nad wielkim łóżem wisiał baldachim wsparty na dwóch marmurowych kolumnach. Na nocnym stoliku stała lampka ze słabą żarówką; jej światło pochłaniały ścienne panele z kasztanowca oraz skóra. Nie ulegało wątpliwości, że była to sypialnia zamożnego człowieka.

Na brzegu łóżka siedziała naga kobieta. Długie, wyzywająco rude włosy tworzyły obramowanie spiczastych piersi oraz cudownych oczu w kształcie migdałów. Palila cienką cygaretkę ze złotym ustnikiem i obrzuciła go taksującym spojrzeniem.

- Kim pan jest? - zapytała spokojnie po włosku.
- Przyjacielem *signora* Caproni.

Przeszedł przez próg komnaty sypialnej i bez pośpiechu zamknął drzwi.

Dokończyła papierosa, wstała i podeszła do niego, demonstrując zgrabne nogi.

- Dość dziwny strój jak na przyjaciela. Przypomina pan raczej włamywacza.
- Ale pani wydaje się tym zbytnio nie przejmować.

Wzruszyła ramionami.

- Obcy mężczyźni to mój chleb powszedni. Każdy ma takie same potrzeby - odrzekła, lustrując go wzrokiem od stóp do głów. - Dostrzegam w pańskich oczach niesłychaną butę. Jest pan Niemcem, prawda?

Knoll nie odpowiedział.

Ujęła jego dłonie w rękawiczkach.

- Silne ręce.

Zbadła dłońmi tors i barki.

- Kupa mięśni.

Przysunęła się teraz blisko, ocierając się sterczącymi sutkami o jego klatkę piersiową.

- Gdzie jest *signor*?
- Coś go zatrzymało. Ale pozwolił mi nacieszyć się pani towarzystwem.

Spojrzała na niego; w jej oczach malowała się żądza.

- Czy pańskie walory dorównują posiadanym przez *signora*?

- Finansowe czy te inne? Uśmiechnęła się.
- Jedne i drugie.

Wziął prostytutkę w ramiona.

- Przekonajmy się.

SANKT PETERSBURG, ROSJA

10.50

Taksówka zatrzymała się gwałtownie; po chwili na ruchliwy Newski Prospekt wysiadł z niej; Knoll, wręczając szoferowi dwa banknoty dwudziestodolarowe. Zastanawiał się, co właściwie stało się z rublami. Niewiele zmieniło się na lepsze od czasu, gdy pieniądze tylko udawały pieniądze. Rosyjski rząd przed kilkoma laty oficjalnie zakazał używania amerykańskiej waluty pod rygorem więzienia, ale taksówkarz najwyraźniej nie przejmował się tym, otwarcie żądając dolarów. Wsunął je do kieszeni, zanim odjechał autem od krawężnika.

Samolot z Innsbrucka wylądował na lotnisku Pułkowo przed godziną. W nocy wysłał z jakiegoś austriackiego miasta paczkę z puzderkiem do Niemiec, dołączając informację o powodzeniu misji we Włoszech. Przed swoim powrotem do Niemiec miał do załatwienia ostatnie już zlecenie.

Na Newskim Prospekie było pełno ludzi i samochodów.

Spoglądał na zielone kopuły Soboru Kazańskiego po drugiej stronie ulicy, potem odwrócił wzrok i wpatrywał się badawczo w pozłocaną szpicę odległego gmachu Admiralicji na prawo, częściowo przesłoniętego poranną mgłą. Przywołał w wyobraźni dawny wygląd bulwaru, gdy sunęły nim jedynie konne zaprzęgi, a prostytutki nocą szlifowały bruk. Ciekawe, co Piotr Wielki pomyślałby teraz o swoim „oknie na Europę”. Domy towarowe, kina, restauracje, muzea, sklepy, galerie sztuki i kawiarnie ciągnęły się wzdłuż liczącego pięć kilometrów ruchliwego traktu. Roilo się tu od migotliwych neonów i wymyślnych kiosków, w których można było kupić niemal wszystko, od książek począwszy, a na lodach skończywszy. Obwieszczały one szybkie postępy kapitalizmu. Obwieszczały one szybkie postępy kapitalizmu, którego Sommerset Maugham określił kiedyś jako „obskurny, zapuszczony, rozpadający się”.

To już przeszłość, pomyślał.

Zmiany sprawiły, że mógł przyjechać nawet do Sankt Petersburga. Przywilej przeglądania dawnych sowieckich archiwów przyznano cudzoziemcom dopiero niedawno. W tym roku był tu już dwukrotnie; pierwszy raz przed sześcioma miesiącami, drugi raz - dwa miesiące temu; za każdym razem zjawiał się w tym samym archiwum w Sankt Petersburgu, w budynku, do którego wchodził dziś po raz trzeci.

Gmach liczył pięć pięter i miał fasadę z grubo ciosanych kamieni. Na parterze

znajdował się Bank Handlowy Sankt Petersburga; resztę pomieszczeń zajmował Aeroflot, narodowe linie lotnicze. Kondygnacje do trzeciej oraz piątą oddano do dyspozycji szacownym instytucjom państwowym: Wydziałowi Rejestracji Wiz i Obywateli Obcych Państw, Urzędowi Nadzoru Eksportu oraz lokalnym strukturom Ministerstwa Rolnictwa. Na czwartej mieściło się archiwum dawnych dokumentów, jedno z wielu rozrzuconych po całym kraju. Było to miejsce, w którym zgromadzono historię siedemdziesięciu pięciu lat komunizmu i w którym można było bezpiecznie je studiować.

Jelcyn udostępnił dokumenty Rosyjskiemu Komitetowi ds. Archiwów, dając tym samym sygnał uczonym, by propagowali jego poglądy przeciwne komunizmowi. Całkiem sprytnie, trzeba przyznać. Nie musiał przeprowadzać czystek w elitach władzy, nie musiał zapelniać łagrów ani pisać historii na nowo, jak czynili to przed nim Chruszczow czy Breżniew. Pozwolił po prostu historykom ujawnić sekrety niezliczonych okropieństw, grabieży i szpiegowskich afer, których szczegóły spoczywały pod tonami butwiejącego papieru i blaknącego atramentu przez całe dziesięciolecia. Opracowania sporządzone przez historyków okazały się znacznie skuteczniejsze niż propaganda na usługach reformowanego państwa.

Wspiął się na czwartą kondygnację czarnymi żelaznymi schodami. Były wąskie, w stylu sowieckim, co dla wtajemniczonych, takich jak on, oznaczało, że budynek wzniesiono już po rewolucji. Dzwoniąc wczoraj z Włoch, dowiedział się, że archiwum będzie dziś otwarte do godziny piątej po południu. Wcześniej odwiedził łącznie cztery archiwa w południowej Rosji. Ten obiekt był jedyny w swoim rodzaju, gdyż korzystającym ze zbiorów udostępniono fotokopiarkę.

Zdewastowane drzwi prowadziły do dusznego pomieszczenia, z którego ścian schodziła bladezielona farba - skutek braku wentylacji. Nie było tu sufitu; rury i przewody owinięte azbestem przeplatały się pod surowymi betonowymi płytami, stanowiącymi podłogę następnego piętra. Powietrze było chłodne i wilgotne. Osobliwe warunki, zważywszy, że przechowywano tu cenne dokumenty.

Szedł po zapiaszczonej posadzce w stronę samotnego biurka. Siedział za nim ten sam urzędnik z rozczochranymi brązowymi włosami i końską twarzą. Podczas poprzedniej wizyty doszedł do wniosku, że człowiek ten jest nowym typem rosyjskiego biurokraty, przesadnie usłużnego i skromnego. Typ rosyjski. Niewiele odbiegający od sowieckiego wcielenia.

- *Zdrawstwujtje* - powiedział na powitanie z szerokim uśmiechem.
- Dzień dobry - odparł urzędnik.

- Muszę przejrzeć pewne dokumenty.
- Knoll mówił po rosyjsku.
- Które?

Urzędas pytał z irytującym uśmiechem, który zapamiętał sprzed dwóch miesięcy.

- Jestem pewien, że pan mnie pamięta.
- Pańska twarz wydaje mi się znajoma. Chodzi o dokumentację komisji, prawda? Jego usłużność nie zmyliła przybysza.

- Tak. Dokumentacja komisji.
- Chce pan, żebym ją dla pana odnalazł?
- Nie. Wiem, gdzie jej szukać. Ale dziękuję za dobre chęci.

Przeprosił i zniknął wśród metalowych regałów, uginających się pod ciężarem butwiejących tekturowych pudeł.

Powietrze ciężkie było od kurzu i pleśni. Orientował się w tym chaosie otaczających go dokumentów, z których wiele trafiło tu z pobliskiego Ermitażu, zaś zdecydowana większość znalazła się w miejscowej siedzibie Rosyjskiej Akademii Nauk po pożarze, do którego doszło przed pięcioma laty.

Pamiętał dobrze tamto zdarzenie. „Czarnobyl naszej kultury” - pisała rosyjska prasa o tej tragedii. On jednak się zastanawiał, czy pożoga była dziełem przypadku. Wiele rzeczy w dawnym Związku Sowieckim miało tendencję do wygodnego znikania w odpowiednim momencie; w zreformowanej Rosji nie było pod tym względem lepiej.

Przeglądał skrupulatnie półki w poszukiwaniu dokumentów, starając się sobie przypomnieć, w którym miejscu zostawił je ostatnio. Przeszukanie całego archiwum zajęłoby z pewnością lata. Jednak w pamięć zapadły mu dwa charakterystyczne kartony. Poprzednim razem skończył się czas, który miał do dyspozycji, zanim zdążył się do nich dostać - archiwum zamknięto wcześniej z powodu Międzynarodowego Dnia Kobiet.

Odnalazł te pudła i zsunął je z półki, stawiając na jednym z dwóch wolnych drewnianych stołów. Każde pudło miało blisko metr sześcienny i było ciężkie; ważyły po dwadzieścia pięć, może nawet trzydzieści kilogramów. Urzędnik siedział za swoim biurkiem z przodu pomieszczenia. Nie upłynęło jednak wiele czasu, gdy wścibski głupiec podszedł do niego, by sprawdzić, które dokumenty interesowały gościa z zagranicy.

Na wierzchu obu pudeł widniał pisany cyrylicą napis: NADZWYCZAJNA PAŃSTWOWA KOMISJA DO SPRAW REJESTRACJI I BADANIA ZBRODNI DOKONANYCH PRZEZ NIEMIECKICH FASZYSTOWSKICH OKUPANTÓW I ICH SOJUSZNIKÓW NA OBYWATELACH, SPÓŁDZIELCZYCH GOSPODARSTWACH

ROLNYCH, ORGANIZACJACH UŻYTECZNOŚCI PUBLICZNEJ,
PRZEDSIĘBIORSTWACH PAŃSTWOWYCH ORAZ INSTYTUTACH PAŃSTWOWYCH
SOCJALISTYCZNEGO ZWIĄZKU REPUBLIK RADZIECKICH.

Knoll znał dobrze zakres działania komisji. Powołana do życia w 1942 roku w celu rozwiązywania spraw z okresu nazistowskiej okupacji, w końcu zajmowała się niemal wszystkim, od dochodzeń prowadzonych w obozach koncentracyjnych wyzwanych przez Armię Czerwoną po szacowanie wartości zabytków sztuki i kultury zrabowanych z radzieckich muzeów. U progu 1945 roku komisja wiodła prym w wysyłaniu tysięcy więźniów oraz osób podejrzanych o zdradę do łagrów i gułagów. Stała się jednym z instrumentów, za których pomocą Stalin utrzymywał kontrolę nad krajem. Pod sam koniec zatrudniała już tysiące ludzi, w tym także agentów, którzy przemierzali zachodnią Europę, północną Afrykę oraz Amerykę Południową w poszukiwaniu dzieł sztuki zrabowanych przez Niemców.

Przystawił metalowe krzesło i przystąpił do przeglądania zawartości pierwszego kartonu, kartka po kartce. Posuwał się do przodu powoli, ponieważ dokumentów było mnóstwo, w dodatku pisanych cyrylicą. Przez dwie godziny wytężonej pracy nie znalazł w pudle nic ciekawego; głównie były to podsumowania różnych śledztw i dochodzeń prowadzonych przez komisję. Mniej więcej w połowie natrafił na plik papierów dostarczonych przez agentów śledczych.

Akwizytorów takich jak on. Ale opłacanych przez Stalina i pracujących wyłącznie dla sowieckiego rządu.

Przeglądał po kolei każdy raport.

Wiele z nich odrzucał jako nieznaczące doniesienia o poszukiwaniach zakończonych niepowodzeniem oraz o podróżach, które nie przyniosły spodziewanego rezultatu. Kilka relacji powiadało o sukcesach, przy czym listy odnalezionych przedmiotów zapisano wytłuszczoną czcionką. *Place de la Concorde* Degasa. *Dwie siostry* Gaugina. Ostatni obraz Van Gogha *Biały dom w nocy*. Rozpoznawał nawet nazwiska niektórych agentów. Siergiej Telegin. Borys Żernow. Piotr Sabsal. Maksym Wołoszyn. W innych archiwach czytał podobne raporty sporządzone ich ręką. W pudle znajdowała się z górą setka sprawozdań; z pewnością wszystkie poszły w zapomnienie. Teraz mogły się przydać tylko tym nielicznym, którzy wciąż jeszcze kontynuowali poszukiwania.

Minęła kolejna godzina; urzędnik podchodził do niego w tym czasie trzykrotnie pod pozorem udzielenia pomocy.

Za każdym razem odrzucał jego ofertę, złoścąc w duchu i marząc, by ten irytujący

człowieczek zajął się swoimi sprawami. Tuż przed godziną piątą natrafił na notatkę przeznaczoną dla Mikołaja Szwernika, niezwykle lojalnego sługusa Stalina, który stał na czele Nadzwyczajnej Komisji. Ta kartka różniła się od pozostałych. Nie sporządzono jej na oficjalnym formularzu i nie ostemplowano. Była to odręczna notatka, nosząca datę 26 listopada 1946 roku; czarny atrament niemal zanikł na cienkim przebitkowym papierze.

Towarzyszu Szwernik,

Mam nadzieję, że ten raport zastanie Was w dobrym zdrowiu.

Pojechałem do Donnersberga, ale nie znalazłem tam żadnego manuskryptu Goethego. Dochodzenie, rzecz jasna dyskretne, ujawniło, że być może rękopisy zostały zabrane w listopadzie 1945 przez innych radzieckich śledczych. Sugeruję ponowne przejrzanie zasobów archiwum w Zagorsku. Wczoraj spotkał się ze mną Ucho. Poinformował mnie o działaniach Loringa. Wasze podejrzenia wydają się całkowicie słuszne. Kopalnie w Harzu były eksplorowane wielokrotnie przez różne ekipy robotników, ale nigdy nie korzystano z okolicznej siły roboczej. Wszyscy ci ludzie byli dowożeni i odwożeni przez Loringa.

Bursztynowa Komnata mogła zostać odnaleziona i wywieziona.

Na tym etapie nie można tego rozstrzygnąć definitywnie. Ucho sprawdza również dodatkowe tropy na terenie Czech i w przyszłym tygodniu złożą Wam meldunek bezpośredni.

Dania Czapajew

Do kartki przebitkowego papieru podpisane były dwa nowsze arkusze, fotokopie. Były to notatki służbowe struktur KGB z marca sprzed siedmiu lat. Dziwne, że znalazły się właśnie tu, podpisane do oryginalnego dokumentu starszego o całe pięćdziesiąt jeden lat. Pogrążył się w lekturze pierwszej ze skopiowanych notatek, napisanej cyrylicą na maszynie.

Potwierdzono, że Ucho to Karol Bona, funkcjonariusz komisji w latach 1946-1958. W 1958 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, uzyskując zezwolenie ówczesnych władz. Zmienił nazwisko na Karl Bates. Obecny adres: 959 Stokeswood Avenue, Atlanta.

Zaprzecza, by posiadał jakiegokolwiek informacje na temat Bursztynowej Komnaty po 1958 roku. Nie zdołaliśmy określić miejsca pobytu Dani Czapajewa. Boria utrzymuje, że nie zna adresu Czapajewa. Potrzebne nam instrukcje co do dalszego postępowania.

Nazwisko Dani Czapajewa obilo mu się o uszy już wcześniej. Poszukiwał starego Rosjanina przed pięcioma laty, ale nie zdołał go odnaleźć. Był to jedyny z agentów śledczych, który jeszcze żył i z którym jemu nie udało się porozmawiać.

Teraz trafił na ślad kolejnego. Karol Boria vel Karl Bates.

Dziwny ten jego przydomek. Rosjanie ubóstwiali kryptonimy Czy wynikało to z konieczności zachowania bezpieczeństwa? Trudno powiedzieć. Z pseudonimami takimi jak Wilk, Czarny Niedźwiedź, Orzeł czy Sokole Oko już się spotykał.

Ale Ucho? Był jedyny w swoim rodzaju.

Przeszedł do lektury drugiej kartki, kolejnej notatki służbowej KGB napisanej cyrylicą na maszynie. Zawierała więcej informacji na temat Karola Borii. Człowiek ten miał obecnie osiemdziesiąt jeden lat. Z zawodu był jubilerem, już emerytowanym. Jego żona umarła ponad ćwierć wieku temu. Miał córkę, mężatkę, która mieszkała w Atlancie w Georgii, oraz dwoje wnucząt. Informacje sprzed sześciu lat, zapewne nadal aktualne. Było to w każdym razie znacznie więcej niż on sam wiedział o Karolu Borii.

Ponownie przestudiował dokument z 1946 roku. Zwłaszcza fragment odnoszący się do Loringa. Niejednokrotnie widział to nazwisko, studiując archiwalne raporty. Tym razem jednak nie mogło chodzić o Ernsta Loringa. Był zbyt młody.

Chodziło raczej o jego ojca, Josefa. Coraz wyraźniej nasuwał mu się wniosek, że obydwaj Loringowie również zmierzali tym tropem. Jego podróż do Sankt Petersburga okazała się warta poniesionego trudu. Dwie bezpośrednie wzmianki o Bursztynowej Komnacie, co w sowieckich dokumentach było rzadkością; ponadto kilka dodatkowych informacji.

Oraz nowy trop.

Ucho.

- Czy skończy pan wkrótce?

Podniósł wzrok. Urzędnik stał nad nim. Zastanawiał się, od jak dawna, drań.

- Już po piątej - oznajmił mężczyzna.

- Nie zdawałem sobie sprawy. Za chwilę kończę.

- Wzrok urzędnika omiótł kartkę, którą trzymał w ręku;

starał się coś z niej wyczytać. Knoll nonszalancko rzucił dokument na stół. Rosjanina najwyraźniej zmylił jego gest, bo skierował się z powrotem w stronę biurka.

Ponownie podniósł papiery.

Interesujące, że KGB dopiero przed siedmioma laty podjęło poszukiwania dwójki byłych funkcjonariuszy Nadzwyczajnej Komisji. Sądził, że dochodzenie w sprawie Bursztynowej Komnaty zamknięto ostatecznie w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Tak przynajmniej podawano oficjalnie.

Napotkał jedynie kilka niepowiązanych ze sobą wzmianek o niej w latach osiemdziesiątych. Żadnej późniejszej notatki aż do dnia dzisiejszego. Rosjanie nie

rezygnowali, trzeba im to przyznać.

Właściwie nagroda tłumaczyła wszystko. On przecież też nie dał za wygraną. W ciągu ostatnich ośmiu lat szedł po śladach.

Rozmawiał ze starymi ludźmi, których pamięć zaczynała zawodzić i nie wykazywali wielkiej ochoty do mówienia. Borys Żernow, Piotr Sabsal, Maksym Wołoszyn. Agenci śledczy, którzy poszukiwali tego samego, co on. Jednak żaden z nich niczego nie wiedział. Może Karol Boria okaże się chętnym informatorem? Może doprowadzi go do Dani Czapajewa? Miał nadzieję, że obaj jeszcze żyją. Podróż do Stanów Zjednoczonych w celu sprawdzenia tego z pewnością go nie ominie. Był kiedyś w Atlancie. Podczas Igrzysk Olimpijskich. Pozostało mu niezatarte wrażenie, choć upału i wilgoci też nie dało się zapomnieć.

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu urzędnika. Wścibski człowieczek stał po drugiej stronie zawałonych papierami regałów, udając, że jest bardzo zajęty przekładaniem dokumentów. Knoll błyskawicznie złożył w pół trzy kartki papieru i wsunął je do kieszeni. Nie miał zamiaru pozostawić niczego, co mógłby odnaleźć ktoś inny tym zainteresowany. Odstawił oba kartony na półkę i ruszył w kierunku wyjścia. Urzędas czekał już przy otwartych drzwiach.

- Do widzenia - powiedział do nadzorcy archiwum po rosyjsku.
- Życzę panu miłego dnia.

Knoll wyszedł i natychmiast usłyszał za sobą zgrzyt przekręcanej w zamku klucza. Wyobraził sobie, że głupiec od razu usiadzie do sporządzenia relacji z jego wizyty; z pewnością otrzyma nagrodę za wykazaną czujność, która nadejdzie pocztą za kilka dni. Ale to bez znaczenia. Był zadowolony.

Nawet rozpierała go radość. Trafił na nowy ślad. Być może wreszcie coś konkretnego. Na początek. Niewykluczone, że nawet doprowadzi do odkrycia skarbu.

Tego skarbu.

Schodził na dół, a w uszach wciąż brzmiały słowa przeczytane w służbowej notatce.

„Bursztynowa Komnata.”

BURG HERZ, NIEMCY

19.54

Knoll spoglądał przez okno. Zajmowana przezeń sypialnia znajdowała się na samej górze w zachodniej wieży zamku.

Warowna budowla była własnością jego mocodawcy, Franza Fellnera. Budowlę odrestaurowano w dziewiętnastym stuleciu, ponieważ pierwotna twierdza została spalona i rozebrana do fundamentów przez Francuzów, którzy przeszli nawałnicą przez Niemcy w 1689 roku.

Burg Herz, czyli Zamek Serca. Ta nazwa była całkiem trafna, bowiem forteca usytuowana była niemal pośrodku zjednoczonych Niemiec. Ojciec Franza, Martin Fellner, przejął budowlę oraz otaczające lasy po pierwszej wojnie światowej; ich poprzedni posiadacz postawił na niewłaściwą kartę i wsparł Kaisera. Sypialnia Knolla, która od jedenastu lat była jego domem, służyła dawniej za pokój kamerdynera.

Obszerne pomieszczenie gwarantowało prywatność i wyposażone było nawet w łazienkę. Widok z okna rozpościerał się na wiele kilometrów i obejmował łąki, pokryte lasami wzgórza Rothaar oraz bagnistą rzekę Eder, wpływającą do Kassel od wschodu. Kamerdyner obsługiwał Fellnera seniora przez ostatnie dwadzieścia lat życia; zmarł w tydzień po zgonie swego chlebodawcy. Knolowi obila się o uszy pogłoska, że tych dwóch łączyło coś więcej niż pracodawcę i pracownika, ale nigdy nie przywiązywał zbyt dużej wagi do plotek.

Czuł się zmęczony. Ostatnie dwa miesiące bez wątpienia były wyczerpujące. Długa podróż do Afryki, potem eskapada przez Włochy i wreszcie Rosja. Przebył daleką drogę od czasów, gdy mieszkał w trzech pokojach w wieżowcu, trzydzieści kilometrów na północ od Monachium. To był jego dom przez pierwsze dziewiętnaście lat życia. Ojciec pracował w fabryce, matka była nauczycielką muzyki. Wspomnienia o matce zawsze go rozczulały. Z pochodzenia była Greczynką; ojciec poznał ją podczas wojny. Na imię miała Amara, co oznaczało „niegasnąca” i idealnie do niej pasowało. Po niej odziedziczył wyraźnie zarysowane brwi, prosty nos oraz nienasyconą ciekawość. Jej również zawdzięczał pasję zdobywania wiedzy.

Dała mu na imię Christian, gdyż była osobą głęboko i żarliwie wierzącą.

Ojciec uczynił z niego mężczyznę, ale ten zgorzkniały głupiec zaraził go również nienawiścią. Jakob Knoll walczył w armii Hitlera i był nieprzejednanym nazistą. Do końca

popierał Trzecią Rzeszę. Trudno było go pokochać, ale nie dało się też ignorować.

Knoll odwrócił się od okna i spojrzął na nocny stolik obok łóżka z baldachimem.

Na blacie leżał egzemplarz książki *Kaci Hitlera*. Przyciągnęła jego uwagę przed dwoma miesiącami. Była to jedna z opublikowanych ostatnio książek poświęconych psychozie narodu niemieckiego w trakcie wojny. Jak doszło do tego, że tak wielu pozwoliło tak nielicznym na tak ogromne barbarzyństwo? Udzielenie odpowiedzi odnoszącej się do wszystkich było trudne. Jednak jego ojciec należał niewątpliwie do tych, którzy dawali swoje przyzwolenie. Nienawiść to był jego narkotyk. Często cytował Hitlera: „Podążam drogą, którą wytycza Opatrzność, z nieomylnością somnambulika”.

Dokładnie to czynił Hitler aż do chwili upadku. Jakob Knoll zmarł przepełniony goryczą dwanaście lat po tym, jak Amarę zabiła cukrzyca.

Knoll miał osiemnaście lat, kiedy został zupełnie sam; ale wtedy właśnie jego graniczący z geniuszem iloraz inteligencji przyniósł mu stypendium Uniwersytetu Monachijskiego.

Nauki humanistyczne interesowały go zawsze i na ostatnim roku studiów zdobył kolejne stypendium, tym razem Uniwersytetu w Cambridge, na wydziale historii sztuki. Przypomniawszy sobie z rozbawieniem lato, kiedy to utrzymywał dość bliskie stosunki z sympatykami neonazistów. W tamtym czasie ludzie ci nie zabiegali o taki rozgłos jak obecnie; byli wyjęci spod prawa przez niemiecki rząd. Jednak ich pogardliwe spojrzenie na resztę świata go nie interesowało. Ani wtedy, ani teraz.

Obca mu też była nienawiść. I jedno, i drugie nie przynosiło korzyści i utrudniało drogę do celu.

Zwłaszcza gdy się przekonał, jak bardzo namiętne są kolorowe kobiety.

W Cambridge spędził tylko rok; potem zrezygnował i zatrudnił się w firmie ubezpieczeniowej Nordstern Fine Art Insurance Limited w Londynie jako specjalista szacujący szkody. Szybko wyrobił sobie markę, ponieważ udało mu się odzyskać płótno flamandzkiego mistrza uznane za bezpowrotnie utracone. Złodzieje zadzwonili, żądając okupu w wysokości dwudziestu milionów funtów; w przeciwnym razie grozili spalaniem płótna. Wciąż miał w oczach zszokowane twarze swoich przełożonych, kiedy stanowczo poradził złodziejom, by wrzucili obraz do ognia. Nie uczynili tego oczywiście. Wiedział, że tego nie zrobią. Po miesiącu przyłapał zdesperowanych sprawców, jak usiłovali sprzedać zrabowane trofeum okradzionemu właścicielowi.

Kolejne sukcesy przyszły równie łatwo.

Odnalezione płótna starych mistrzów, warte trzysta milionów dolarów, skradzione z

muzeum w Bostonie. Obraz Jeana-Baptiste'a Oudryego, wyceniony na dwanaście milionów dolarów, wykradzony ze zbiorów prywatnego kolekcjonera w północnej Anglii. Dwa wspaniałe dzieła Turnera, podwędzone z Tatę Gallery w Londynie i odnalezione w rozpadającym się paryskim mieszkaniu.

Franza Fellnera poznał przed jedenastu laty, kiedy firma Nordstern obarczyła go misją zinwentaryzowania zbiorów bogatego Niemca. Jak każdy zapobiegliwy kolekcjoner, Fellner ubezpieczył oficjalnie posiadane arcydzieła - te, które co jakiś czas pojawiały się na fotografiach w amerykańskich lub europejskich magazynach poświęconych sztuce. Zyskiwał w ten sposób rozgłos i handlarze z czarnego rynku zwracali się do niego z ofertami sprzedaży naprawdę bezcennych skarbów. Fellner nakłonił go do odejścia z Nordstern, oferując hojne wynagrodzenie, mieszkanie w Burg Herz oraz emocje związane z wykradaniem wcześniej ukradzionych największych dokonań gatunku ludzkiego. Potrafił wywęszyć zdobycz.

Ogromną satysfakcję sprawiało mu odnalezienie tego, co inni z całych sił starali się ukryć. Kobiety, które napotykał na swej drodze, były ponętne i kuszące. Jednak szczególnie ekscytowało go zabijanie. Czy była to cecha odziedziczona po ojcu? Trudno powiedzieć. Może jednak choroba psychiczna? Albo deprawacja? Czy przejmował się tym? Nie. Takie życie przynosiło mu satysfakcję.

Niewypowiedzianą satysfakcję.

Wszedł do łazienki. Okno w toalecie było uchylone; chłodne wieczorne powietrze wysuszyło już kropelki wody na glazurze, które osiadły na niej, gdy wcześniej brał prysznic.

Obserwował badawczo własne odbicie w lustrze. Brązowa farba, której używał przez kilka ostatnich tygodni, niemal znikła; znów był blondynem. Nieczęsto uciekał się do charakteryzacji, ale w pewnych okolicznościach zmiana wyglądu wydawała mu się nieodzowna. Podczas kąpieli się ogolił; jego opalona cera była teraz gładka i czysta. Spojrzenie pewne siebie świadczyło, że to człowiek zdecydowany i stanowczy.

Pokropił kark odrobiną wody kolońskiej i osuszył skórę ręcznikiem; następnie przywdział smoking.

Zadzwoił telefon stojący na nocnym stoliku. Przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę, zanim rozległ się trzeci dzwonek.

- Czekam - odezwał się kobiecy głos.
- Czy cierpliwość nie jest jedną z twoich cnót?
- W żadnym wypadku.
- Już wychodzę.

Knoll zszedł na dół po spiralnych schodach. Wąska kamienna droga wiała się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zgodnie ze średniowiecznym projektem; wymuszało to na praworęcznych wojach wspięcie się na środkową wieżę podczas walki z obrońcami twierdzy. Zespół zamkowy był ogromny. Osiem potężnych baszt z muru pruskiego kryło w sobie ponad sto pomieszczeń. Słupki okienne oraz lukarny ożywiały zewnętrzne ściany oraz zapewniały cudowne widoki na położone dookoła porośnięte lasami kotliny. Wieże rozlokowano na planie ośmiokąta w taki sposób, że wewnątrz powstał okazały dziedziniec. Cztery korytarze łączyły ze sobą wieże; każda z baszt zwieńczona była strzelistym dachem z płytek łupkowych, które przetrwały niejedną srogą niemiecką zimą.

Pokonawszy schody, przeszedł przez kilka korytarzy i wszedł do kaplicy. Nad głową miał sklepienie beczkowe.

Oparte lub zawieszane na ścianach topory, włócznie, piki, hełmy z przyłbicą oraz kolczugi - to kolekcjonerskie białe kruki. Jego zasługą było pozyskanie zbroi rycerza mierzącego bez mała dwa metry, którą zdobył od pewnej kobiety z Luksemburga. Na ścianach wisały też oryginalne flamandzkie gobeliny. Miękkie światło nie padało na nie bezpośrednio.

W pomieszczeniu było ciepło i sucho.

Drzwi zwieńczone łukiem na przeciwnym końcu wychodziły na krużganek. Wyszedł na zewnątrz i ruszył pod wiatą w kierunku kolumnowych drzwi. Trzy kamienne oblicza wyrzeźbione w zamkowej fasadzie śledziły jego kroki.

Stanowiły pozostałość po oryginalnej siedemnastowiecznej budowli; kim byli ci ludzie, nie wiadomo; jedna z legend głosiła, że to mistrza mularskiego i dwóch jego pomocników zabito i wmurowano w kamienne ściany, żeby nigdy już nie wznieśli podobnej budowli.

Zbliżył się do kaplicy Św. Tomasza. Interesująca nazwa, gdyż było to nie tylko imię augustyńskiego mnicha, który przed siedmioma wiekami założył w pobliżu klasztor, ale jednocześnie imię, które otrzymał podczas chrztu kamerdyner starego Martina Fellnera.

Popchnął ciężkie dębowe drzwi.

Stała w środkowej nawie, tuż za połączoną kratą oddzielającą przedsionek od sześciu dębowych ławek. Zapalone lampy oświetlały czarno-złoty rokokowy ołtarz, pogrążając ją w cieniu. Szyby ze szkła butelkowego oraz wole oczy ulokowane po lewej i po prawej stronie były ciemne. Witrażowe herby zamkowych rycerzy wylaniały się z mroku, nie wywołując specjalnego wrażenia, dopóki nie wpadło w nie poranne słońce. W kaplicy rzadko odbywano modły. Obecnie służyła jako sala wystawowa, w której eksponowano głównie połączane relikwiarze - część kolekcji Fellnera, zaliczanej do najbogatszych na świecie i z

powodzeniem konkurującej z większością europejskich katedr.

Uśmiechnął się do swej mocodawczyni.

Monika miała trzydzieści cztery lata i była starszą córką Fellnera. Jej wysoką i wysmukłą figurę pokrywała śniada skóra odziedziczona po matce, kobiecie pochodzącej z Libanu, którą jej ojciec pokochał namiętnie przed czterdziestoma laty. Jednak stary Martin Fellner nie był zbyt zachwycony wyborem syna i w końcu wymusił na nim rozwód, odsyłając byłą synową z powrotem do Libanu. Nie pozwolił jej jednak zabrać dwojga dzieci, które zostały na miejscu.

Często zastanawiał go chłód Moniki, jej wyrachowanie, dystans - ten stosunek do życia przypisywał pozbawieniu matczynej opieki. Nie była to jednak postawa, której by sobie życzył. Stała teraz przed nim, dumna jak zawsze, z ciemnymi, kręconymi włosami opadającymi bezładnie. Niewyraźny uśmieszek igrał w kącikach jej ust. Miała na sobie brązowo-szary żakiet z brokatu oraz wąską spódnicę, której rozcięcie z boku sięgało do samej góry smukłego i jędrnego uda. Była jedyną spadkobierczynią fortuny Fellnera. Jej imię oznaczało „oddana Bogu”. Można było o niej powiedzieć wiele, tylko nie to.

- Zamknij drzwi - odezwała się.

Zasunął rygiel.

Ruszyła dumnie w jego stronę, stukając głośno wysokimi obcasami o starą marmurową posadzkę. Spotkali się w otwartej furcie. Pod ich stopami znajdował się grobowiec jej dziadka; na marmurze widniał wyryty napis: MARTIN FELLNER 1868-1941. W testamencie stary człowiek wyraził życzenie, by pochowano go w zamku, który tak bardzo ukochał. Małżonka została pochowana gdzie indziej. Obok Martina złożono po śmierci jego kamerdynera, o czym świadczył kolejny napis na marmurowej płycie.

Zauważyła jego wzrok wbity w posadzkę.

- Biedny dziadek. Wykazywał tyle siły w interesach, a był taki słaby duchem. Los pedzia w tamtych czasach musiał być prawdziwą udręką.

- Może to dziedziczne?

- Wątpię. Chociaż muszę przyznać, że kobiety wydają mi się niekiedy interesujące.

- Twój ojciec, słysząc to, nie byłby zachwycony.

- Nie sądzę, żeby się tym przejmował. Jest zdenerwowany z twojego powodu. Ma u siebie egzemplarz dziennika rzymskiego. Na tytułowej stronie znajduje się reportaż o śmierci Piętro Caproniego.

- Ale ma swoje puzderko na zapalki.

- Uśmiechnęła się.

- Uważasz, że sukces usprawiedliwia wszystko?
- Uznałem to za najbezpieczniejsze dla mnie.
- We wczorajszym raporcie nie wspominałeś o Capronim.
- To detal; nie wydawał mi się istotny.
- Tylko ktoś taki jak ty może stwierdzić, że nóż w gardle jest czymś nieistotnym. Ojciec

chce z tobą rozmawiać.

Czeka na ciebie.

- Tak sądziłem.
- Nie wydajesz się tym zmartwiony.
- A powinienem być? Spojrzała mu prosto w oczy.
- Jesteś twardym skurwielem, Christianie.

Wiedział, że ona nie ma dystygowanych manier ojca, ale w dwóch sprawach byli do siebie bardzo podobni - zarówno Monika, jak i Fellner kierowali się zimnym wyrachowaniem oraz determinacją w dążeniu do celu. Gazety regularnie donosiły o jej związkach z mężczyznami, których zmieniała niczym rękawiczki, w oczekiwaniu, że ktoś w końcu ją zdominuje i zgarnie fortunę; on jednak wiedział, że nikt i nigdy nie zdoła jej poskromić. Fellner w ciągu kilku ostatnich lat usiłował ją wyswatać, jednocześnie przygotowując do przejęcia jego imperium kolekcjonerskiego. Tego dnia z pewnością należało się spodziewać w bardzo niedalekiej przyszłości.

Wykształcenie zdobywała za granicą, w Anglii oraz Stanach Zjednoczonych, co tylko wyostrzyło jej język i arogancję. To, że była bezwstydnie bogata i rozpieszczana od dziecka, również zaważyło na jej osobowości.

Wyciągnęła dłoń i obmacała rękaw jego prawej ręki.

- Nie masz dziś sztyletu?
- Czy będę go potrzebował? Otarła się o niego.
- Potrafię być niebezpieczna.

Objęła go. Przywarli do siebie ustami; z wyraźnym podnieceniem penetrowała językiem jego policzki od wewnątrz.

Lubił jej smak i rozkoszował się pożądaniem, którego wcale nie kryła. Kiedy miała dość, ugryzła go mocno w dolną wargę.

Poczuł smak krwi.

- Istotnie, potrafisz - odparł i przyłożył chusteczkę do krwawiącej wargi.

Sięgnęła ręką do suwaka jego spodni i rozsunęła go.

- Czy nie mówiłaś przypadkiem, że *Herr* Fellner czeka?

- Mamy sporo czasu.

Pociągnęła go na kamienną posadzkę, dokładnie nad grobowcem dziadka.

- Specjalnie nie włożyłam bielizny.

Knoll szedł za Moniką w poprzek dolnej kondygnacji zamku do sali, w której mieściła się kolekcja. Pomieszczenie znajdowało się w centralnej części baszty północno-zachodniej i było podzielone na salę oficjalną, w której Fellner eksponował najznamienitsze posiadane legalnie eksponaty, oraz na sekretną komnatę, do której mogli wejść wyłącznie oni - Knoll, Fellner oraz Monika.

Weszli do części ogólnie dostępnej i Monika zamknęła ciężkie drewniane drzwi. Oświetlone gabloty stały w równych rzędach, niczym żołnierze na baczność, a w nich znajdowało się mnóstwo drogocennych przedmiotów. Malowidła oraz gobeliny wisiały na ścianach. Sufit zdobiły freski, ilustrujące, jak Mojżesz przekazywał Żydom przykazania, wznoszono wieżę Babel oraz pracowano nad tłumaczeniem najstarszej greckiej wersji Starego Testamentu, zwanej *Sqtuagintą*.

Prywatny gabinet Fellnera znajdował się za północną ścianą. Wkroczyli do środka; potem Monika przeszła na ukos do regałów z książkami w ciężkim barokowym stylu - wykonanych bez wyjątku z inkrustowanego dębu i połączanych.

Wiedział, że wszystkie woluminy są białymi krukami. Fellner kochał książki. Pochodzące z dziewiątego wieku dzieło Bedy Czcigodnego, zwanego po łacinie *Venerabilisem*, było najstarszą i najcenniejszą pozycją tego księgozbioru. Szczęście uśmiechnęło się do Knolla przed paroma laty - nie tylko zdołał odnaleźć skrytkę w pewnym francuskim probostwie, ale nie natrafił także na opory księdza, który ochoczo przekazał mu woluminy w zamian za skromny datek, częściowo na kościół, a częściowo wprost do własnej kieszeni.

Monika wyciągnęła z kieszeni żakietu czarnego pilota i nacisnęła guzik. Środkowy regał zaczął obracać się powoli wokół osi. Za nim widoczne było białe światło. Franz Fellner stał pośrodku niskiej sali bez okien, która była w istocie galerią, sprytnie ukrytą w miejscu, gdzie schodziły się ze sobą dwa duże korytarze. Podłużna komnata z wysokim, spadzistym sufitem wypełniona była licznymi architektonicznymi skrytkami. Grube ściany z kamienia nie przepuszczały dźwięków, a specjalne urządzenie filtrowało powietrze.

Ustawione rzędami stały tu kolejne wystawowe gabloty, z których każda oświetlona była rozmieszczonymi z rozmysłem lampkami halogenowymi. Knoll lawirował między witrynami, w których eksponowano co najmniej kilka zdobytych przezeń skarbów. Nefrytową rzeźbę ukradł z prywatnej kolekcji w Meksyku (co zresztą nie przysporzyło mu kłopotu, gdyż rzekomy właściciel w ten sam sposób wszedł w jej posiadanie w muzeum w

Jalapa City). Liczne stare figurki afrykańskie, eskimoskie oraz japońskie, które zabrał z pewnego mieszkania w Belgii, stanowiły wojenną zdobycz i uznano je za utracone. Szczególną dumą napawała go rzeźba Gauguina, ustawiona po lewej stronie - prawdziwe чудо, które wyrwał z rąk paryskiego złodzieja.

Ściany zawieszono były obrazami. Autoportret Picassa.

Święta Rodzina pędzla Corregia. *Portret damy* Botticellego.

Portret Maksymiliana I Dürera - same oryginały. Uważane za stracone bezpowrotnie.

Między obrazami wisały dwa ogromne gobeliny zrabowane podczas wojny przez Hermanna Göringa, odzyskane od ich rzekomego właściciela przeszło dwadzieścia lat temu i do dziś gorączkowo poszukiwane przez rząd Austrii.

Fellner stał obok szklanej gabloty z mozaiką przedstawiającą papieża Aleksandra IV Knoll wiedział, że to jedno z ulubionych dzieł starego kolekcjonera. Za nim znajdowało się miejsce, w którym spoczęło puzderko na zapalki, dzieło Faberge. Małe lampka halogenowa oświetlała truskawkowoczerwoną emalię. Fellner najwyraźniej wypolerował już to cudeńko. Knoll wiedział, że jego pryncypał z pasją dbał o każdy eksponat, jak i chronił je przed niepożądanymi oczami.

Ojciec Moniki był szczupłym mężczyzną o pooranej zmarszczkami, ziemistej cerze. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Za okularami w drucianych oprawkach czaiły się nieufne oczy. Z całą pewnością, Knoll często o tym myślał, kryło się w nich kiedyś spojrzenie idealisty. Teraz jednak były to pozbawione wyrazu oczy mężczyzny dobiegającego osiemdziesiątki, który zbudował imperium medialne, złożone z czasopism, dzienników, rozgłośni radiowych i stacji telewizyjnych, ale którego przestało interesować robienie pieniędzy, gdy na koncie odnotował miliardy dolarów. Żadna rywalizacji natura ukierunkowała się na zainteresowania bardziej osobiste. Na działania, które ludziom z wielkimi pieniędzmi oraz nieprawdopodobnym tupetem przynosiły bardzo wiele satysfakcji.

Fellner otworzył egzemplarz „International Daily News”, który leżał na wystawowej gablocie, i podetknął mu pod nos.

- Zechcesz mi łaskawie powiedzieć, dlaczego to było nieodzowne?

Knoll był świadom, że dziennik był jednym z tytułów należących do korporacji Fellnera oraz że w komputerze umieszczonym w przyległym gabinecie codziennie przeglądał gazety z całego świata. Śmierć zamożnego włoskiego przemysłowca była z pewnością zdarzeniem, które przyciągnęło uwagę starego człowieka. Pod artykułem zamieszczono notkę biograficzną.

Pietro Caproni, lat 58, założyciel firmy Due Mori Industries, został wczoraj znaleziony w swej posiadłości w północnych Włoszech ze śmiertelną raną zadaną nożem. Zasztyletowana została również Carmela Terza, lat 27, mieszkanka Wenecji, co stwierdzono na podstawie identyfikacji zwłok. Policja znalazła ślady wtargnięcia do posiadłości na drzwiach usytuowanych na parterze, ale dotąd nie wiadomo, czy coś z zamku zginęło. Caproni wycofał się z zarządzania Due Mori, kartelem, który pod jego kierownictwem stał się największym we Włoszech producentem wełny i ceramiki. Pozostał jednym z głównych akcjonariuszy i konsultantów firmy. Jego śmierć to dla przedsiębiorstwa niepowetowana strata.

Fellner przerwał czytanie.

- Rozmawialiśmy o tym wcześniej. Prosiłem, byś swoim upodobaniom dawał upust wyłącznie na własny rachunek.

- To było konieczne, *Herr* Fellner.

- Zabójstwo nigdy nie jest konieczne, jeśli wykonujesz robotę właściwie.

Knoll spojrział na Monikę; obserwowała tę scenę z wyraźnym rozbawieniem.

- *Signor* Caproni zjawiał się zniemacka podczas mojej wizyty. Prawdę mówiąc, on mnie oczekiwał. Wzbudziłem w nim podejrzenia podczas pierwszej wizyty. Odbytej zresztą, jak pan zapewne pamięta, na pańskie stanowcze życzenie.

Fellner w lot pojął aluzję. Jego twarz natychmiast złagodniała. Knoll znał swego mocodawcę jak nikt.

- *Signor* Caproni nie chciał pozbyć się puzderka na zapalki.

- Postanowiłem mu je odebrać. Alternatywą było opuszczenie jego posiadłości bez niczego i ryzyko zdemaskowania.

- *Signor* nie dał ci możliwości oddalenia się? Przecież, tak czy owak, nie mógł wezwać policji.

Uznał, że drobne kłamstewko będzie lepsze niż szczere wyznanie.

- Mówiąc szczerze, Caproni mierzył do mnie z pistoletu.

- Był uzbrojony.

- W gazecie nic o tym nie piszą - zdziwił się Fellner.

- Jeszcze jeden dowód, że prasa nie jest wiarygodna.

- A ta dziwka? - zapytała Monika. - Ona też była uzbrojona?

Odwrócił się w jej stronę.

- Nie wiedziałem, że darzysz sympatią kobiety tak ciężko pracujące na życie. Przyjąłem, że była świadoma ryzyka, godząc się na zawarcie bliższej znajomości z człowiekiem takim

jak Caproni.

Monika podeszła bliżej.

- Wypieprzyłeś ją?
- Oczywiście.

Jej oczy płonęły pożądaniem. Nie odezwała się jednak ani słowem. Zazdrość w jej wykonaniu wydawała się równie zabawna, co zaskakująca. Fellner przerwał narastające napięcie, jak zawsze gotów na kompromis.

- Christianie, odzyskałeś puzderko. Doceniam to. Jednak zabójstwo przyciąga uwagę. A to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzymy. Zawsze mogą cię zidentyfikować na podstawie próbki DNA twojej spermy... I co wtedy?

- Tam było tylko nasienie *signora*. Moje trafiło do jej żołądka.
- Co z odciskami palców?
- Byłem w rękawiczkach.
- Rozumiem, że zachowałeś ostrożność. Za to jestem ci wdzięczny. Ale człowiek tak jak ja stary pragnąłby przekazać własnej córce to, co udało mu się zgromadzić. Nie życzę sobie, aby którykolwiek z nas znalazł się za kratkami. Czy wyrażam się jasno?

Fellner wyglądał na rozdrażnionego. Knoll najbardziej nie znosił, kiedy pryncypał czuł się rozczarowany. Był dla niego dobry, szczerze dzielił się z nim bogactwem, które gromadził z ogromną pieczołowitością. Pod wieloma względami bardziej się o niego troszczył niż kiedykolwiek Jakob Knoll.

Za to Monika w niczym nie przypominała siostry.

Zauważył jej spojrzenie. Rozmowa o seksie i śmierci z pewnością ją podnieciła. Był niemal pewien, że jeszcze tego samego dnia wieczorem odwiedzi jego samotnię.

- Co udało ci się znaleźć w Sankt Petersburgu? - zapytał w końcu Fellner.

Zdał relację o zapiskach, w których była mowa Bursztynowej Komnacie; potem pokazał kartki wykradzione z archiwum.

- To interesujące - stwierdził - że Rosjanie wciąż prowadzą poszukiwania, nawet w ostatnich czasach. Ten Karol Boria, ten... jak mu tam, Ucho, to nowa postać.

- Ucho? - Fellner wymówił pseudonim nienagannie po rosyjsku. - Dziwaczne przezwisko.

Knoll przytaknął.

- Moim zdaniem, podróż do Atlanty jest warta zachodu.
- Być może Ucho nadal żyje. Niewykluczone, że wie, gdzie przebywa Czapajew. A to jedyny z agentów śledczych, którego nie udało mi się odnaleźć przed pięcioma laty.

- Wzmianka na temat Loringa też potwierdza przypuszczenie, że jesteśmy na właściwym tropie - dodał starszy pan. - Nie po raz pierwszy natknąłeś się na jego nazwisko.

- Sowieci byli najwyraźniej żywotnie zainteresowani poczynaniami Loringa.

Knoll znał dobrze historię Loringów. Ich rodzina zdominowała wschodnioeuropejski rynek stali oraz broni. Ernst Loring był najgroźniejszym rywalem Fellnera na rynku kolekcjonerskim. Był Czechem, synem Josefa Loringa, od młodości wychowywanym na paniczka, i uważał się za lepszego od innych. Podobnie jak Piętro Caproni, bez skrupułów i pardonu dążył do wyznaczonego celu.

- Josefa cechowała niezwykła determinacja. Ernst, niestety, nie odziedziczył charakteru po ojcu. Wciąż mnie zadziwia - wyznał Fellner. - Ale tej jego kordialności w stosunku do mnie zupełnie nie potrafię zaakceptować, choć jemu wydaje się ona na miejscu. - Fellner zwrócił się do córki: - Jak sądzisz, kochanie? Czy Christian powinien wybrać się do Ameryki?

Twarz Moniki była nieprzenikniona. W takich momentach stawała się bardzo podobna do ojca. Pełna rezerwy.

Tajemnicza. Z całą pewnością w przyszłości godnie zastąpi rodzica.

- Chcę mieć Bursztynową Komnatę.

- Ja również pragnę jej dla ciebie, kochanie. Poszukuję jej od czterdziestu lat. Ale dotąd bezskutecznie. Żadnego śladu. Nie mogę pojąć, jak tony bursztynu mogły po prostu zniknąć - wyznał Fellner i zwrócił się do niego. - Ruszaj do Atlanty, Christianie. Odnajdź Karola Borię, tego Ucho.

- Przekonaj się, co on wie.

- Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli Boria już nie żyje, nasz trop się tu urywa? Sprawdziłem zawartość archiwów w Rosji. Jedyne w Sankt Petersburgu były informacje warte uwagi. - Fellner skinął głową. - Urzędnik w petersburskim archiwum z pewnością jest przez kogoś opłacany. Znowu wykazał się czujnością i wścibstwem. Dlatego właśnie zabrałem te kartki.

- Co było bardzo rozsądne. Jestem pewien, że Loring i ja nie jesteśmy jedynymi ludźmi zainteresowanymi Bursztynową Komnatą. Cóż to byłoby za znalezisko, Christianie! Chciałbym niemal powiedzieć o nim całemu światu.

- Niemal. Bo rosyjski rząd natychmiast wystąpiłby z żądaniem zwrotu, a gdybyśmy znaleźli ją tutaj, Niemcy z pewnością dążyliby do jej skonfiskowania. Komnata to doskonała karta przetargowa w negocjacjach dotyczących zwrotu skarbów zagrabionych i

wywiezionych przez Sowietów.

- Dlatego właśnie musimy ją znaleźć - stwierdził Fellner.
- Wymienili spojrzenia.
- Że nie wspomnę o premii, którą mi pan obiecał.
- Starszy pan zachichotał.
- Oczywiście, Christianie. Nie zapomniałem o tym.
- Premia, ojczy?
- Dziesięć milionów euro. Obiecałem mu to przed laty.
- A więc ją dostanie - przyrzekła Monika.
- Akurat ci wierzę, pomyślał Knoll.
- Fellner odszedł od przeszklonej gabloty.
- Ernst Loring z pewnością szuka Bursztynowej Komnaty A zatem to on może opłacać urzędasza w Sankt Petersburgu.

Jeśli tak, to wie o istnieniu Karola Borii. Nie ma co zwlekać, Christianie. Powinieneś zawsze wyprzedzać go o krok.

- Taki mam zamiar.
- Poradzisz sobie z Suzanne? - spytał starzec z szelmowskim uśmiechem na wyniszczonej twarzy. - Zapewne ona też nie odpuści.

Kątem oka widział, jak Monika zjeżyła się na tę wzmiankę.

Suzanne Danzer pracowała dla Ernsta Loringa. Była bardzo inteligentna i zmierzała do celu z determinacją, przeważnie po trupach. Zaledwie dwa miesiące wcześniej ściagała się z nim po południowo-zachodniej Francji w poszukiwaniu pary dziewiętnastowiecznych rosyjskich ślubnych koron.

Kolejnych „pięknych łupów” od dziesięcioleci ukrywanych przez szabrowników. Danzer wygrała ten wyścig: znalazła korony u pewnej starej mieszkanki Pirenejów w pobliżu hiszpańskiej granicy. Mąż tej kobiety już po wojnie odkupił klejnoty od niemieckiego kolaboranta. Danzer była równie jak Knoll bezwzględna w dążeniu do zdobycia nagrody, co ten rozumiał doskonale.

- Tego właśnie się po niej spodziewam- odparł.
- Fellner wyciągnął dłoń.
- Udanych łowów, Christianie.

Uścisnął jego rękę, a potem obrócił się ku przeciwległej ścianie. Regał obrócił się wokół osi i w murze ponownie pojawiło się przejście.

- Informuj mnie na bieżąco - zawołała za nim Monika.

WOODSTOCK, ANGLIA

22.45

Suzanne Danzer gwałtownie usiadła na łóżku. Dwudziestolatek obok niej pogrążony był w głębokim śnie. Przez chwilę patrzyła na jego nagie ciało. Młody mężczyzna prezentował się jak wystawowy ogier. I tak samo jak ogier się kochał.

Wstała i cicho szła po drewnianej posadzce. Ciemna teraz sypialnia znajdowała się na trzeciej kondygnacji wzniesionej w szesnastym wieku rezydencji, należącej obecnie do Audrey Whiddon. Starsza dama już trzecią kadencję zasiadała w Izbie Gmin i w końcu zdobyła tytuł szlachecki, kupując ten dwór za niewielkie pieniądze, ponieważ poprzedni właściciel zadłużył hipotekę. Pani Whiddon przyjeżdżała czasami, ale na stałe mieszkał tu Jeremy, jej jedyny wnuk.

Usidlenie Jeremy ego było dziecinną igraszką. Lekkomysłny i jednocześnie pełen wigoru, bardziej interesował się piwem i seksem niż majątkiem czy zarabianiem pieniędzy. Dwa razy zaczynał studia w Oksfordzie i dwukrotnie wyrzucono go za nieprzestrzeganie akademickiej dyscypliny. Starsza dama kochała go bardzo i wykorzystała swoje koneksje, by wnuka ponownie przyjęto do elitarnej uczelni, mając nadzieję, że się ustatkuje, jednak Jeremy zdawał się niereformowalny.

Niemal przez dwa lata Suzanne tropiła ostatnią tabakierę z kolekcji czterech rękodzielniczych cudów. Jedno z nich było wykonane ze szczerzego złota, z misterną mozaiką na wieczku.

Drugie w kształcie owalnym, ozdobione zielonymi i czerwonymi paciorkami. Na wieczku kolejnej tabakiery znajdował się ciężki kamień oprawiony w srebro. Czwartą, emaliowaną, zdobiła scena ze Złotego Rogu nad Bosforem. Wszystkie powstały w dziewiętnastym stuleciu i były dziełem jednego mistrza - jego inicjały były wyryte na dnie tych cudeniek.

Podczas drugiej wojny światowej zostały zagrabione z prywatnych zbiorów w Belgii.

Już dawno uznano je za bezpowrotnie utracone, zapewne przetopione i pozbawione klejnotów, co było losem licznych drogocennych dzieł sztuki jubilerskiej. Przed pięcioma laty jednak pierwsza z tabakier pojawiła się na aukcji w Londynie. Suzanne była na miejscu i przelicytowała wszystkich. Jej mocodawca, Ernst Loring, był zachwycony maestrią zabytkowej tabakiery i postanowił zdobyć całą kolekcję. Albo legalnie, na wolnym rynku, albo po cichu, kradnąc lub wyłudzając je od takich osób jak Audrey Whiddon.

Nabycie tabakierki na aukcji skończyło się zaciętkim bojem w sądowej sali ze spadkobiercami pierwotnego właściciela.

Prawnicy Loringa ostatecznie wygrali proces, ale kosztowało go to sporo i niepotrzebnie nadało sprawie rozgłos.

A tego jej pryncypał życzył sobie jak najmniej i nie chciał też, żeby historia się znów powtórzyła. Dlatego pozostałe trzy tabakierki musiała zdobywać, wykorzystując swoje tajemne sztuczki.

Suzanne odnalazła drugą w Holandii, trzecią w Finlandii, a czwartą, zupełnie nieoczekiwanie, w Anglii. Jeremy usiłował prehandlować ją w jakimś domu aukcyjnym bez wiedzy babki. Prowadzący licytację okazał się czujny; natychmiast rozpoznał drogocenny przedmiot. Wiedząc, że nie może go sprzedać, postanowił zarobić, inkasując dziesięć tysięcy funtów, które mu wręczyła Suzanne za informację. Korzystała z takich usług w domach aukcyjnych rozrzuconych po całym świecie. Jej informatorami byli ludzie, którzy mieli oczy szeroko otwarte, wypatrując zagrabionych skarbów. Chodziło o przedmioty, których nie mogli legalnie wystawić na licytację, ale za to bez najmniejszego trudu sprzedawali je spod lady.

Skończyła się ubierać i czesać.

Wystryknięcie Jeremy'ego na dudka okazało się proste.

Miała figurę, której nie powstydzilaby się zawodowa modelka, oczy wielkie jak spodki oraz jędrne ciało; to zawsze działało niezawodnie. Z pełnym wyrachowaniem udawała kogoś, kim w rzeczywistości nie była: osobą niewzbudzającą podejrzeń, którą można z łatwością sterować i kontrolować.

Mężczyźni szybko zaczęli czuć się komfortowo w jej towarzystwie, ona zaś się przekonała, że uroda bywa znacznie skuteczniejszą bronią niż kula czy ostrze.

Wyszła z sypialni na palcach, potem ostrożnie, tak by nie skrzypiały, zeszła po drewnianych schodach. Delikatne elżbietańskie ornamenty zdobiły wysokie ściany. Kiedyś sobie wyobrażała, że będzie mieszkać w takiej właśnie rezydencji wraz z mężem i dziećmi. Ojciec jednak nauczył ją cenić niezależność i unikać poświęceń. On również pracował dla Ernsta Loringa, marząc o kupieniu któregoś dnia własnej posiadłości. Nigdy jednak nie zrealizował tego zamierzenia.

Zginął w katastrofie lotniczej przed jedenastoma laty. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat, dopiero co ukończyła college.

Loring ani przez chwilę się nie zawahał, powierzając jej posadę ojca. Bez trudu weszła w arkana tej profesji i szybko odkryła, że, podobnie jak tata, urodziła się ze zdolnościami

detektywistycznymi, a tropienie zaginionych dzieł sprawiało jej ogromną frajdę.

Po zejściu ze schodów skręciła w prawo, przemknęła przez jadalnię i wkroczyła do salonu, w którym stał fortepian. Przyległe tereny za oknami pogrążone były w zupełnych ciemnościach; w górze majaczył niewyraźnie jakobicki sufit. Podeszła do fortepianu i sięgnęła po tabakierę.

Numer cztery.

Osiemnastokaratowe złoto z wieczkiem pokrytym emalią *enplein*, na którym wyobrażono scenę zapłodnienia Danae przez Zeusa za pomocą wykonanych ze złota kropli deszczu.

Przybliżyła do oczu malutkie puzderko i przyjrzała się uważnie wizerunkowi krągłej i pulchnej Danae. Jak to możliwe, że mężczyźni kiedyś uważali za atrakcyjne kobiety o tak obfitych kształtach? Najwyraźniej jednak tak było, gdyż kobiece postacie z mitologii to zazwyczaj damy określane jako puszyste. Obróciła puzderko do góry dnem i przesuwając po nim paznokciem, wyczuła inicjały.

BN.

To były inicjały rękodzielnika, który je stworzył.

Szybkim ruchem wyciągnęła z kieszeni dzinsów miękką szmatkę. Pudeleczek miało najwyżej dziesięć centymetrów i bez trudu owinęła je w szkarłatną tkaninę. Wsunęła zawiniątko do kieszeni i przeszła z salonu do biblioteki.

Z faktu, że wychowywała się w posiadłości Loringa, wynikały oczywiste korzyści. Wytworny dom, najlepsi nauczyciele, nieograniczony dostęp do kultury i sztuki. Loring dbał o to, by rodzinie Danzerów nie zbywało na niczym.

Jednak dzieciństwo spędzone w zamku Loukov wiązało się z samotnością. Matka zmarła, gdy Suzanne miała trzy lata; ojciec nieustannie podróżował. Większość czasu spędzała w towarzystwie Loringa; książki były w zasadzie jedynymi towarzyszami jej lat dziecinnych. Wyczytała gdzieś, że Chińczycy przypisywali księgom moc odpędzania złych duchów. W jej przypadku to się sprawdziło. Uciekała w świat książek od rzeczywistości. Szczególnie fascynowała ją literatura angielska. Tragedie Marlowea opisujące dzieje królów i magnatów, poezje Drydena, traktaty Locke'a, opowieści Chaucera oraz *Śmierć Artura* Malory'ego.

Wcześniej, kiedy Jeremy oprowadzał ją po parterze, w bibliotece wpadł jej w oko pewien wolumin. Przypadkiem sięgnęła po książkę i otworzywszy ją, zobaczyła swastykę obwiedzioną krzykliwą czerwienią z napisem: EX LIBPJS ADOLF HITLER. Dwa tysiące tomów z prywatnego księgozbioru wodza wywieziono w pośpiechu z Berchtesgaden na

kilka dni przed końcem wojny. Później odnaleźli je amerykańscy żołnierze; książki skatalogowano i przekazano do Biblioteki Kongresu USA. Zanim jednak do tego doszło, sporo tomów wykradziono. W miarę upływu lat kilka z nich pojawiło się na czarnym rynku. Loring nie miał ani jednej; brzydził się nawet pamiątkami po nazistach, ale znał kilku facetów, którzy nie podzielali jego niechęci.

Zdjęła ponownie tom z półki. Będzie zachwycony, otrzymując dodatkowo ten skarb.

Odwróciła się, zamierzając wyjść.

W półmroku zobaczyła stojącego przy drzwiach Jeremyego.

Był nagi, jak go Pan Bóg stworzył.

- Czy to ta książka, którą oglądałaś wcześniej? - zapytał. Babcia ma bardzo bogaty księgozbiór. Nie zauważy braku jednego tomu.

Podeszła blisko i podjęła decyzję użycia swej najskuteczniejszej broni.

- Było mi z tobą bardzo dobrze.

- Mnie również. Ale nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

- Uniosła wolumin.

- Tak. To ta sama książka.

- Chcesz ją mieć?

- Bardzo.

- A wrócisz tu jeszcze?

Dziwne pytanie, zważywszy na okoliczności, ale zrozumiała, że naprawdę tego chciał. Wyciągnęła rękę w jego kierunku, by przekonać się o tym bez najmniejszych wątpliwości. Zareagował natychmiast.

- Być może - odparła.

- Widziałem, co robiłaś w salonie. Nie jesteś kobietą, która dopiero wyzwoliła się z nieudanego małżeństwa, prawda?

- Czy to ma znaczenie, Jeremy? Było nam cudownie - odpowiedziała, nie przerywając pieszczot. - Teraz też jest cudownie, czyż nie?

Westchnął głęboko.

- Tak czy inaczej, wszystko to należy do twojej babki.

Czym się więc zajmujesz?

- Niczym.

Opuściła dłoń. Penis młodego mężczyzny uniósł się we wzwodzie. Pocałowała go delikatnie w usta.

- Jestem pewna, że kiedyś jeszcze się spotkamy.

Przeszła obok niego i skierowała się do frontowych drzwi.

- Czy gdybym nie pozwolił ci zabrać tabakiery i książki, zrobiłabyś mi coś złego?

Odwróciła się. Interesujące, jak ktoś tak bardzo niedojrzały może być jednocześnie tak przenikliwy, by w lot pojąć, do czego jest zdolna.

- A jak myślisz?

Sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście się zastanawiał, co odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Być może najtrudniejsze, jakie padło pod jego adresem od długiego czasu.

- Wiem tylko, że jestem zadowolony, że się pieprzyliśmy.

VOLARY, REPUBLIKA CZESKA PIĄTEK, 9 MAJA, 14.45

Suzanne wykonała skręt w prawo i jej porsche, model speedster 911 z zawieszeniem na resorach sprężynowych i z porządnym turbodoładowaniem, gładko pokonało ostry zakręt.

Wcześniej opuściła dach ze szklanego włókna, pozwalając, by popołudniowe powietrze smagało jej równo obcięte włosy.

Samochód stał zaparkowany na lotnisku Ruzyne; sto dwadzieścia kilometrów na południowy zachód od Pragi do miejsca przy granicy pokonała w godzinę. Auto sprezentował jej przed dwoma laty Loring jako specjalną premię na zwieńczenie szczególnie udanego roku, pełnego wartościowych znalezisk i zdobyczy. Szary metalik, tapicerka z czarnej skóry oraz zagłówki z aksamitnego pluszu. Wyprodukowano tylko sto pięćdziesiąt takich egzemplarzy. Jej miał wygrawerowany na desce rozdzielczej złoty napis *Drahd* - „mały skarb”; tak Loring nazywał ją od wczesnego dzieciństwa.

Słyszała różne opowieści i czytała liczne prasowe relacje poświęcone Ernstowi Loringowi. Większość z nich prezentowała go jako człowieka pełnego złości, surowego i nie liczącego się z innymi; despotę, z niesłychaną energią, podporządkowującego sobie ludzi. Na dobrą sprawę, obraz ten niewiele odbiegał od prawdy. Ale ona, która go dobrze знаła, wiedziała, że nie jest to cała prawda. Dlatego go szanowała i darzyła miłością.

Posiadłość Loringa zajmowała prawie trzysta akrów w południowo-zachodnich Czechach, zaledwie kilka kilometrów od granicy z Niemcami. Za komunistów rodzinie wiodło się doskonale; będące jej własnością fabryki i kopalnie w Chomutovie, Mostie i Teplicach liczyły się ogromnie w gospodarce Czechosłowacji, którą uznawano za samowystarczalną. Najzabawniejsze, że należąca do Loringów kopalnię uranu w Tachymovie, w której za siłę roboczą służyli więźniowie polityczni (współczynnik śmiertelności robotników wynosił blisko sto procent), nowe władze oficjalnie uznały za pozbawioną znaczenia gospodarczego. A to z powodu kwaśnych deszczy, które przeistoczyły Rudawy w upiorne cmentarzyska lasów. Wystarczy wspomnieć, że Teplice, kiedyś tętniące życiem uzdrowisko w pobliżu granicy z Polską, służyło raczej z krótkiej przeciętnej długości życia niż z walorów tutejszych ciepłych źródeł. Już dawno temu przestała widywać fotografie tego regionu w kolorowych albumach wystawianych na ulicznych stoiskach pod praskimi Hradczanami, które odwiedzał milion turystów rocznie. Środowisko naturalne w północnozachodnich Czechach zostało nieodwracalnie zdewastowane.

I to stało się ostrzeżeniem. Kiedyś gospodarka tych obszarów zaspokajała potrzeby kraju; teraz poszły w zapomnienie. Tam właśnie Ernst Loring generował krociowe zyski, ale ekologiczna ruina zmusiła go do przeniesienia się na południe.

Aksamitna rewolucja z 1989 roku wymiotła komunistów ze struktur władzy. Trzy lata później Czechy i Słowacja wzięły rozwód, naprędce dzieląc bogactwa do tej pory zjednoczonego kraju. Loring wyciągnął korzyści z obu wydarzeń, szybko wchodząc w układ z Havlem i nowym rządem Republiki Czeskiej, która tylko z nazwy była dynamiczna. Suzanne znała poglądy pryncypała na temat zmian. Wiedziała, że jego fabryki i huty były potrzebne bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Choć gros życia Loringa przypadało na epokę komunizmu, okazał się urodzonym kapitalistą. Jego ojciec, Josef, a także dziadek byli kapitalistami.

Powtarzał ciągle, że każde polityczne wrzenie potrzebuje stali i węgla. Loring ich dostarczał, w zamian otrzymując protekcję, wolność oraz stopę zwrotu z poniesionych inwestycji, którą trudno było uznać za skromną.

Na horyzoncie pojawiła się nagle rezydencja. Zamek Loukov. Przed wiekami twierdza usytuowana na rozległym cyplu górującym nad wartkim nurtem potoku Orlik.

Wzniesiony został w mieszaninie stylów burgundzkiego i cysterskiego, prace budowlane rozpoczęto w piętnastym stuleciu, ale zakończono je dopiero w połowie siedemnastego. Potrójne skarpy oraz kolumny z głowicami w formie liści wzmacniały wysokie mury. Okna w wykuszach przebijały się przez winorośl, gęsto porastającą warowną budowlę. Pomarańczowe gliniane dachówki jaśniały w południowym słońcu.

Ogień strawił cały kompleks podczas drugiej wojny światowej. Naziści skonfiskowali zamczysko, przeznaczając je na siedzibę miejscowego dowództwa i w końcu stare mury padły ofiarą alianckich bomb. Josef Loring po ciężkich bojach odzyskał tytuł własności, nawiązując współpracę z Rosjanami, którzy wyzwolili te obszary w drodze do Berlina. Po wojnie odbudował przemysłowe imperium i nawet je rozwinął, przepisując wszystko w spadku Ernstowi, jedynemu swojemu dziecku, któremu udało się przeżyć wojenną zawieruchę.

To posunięcie zyskało zresztą pełne poparcie rządu.

Zawsze są potrzebni sprytni i przedsiębiorczy ludzie jej mocodawca miał rację.

Zredukowała bieg do trójki. Silnik ryknął i opony silniej przywarły do suchej nawierzchni. Jechała teraz wąską nitką czarnego asfaltu, otoczoną z obu stron przez gęsty las.

Zwolniła dopiero przed bramą wjazdową do zamku. Miejsce, na którym dawniej

zatrzymywały się konne powozy i które służyło do odprawiania z kwitkiem napastników, zostało obecnie pokryte utwardzoną nawierzchnią, by mogły tu parkować samochody.

Loring był na dziedzińcu, w dresie i w roboczych rękawicach; najprawdopodobniej zajmował się pielęgnacją wiosennych kwiatów. Był to wysoki, kościsty mężczyzna o zaskakująco płaskim brzuchu i niezwykle tężyźnie jak na człowieka dobiegającego osiemdziesiątki. W ciągu ostatniej dekady widziała, jak jego jedwabiste włosy w popielatym odcieniu blond stawały się szare, upodabniając się do zarostu na brodzie; szyję miał pomarszczoną. Ogród był jedną z jego pasji.

Szklarnie rozlokowane na dziedzińcu pełne były egzotycznych roślin sprowadzonych z całego świata.

- Dzień dobry, moja droga. - Przywitał ją po czesku.

Zaparkowała porsche i wysiadła, chwytając po drodze torbę podróżną z siedzenia obok kierowcy.

Loring otrzepał ziemię z rękawic i podszedł do niej.

- Udana wyprawa, mam nadzieję?

Wyciągnęła małe tekturowe pudełeczko. Celnicy w Londynie i w Pradze nie zadawali dociekliwych pytań na temat cacuszka, kiedy im wyjaśniła, że kupiła je w sklepie z pamiątkami przy Opactwie Westminsterkim za niecałe trzydzieści funtów. Pokazała im paragon, bo zatrzymała się w tym sklepie, jadąc na lotnisko, i kupiła tanią reprodukcję, którą wrzuciła do kosza w hali odlotów.

Loring ściągnął rękawice i podniósł kartonowe wieczko, przyglądając się bacznie tabakierze w świetle popołudnia.

- Piękna - wyszeptał. - Niezaprzeczalnie piękna.

- Sięgnęła do torby podróżnej i wyciągnęła książkę.

- Co to jest? - zapytał.

- Niespodzianka.

Włożył cudeńko wykonane ze złota z powrotem do tekturowego pudełka, potem ostrożnie wziął w dłonie wolumin, otworzył tytułową stronę i z zachwytem spoglądał na ekslibris.

- *Drahd*, naprawdę mnie zadziwiasz. Cóż za cudowny bonus.

- Natychmiast gdy ją zobaczyłam, pomyślałam, że się ucieszysz.

- Z pewnością dobrze ją sprzedamy albo wymienimy.

- *Herr Greimel* uwielbia takie książki, a ja z chęcią wszedłbym w posiadanie jednego z jego obrazów.

- Wiedziałaś, że będziesz wiedział, co z tym zrobić.
- To chyba powinno przyciągnąć uwagę Christiana, co? Ależ to będzie prezentacja na naszym następnym zgromadzeniu.

- Nie zapominaj o Franzu Fellnerze.
- Już nie o nim - pokręcił głową. - Jestem przekonany, że stery przejęła Monika. Wygląda na to, że zagarnia wszystko pod siebie. Powoli, ale systematycznie.

- Bezczelna suka.
- Racja. Ale nie jest głupia. Rozmawiałem z nią ostatnio trochę dłużej. Nieco zbyt niecierpliwa i bardzo zachłanna.

- Chyba odziedziczyła charakter po ojcu, choć niekoniecznie umysł. Ale kto wie? Jest jeszcze młoda, może się wyrobi.

- Jestem pewien, że Franz będzie jej udzielał lekcji.
- A jak się miewa mój pryncypał? Czy też chodzą mu po głowie myśli o emeryturze?
- Cóż miałbym wtedy robić? - odparł Loring, uśmiechając się szeroko.
- Ogród? - wskazała na kwiaty.
- Raczej nie. To, czym się zajmujemy, jest takie ekscytujące. Kolekcjonowanie dzieł sztuki to niezwykle hobby.

- Zawsze czuję się jak mały dzieciak, który rozpakowuje prezenty spod choinki.

Wziął w dłonie oba skarby i przeszli do stolarni usytuowanej na parterze w części przylegającej do dziedzińca.

- Dzwoniono do mnie z Sankt Petersburga - poinformował ją. - Christian ponownie odwiedził tamtejsze archiwum w poniedziałek. Przeglądał dokumentację Nadzwyczajnej Komisji. Najwidoczniej Fellner nie daje za wygraną.

- Znalazł coś?
- Trudno powiedzieć. Ten głupawy urzędnik przegląda zawartość pudeł, ale wątpię, czy do tej pory zdołał to skończyć.

- Twierdzi, że zajmie mu to całe lata. Wydaje się bardziej zainteresowany inkasowaniem zapłaty niż pracą. Twierdzi jednak, że Knoll odkrył notatkę ze wzmianką o Karolu Borii.

W lot pojęła, co to znaczy.

- Nie rozumiem tej obsesji Franza - kontynuował Loring. - Tyle dzieł sztuki wciąż czeka na odnalezienie.

- *Madonna z Dzieciątkiem* Belliniego, zaginiona od czasów wojny Cóż to by było za znalezisko! *Ołtarz Baranka Mistycznego* van Eycka. Dwanaście obrazów dawnych

mistrzów wykradzonych z Muzeum Treves w 1968 roku. I jeszcze arcydzieła impresjonistów, które padły łupem złodziei we Florencji. Nic ma nawet zdjęć, które mogłyby posłużyć do ewentualnej identyfikacji. Każdy chciałby mieć choć jedno z tych płócien.

- Ale Bursztynowa Komnata znajduje się z pewnością na szczycie listy hitów - skomentowała.

- Święta racja, i dlatego wciąż mamy z tym &JpWHBHR

- Sądzisz, że Christian zechce odnaleźć Stf

- Bez wątplenia. Boria i Czapajew m|^|iu mi l¹H^m tami komisji, którzy wciąż jeszcze ^yJtMHd piet ioiutt laty. Christianowi nie udało się dotrzeć aS|C'/;ipiuowa. Prawdopodobnie ma nadzieję, że teraz Boria wskaże miejsce jego pobytu. Fellner marzy o tym, żeby Bursztynowa Komnata stała się debiutem Moniki w naszym środowisku.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że Franz pošle Knolla do Ameryki, przynajmniej po to, by spróbował odnaleźć Borię.

- Ale ten w końcu okaże się martwy?

- Właśnie. I dosłownie. Ale tylko w razie konieczności.

- Miejmy nadzieję, że Boria nadal nie jest zbyt wylewny. Być może staruszek już nie żyje. Zbliżał się do dziewiątego krzyżyka. Jedź do Georgii, ale trzymaj się z daleka, chyba że zostaniesz zmuszona do działania.

Poczuła dreszcz ekscytacji. Cudownie będzie podjąć kolejny pojedynek z Knollem. Ich ostatnie starcie we Francji było niezwykle inspirujące, a seksu z nim nie zapomni długo.

Był godnym przeciwnikiem. Ale niebezpiecznym. Co sprawiało, że kolejna runda jeszcze bardziej ją ekscytowała.

- Zachowaj ostrożność wobec Christiana, moja droga.

Nie przywiązuj się do niego. Może będziesz zmuszona zrobić coś niezbyt miłego. Zostaw go lepiej Monice. Zasługują na siebie nawzajem.

Delikatnie cmoknęła starego człowieka w policzek.

- Nie obawiaj się, twoja *Drahd* nie ma zamiaru cię zawieść.

ATLANTA, GEORGIA SOBOTA, 10 MAJA, 18.50

Karol Boria usiadł na otomanie i ponownie pogrążył się w lekturze jednego z artykułów, do którego powracał, ilekroć potrzebował odtworzyć szczegóły. Opublikowano go w magazynie „International Art Review” w październiku 1972 roku. Odnalazł go w trakcie jednej z regularnych wypraw do Biblioteki Uniwersytetu Stanowego w Georgii. Oprócz niemieckich i rosyjskich, media wykazywały niewielkie zainteresowanie Bursztynową Komnatą. Od zakończenia wojny w druku ukazało się niespełna dwadzieścia tekstów w języku angielskim; w większości przytaczano w nich fakty historyczne albo snuto rozważania na temat losów zaginionego skarbu. Uwielbiał pierwsze słowa artykułu, przytoczone za Elisabeth Browning, z wciąż jeszcze widocznym podkreśleniem, które sam zrobił niebieskim atramentem, kiedy czytał artykuł po raz pierwszy: „Nieoczekiwanie, jak niekiedy się zdarza, to coś zniknęło”.

Spostrzeżenie to szczególnie pasowało do losów Bursztynowej Komnaty. Dzieło sztuki, którego nie widział nikt od 1945 roku, miało za sobą historię pełną politycznych zawirowań, zabójstw i intryg.

Pomysł jej stworzenia zrodził się w głowie Fryderyka I, króla Prus, człowieka o złożonej osobowości, który przehandlował swój cenny głos na cesarza Świętego Cesarstwa Rzymskiego w zamian za koronę własnego dziedzicznego królestwa. W 1701 roku zlecił wykonanie ścian z bursztynu, które miały ozdobić jego gabinet w pałacu w Charlottenburgu.

Fryderyk grywał codziennie w szachy bursztynowymi figurami; świeczniki i żyrandole też były wykonane z tego surowca. Popijał piwo z jantarowych kufli i palił fajki z ustnikami ze skamieniałej żywicy. Wpadł więc na pomysł, by wyłożyć ściany gabinetu bursztynem, od podłogi aż po sufit.

Powierzył nadzór na stworzeniu tego cudeńka Andreasowi Schliiterowi, swemu nadwornemu architektowi.

Pierwotnie zlecono pracę Gottfriedowi Wolframowi, ale w 1707 roku miejsce Duńczyka zajęli Ernst Schacht oraz Gottfried Turau. W ciągu czterech lat Schacht i Turau pracowali w pocie czoła, skrupulatnie przeszukując brzegi Bałtyku w poszukiwaniu tego materiału jubilerskiego.

Obszary te od wieków dostarczały ton cennego surowca.

Fryderyk szkolił całe oddziały wojska na potrzeby poszukiwań bryłek jantaru. Każdą

znalezioną bryłkę cięto na kostki grubości nie większej niż pięć milimetrów, potem szlifowano i ogrzewano, by nabrała odpowiedniego koloru. Później z tak przygotowanych kawałków układano mozaikę, tworząc z niej woluty z motywami roślinnymi oraz symbole heraldyczne.

Na każdej ze ścian znajdował się pruski herb, głowa orła w koronie z profilu, od spodu wyłożony srebrem, które dodawało bursztynowi blasku.

Ściany gabinetu były już częściowo wyłożone bursztynem, gdy w 1712 roku przybył z wizytą Piotr Wielki, car Rosji. Zachwyciła go maestria rękodzieła. Rok później Fryderyk I zszedł z tego świata, a na tron wstąpił jego syn, Fryderyk Wilhelm I. Jak to niekiedy zdarza się potomkom w linii męskiej, Fryderyk Wilhelm żywił głęboką nienawiść do wszystkiego, co kochał jego rodzic. Nie mając najmniejszej ochoty wydawać choćby jednego talara więcej z królewskiej szkatuły na ojcowskie fanaberie, polecił zdemontować bursztynową boazerię i schować ją w podziemiach pałacu.

W 1716 roku Fryderyk Wilhelm sprzymierzył się na mocy traktatu z Piotrem Wielkim przeciwko Szwecji. Pragnąc upamiętnić zawarcie sojuszu, pruski monarcha uroczyście podarował bursztynowe mozaiki carowi Rosji i w styczniu następnego roku rozkazał przewieźć je do Sankt Petersburga. Piotr Wielki, zajęty wówczas bardziej budowaniem silnej wojennej floty niż gromadzeniem dzieł sztuki, również schował je w podziemiach. Wszelako, powodowany wdzięcznością, odwzajemnił się, przekazując królowi Prus regiment złożony z 248 żołnierzy oraz puchar, będący także dziełem sztuki rękodzielniczej. W skład regimentu wchodziło pięćdziesięciu pięciu jego najwyższych osobistych gwardzistów, co było ukłonem wobec pruskiego monarchy, który miał szczególną słabość do wojaków o wybujałym wzroście.

Upłynęło trzydzieści lat, zanim caryca Elżbieta Piotrowna, córka Piotra Wielkiego, zleciła Rastrellemu, nadwornemu architektowi, zamontowanie płyt w jednej z komnat Pałacu Zimowego w Sankt Petersburgu. W 1755 roku rozkazała przeniesienie bursztynowych płyt do rezydencji w Carskim Siole, odległej o jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe od Piotrowego grodu. Ozdobiono nimi jedną z komnat gmachu nazwanego później Pałacem Jekaterynowskim.

Tam właśnie Bursztynowa Komnata rozbłysła pełnym blaskiem.

Przez kolejne dwadzieścia lat do pierwotnych trzydziestu sześciu metrów kwadratowych dobudowano ponad czterdzieści osiem metrów kwadratowych bursztynowych płyt, ozdobionych herbem Romanowów i misternymi dekoracjami.

Wykonanie dodatkowych paneli z jantaru było konieczne, bowiem dziewięciometrowe

ściany Pałacu Jekaterynowskiego znacznie przewyższały te w gabinecie pruskiego króla, do którego pierwotnie były przeznaczone. Pruski król także dołożył się do tego dzieła, przesyłając jeszcze jedną płytę, ozdobioną tym razem płaskorzeźbą przedstawiającą dwugłowego orła, herb rosyjskich carów. W sumie powierzchnia bursztynowej boazerii wynosiła osiemdziesiąt osiem metrów kwadratowych. Ściany komnaty ozdobiły fantazyjne figurki, wzory roślinne, tulipany, róże, monogramy oraz ornamenty w stylu *rocaille*, wszystko w skrzących się światłem odcieniach brązów, czerwieni, żółci oraz pomarańczy. Rastrelli umieścił każdą z płyt w drewnianym kartuszu w stylu Ludwika XV, oddzielając je w pionie parami wąskich lustrzanych pilastrów, ozdobionymi dodatkowo kandelabrami z brązu. Wszystko było pozłacane, by komponowało się z bursztynem.

W środkowych częściach czterech płyt ułożono niespotykane piękne mozaiki w stylu florenckim, w których za surowiec posłużyły szlifowane bryłki jaspisu i agatu otoczone ramkami z pozłacanego brązu. Malowidła na sklepieniu oraz misternie wykonany parkiet, intarsjowany drewnem dębowym, klonowym, sandałowym, palisandrowym, orzechowym oraz mahoniowym, były dziełem sztuki niewiele ustępującym jantarowym ścianom.

Pięciu mistrzów jubilerskich z Królewca pracowało do roku 1770 i wreszcie obwieszczono światu ukończenie komnaty. Caryca Katarzyna II, która zasiadła na tronie w 1762 roku po Elżbiecie Piotrownie, była zachwycona efektem; w tej komnacie przyjmowała ambasadorów obcych państw, pragnąc wywrzeć na nich wrażenie. Komnata służyła również jako gabinet reprezentacyjny zarówno jej, jak i późniejszym carom; gromadzono w nim królewskie skarby. Do 1765 roku znalazło się w niej siedemdziesiąt arcydzieł z żywicy zamienionej w klejnot - komody, świeczniki, tabakiery, talerzyki, noże, widelce, krucyfiksy oraz tabernakulum dodatkowo ozdobiły salę. W 1780 roku w komnacie umieszczono narożny stolik z blatem inkrustowanym bursztynem. Ostatni przedmiot wstawiono tam w 1913 roku; była to bursztynowa korona na aksamitnej poduszce, nabytek Mikołaja II.

Choć wydaje się to niewiarygodne, jantarowe płyty naścienne przetrwały nietknięte przez 170 lat, nie ucierpiały też podczas rewolucji październikowej. Prace restauracyjne podejmowano wielokrotnie: w roku 1760, 1810, 1830, 1870, 1918, 1935 oraz 1938. Kolejną konserwację na dużą skalę zaplanowano na czwartą dekadę dwudziestego stulecia, ale 22 czerwca 1941 roku wojska niemieckie napadły na Związek Sowiecki. Do 14 lipca armia Hitlera zajęła Białoruś, większość Łotwy, Litwę i Ukrainę, docierając do rzeki Ligi, miejsca odległego o mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów od Leningradu, jak nazywał się wówczas Sankt Petersburg. 17 września oddziały nazistów zajęły Carskie Sioło wraz z całą

rezydencją, w tym również Pałacem Jekaterynowskim, który za rządów komunistów po rewolucji przekształcono w muzeum państwowe.

Kilka dni przed tym wydarzeniem kierownictwo muzeum w pośpiechu wysłało w głąb Rosji mniejsze dzieła sztuki z Bursztynowej Komnaty. Jednak obawiano się zdejmowania boazerii z jantaru. Naprędce zakleiono je tapetą, na nic się jednak nie zdał ten kamuflaż. Hitler rozkazał Erichowi Kochowi, *gauleiterowi* Prus Wschodnich, przenieść Bursztynową Komnatę do Królewca, gdzie, jego zdaniem, powinna się znajdować. Sześciu ludzi w ciągu trzydziestu sześciu godzin zdejmowało naścienne płyty; dwadzieścia dwie tony bursztynu pieczęlowicie zapakowano do skrzyń i wysłano na zachód ciężarówkami pod konwojem, a potem koleją. W końcu zamontowano je ponownie na zamku w Królewcu i zgromadzono tam również okazałe zbiory dzieł sztuki pruskiej. W 1942 roku w jednej z niemieckich gazet pojawił się artykuł, w którym doniesiono, że komnata „powróciła do prawdziwej ojczyzny; do miejsca, w którym powstała, oraz na obszary obfitujące w bursztyn”. Wydano pocztówki ze zdjęciami odzyskanego skarbu. Ekspozycja cieszyła się największą popularnością wśród gości niemieckich muzeów.

Do pierwszego alianckiego nalotu bombowego na Królewiec doszło w sierpniu 1944 roku. Uszkodzeniu uległy wtedy lustrzane pilastry komnaty oraz kilka mniejszych płyt.

Co stało się potem, tego nikt nie wie na pewno. Gdzieś między styczniem a kwietniem 1945 roku, gdy Armia Czerwona podchodziła pod Królewiec, Koch wydał rozkaz spakowania bursztynowej boazerii do skrzyń i ukrycia jej w piwnicy restauracji „Blutgericht”. Ostatni niemiecki dokument, w którym była wzmiankowana, opatrzono datą 12 stycznia 1945 roku. Stwierdzano w nim, że płyty ścienne zostały spakowane w celu przewiezienia ich do Saksonii. Alfred Rhode, kustosz zajmujący się komnatą, osobiście nadzorował załadunek skrzyń na ciężarówkę. Widziano je po raz ostatni 6 kwietnia 1945 roku; tego dnia ciężarówka wyjechała z Królewca.

Boria odłożył artykuł na bok.

Za każdym razem, kiedy czytał ten tekst, jego myśli powracały do słów z pierwszej linijki. „Nieoczekiwanie, jak niekiedy się zdarza, to coś zniknęło”.

Jakie to prawdziwe.

Siedział jeszcze przez chwilę i przejechał kciukiem po segregatorze rozłożonym na kolanach. Segregator zawierał kopie innych artykułów, które udało mu się zgromadzić przez minione lata. Jego letni ogród błyszczał w słońcu po solidnym podlewaniu. Przez cały dzień czekał na zbawienny deszcz, ale wiosna tego roku była bardzo sucha. Lucy siedząca na patio badawczo śledziła oczyma każdy jego ruch. Wiedział dobrze, że kotka nie

znosi trawy, zwłaszcza mokrej trawy, od czasu, gdy zyskała status kota domowego.

Wziął do ręki segregator z artykułami.

- Chodź do domu, malutka.

Kotka ruszyła za nim, przeszła przez tylne drzwi i wkroczyła do kuchni. Rzucił segregator na kuchenny blat i zajął się szykowaniem obiadu, na który składał się filet drobiowy w bekonie, marynowany w sosie *teriyaki*. Zamierzał ugotować sobie porcję kukurydzy, gdy usłyszał dzwonek do drzwi wejściowych.

Wyszedł z kuchni i szurając nogami, skierował się ku frontowi domu. Lucy podążała za nim. Spojrzał przez judasza na mężczyznę ubranego w ciemny garnitur, białą koszulę oraz krawat w paski.

Prawdopodobnie był to znowu jakiś świadek Jehowy albo mormon. Często pokazywali się tu o tej porze dnia, on zaś lubił z nimi dyskutować.

Otworzył drzwi.

- Karl Bates? Dawniej Karol Boria?

Kompletnie zaskoczony pytaniem, zdradził się; wyraz jego twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że odpowiedź jest twierdząca.

- Nazywam się Christian Knoll - przedstawił się nieznajomy.

W słowach wyczuwał leciutki niemiecki akcent, który natychmiast wzbudził w nim niechęć. Gość pokazał mu wizytówkę z wydrukowanym czarną czcionką nazwiskiem i napisem POSZUKIWACZ ZAGINIONYCH ANTYKÓW, ale nie dał mu jej. Adres i numer telefonu odsyłały do Monachium w Niemczech. Przyglądał się badawczo nieznanemu osobnikowi. Czterdzieści kilka lat, szerokie barki, blond włosy, cera opalona na kolor cynamonu i szare oczy, które nadawały jego twarzy wyraz zimnej jak lód, przykuwając do niej wzrok.

- Czego pan chce ode mnie, panie Knoll?

- Czy mogę wejść? - zapytał przybysz, usiłując wejść do środka po schowaniu wizytówki do kieszeni.

- Po co?

- Chciałbym porozmawiać o Bursztynowej Komnacie.

Przez chwilę zamierzał wyprosić przybysza, ale w końcu zmienił zdanie. Na dobrą sprawę spodziewał się podobnej wizyty od lat.

Zaprowadził Knolla do salonu. Usiedli obaj. Lucy obwąchała gościa skrupulatnie, potem wskoczyła na trzeci fotel.

- Pracuje pan dla Rosjan? - zapytał.

Knoll pokręcił przecząco głową.

- Mógłbym skłamać i potwierdzić, ale tak nie jest. Pracuję na zlecenie prywatnego kolekcjonera, który prowadzi poszukiwania Bursztynowej Komnaty. Ostatnio natrafiłem na pańskie nazwisko i adres w sowieckich archiwach. Wydaje się, że przed laty prowadził pan podobne poszukiwania.

- Bardzo dawno temu - przytaknął Boria.

Knoll wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyciągnął z niej trzy złożone na czworo kartki papieru.

- Znalazłem te dokumenty w sowieckim archiwum.

Podobno nosił pan kiedyś pseudonim Ucho.

Boria przebiegł wzrokiem dokumenty. Minęło kilka dekad od czasu, gdy po raz ostatni czytał tekst pisany cyrylicą.

- Tak mnie nazywano w Mauthausen.

- Był pan więźniem?

- Przez wiele miesięcy - odpowiedział i podwinął rękaw, wskazując na tatuaż. - Numer 10 901. Usiłowałem to usunąć, ale nie dałem rady. Niemiecka robota.

Knoll wskazał ręką dokumenty.

- Co pan wie na temat Dani Czapajewa?

Zdziwiło go trochę, że Knoll zignorował przytyk pod adresem Niemców.

- Dania był moim partnerem. Pracowaliśmy w jednym zespole, zanim wyemigrowałem.

- Jak doszło do tego, że zaczął pan pracować dla komisji? Spojrzał na swego gościa, zastanawiając się, czy powinien odpowiedzieć. Nie rozmawiał o tym od kilkadziesiąt lat.

Jedynie Maya wiedziała o wszystkim, ale zabrała te informacje do grobu przed blisko ćwierć wiekiem. Rachel wiedziała tyle, żeby mogła zrozumieć i nigdy nie zapomnieć. Czy powinien rozmawiać o tym teraz? Dlaczego nie? Był starym człowiekiem, który i tak żył już na kredyt. Teraz nie miało to na dobrą sprawę znaczenia.

- Po pobycie w obozie śmierci wróciłem na Białoruś, ale mojego domu już nie było. Niemcy mają szczególne upodobanie do zagłady. Cała moja rodzina została wymordowana. Komisja wydała mi się dobrym miejscem, żeby zacząć życie od nowa.

- Badalem skrupulatnie prace komisji. To interesująca lektura. Naziści z pewnością przyłożyli się do grabieży, ale Sowieci w końcu ich prześcignęli. Żołnierze zadowalali się bardziej przyziemnymi przedmiotami, jak rowery czy zegarki. Oficerowie jednak wysyłali na wschód, do swoich domów, wagony towarowe po dach wypełnione dziełami sztuki,

porcelaną oraz biżuterią. Wygląda na to, że ta komisja zasługuje na miano największego grabieżcy w dziejach.

Jej członkowie zagarnęli moim zdaniem, miliony drogocennych przedmiotów.

- To nie była grabież - starzec pokręcił przecząco głową. Niemcy zniszczyli nasz kraj, domy, fabryki, miasta. Zgładzili miliony ludzi. Wtedy działania Sowietów traktowaliśmy jako wojenne reparacje.

- A teraz? - zapytał Knoll, słysząc w jego głosie niezdecydowanie.

- Przyznaję: to był szaber. Komuniści okazali się bezwzględniejsi od nazistów. Zdumiewające, jak czas wyostrza spojrzenie.

Knoll najwyraźniej poczuł się usatysfakcjonowany jego wyznaniem.

- Komisja przeistoczyła się we własną karykaturę, chyba zgodzi się pan ze mną. W efekcie pomogła Stalinowi posłać miliony ludzi do gułagów.

- Dlatego właśnie stamtąd wyjechałem.

- Czy Czapajew jeszcze żyje?

Pytanie padło znowu z zaskoczenia. Niespodziewanie.

Z pewnością zadał je, licząc na spontaniczną odpowiedź. On także się uśmiechnął. Knoll był dobry.

- Nie mam pojęcia. Nie widziałem się z Danią od wyjazdu. Po latach odnalazło mnie KGB. Wielki, śmierdzący Czechen. Powiedziałem mu to samo.

- To bardzo ryzykowne, panie Bates. KGB nie wolno lekceważyć.

- Jak się ma tyle lat co ja, nie sztuka być odważnym. Co mógł mi zrobić? Zabić starego człowieka? Mój czas już minął, Hot Knoll.

Z premedytacją powiedział „Herr”, ale Knoll i tym razem nie zareagował. Natomiast zmienił temat.

- Rozmawiałem z wieloma dawnymi komisarzami. Z Teleginem. Zernowem. Wołoszynem. Nigdy nie udało mi się dotrzeć do Czapajewa. A o pana istnieniu nie wiedziałem aż do ostatniego poniedziałku.

- Inni o mnie nie wspominali?

- Gdyby było inaczej, dawno już bym się tu zjawił.

Wcale go to nie dziwiło. Podobnie jak jego kolegów, Borię również nauczono, jak wielką wartość ma milczenie.

- Znam historię komisji - oznajmił Knoll. - Wynająłem detektywów, którzy przemierzali wzdłuż i wszerz Niemcy oraz środkową Europę w poszukiwaniu dzieł sztuki. Ścigali się z żołnierzami, kto pierwszy je zagrabi. Wyniki były całkiem zadowolające.

Zdołałem dotrzeć do trojańskiego złota, Ołtarza Pergamońskiego, *Madonny sykstyńskiej* Rafaela oraz całej kolekcji wywiezionej z muzeum w Dreźnie, jak sądzę - pokiwał głową. - Odzyskaliśmy bardzo wiele eksponatów.

- Rozumiem, że tylko nieliczne spośród tych skarbów oglądają teraz bywalcy muzeów. Większość jest ukryta w zamkowych komnatach albo pozamykana w sejfach, w których będzie spoczywać przez całe dziesięciolecia. Czytałem.

- *Głasnost*- dodał i przeszedł do sedna sprawy. - Przypuszcza pan, że wiem, gdzie została ukryta Bursztynowa Komnata?

- Nie. W przeciwnym razie już dawno by ją pan odzyskał.

- Może uznałem, że będzie lepiej, jeśli zostanie tam, gdzie jest.

Knoll zaprzeczył ruchem głowy.

- Taki jak pan miłośnik dzieł sztuki, w dodatku z pańskim wykształceniem, nie życzyłby sobie z pewnością, by arcydzieło się rozpadło wskutek działania czasu i żywiołów.

- Bursztyn jest wieczny.

- Ale artystyczna forma komnaty nie. Osiemnastowieczny mastyks nie jest równie odporny.

- Ma pan rację. Płyty odnalezione dzisiaj będą zapewne przypominać puzzle, które trzeba ułożyć.

- Mój mocodawca jest gotów sfinansować układanie tych puzzli.

- Kim jest pański mocodawca?

Jego gość wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tego nie mogę wyjawić. Ta osoba chce zachować *incognito*. Jak pan dobrze wie, w świecie kolekcjonerów panują zdrada i obłuda.

- Ci ludzie szukają wielkiego skarbu. Nikt nie widział Bursztynowej Komnaty od ponad pięćdziesięciu lat.

- Ale proszę wyobrazić sobie, *Herr* Bates, przepraszam, panie Bates...

- Nazywam się Boria.

- W porządku, panie Boria. Proszę sobie wyobrazić komnatę odrestaurowaną, przywróconą do dawnej świetności.

- Cóż to byłby za widok! Dzisiaj dysponujemy zaledwie kilkoma kolorowymi fotografiami oraz niewielką liczbą czarno-białych, z pewnością nieoddających w pełni jej piękna.

- Oglądałem te fotografie, gdy sam prowadziłem poszukiwania. Widziałem też komnatę na własne oczy, jeszcze przed wojną. Rzeczywiście, było to coś wspaniałego.

Żadne zdjęcie nawet w przybliżeniu nie oddaje jej piękna. To smutne, ale wydaje się, że utraciliśmy ją na zawsze.

- Mój mocodawca z godnym podziwu uporem nie daje temu wiary.

- Istnieją przekonujące dowody, że płyty zostały zniszczone podczas dywanowego nalotu na Królewiec w 1944 roku.

- Zdaniem niektórych, szczątki Komnaty spoczywają na dnie Bałtyku. Osobiście nadzorowałem przeszukiwania wraku statku „Wilhelm Gustloff”. Sowieci posłali na dno wraz ze statkiem dziewięć i pół tysiąca ludzi. Mówi się, że Bursztynowa Komnata znajduje się w ładowniach wraku. Przewieziona ciężarówkami z Królewca do Gdańska, przeładowana została potem na statek, który zmierzał do Hamburga.

- Sam również schodziłem do wraku „Gustloff” - Knoll wygodniej usiadł w fotelu. - Źródła są jednak sprzeczne, mówiąc najogólniej. Jeśli mam być szczery, najbardziej wiarygodna hipoteza, na jaką udało mi się natrafić, głosiła, że naziści wysłali bursztynową boazerię wraz z amunicją z Królewca do kopalni położonej w pobliżu Getyngi. Kiedy w 1945 roku tereny te zajęli Brytyjczycy, Niemcy wysadzili kopalnię. Ale podobnie jak w przypadku wszystkich innych teorii, pełno jest tu niejasności.

- Znałem i takich, którzy gotowi są przysiąc, że znaleźli ją Amerykanie i przewieźli statkiem przez Atlantyk.

- Też o tym słyszałem. A także wersję, wedle której Sowieci odnaleźli płyty i złożyli je w miejscu nieznanym nikomu, kto obecnie dzierży u nich władzę. Zważywszy na ogrom tego, co zagrabili, wydaje mi się to całkiem możliwe.

- Ale z uwagi na wartość komnaty i pragnienie, by skarb powrócił na swoje miejsce, to chyba mało prawdopodobne.

Gość sprawiał wrażenie znającego temat dogłębnie.

O wszystkich tych teoriach Boria miał okazję czytać już wcześniej. Przyglądał się uważnie kamiennej twarzy Niemca, ale zimne oczy nie zdradzały myśli Knolla. Przypomniał sobie metodę umożliwiającą dyskretne pokonanie takiej bariery.

- Nie obawia się pan kłótwy?

Knoll kolejny raz uśmiechnął się szeroko.

- Słyszałem i o tym. Ale takie teorie rajcują tylko ignorantów i ludzi żadnych sensacji.

- Proszę mi wybaczyć brak manier - odezwał się nagle starzec. - Może napije się pan czegoś?

- Prawdę mówiąc, chętnie - odparł Knoll.

- Przepraszam na moment - powiedział i wskazał kocicę zwiniętą w kłębek na

otomanie. - Lucy dotrzyma panu towarzystwa.

Ruszył w stronę kuchni i raz jeszcze spojrzął na gościa, zanim pchnął wahadłowe drzwi. Nappełnił dwie szklanki lodem i nalał trochę herbaty. Włożył też do lodówki filet, nadal zanurzony w marynacie. Na dobrą sprawę, stracił apetyt; myśli śmigały z zawrotną prędkością, jak za dawnych lat.

Popatrzył na segregator z artykułami, który ciągle jeszcze leżał na kuchennym blacie.

- Panie Boria? - wykrzyknął Knoll.

Usłyszał jego kroki. Może lepiej, żeby nieprzenikniony gość nie zobaczył tych artykułów. Szybko otworzył lodówkę i wsunął segregator na półkę pod zamrażarką. Zatrzaskał drzwi dokładnie w chwili, gdy Knoll pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do kuchni.

- Tak, panie Knoll?
- Czy mogę skorzystać z toalety?
- Na końcu korytarza. Za salonem.
- Dziękuję.

Nawet przez chwilę nie wierzył, że Knoll musiał skorzystać z toalety. Z dużo większym prawdopodobieństwem chciał zmienić taśmę w dyktafonie albo zamierzał rozejrzeć się po domu. Była to sztuczka, którą Boria posługiwał się wielokrotnie w dawnych czasach. Niemiec zaczynał go drażnić. Postanowił się nieco zabawić. Z szafki pod zlewem wyciągnął środek przeczyszczający, po który sięgał co najmniej kilka razy w tygodniu; zmuszały go do tego starzejące się jelita. Ostrożnie wsypał kilka pozbawionych smaku granulek do jednej ze szklanek z herbatą i zamieszał. Teraz szubrawiec naprawdę będzie musiał biegać do toalety.

Wniósł szklanki z zimnym napojem do salonu. Knoll wrócił, podziękował za herbatę i pociągnął kilka długich łyków.

- Wyborne - pochwalił. - Prawdziwie amerykański napój.
- Mrożona herbata.
- Jesteśmy z niej dumni.
- My? Uważa się pan za Amerykanina?
- Spędziłem tu wiele lat. Teraz tu jest mój dom.
- Czy Białoruś nie odzyskała niepodległości?
- Tamtejsi przywódcy nie różnią się niczym od Sowietów.
- Łamią konstytucję. To zwykli dyktatorzy.
- Czy to przypadkiem nie naród udzielił białoruskiemu prezydentowi tak szerokich

prerogatyw?

- Białoruś przypomina bardziej rosyjską prowincję; nie ma tam prawdziwej niepodległości. Zniewolenie będzie trwało jeszcze setki lat.

- Zdaje się, że nie darzy pan sympatią ani Niemców, ani komunistów.

Ta rozmowa zaczynała go męczyć, zwłaszcza że pomagała odżyć nienawiści, którą pałał do Niemców.

- Szesnaście miesięcy w obozie zagłady potrafi pozbawić ludzi serca.

Knoll dopił herbatę. Kostki lodu zadźwięczały, gdy stawiał szklankę na stolik.

- Niemcy i komuniści wzięli gwałtem Białoruś i Rosję ciągnął Boria. - Naziści urządzili sobie koszary w Pałacu Jekaterynowskim, potem zrobili z niego cel treningów w strzelaniu. Byłem tam po wojnie. Z królewskiego pałacu pozostały tylko zgliszcza. Czy Niemcy nie podjęli skutecznej próby zniszczenia rosyjskiej kultury? Ich bomby zamieniły nasze pałace w ruiny po to tylko, by dać nam nauczkę.

- Nie jestem nazistą, panie Boria; nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytanie.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Przerwał je Knoll:

- Dlaczego nie mielibyśmy zakończyć tego sporu? Czy udało się panu odnaleźć Bursztynową Komnatę?

- Już mówiłem, że uważam ją za utraconą na zawsze.

-1 każe mi pan w to uwierzyć?

Wzruszył ramionami.

- Jestem starym człowiekiem. Niebawem umrę. Nie mam powodów, by kłamać.

- W to także nie wierzę, panie Boria.

Spojrzał mu prosto w oczy i nie odwracał wzroku.

- Opowiem panu pewną historię... Może przyda się panu w poszukiwaniach. Na kilka tygodni przed wyzwoleniem Mauthausen w obozie pojawił się Göring. Zmusił mnie do torturowania czterech niemieckich żołnierzy. Rozebranych do naga kazał przywiązać do pali, a zima była sroga. Polewaliśmy ich wodą, aż zamarзли na śmierć.

- Za co ich to spotkało?

- Göring pragnął mieć Bursztynową Komnatę. Ci czterej byli w oddziale, który przewoził bursztynową boazerię z Królewca przed nadejściem Rosjan, ale Hitler ją przejął.

- Czy któryś z żołnierzy coś wyjawiał?

- Nie puścili pary z ust. Wykrzykiwali tylko „Mein Führer” aż do śmierci. Czasami słońce mi się jeszcze ich tężejące z zimna twarze. Pewnie się pan zdziwi, Herr Knoll, ale w pewnym sensie zawdzięczam życie jednemu z tych Niemców.

- Jak to?

- Gdyby któryś z nich zaczął mówić, zamiast niego przywiązano by do słupa jednego z oprawców, czyli mnie albo któregoś z kolegów, i uśmiercono w ten sam sposób. Tak kazał Göring, - wyjaśnił, powoli wymawiając słowa. Chciał, żeby drań opuścił jego dom, zanim środek przeczyszczający zacznie działać. - Nienawidzę Niemców, *Herr Knoll*. Nienawidzę komunistów. Nie powiedziałem niczego ludziom z KGB. Panu też nic nie powiem. Proszę, by pan już sobie poszedł.

Knoll zrozumiał, że dalsze wypytywanie nic nie da, i podniósł się z miejsca.

- Dobrze, panie Boria. Nie zamierzam naciskać. Życzę dobrej nocy.

Wyszli na korytarz i gospodarz otworzył drzwi. Knoll wyszedł i odwrócił się, wyciągając dłoń na pożegnanie. Zrobił to machinalnie, raczej z wrodzonej uprzejmości niż z obowiązku.

- Miło było pana poznać, panie Boria.

Staruszek przywołał z pamięci twarz niemieckiego żołnierza imieniem Mathias, który nagi na mrozie buńczucznie odpowiadał na pytania Göringa.

Splunął na wyciągniętą dłoń.

Knoll nie zareagował, przez kilka sekund trwał w bezruchu. Potem z całkowitym spokojem wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni i wytarł plwociny; w tym momencie drzwi zatrzasnęły się przed jego nosem.

19.35

Boria po raz kolejny przebiegał wzrokiem artykuł z magazynu „International Art Revue” i odnalazł fragment, którego szukał:

...Alfred Rohde, człowiek, który nadzorował ewakuację Bursztynowej Komnaty z Królewca, został natychmiast po zakończeniu wojny aresztowany i przekazany władzom sowieckim. Tak zwana Nadzwyczajna Komisja ds. Szkód Dokonanych przez Faszystowskich Najeźdźców poszukiwała Bursztynowej Komnaty i chciała uzyskać odpowiedź. Jednak tego ranka, gdy Rohde wraz z małżonką mieli się stawić na przesłuchanie, znaleziono ich oboje martwych. W akcie zgonu podano jako przyczynę dyzenterię, co wydawało się wiarygodne, ponieważ szalała wówczas epidemia. Jej źródłem była zanieczyszczona woda. Krążyły jednak plotki, że zostali zamordowani - po to, by kryjówka Bursztynowej Komnaty pozostała nadal tajemnicą.

Tego samego dnia doktor Paul Erdmann, który podpisał akty zgonów małżonków Rhode, przepadł bez wieści.

Erich Koch, reprezentujący Hitlera w Prusach, również został aresztowany i osądzony w Polsce za zbrodnie wojenne. Skazano go na śmierć, ale egzekucję nieustannie odwlekano na żądanie władz radzieckich. Powszechnie sądzono, że *gauleiter* Prus był jedynym żyjącym człowiekiem, który wiedział, gdzie ukryto skrzynie wywiezione w 1945 roku z Królewca. Paradoksalnie, gwarancją życia Kocha było nieujawnienie tego sekretu, nie miał bowiem żadnych podstaw, by wierzyć, że Rosjanie będą nadal interweniować w jego sprawie, kiedy odnajdą bursztynowe arcydzieło.

W 1965 roku prawnicy Kocha uzyskali w końcu zapewnienie Rosjan, że zostanie mu darowane życie, jeśli wyjawia sekret. *Gauleiter* wyznał, że skrzynie zostały zamurowane w bunkrze w pobliżu Królewca; jednocześnie utrzymywał, że nie potrafi wskazać dokładnie miejsca, ponieważ po wojnie ten teren został całkowicie zmieniony przez Rosjan. Koch rozstał się z życiem, zabierając tajemnicę do grobu.

W ciągu następnych dziesięcioleci w tajemniczych okolicznościach śmierć poniosło trzech zachodnioniemieckich dziennikarzy, którzy wpadli na trop Bursztynowej Komnaty. Jednego znaleziono w szybie nieczynnej kopalni soli w Austrii, w której - zgodnie z pogłoskami - naziści ukryli wojenne łupy. Pozostała dwójka dziennikarzy zginęła w wypadku drogowym, którego sprawcy zbiegli. George Stein, niemiecki badacz, który przez długie lata zajmował się losami Bursztynowej Komnaty, rzekomo popełnił samobójstwo.

Wszystkie te zdarzenia podsycaly jedynie pogłoski o klątwie związanej z arcydziełem jantarowym, co przyciągało i jeszcze bardziej intrygowało kolejnych poszukiwaczy skarbu.

Był w pokoju na górze, w którym kiedyś mieszkała Rachel. Teraz pomieszczenie służyło mu za gabinet; trzymał w nim książki i dokumenty. Stało tu zabytkowe biurko, dębowa szafka oraz fotel klubowy, w którym lubił przesiadywać podczas lektury. Cztery regały z orzecha włoskiego wypełniały książki beletrystyczne, rozprawy historyczne oraz klasyka.

Zjadł kolację i udał się na górę, myślami wciąż krążąc wokół Christiana Knolla. Wyciągnął inne artykuły z jednej z szuflad. Były to krótkie wzmianki, głównie spekulacje nieoparte na faktach. Reszta prywatnego archiwum nadal zamknięta była w lodówce. Musiał je stamtąd wyjąć, ale dziwnie nie miał ochoty powtórnie wdrapywać się po schodach, gdy po nie zejdzie.

W zasadzie artykuły publikowane w gazetach i czasopismach podawały sprzeczne informacje na temat Bursztynowej Komnaty. W jednym pisano, że płyty zaginęły w styczniu 1945 roku, w innym przesuwano tę datę na kwiecień. Czy skarb przewieziono ciężarówkami, koleją, czy może statkiem? Każdy z autorów podawał inną opcję. W którymś z artykułów utrzymywano, jakoby Sowieci storpedowali statek „Wilhelm Gustloff” i posłali na dno Bałtyku razem z bursztynową boazerią; w innym przyczyną zatonięcia statku były bomby zrzucone z samolotów. W następnym podano jako wiadomość absolutnie pewną, że z Królewca wywieziono siedemdziesiąt dwie skrzynie, podczas gdy w innych tekstach ich liczbę szacowano na dwadzieścia sześć albo nawet na osiemnaście. Autorzy kilku artykułów dowodzili niezbicie, że bursztynowe płyty spłonęły w Królewcu podczas dywanowych nalotów. Nieliczni optowali za tym, że ślad prowadzi przez Atlantyk do Ameryki. Wydobycie faktów z tej gmatwaniny było trudne; ponadto w żadnej publikacji nie powoływano się na źródło informacji. Większość tekstów opierała się na niesprawdzonych pogłoskach. Lub jeszcze gorzej - na czystej spekulacji.

Tylko w jednym, niezbyt popularnym czasopiśmie „The Military Historian” pojawiła się relacja o pociągu, który opuścił tereny okupowanej Rosji około 1 maja 1945 roku; miał on jakoby przewozić skrzynie ze zdemontowaną Bursztynową Komnatą. Naoczni świadkowie ręczyli, że skrzynie rozładowano w czeskim mieście Tyneć-nad-Sazavou. Stamtąd najprawdopodobniej przewieziono je na południe ciężarówkami i złożono w podziemnych bunkrach będących kwaterą feldmarszałka von Schórnera, dowódcy milionowej armii żołnierzy niemieckich, nadal wtedy broniącej się w Czechosłowacji.

Jednak na zakończenie autor artykułu stwierdził, że prace wykopaliskowe przeprowadzone w 1989 roku przez Sowietów na terenach, na których znajdował się ów

bunkier, nie przyniosły żadnych rezultatów.

Blisko prawdy - pomyślał. Bardzo blisko.

Przed siedmioma laty, gdy po raz pierwszy czytał ten artykuł, zastanawiał się, skąd autor czerpał informacje. Usiłował nawet nawiązać z nim kontakt, ale próba się nie powiodła.

Teraz człowiek nazwiskiem McKoy grzebał w podziemnych bunkrach w górach Harzu w pobliżu miasteczka Stod.

Czy to był właściwy trop? Nie ulegało jedynie wątpliwości, że ludzie szukający Bursztynowej Komnaty opuszczali ziemski padół przeważnie w sposób nienaturalny. Dokumenty w archiwach potwierdzały to w przypadku Alfreda Rhode oraz Ericha Kocha. Oprócz tych wiele było jeszcze zgonów oraz zaginięć. Zbieg okoliczności? Być może. Ale nie miał co do tego pewności. Zwłaszcza co do zdarzenia sprzed dziewięciu lat. Jakże mógł o tym zapomnieć? Pamięć ożywała boleśnie, ilekroć widział Paula Cutlera. Wielokrotnie się zastanawiał, czy rodziców zięcia nie powinno się dopisać do listy śmiertelnych ofiar.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi w korytarzu na dole.

Skąd ten dźwięk? Przecież dom był pusty.

Podniósł wzrok, spodziewając się, że zobaczy Lucy wchodzącą do gabinetu, ale nie ujrzał kotki. Odłożył artykuły na bok i wstał z fotela. Powłócząc nogami, podszedł do schodów i spojrzał w dół, przechylając się przez dębową poręcz w stronę korytarza na parterze. Wąskie lampy przy drzwiach wejściowych były zgaszone, na parterze świeciło się jedynie w salonie. Na górze również było ciemno, zapalił tylko lampę w gabinecie. Tuż przed nim drzwi do sypialni stały otworem; w środku było ciemno i cicho.

- Lucy? Lucy?

Kotka nie zamiauczała. Wyteżył słuch. Z dołu nie dobiegał żaden odgłos. Wydawało się, że cisza jest absolutna.

Obrócił się i ruszył z powrotem do gabinetu. Nagle ktoś skoczył na niego z tyłu, z sypialni. Zanim zdołał się odwrócić, silne ramię owinęło się wokół jego szyi i oderwało od ziemi.

Na dłoniach napastnika zobaczył lateksowe rękawiczki, wydzielające charakterystyczny zapach.

- *Jetzt können wir mehr reden, Ucho.*

Rozpoznał głos niedawnego gościa, Christiana Knolla.

Naturalnie zrozumiał bez trudu.

(z niem.) Teraz porozmawiamy inaczej. Ucho.

Knoll ścisnął go mocno za gardło, utrudniając oddychanie.

- Nędzny, plugawy Rosjanin napluł mi na wyciągniętą przyjaźnie dłoń. Kim ty jesteś, kurwa mać? Zabijałem z bardziej błahych powodów.

Nie odpowiedział ani słowem, pomny doświadczeń swojego długiego życia.

- Powiesz mi to, co chcę wiedzieć, staruchu, albo cię zabiję.

Przypomniawszy sobie słowa wypowiedziane przed pięćdziesięcioma dziewięcioma laty. Najpierw Göring poinformował rozebranych do naga żołnierzy, jaki los ich czeka. A potem kazał polewać ich wodą. Co wtedy powiedział Mathias, niemiecki żołnierz? „Stawić czoło barbarzyńcom to honor”.

Tak, to nadal była prawda.

- Wiesz, gdzie mieszka Czapajew, prawda? Knoll ścisnął go mocniej za gardło.

- Wiesz, gdzie jest ukryta Bursztynowa Komnata, przyznaj?!

Boria był bliski omdlenia. Knoll zwolnił uchwyt. Starzec wciągnął powietrze w płuca.

- Nie pozwolę na to, byś mnie lekceważył. Odbylem daleką podróż, by wydobyć od ciebie informacje.

- Nie powiem nic.

- Jesteś pewien? Sam stwierdziłeś wcześniej, że nie pozostało ci wiele czasu. Teraz masz go mniej niż kiedykolwiek.

- Pomyśl też o swojej córce. Oraz o wnukach. Nie chciałabyś spędzić razem z nimi jeszcze paru lat?

Chciałby, ale nie aż tak, żeby bać się Niemca.

- Pierdol się, *Herr* Knoll.

Jego słabe ciało zostało przeniesione w pobliże schodów.

Chciał krzyknąć, ale zanim zdążył złapać dech, poleciał głową w dół po dębowych schodach. Ręce i nogi zahaczały o paliki balustrady, gdy wywijają koźły jeden za drugim. Coś trzasnęło.

Tracił przytomność i za moment ją odzyskiwał. Czuł przejmujący ból w plecach. W końcu wylądował płasko na twardej glazurze. Nie miał czucia w rękach ani nogach. Sufit nad nim wirował jak szalony. Usłyszał, że Knoll schodzi po schodach.

Pochylił się nad starcem i chwycił go za włosy. Co za ironia. Boria zawdzięczał życie Niemcowi i teraz Niemiec mu je odbiera.

- Dziesięć milionów euro to wielka sprawa, ale żaden Rosjanin nie śmie mnie bezkarnie opluwać.

Usiłował zebrać resztki śliny, by plunąć nań ponownie, ale usta mu wyschły, a szczęki

miął sparaliżowane.

Silne ramię Knolla otoczyło jego szyję.

Suzanne Danzer stała za oknem; widziała i słyszała, jak Knoll z trzaskiem skręca kark staremu człowiekowi. Widziała, jak ciało Borii wiotczeje, a głowa zwisa nienaturalnie.

Knoll odsunął zwłoki na bok i kopnął jeszcze w klatkę piersiową.

Na jego ślad wpadła dzisiejszego ranka, zaraz po tym, jak przyleciała do Atlanty samolotem rejsowym z Pragi. Jak dotąd działał w sposób przewidywalny. Udało się jej go namierzyć, gdy krążył w okolicy, wstępnie rozpoznając teren. Każdy doświadczony poszukiwacz najpierw odbywał rekonesans, by się przekonać, czy trop nie kryje żadnej pułapki.

Knollowi jednego nie można odmówić: był naprawdę dobry.

Przez większość dnia nie wychodził z hotelu. Śledziła go, gdy odwiedził Borię po raz pierwszy. Potem jednak nie wrócił do hotelu; czekał o trzy przecznice dalej, by ponownie udać się do Borii po zapadnięciu zmroku. Obserwowała, jak wchodził do środka tylnymi drzwiami, które najwidoczniej nie były zamknięte, gdyż otworzyły się po naciśnięciu klamki.

Nie ulegało wątpliwości, że stary człowiek nie chciał współpracować. Na temat pobudliwego charakteru Knolla krążyły legendy. Zrzucił starca ze schodów, ot, tak sobie, jakby wrzucał niepotrzebny papier do kosza na śmieci; potem skręcił mu kark z wyraźną satysfakcją. Miała respekt dla konkurenta: wiedziała o sztylcie ukrytym w rękawie oraz o tym, że nie czeka zbyt długo, by zrobić z niego użytek.

Ona również nie była pozbawiona podobnych talentów.

Knoll stał i rozglądał się wokół.

Ze swojego punktu obserwacyjnego dobrze wszystko widziała. Czarny jednoczęściowy kombinezon oraz czarna czapka, pod którą skryła blond włosy, sprawiały, że wtopiła się w ciemność wieczoru. Hol, przez którego okno obserwowała zdarzenia, był nieoświetlony.

Czy wyczuwał jej obecność?

Przykucnęła pod parapetem, za wysokim krzakiem ostrokrzewu, uważając na zakończone kolcami liście. Wieczór był ciepły. Na czole wzdłuż elastycznego ściągacza czapki poczuła kropelki potu. Podniosła się ostrożnie i zauważyła, że Knoll znika na schodach prowadzących na górę. Po sześciu minutach powrócił z pustymi rękoma; garnitur znów leżał na nim gładko, a krawat był idealnie zaciągnięty. Widziała, jak pochylił się i sprawdził na wszelki wypadek puls Borii; potem przeszedł na tył domu. Po chwili usłyszała odgłos otwieranych drzwi, potem trzaśnięcie zamykanych.

Odczekała dziesięć minut, zanim skradając się, przeszła ostrożnie na tył domu. Dłońmi w rękawiczkach nacisnęła klamkę i weszła do środka. W powietrzu poczuła charakterystyczny zapach starości oraz środków antyseptycznych.

Przeszła przez kuchnię i skierowała się na korytarz.

W jadalni nagle przebiegł jej drogę kot. Zatrzymała się, serce waliło jej jak młotem; posłała pod adresem zwierzaka kilka soczystych przekleństw.

Wzięła głęboki oddech i weszła do salonu.

Wnętrze nie zmieniło się od czasu jej pierwszej wizyty przed trzema laty. Ta sama garbata otomana, zegar wiszący oraz żeliwne lampy w stylu Cambridge. W pierwszej chwili litografie na ścianie ją zaintrygowały. Zastanawiała się, czy któraś z nich może być prawdziwa, ale przyjrzawszy się im z bliska, stwierdziła, że wszystkie są reprodukcjami. Włamała się tu pewnego dnia wieczorem, kiedy Boria wyszedł z domu.

Wtedy przeszukanie nie przyniosło żadnych informacji na temat Bursztynowej Komnaty oprócz artykułów w magazynach i gazetach. Niczego, co miałoby jakąś wartość. Jeśli Karol Boria wiedział coś istotnego, z pewnością tego nie zapisał albo przynajmniej nie przechowywał w domu.

Ominęła ciało leżące w korytarzu i weszła na schody.

Kolejne szybkie przeszukanie gabinetu Borii pozwoliło odnaleźć jedynie parę wycinków prasowych na temat bursztynowej sali, które stary człowiek najwidoczniej ostatnio czytał. Kilka artykułów było rozrzuconych na jasnobrązowym fotelu, który zapamiętała z poprzednich odwiedzin.

Zeszła ostrożnie schodami na dół.

Ciało starego człowieka leżało twarzą do dołu. Sprawdziła puls. Niewyczuwalny. Dobrze.

Knoll wybawił ją z kłopotu.

NIEDZIELA, 11 MAJA, 8.35

Rachel skręciła na wjazd prowadzący do posesji ojca. Poranne majowe niebo miało błękitny odcień. Drzwi garażu były uniesione, oldsmobile stał na zewnątrz, krople rosy osiadły na rdzawoczerwonej masce auta. Była z lekka zdziwiona, ponieważ ojciec zazwyczaj parkował samochód w garażu.

Dom z zewnątrz zmienił się niewiele od czasów jej dzieciństwa. Czerwona cegła wykończona białymi listwami, dach pokryty gontem. Przed frontem magnolie i derenie, posadzone dwadzieścia pięć lat temu, kiedy wprowadzili się tu całą rodziną; teraz wysokie i rozrośnięte, z gęstym podszytem tworzonym przez ostrokrzewy i jałowce otaczające dom z przodu i po bokach. Na okiennicach lata pozostawiły ślady; pleśń powoli, za to systematycznie wżerała się w ceglany mur.

Elewacja budynku wymagała odnowienia i pomyślała, że musi o tym porozmawiać z ojcem.

Zaparkowała, a dzieciaki wyskoczyły szybko z auta i pobiegły od razu na tyły domu.

Sprawdziła auto ojca. Otwarte. Pokiwała głową z dezaprobatą. Z uporem odmawiał zamykania czegokolwiek. Poranne wydanie dziennika „Constitution” leżało na podjeździe.

Podeszła i podniosła gazetę, potem ruszyła z powrotem betonową ścieżką. Marla i Brent byli już na podwórzu za domem i przywoływali Lucy.

Drzwi do kuchni również nie były zamknięte. Lampka nad zlewem się świeciła. Ojciec wprawdzie zupełnie nie przejmował się zamkami, jednak zachowywał się niemal jak neurotyk w sprawie światła, włączając lampy tylko wtedy, kiedy było to konieczne. Z całą pewnością zgasił je wczoraj wieczorem ,przed udaniem się na spoczynek.

- Tato! - zawołała. - Jesteś tu? Ile razy muszę ci powtarzać, żebyś nie zostawiał otwartych drzwi?

Dzieci wciąż przywoływały kotkę; potem wbiegły z impetem przez wahadłowe drzwi do jadalni i salonu.

- Tato? - tym razem jej głos był zaniepokojony Marla wbiegła z powrotem do kuchni.
- Dziadek śpi na podłodze.
- Jak to?
- Śpi na podłodze przy schodach.

Ruszyła pędem z kuchni na korytarz. Widok nienaturalnie wykręconej głowy pozwolił

jej natychmiast zrozumieć, że ojciec wcale nie jest pogrążony .we śnie.

- Witamy w Muzeum Sztuki - mówiła do każdego z wchodzących osoba stojąca przy szklanych drzwiach. - Witamy serdecznie. Witamy.

Ludzie stali w ogonku, przechodząc pojedynczo przez bramkę. Paul czekał cierpliwie na swoją kolej.

- Bry, panie Cutler - przywitał go muzealny odźwierny. Nie musiał pan czekać. Czemu od razu pan nie podszedł?

- To nie byłoby w porządku, panie Braun.

- Członkowie rady powinni mieć pewne przywileje, zgodzi się pan chyba?

Paul się uśmiechnął.

- To pana zdanie. Czy ktoś na mnie czeka? Miałem spotkać się z reporterem o dziesiątej.

- Tak. Gość siedzi w galerii od chwili, kiedy otworzyłem muzeum.

Ruszył przed siebie, stukając skórzanymi obcasami o błyszczące lastryko. Wysokie na cztery kondygnacje atrium aż po strop wypełniała otwarta przestrzeń; na każdym z pięter ściany opasane były półokrągłymi pasażami dla zwiedzających - jedni ludzie schodzili w dół, inni wspinali się na górę; przytłumiony gwar wypełniał klimatyzowane pomieszczenie.

Nie mógł sobie wyobrazić lepszego sposobu spędzenia niedzielnego poranka niż odwiedziny w muzeum. Nigdy nie był przesadnie religijny. Nie miało to wiele wspólnego z wiarą. Po prostu większą satysfakcję sprawiało mu podziwianie wielkich ludzkich osiągnięć i dokonań niż rozważanie atrybutów jakiegoś wszechpotężnego bytu. Podobnie jak Rachel. Często zastanawiał się jednak, czy ich niefrasobliwy stosunek do wiary i religii nie wywrze negatywnego wpływu na Marłę i Brenta. Może dzieci zyskałyby na kontakcie z religią, argumentował kiedyś. Jednak Rachel nie podzielała jego zdania. Chciała, żeby one same w przyszłości podjęły decyzję. Była przeciwna praktykowaniu religii.

To kolejny powód ich niezliczonych kłótni i sporów.

Wolnym krokiem dotarł do frontowej galerii; wiszące tu płótna zachęcały zwiedzających do obejrzenia pozostałych sal wystawowych w gmachu muzeum. Przed dużym olejnym obrazem stał reporter: szczupły, wysportowany mężczyzna z kilkudniowym zarostem i torbą przewieszoną przez prawe ramię.

- Czy Gale Blazek to pan?

Młody mężczyzna odwrócił się i skinął głową.

- Jestem Paul Cutler - przedstawił się prawnik, po czym wymienili uścisk dłoni. Paul wskazał ręką płótno. - Prawda, że przepiękne?

- Ostatnie dzieło del Sarto, jeśli się nie mylę - odparł reporter.

- Tak. Udało nam się namówić prywatnego kolekcjonera, by je na jakiś czas wypożyczył wraz z kilkoma innymi cennymi płótnami. Są wystawione na pierwszej kondygnacji z dziełami malarzy włoskich od czternastego po osiemnaste stulecie.

- Z pewnością je sobie obejrzę, zanim stąd wyjdę.

Zerknął na ogromny zegar na ścianie. Piętnaście po dziesiątej.

Przepraszam za spóźnienie. Może przejdziemy się po galeriach, a pan będzie w tym czasie zadawać pytania.

Mężczyzna się uśmiechnął i z torby wyciągnął mały reporterski magnetofon. Szli niespiesznym krokiem przez galerię z drogocennymi dziełami sztuki.

- Możemy zaczynać. Od jak dawna zasiada pan w radzie muzeum? - zapytał reporter.

- Mija już dziewięć lat.

- Jest pan kolekcjonerem? Uśmiechnął się szeroko.

- Raczej nie. Mam kilka niedużych olejnych płócien i parę akwareli. Nic wielkiego.

- Powiedziano mi, że jest pan przede wszystkim wspaniałym organizatorem.

Administracja wypowiada się o panu w samych superlatywach.

- Uwielbiam tę pracę, nie robię tego z przymusu. To miejsce jest stworzone dla mnie.

Z antresoli do środka sali weszła hałaśliwa grupa nastolatków.

- Czy skończył pan studia artystyczne? Zaprzeczył ruchem głowy.

- W zasadzie nie. Mam licencjat z nauk politycznych w Emory, ponadto zaliczyłem kilka kursów dla absolwentów z historii sztuki. Potem się dowiedziałem, czym zajmują się historycy sztuki, i podjąłem studia prawnicze.

Pominał epizod związanym z odrzuceniem jego podania za pierwszym podejściem. Nie zrobił tego jednak z próżności - od tamtej pory minęło już trzynaście lat i obecnie było to już bez znaczenia.

Przeszli tuż obok dwóch kobiet, które pochłonięte były podziwianiem obrazów przedstawiających św Marię Magdalenę.

- Ile ma pan lat? - padło kolejne pytanie.

- Czterdzieści jeden.

- Żonaty?

- Rozwiedziony.

- Ja również. Jak pan sobie z tym radzi?

W rzeczywistości rozpad związku małżeńskiego oznaczał ciasne mieszkanie oraz kolacje spożywane samotnie lub ze współnikami z firmy, oprócz dwóch wieczorów w

tygodniu, kiedy spotykał się z dziećmi. Życie towarzyskie ograniczył wyłącznie do stanowej palestry; nadmiar wolnego czasu był zresztą jedynym powodem, dla którego udzielał się w licznych komitetach. Pozwalało mu to zagospodarować wolne chwile w tygodniu oraz co drugi weekend, kiedy nie miał prawa widywać się z dziećmi. Rachel nie robiła problemów z odwiedzinami. Pozwalała mu wpadać, kiedy tylko chciał.

Starał się jednak nie ingerować w jej relacje z dziećmi; rozumiał też znaczenie harmonogramu oraz potrzebę konsekwentnego dostosowania się do niego.

- Jak opisałby pan samego siebie na moje potrzeby?

- Nie rozumiem?

- Proszę o to wszystkie osoby, których sylwetkę zamierzam zaprezentować. Zwykle robią to znacznie lepiej ode mnie. Któż zna pana lepiej niż pan sam?

- Kiedy administrator rozmawiał ze mną na temat udzielenia tego wywiadu i oprowadzenia pana po salach wystawowych, sądziłem, że chodzi o tekst poświęcony muzeum, a nie mojej osobie.

- I tak w istocie jest. Artykuł ukaże się w dzienniku „Constitution” w następną niedzielę, w dodatku weekendowym. Ale mój wydawca chce też mieć sylwetki najważniejszych postaci. Osobowości, które ukrywają się za ekspozycją.

- Nie zapomniał pan o kustoszach?

- Administrator stwierdził, że pan jest głównym animatorem wszystkiego, co się tu dzieje. Jest pan człowiekiem, na którym rzeczywiście można polegać.

Zatrzymał się. Jak ma opisać sam siebie? Metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, szatyn, oczy piwne? Ciało faceta, który przebiega codziennie prawie pięć kilometrów? Nie.

- Może tak: przeciętna twarz przeciętnego faceta z przeciętną osobowością. Godny zaufania. Człowiek, z którym chciałby się pan znaleźć się w strzeleckim okopie.

- Typ faceta, który może zagwarantować, że majątek po śmierci właściciela będzie właściwie zarządzany?

Nie napomknął ani słowem, że zajmuje się sądowym zatwierdzaniem testamentów. Było oczywiste, że gazetowy skryba odrobił pracę domową.

- Coś w tym rodzaju.

- Wspomniał pan o strzeleckich okopach. Służył pan kiedykolwiek w wojsku?

- Wiek poborowy osiągnąłem już po naborze do Wietnamu i całym tym zamieszaniu.

- Od jak dawna pracuje pan jako prawnik?

- Skoro wie pan, że jestem prawnikiem od testamentów, zakładam, że wie pan również, jak długo praktykuję.

- Prawdę mówiąc, zapomniałem zapytać.

Szczerą odpowiedź. To było fair.

- Jestem zatrudniony w kancelarii Pridgen & Woodworth od prawie trzynastu lat.

- Pańscy wspólnicy wyrażają się o panu z uznaniem.

- Rozmawiałem z nimi w piątek.

Uniósł brwi zdumiony.

- Żaden z nich mi o tym nie wspomniał.

- Prosiłem, żeby tego nie robili. Przynajmniej do dzisiejszego popołudnia. Chciałem, żeby nasza rozmowa miała spontaniczny charakter.

Do sali weszli zwiedzający. W pomieszczeniu nagle zrobiło się tłumnie i gwarnie.

- Może przejdziemy do Sali Edwardsa. Będzie tam mniej ludzi. Ponadto zobaczy pan kilka wspaniałych rzeźb.

Ruszyli antresolą. Słońce wpadało przez grube szkło wpuszczone w ściany gmachu wzniesionego z białej budowlanej ceramiki. Przeciwległą ścianę od północy zdobiło ogromne malowidło koloru atramentowego z mozaiką ze świecidełek. Przed otwartymi drzwiami kawiarni unosił się aromat kawy i prażonych migdałów.

- Niezapomniane wrażenie - wyznał reporter, rozglądając się dookoła. - Jak napisano w „New York Timesie”? Chyba, że to najlepsze muzeum zbudowane w mieście przez współczesnych.

- Ich entuzjazm przyniósł nam wiele satysfakcji. Dopomógł w wypełnieniu sal muzealnych. Wystawiający czuli się wyróżnieni.

Przed nimi pośrodku atrium znajdowała się wypolerowana bryła z czerwonego granitu. Odruchowo skierował się w tamtą stronę, zresztą nigdy nie przeszedł obok, nie zatrzymując się choćby na chwilę. Dziennikarz podążył za nim. W kamieniu wyryto dwadzieścia dziewięć nazwisk. Oczy Paula zawsze zatrzymywały się pośrodku:

YANCY CUTLER

4 CZERWCA 1936 - 23 PAŹDZIERNIKA 1998

ODDANY PRAWNIK

MECENAS SZTUKI

PRZYJACIEL MUZEUM

MARLENĘ CUTLER

14 MAJA 1938 - 23 PAŹDZIERNIKA 1998

ODDANA MAŁŻONKA

MECENAS SZTUKI PRZYJACIEL MUZEUM

- Pański ojciec również był w radzie muzeum, prawda?

- Piastował tę funkcję przez trzydzieści lat. Pomógł zgromadzić fundusze na wzniesienie tego gmachu. Moja matka też mu pomagała.

Stał w milczeniu, skupiony jak zawsze. To jedyny ich pomnik. Airbus eksplodował wysoko nad pełnym morzem.

Śmierć poniosło dwadzieścia dziewięć osób. Całe kierownictwo muzeum, ich współmałżonkowie oraz kilku pracowników. Ciało nigdy nie znaleziono. Jedynym wyjaśnieniem tragedii było zdawkowe oświadczenie włoskich władz, że winę za katastrofę ponoszą terroryści ze środowisk separatystycznych. Celem zamachu miał być ponoć włoski minister zajmujący się sprawami dziedzictwa kulturowego. Yancy i Marlenę Cutler po prostu znaleźli się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu.

- Byli dobrymi ludźmi - wyznał. - Wszyscy za nimi tęsknimy.

Obrócił się w stronę Sali Edwardsa. Przez atrium biegła w jego stronę asystentka kustosza.

- Panie Cutler, proszę zaczekać - zawołała, sapiąc z pośpiechu. Miała bardzo zakłopotaną minę. - Właśnie odebrałam wiadomość dla pana. Bardzo mi przykro. Pański były teść nie żyje.

ATLANTA, GEORGIA WTOREK, 13 MAJA

Karol Boria został pochowany o godzinie jedenastej w pochmurny wiosenny, poranek. Było niezwykle chłodno jak na połowę maja. W pogrzebie uczestniczyło wiele osób.

Na początku uroczystości Paul poprosił o parę słów trzech długoletnich przyjaciół Borii i każdy z nich wygłosił wzruszające przemówienie. On sam na koniec powiedział parę zdań od siebie.

Rachel stała z przodu z Marlą i Brentem po bokach. Kapłan w infule na głowie, pop z cerkwi św. Metodego, której Karol był parafianinem, celebrował nabożeństwo żałobne. Wszystko odbywało się bardzo uroczyście, wyciskało łzy z oczu. Chór cerkiewny odśpiewał utwory Czajkowskiego i Rachmaninowa, uświetniając pogrzeb na prawosławnym cmentarzu przylegającym do cerkwi. Pofałdowany teren z czerwonej gliny porośnięty był psizębem palczastym, pospolitą trawą, nad którą zwisały parasolowate korony sykomorów. Gdy trumnę opuszczano do grobu, rozległy się sakramentalne słowa duchownego: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz...”.

Chociaż zmarły całkowicie zasymilował się z amerykańską kulturą, pozostał wierny religii przodków i prawosławnemu obrządkowi. Paul nie przypominał sobie wprawdzie, żeby jego teść za życia był nadmiernie pobożny, ale Baria chyba głęboko wierzył i wiara kazała mu wieść dobre życie. Stary człowiek wspominał wielokrotnie, że chciałby zostać pochowany na Białorusi, w brzozowym zagajniku, wśród moczarów i położonych na stokach pól z kwitnącym niebiesko lnem.

Jego rodzice, bracia i siostry pochowani zostali w masowych mogiłach, o których dokładnym usytuowaniu wiedzieli tylko esesmani i niemieccy żołnierze, sprawcy rzezi; tę informację zabrali ze sobą do własnych grobów. Paul chciał nawet porozmawiać z kimś z Departamentu Stanu o pochowaniu teścia za granicą, ale Rachel sprzeciwiła się temu, twierdząc, że ojciec powinien spocząć na zawsze obok matki. Uparła się również, żeby zorganizować przyjęcie żałobne w swoim domu; w ciągu dwóch godzin przez jej próg przewinęło się jakieś siedemdziesiąt osób. Sąsiedzi przynosili poczęstunek i napoje. Rozmawiała uprzejmie z wszystkimi, przyjmowała kondolencje oraz dziękowała.

Paul obserwował ją bacznie. Można było odnieść wrażenie, że trzyma się dzielnie. Około drugiej po południu zniknęła na górze. Znalazł ją w ich dawnej sypialni, samą.

Upłynęło sporo czasu od chwili, kiedy był tu ostatni raz.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Przysiadła na brzegu łóżka z baldachimem i wpatrywała się w dywan oczyma opuchniętymi od płaczu. Podeszedł bliżej.

- Wiedziałam, że ten dzień nadejdzie - odezwała się. Odeszli już oboje.

Przerwała.

- Pamiętam, jak umarła mama. Myślałam wtedy, że świat stanął na głowie. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego mi ją zabrano.

Często się zastanawiał, czy nie stąd wzięła się jej niechęć do religii. Do tego rzekomo miłosiernego Boga, który bezdusznie pozbawił nastolatkę ukochanej matki. Pragnął ją przytulić i pocieszyć; powiedzieć, że nadal ją kocha i zawsze kochał. Stał jednak nieruchomo, starając się powstrzymać łzy.

- Zawsze dużo mi czytała. To dziwne, ale najmocniej utkwił mi w pamięci jej głos. Taki łagodny. Oraz opowieści, które mi czytywała. Apollo i Dafne. Bohaterskie boje Perseusza. Jazon i Medea. Innym dzieciom mamy czytały baśnie - uśmiechnęła się słabo. - Moja karmiła mnie mitologią.

Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wspominała własne dzieciństwo. Nigdy w każdym razie nie rozwodziła się na ten temat; dawała też do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych pytań.

- Dlatego ty też czytasz naszym dzieciom opowieści mitologiczne?

Otarła łzy z policzków i kiwnęła głową.

- Twój ojciec był dobrym człowiekiem. Bardzo go kochałem.

- Zawsze traktował cię jak syna, nawet kiedy się rozwiedliśmy. Mówił, że to się nigdy nie zmieni - powiedziała i spojrzała na niego. - Jego najgorętszym życzeniem było to, żebyśmy się zeszli z powrotem.

Pomyślał, że jego również, ale się nie odezwał.

- A my ciągle ze sobą walczyliśmy - powiedziała z żalem. - Jak dwoje uparciuchów.

- Nie tylko walczyliśmy ze sobą - czuł, że musi to powiedzieć.

Wzruszyła ramionami.

- Zawsze byłeś optymistą w sprawie naszego związku.

Zauważył zdjęcie rodziny ustawione na komodzie. Zrobili je rok przed rozwodem. On, Rachel i dzieciaki. Fotografia ślubna również tu była, ta sama co w korytarzu na dole.

- Przepraszam za ostatni wtorkowy wieczór - dodała. Za to, co powiedziałam, gdy wychodziłeś. Wiesz, że czasami mam niewyparzoną gębę.

- Nie powinienem był się mieszać. To, co przydarzyło się Nettlesowi, to nie moja sprawa.

- Nie, miałaś rację. Potraktowałam go zbyt surowo. Moja porywczosć przysparza mi tylko kłopotów - powiedziała, wycierając napływające znowu do oczu łzy. - Mam tyle rzeczy do zrobienia. Przede mną bardzo ciężkie lato. Nie planowałam silnie obsadzonego wyborczego wyścigu. A teraz jeszcze to.

Nie zamierzał pleść komunałów. Gdyby zdobyła się na odrobinę dyplomacji, prawnicy stający przed nią na sądowej sali nie czuliby się tak zagrożeni.

- Posłuchaj, Paul, mógłbyś zająć się spadkiem po tacie? W tej chwili po prostu nie potrafię o tym myśleć.

Wyciągnął dłoń i położył jej na ramieniu.

- Oczywiście.

Nakryła jego dłoń swoją. Po raz pierwszy od miesiący znów się dotknęli.

- Ufam ci. Wiem, że zrobisz to dobrze. On na pewno chciałby, żebyś ty się tym zajął. Wierzył ci i darzył cię szacunkiem.

Cofnęła dłoń.

On również. Zaczął myśleć jak prawnik. Nieważne, o czym, byle oderwać myśli od rzeczywistości.

- Czy wiesz, gdzie może być testament?

- Rozejrzyj się po domu. Prawdopodobnie w gabinecie.

- Niewykluczone, że złożył go w skrytce depozytowej w banku.

- Nie wiem. Dam ci klucze.

Podeszła do komody. Królowa Lodu? Nieprawda.

Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie przed dwunastoma laty na zebraniu przedstawicieli izby adwokackiej Atlanty.

Był wtedy od roku cichym wspólnikiem w kancelarii Pridgen & Woodworth. Ona z kolei cieszyła się renomą agresywnej zastępczyni prokuratora okręgowego. Spotykali się przez dwa lata, aż w końcu ona zaproponowała, żeby się pobrali. Na początku byli szczęśliwi, lata mijały szybko. Co poszło nie tak? Czy sprawy nie mogły znów ułożyć się dobrze? Być może miała rację. Może powinni być przyjaciółmi, a nie kochankami.

Miał nadzieję, że tak nie było.

Wziął od niej klucz od skrytki w banku.

- Nie martw się, Rach. Zajmę się tym - zapewnił.

Wyszedł od Rachel i pojechał prosto do domu Karola Boni. Jechał nieco krócej niż pół godziny po ruchliwych handlowych bulwarach oraz bocznymi uliczkami, na których również życie toczyło się gorączkowo.

Zaparkował na podjeździe i dostrzegł oldsmobilea Borii stojącego przed garażem. Kluczami, które dała mu Rachel, otworzył drzwi wejściowe. Jego wzrok natychmiast przyciągnęły płytki glazury, którymi wyłożony był korytarz, potem podążył oczyma ku balustradzie schodów; kilka palików było złamanych, inne sterczały jakoś dziwnie. Na dębowych stopniach nie widać było śladów spadania, ale policja stwierdziła, że stary człowiek przewrócił się na schodach, a potem stoczył na dół, skręcając sobie po drodze kark, co skończyło się zgonem. Później autopsja potwierdziła charakter obrażeń oraz ich najbardziej prawdopodobną przyczynę.

Tragiczny wypadek.

Gdy tak stał nieruchomo, ogarnął go żal i smutek. Zawsze się cieszył, ilekroć tu przyjeżdżał; mieli okazję porozmawiać o sztuce i bohaterach. Teraz staruszek już nie żyje. Kolejne ogniwo łączące go z Rachel zostało zerwane. A jednocześnie stracił przyjaciela. Boria był dla niego niczym ojciec. Zbliżyli się bardzo po tragicznej śmierci rodziców Cutlera. Boria i ojciec Paula się przyjaźnili, połączyło ich umiłowanie sztuki.

Wspominał teraz obu z bólem serca.

Dobrzy ludzie, którzy odeszli na zawsze.

Przypomniał sobie radę Rachel i postanowił zacząć poszukiwania w gabinecie. Wiedział na pewno, że testament został spisany. Kilka lat temu sporządził jego szkic i wątpił, by Boria udał się do innego prawnika, by zmienić wprowadzone w projekcie zapisy. Kopia znajdowała się z pewnością w kancelarii Paula, przeniesiona do archiwum, i w razie potrzeby mógł się nią posłużyć. Jednak oryginał przyspieszy znacznie procedurę spadkową.

Wszedł po schodach i zaczął szukać w gabinecie. Artykuły z czasopism wciąż leżały rozrzucone na klubowym fotelu, kilka z nich spadło na dywan. Przejrzał je strona po stronie.

Wszystkie dotyczyły Bursztynowej Komnaty. W ciągu minionych lat Boria rozmawiał z nim o tym wielokrotnie. Paul był przekonany, że jako Białorusin starzec pragnął, by skarb powrócił do Pałacu Jekaterynowskiego. Nie podejrzewał jednak teścia o coś w rodzaju obsesji na tym punkcie - a to wynikało jasno ze zgromadzonych artykułów i wycinków prasowych, pochodzących niekiedy sprzed trzydziestu lat.

Opróżnił szuflady biurka oraz szafę z dokumentami, ale nie znalazł testamentu.

Przejrzał półki z książkami. Czytanie było pasją Borii.

Półki zapełniały dzieła Homera, Hugo, Poe'go oraz Tołstoja; także rosyjskie baśnie, *Historie* Churchilla oraz oprawny w skórę tom *Przemian* Owidiusza. Boria lubił też chyba

pisarzy z południa, bo książki Flannery O'Connor i Katherine Anne Porter stały na półkach.

Jego wzrok przyciągnęła wisząca na ścianie flaga. Starszy pan kupił ją w kiosku w Centennial Park podczas Olimpiady.

Srebrny rycerz z wyciągniętym mieczem i sześcioramiennym złotym krzyżem na tarczy, na stojącym dęba rumaku.

Tło było krwistoczerwone, co symbolizowało waleczność i męstwo, jak wyjaśnił Paulowi Boria, a białe obramowanie oznaczało wolność i czystość. Było to państwowe godło Białorusi, wyzywający symbol dążeń do samostanowienia i niepodległości.

W dużym stopniu takimi przymiotami cechował się Karol.

Boria pasjonował się igrzyskami olimpijskimi. Byli razem na kilku sportowych imprezach; również na tych, w których białoruska żeńska osada wioślarska zasłużyła na złoty medal. W sumie Białorusini zdobyli jeszcze czternaście medali - sześć srebrnych i osiem brązowych - w takich dyscyplinach, jak rzut dyskiem, siedmiobój, gimnastyka oraz zapasy. Karola rozpieierała duma z każdego zdobytego krążka.

Chociaż jego były teść czuł się Amerykaninem, w sercu bez wątpienia pozostał Białorusinem.

Zszedł na dół i skrupulatnie przejrzał zawartość szuflad oraz szafek; nigdzie nie znalazł testamentu. Na stoliku do kawy wciąż leżała rozłożona mapa Niemiec. A także wydanie „USA Today”, które podarował Borii.

Nie spiesząc się, poszedł do kuchni, by sprawdzić, czy rzeczywiście tam często starsi ludzie chowają ważne dokumenty. Kiedyś pewna kobieta ukryła testament w zamrażarce. Wspomniawszy to, machinalnie otworzył lodówkę.

Widok segregatora pod zamrażalnikiem wprawił go w lekkie osłupienie.

Wyciągnął wychłodzony segregator z okładkami z szarej tektury.

Były w nim także artykuły poświęcone Bursztynowej Komnacie, jeszcze z lat czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku; niektóre jednak opublikowano zaledwie dwa lata temu. Zastanawiał się, co segregator robił w lodówce.

Rozstrzygając jednak, że teraz ważniejszy był testament, postanowił wziąć ze sobą segregator i pojechać do banku.

Zegar na ulicznym szyldzie Georgia Citizens Bank przy Carr Boulevard wskazywał godzinę 15.33. Paul wjechał na zatłoczony parking. Trzymał tu pieniądze od lat: od czasu, gdy pracował tu przed podjęciem studiów prawniczych.

Menedżer, zastraszonego facet z przerzedzonymi włosami, najpierw odmówił mu

dostępu do skrytki Borii. Po krótkim telefonie do biura sekretarka Paula przefaksowała formularz z upoważnieniem, który bezzwłocznie podpisał, potwierdzając tym samym, że jest prawnikiem zarządzającym majątkiem zmarłego Karola Borii. Ten dokument usatysfakcjonował formalistę. Przynajmniej dysponował dowodem, który może pokazać spadkobiercy, jeśli złożą skargę, że kasetka depozytowa jest pusta.

Prawo stanu Georgia określało, że zarządca masy spadkowej ma dostęp do bankowego depozytu w poszukiwaniu testamentu. Paul wykorzystywał to wielokrotnie, a większość bankowych menedżerów znała tę regulację prawną. Od czasu do czasu zdarzał się jednak trudny przypadek.

Mężczyzna wprowadził go do skarbcza, a następnie do pomieszczenia, w którym znajdowały się rzędy kasetek z nierdzewnej stali. Klucz z numerem 45 czynił go wiarygodnym. Wiedział, że prawo stanowe wymaga, by przedstawiciel banku był obecny podczas przeglądania zawartości kasety oraz sporządził rejestr tego, co zostanie zabrane i przez kogo. Otworzył skrytkę i wyciągnął wąską kasetkę; piskliwie zazgrzytał metal pocierający o metal.

W środku znajdował się zwitek papierów ściągnięty gumką recepturką. Jeden z dokumentów był napisany przez kalkę. Natychmiast rozpoznał testament, który sam sporządził przed laty. Do niego dołączono kilkanaście białych kopert. Przystąpił do ich przeglądania. Wszystkie pochodziły od Dani Czapajewa, a adresowane były do Karola Borii.

Oprócz tego, złożone równo na trzy, leżały tu listy Borii do Czapajewa. Wszystkie po angielsku. Ostatnim z dokumentów była szara koperta, zalakowana, z nazwiskiem Rachel napisanym niebieskim atramentem.

- Listy oraz ta koperta były dołączone do testamentu.
- Pan Boria najwyraźniej życzył sobie, żeby stanowiły całość.
- Oprócz tego nic nie zdeponowano. Zabieram to wszystko.
- Zostaliśmy poinstruowani, żeby w przypadkach takich jak ten zezwalać jedynie na wzięcie ostatniej woli.

- Dokumenty były złączone. Treść listów może zatem mieć związek z testamentem.

Prawo stanowe zezwala, bym je zabrał ze sobą.

Menedżer się wahał.

- Muszę zadzwonić do naszego głównego radcy prawnego, by uzyskać zgodę.
- W czym problem? Nikt nie będzie się na nic skarżył.
- Osobiście sporządziłem ten testament. Wiem, co zostało w nim zapisane. Jedyłą

spadkobierczynią pana Borii jest jego córka. Jestem tu z jej upoważnienia.

- Mimo to muszę uzyskać zgodę naszego radcy.

Miał już tego dość.

- Niech pan to zrobi. Niech pan powie Cathy Holden, że Paul Cutler w kierowanym przez pana oddziale banku jest nagabywany przez kogoś, kto nie zna prawa. Proszę jej powiedzieć, że jeśli zostaną zmuszony do wniesienia sprawy do sądu, bank zrekompensuje mi stracony czas, płacąc po dwieście dwadzieścia dolarów za godzinę. Takiej stawki zażądam w pozwie przeciwko wam.

Zastraszony menedżer z przeredzoną czupryną przez chwilę zdawał się rozważać sens usłyszanych słów.

- Zna pan naszą główną radczynię?

- Kiedyś dla niej pracowałem.

Przedstawiciel banku w milczeniu zastanawiał się jeszcze przez chwilę nad swym dość kłopotliwym położeniem; w końcu dał za wygraną.

- Proszę je wziąć. Ale niech pan złoży tu swój podpis.

Dania,

Moje serce codziennie krwawi z powodu tego, co przydarzyło się Yancy emu Cutlerowi. Był naprawdę wspaniałym człowiekiem, a jego żona bardzo dobrą kobietą. Wszyscy obecni na pokładzie samolotu również byli dobrymi ludźmi. I ci szlachetni ludzie nie powinni umierać w tak gwałtowny sposób. Mój zięć jest pogrążony w głębokiej żałobie, ja zaś boleję nad faktem, że odpowiedzialność spoczywa na moich barkach. Yancy dzwonił wieczorem w dniu poprzedzającym katastrofę. Odnalazł człowieka, którego brat pracował w posiadłości Loringa; tego, o którym wspominałeś. Miałeś rację. Nie powinienem prosić Yancy ego, by rozpytał się ponownie, gdy będzie we Włoszech.

Nie należało też wciągać w to innych. Wina spoczywa teraz na mnie i na Tobie. Dlaczego jednak nam się udało przeżyć aż do tej chwili? Co właściwie wiemy? Może już nie zagrażamy nikomu? Interesują się wyłącznie tymi, którzy zadają pytania albo docierają zbyt blisko.

Obojętność jest najwyraźniej o wiele bardziej bezpieczna niż nadmierna ciekawość. Minęło już tyle lat. Bursztynowa Komnata wydaje się raczej wspomnieniem niż ósmym cudem świata. Czy rzeczywiście komuś jeszcze na tym zależy? Uważaj na siebie i bądź zdrow, Dania. Napisz.

Karol

Dania,

Odwiedził mnie dziś człowiek z KGB. Tłusty Czeczen, cuchnący jak kanał ściekowy. Powiedział, że znalazł moje nazwisko w archiwach Nadzwyczajnej Komisji. W moim przekonaniu ślad był zbyt stary i zatarty, by ktoś jeszcze zechciał nim podążyć. A jednak się myliłem.

Bądź ostrożny. Pytał mnie, czy jeszcze żyjesz. Powiedziałem mu to, co mówię zawsze. On jednak jest przekonany, że spośród starej gwardii pozostaliśmy właśnie my dwaj. Wszyscy przyjaciele z dawnych czasów już odeszli. Na wszelki wypadek musimy przestać korespondować. Zwłaszcza teraz, kiedy znają mój adres. Moja córka spodziewa się dziecka. To będzie mój drugi wnuk. Tym razem dziewczynka, jak mi powiedzieli. Współczesna wiedza. Woląłem czasy, kiedy człowiek do końca nie wiedział. Ale mała dziewczynka będzie naprawdę miłutka. Wnuczek daje mi przecież tyle radości. Mam

nadzieję, że Twoje wnuki mają się dobrze. Uważaj na siebie, stary druhu.

Karol

Drogi Karolu,

Wysłałam Ci prasowe wycinki z gazety codziennej wydawanej w Bonn.

Jelcyn przyjechał do Niemiec, obwieszczać wszem i wobec, że wie, gdzie ukryto Bursztynową Komnatę. Dzienniki i czasopisma podniosły niesamowitą wrzawę. Czy wieści o tym dotarły również do Was, za Atlantykę? Rosyjski prezydent utrzymywał, że uczeni odnaleźli informacje w sowieckich archiwach Nadzwyczajnej Komisji do Spraw Zbrodni przeciwko Rosji, jak nazwał ją Jelcyn. Ha! Na dobrą sprawę, głupiec zdołał jedynie wytargować w Bonn pół miliarda marek na fundusz pomocowy; potem oficjalnie przeprosił, przyznając publicznie, że zapiski w archiwach nie dotyczyły Bursztynowej Komnaty, lecz odnosiły się do innych skarbów zrabowanych w Leningradzie.

Kolejna rosyjska brednia. Rosjanie. Sowietci. Naziści. Wszyscy tacy sami. Rozmowy dotyczące odzyskania rosyjskiego dziedzictwa to jedynie propagandowa bajeczka. W rzeczywistości oni wyprzedają nasze dziedzictwo. Gazety codzienne aż huczą od relacji na temat obrazów, rzeźb oraz klejnotów, które krążą po czarnym rynku. Naszą historię wyprzedaje się na targu starzyzną. Musimy dalej zapewnić bezpieczeństwo bursztynowym płytom. Przerrywamy więc korespondencję, przynajmniej na jakiś czas. Jestem bardzo wdzięczny za przesłaną fotografię Twojego wnuka. Domyślam się, ile radości Ci sprawia. Bądź zdrow, przyjacielu.

Dania

Dania,

Mam nadzieję, że ten list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Upłynęło bardzo wiele czasu, odkąd po raz ostatni miałem wiadomość od Ciebie.

Doszedłem do wniosku, że po trzech latach kolejny list nie będzie nadmiernym ryzykiem. Nie miałem już więcej gości; niewiele też nowych relacji na temat bursztynowych płyt przeczytałem. Od czasu mojego ostatniego listu córka rozwiodła się z mężem. Kochają się nadal, ale po prostu nie potrafią razem żyć. Moje wnuczęta mają się doskonale. Mam nadzieję, że Twoje również, Obaj jesteśmy już starzy. Byłoby miło zorganizować wyprawę i przekonać się, czy panele rzeczywiście tam są. Ale żaden z nas nie sprosta trudom podróży.

Oprócz tego nadal byłoby to zbyt ryzykowne. Ktoś na pewno obserwował Yancy'ego Cutlera, gdy ten wypytywał o Loringa. Wgłębi duszy jestem przekonany, że bomba nie była przeznaczona dla włoskiego ministra. Wciąż oplakuję oboje Cutlerów. Tak wiele osób zginęło, tropiąc Bursztynową Komnatę! Niech lepiej zostanie w ukryciu na wieki.

To już bez znaczenia. Żaden z nas nie zdoła dłużej jej chronić. Życzę zdrowia, stary druhu.

Karol

Rachel,

Mój najdroższy skarbie. Moja jedyna córeczko. Twój ojciec spoczywa teraz w spokoju obok twojej matki. Z pewnością jesteśmy razem, gdyż miłosierny Bóg na pewno nie odmówi dwojgu ludziom, którzy za życia bardzo się kochali, zaznania wspólnie wiecznej szczęśliwości. Piszę ten list, żeby dopowiedzieć to, co być może powinienem powiedzieć za życia. Zawsze byłaś świadoma mojej przeszłości i tego, co robiłem dla Sowietów, zanim wyemigrowałem. Grabiłem dzieła sztuki. Byłem zwykłym złodziejem, chociaż usankcjonowanym prawem i chronionym przez Stalina. Wydawało mi się wtedy, że robię to z nienawiści do nazistów, ale się myliłem. Zagrabiliśmy wiele dzieł sztuki, a wszystko pod przykrywką wojennych reparacji. Najusilniej poszukiwaliśmy Bursztynowej Komnaty. Była naszym dziedzictwem narodowym wykradzionym przez najeźdźców. Listy dołączone do tego pisma opisują po trosze dzieje naszych poszukiwań. Mój stary druha Dania i ja szukaliśmy bez wytchnienia. Czyją znaleźliśmy? Być może.

Żaden z nas nigdy tam nie dotarł i nie sprawdził tego. W tamtym czasie zbyt wiele osób wpadło na trop; kiedy zaś znaleźliśmy się niemal u celu, nie mieliśmy już złudzeń, że Sowietci są znacznie gorsi od Niemców. Postanowiliśmy pozostawić ją w spokoju. Wraz z Danią przysięgliśmy sobie, że nigdy nie ujawnimy tego, co wiemy albo może po prostu sądzimy, że wiemy. Dopiero kiedy Yancy zaoferował się, że przeprowadzi dyskretne dochodzenie i sprawdzi informację, którą kiedyś uznałem za wiarygodną, podjąłem ponownie wysiłki. Zadawał pytania podczas swojej ostatniej podróży do Włoch. Nigdy się nie dowiemy, czy eksplozja na pokładzie samolotu była związana z przeprowadzonym przez niego śledztwem, czy z czymś innym. Wiem tylko, że poszukiwanie Bursztynowej Komnaty jest bardzo niebezpieczne.

Mamy z Danią pewne podejrzenia, skąd pochodzi zagrożenie; być może słuszne. A może nie. Kontakt z moim dawnym przyjacielem przerwałem przed kilku laty. Na mój ostatni list nie odpowiedział. Być może także jest już tam, gdzie ja teraz się znalazłem.

Moja najdroższa Maya. Mój przyjaciel Dania. Wspaniali towarzysze życia wiekuistego.

Pozostaje mi tylko żywić nadzieję, że upłynie wiele lat, zanim do nas dołączysz, kochana córeczko. Niech Ci się wiedzie w życiu. Odnoś same sukcesy. Opiekuj się Marlą i Brentem. Tak bardzo ich kocham. Jestem z Ciebie bardzo dumny. Spróbuj dać Paulowi jeszcze jedną szansę.

Ale nigdy, absolutnie nigdy nie podejmuj poszukiwań Bursztynowej Komnaty. Przypomnij sobie historię Faetom i łzy jego sióstr Heliad.

Jego ambicję oraz ich smutek i żal. Być może bursztynowe płyty któregoś dnia zostaną odnalezione. Mam nadzieję, że tak się nie stanie.

Takiego skarbu nie powinno się jednak powierzać politykom. Niech lepiej już spoczywa we własnym grobie. Przekaż Paulowi, jak bardzo jest mi przykro. Kocham Cię.

18.34

Serce waliło Paulowi, gdy Rachel podniosła wzrok znad ostatniego listu, który napisał do niej ojciec. Z jej zielonych oczu po smutnej twarzy spływały łzy. Niemal odczuwał jej ból.

Nie byłby w stanie powiedzieć, kiedy ustało jego własne cierpienie, a kiedy zaczęło się jej.

- Pisał tak zgrabnie - powiedziała.

Przytaknął.

- Nauczył się dobrze angielskiego. Bez ustanku czytał.

Wiedział więcej ode mnie o imiesłowowych równoważnikach zdań oraz rzeczownikach w funkcji przydawki. Sadzę, że mówił specjalnie łamaną angielszczyzną, żeby podkreślić swoje więzi z ojczystym językiem. Biedny tata.

Kasztanowe włosy zawiązała w koński ogon. Nie była umalowana; miała na sobie biały frotowy szlafrok narzucony na flanelową nocną koszulę. Dom opuścili już ostatni żałobnicy. Dzieci zamknęły się w swoich pokojach, silnie rozemocjonowane po dniu pełnym przeżyć. Lucy dreptała po pokoju stołowym.

- Przeczytałeś wszystkie listy? - zapytała.

Skinął głową.

- Po wyjściu z banku. Pojechałem z powrotem do domu twojego ojca i zapoznałem się z treścią dokumentów.

Siedzieli w jadalni domu Rachel. W ich dawnej wspólnej jadalni. Dwa segregatory z artykułami na temat Bursztynowej Komnaty wyciętymi z gazet, mapa Niemiec oraz egzemplarz „USA Today”, testament, korespondencja Karola i Dani oraz list ojca do Rachel zakrywały niemal cały stół. Poinformował ją, co znalazł i gdzie. Powiedział jej również o artykule w „USA Today”, o który jej ojciec specjalnie go prosił w piątek, oraz o jego zainteresowaniu osobą Waylanda McKoya.

- Tato oglądał wiadomości na kanale CNN, kiedy zostawiłam z nim dzieciaki. Zapamiętałem to nazwisko - odparła, moszcząc się w fotelu. - Skąd właściwie wziął się segregator w lodówce? To do niego niepodobne. Co się stało, Paul?

- Nie wiem. Ale Karol bez wątplenia interesował się Bursztynową Komnatą - odpowiedział, wskazując na ostatni list Borii. - Co on miał na myśli, pisząc o Faetonie i łzach Heliad?

- To jeszcze jedna historia, którą często mi odpowiadała mama. Faeton to śmiertelnik, chociaż syn Heliosa, boga Słońca. Byłam tą opowieścią zafascynowana. Tata też uwielbiał mitologię. Powiedział kiedyś, że uciekając myślami ku fantazjom, zdołał przetrwać piekło Mauthausen - oddała się na moment wspomnieniom, przeglądając machinalnie prasowe wycinki i kserokopie. - Sądził, że na niego spadała odpowiedzialność za to, co przydarzyło się twoim rodzicom oraz reszcie osób na pokładzie samolotu. Nie widzę związku.

On myślał o tym również. W ciągu ostatnich dwóch godzin nie mógł się skupić na niczym innym.

- Czy twoi rodzice nie polecili do Włoch, by załatwić jakieś sprawy w tamtejszych muzeach? - zapytała Rachel.

- Cała rada muzeum tam poleciała w celu wypożyczenia dzieł sztuki z kilku włoskich muzeów.

- Tata zdawał się podejrzewać coś innego.

On także zwrócił uwagę na słowa napisane przez Borię, że nie powinien ponownie prosić Yancyego o rozpytywanie się we Włoszech.

Dlaczego użył wyrazu „ponownie”?

- Nie chcesz wiedzieć, co się wydarzyło? - niespodziewanie i z mocą spytała Rachel.

Znał ten ton głosu od lat, nie lubił go; nie podobał mu się również teraz.

- Nic takiego nie powiedziałem. Chodzi o to, że upłynęło już dziewięć lat i niemal niemożliwe wydaje mi się znalezienie wyjaśnienia. Mój Boże, Rachel, przecież nie znaleziono nawet ciał!

- Paul, twoi rodzice być może zostali zamordowani, a ty nie zamierzasz nic w tej sprawie zrobić?

Porywczą i upartą. Jak mówił Karol, odziedziczyła obie cechy po matce. Racja.

- Tego też nie powiedziałem. Po prostu nie mam pojęcia, jak się za to zabrać.

- Możemy odnaleźć Danię Czapajewa.

-Co masz na myśli?

- Mówię o Czapajewie. Może wciąż jeszcze żyje - wyjaśniła i Spojrzała na koperty z adresem zwrotnym. - Nie będzie chyba zbyt trudno odnaleźć Kehlheim.

- Leży na terenie południowych Niemiec, w Bawarii.

- Znalazłem miasto na mapie.

- Sprawdziłeś?

- Nietrudno było je znaleźć; Karol zakreślił nazwę obwódka.

Rozłożyła mapę i też to zobaczyła.

- Tata twierdził, że wiedział coś na temat kryjówki Bursztynowej Komnaty, ale nigdy nie pojechał w to miejsce, żeby sprawdzić. Być może Czapajew nam powie, o co w tym wszystkim chodzi?

Nie wierzył, że to powiedziała.

- Czytałaś, co ojciec napisał do ciebie? Ostrzegał wyraźnie, żebyś nie zajmowała się Bursztynową Komnatą! Odszukanie Czapajewa jest chyba jedną z tych rzeczy, których z pewnością nie życzyłyby sobie, żebyś uczyniła.

- Czapajew może wiedzieć więcej na temat tego, co przydarzyło się twoim rodzicom.

- Jestem prawnikiem, Rachel, nie detektywem z międzynarodową licencją!

- W porządku. W takim razie przekażmy sprawę policji.

- Powinni się tym zająć.

- To bardziej rozsądne niż twoja pierwsza sugestia. Ale sprawa pochodzi sprzed wielu lat.

Jej twarz stężała.

- Mam tylko nadzieję, do diabła, że Marla i Brent nie odziedziczą po tobie tego cholernego charakteru sangwinika! Chcę wierzyć, że będą drążyli sprawę, jeśli samolot, na którego pokładzie będziemy oboje, wybuchnie nagle gdzieś na niebie.

Wiedziała dokładnie, jak uderzyć, by wzbudzić w nim złość. Była to jedna z rzeczy, których najbardziej w niej nie lubił.

- Przeczytałaś artykuły? - zapytał. - Ludzie tropiący Bursztynową Komnatę umierali. Być może należeli do nich i moi rodzice. A może nie. Jedno jest pewne: twój ojciec nie życzył sobie, żebyś się tym zajmowała! To dziedzina zupełnie nie wchodząca w zakres twoich zawodowych zainteresowań.

- Twoja wiedza o sztuce zmieści się w napaństku.

- Podobnie jak twoja odwaga.

Patrząc prosto w jej rozgniewane oczy, ugryzł się w język i usiłował okazać zrozumienie. Rankiem pochowała ojca. A mimo to jedno słowo wciąż kołatało mu pod czaszką.

Suka.

Wziął głęboki oddech.

- Druga z twoich sugestii jest bardziej praktyczna. Dlaczego nie mamy pozwolić policji, by zajęła się tą sprawą? - powiedział cicho, a potem zrobił krótką pauzę. - Wiem, że jesteś wstrząśnięta. Ale, Rachel, śmierć Karola to tragiczny wypadek.

- Problem w tym, Paul, że gdyby tak nie było, to i mojego ojca musielibyśmy dopisać do listy ofiar, na której znajdują się prawdopodobnie twoi rodzice! - wygarnęła, rzucając w jego stronę spojrzenie z rodzaju tych, które widywał nazbyt często. - Nadal zamierzasz być praktyczny?

ŚRODA, 14 MAJA, 10.25

Rachel zmusiła się, by wstać z łóżka i ubrać dzieci. Potem podwiozła je do szkoły i niechętnie ruszyła w kierunku sądu.

Nie była w swoim gabinecie od ostatniego piątku, bo w poniedziałek i wtorek wykorzystała urlop okolicznościowy.

Przez cały ranek sekretarka starała się ułatwiać jej pracę, nie wpuszczając nieproszonych gości, przełączając rozmowy telefoniczne, odsyłając z kwitkiem sędziów i prawników. Na początek tygodnia na wokandzie postawiono sprawy cywilne, ale wszystkie pospieszenie odroczone. Przed godziną Rachel zadzwoniła do komendy policji w Atlancie i zażądała, by przysłano do niej kogoś z wydziału zabójstw. Nie należała do przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości ulubionych przez policjantów. Miała opinię bardzo bezwzględnego prokuratora i wszyscy byli przekonani, że jako sędzia będzie po stronie policji.

Liberalna - tak określali ją „bracia policjanci” i dziennikarze.

Zdrajczyni - ten epitet wypowiadali szeptem detektywi z wydziału narkotyków. Ale ona się nie przejmowała ani jednymi, ani drugimi. Konstytucja została ustanowiona po to, żeby bronić ludzi. Zdaniem Rachel policja miała obowiązek przestrzegać konstytucyjnych praw obywateli, a nie je łamać. Natomiast jej własna rola polegała na dopilnowaniu, żeby gliny nie chodziły na skróty. Wiele razy ojciec jej powtarzał, że kiedy władza wykonawcza wychodzi przed prawo, tyrania postępuje tuż za nią.

Nikt nie mógł lepiej znać tej prawdy niż on właśnie.

- Sędzio Cutler - usłyszała głos sekretarki dochodzący z telefonu. Zwykle mówiły sobie po prostu Rachel i Sami;

tylko kiedy zjawiał się ktoś z zewnątrz, Sami zwracała się do niej oficjalnie. - Przyszedł porucznik Barlow z komendy policji w Atlancie. Prosiła pani o to przez telefon.

Otarła pospieszenie oczy chusteczką. Obraz ojca leżącego na marach wyzwolił kolejny strumień łez. Wstała i wygładziła bawełnianą spódnicę oraz bluzkę.

Drzwi z drewnianych płyt się otworzyły i do środka pewnym krokiem wszedł chudy mężczyzna o falujących czarnych włosach. Zamknął za sobą drzwi i przedstawił się jako Mikę Barlow, detektyw z wydziału zabójstw.

Odzyskała sędziowski spokój oraz opanowanie i wskazała mu krzesło.

- Dziękuję, poruczniku, że zechciał się pan fatygować.

- Żaden kłopot. Komenda policji jest zawsze do dyspozycji przedstawicieli Temidy.

Coś ją uderzyło w tonie jego głosu: był fałszywie serdeczny, traktował ją niemal protekcjonalnie.

- Po rozmowie telefonicznej sięgnąłem do raportu dotyczącego śmierci pani ojca. Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Wydaje się, że był to jeden z tych nieszczęśliwych wypadków, które czasem się zdarzają.

- Mój ojciec był bardzo sprawny fizycznie. Ciągle jeszcze jeździł samochodem. Na dobrą sprawę, nie miał kłopotów ze zdrowiem; pokonywał te feralne schody od lat bez najmniejszego problemu.

- Sugeruje pani, że...

Ton jego głosu podobał się jej coraz mniej.

- Chcę wiedzieć, co pan sugeruje.

- Pani sędzio, zrozumiałem aluzję. Ale nie ma tu nic, co wskazywałoby na przestępstwo.

- On przeżył nazistowski obóz koncentracyjny, poruczniku. Jestem przekonana, że poradziłby sobie ze schodami.

Barlow zdawał się nie reagować na jej zaczepki.

- W raporcie nie stwierdzono, że z domu coś zostało skradzione. Portfel znajdował się w komodzie. Telewizor, wieża stereo, kamera wideo - wszystko było na miejscu. Frontowe oraz tylne drzwi nie były zamknięte. Nie ma najmniejszych śladów wskazujących, że ktoś dokonał włamania. Gdzież więc tu motyw zabójstwa?

- Ojciec nigdy nie zamykał drzwi.

- To niezbyt rozsądne, ale nie sądzę, by miało związek z jego śmiercią. Proszę posłuchać: zgadzam się z panią, że brak dowodów kradzieży może budzić podejrzenie o morderstwo, ale nie dysponujemy niczym, co wskazywałoby, że ktoś obcy był domu w czasie, kiedy on umierał.

Była zaskoczona.

- Pańscy ludzie przeszukali dom?

- Powiedziano mi, że się rozejrzeli. Chyba niezbyt skrupulatnie. Stwierdzili, że nie ma potrzeby. Ciekaw jestem, jaki pani zdaniem mógłby być ewentualny motyw zabójstwa? Czy pani ojciec miał wrogów?

Nie odpowiedziała. Zamiast tego zapytała:

- Co stwierdził lekarz sądowy?

- Skręcenie karku. Spowodowane upadkiem. Żadnych śladów innych urazów poza

siniakami na rękach i nogach, powstałych także podczas upadku. Pytam więc ponownie, pani sędzio: jakie argumenty przemawiają za tym, że śmierć ojca nie nastąpiła wskutek nieszczęśliwego wypadku?

Rozważała, czy nie powiedzieć mu o segregatorze ukrytym w lodówce, o Dani Czapajewie, Bursztynowej Komnacie oraz rodzicach Paula. Ten arogancki dupek najwidoczniej jednak chciał stąd jak najszybciej wyjść, a ona nie mogła sobie pozwolić na rozwijanie spiskowej teorii dziejów. Policjant miał rację. Nie było najmniejszego choćby dowodu, że ktoś zepchnął ojca ze schodów. Nic, co łączyłoby jego śmierć z jakąś tam „klątwą Bursztynowej Komnaty”, jak ją określono w jednym z artykułów. Cóż z tego, że ojciec interesował się tą sprawą? Kochał sztukę. Na co dzień miał z nią do czynienia. Cóż z tego, że tuż przed śmiercią czytał artykuły na ten temat w swoim gabinecie oraz że żywo interesował się działaniami człowieka, który wyruszał do Niemiec z zamiarem grzebania w starych kopalnianych wyrobiskach? Przepaść dzieli te fakty i morderstwo. Być może Paul miał rację. Postanowiła więc rozminąć się nieco z prawdą, gdy udzielała odpowiedzi gliniarzowi:

- Żadne, poruczniku. Ma pan zupełną rację. To tylko tragiczny wypadek. Dziękuję panu za fatygę.

Siedziała posępnie w swoim gabinecie i powróciła myślami do chwili, kiedy miała szesnaście lat, a ojciec po raz pierwszy opowiedział jej o obozie w Mauthausen oraz o tym, jak Rosjanie i Holendrzy harowali w kamieniołomie, jak ciągnęli bloki skalne ważące po kilka ton po długich i wąskich stopniach prowadzących do obozu, a tam inni więźniowie za pomocą dłut rozłupywali je na mniejsze kawałki.

Żydzi nie mieli nawet tyle szczęścia. Każdego dnia zrzucano ich dla zabawy z urwiska w kamieniołomie; ich krzyki odbijały się echem od kamiennych ścian, gdy lecieli w dół, a strażnicy zakładali się o to, ile razy z kolei ciała odbiją się od ziemi, zanim wreszcie znieruchomią. W końcu obozowi esesmani musieli przerwać te niecne praktyki, gdyż obniżało to wydajność pracy.

„Nie dlatego, że zabijali ludzi - mówił jej ojciec - lecz wyłącznie z tego powodu, że obniżało to wydajność pracy”.

Tamtego dnia ojciec nie zdołał powstrzymać łez. Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy się rozplakał; ona zapłakała wraz z nim. Matka opowiadała o jego wojennych przeżyciach oraz o tym, czym zajmował się po wojnie; ojciec jednak chyba niechętnie wspominał tamte czasy. Widziała zawsze niewielki tatuaż na jego prawym przedramieniu, czekając, kiedy wyjawí jego pochodzenie.

„Zmuszali nas do wbiegania na płot pod wysokim napięciem. Niektórzy rzucali się z własnej woli, wyczerpani do granic wytrzymałości. Innych rozstrzeliwano, wieszano lub robiono im zastrzyk w serce. Gaz pojawił się później”.

Zapytała, ilu ludzi wymordowano w Mauthausen. Odpowiedział bez wahania, że sześćdziesiąt procent spośród blisko dwustu tysięcy nigdy nie wyszło poza druty. On znalazł się w obozie w kwietniu 1944 roku. Wkrótce potem dowieziono węgierskich Żydów, których wyrzynano po kolei, jak owce.

Pomagał wywlekać ciała z komór gazowych i przenosić do pieca. Było to codzienne, rutynowe zajęcie, niczym wyrzucanie odpadków na śmietnik; tak przynajmniej traktowali je strażnicy. Przypominała sobie, jak ojciec opowiedział jej o pewnej szczególnej nocy tuż przed końcem wojny, kiedy przez bramę dziarskim krokiem wkroczył na teren obozu sam Hermann Göring, odziany w perłowszary mundur.

„Zło na dwóch nogach” - wyraził się o nim.

Göring rozkazał zamordować czterech Niemców; między innymi jej ojciec musiał polewać wodą nagie ciała nieszczęśników stojących na mrozie, dopóki nie zamrzli. Przez cały czas człowiek mianowany następcą Führera stał beznamytnie, trzymając w palcach bryłkę bursztynu i usiłując wyciągnąć jakieś informacje na temat Bursztynowej Komnaty. Spośród wszystkich okropieństw, które przeżył w Mauthausen, ta noc z Göringiem najsilniej utkwiała ojcu pamięci.

I wpłynęła na dalsze jego losy.

Po wojnie, podczas procesu norymberskiego, wysłano go do więzienia, w którym miał poprowadzić przesłuchanie naczelnego dowódcy Luftwaffe.

- Czy przypomniał sobie ciebie? - zapytała.
- Moja twarz w Mauthausen nic dla niego nie znaczyła.
- Ale Göring pamiętał te nocne tortury. Oświadczył, że dzielna do samego końca postawa żołnierzy wzbudziła jego szczerzy podziw „Niemiecka rasa panów”, skomentował nawet.

Gdy usłyszała o przeżyciach ojca z Mauthausen, zaczęła jeszcze bardziej go kochać. To, co przeszedł, przekraczało w zasadzie ludzką wyobraźnię; fakt, że przeżył, wydawał się niepojęty. A to, że nie postradał po tym wszystkim zmysłów i miał zdrową psychikę, zakrawało na cud.

Rachel płakała rzewnymi łzami, siedząc w pustym gabinecie. Najdroższy jej człowiek odszedł. Jego głos umilkł na zawsze, jego miłość jest już tylko wspomnieniem. Po raz pierwszy w życiu była zupełnie sama. Niemal cała rodzina obojga jej rodziców została

zglądzona w czasie wojny. Z tymi, którym udało się przeżyć gdzieś na Białorusi, nie miała kontaktu; oprócz tego byli jej obcy, łączyły ich tylko geny. Cała jej rodzina to dwójka dzieci. Przypomniała sobie zakończenie tamtej rozmowy sprzed dwudziestu czterech lat.

-Tato, czy udało ci się odnaleźć Bursztynową Komnatę?

Długo patrzył na nią przygnębionym wzrokiem. Zastanawiała się wtedy i teraz, czy było coś, czego nie chciał czy nie mógł jej powiedzieć. Coś, o czym powinna wiedzieć. Trudno rozstrzygnąć. Odparł w końcu:

- Nigdy, mój skarbie.

Ale tym samym tonem przekonywał ją, że istnieje Święty Mikołaj i Wielkanocny Królik oraz dobra wróżka zabierająca mleczny ząb i zostawiająca pieniążek. Puste słowa, po prostu wypowiedziane. Teraz, kiedy przeczytała korespondencję między ojcem a Danią Czapajewem oraz list napisany specjalnie dla niej, była całkowicie pewna, że coś się za tym kryło. Ojciec miał jakąś tajemnicę, i to najwyraźniej od dziesiątków lat.

A teraz odszedł.

Tylko jeden człowiek może jej wyjawić ten sekret.

Dania Czapajew.

Wiedziała już, co ma robić.

Rachel wyszła z windy na dwudziestej trzeciej kondygnacji i pomaszerowała w stronę drzwi z drewnianych płyt z napisem PRIDGEN & WOODWORTH. Kancelaria prawnicza zajmowała to i następne piętro śródmiejskiego wieżowca.

Paul rozpoczął pracę w tej kancelarii natychmiast po zakończeniu studiów prawniczych. Ona początkowo pracowała w biurze prokuratora okręgowego, potem w kancelarii w Atlancie. Spotkali się jedenaście miesięcy później, a po dwóch latach pobrali. Ich konkury przebiegały w sposób narzucony przez Paula, który nigdy z niczym się nie spieszył.

Był przesadnie ostrożny. Bardzo poukładany. Wykorzystać sposobność, pójść na całość, podjąć ryzyko - sama myśl o czymś takim po prostu go paraliżowała. To ona zaproponowała mu małżeństwo, na które przystał ochoczo.

Uważała go za przystojnego, nawet bardzo. Nie była to uroda klasyczna ani specjalnie wysublimowana; zwyczajnie ją pociągał. I był uczciwy Oraz wręcz obsesyjnie niezawodny.

Jednak jego zachowawczość stopniowo zaczęła ją denerwować.

Co złego widział w tym, by raz na jakiś czas zjeść w niedzielę coś innego na obiad? Pieczeń, ziemniaki, kukurydza, zielony groszek, bułki i mrożona herbata. Co niedzielę przez wszystkie wspólne lata. Paul bynajmniej nie domagał się tego, ale zawsze najbardziej

cieszyło go to samo. Na początku ta jego przewidywalność jej się podobała. Zapewniała psychiczny komfort.

Rytuały stabilizowały jej życie. Pod koniec ich związku jednak odczuwała to jak ogromny i bolesny wrzód na tyłku.

Ale dlaczego?

Czy rutyna jest aż tak zła?

Paul był dobrym, przyzwoitym człowiekiem; osiągnął sukces. Była z niego dumna, chociaż rzadko dawała mu to odczuć. Był drugi w hierarchii w wydziale spadków i testamentów. Całkiem niezłe jak na czterdziestoletniego faceta, który na studia prawnicze dostał się dopiero po kilku podejściach. Ale Paul znał prawo spadkowe. Zgłębiał je nieustannie, koncentrując się na wszystkich niuansach, udzielając w komisjach legislacyjnych. Był ekspertem w swojej dziedzinie, a w Pridgen & Woodworth płacono mu dostatecznie wysoką pensję, by nie kusily go propozycje konkurencyjnych firm.

Kancelaria zarządzała tysiącami majątków pozostawionych w spadku, w tym wieloma wcale okazałymi, a większość napływających do niej spraw była zasługą szerokiej jak stan Georgia reputacji Paula Cutlera.

Pchnęła drzwi i ruszyła labiryntem korytarzy do biura Paula. Zadzwoiła, zanim wyszła ze swojego gabinetu, spodziewał się więc jej wizyty. Weszła i od razu zamknęła drzwi.

- Wyjeżdżam do Niemiec - oznajmiła.

- Paul podniósł wzrok.

- Dokąd?

- Nie przejęczyłam się. Jadę do Niemiec.

- Chcesz odnaleźć Czapajewa? On prawdopodobnie nie żyje. Nawet nie odpowiedział na ostatni list twojego ojca.

- Muszę coś zrobić! Paul wstał zza biurka.

- Czy ty zawsze musisz coś zrobić?

- Tata znał tajemnicę Bursztynowej Komnaty. Muszę to sprawdzić, jestem mu to winna.

- Jesteś mu to winna? - zdziwił się Paul, podnosząc nieco głos. - Twoją powinnością jest uszanowanie jego ostatniej woli, w której kazał ci trzymać się z dala od tej sprawy, cokolwiek by się działo. Do cholery, Rachel, masz już czterdzieści lat! Kiedy w końcu wydoroslejesz?

Stała zupełnie spokojna, zastanawiając się, jak zareagować na taką połajankę.

- Nie chcę z tobą walczyć, Paul. Proszę, żebyś zaopiekował się dziećmi. Mogę na ciebie liczyć?

- Cała Rachel! Leci w ogień jak ćma. Zrobi pierwszą rzecz, jaka jej przyjdzie do głowy. Nie pomyśli. Po prostu zrobi to.

- Zajmiesz się dziećmi?
- Czy gdybym powiedział „nie”, zostałabyś?
- Poprosiłabym o to twojego brata.

Paul usiadł. Z jego twarzy wywnioskowała, że się poddał.

- Możesz mieszkać w domu - dodała. - Tak będzie łatwiej dzieciom. Wciąż są wstrząśnięte śmiercią taty.

- Byłyby jeszcze bardziej wstrząśnięte, gdyby wiedziały, co zamierza ich matka. Zapomniałaś o kampanii wyborczej?

Zostało niecałe osiem tygodni; masz dwóch przeciwników, którzy usilnie pracują, by zrzucić cię ze stołka. Teraz na dodatek dofinansowani zostali przez Marcusa Nettlesa.

- Pieprzę wybory. Nettles może sobie kupić to przeklęte sędziostwo. To jest ważniejsze.

- Co jest ważniejsze? Nie wiemy nawet, o co chodzi. A co z rozprawami, które są na wokandzie? Jak możesz - ot, tak po prostu - wstać i wziąć urlop?

Uznała za zasadne dwa z jego argumentów, nie osłabiło to jednak jej determinacji.

- Prezes sądu wykazał zrozumienie. Powiedziałam, że potrzebuję nieco czasu na ochłonięcie po śmierci ojca. Od dwóch lat nie miałam wakacji. Mam mnóstwo urlopu do wykorzystania.

Paul kręcił z niedowierzaniem głową.

- Zamierzasz gonić wiatr po polach Bawarii w poszukiwaniu człowieka, który prawdopodobnie nie żyje, oraz czegoś, co prawdopodobnie jest bezpowrotnie utracone. Nie ty pierwsza chcesz odnaleźć Bursztynową Komnatę. Ludzie poświęcali życie na jej poszukiwania i nic nie znaleźli.

Nie miała zamiaru ustąpić.

- Tata wiedział o czymś ważnym. Czuję to. Ten Czapajew może o tym również wiedzieć.

- Bujasz w obłokach.

- A ty jesteś tchórzem - wyrzuciła z siebie i natychmiast pożałowała tych słów oraz tonu. Nie było potrzeby go ranić.

- Puszczam to mimo uszu, bo wiem, że jesteś zdenerwowana - odparł powoli.

- Jutro wieczorem lecę do Monachium. Potrzebne mi będą kopie listów ojca oraz artykuły z jego segregatorów.

- Podrzucę ci je w drodze do domu - w jego głosie jak zwykle zabrzmiała kapitulacja.

- Zadzwoń do ciebie z Niemiec i dam znać, gdzie się zatrzymałam - rzuciła, kierując się już w stronę drzwi. Odbierz jutro dzieciaki ze szkoły.

- Rachel.

Zatrzymała się, lecz nie odwróciła.

- Bądź ostrożna.

Otworzyła drzwi i wyszła.

CZEŚĆ DRUGA

CZWARTEK, 15 MAJA, 10.15

Knoll opuścił hotel i złapał podmiejski pociąg, którym dojechał do gmachu sądu hrabstwa Fulton. Z notatki KGB, którą wykradł z archiwum w Sankt Petersburgu, wiedział, że Rachel Cutler jest prawnikiem. Znalazł w niej także adres jej firmy. Jednak wczorajsza wizyta w tym miejscu okazała się bezowocna. Przed czterema laty opuściła kancelarię, gdyż została wybrana na sędziego sądu okręgowego. Recepcjonistka była wyjątkowo uprzejma, podając mu nowy numer telefonu oraz adres. Zdecydował, że telefon może skończyć się szybką i suchą odmową, dlatego niezapowiedziana wizyta wydała mu się lepszym rozwiązaniem.

Minęło pięć dni, odkąd zamordował Karola Borię.

Musiał się upewnić, czy córka wie cokolwiek o Bursztynowej Komnacie. Być może ojciec wspomniał coś w minionych latach. Może wiedziała coś o Czapajewie. W sumie to stara historia, ale teraz wszystko zaczęło mu się wymykać z rąk i nie powinien przegapić najdrobniejszej informacji. Trop, który jeszcze niedawno wydawał się intrygujący, zaprowadził go donikąd.

Wsiadł do zatłoczonej windy i wjechał na szóstą kondygnację gmachu sądowego. Po obu stronach korytarza znajdowały się sale rozpraw oraz biura pełne klientów. Miał na sobie szary garnitur, koszulę w paski oraz bladożółty jedwabny krawat, który kupił wczoraj w sklepie z męską garderobą.

Z rozmysłem dobrał pastelowe kolory, by wyglądać na solidnego konserwatystę.

Pchnął szklane drzwi z napisem SĘDZIA RACHEL CUTLER i wszedł do pustego przedpokoju, w którym za biurkiem siedziała trzydziestokilkuletnia czarnoskóra kobieta. Na identyfikatorze widniało jej imię i nazwisko: SAMI LUFFMAN.

- Dzień dobry - powiedział najlepszą angielszczyzną, na jaką było go stać. Kobieta się uśmiechnęła i odwzajemniła pozdrowienie. - Nazywam się Christian Knoll.

Podał jej wizytówkę podobną do tej, która posłużył się u Borii; tym razem jednak widniał na niej napis KOLEKCJONER SZTUKI, bez tytułu akademickiego i adresu.

- Czy mam szansę porozmawiać z panią sędzią? Kobieta wzięła wizytówkę.
- Przykro mi, ale sędzia Cutler jest dzisiaj nieobecna.
- Mam bardzo ważną sprawę, naprawdę muszę z nią porozmawiać.
- Czy pańska sprawa wiąże się z procesami toczącymi się w naszym sądzie?

Zaprzeczył ruchem głowy, z miną zakłopotaną i niewinną.

- Ależ nie, to sprawa osobista.
- Ojciec pani sędzi zmarł w zeszłym tygodniu...
- Ach, jak mi przykro - powiedział z udawanym współczuciem. - To dla niej zapewne

wstrząs.

- Tak, to okropne. Bardzo ją to poruszyło i zdecydowała się na krótki urlop.
- Ubolewam, nie tylko ze swojego, ale i z jej powodu.
- Jestem w mieście tylko do jutra i miałem nadzieję, że porozmawiam z sędzią Cutler przed wyjazdem. Być może mogłaby pani przekazać jej moją prośbę o telefon do hotelu?

Sekretarka przez chwilę się zastanawiała, on zaś wykorzystał ten czas, by przyjrzeć się oprawionej fotografii wiszącej na ścianie wyklejonej tapetą. Stała na niej przed jakimś mężczyzną kobieta z podniesioną prawą ręką, jakby składała przysięgę. Miała ciemnobrązowe włosy do ramion, zadarty nos i głębokie spojrzenie. Ubrana była w czarną togę, trudno zatem było powiedzieć cokolwiek o jej figurze. Policzki pokrywał rumieniec, a lekki uśmiech był dyskretny, odpowiedni do wagi chwili. Wskazał ręką na zdjęcie.

- Sędzia Cutler?
- Jak składała przysięgę cztery lata temu.

Była to ta sama kobieta, którą widział we wtorek na pogrzebie Karola Borii. Stała na przedzie tłumu żałobników, przytulając dwójkę małych dzieci, chłopca i dziewczynkę.

- Mogę przekazać sędzi pańską wiadomość, ale nie jestem pewna, czy zdoła skontaktować się z panem.

- Dlaczego?
- Wylatuje dziś po południu.
- Wybiera się w podróż?
- Tak, do Niemiec.

- To cudowny wybór. - Musiał się dowiedzieć, dokąd konkretnie jedzie, czyli wypróbować trzy główne miejsca odlotów. - Berlin jest piękny o tej porze roku. Podobnie jak Frankfurt i Monachium.

- Jedzie do Monachium.
- Ach! To magiczne miasto. Może wyjazd przyniesie jej ulgę w okresie żałoby?
- Mam nadzieję.

Wiedział już wystarczająco dużo.

- Dziękuję, pani Luffman. Była pani bardzo uprzejma.
- To adres mojego hotelu. - Wymyślił naprędce nazwę oraz numer pokoju; nie

potrzebował już kontaktu. - Proszę przekazać pani Cutler, że złożyłem jej wizytę.

- Spróbuję - odparła.

Odwrócił się w stronę wyjścia, ale spojrzał jeszcze raz na fotografię na ścianie, zapisując w pamięci wizerunek Rachel Cutler.

Zjechał z góry i znalazł się na półpiętrze. Po przeciwnej stronie wisiały rzędem aparaty telefoniczne. Przeszedł tam i wystukał numer prywatnej linii Franza Fellnera na starym kontynencie. W Niemczech dochodziła teraz piąta po południu. Nie był pewien, kto odbierze oraz komu będzie musiał zdać relację. Bez wątpienia władza przechodziła teraz z rąk do rąk: Fellner stopniowo się wycofywał, przekazując kontrolę nad interesem Monice. Starszy pan nie należał do osób, które bez wahania oddają stery, szczególnie gdy stawką w grze było coś tak wielkiego i wspaniałego jak Bursztynowa Komnata.

- Słucham - po dwóch dzwonekach odezwała się Monika.

- Pełnisz obowiązki sekretarki?- zapytał po niemiecku.

- Najwyższy czas, żebyś się odezwał. Minął już prawie tydzień. Z tarczą czy na tarczy?

- Powinniśmy sobie coś wyjaśnić. Nie mam zamiaru meldować się codziennie jak sztubak. Dajesz mi zlecenie i wolną rękę. Dzwonię wtedy, kiedy uznam to za konieczne.

- Zrobiliśmy się drażliwi, czy tak?

- Nie zgadzam się na ścisły nadzór.

- Przypomnę ci o tym, kiedy następnym razem znajdziesz się między moimi udami.

Uśmiechnął się. Trudno było przycisnąć ją do muru.

- Znalazłem Borię. Upierał się, że niczego nie wie.

- I ty mu uwierzyłeś?

- Czyżbym coś takiego powiedział?

- Ale on nie żyje, prawda?

- Tragiczny wypadek: spadł ze schodów.

- Ojcu nie będzie się to podobać.

- Sądziłem, że to ty rządzisz?

- Tak, ale mówiąc szczerze, to nie ma znaczenia. A oprócz tego ojciec ma rację: niepotrzebnie ryzykujesz.

- Nigdy nie podejmuję niepotrzebnego ryzyka.

Tym razem był istotnie bardzo ostrożny. Podczas pierwszej wizyty nie dotknął niczego oprócz szklanki z herbatą, którą wymył, przychodząc po raz drugi, już w rękawiczkach.

- Powiedzmy, że uznałem to za konieczne z uwagi na zaistniałe okoliczności.

- Co takiego zrobił? Wystawił na szwank twoją dumę? Zdumiewające, jak Monika

potrafiła czytać w jego duszy, nawet z odległości czterech tysięcy mil. Nie zdawał sobie sprawy, że jest dla niej tak przewidywalny.

- To nieistotne.
- Któregoś dnia wyczerpiesz limit szczęścia, Christianie.
- A ty mówisz tak, jakbyś czekała z utęsknieniem na ten dzień.
- Niezupełnie. Niełatwo będzie cię zastąpić.
- O czym mówisz?
- O wszystkim, draniu.

Uśmiechnął się. Dobrze wiedzieć, że jej również nie jest obojętny.

- Dowiedziałem się, że córka Borii wybiera się do Monachium. Być może ma zamiar odwiedzić Czapajewa.

- Skąd ci przyszedł do głowy ten pomysł?

- Boria najwyraźniej migał się od odpowiedzi oraz powiedział coś interesującego na temat bursztynowych płyt.

- Że może lepiej, by nie zostały odnalezione.
- Może jego córka po prostu wybrała się na wakacje.
- Wątpię. To nie może być zbieg okoliczności.
- Zamierzasz ruszyć za nią?
- Jeszcze dziś po południu. Teraz muszę jeszcze coś załatwić.

Suzanne obserwowała Christiana Knolla z drugiej strony antresoli. Siedziała w zatłoczonej poczekalni przy szklanych drzwiach, na których widniał napis SEKRETARIAT SĄDU, GRZYWNY ZA WYKROCZENIA DROGOWE. Blisko siedemdziesiąt pięć osób stało; w kolejce, by podejść do biurka i odebrać pozew; panował chaos, w powietrzu unosił się dym z papierosów mimo rozwieszonych, gdzie tylko się dało, tabliczek z napisem ZAKAZ PALENIA.

Śledziła Knolla od soboty Złożył dwie wizyty w Muzeum Sztuki w Atlancie oraz kolejną w jednym z biurów położonych w centrum miasta. We wtorek uczestniczył w pogrzebie Karola Borii. Ona obserwowała ceremonię, stojąc po drugiej stronie ulicy Wczoraj wpadł na chwilę do biblioteki publicznej oraz zrobił zakupy w pasażu handlowym; za to dziś był na nogach od rana i ciągle w ruchu.

Krótkie blond włosy wcisnęła pod rudobrązową perukę.

Makijaż zmienił jej twarz, a oczy zakryła parą tandetnych okularów przeciwsłonecznych. Miała na sobie dopasowane džinsy, bluzkę bez kołnierza z olimpiady w Atlancie z 1996 roku oraz tenisówki. Tania, czarna torba zwisała z ramienia.

Wmieszała się w tłum, trzymając na kolanach otwarty magazyn „People” i zza ciemnych okularów śledziła rząd telefonów znajdujących się po drugiej stronie zatłoczonego pólpiętra.

Pięć minut wcześniej wjechała za Knollem na szóstą kondygnację i widziała, jak wszedł do gabinetu Rachel Cutler.

Rozpoznała jej nazwisko i zrozumiała, o co chodzi. Knoll z pewnością nie zrezygnował; teraz najprawdopodobniej zdawał Monice Fellner relację z tego, czego zdołał się dowiedzieć.

Ta suka z pewnością stoi jej na drodze. Młoda. Agresywna.

Nienasycona. Godna następczyni Franza Fellnera, utrapienie z wielu różnych powodów.

Knoll nie spędził wiele czasu w gabinecie Rachel Cutler; z pewnością nie tyle, by odbyć z nią spotkanie. Wycofała się w obawie, że odkryje jej obecność, nie mając pewności, czy kamuflaż jest wystarczający. Codziennie zmieniała przebranie, starając się nie powtórzyć żadnego z elementów, który mógłby mu wpaść w oko. Knoll był dobry. Cholernie dobry.

Na szczęście ona była lepsza.

Teraz odwiesił słuchawkę i skierował się ku wyjściu.

Odłożyła czasopismo i podążyła za nim.

Knoll zatrzymał taksówkę i pojechał do hotelu. Wyczuwał, że ktoś go śledzi. Także w sobotę wieczorem w domu Borii, po tym jak skręcił kark staruchowi. Bez wątplenia widział Suzanne Danzer w poniedziałek i później już codziennie.

Maskowała się dobrze. Jednak wiele lat spędzonych na poszukiwaniu antyków wyostrzyło jego spostrzegawczość. Obecnie niewiele mogło ujść jego uwagi. Na dobrą sprawę, spodziewał się jej. Ernst Loring, pryncypał Danzer, pragnął posiadać Bursztynową Komnatę na równi z Franzem Fellnerem. Ojciec Loringa, Josef, miał hopla na punkcie bursztynu i zgromadził jedną z największych w świecie prywatnych kolekcji. Ernst odziedziczył po nim zbiory oraz podzielał ojcowskie upodobanie. Wiele razy słyszał, jak Loring opowiadał o Komnacie; obserwował go też podczas wymiany lub zakupu bursztynowych precjozów od innych kolekcjonerów, w tym od Fellnera.

Z całą pewnością Danzer została wysłana do Atlanty po to, by go śledzić.

Skąd jednak wiedziała, że go tu znajdzie?

To oczywiste. Wścibski urzędas w Sankt Petersburgu.

Któż inny? Ten idiota z pewnością musiał zerknąć na notatkę KGB, zanim on ją rzucił nonszalancko na stół. Z pewnością ktoś go opłacał, a Loring był jednym z kilku prawdopodobnych mocodawców- teraz zapewne głównym, ponieważ Danzer tu była, i to już od piątku.

Taksówka zajechała pod hotel „Mariott” i Knoll z niej wyskoczył. Gdzieś z tyłu za nim z pewnością jechała Danzer.

Najprawdopodobniej mieszkała również w tym hotelu i zamierzała teraz dać nura do toalety na parterze, by zmienić wygląd, założyć nową perukę i inne akcesoria, a może nawet szybko zmienić ubranie i zapłacić boyom oraz recepcjonistkom za powiadomienie jej, gdy tylko on opuści hotel.

Skierował się prosto do pokoju na osiemnastej kondygnacji i natychmiast zadzwonił do działu rezerwacji linii Delta.

- Interesuje mnie bezpośredni lot z Atlanty do Monachium.

Czy są jeszcze wolne miejsca na dzisiaj?

Usłyszał stukanie klawiszy komputerowych.

- Tak, proszę pana; mamy bezpośredni lot do Monachium o 14.35.

- Czy jest jakiś wcześniejszy lub późniejszy rejs? - musiał się upewnić, czy nie ma innych lotów.

Znów dobiegło go stukanie klawiszy.

- Tak, ale nie naszymi liniami.

- Czy może mnie pani poinformować o innych liniach? Kolejne stukanie w klawisze.

- To jedyne bezpośrednie połączenie z Atlanty do Monachium. Może pan lecieć dwoma innymi samolotami, ale z przesiadką.

Pomyślał, że Rachel Cutler na pewno poleci bezpośrednio i nie planuje przesiadki w Nowym Jorku, Paryżu czy Frankfurtach z połączeniem do Monachium. Potwierdził rezerwację, odłożył słuchawkę i spakował torbę podróżną.

Musiał precyzyjnie zaplanować czas przyjazdu na lotnisko.

Jeśli Rachel nie będzie na liście pasażerów, spróbuje ją namierzyć jakoś inaczej. Może zadzwoni do biura i poda sekretarce prawdziwy numer telefonu, a potem przyjdzie mu czekać, aż ona oddzwoni.

Zszedł do recepcji, by się wymeldować. W holu było tłoczno. Ludzie pędzili w różne strony. Szybko jednak wypatrzył oddaloną o pięćdziesiąt jardów brunetkę, siedzącą przy zewnętrznym stoliku na kanapie na środku. Tak jak się spodziewał, Danzer zmieniła ubranie - brzoskwinowy kombinezon jednocześnie bardziej eleganckie i jeszcze ciemniejsze okulary przeciwsłoneczne zmieniły ją nie do poznania.

Zapłacił za pokój, wyszedł na zewnątrz i próbował złapać taksówkę na lotnisko.

Suzanne jak zaczarowana wpatrywała się w jego torbę podróżną. Czyżby Knoll wyjeżdżał? Nie miała czasu, by wejść do swojego pokoju. Musiała sprawdzić, dokąd się wybiera.

Dlatego właśnie zawsze wozila ze sobą niewiele rzeczy i nigdy nic, bez czego nie mogłaby się obejść lub czego nie potrafiłaby odzalaować.

Wstała, rzuciła na stolik banknot pięciodolarowy za drinka, z którego wysączyła tylko dwa łyki, potem skierowała się ku obrotowym drzwiom i wyszła na ulicę.

Knoll wysiadł z taksówki na Międzynarodowym Porcie Lotniczym Hartsfield i zerknął na zegarek: była 13.25. Miał mniej niż godzinę, by zgubić Danzer i podejść do właściwego stanowiska. Rzucił taksówkarzowi trzy dziesiątki, przełożył skórzaną torbę podróżną przez lewe ramię i poszedł dziarskim krokiem do południowego terminalu.

Kolejka do stanowiska biletowego linii Deltę była długa.

Chciał zgubić się w tłumie w głębi terminalu, skierował się więc bezpośrednio do automatu wydającego bilety. Sztylet znajdował się w schowku w torbie podróżnej; to było jedyne bezpieczne miejsce, bo detektory metalu nigdy nie wykrywały stalowego ostrza. Odebrał kartę pokładową i nadał bagaż, potem przeszedł przez bramkę ochrony i podążył długimi ruchomymi schodami w kierunku pasażu komunikacyjnego.

Danzer wciąż utrzymywała dystans około pięćdziesięciu metrów. Tak jak podejrzewał, była całkowicie zaskoczona jego nagłym opuszczeniem hotelu i nie miała czasu na zmianę przebrania. Ta sama czarna peruka, brzoskwiniowy kombinezon i ciemne okulary, w których siedziała w holu hotelowym.

Zawiodła go nieco. Powinna mieć zawsze zapasowe przebranie. Coś, co zmieniłoby jej wygląd, gdyby to było konieczne.

On sam wolał śledzić elektronicznie. Pozwalało to na luksus utrzymania dystansu między myśliwym a zwierzyną.

Zjechał schodami wraz z resztą popołudniowych podróżnych i potruczał w kierunku automatycznych pociągów. Setki ludzi przemierzało pasaż we wszystkich kierunkach. Wsiadł do pierwszego z brzegu wagonu i zauważył, że Danzer wchodzi do następnego, potem staje przy oszklonych drzwiach na jego końcu, by widzieć, co się dzieje po sąsiedzku. Znał dobrze rozkład lotniska. Pociągi poruszały się między sześcioma halami, a ta dla pasażerów rejsów międzynarodowych była usytuowana na samym końcu. Na pierwszym przystanku przy hali A wysiadł wraz z setką innych ludzi. Danzer z pewnością się zdziwiła; niewątpliwie znała Hartsfield równie dobrze jak on i wiedziała, że z hal oznaczonych literami od A do D pasażerowie nie wylatują w rejsy międzynarodowe. Być może pomyśli, że on zamierza polecieć linią krajową do innego miasta w USA. To bez znaczenia.

Wiedział, że będzie go śledzić, przypuszczalnie już kombinując, jak dostać się na pokład i zejść, tak by jej nie zauważył.

Kręcił się po peronie, jakby na kogoś czekał. W duchu odliczał sekundy. Zgranie w czasie miało zasadnicze znaczenie.

Danzer również czekała, starając się sprawiać wrażenie osoby znudzonej i chowając się w tłumie. Oddalona od niego zaledwie o półtora metra, najwyraźniej była pewna, że jej nie zauważył. Odczekał dokładnie minutę, potem ruszył wraz z tłumem w kierunku ruchomych schodów.

Ruchome schody jechały powoli w górę.

Do hali odlotów pozostało jeszcze około trzech kilometrów. Cztery kondygnacje ponad nim szerokie świetliki wpuszczały promienie popołudniowego słońca. Ukośna aluminiowa barierka wysokości trzech metrów oddzielała schody jadące w górę od tych, które zjeżdżały w dół. Co sześć metrów znajdowała się żardyniera ze sztucznymi roślinami z jedwabiu. Ciąg schodów zmierzających w dół, do pasażu komunikacyjnego, nie był nawet w połowie tak zatłoczony jak ten jadący do góry. Nie zauważył żadnej kamery monitorującej ani

funkcjonariusza ochrony lotniska.

Odczekał z precyzją na właściwy moment, potem chwycił gumową poręcz i przeskoczył przez barierkę, obracając się wokół jednej z żardynier ze sztuczną rośliną. Wylądował na schodach sunących w dół. Zmierzał teraz w przeciwnym kierunku i gdy mijał Danzer, dotknął palcami głowy w geście pozdrowienia.

Jej twarz zastygła w grymasie wściekłości.

Musiał teraz przemieszczać się szybko. Nie upłynie wiele czasu i ona zrobi dokładnie to samo co on. Minał kilku pasażerów zjeżdżających w dół i pędem pobiegł na peron. Wyliczył czas idealnie. Na peron wjechał z hukiem pociąg zmierzający do hali odlotów międzynarodowych. Drzwi rozsunęły się, mechaniczny głos obwieścił: „Prosimy odsunąć się od drzwi i zająć miejsca w środku wagonu”. Ludzie wchodzili tłumnie. Zerknął do tyłu i zobaczył, jak Danzer przeskakuje na schody zjeżdżające w dół, choć jej ruchy nie były pełne gracji.

Potknęła się, by po chwili odzyskać równowagę. Wsiadł do pociągu. „Drzwi zamykają się” - oznajmił mechaniczny głos.

Danzer zbiegła ze schodów, próbując dogonić pociąg, ale było już za późno. Drzwi się zamknęły i pociąg z hałasem odjechał ze stacji.

Knoll wysiadł z pociągu w hali odlotów międzynarodowych. Danzer w końcu też tu trafi, ale pasażerowie odlatujący do Monachium z pewnością już wsiadali na pokład, a on znajdował się nieco ponad kilometr od hali A. Zanim ona dobiegnie pasażerem komunikacyjnym lub przyjedzie następnym składem, Knoll zgubi się w tłumie i wejdzie na pokład samolotu.

Hala odlotów była ogromna, ale jednocześnie przyjazna dla pasażerów. Największy terminal lotów międzynarodowych w Ameryce. Pięć kondygnacji, dwadzieścia cztery wyjścia. Całą godzinę zajęłoby dotarcie do wszystkich, by sprawdzić odlatujących. Wszedł na ruchome schody i jechał w górę.

Poczuł ogrom tego przestronnego pomieszczenia, w którym gdzieś tylko znajdowały się wbudowane w ścianę gabloty z zabytkami sztuki meksykańskiej, egipskiej oraz fenickiej. Nic szczególnie cennego ani ekscytującego, przeciętne eksponaty; tabliczki na dole zawierały tylko napisy, z którego muzeum w Atlancie lub od którego kolekcjonera dany eksponat został wypożyczony.

Gdy dojechał na szczyt schodów, ruszył wraz z tłumem w prawą stronę. Z lewej doszedł go aromat jedzenia z barku Starbucks. Tłum zatrzymał się na moment przy sklepiku WH Smith, kupując czasopisma i dzienniki. Knoll też przystanął, by spojrzeć na monitor z listą

odlotów. W ciągu następnych trzydziestu minut zaplanowany był start około dwunastu samolotów. Danzer w żaden sposób nie zdołał zgadnąć, którym z nich zamierzał lecieć i czy na pewno poleciał. W końcu równie dobrze mógł wrócić do terminalu; torba podróżna to przecież często sprytny wybieg, wiedzieli o tym doskonale oboje.

Jeszcze raz przejrzał ekran, znalazł rejs do Monachium, sprawdził numer wyjścia i pomaszerował przez halę odlotów. Kiedy dotarł na miejsce, pasażerowie już wsiadali na pokład.

- Czy są jeszcze jakieś wolne miejsca? - zapytał, gdy nadeszła jego kolej.

Pracownik linii skierował wzrok na monitor.

- Nie, proszę pana. Wszystkie miejsca są zajęte.

Nawet gdyby Danzer zdołała go namierzyć, nie było sposobu, by poleciała tym samolotem. Miał nadzieję, że wszyscy pasażerowie się stawią. Skierował się do wyjścia. W kolejce przed nim stało około trzydziestu osób. Spojrzał przed siebie na początek kolejki i dostrzegł kobietę o kasztanowych włosach do ramion, w przyciągającym spojrzenia granatowym kostiumie, na który składały się spodnie i marynarka.

Podawała kartę pokładową stewardowi i ruszyła korytarzem ku odrzutowcowi.

Natychmiast rozpoznał jej twarz.

Rachel Cutler.

Doskonale.

ATLANTA, GEORGIA PIĄTEK, 16 MAJA, 9.15

Suzanne weszła do biura. Paul Cutler wstał zza ogromnego orzechowego biurka i wyszedł jej naprzeciw.

- Dziękuję, że zechciał pan poświęcić mi czas - powiedziała.
- To żaden kłopot, pani Myers.

Cutler użył nazwiska, które podała recepcjonistce.

Wiedziała, że Knoll posługiwał się własnym. To kolejny przykład jego arogancji. Ona zdecydowanie wolała zachować *incognito*. Mniejsza była szansa, że zostanie zapamiętana.

- Proszę mi mówić Jo - odparła.

Usiadła na fotelu, który jej wskazał, i przyjrzała się prawnikowi w średnim wieku. Był dość niski, szczupły, miał jasnobrązowe włosy; jeszcze niełysiał, ale czupryna się przerzedzała. Ubrany był, jak kazał obyczaj, w białą koszulę i ciemne spodnie; nosił jedwabny krawat i szelki. Te ostatnie dodawały mu powagi. Jego uśmiech wydał się jej rozbijający, spodobały jej się iskierki w szaroniebieskich oczach.

Sprawiał wrażenie osoby nieśmiałej i skromnej; jak szybko rozstrzygnęła, nie będzie miała z nim kłopotów.

Na szczęście ubrała się odpowiednio do odgrywanej roli.

Założyła perukę w kolorze orzechowym. Niebieskie soczewki kontaktowe podkreślały wielkość jej oczu. Okulary w złotej oprawie z przezroczystymi szklami w kształcie ośmiokątów dopełniały całości. Spódnicę z krepy oraz dwurzędowy żakiet z wysokimi klapami kupiła wczoraj w butik Ann Taylor;

strój był nadzwyczaj kobiecy, - po to, by odciągnąć uwagę od twarzy. Usiadła, zakładając nogę na nogę i powoli odsłaniając czarne pończochy. Usiłowała uśmiechnąć się bardziej życzliwie niż zwykle.

- Jest pani detektywem tropiącym dzieła sztuki? - zapytał Cutler. - To chyba interesujące zajęcie.

- Czasami. Ale jestem pewna, że pańska praca niesie podobne wyzwania.

Szybkim spojrzeniem ogarnęła pomieszczenie. Oprawiona w ramy kopia Winsłowa wisiała nad skórzaną kanapą, akwarela pędzla Kupki zdobiła przeciwległą ścianę. Na trzeciej ścianie widniały liczne dyplomy i równie wiele certyfikatów oraz nagród Amerykańskiego Towarzystwa Prawniczego, Stowarzyszenia Prawników Spadkowych oraz

Stowarzyszenia Prawników Sądowych stanu Georgia. Dwie kolorowe fotografie wyglądały na wykonane w sali obrad Parlamentu - na obydwu Cutler ścisnął rękę jakiegoś mężczyzny w podeszłym wieku.

Wskazała ręką obrazy.

- Jest pan kolekcjonerem?

- Raczej nie. Posiadam niewielki zbiór. Koncentruję się raczej na aktywności w Muzeum Sztuki.

- Zapewne czerpie pan z tego wiele satysfakcji.

- Sztuka znaczy dla mnie ogromnie dużo.

- Czy dlatego właśnie zgodził się pan na rozmowę ze mną?

- Zgadza się, ale kierowała mną najzwyczajniejsza ciekawość.

Zdecydowała, że przejdzie od razu do rzeczy.

- Byłam całkiem niedawno w gmachu sądu hrabstwa Fulton. Sekretarka w gabinecie pańskiej byłej żony powiadomiła mnie, że sędzia Cutler wyjechała. Nie zdradziła jednak, dokąd się udała; sugerowała, bym porozmawiała z panem.

- Sami dzwoniła przed chwilą i powiedziała, że sprawa dotyczy mojego byłego teścia. Czy tak?

- Tak, istotnie. Sekretarka potwierdziła moje przypuszczenia, że jakiś mężczyzna był wczoraj w biurze, próbując się skontaktować z pańską małżonką. Wysoki blondyn, Europejczyk. Posługiwał się nazwiskiem Christian Knoll.

Siedzę tego Knolla od tygodnia, ale wczoraj po południu na lotnisku straciłam go z oczu. Obawiam się, że on depcze po piętach sędzi Cutler.

Twarz jej gospodarza wyrażała zaniepokojenie. Doskonale.

Punkt dla niej.

- Dlaczego ten Knoll miałby śledzić Rachel? Postanowiła zaryzykować i udać grę w otwarte karty.

Może strach pokona barierę nieufności prawnika i dzięki temu ona się dowie, dokąd pojechała Rachel Cutler.

- Knoll przyjechał do Atlanty porozmawiać z Karolem Borią. - Pomięła szczegóły, takie jak rozmowa Knolla z Borią w sobotnią noc. Nie było potrzeby odkrywania kart do końca. - Musiał się dowiedzieć, że Boria zmarł, i postanowił odnaleźć jego córkę. To jedyne logiczne wyjaśnienie jego wizyty w biurze sądu.

- W jaki sposób on i pani dowiedzieliście się o istnieniu Karola?

- Zapewne pan wie, co pan Boria robił, będąc jeszcze obywatelem Związku

Sowieckiego?

- Mówił nam o tym. Ale skąd pani o tym wie?

- Z dokumentów archiwalnych komisji, dla której Boria niegdyś pracował, a które ostatnio udostępniono opinii publicznej w Rosji. Studiowanie historii jest sprawą całkiem prostą. Knoll poszukuje Bursztynowej Komnaty i prawdopodobnie żywi nadzieję, że Karol Boria wie coś na jej temat.

- Ale w jaki sposób się dowiedział, gdzie szukać Karola?

- W zeszłym tygodniu myszkował w archiwum w Sankt Petersburgu. Tę dokumentację udostępniono do wglądu dopiero niedawno. Tam właśnie zdobył informacje.

- To jednak nie wyjaśnia przyczyn pani wizyty u mnie.

- Jak nadmieniałam, śledzę Knolla.

- Skąd pani wie, że Karol nie żyje?

- Nie wiedziałam do czasu, kiedy przybyłam w poniedziałek do miasta.

- Pani Myers, skąd się bierze to zainteresowanie Bursztynową Komnatą? Mówimy o czymś, co zaginęło przed ponad pięćdziesięcioma laty. Nie sądzi pani, że gdyby dało się ją odnaleźć, do tej pory już by to zrobiono?

- Racja, panie Cutler, ale Christian Knoll jest innego zdania.

- Stwierdziła pani, że zgubiła go wczoraj na lotnisku. Co skłania panią do wniosku, że śledzi Rachel?

- Po prostu intuicja. Przeszukałam wczoraj halę odlotów, ale nie zdołałam go odnaleźć. Zauważyłam, że w ciągu kilkudziesięciu minut od chwili, kiedy Knoll zniknął mi z oczu, wystartowało kilka samolotów międzynarodowych. Jeden do Monachium. Dwa do Paryża. Trzy do Frankfurtu.

- Ona poleciała do Monachium - odparł.

Dystans Paula Cutlera wobec niej wydawał się zmniejszać. Zaczynał jej ufać. Dawał wiarę jej słowom. Postanowiła to wykorzystać.

- Z jakich powodów sędzia Cutler wybrała się do Monachium tuż po śmierci ojca?

- Jej ojciec pozostawił zapiski dotyczące Bursztynowej Komnaty.

Nadeszła teraz pora, by nacisnąć.

- Panie Cutler, Christian Knoll jest niebezpiecznym człowiekiem. Na drodze do wytyczonego celu nic nie zdoła go powstrzymać. Idę o zakład, że on również poleciał do Monachium. Muszę porozmawiać z pańską małżonką, i to bardzo pilnie. Czy wie pan może, gdzie zamierza się zatrzymać?

- Powiedziała, że zadzwoni, jak dotrze na miejsce, ale do tej pory się nie odezwała.

Był najwyraźniej zaniepokojony. Zerknęła na zegarek.

- W Monachium dochodzi trzecia trzydzieści.
- To samo pomyślałem chwilę przed pani przybyciem.
- Czy wie pan dokładnie, dokąd się wybierała?

Nie odpowiedział. Nie dała za wygraną.

- Rozumiem, jestem dla pana obcą osobą. Ale mogę pana zapewnić, że mam przyjazne zamiary. Muszę odnaleźć Christiana Knolla. Nie mogę się wdawać w szczegóły, moja misja ma charakter poufny, ale jestem głęboko przekonana, że ten człowiek podąża za pańską byłą żoną.

- W takim razie chyba najśluszniej będzie powiadomić o tym policję.

- Dla tutejszych stróżów prawa Knoll jest nikim. To raczej sprawa struktur międzynarodowych.

Zawahał się; zastanawiał się nad jej słowami i rozważał możliwe opcje. Powiadomienie policji trochę potrwa.

Włączenie Europolu pochłonie jeszcze więcej czasu. Ona była tu i teraz, gotowa działać. Wybór był tak prosty, że nie była zdziwiona, kiedy go dokonał.

- Pojechała do Bawarii odnaleźć człowieka o nazwisku Dania Czapajew. On mieszka w Kehlheim.

- Kim jest Czapajew? - zapytała niewinnie.

- Przyjacielem Karola. Pracowali razem przed laty w komisji. Rachel jest zdania, że Czapajew może wiedzieć coś o Bursztynowej Komnacie.

- Co przywiodło ją do takiego wniosku?

Sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej plik dokumentów.

Podał jej.

- Niech pani sama zobaczy. Tu jest wszystko.

Przejrzenie dokumentów zajęło jej kilka minut. Nie było w nich nic; jedynie niejasne wskazówki odnoszące się do tego, co obaj mogli wiedzieć lub przypuszczać. Jednak to wystarczyło, by wzbudzić jej niepokój. Musiała powstrzymać Knolla i nie dopuścić do tego, by połączył siły z Rachel Cutler. Z pewnością ten drań to właśnie planował. Nie dowiedział się niczego od ojca, zrzucił go więc ze schodów i postanowił uwieść córkę, by przekonać się, czy coś wie. Wstała z miejsca.

- Dziękuję za te informacje, panie Cutler. Zamierzam sprawdzić, czy pańska była małżonka zatrzymała się w Monachium. Mam tam ludzi - powiedziała i wyciągnęła dłoń na

pożegnanie. - Jeszcze raz dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić swój czas.

Cutler wstał i uściskał jej dłoń.

- Dziękuję za wizytę oraz ostrzeżenie, pani Myers. Ale dotąd nie usłyszałem, jaki pani ma interes w tym wszystkim.

- Nie mogę wyjawić, ale niech wystarczy panu fakt, że Knoll jest ścigany pod kilkoma poważnymi zarzutami.

- Czy pani jest z policji?

- Jestem prywatnym detektywem zatrudniony należć Knolla. Moje biuro mieści się w Londynie.

- To dziwne. Mówi pani z akcentem europejskim niż brytyjskim.

Uśmiechnęła się.

- To prawda. Urodziłam ll|4k l'i ad/c

- Czy może mi pani **zojtawitl odezwie się Rachel, będę mógł pani ul**

- Nie ma potrzeby. Zadzwońię do pana dzisiaj po południu lub jutro, jeśli nie ma pan nic przeciw temu.

Odwróciła się do drzwi i zauważyła fotografię w ramce, z której uśmiechali się jakiś starszy mężczyzna i kobieta.

- Przystojna para - powiedziała na odchodnym.

- To moi rodzice. Zdjęcie wykonano trzy miesiące przed ich śmiercią.

- Tak mi przykro.

Lekko skinął głową, przyjmując kondolencje. Opuściła biuro, nie mówiąc nic więcej. Ostatni raz, kiedy widziała tę starszą parę oraz dwadzieścia kilka innych osób, wchodzili w strugach deszczu na pokład airbusa Alitalia, który miał lecieć z Florencji na krótką eskapadę przez Morze Liguryjskie do Francji. Materiały wybuchowe, za których umieszczenie na pokładzie zapłaciła, bezpiecznie ułożono w przedziale bagażowym. Zegar odliczał czas; godzina zero nastąpiła po trzydziestu minutach lotu, gdy maszyna znalazła się nad pełnym morzem.

MONACHIUM, NIEMCY 16.35

Rachel była wprost oczarowana: nigdy wcześniej nie była w piwiarni. Orkiestra - trąbki, perkusja, akordeon oraz dzwonki - grała tak hałaśliwie, że aż bolały bębni w uszach.

Przy długich drewnianych stołach siedzieli piwosze w oparach tytoniu, smażonych kiełbasek i piwa. Spoceni kelnerzy w skórzanych spodniach i kelnerki w rozkloszowanych, suto marszczonych spódnicach podawali ciemne piwo w litrowych kuflach z przykrywkami. *Maibock* - tak nazywało się to piwo.

Był to gatunek serwowany tylko o tej porze roku i zwiastował nadejście cieplejszych dni.

Ponad dwustu gości wokół bawiło w najlepsze. Nigdy nie przepadała za piwem, dlatego zamówiła colę oraz pieczonego kurczaka. Recepcjonista w hotelu, w którym się zatrzymała, polecił jej tę właśnie piwiarnię, odradzając wizytę w położonym bliżej lokalu „Hofbrauhaus”, który przyciągał niezliczone tłumy turystów.

Samolot z Atlanty wylądował rano. Niepomna rad, którymi ją nafaszerowano, wynajęła auto, zameldowała się w hotelu i solidnie przespała. Postanowiła przełożyć na następny dzień podróż do Kehlheim, oddalonego mniej więcej o siedemdziesiąt kilometrów na południe, leżącego u podnóża Alp przy granicy z Austrią. Skoro Dania Czapajew czekał tak długo, mógł zaczekać jeszcze jeden dzień - jeśli w ogóle jeszcze żyje.

Zmiana scenerii wpłynęła dobrze na jej nastrój, chociaż czuła się dość dziwnie, mając nad sobą beczkowe sklepienie i wokół kolorowe stroje obsługi. Do tej pory tylko raz była w Europie. Pojechała przed trzema laty do Londynu na konferencję sponsorowaną przez Stowarzyszenie Sędziów stanu Georgia. Programy telewizyjne poświęcone Niemcom zawsze wzbudzały jej zainteresowanie i marzyła, że kiedyś przyjedzie tu z wizytą. Teraz marzenie się spełniło.

Pałaszowała ze smakiem kurczaka i cieszyła się tym, co miała przed oczyma. Dzięki temu oderwała myśli od ojca, Bursztynowej Komnaty i Dani Czapajewa. A także od Marcusa Nettlesa i nadchodzących wyborów. Być może Paul miał rację i jej wyprawa okaże się stratą czasu. Jednak czuła się tu dobrze, a to już wiele.

Zapłaciła rachunek banknotami euro, które wymieniła za dolary na lotnisku, i wyszła z piwiarni. Było późne popołudnie, zrobiło się chłodno, a ładna pogoda gdzieś się ulotniła; wiosenne słońce rzucało na przemian światło i cień na drogę wysadzaną kocimi łbami. Na

ulicach tłoczyły się tysiące turystów i wczasowiczów. Budynki starówki tworzyły niezwykle melanz kamienia, muru pruskiego i cegły, co sprawiało, że wyglądała niczym osobliwa, tchnącą atmosferą średniowiecza wieś. Starówka przeznaczona była tylko dla spacerowiczów; ruch samochodowy ograniczał się wyłącznie do pojazdów z zaopatrzeniem.

Skręciła na zachód i wkrótce znalazła się na Marienplatz.

Jej hotel usytuowany był po przeciwległej stronie rozległego placu. Pośrodku znajdował się targ, na nim stoiska obładowane artykułami spożywczymi, mięsem i wyrobami miejscowego rzemiosła. Po lewej przycupnął ogródek piwiarni. Niewiele wiedziała o Monachium. Niegdyś stolica Bawarii, ojczyzna książąt i królów, dynastia Wittelsbachów rządziła tu przez siedemset pięćdziesiąt lat. Thomas Wolfe mówił o Monachium tym mieście, że czuje się tam „dotyk niemieckiego nieba”.

. Minęła kilka grup turystów, którym przewodnicy opowiadali o zabytkach po francusku, hiszpańsku i japońsku. Przed ratuszem spotkała angielską wycieczkę; mówili nosowo jak londyńczycy z East Endu. Poznała ich wymowę podczas swej pierwszej wizyty w Anglii. Zatrzymała się koło grupy, słuchając objaśnień przewodnika i spoglądając na olśniewającą gotyką ornamentykę przed sobą. Wycieczka przecięła plac i zatrzymała się po przeciwległej stronie. Podążyła za nimi i zauważyła, że przewodnik zerka na zegarek. Zegar na ratuszowej wieży wskazywał 16.58.

Nagle drzwiczki na wieży zegarowej się otworzyły i wyłoniły się z nich dwa korowody politurowanych figurek w jaskrawych strojach, tańczących na obrotowym podeście.

Na placu rozbrzmiała muzyka. Kuranty wydzwoniły piątą, odbijając się echem w oddali.

- To jest *Glockenspiel* - powiedział przez nos przewodnik. To odbywa się trzy razy w ciągu dnia. O jedenastej, w południe oraz o piątej po południu. Figurki na górze odtwarzają średniowieczny rycerski turniej, jaki w szesnastowiecznych Niemczech często towarzyszył ślubom koronowanych głów.

Postacie z dolnego poziomu wykonują taniec kotłów.

Kolorowe figurki tańczyły w takt skocznej bawarskiej melodii. Wszyscy na placu stanęli z zadartymi głowami.

Trwało to około dwóch minut; potem figurki się schowały, a tłum na placu znów zaczął się kłębić. Grupa turystów przeszła do jednej z bocznych uliczek. Postali jeszcze chwilę, patrząc, jak zamykają się zegarowe wrota i ruszyli dalej.

Ogłuszający ryk klaksonu przeciął ciszę.

Gwałtownie obróciła się w lewo.

Maska samochodu zbliżała się do niej. Piętnaście metrów.

Dwanaście. Sześć. Patrzyła na emblemat mercedesa, widziała światła i napis TAXI.

Trzy metry.

Klakson nie przestawał ryczeć. Chciała się ruszyć, ale stała, jakby wrosła w ziemię. Szykowała się na ból, zastawiając się, co okaże się gorsze: uderzenie samochodu czy upadek na kocie łby.

Biedni Marla i Brent.

Oraz Paul. Kochany Paul.

Czyjeś ramię chwyciło ją mocno i odciągnęło gwałtownie do tyłu.

Usłyszała pisk hamulców Taksówka ślizgała się po bruku.

Znad kamieni unosił się smród palonej gumy.

Obróciła się, chcąc zobaczyć, kto ją pochwycił. Mężczyzna był wysoki i szczupły, z włosami w kolorze kukurydzy opadającymi na opalone czoło. Wąskie usta przypominały nacięcie brzytwą, ale twarz była śniada i przyjemna. Ubrany był w koszulę w kolorze pszenicy oraz spodnie w kratkę.

- Nic się pani nie stało? - zapytał po angielsku.

Była w szoku. Zdała sobie sprawę, jak niewiele dzieliło ją od śmierci.

- Tak mi się wydaje.

Wokół nich zebrał się tłumek. Taksówkarz wysiadł z auta i rozglądał się dokoła.

- Nic jej się nie stało, ludzie - odezwał się jej wybawca.

Potem powiedział coś po niemiecku i gapie zaczęli się rozchodzić. Rozmawiał przez chwilę, także w obcym jej języku, z taksówkarzem, który coś mu tłumaczył, po czym szybko odjechał.

- Taksówkarz bardzo przeprasza. Twierdzi, że pojawiła się pani nagle i nie wiadomo skąd.

- Byłam przekonana, że plac przeznaczony jest tylko dla pieszych - odparła. - Nie spodziewałam się tu samochodu.

- Taksówki nie powinny tu jeździć, ale zawsze trafiają się na placu. Przypomniałem o tym kierowcy i doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli możliwie szybko się stąd wyniesie.

- Powinien być tu jakiś znak albo coś w tym rodzaju.

- Amerykanka, prawda? W Ameryce wszystko jest oznakowane. Tu nie.

Ochłonęła trochę.

- Dzięki za wybawienie.

Uśmiechnął się, odsłaniając dwa rzędy pięknych białych zębów.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł i wyciągnął dłoń. - Nazywam się Christian Knoll.

Podąła mu dłoń.

- Rachel Cutler. Całe szczęście, że pan się tutaj znalazł, panie Knoll. Nie zauważyłam tej taksówki.

- Mogło się to kiepsko skończyć, gdyby opatrność mnie tu nie przywiodła.

- To prawda - uśmiechnęła się szeroko.

Zaczęła nagle drżeć; ogarnęła ją druga fala emocji na wspomnienie tego, co omal się nie wydarzyło.

- Proszę pozwolić, że postawię pani drinka, by mogła pani nieco uspokoić stargane nerwy.

- Nie ma potrzeby.

- Cała pani drży. Trochę wina na pewno pani nie zaszkodzi.

- Dziękuję, ale...

- Niech to będzie moja nagroda.

Tej prośbie nie mogła odmówić, przestała się więc opierać.

- W porządku. Rzeczywiście, lampka wina dobrze mi zrobi.

Ruszyła za Knollem do kawiarenki oddalonej o cztery przecznice, naprzeciw której strzelały w niebo dwie smukłe wieże katedry. Na bruku ustawiono stoły nakryte obrusami, przy których tłumnie siedzieli ludzie, przeważnie trzymając w dłoniach duże ceramiczne kufle z ciemnym piwem. Knoll zamówił dla siebie piwo, a dla niej lampkę reńskiego. Wino było białe, wytrawne i pyszne.

Przypadkowy wybawca miał rację. Miała rozstrojone nerwy. Nigdy jeszcze nie otarła się tak blisko o śmierć. Zdziwiły ją myśli, które przyszły jej do głowy. Brent i Marla - to zrozumiała. Ale Paul? I gdy o nim pomyślała, poczuła w sercu bolesne ukłucie.

Delektowała się winem, a ono powoli koilo jej nadszarpnięte nerwy.

- Muszę pani coś wyznać, pani Cutler - odezwał się Knoll.

- Niech będzie Rachel.

- A więc Rachel.

- Łyknęła jeszcze wina.

- Co chcesz mi wyznać?

- Śledziłem cię.

Te słowa ją zaintrygowały. Odstawiła kieliszek z winem.

- Co chce pan przez to powiedzieć?
- Śledziłem panią. Podążam za panią od chwili opuszczenia Atlanty.
- Uważam, że powinna dowiedzieć się o tym policja - gwałtownie się podniosła.

Knoll spokojnie popijał piwo.

- Nie widzę problemu, jeśli koniecznie chce pani tego.

Proszę tylko najpierw mnie wysłuchać.

Zastanowiła się przez moment. Siedzieli w miejscu publicznym. Za balustradą z kutego żelaza przemykały ulicą tłumy ludzi, udając się na wieczorne zakupy. Co właściwie mogło się stać, jeśli zgodzi się go wysłuchać? Usiadła z powrotem.

- W porządku, panie Knoll; daję panu pięć minut.

Knoll odstawił kufel na stół.

- Przyjechałem do Atlanty na początku tygodnia, bo chciałem porozmawiać z pani ojcem. I dowiedziałem się, że właśnie zmarł. Wczoraj złożyłem wizytę w pani biurze i sekretarka poinformowała mnie, że wybiera się pani do Monachium. Zostawiłem jej swoje nazwisko oraz numer telefonu. Czy nie przekazała pani wiadomości?

- Nie rozmawiałam z nią przed wyjazdem. Jaką sprawę miał pan do ojca?
- Poszukuję Bursztynowej Komnaty i sądziłem, że on mi w tym pomoże.
- Dlaczego poszukuje pan Bursztynowej Komnaty?
- Mój mocodawca jej poszukuje.
- Tak samo jak Rosjanie.

Knoll się uśmiechnął.

- To prawda. Ale po pięćdziesięciu latach należałoby to uznać za „znalezione, niekradzione”. To chyba amerykańskie powiedzonko?

- W jaki sposób mój ojciec miał panu pomóc?
- Prowadził poszukiwania przez wiele lat. Dla Rosjan znalezienie Bursztynowej Komnaty było priorytetem.
- Ponad pięćdziesiąt lat temu.
- W przypadku tego skarbu czas nie ma znaczenia. Co najwyżej poszukiwania stają się jeszcze bardziej pasjonujące.

- Jak pan zdobył adres ojca?

Knoll wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął kilka złożonych kartek.

- Odnalazłem to w zeszłym tygodniu w Sankt Petersburgu.

Dzięki tym zapisom dotarłem do Atlanty. Raczy pani zapewne pamiętać, że parę lat

temu KGB złożyło ojcu wizytę?

Rozłożyła kartki i pograżyła się w lekturze. Słowa pisane były cyrylicą na maszynie. Obok znajdowało się tłumaczenie angielskie, zapisane niebieskim atramentem. Natychmiast dostrzegła, czyje nazwisko widniało u góry Dania Czapajew.

Zwróciła też uwagę na to, co w notatce KGB napisano o jej ojcu:

Nawiązaliśmy kontakt. Zaprzecza, jakoby miał jakiekolwiek informacje na temat Bursztynowej Komnaty po 1958 roku. Nie zdołaliśmy zlokalizować Dani Czapajewa. Boria twierdzi, że nie zna jego adresu.

A przecież ojciec znał dokładnie miejsce zamieszkania Czapajewa! Korespondował z nim przez wiele lat. Dlaczego skłamał? Ponadto nigdy nie wspomniał jej o wizycie, którą złożyli mu funkcjonariusze KGB. Niewiele też powiedział o Bursztynowej Komnacie. Fakt, że KGB wie o niej, Marli i Brennie, wytrącił ją ponownie z równowagi. Zastanawiała się, co jeszcze ojciec przed nią ukrywał.

- Niestety, nie zdążyłem porozmawiać z pani ojcem - odezwał się Knoll. - Przyjechałem za późno. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu jego śmierci.

- Kiedy pan przyleciał?

- W poniedziałek.

-1 czekał pan aż do wczoraj ze złożeniem wizyty w moim biurze?

- Dowiedziałem się o śmierci pani ojca i nie chciałem niepokoić. Moje sprawy mogły poczekać.

A więc śledził ją z powodu Czapajewa. To trochę złagodziło jej napięcie. Być może ten człowiek mówi prawdę, ale wolała zachować ostrożność. Ten przystojny i szarmancki mężczyzna nadal był kimś zupełnie obcym, choć wiedziała, że nazywa się Christian Knoll. Co gorsza, był obcy w obcym kraju.

- Czy przyleciał pan tym samym rejsem co ja? Skinął potakująco głową.

- Ledwo zdążyłem na samolot.

- Dlaczego czekał pan aż do teraz, żeby ze mną porozmawiać?

- Nie byłem pewien, w jakim celu pani przyjechała. Gdyby się okazało, że wizyta ma charakter prywatny, nie chciałem przeszkadzać. Gdyby zaś wiązała się z Bursztynową Komnatą, zamierzałem porozmawiać z panią.

- Nie bardzo mi się podoba fakt, że pan mnie śledził, panie Knoll. Powiem więcej: cholernie mi się to nie podoba.

Patrzyła mu prosto w oczy.

- A może jednak był to szczęśliwy zbieg okoliczności? - Przemknęła jej przed oczami

taksówka. Chyba miał rację. - I proszę, mam na imię Christian - dodał.

Pomyślała, że powinna być miłsza. Nie ma potrzeby okazywania mu wrogości. Przecież w końcu uratował jej życie.

- W porządku. Niech będzie Christian.
- Czy ta podróż ma związek z Bursztynową Komnatą?
- Nie wiem właściwie, co odpowiedzieć na to pytanie.
- Gdybym chciał ci zrobić krzywdę, po prostu mogłem pozwolić, żeby taksówkarz cię potracił.

Niezły argument, ale niekonieczne prawdziwy.

- *Frau* Cutler, jestem zawodowym detektywem. Zajmuję się dziełami sztuki. Znam niemiecki i znam dobrze ten kraj.

Zapewne potrafi pani ferować wyroki w sądzie, ale chyba jako detektyw jest pani nowicjuską, prawda?

Nie odpowiedziała.

- Interesują mnie informacje na temat Bursztynowej Komnaty, nic ponadto. Powiedziałem pani, co udało mi się ustalić. I proszę o dokładnie to samo.

- A jeśli odmówię i zwrócę się do policji?
- Po prostu zniknę pani z oczu, ale nie przestanę śledzić.
- Muszę się dowiedzieć, co pani zamierza tu robić. Proszę nie brać tego na własne barki. Dla mnie pani stanowi trop, który muszę sprawdzić do końca. Pomyślałem, że gdybyśmy pracowali razem, udałoby się nam zaoszczędzić mnóstwo czasu.

Knoll był bezczelny i niebezpieczny, ale to się jej w nim podobało. Mówił konkretnie i na temat; wiedział, czego chce.

Próbowała znaleźć w jego twarzy ślad podstępu, ale nic takiego nie dostrzegła. Podjęła więc błyskawiczną decyzję, taką, do jakich przywykła na sądowej sali.

- W porządku, Knoll. Przyjechałam tu z zamiarem odnalezienia Danii Czapajewa. Najprawdopodobniej jest to ta sama osoba, o której mowa w notatce. Jeśli tak, to mieszka w Kehlheim.

Knoll podniósł kufel i pociągnął duży łyk piwa.

- To na południu, bliżej Alp i granicy z Austrią. Znam tę miejscowość.
- Obydwaj z ojcem najwyraźniej interesowali się Bursztynową Komnatą. Teraz wydaje mi się to oczywiste, choć wcześniej nawet go o to nie podejrzewałam.

- Czy wiesz, jakiego rodzaju informacje może posiadać *Herr* Czapajew?

Postanowiła nie wspominać o listach pozostawionych przez ojca.

- Nie wiem nic oprócz tego, że kiedyś razem pracowali.

Ty zresztą też, jak sądzę, o tym wiedziałaś.

- Jak natrafiłaś na jego nazwisko? Postanowiła skłamać.

- Ojciec często mi o nim opowiadał. Kiedyś byli bliskimi przyjaciółmi.

- Naprawdę mogę się przydać, *Frau Cutler*.

- Mówiąc całkiem szczerze, liczyłam na odrobinę samotności.

- Doskonale to rozumiem. Przypominam, sobie, jak się czułem, kiedy odszedł mój ojciec. Przeżyłem jego śmierć bardzo głęboko.

Wyznanie zabrzmiało szczerze; ujął ją wrażliwością i taktem. Ale przecież nie przestał być obcy.

- Potrzebujesz wsparcia. Jeśli ten Czapajew ma jakieś informacje, pomogę ci je od niego wyciągnąć. Wiem bardzo wiele o Bursztynowej Komnacie. Ta wiedza również może okazać się przydatna.

Znów nie odpowiedziała.

- Kiedy planujesz wyruszyć na południe? - zapytał Knoll.

- Jutro rano - odpowiedziała bez zastanowienia.

- Czy pozwolisz się tam zawieźć?

- Zabraniam dzieciom, by podwoził je ktokolwiek obcy.

- Dlaczego sama miałabym postąpić inaczej?

Uśmiechnął się. Podobał jej się jego uśmiech.

- Byłem szczerzy i otwarty z twoją sekretarką, podałem jej nazwisko i wyjawilem zamiary. Zostawiłem zbyt oczywisty ślad jak na człowieka, który życzyłby ci źle - powiedział i dopił piwo. - W każdym razie, i tak będę za tobą jechał do Kehlheim.

Podjęła kolejną szybką decyzję. Trochę ją to zaskoczyło.

- W porządku. Pojedziemy tam razem. Mieszkam w hotelu „Waldeck”. O parę przecznic stąd, przy tej ulicy.

- Mam pokój w hotelu „Elisabeth” po przeciwnej stronie ulicy.

Pokiwała głową z niedowierzaniem i uśmiechem.

- Czyż mogłoby być inaczej?

Knoll patrzył, jak Rachel Cutler znika w tłumie.

Do tej pory wszystko szło całkiem nieźle.

Rzucił parę euro na stół i wyszedł z kawiarni. Minął kilka narożników i przeszedł przez Marienplatz obok targowiska, po którym kręcili się już pierwsi klienci; następnie wzdłuż Maximilianstrasse, eleganckiego bulwaru, przy którym mieściły się muzea, urzędy oraz

wytworny sklepy. Przed oczami wyrósł mu kolumnowy portyk Teatru Narodowego. Widział taksówki ustawione wokół pomnika Maksymiliana Józefa, pierwszego króla Bawarii. Cierpliwie oczekiwały na pasażerów, pierwszych tego popołudnia. Przeszedł przez ulicę i podszedł do czwartej taksówki stojącej w kolejce. Taksówkarz stał oparty o drzwi mercedesa z rękami założonymi na piersiach.

- Było dobrze? - zapytał kierowca po niemiecku.
- Wystarczająco.
- Czy moje przedstawienie okazało się przekonujące?
- Bez reszty - odparł Knoll i wręczył mężczyźnie zwitek banknotów euro.
- Praca z tobą jest dla mnie przyjemnością, Christianie.
- 1 ja lubię z tobą pracować, Erichu.

Znał taksówkarza dobrze; korzystał wcześniej z jego usług, bywając w Monachium. Człowiek ten był jednocześnie niezawodny i przekupny, a takich przymiotów Knoll spodziewał się po ludziach, którym powierzał jakieś zadania.

- Christian, czyżbyś robił się miękki?
- Jak to?
- Chciałeś ją przestraszyć, a nie zabić. To do ciebie niepodobne.

Uśmiechnął się.

- Nic tak nie wzbudza zaufania jak uratowanie komuś życia.
- Chcesz ją przetrząść czy jak?

Nie zamierzał mówić więcej; ten człowiek może mu się jeszcze przydać w przyszłości. Skinął głową.

- To niezły sposób, by zajrzeć jej do majtek, nie sądzisz? Taksówkarz przeliczył banknoty.

- Pięćset euro to sporo jak za dupę.

Knoll pomyślał, że za Bursztynową Komnatę dostanie dziesięć milionów euro, i to dopiero będzie sporo. Potem przypomniał sobie Rachel Cutler. Niewątpliwie go pociągała i nie przestał o niej myśleć, odkąd się rozstali.

- Wcale nie tak dużo - odparł.

ATLANTA, GEORGIA 12.35

Paul był zaniepokojony. Zrezygnował z lunchu i został w biurze, czekając na telefon od Rachel. W Niemczech była już szósta trzydzieści po południu. Wspominała wprawdzie, że spędzi noc w Monachium, zanim wyruszy do Kehlheim.

Nie był pewien, czy zamierzała zadzwonić dzisiaj, czy dopiero jutro, gdy będzie na południu u podnóża Alp. Nie był pewien, czy w ogóle będzie pamiętała, że obiecała zadzwonić.

Rachel nie owijała niczego w bawełnę, była agresywna i nieustępliwa. Zawsze. Jej niezależna osobowość czyniła z niej dobrego sędziego. Ale jednocześnie utrudniała zaakceptowanie jej, a jeszcze bardziej - polubienie. Nie miała wielu przyjaciół, chociaż w głębi duszy była ciepła i wrażliwa. Wiedział o tym. Niestety, oni oboje byli niczym ogień i woda. Ale czy naprawdę? Oboje woleli zjeść spokojnie kolację w domu niż w zatłoczonej restauracji, obejrzeć film na kasecie wideo z wypożyczalni niż wybrać się do teatru.

Popołudnie spędzone z dziećmi w zoo sprawiało im znacznie większą przyjemność niż wieczór spędzony w mieście. Zdawał sobie sprawę, że cierpiała z powodu ojca. Karol i Rachel byli z sobą zżyci i jeszcze bardziej się zbliżyli po ich rozwodzie.

Boria usiłował za wszelką cenę połączyć ich ponownie.

Nawet w swoim ostatnim liście napisał, że powinna dać Paulowi jeszcze jedną szansę.

Jednak to nie wydawało się możliwe. Rachel z determinacją stała na stanowisku, że nie mogą być razem. Odtrącała jego wyciągniętą do zgody rękę. Może powinien wreszcie dać jej spokój, zrezygnować. Ale martwiła go zupełna pustka w jej towarzyskim życiu. Wiedział także, że tylko jemu ufała i tylko na nim mogła polegać. Naprawdę niewielu mężczyznom były żony pozostawiały klucze do mieszkania. A on w dodatku był nadal współwłaścicielem domu. Prowadzili wspólny rachunek inwestycyjny. Nigdy nie nalegała, by zamknąć ich konto w Merrill Lynch; on zarządzał lokatą przez ostatnie trzy lata i nigdy nie miała najmniejszych zastrzeżeń co do sposobu, w jaki to robił.

Wpatrywał się w aparat telefoniczny Dlaczego nie dzwoni? Co się stało? Niejaki Christian Knoll ponoć deptał jej po piętach. Był chyba niebezpieczny A może nie. Wszystkie informacje na ten temat uzyskał od Jo Myers, atrakcyjnej brunetki z niebieskimi oczami i bardzo zgrabnymi nogami. Potrafiła zachować zimną krew, odpowiadała rzeczowo na jego pytania.

Szybko i zdecydowanie. Odniósł nawet wrażenie, że wyczuła, iż on nadal kocha Rachel

i że miał wątpliwości, czy powinna wybierać się w podróż do Niemiec. Chyba zbyt pochopnie opowiedział tej Myers wszystko; teraz odczuwał w związku z tym coraz większy niepokój. Rachel nie miała żadnych powodów, by jechać do Niemiec. Tego był pewien. Bursztynowa Komnata jej tak naprawdę nie interesowała i wydawało się mało prawdopodobne, by Dania Czapajew jeszcze żył.

Sięgnął ręką na biurko po listy napisane przez zmarłego teścia. Odnalazł ten przeznaczony dla Rachel i raz jeszcze przeczytał niemal połowę:

Czy ją znaleźliśmy? Być może. Żaden z nas nigdy tam nie dotarł i nie sprawdził tego. W tamtym czasie zbyt wiele osób wpadło na trop; kiedy zaś znaleźliśmy się niemal u celu, nie mieliśmy już złudzeń, że Sowieci znacznie gorsi od Niemców.

Postanowiliśmy pozostawić ją w spokoju. Wraz z Danią przysięgliśmy sobie, że nigdy nie ujawnimy tego, co wiemy albo może po prostu sądzimy, że wiemy. Dopiero kiedy Yancy zaoferował się, że przeprowadzi dyskretne dochodzenie i sprawdzi informację, którą kiedyś uznałem za wiarygodną, podjąłem ponownie wysiłki. Zadawał pytania podczas swojej ostatniej podróży do Włoch.

Nigdy się nie dowiemy, czy eksplozja na pokładzie samolotu była związana z przeprowadzonym przez niego śledztwem, czy z czymś innym. Wiem tylko, że poszukiwanie Bursztynowej Komnaty jest bardzo niebezpieczne.

Przeczytał jeszcze fragment i po raz kolejny natrafił na ostrzeżenie:

Ale nigdy, absolutnie nigdy nie podejmuj poszukiwań Bursztynowej Komnaty. Przypomnij sobie historię Faetona i łzy jego siostr Heliad. Jego ambicję oraz ich smutek i żal.

Paul czytał sporo klasyki, ale nie mógł sobie przypomnieć szczegółów. Trzy dni temu Rachel odpowiedziała dość wymijająco, kiedy podczas kolacji zapytał ją o ten mit.

Włączył komputer i Internet. W wyszukiwarce wpisał „Faeton i Heliady”. Na ekranie pojawił się rezultat wyszukiwania: kilkaset stron z linkami. Wybrał kilka na chybił trafił. Najlepsza okazała się strona *Mityczny świat Edith Hamilton*. Przejrzał ją i znalazł mit o Faetonie, a w bibliografii wzmiankę, że cytat pochodzi z *Przemian* Owidiusza.

Przeczytał cały mit. Był bardzo barwny i jednocześnie profetyczny.

Faeton, syn z nieprawego łoża Heliosa, boga słońca, dotarł w końcu do ojca. Bóg, odczuwając wyrzuty sumienia, zgodził się spełnić jedno jego życzenie. Chłopak natychmiast poprosił, by ojciec pozwolił mu pojeździć ognistym rydwanem po niebie od brzasku aż po zmierzch. Helios usiłował wyperswadować ten pomysł synowi, tłumacząc, że jest to czyn szalony i niebezpieczny. Ale nadaremnie; młodzieniec nie dał się zniechęcić. W

końcu Helios spełnił jego życzenie, ale ostrzegł, że rydwanem trudno jest kierować. Jego przestrogi wydały się Faetonowi przesadzone.

Oczami wyobraźni widział siebie w cudownym rydwanie, jak panuje nad wierzchowcami, których sam Zeus nie potrafił okiełznać.

Gdy Faeton w końcu wyruszył, zrozumiał, że ostrzeżenia ojca były jak najbardziej uzasadnione, bo natychmiast utracił kontrolę nad rydwanem. Rumaki popędziły najpierw w górę, a potem zanurkowały w dół i znalazły się tak blisko ziemi, że groziło to totalną pożogą. Zeus, nie mając wyboru, cisnął gromem w rydwan, zabijając Faetona. Jego płonące ciało wpadło w nurty cudownej rzeki Erydan. Mieszkające w niej najady, pełne żalu, że zginął tak odważny młodzieniec, wyprawiły mu pochówek. Siostry Faetona, Heliady, przybyły na jego grób pogrążone w żałobie. Zeus ulitował się nad ich bólem i przemienił je w topole, których liście od tej pory smutno szumią nad brzegami Erydanu.

Przeczytał ostatnie linijki na ekranie:

Lecz ciągle płyną łzy i krzepnąc, przemieniają się w słońcu w bursztyń, który czystą rzeką spływa.

Natychmiast przyszedł mu na myśl egzemplarz *Przemian* Owidiusza na regale w domu Borii. Karol usiłował ostrzec Rachel, ale nie posłuchała. Podobnie jak Faeton, przedsięwzięła szaloną podróż, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństw i nie myśląc o ryzyku. Czy Christian Knoll odegra rolę Zeusa? Czy ciśnie w nią gromem?

Znów spojrzał wyczekująco na aparat telefoniczny. Do cholery, zadzwoń wreszcie.

Co właściwie powinien zrobić?

Nie mógł jej pomóc. Musiał zostać z dziećmi, opiekować się nimi i czekać, aż Rachel zakończy romantyczną walkę z wiatrakami. Mógł zadzwonić na policję, a nawet zawiadomić stróżę prawa w Niemczech. Ale gdyby Christian Knoll był tylko wszędobylskim detektywem, Rachel z pewnością nigdy by Poulowi nie darowała. Bezlitośnie nazwałaby go w najlepszym razie - panikarzem.

On zaś nie miał ochoty usłyszeć tego po raz kolejny.

Istniało jednak rozwiązanie. I ono wydało mu się najrozsądniejsze. Spojrzał na zegarek. Dochodziła druga po południu. Za dziesięć ósma w Niemczech, czyli wieczór. Sięgnął po książkę telefoniczną, znalazł numer i zatelefonował do Delta Airlines. W słuchawce odezwał się miły głos pracownika działu rezerwacji.

- Interesuje mnie rejs z Atlanty do Monachium dziś wieczorem.

KEHLHEIM, NIEMCY SOBOTA, 17 MAJA, 8.05

Suzanne nie traciła czasu. Gdy tylko opuściła wczoraj biuro Paula Cutlera, natychmiast poleciała do Nowego Jorku i złapała rejs do Paryża o szóstej trzydzieści po południu. Na miejscu wylądowała tuż po dziesiątej wieczorem czasu miejscowego i krótko potem wsiadła w rejsowy samolot Air France, który był w Monachium przed pierwszą w nocy. Przespała się trochę w hotelowym pokoju i popędziła wynajętym audi na południe: najpierw autostradą E-533 do Oberammergau, potem skręciła w lewo w wijącą się serpentynami górską drogę prowadzącą do alpejskiego jeziora o nazwie Förggensee, na wschód od Fussen.

Miejscowość Kehlheim stanowiła bezładne zbiorowisko domów z kolorowymi elewacjami i spadzistymi dachami na wschodnim brzegu jeziora. Strzelista wieża kościoła w centrum dominowała nad miastem; stała na Marktplatz o luźnej zabudowie. Po drugiej stronie jeziora górskie zbocza porośnięte były lasami. W oddali na niebieskoszarej tafli wody dostrzegła kilka łódek sunących po wodzie z podniesionymi żaglami; przypominały motyle, które zrobiły sobie chwilę odpoczynku na lekkiej bryzie.

Zaparkowała na południe od kościoła. Rynecek pokryty kocimi łbami wypełniali przekupnie, którzy przybyli tutaj na sobotni poranny targ. Powietrze przesiąknięte było zapachem surowego mięsa, gnijących produktów spożywczych oraz dymu tytoniowego. Maszerowała wśród różnobarwnych straganów między tłumami tutejszych mieszkańców. Dzieci bawiły się hałaśliwie w niewielkich gromadkach. Z dala dobiegały odgłosy uderzeń młota. Starszy mężczyzna stojący za straganem przyciągnął jej uwagę siwymi włosami i zakrzywionym nosem. Musiał być mniej więcej rówieśnikiem Dani Czapajewa. Podeszła i zachwyciła się oferowanymi przez niego jabłkami i wiśniami.

- Piękne owoce - powiedziała po niemiecku.
- Sam je wyhodowałem - odparł staruszek.

Kupiła trzy jabłka i uśmiechnęła się ciepło do starca.

Jej przebranie było majstersztykiem. Peruka blond, lekko rudawa; jasna cera, orzechowe oczy. Powiększyła biust o dwa rozmiary za pomocą dwóch silikonowych wkładek. Pogrubiała też biodra i uda oraz naciągnęła dzinsy o dwa rozmiary większe. Flanelowa koszula w szkocką kratę oraz kowbojskie buty z cholewami dopełniały całości. Oczy zasłoniła przeciwsłonecznymi okularami, niezbyt ciemnymi, by nie wzbudzały podejrzeń. W razie czego naoczni świadkowie z pewnością powiedzą, że widzieli cycatą

blondynę przy kości.

- Może wie pan, gdzie mieszka Dania Czapajew? - zapytała. - To stary człowiek. Mieszka tu od dawna. Jest przyjacielem mojego dziadka. Przywiozłam mu prezent, ale zapomniałam o adresie. Szczęśliwie zapamiętałam nazwę tej osady.

Starszy człowiek pokręcił głową.

- To niedorzeczne, Fraulein.

Uśmiechnęła się, pokornie przyjmując reprimendę.

- Wiem, ale taka właśnie jestem. Zawsze bujam myślami w obłokach.

- Nie wiem, gdzie mieszka Czapajew. Pochodzę z Nesselwang, na zachód stąd. Ale jeśli pani chce, mogę zapytać kogoś z miejscowych.

Zanim zdążyła go powstrzymać, krzyknął coś do mężczyzny stojącego po drugiej stronie placu. Nie chciała zbyt głośno nagłaśniać swoich poszukiwań. Obaj mężczyźni rozmawiali po francusku, a w tym języku nie była biegła; zdołała wyłapać tylko pojedyncze słowa. Czapajew. Na północ. Trzy kilometry stąd. Nad jeziorem.

- Eduard zna Czapajewa. Mieszka na północy. Trzy kilometry stąd. Tuż nad brzegiem jeziora. Musi pani jechać tamtą drogą. Nieduża alpejska chata z kamienia.

Uśmiechnęła się i skinęła głową na pożegnanie. Już miała odejść, gdy usłyszała, jak mężczyzna po drugiej stronie targowiska zawołał:

- Julius! Julius!

Chłopiec w wieku około dwunastu lat podbiegł do straganu. Miał jasnobrązowe oczy oraz milutką twarz. Straganiarz powiedział mu coś i chłopak pędził teraz biegiem w jej stronę.

Daleko z tyłu stado dzikich kaczek uniosło się z jeziora w zamglone poranne niebo.

- Szuka pani Czapajewa? - zapytał chłopiec. - To mój dziadek. Mogę panią zaprowadzić.

Jego chłopięce oczy spoglądały z podziwem na jej obfity biust. Uśmiechnęła się.

- A więc prowadź.

Mężczyźni w każdym wieku dawali sobą manipulować i dlatego byli tacy przydatni.

9.15

Rachel zerkała ukradkiem z przedniego siedzenia na Christiana Knolla. Pędzili na południe autostradą E-533; pół godziny temu wyruszyli z Monachium na południe. Przez przyciemnione szyby volvo widziała urwiste szczyty wyłaniające się zza mgły: śnieg bielił się wysoko na skalnych graniach, stoki pokryte były bujną zielenią jodeł i modrzewi.

- Tu jest naprawdę pięknie - powiedziała zachwycona.
- Wiosna to najlepsza pora na wizytę w Alpach. Czy to twój pierwszy pobyt w Niemczech?

' Przytaknęła.

- Jestem pewien, że bardzo ci się tu spodoba.
- Ty pewnie wiele podróżujesz?
- Nieustannie.
- A gdzie mieszkasz na stałe?
- Mam mieszkanie w Wiedniu, ale rzadko w nim bywam.
- Moja praca wiąże się z rozjazdami po całym świecie.

Przyglądała się bacznie swemu enigmatycznemu szoferowi. Miał szerokie i muskularne barki oraz długie i mocne ramiona. Znów ubrany był na sportowo. Koszula w kratę, dżinsy, buty do kostek oraz delikatny zapach wody kolońskiej. Był pierwszym Europejczykiem, z którym rozmawiała tak długo. Może to ją fascynowało. Bo z pewnością rozbudził jej zainteresowanie.

- W notatce KGB stwierdzono, że masz dwójkę dzieci.
- A mąż? - zapytał Knoll.
- Były mąż. Jesteśmy rozwiedzeni.
- W Ameryce to sprawa powszednia.
- Co tydzień w sądzie przeprowadzam co najmniej setkę takich rozpraw.

Knoll pokiwał z niedowierzaniem głową.

- To prawdziwa hańba.
- Chyba ludzie nie potrafią już żyć razem.
- Czy twój małżonek także jest prawnikiem?
- Jednym z najlepszych.

Volvo śmignęło z ogromną prędkością lewym pasem.

- Zdumiewające. To auto rozwija prędkość ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Nawet około dwustu - odparł Knoll. - Teraz pędzimy ponad sto pięćdziesiąt.
- U nas tak nie można.
- Czy jest dobrym ojcem? - zapytał Knoll.
- Mój były? Och, tak. Bardzo dobrym.
- Lepszym ojcem niż mężem?

Dziwne były te jego pytania. Nie widziała jednak powodu, by mu nie odpowiedzieć. Powierzchnowa znajomość bez kontynuacji pozwalała na nieco większą wylewność; mogła się wygadać, nie mając mu za złe wtrącania się w jej sprawy osobiste.

- Nie powiedziałabym tak. Paul jest naprawdę dobrym człowiekiem. Większość kobiet byłaby zachwycona, mając go za męża.

- Dlaczego ty nie byłaś?

- Nie powiedziałam, że nie byłam. Po prostu nie mogliśmy się na co dzień porozumieć.

Knoll usłyszał w jej głosie zażenowanie.

- Nie mam zamiaru wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

- Po prostu interesują mnie ludzie. Nie mając domu, stałego adresu ani korzeni, chciałbym po prostu wiedzieć, jak żyją zwykli ludzie. To tylko ciekawość. Nic ponadto.

- W porządku. Nie czuję się urażona - odparła; na kilka chwil jednak zamilkła. Potem znów podjęła rozmowę: - Muszę zadzwonić i powiedzieć Paulowi, gdzie się zatrzymałam. On opiekuje się naszymi dziećmi.

- Możesz to zrobić wieczorem.

- Nie był zachwycony tym, że tu przyjechałam. On i mój ojciec byli zdania, że powinnam się trzymać od tego z dala.

- Rozmawiałaś o tym z ojcem przed śmiercią?

- Ależ skąd. Zostawił mi list razem z testamentem.

- Więc dlaczego się tu wybrałaś?

- Po prostu poczułam, że muszę to zrobić.

- Rozumiem doskonale. Bursztynowa Komnata jest rzeczywiście niezwykłym skarbem. Ludzie szukają jej od zakończenia wojny i wciąż nie tracą nadziei.

- Tak właśnie słyszałam. Ale na czym polega jej niezwykłość?

- Trudno to wytłumaczyć. Zwykle sztukę każdy człowiek odbiera po swojemu. Natomiast Bursztynowa Komnata, co ciekawe, poruszała wszystkich jednakowo. I to jest w

niej najbardziej fascynujące. Pisano o niej już w dziewiętnastym oraz na początku dwudziestego wieku. Wszyscy podzielali opinię, że jest precudowna. Proszę sobie wyobrazić komnatę, której wszystkie ściany są wyłożone bursztynem...

- Mogę sobie to wyobrazić.
- Bursztyn jest bardzo cenny. Wiesz o nim coś więcej? zapytał Knoll.
- Chyba niewiele.

- To po prostu skamieniała żywica. Jej wiek ocenia się na czterdzieści do pięćdziesięciu milionów lat. Drzewny sok przeobrażający się w kamień w ciągu niezmiernie długiego czasu stał się klejnotem. Starożytni Grecy nazywali go elektronem, czyli „substancją słońca”. Z powodu koloru oraz dlatego, że pocierany wytwarza ładunek elektryczny. Chopin pocierał palcami bursztynowe korale, zanim zasiadł do fortepianu. Bursztyn jest ciepły w dotyku; oprócz tego zapobiega nadmiernemu wydzielaniu potu.

- O tym nie wiedziałam.
- Rzymianie wierzyli, że ludziom urodzonym pod znakiem Lwa bursztyn przynosi szczęście. Natomiast zodiakalnym Bykom zwiastuje kłopoty.
- A więc ja powinnam nosić biżuterię z bursztynu.
- Urodziłam się pod znakiem Lwa.

Uśmiechnął się.

- Jeśli wierzysz w takie bajki... Średniowieczni medycy przepisywali inhalacje z bursztynu na bóle gardła. Opary rozgrzanego jantaru wydzielają intensywną woń, która prawdopodobnie ma właściwości lecznicze. Rosjanie zwą to „zapachem morza”. Oni także... Przepraszam, czy ja cię nie nudzę?

- Ależ skąd! To fascynujące.
- Podobno bursztyny przyspieszają też dojrzewanie owoców. Jest taka arabska legenda o szachu, który polecił swemu ogrodnikowi przynieść na stół świeże gruszki.
- Nie był to jednak sezon na gruszki; pierwsze owoce miały dojrzewać dopiero za miesiąc. Szach groził, że skróci delikwenta o głowę, jeśli ten nie dostarczy mu dojrzałych gruszek. Wtedy nieszczęśnik zerwał kilka owoców i spędził noc na modłach do Allacha. Palił przy tym bursztynowe trociczki. Następnego dnia gruszki były różowe, słodkie i naprawdę dojrzałe. Oczywiście, uznał to za odpowiedź na swoje modły - zakończył opowieść Knoll, po czym wzruszył ramionami. - Nie wiadomo, prawda to czy nie... Ale w oparach z bursztynu jest etylen, który, jak wiadomo, przyspiesza dojrzewanie. Oprócz tego zmiękcza skórę. Egipcjanie stosowali między innymi bursztyn do mumifikowania ciał.

- Moja wiedza na temat bursztynu ogranicza się do wyrobów jubilerskich. Widziałam

też kiedyś ilustracje przedstawiające bryłki bursztynu z zatopionymi w nich owadami oraz liśćmi. I to chyba wszystko.

- Dla Francisa Bacona bursztyn był „czymś więcej niż królewskim grobowcem”. Badacze twierdzą, że jantar jest wehikułem czasu. Artyści podpatrują jego przeróżne barwy.

Istnieje ponad dwieście pięćdziesiąt odcieni skamieniałej żywicy. Niebieskie i zielone są najrzadsze; czerwony, żółto - brązowy oraz złoty trafiają się z kolei najczęściej. Powstały całe gildie, które kontrolowały dystrybucję bursztynu.

Bursztynowa Komnata w osiemnastym wieku stanowiła niedościgły wzór tego, co człowiek własnymi rękami potrafi z tego surowca stworzyć.

- Jesteś dobrze zorientowany w tych sprawach.

- To mój fach.

- Samochód zwolnił.

- Zjeżdżamy z autostrady - poinformował Knoll i skręcając, nieco zwolnił. - Odtąd będziemy jechać na zachód drogą lokalną. Już niedługo będziemy w Kehlheim.

Wyprostował kierownicę i zmienił bieg, nabierając ponownie prędkości.

- Dla kogo pracujesz? - zapytała dla odmiany ona.

- Nie mogę powiedzieć. Mój mocodawca nie życzyłby sobie tego.

- Z pewnością jest zamożnym mężczyzną.

- Skąd ten wniosek?

- Skoro każe ci jeździć po całym świecie w poszukiwaniu dzieł sztuki... Nie jest to hobby dla przeciętnie zarabiającego mężczyzny.

- Nie powiedziałem wcale, że mój pryncypał jest mężczyzną.

- Istotnie, tego nie powiedziałeś - Rachel się uśmiechnęła.

- Sprytny fortel, Wysoki Sądzie.

Zielone łąki poprzecinane były zagajnikami wysokich jodeł, ciągnącymi się wzdłuż szosy. Otworzyła okno i wciągnęła w płuca świeże powietrze.

- Wspinamy się coraz wyżej, prawda?

- Tu zaczynają się Alpy i ciągną na południe aż do Włoch.

- Gdy dojedziemy do Kehlheim, powietrze będzie jeszcze bardziej rześkie.

Zastanawiała się wcześniej, dlaczego miał na sobie sweter z długimi rękawami i długie spodnie. Ona ubrała się w szorty koloru khaki oraz bluzkę z krótkim rękawem i kołnierzykiem przypinanym na dwa guziki. Nagle zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od rozvodu z Pauliem jechała samochodem prowadzonym przez mężczyznę. Zwykle

towarzyszyły jej dzieci, ojciec lub jakaś przyjaciółka.

- Chciałbym jeszcze raz powtórzyć to, co powiedziałem wczoraj. Naprawdę jest mi bardzo przykro z powodu śmierci twojego ojca - oświadczył Knoll.

- Był już staruszką.

- To zawsze przykre, gdy odchodzą rodzice. Ale pewnego dnia musimy ich stracić.

Jego słowa wydawały się jej szczerze. Na pewno były taktowne. To bardzo miłe z jego strony, że okazuje jej tyle współczucia.

A to jeszcze bardziej ją rajcowało.

11.45

Rachel spojrzała badawczo na twarz starego człowieka, który otworzył im drzwi. Niski mężczyzna o pociągłej twarzy, na głowie srebrne loki. Na przywiedłych policzkach i szyi szara kilkudniowa szczecina. Był szczupły; jego skóra wyglądała jak posypana talkiem, a pomarszczona twarz przywodziła na myśl orzech włoski. Musiał mieć co najmniej osiemdziesiąt lat. W pierwszej chwili pomyślała nawet, że to ojciec; ten człowiek bardzo go jej przypominał.

- Dania Czapajew? Nazywam się Rachel Cutler. Jestem córką Karola Borii.

Stary człowiek przyglądał się jej uważnie.

- Widzę go w twojej twarzy i oczach.
- Ucieszyłby się z tego - odpowiedziała z uśmiechem. Czy mogę wejść?
- Oczywiście - odparł Czapajew.

Weszła, a za nią Knoll. Parterowy budynek wzniesiono z drewna, miejscami pokrywał go złuszczony tynk. Dom Czapajewa był ostatni z kilku usytuowanych wzdłuż obsadzonej drzewami szosy wychodzącej z Kehlheim.

- W jaki sposób mnie znaleźliście? - zapytał Czapajew.
- Posługiwał się językiem angielskim znacznie lepiej niż jej ojciec.
- Zapytaliśmy w miasteczku o pana adres - odpowiedziała.

Salon był przytulny i ciepły; w kominku trzaskał ogień.

Dwie lampy paliły się obok sofy, na której usiedli Rachel i Knoll. Czapajew opadł na drewniany bujany fotel, spoglądając na gości. Powietrze przesiąknięte było zapachem cynamonu i kawy. Gospodarz zaproponował im coś do picia, ale oboje podziękowali. Przedstawiła Knolla, potem poinformowała Czapajewa o śmierci ojca. Stary człowiek zdawał się poruszony tą wieścią. Przez chwilę siedział w milczeniu; w jego zmęczonych oczach zaszklily się łzy.

- Był dobrym człowiekiem. Najlepszym z ludzi - odezwał się w końcu.
- Zjawiłam się tutaj, panie Czapajew...
- Dania, proszę. Mów mi po imieniu.
- W porządku. Przyjechałam tu ze względu na korespondencję, którą ty i mój ojciec wymienialiście między sobą.
- Czytałam wasze listy Są w nich wzmianki o Bursztynowej Komnacie. Tata

wspominał, że mieliście wspólny sekret oraz że jesteście już zbyt starzy, by podjąć poszukiwania. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej.

- Po co, moje dziecko?
- Wydaje mi się, że to było ważne dla taty.
- Czy kiedykolwiek rozmawiał z tobą na ten temat?
- Opowiadał trochę o wojnie oraz o tym, czym zajmował się po jej zakończeniu.
- Może miał powody, by zachować milczenie.
- Jestem pewna, że tak było; ale teraz taty już nie ma.

Czapajew siedział w milczeniu, sprawiając wrażenie, że się nad czymś zastanawia. Na jego zniszczonej przez lata twarzy migąło światło płomieni z kominka. Spojrzała na Knolla: bacznie obserwował gospodarza. Musiała powiedzieć o listach i nie uszła jej uwagi reakcja Christian. Nic dziwnego; wcześniej świadomie to przed nim zataiła. Postanowiła, że wyjaśni wszystko później.

- Chyba już nadszedł czas - odezwał się cicho Czapajew Zastanawiałem się, kiedy do tego dojdzie. Zapewne teraz jest właściwy moment.

Usłyszała, jak siedzący obok niej Knoll odetchnął z ulgą.

Przebiegł ją na wskroś zimny dreszcz. Czy możliwe, że ten stary człowiek wiedział, gdzie ukryto Bursztynową Komnatę?

- Ten potwór, Erich Koch - wyszeptał Czapajew.
- Nie zrozumiała.
- Koch?

- *Gauleiter* - wyjaśnił Knoll. - Gubernator jednej z prowincji Hitlera. Koch sprawował władzę w Prusach i na Ukrainie. Jego zadaniem było wyciśnięcie każdej tony ziarna, każdej uncji stali i wszystkich sił z każdego słowiańskiego robotnika przymusowego, którego zdybał na podległych swojej władzy obszarach.

Starzec westchnął.

- Koch zwykł mówić, że gdyby spotkał Ukraińca godnego zasiąść z nim przy jednym stole, natychmiast by go zastrzelił. Chyba powinniśmy mu być wdzięczni za tę bezwzględność. Udało mu się bowiem przemienić czterdzieści milionów Ukraińców, którzy przywitali niemieckich okupantów jak wyzwolicieli spod reżimu Stalina, w zaciekłych partyzantów, darzących Niemców głęboką nienawiścią. To naprawdę było wielkie osiągnięcie.

Knoll nie zareagował, a Czapajew ciągnął dalej:

- Po wojnie Koch bawił się w kotka i myszkę z Rosjanami oraz Niemcami, posługując

się Bursztynową Komnatą jako gwarancją przeżycia. Karol i ja przyglądaliśmy się jego manipulacjom, ale nie puszczaaliśmy pary z ust.

- Nie bardzo rozumiem. - Rachel czuła się trochę jak na tureckim kazaniu.

- Po wojnie Koch był sądzony w Polsce i został skazany na śmierć za zbrodnie wojenne. Jednak Sowieci ciągle odraczali egzekucję. Trzymał ich w szachu, bo twierdził, że wie, gdzie ukryto Bursztynową Komnatę. To właśnie Koch zlecił przewiezienie tego skarbu spod ówczesnego Leningradu do Królewca w 1941 roku. Także on kazał ją ewakuować na zachód w 1945 roku. Rzekomą wiedzę na ten temat wykorzystywał, by odsuwać w czasie wykonanie wyroku. Nie miał przecież cienia wątpliwości, że Rosjanie go uśmiercą, gdy tylko ujawni kryjówkę - wyjaśnił Knoll.

Zaczęła sobie przypominać fakty, o których czytała w artykułach zgromadzonych przez ojca.

- W końcu uzyskał gwarancje, prawda?

- W połowie lat sześćdziesiątych minionego wieku - powiedział Czapajew. - Ale jak głupi utrzymywał, że nie potrafi przypomnieć sobie dokładnie miejsca. Królewec przemianowano na Kaliningrad i należał do Związku Radzieckiego.

- Miasto zostało zniszczone bombardowaniami podczas wojny, a potem Sowieci zrównali je z ziemią i zaczęli budować od podstaw. W niczym nie przypominało dawnego Królewca. Koch zwał całą winę na Sowietów. Mówił, że zniszczyli punkty orientacyjne, które zapamiętał. Z tego powodu nie mógł wskazać kryjówki.

- Koch nic nie wiedział, prawda? - zapytał Knoll.

- Nic. Chodziło mu tylko o to, żeby utrzymać się przy życiu.

- W takim razie proszę nam powiedzieć, czy pan odnalazł Bursztynową Komnatę?

Czapajew skinął twierdząco głową.

- Widział ją pan? - dopytywał się Niemiec.

- Nie. Ale ona tam była.

- Dlaczego zachował pan tę wiedzę w tajemnicy?

- Stalin był złym człowiekiem. To diabeł wcielony. Grabił i kradł rosyjskie dziedzictwo, żeby zbudować Pałac Rad.

- Co zbudować? - zapytała Rachel.

- Kolosalny drapacz chmur w Moskwie - odparł Czapajew - Na jego szczycie chciał umieścić ogromną statwę Lenina. Możecie wyobrazić sobie coś równie potwornego? Karol, ja oraz kilku innych sprowadzaliśmy arcydzieła do Muzeum Sztuki Świata, które miało znajdować się w tym pałacu. To miał być dar Stalina dla świata. Nie różniło się to niczym

od tego, co Hitler próbował stworzyć w Austrii.

Gigantyczne muzeum zagrabionych dzieł sztuki. Na szczęście Stalin również nie zdążył dokończyć dzieła. To było szaleństwo. Wytwór chorej wyobraźni. I nikt nie potrafił go powstrzymać; ot, kanalia! Śmierci jednak udało się go pokonać. - Stary człowiek pokręcił głową z niedowierzaniem. Bezprzykładne szaleństwo. Karol i ja byliśmy zdecydowani odegrać do końca swoją rolę i nigdy nikomu nie powiedzieć o tym, co znaleźliśmy w górach. Lepiej, żeby pozostało tam na wieki, niż stało się najznakomitszym eksponatem szatana.

- W jaki sposób udało wam się znaleźć Bursztynową Komnatę? - zapytała.

- Przypadkiem. Karol natknął się na robotnika kolejowego, który wskazał nam tę jaskinię. Znajdowała się w radzieckiej strefie okupacyjnej, z której później utworzono wschodnie Niemcy. Rosjanie kradli nawet tutaj, chociaż była to grabież niejako uzasadniona. Takie okropne rzeczy zdarzają się zawsze, ilekroć Niemcy się jednoczą. Zgodzi się pan z tym, Herr Knoll?

- Nie mam zwyczaju dyskutować o polityce, towarzyszu Czapajew. A oprócz tego jestem Austriakiem, nie Niemcem.

- To dziwne. Zdawało mi się, że słyszę bawarskie nosowe brzmienie w pańskim akcencie.

- Dobry słuch jak na człowieka w pańskim wieku.

Czapajew zwrócił się do niej.

- Twój ojciec nosił przydomek Ucho. Tak nazywali go w Mauthausen. Był jedynym więźniem w baraku, który znał niemiecki.

- Nie wiedziałam o tym. Tata rzadko wspominał pobyt w obozie.

Gospodarz pokiwał głową.

- To całkiem zrozumiałe. Ostatnie kilka miesięcy wojny również spędziłem w obozie. - Spojrzał twardym wzrokiem na Knolla. - Co do pańskiego akcentu, Herr Knoll, byłem kiedyś specjalistą w tych sprawach. Szczególnie w odniesieniu do języka niemieckiego.

- Pańska angielszczyzna jest również całkiem przyzwoita.

- Mam talent do języków.

- Poprzednia profesja z pewnością dawała panu możliwość utrzymywania rozległych kontaktów.

Zdziwiona była starciem, które najwyraźniej rozgrywało się na jej oczach. Dwóch obcych sobie ludzi zachowywało się tak, jakby znali się nawzajem jak łyse konie. Albo jeszcze lepiej: jakby się serdecznie nienawidzili. Ten spór jednak tylko przedłużał

dochodzenie do celu ich misji.

- Dania, czy możesz nam wyjawić, gdzie jest ukryta Bursztynowa Komnata? - zapytała wprost.

- Na północy. W górach Harzu. Niedaleko Wartburga.

- Mówi pan zupełnie jak Koch - wtrącił Knoll. - Te jaskinie już dawno zostały splądrowane.

- Mówię o wyrobiskach, które położone są we wschodniej części. Sowieci ogrodzili je łańcuchami. Zakazali wstępu.

- Jest ich tam bardzo wiele. Upłyną kolejne dziesięciolecia, zanim zostaną dokładnie przebadane. Przypominają szurzy labirynt. Naziści większość z nich zaminowali, w pozostałych magazynowali amunicję. Z tego właśnie powodu Karol i ja nigdy nie zajrzeliśmy do środka. Lepiej, żeby bursztyn spoczął tam na wieki, niż gdyby miał wylecieć w powietrze.

Knoll wyciągnął z tylnej kieszeni mały notes i pióro.

- Niech pan naszkicuje mapę.

Przez kilka minut Czapajew rysował w milczeniu. Rachel i Knoll też się nie odzywali. Tylko ogień w kominku trząsał, wtórując skrzypieniu stalówki po papierze. Wreszcie staruszek oddał notes z powrotem Knollowi.

- Wejście można znaleźć tylko podczas słonecznej pogody - dodał Czapajew. - Jaskinia wychodzi dokładnie na wschód. Jeden z przyjaciół, który był tam ostatnio, stwierdził, że teraz jest zamknięte i zakratowane. Umieszczono obok tabliczkę z napisem BCR-65. Niemieckie władze muszą najpierw zneutralizować miny i materiały wybuchowe, dlatego nikt dotąd nie odważył się tam wejść.

Przynajmniej tak mi mówiono. Narysowałem szkic tunelu najlepiej, jak potrafię; tak go zapamiętałem. Ale będziecie musieli trochę pokopać. Po przekopaniu metra skalnego gruzu natkniecie się na stalowe wrota, które prowadzą do dalszych pomieszczeń.

- Utrzymywał pan to w tajemnicy przez kilkadziesiąt lat, a teraz ujawnia ją pan, ot tak, dwojgu obcych ludzi? - zapytał z niedowierzaniem Knoll.

- Rachel nie jest obca.

- Skąd pan wie, że naprawdę jest tą, za którą się podaje?

- Jest tak podobna do ojca, że nie mam cienia wątpliwości.

- Ale o mnie nie wie pan nic. Nie zapytał pan nawet, dlaczego tu przyjechałem.

- Skoro przywiozła pana Rachel, nic więcej mnie nie obchodzi. Jestem już starym człowiekiem. Nie zostało mi wiele czasu. Ktoś powinien poznać moją tajemnicę. Może obaj

z Karolem mieliśmy rację. A może się myliliśmy. Może w środku nic nie znajdziecie. Niech więc pan tam pojedzie i przekona się sam - odparł Czapajew i zwrócił się do niej. - Drogie dziecko, jeśli to wszystko, czego chcieliście, idźcie już. Jestem zmęczony i chciałbym nieco odpocząć.

- W porządku, Dania. Dziękujemy. Sprawdzimy, czy rzeczywiście jest tam Bursztynowa Komnata.

Czapajew westchnął.

- Zrób to, moje dziecko. Zrób to.

- Bardzo dobrze, towarzyszu - powiedziała po rosyjsku Suzanne, gdy Czapajew otworzył drzwi do sypialni. Goście starego człowieka wyszli i słyszała, jak auto wyjeżdża na ulicę.

- Czy nigdy nie zastanawiał się pan nad karierą aktorską? Christiana Knolla trudno wyprowadzić w pole. Ale pan odegrał to znakomicie. O mały włos sama bym w to uwierzyła.

- Skąd pani wie, że Knoll pojedzie do tej jaskini?

- Zależy mu bardzo na usatysfakcjonowaniu swego nowego pracodawcy. Tak bardzo pragnie zdobyć dla niego Bursztynową Komnatę, że wykorzysta każdą okazję i sprawdzi każdy trop, nawet jeśli podejrzewa, że jest fałszywy.

- A jeśli się domyśli, że to pułapka?

- Nie będzie niczego podejrzewać dzięki pańskiemu przekonującemu spektaklowi.

Czapajew spojrzał na wnuka. Chłopiec siedział zakneblowany i przywiązany do krzesła stojącego obok łóżka.

- Ukochany wnuk również podziwiał pańskie aktorskie popisy- dodała i pogłaskała chłopca po włosach. - Prawda, Julius?

Chłopiec usiłował odwrócić głowę do tyłu, mamrocząc coś ustami zaklejonymi taśmą. Przystawiła pistolet z tłumikiem do jego głowy. Przerażone dziecko wybałuszyło oczy, gdy lufa znalazła się tuż przy jego skroni.

- Nie ma potrzeby - szybko rzucił Czapajew. - Zrobiłem, o co pani prosiła. Narysowałem dokładnie mapę. Bez żadnych sztuczek. Choć serce mi się kraje na myśl, co się stanie z biedną Rachel. Nie zasługuje na to.

- Biedna Rachel powinna pomyśleć o tym wcześniej, zanim postanowiła się w to wmieszać. To nie jest jej sprawa i nie jej kłopoty. Powinna wrócić do domu i zostawić to wszystko.

- Czy możemy przejść do drugiego pokoju? - zapytał.

- Jak pan sobie życzy. Nie sądzę, by Julius gdzieś się wybierał. Prawda, chłopcze?

Przeszli do salonu. Zamknął za sobą drzwi sypialni.

- Chłopiec nie zasługuje na śmierć - powiedział cicho.

- Ależ pan wrażliwy, towarzyszu Czapajew.

- Proszę mnie tak nie nazywać.

- Nie jest pan dumny ze swego sowieckiego dziedzictwa?

- Nie mam sowieckich korzeni. Byłem Białorusinem.

- Wspólnie z Sowietami walczyłem jedynie przeciw Hitlerowi.

- Nie miał pan jednak skrupułów, grabiąc skarby dla Stalina.

- To był błąd, paranoja tamtych czasów. Dobry Boże, przez ponad pięćdziesiąt lat dochowałem tajemnicy. Nigdy nie powiedziałem nawet słowa. Czy to pani nie wystarczy?

Nie może pani darować życia mojemu wnukowi?

Nie odezwała się.

- Pracuje pani dla Loringa, prawda? - zapytał. - Josef z pewnością już nie żyje. To musi być Ernst, jego syn.

- Jeszcze raz bardzo przenikliwie, towarzyszu.

- Wiedziałem, że pewnego dnia ktoś tu przyjdzie. Czekałem na to nawet. Ale chłopiec nie ma nic do tego. Niech go pani puści wolno.

- To niepotrzebny świadek. Tak jak ty. Czytałam korespondencję z Karolem Borią. Dlaczego nie zostawiłeś spraw własnemu biegowi? Nie pozwoliłeś, żeby umarły śmiercią naturalną? Z iloma jeszcze ludźmi korespondowałeś? Mój mocodawca nie zamierza ryzykować. Boria odszedł. Inni komisarze także nie żyją. Pozostałeś tylko ty.

- To pani zabiła Karola, czy tak?

- Nie lubię sobie przypisywać cudzych zasług. *Herr Knoll* mnie wyręczył.

- Czy Rachel o tym wie?

- Najwyraźniej nie.

- Biedne dziecko, jest w poważnym niebezpieczeństwie.

- To jej problem, towarzyszu, jak już mówiłam.

- Spodziewam się, że pani mnie zabije. W pewnym sensie nawet mnie to cieszy. Ale proszę wypuścić chłopca. On nie mówi po rosyjsku. Nie zrozumiał, o czym rozmawialiśmy. Z pewnością naprawdę wygląda pani zupełnie inaczej. Chłopiec nie powie policji nic, co mogłoby naprowadzić na pani ślad.

- Wie pan, że nie mogę być nieostrożna.

Rzucił się w jej kierunku, ale mięśnie, które niegdyś zapewne pozwalały mu wspinać

się na skały i kruszyć kamienie, z wiekiem i z powodu chorób zwiotczały. Bez trudu uniknęła nieporadnie wymierzonego ciosu.

- To nie było potrzebne, towarzyszu.

Upadł na kolana.

- Proszę. Błagam panią w imię Dziewicy Maryi, niech pani puści go wolno. On musi żyć.

Stary człowiek pochylił się i przycisnął twarz do podłogi.

Zaczął mamrotać przez łyżę:

- Biedny Julius. Biedny, biedny Julius.

Wymierzyła lufę w tył głowy Czapajewa i rozważała jego prośbę.

- Do widzenia, towarzyszu.

- Czy nie byłeś wobec niego zbyt brutalny? - spytała Rachel.

Pędzili autostradą w kierunku północnym, Kehlheim i Danię Czapajewa pozostawili na południu godzinę temu.

Teraz ona prowadziła. Knoll oznajmił, że niebawem ją zmieni, a na razie robił za pilota po serpentynach w górach Harzu.

Spoglądał na szkic, który narysował Czapajew.

- Powinnaś zrozumieć, Rachel, że param się tym rzemiosłem od lat. Ludzie częściej kłamią niż mówią prawdę. Stary Białorusin utrzymuje, że Bursztynowa Komnata spoczywa w którejś z jaskiń w górach Harzu. Weryfikowano tę hipotezę już tysiąc razy. Naciskałem, bo chciałem się upewnić, że starzec nas uczciwie informuje.

- Sprawiał wrażenie szczerego.

- Wydaje mi się co najmniej podejrzanym, że po latach poszukiwań bursztynowy skarb czeka sobie, jak gdyby nigdy nic, na końcu ciemnego tunelu.

- Czy sam nie twierdziłeś, że są setki takich wyrobisk i że większość z nich nie została jeszcze spenetrowana? Ponieważ to zbyt duże ryzyko?

- Masz rację. Ale obszar wskazany przez Czapajewa znam dość dobrze. Osobiście prowadziłem eksplorację w kilku tunelach i jaskiniach.

Poinformowała go wtedy o Waylandzie McKoyu oraz jego teraz właśnie podjętej wyprawie.

- Stod jest oddalone zaledwie o czterdzieści kilometrów od miejsca, do którego jedziemy - skomentował Knoll. - Jest tam wiele pieczar; podobno pełno w nich zagrabionych łupów.

Jeśli dać wiarę temu, co rozgłaszają poszukiwacze skarbów.

- Ty w to nie wierzysz?

- Z mojego doświadczenia wynika, że wszystko, co jest warte posiadania, jest już czyjąś własnością. Teraz łowcy koncentrują się na tych, którzy są posiadaczami. Zdziwiłabyś się, jak wiele utraconych skarbów leży sobie po prostu na stole w czyjejs sypialni albo wisi na ścianie niczym ozdóbka kupiona w domu towarowym czy na targu. Ludzie z upływem czasu stają się mniej ostrożni. Ale to błąd. W latach sześćdziesiątych na jakiejś zapadłej wsi turysta odnalazł obraz Moneta.

- Właściciel dał za niego podczas wojny funt masła. Historii takich jak ta, Rachel, jest

bez liku.

- Tym właśnie się zajmujesz? Poszukiwaniem tego rodzaju okazji?
- Oraz poważniejszymi przedsięwzięciami.

Jechali dalej. Teren, początkowo płaski, stopniowo się wznosił; autostrada przecinała środkowe Niemcy i później biegła w kierunku północno-zachodnim między górami. Zrobili sobie postój na poboczu. Rachel przesiadła się na miejsce obok kierowcy, a Knoll zasiadł za kierownicą i wjechał na autostradę.

- Jesteśmy już w masywie Harzu. To najdalej na północ wysunięte góry w Niemczech.

Szczyty, w odróżnieniu od alpejskich urwisk i grani, nie były pokryte wiecznym śniegiem. Górskie zbocza opadały łagodnie, wierzchołki były zaokrąglone i porośnięte świerkami oraz bukami. Miasteczka i wioski leżały w niewielkich kotlinach oraz szerokich wąwozach. W oddali rysowały się wyższe szczyty.

- Ten widok przypomina mi Appalachy - podjęła rozmowę.

- To kraina z baśni braci Grimm - powiedział Knoll. Królestwo magii. Tu właśnie znajdowały się ostatnie bastiony pogaństwa w średniowieczu. Chochliki, czarownice i skrzaty rozchodziły się stąd na wszystkie strony świata. Wedle historycznych źródeł, w tych okolicach zabito ostatniego w Niemczech niedźwiedzia oraz rysia.

- To niesamowite.

- Kiedyś wydobywano tu srebro, ale tylko do dziesiątego wieku. Potem przyszła kolej na złoto, ołów, cynk i wreszcie baryt. Ostatnią kopalnię zamknięto w latach trzydziestych minionego stulecia. Większość tuneli i pieczar to pozostałości po pokładach górniczych. Naziści spożytkowali stare kopalnie z korzyścią dla siebie. Idealnie chroniły przed bombami, trudne były do zdobycia także przez oddziały lądowe.

Spoglądała na drogę wijącą się przed nimi i myślała przez chwilę o wspomnianych przez Knolla baśniach braci Grimm.

Niemal czekała, że ujrzy zniecała gęś znoszącą złote jaja albo dwa głązy, w które zamieniono złych braci, czy Szczurołapa z Hameln, uwodzącego muzyką dzieci i szczury.

Godzinę później wjechali do Wartburga. Ciemne kontury wałów obronnych otaczały miasteczko o zwartej zabudowie, z łagodnymi łukami oraz stożkowymi dachami warownych baszt. Tutejsza architektura różniła się wyraźnie od tego, co widziała na południu. Czerwone dachy i nadwerężone zębem czasu szczyty z Kehlheim ustąpiły miejsca fasadom z pruskiego muru i dachom pokrytym matowymi łupkami. Dużo mniej kwiatów w oknach i przed domami. Sceneria niemal średniowieczna, ale wstydliwie ukrywana. Pomyślała, że ten kontrast przypominał różnicę między Nową Anglią a głębokim

południem Stanów Zjednoczonych.

Knoll zaparkował przed frontem zajazdu o nazwie „Goldene Krone”.

- „Złota Korona” - wyjaśnił jej, po czym zniknął w gospodzie. Czekając na zewnątrz i obserwując z ciekawością ruchliwe uliczki. Sklepy usytuowane po obu stronach brukowanej kocimi łbami uliczki świadczyły o zapobiegliwości właścicieli. Po kilku minutach Knoll pojawił się ponownie.

- Zarezerwowałem na noc dwa pokoje. Dochodzi piąta, mamy więc jeszcze dobre pięć albo sześć godzin. Ale w góry wyruszamy dopiero rano. Nie ma pośpiechu. Skarb czekał sześćdziesiąt lat, niech poczeka do jutra.

- Dzień trwa tutaj aż tak długo?

- Jesteśmy w połowie drogi do koła polarnego, a wkrótce się zaczyna astronomiczne lato.

Knoll wyjął ich torby z wynajętego auta.

- Pomogę ci się zakwaterować, a potem muszę zrobić drobne zakupy. Gdy to załatwię, zapraszam na kolację. Po drodze widziałem ciekawą knajpkę.

- Będzie mi bardzo miło - odparła.

Knoll wyszedł z pokoju Rachel. Wjeżdżając do miasta, zauważył żółtą budkę telefoniczną w pobliżu murów miejskich i teraz do niej właśnie zmierzał. Nie lubił korzystać z telefonów hotelowych. Dawało to możliwość zarejestrowania rozmowy. Wolno stojąca budka telefoniczna zawsze wydawała mu się bezpieczniejsza, jeśli chciał odbyć rozmowę zamiejscową.

Wszedł do środka i wybrał numer w Burg Herz.

- Nareszcie. Co się dzieje? - usłyszał od Moniki zamiast powitania.

- Staram się odnaleźć Bursztynową Komnatę.

- Gdzie jesteś?

- Niedaleko.

- Nie mam ochoty na żarty, Christianie.

- W górach Harzu. W Wartburgu.

Potem opowiedział jej o Rachel Cutler, Dani Czapajewie oraz jaskini.

- To przecież stara śpiewka - skitowała jego rewelację Monika. - Te góry są niczym mrowisko i nikt nigdy nie znalazł tam nawet złamanego feniga.

- Mam szkie. Co szkodzi spróbować?

- Chcesz ją zerznąć, czy tak?

- Ta myśl istotnie przemknęła mi przez głowę.

- Nie obawiasz się, że ona wie zbyt wiele?

- Nic, co pociągałoby za sobą niepożądane skutki. Nie miałem wyboru i musiałem ją ze sobą zabrać. Wychodziłem z założenia, że w obecności córki Borii Czapajew okaże się bardziej rozmowny niż gdybym pojawił się u niego sam.

-I?

- Okazał się nadzwyczaj rozmowny. Nawet nazbyt ochoczy, jak na moje wyczucie.

- Uważaj na tę Cutler - ostrzegła go Monika.

- Wie tylko, że poszukuję Bursztynowej Komnaty. Nic więcej. Nie ma pojęcia, że mam cokolwiek wspólnego ze śmiercią jej ojca.

- Wygląda na to, Christianie, że robisz się uczuciowy.

- Mylisz się.

Zdał jej relację ze spotkania z Suzanne Danzer na lotnisku w Atlancie.

- Loringa niepokoją nasze poszukiwania - poinformowała go Monika. - Wczoraj bardzo długo rozmawiał telefonicznie z ojcem. Z pewnością usiłował wydobyć od niego jakieś informacje. Nawet jak na Ernsta było to zbyt nachalne.

- Witamy w grze.

- Nie interesuje mnie gra, Christianie. Ja chcę mieć Bursztynową Komnatę. Ojciec uważa, że jest to najbardziej obiecujący trop spośród dotychczasowych.

- Nie jestem tego pewien.

- Zawsze byłeś pesymistą. Dlaczego?

- Coś w zachowaniu Czapajewa nie daje mi spokoju. Nie potrafię tego sprecyzować. Ale coś mi śmierdzi.

- Jedź do tej kopalni, Christianie, i sprawdź. Baw się dobrze. Zerznij tę prawniczkę i zakończ robotę.

Rachel wystukała numer na aparacie telefonicznym stojącym na stoliku przy łóżku i podała międzynarodowemu operatorowi AT&T numer karty kredytowej. Po ośmiu dzwonekach usłyszała sygnał domowej automatycznej sekretarki oraz własny głos instruujący osobę dzwoniącą, by pozostawiła wiadomość.

- Paul, jestem w miasteczku o nazwie Wartburg w centralnych Niemczech. Podaję nazwę hotelu i numer telefonu... podyktowała dane z ulotki „Goldene Krone”. - Zadzwoń jutro. Ucałuj ode mnie dzieciaki. Do usłyszenia.

Spojrzała na zegarek. Była piąta po południu. Jedenasta rano w Atlancie. Może zabrał dzieciaki do zoo albo do kina.

Była zadowolona, że zostały z Paulem. Jaka szkoda, że nie mógł być z nimi na co dzień.

Dzieci potrzebowały ojca; tak samo on potrzebował ich. Świadomość, że rodzina przestaje być monolitem, była dla niej najtrudniejsza do zaakceptowania w związku z rozwodem. Rozstrzygała sprawy rozwodowe jako sędzia już od roku, kiedy doszło do rozpadu jej własnego małżeństwa. Wiele razy, wysłuchując zeznań, których tak naprawdę nie chciała słuchać, zastanawiała się, dlaczego niegdyś kochające się pary pewnego dnia dochodzą do wniosku, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Czy to nienawiść bywa najczęściej przyczyną rozwodu? Czy jest konieczna? Ona i Paul nie darzyli się nienawiścią. Usiedli razem, spokojnie podzielili dobytek i zdecydowali, co będzie najlepsze dla dzieci. Ale czy pozostawiła Paulowi wybór? Dała mu jasno do zrozumienia, że ich małżeństwo jest skończone. Nie chciała na ten temat więcej dyskutować. Robił wszystko, żeby jej to wyperswadować, ale nie trafiały do niej żadne argumenty.

Wiele razy zadawała sobie to pytanie: czy postąpiła słusznie. I za każdym razem dochodziła do tej samej konkluzji: któż to wie?

Knoll przyszedł po nią do pokoju i ruszyli razem do osobliwej kamiennej zagrody, w której, jak wyjaśnił, jeźdźcy kiedyś się zatrzymywali, by zmienić konie. Teraz urządzono w niej gospodę.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała.

- Wypytałem o wszystko, gdy sprawdzałem, do której lokal jest otwarty.

Gotyckie sklepienie piwnicy zwieńczone było łukiem; w oknach witraże, na stołach kute z żelaza świeczniki. Knoll zaprowadził ją do narożnego stolika w końcu sali. Od ich przybycia do Wartburga upłynęły dwie godziny Rachel wzięła szybką kąpiel oraz zmieniła ubranie. Jej towarzysz również się przebrał. Dżinsy i buty do kostek ustąpiły miejsca wełnianym spodniom, kolorowemu swetrowi oraz pantoflom z jasnobrazowej skóry.

- Co załatwiłeś, odkąd się rozstaliśmy? - zapytała, gdy usiedli.

- Kupowałem rzeczy, które przydadzą się nam jutro.

- Latarki, łopate, nożyce do łańcuchów, dwie kurtki. W podziemnym wyrobisku będzie chłodno. Zauważyłem, że miałaś dziś na nogach buty z cholewami. Załóż je jutro, przyda ci się solidne obuwie.

- Widać, że wiesz, co trzeba robić w takich sytuacjach.

- Kilka razy robiłem coś podobnego. Musimy zachować ostrożność. Nikomu nie wolno podejmować poszukiwań w starych kopalniach bez zezwolenia. Rząd udostępnia je nielicznym, nie chcąc dopuścić, by ludzie ginęli w wyniku podziemnych eksplozji.

- Przypuszczam, że nie będziemy zabiegać o zezwolenie?

- W żadnym wypadku. Dlatego właśnie zajęło mi to tyle czasu. Kupiłem to wszystko u

kilku handlarzy Gdybym kupował u jednego, zwróciłoby to niepotrzebnie jego uwagę.

Podszedł do nich kelner i przyjął zamówienie. Knoll zamówił butelkę czerwonego wina - jeśli wierzyć zapewnieniom kelnera, wyprodukowanego w tutejszych winnicach.

- Powiedz, czy podoba ci się ta przygoda? - zapytał.
- Bije na głowę emocje w sali sądowej.

Rozejrzała się po przytulnej knajpce. Za stołami siedziało może z dwudziestu gości. Głównie pary. I przy jednym grupa czteroosobowa.

- Sądysz, że znajdziemy to, czego szukamy?
- Bardzo dobrze - pochwalił ją.
- Nie zrozumiała.
- Co masz na myśli?
- To, że przechodzisz od razu do sedna sprawy.
- Przypuszczam, że nie życzysz sobie rozgłosu.
- Słusznie. Ale wracając do sedna, przyznam, że wątpię.
- Wciąż nie ufasz temu, co usłyszałeś dziś rano?
- Nie o to chodzi, że nie ufam. Słyszałem to wszystko wcześniej.
- Ale nie od mojego ojca.
- To nie twój ojciec nas tutaj wysłał.
- Nadal uważasz, że Czapajew kłamał?

Kelner przyniósł wino oraz zamówione dania: dla Knolla parującą sztukę wieprzowiny, dla niej - pieczonego kurczaka z ziemniakami i sałatką. Zrobiła na niej wrażenie szybka obsługa.

- Pozwól, że powstrzymam się z osądem do jutra - zaproponował Knoll. - Niech wątpliwości przemawiają na korzyść swojego człowieka, jak mawiacie w Ameryce.

- Sądzę, że to niezła zasada - uśmiechnęła się.

Knoll wskazał ręką talerze.

- Może podczas jedzenia porozmawiamy o czymś przyjemnym?

Wracali po kolacji do „Goldene Krone”. Dochodziła dziesiąta, ale niebo wciąż jeszcze podświetlały promienie zachodzącego słońca. Wieczorne powietrze przypominało jej jesień na północy Georgii.

- Mam jedno pytanie - zaczęła. - Jeśli znajdziemy Bursztynową Komnatę, czy rosyjski rząd nie zażąda jej zwrotu?

- Są prawne kruczki, które to uniemożliwiają. Płyty pozostawały w ukryciu z górą pięćdziesiąt lat. Ich znalezienie wiąże się z pewnymi przywilejami. Ponadto wcale nie jest

powiedziane, że Rosjanie zechcą je odzyskać. Ostatnio odtworzyli komnatę z nowych bursztynów za pomocą nowoczesnej technologii.

- Nie wiedziałam o tym.
- Komnatę w Pałacu Jekaterynowskim odrestaurowano.

Zajęło to ponad dwa dziesięciolecia. Utrata państw bałtyckich po rozpadzie Związku Radzieckiego zmusiła ich do kupowania bursztynu na wolnym rynku. To bardzo kosztowne.

Sporo grosza sypnęli sponsorzy. Na ironię zakrawa fakt, że jeden z niemieckich koncernów produkcyjnych wyłożył najwięcej pieniędzy.

- Tym bardziej więc powinno im zależeć na odzyskaniu płyt. Oryginalne byłyby przecież bez porównania więcej warte niż kopie.

- Nie sądzę. Bryłki jantaru miałyby inną barwę i różniłyby się jakością. Połączenie ze sobą starych i nowych nie miałyby większego sensu.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby płyty zostały odnalezione teraz, ich stan pozostawiałby wiele do życzenia?

Pokiwał głową.

- Bursztyn przymocowany był pierwotnie do ramek z drewna dębowego za pomocą spoiwa sporządzonego z pszczelego wosku oraz żywicy. W Pałacu Jekaterynowskim nie było klimatyzacji, a zatem drewno przez jakieś dwieście lat raz nasiąkało wilgocią, to znów wysychało, a bryłki bursztynu stopniowo odpadały. Kiedy jantarową boazerię przejęli naziści, ubytki sięgały blisko trzydzieści procent. Szacuje się, że kolejne piętnaście procent odpadło podczas transportu do Królewca. Można więc przyjąć, że obecnie jest to duża pryzma kawałków bursztynu.

- Na co więc się zdadzą w tym stanie? Knoll uśmiechnął się szeroko.

- Zachowały się fotografie. Dysponując oryginalnymi kawałkami, bez trudu można odrestaurować całość. Wierzę jednak, że naziści zabezpieczyli płyty z należytą starannością, gdyż mój mocodawca nie jest zainteresowany restauracją.

- Jego interesuje oryginał.
- Z tego, co o nim mówisz, wynika, że jest to chyba interesujący mężczyzna.

Uśmiechnął się ponownie.

- Sprytne podejście... znów. Nigdy nie powiedziałem, że to mężczyzna.

Dotarli do hotelu. Na górze Knoll zatrzymał się przy drzwiach jej pokoju.

- O której spotkamy się rano? - zapytała.
- Wyjedziemy o siódmej trzydzieści. W recepcji mi powiedziano, że śniadanie serwują

od siódmej. Miejsce, do którego zmierzamy, znajduje się niedaleko: około dziesięciu kilometrów stąd.

- Jestem ci wdzięczna za wszystko. Przede wszystkim za uratowanie mi życia.

Knoll zasalutował żartobliwie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Uśmiechnęła się, słysząc to ponownie.

- Wspominałaś o byłym mężu... i o nikim więcej. Czy w twoim życiu jest jakiś mężczyzna?

Zaskoczyło ją to pytanie. Padło nieoczekiwanie.

- Nie - odparła, natychmiast żałując własnej szczerości.

- Twoje serce wciąż należy do małżonka, jak rozumiem?

- Czasami.

Nie tego faceta zakichany interes, ale z jakiegoś powodu mu odpowiedziała.

- Czy mówisz mu o tym?

- Czasami.

- A ile czasu upłynęło?

- Od...?

- Odkąd ostatnio kochałaś się z mężczyzną?

Patrzył jej bezczelnie długo w oczy; dłużej, niż mogła wytrzymać. Ten mężczyzna miał intuicję i to Rachel niepokoiło.

- Nie tak wiele, żeby wskoczyć do łóżka z kimś obcym.

- Knoll uśmiechnął się promiennie.

- A gdyby ten obcy obiecał ukoić twoje skołatanе serce?

- Nie sądzę, żebym tego potrzebowała. Ale dzięki za propozycję - odparła. Wsunęła klucz do zamka, otworzyła drzwi i spojrzała za siebie. - Chyba po raz pierwszy ktoś mi zaproponował pójście do łóżka.

- Ale z pewnością nie ostatni - powiedział szarmancko, uklonił się i posłał jej kolejny uśmiech. - Dobranoc, Rachel.

Potem odszedł w kierunku schodów do swojego pokoju.

Zauważyła jednak, że potraktował jej odmowę jak wyzwanie.

NIEDZIELA, 18 MAJA, 7.30

Knoll wyszedł z hotelu i oglądał uważnie niebo. Biała jak mleko mgła trzymała jeszcze w objęciach ciche o tej porze miasteczko oraz okoliczne kotliny. Niebo było zachmurzone; późnowiosenne słońce podnosiło się z mozołem, by ogrzać nowy dzień. Rachel gotowa do drogi stała oparta o samochód.

Skierował się w jej stronę.

- Mgła pomoże nam pozostać niewidzialnymi. Dobrze też, że dziś jest niedziela. Większość ludzi będzie w kościele.

Wsiedli do samochodu.

- Jeśli dobrze pamiętam, mówiłeś, że był tu ostatni bastion pogaństwa - powiedziała ze zdziwieniem.

- To jest wersja dla turystów, powielana w broszurach i przez przewodników. W tych górach żyją przeważnie katolicy, i to już od wielu stuleci. Tu mieszkają ludzie bardzo religijni.

Silnik volvo powoli się rozgrzał i szybko przejechali brukowanymi, śliskimi od porannej rosy uliczkami Wartburga, o tej porze niemal pustymi. Droga wiodąca z miasteczka na wschód prowadziła najpierw pod górę, potem schodziła w dół do następnej zasnutej mgłą kotliny.

- Te okolice przywodzą mi na myśl góry Great Smoky w Karolinie Północnej - powiedziała Rachel. - Zwykle są również pokryte mglistym welonem.

Jechał trasą wytyczoną przez Czapajewa i zastanawiał się czy ta eskapada nie zaprowadzi go w kolejny ślepy zaułek. Jakim cudem tony bursztynu mogły być tu ukryte przez ponad pół wieku? Poszukujących było wielu. Niektórzy zapłacili za to życiem. Wiedział o istnieniu tak zwanej klątwy związanej z poszukiwaniami Bursztynowej Komnaty. Ale cóż szkodziło zrobić krótki wypad do wnętrza jeszcze jednej góry? Przynajmniej dzięki towarzystwu Rachel Cutler wyprawa będzie interesująca.

Minęli szczyt wzniesienia i zjeżdżali do następnej kotliny, między gęste i wysokie bukowe zagajniki spowite w mgłę.

Dojechali do miejsca, które zaznaczył na planie Czapajew, i zaparkowali na niewielkiej polanie.

- Resztę trasy pokonamy pieszo - oznajmił Knoll.

Wysiedli z auta; wyciągnął z bagażnika plecak ze sprzętem speleologicznym.

- Co jest w środku? - zapytała Rachel.

- Wszystko, co będzie nam potrzebne - odparł i zarzucił bagaż na plecy. - Teraz jesteśmy po prostu parą miłośników wspinaczki, którzy wybrali się w góry.

Podał jej kurtkę.

- Nie zgub jej. Przyda ci się bardzo, kiedy znajdziemy się pod ziemią.

Knoll założył kurtkę w hotelu, na prawym przedramieniu chowając sztylet pod bufiastym rękawem z nylonu. Prowadził ją przez las trawiastą ścieżką pod górę; oddalali się na północ od szosy. Szli oznakowanym szlakiem u podnóża wysokiego masywu. Co jakiś czas odbijały od niego ścieżki wiodące ku szczytom. W oddali pojawiły się ciemne czeluście trzech tuneli. Jeden z nich był zakratowany. Do granitowej ściany przymocowano tablicę z napisem GEFAHR-ZUTRITTVERBOTEN-EXPLOSIV.

- Co to znaczy? - chciała wiedzieć.

- „Niebezpieczeństwo. Zakaz wstępu. Materiały wybuchowe”.

- Ty wcale nie żartowałeś?

- Te góry służyły kiedyś za bankowe sejfy. Alianci odnaleźli w jednym z wyrobisk najcenniejsze skarby niemieckiej kultury.

Ukryto tu również czterystutonowy ładunek z berlińskiego Muzeum Cesarza Fryderyka, same arcydzieła. Materiały wybuchowe odstraszą skuteczniej niż wartownicy i psy.

- Czy tych właśnie dzieł sztuki szuka teraz Wayland McKoy?

- Z tego, co mi powiedziałaś, należałoby wnosić, że tak.

- Jak sądzisz, powiesz się mu?

- Trudno rozstrzygnąć. Ale powiem szczerze: wątpię, żeby dało się tu jeszcze odnaleźć stare płótna warte miliony dolarów.

Powietrze było ciężkie i wilgotne, przesiąknięte zapachem butwiejących liści.

- Po co było to wszystko? - zapytała Rachel, nie przerywając wspinaczki. - Wojna i tak została przegrana. Po co więc ukrywano te skarby?

- Musisz przestawić się na myślenie Niemca z 1945 roku.

- Hitler rozkazał, by armie walczyły do ostatniego żołnierza; tych, którzy odmawiali, rozstrzeliwano. Führer wierzył, że jeśli Niemcy wytrzymają odpowiednio długo, alianci w końcu sprzymierzą się z nimi przeciwko bolszewikom. Hitler wiedział, jaką nienawiścią Churchill darzył Stalina. Odczytał też prawidłowo intencje Sowietów, jeśli chodzi o Europę. Wódz Trzeciej Rzeszy Niemieckiej liczył, że ocali głowę, powstrzymując ich ekspansję. Liczył na Amerykanów i Brytyjczyków, którzy deklarowali chęć zawarcia z nim

sojuszu przeciw komunizmowi. Później, miał nadzieję, wszystkie skarby znów ujrzą światło dzienne.

- Toż to czysta głupota - skomentowała.
- Szaleństwo byłoby określeniem bardziej trafnym.

Na jego brwiach pojawiły się kropelki potu. Skórzane buty były mokre od rosy. Przez chwilę przyglądał się włazom do kilku wyrobisk, obserwując słońce, by stwierdzić, na którą stronę wychodzą.

- Żaden właz nie wychodzi na wschód. Czapajew twierdził, że wejście do tego tunelu jest od wschodu. Ponadto, zgodnie z jego wskazówkami, powinno być oznaczone symbolem BCR-65.

Wszedł między drzewa. Po dziesięciu minutach Rachel wskazała ręką kierunek.

-Tam.

Spojrzał przed siebie. Między drzewami widniało zakratowane wejście. Do krat przymocowana była zardzewiała tablica z napisem BCR-65. Spojrzał na słońce. Wschód.

Sukinsyn!

Podeszli bliżej. Knoll ściągnął plecak ze sprzętem.

Rozejrzał się dookoła. W zasięgu wzroku nie było nikogo; żaden odgłos, oprócz ćwierkania ptaków i od czasu do czasu chrobotania wiewiórek, nie zakłócał ciszy poranka. Przyjrzał się badawczo kratom. Żelazo miało barwę fioletową, było silnie utlenione. Stalowy łańcuch oraz zamek ze skoblem stanowiły zaporę trudną do pokonania, ponieważ były zdecydowanie młodsze. Nie wydało mu się to jednak dziwne. Niemieccy inspektorzy federalni prowadzili rutynowe kontrole szybów.

Wyciągnął z plecaka przecinak do łańcuchów.

- Miło widzieć, że jesteś na wszystko przygotowany Przeciął łańcuch i powoli opuścił go na ziemię. Wsunął nożyce z powrotem do plecaka i przyciągnął do siebie kratę.

Zawiasy głośno zaskrzypiały.

Przestał ciągnąć. Nie chciał niepotrzebnie robić hałasu.

Otwierał powoli; tarcie metalu o metal nie było już tak hałaśliwe. Przed nimi pojawiło się zwieńczone łukiem wejście, wysokie na jakieś pięć metrów, szerokości około czterech. Porosty przywarły do poczerniałych ścian tuż za kratą, powietrze cuchnęło pleśnią. Jak w grobie, pomyślał.

- Ten właz jest wystarczająco szeroki, by pomieścić ciężarówkę.
- Ciężarówkę?
- Jeśli ma się tu znajdować Bursztynowa Komnata, to załadowana na ciężarówkę. Nie

było innego sposobu przetransportowania skrzyń w to miejsce. Dwadzieścia dwie tony bursztynu trochę ważą. Niemcy musieli wjechać ciężarówkami w głąb wyrobiska.

- Nie mieli wózków widłowych?

- Ależ skąd! Przecież to było pod koniec wojny. Naziści za wszelką cenę pragnęli ukryć skarby. Nie było czasu na finezję.

- W jaki sposób dotarły tu ciężarówki?

- Upłynęło ponad pół wieku. Kiedyś może były tu drogi oraz znacznie mniej drzew.

Ten obszar był ważnym ośrodkiem gospodarczym.

Wyciągnął dwie latarki oraz gruby kłębek dratwy z plecaka, po czym znów założył go na plecy. Dociągnął z powrotem kratę, założył łańcuch i zamek, tak by z zewnątrz wejście wyglądało na zaryglowane.

- Nie jest nam potrzebne towarzystwo - wyjaśnił. - To powinno skłonić turystów do poszukania innego podziemnego tunelu. Wejścia do wielu z nich nie są zamknięte i wstęp nie nastęcza żadnych trudności.

Wręczył jej latarkę. Wąskie snopy światła z obu latarek rozjaśniały ciemności zaledwie na kilka metrów przed nimi.

Ze skalnej ściany wystawał kawałek metalu. Przywiązał do niego solidnie końcówkę dratwy i podał motek Rachel.

- Rozwijaj sznurek w miarę, jak będziemy posuwać się do przodu. Dzięki temu będziemy mogli stąd wyjść, gdybyśmy się przypadkiem zgubili.

Powoli szedł przodem; światło latarki odsłaniało po kawałku wyboisty szlak prowadzący do wnętrza góry. Rachel ruszyła za nim, zasunawszy przedtem suwak w kurtce.

- Bądź ostrożna - przestrzegł. - Tunel może być zaminowany. Co wyjaśniałoby, dlaczego go zamknięto.

- Od razu czuję się bezpieczniej.

Zatrzymał się i spojrzał do tyłu, w kierunku wejścia oddalonego teraz o jakieś czterdzieści metrów. Wyciągnął z kieszeni plan Czapajewa i oświetlił latarką narysowaną trasę.

- Gdzieś przed nami powinno być rozwidlenie. Przekonajmy się, czy Czapajew miał rację.

Powietrze było duszące. Przegnięło. Przyprawiało o mdłości.

- Odchody nietoperzy - wyjaśnił.

- Chyba zwymiotuję...

- Oddychaj płytko i nie przez nos.

- To tak, jakbyś mi proponował, żebym zignorowała grudkę krowiego gówna przyczepioną do górnej wargi.

- W tych wyrobiskach lęgnie się mnóstwo nietoperzy.

- Cudownie.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- W Chinach nietoperze cieszą się ogromnym szacunkiem: są symbolem szczęścia i długiego życia.

- Szczęście czasem śmierdzi.

- Zatrzymali się przed rozwidleniem tunelu.

- Według mapki powinniśmy tu skręcić w prawo.

Tak też zrobili. Rachel podążała za nim, rozwijając posłusznie kłębek dratwy.

- Daj mi znać, kiedy skończy się kłębek. Mam jeszcze jeden.

Smród trochę zelżał. Nowy korytarz był węższy od głównego chodnika, ale wciąż wystarczająco obszerny, by zmieściła się w nim ciężarówka. Co jakiś czas natrafiali na ciemne tunele prowadzące w bok. Odgłosy wydawane przez nietoperze oczekujące na nadejście nocy stały się wyraźne.

Wnętrze góry było z pewnością labiryntem. Tak jak wszystkich innych. Górnicy drążyli chodniki przez całe stulecia, poszukując rud oraz minerałów. Gdybyż ten chodnik prowadził do miejsca, w którym ukryto Bursztynową Komnatę! Dziesięć milionów euro. Wszystko dla niego! Oraz wdzięczność Moniki. Nawet Rachel Cutler byłaby pewnie tak podekscytowana, że wpuściłaby go między nogi. Jej odmowa poprzedniego wieczoru nie obraziła go; przeciwnie, zaostrzyła mu apetyt. Nie byłby zdziwiony, gdyby się okazało, że jej mąż był jedynym mężczyzną, z którym spała. Ta myśl po prostu go odurzała Knolla. Toż to prawie dziewica! A już z pewnością od chwili rozwodu. Zdobycie jej sprawiłoby mu niekłamaną przyjemność.

Chodnik zaczął się zwężać i piąć w górę. Powrócił myślami do podziemnego tunelu.

Przeszli już co najmniej sto metrów w głąb masy granitu i wapnia. Ze szkicu narysowanego przez Czapajewa wynikało, że za chwilę powinno się przed nimi pojawić kolejne rozwidlenie.

- Skończyła się dratwa - oznajmiła Rachel.

- Zatrzymał się i podał jej kolejny kłębek.

- Zwiąż mocno oba końce.

Spojrzał uważnie na szkic. Cel ich wędrówki powinien być tuż, tuż. Ale coś mu się nie zgadzało. Tunel nie był już tak szeroki, by mogło tu wjechać ciężarowe auto. Jeśli

Bursztynowa Komnata była ukryta tutaj, skrzynie musiałyby zostać przeniesione. Osiemnaście skrzyń, jeśli dobrze pamiętał.

Wszystkie skatalogowane i opisane, z bursztynowymi płytami owiniętymi w bibułę papierosową. Czy w takim razie przed nimi znajdowała się jeszcze jedna komora? Nie byłoby to nic niezwykłego; niektóre pieczary wydrążone w skale były dziełem natury. Według planu sporządzonego przez Czapajewa, skalne odłamy i gruz blokowały wejście do jaskini, która powinna znajdować się dwadzieścia metrów przed nimi.

Ruszył naprzód, stawiając ostrożnie kroki. Im głębiej wchodzili do wnętrza góry, tym większe stawało się ryzyko nadeptnięcia na minę. Snop światła z jego latarki rozjaśniał mrok z przodu. Nagle coś go zaintrygowało.

Wyteńczył wzrok.

Co jest, do diabła?

Suzanne podniosła lornetkę do oczu i obserwowała wejście do kopalni. Znak z napisem BCR-65, który doczepiła do żelaznej bramy trzy lata temu, wciąż tam tkwił. Chyba dali się złapać w pułapkę. Knoll przestał być czujny. Popędził prosto do kopalni, ciągnąc za sobą Rachel Cutler. Odczuwała pewien dyskomfort z powodu tego, co zamierzała zrobić, ale nie miała wyboru. Knoll niewątpliwie był interesującym mężczyzną.

Pociągał ją. Ale stanowił poważne zagrożenie. Przede wszystkim musiała być lojalna wobec Ernsta Loringa. Z wielu powodów. Zawdzięczała Loringowi wszystko. Był jej rodziną, na której założenie nie mogła sobie pozwolić. Przez całe życie traktował ją jak córkę. Więż która łączyła ich oboje, była silniejsza nawet od uczucia, którym darzył swoich dwóch naturalnych synów. Suzanne i Ernst kochali sztukę i to stanowiło najmocniejsze spoiwo. Był tak podekscytowany, kiedy wręczyła mu ostatnio tabakierę i tom z księgozbioru Hitlera! Sprawianie mu przyjemności przynosiło jej ogromną satysfakcję. Wybór między Christianem Knollem a jej pryncypałem był w zasadzie z góry przesądzony.

Mimo to było jej trochę żal Knolla. On też miał pewne walory - z jej punktu widzenia.

Stała na skraju lasu. Tym razem nie była w przebraniu; na ramiona opadały jej naturalne blond włosy. Sweter z golfem opinał smukłą kibić. Upuściła lornetkę i sięgnęła po nadajnik, wyciągając z niego antenę.

Knoll nie wyczuł tym razem jej obecności. Pewnie był przekonany, że pozbył się jej ostatecznie na lotnisku w Atlancie.

Nawet się nie dowie, jak bardzo się mylił.

Sięgnęła po detonator.

Spojrzała na zegarek.

Knoll i jego panienka powinni być już dostatecznie daleko, by nigdy stamtąd nie wyjść. Władze regularnie przestrzegały przed zapuszczaniem się w głąb jaskiń. Materiały wybuchowe znajdowano tam często. Wiele osób zginęło w ciągu kilku lat, dlatego właśnie zaczęto wydawać specjalne pozwolenia na eksplorację podziemnych chodników. Przed trzema laty w tej samej kopalni doszło do eksplozji - oczywiście, zaaranżowanej przez Suzanne. Pewien polski reporter dotarł niebezpiecznie blisko. Skusiła go Bursztynowa Komnata. Uznano to za nieszczęśliwy wypadek. Stał się kolejną ofiarą penetrowania kopalni bez zezwolenia. Zwłok nigdy nie odnaleziono;

zasypało je skalne rumowisko. Christian Knoll w tej właśnie chwili powinien się mu przyglądać.

Knoll wpatrywał się w okruchy skał przemieszane z piaskiem.

Zagradzały drogę do dalszej części tunelu. Nie był to jednak koniec chodnika. To, co piętrzyło się przed nim, powstało wskutek wybuchu. Nie było sposobu, by usunąć tę przeszkodę za pomocą łopaty, bo rumowisko sięgało po sam sufit.

Po drugiej stronie nie zobaczył też żelaznych krat.

Tyle udało mu się stwierdzić.

- Co jest? - spytała zaniepokojona Rachel.
- Tu nastąpił jakiś wybuch.
- Może skreśliśmy w złą stronę?
- Niemożliwe. Posuwaliśmy się ściśle według wskazówek Czapajewa.

Coś było nie tak. Zdecydowanie. Jego umysł zaczął błyskawicznie analizować fakty. Czapajew podejrzanie chętnie udzielił im informacji. Łańcuch i kłódka były znacznie nowsze niż brama. Stalowe zawiasy funkcjonowały. Szlak aż nazbyt łatwy do pokonania. O wiele za łatwy. Cholera!

Suzanne Danzer? Nie została w Atlancie? Pewnie nie.

Najlepsza rzecz, jaką mógł teraz zrobić, to wycofać się do wyjścia, zabawić z Rachel Cutler i wrócić do Wartburga. Tak czy owak, musiał ją zabić. Nie było potrzeby zostawiać żywego świadka, z którego informacji mógł skorzystać ktoś inny. Danzer na pewno była w pobliżu. To tylko kwestia czasu...

Wpadnie na Rachel i wyciągnie z niej wszystko, może nawet adres Czapajewa.

Monice z pewnością się to nie spodoba. Jeśli Czapajew istotnie wiedział, gdzie znajduje się Bursztynowa Komnata, to wpuścił ich na ślepy tor. Knoll postanowił więc, że pozbędzie się Rachel Cutler tu i teraz, a potem wróci do Kehlheim i tak czy inaczej wyciśnie z Czapajewa prawdę.

- Wracamy - zarządził. - Zmierzaj do wyjścia, nawijaj dratwę. Będę szedł za tobą.

Ruszyli z powrotem przez podziemny labirynt. Rachel szła przodem. W świetle latarki widział jej jędrne pośladki i kształtne uda opięte jasnobrazowymi džinsami. Miała smukłe nogi i wąskie biodra. W kroczu poczuł reakcję na te widoki.

Dotarli do pierwszego rozwidlenia; po chwili do następnego.

- Poczekaj - polecił. - Chcę zobaczyć, co jest na dole.

- Do wyjścia musimy iść tędy - odparła, wskazując kierunek, w którym rozciągnięta była dratwa.

- Wiem. Ale skoro już tu jesteśmy, sprawdźmy. Zostaw kłębek, droga do wyjścia jest już prosta.

Rzuciła kłębek z dratwą na ziemię i skręciła w prawo, wciąż idąc przed nim.

Wykonał szybki ruch prawym ramieniem. Sztylet wyskoczył z pochwy i zsunął się do dłoni. Chwyił rękojeść.

Rachel zatrzymała się i odwróciła, kierując przez ułamek sekundy latarkę na Knolla, ten zaś w świetle własnej dojrzał jej przerażoną twarz. Zauważyła błysk stalowej klingi.

Suzanne nacisnęła guzik detonatora. Sygnał pomknął jak błyskawica do ładunków wybuchowych, które umieściła przedtem w chodniku. Detonacja nie była tak silna, by usłyszano ją w odległym o sześć kilometrów Wartburgu, ale wystarczająco, by spowodować zawał chodnika do środka.

Następna pozycja z listy spraw do załatwienia odfajkowana.

Ziemia się zatrzęsała. Sufit zaczął się walić. Knoll musiał sam się ratować.

Teraz był pewien. To pułapka.

Obrócił się i czym prędzej ruszył w stronę wyjścia. W kamienistej ulewie wzniesionej tumany kurzu powietrze nie nadawało się do oddychania. Z latarką w jednej, a sztyletem w drugiej dłoni nie miał szans. Schował nóż i rozpiął koszulę, niczym maską osłaniając nią nos i usta.

Runęła kolejna masa skalnych odłamów.

Poświata idąca od wejścia była ledwo widoczna, w dodatku przesłoniła ją chmura pyłu. Nie mógł dalej iść w tym kierunku.

Zrobił w tył zwrot i popędził przed siebie, z nadzieją że labirynt ma wyjście także z drugiej strony. Na szczęście latarka nie zgasła. Nie oglądał się na Rachel Cutler. Ona go nie obchodziła. Skały załatwią sprawę za niego.

Pędził w głąb korytarza głównym chodnikiem; minął miejsce, w którym widział ją po raz ostatni. Wybuch nastąpił najwyraźniej głębiej. Ściany i strop wytrzymały, chociaż cały

górski masyw nadal drżał.

Z tyłu znów posypały się skalne odłamki. Wiedział, że tylko jedną drogą może wyjść z opresji. W korytarzu pojawiło się kolejne rozwidlenie. Zatrzymał się, próbując odzyskać orientację. Właz, którym weszli, znajdował się na wschodzie, za jego plecami. Szedł więc w kierunku zachodnim. Lewe odgałęzienie prowadziło na południe, prawe - na północ. Ale czy na pewno? Musiał być ostrożny. Nie powinien skręcać zbyt często, bo wtedy najłatwiej się zgubić; nie zamierzał umrzeć w podziemnym labiryncie z głodu lub wskutek odwodnienia.

Opuścił połą koszuli i wziął głęboki wdech. Usiłował przypomnieć sobie jak najwięcej z tego, co wiedział o kopalniach. Rzadko prowadziło do nich tylko jedno wejście.

Głębokość i długość tuneli wymagała wielu wyjść ewakuacyjnych. Podczas wojny naziści większość z nich zamurowali; w ten sposób maskowali kryjówki służące im do przeróżnych celów. Pozostawało mu tylko żywić nadzieję, że ta kopalnia do nich nie należała. Haust powietrza przywrócił mu siły. Nie było tak stęchłe jak to we wnętrzu góry.

Podniósł dłoń. Poczul lekki powiew dochodzący z lewej strony. Czy powinien to sprawdzić? Jeśli skręci zbyt wiele razy, nigdy nie odnajdzie drogi powrotnej. W zupełnych ciemnościach nie było możliwości znalezienia jakichkolwiek śladów;

orientował się w położeniu tylko dzięki temu, że wciąż szedł głównym chodnikiem. Ale mógł szybko utracić ten jedyny punkt odniesienia, jeśli wykona kilka nieprzemyślanych zakrętów.

Co robić? Ruszył w lewą stronę.

Przeszedł pięćdziesiąt metrów i trafił na kolejne rozwidlenie. Nie czuł żadnego powiewu. Przypomniawszy sobie, że górnicy drążyli chodniki zawsze w tym samym kierunku. To im zapewniało orientację pod ziemią. Zakręt w lewo oznaczał, że wszystkie kolejne w lewo prowadzą do wyjścia. Czy wobec tego miał wybór? Skręcił w lewo.

Dwa kolejne rozwidlenia. Dwa kolejne skrety w lewo.

Przed sobą miał chodnik, na którego końcu zobaczył światło. Bardzo słabe. Ale jednak. Skręcił w tamtą stronę i pognął, co sił w nogach.

Sto metrów przed sobą ujrzał wyjście.

KEHLHEIM, NIEMCY 11.30

Paul zerknął we wsteczne lusterko. Samochód zbliżał się szybko. Z migającym kogutem i na sygnale. Zielono-biały radiowóz z dużym niebieskim napisem na drzwiach POLIZEI wyminął go i popędził z ogromną szybkością, po czym zniknął za zakrętem.

Do Kehlheim pozostało mu tylko dziesięć kilometrów.

Ciche, spokojne miasteczko bez zwartej zabudowy; luźno rozrzucone budynki w jasnych kolorach otaczały rynecek wybrukowany kocimi łbami. Nie podróżował zbyt wiele. Jedyne jego wyprawy za ocean, do Paryża przed dwoma laty, była służbowym wyjazdem w sprawach muzeum. Luwr zawsze go kusił i skorzystał z okazji. Zaproponował Rachel wspólny wyjazd. Odmówiła jednak. Uznała za kiepski pomysł ciągnięcie ze sobą byłej żony. Nie był do końca pewien, co chciała przez to powiedzieć, ale czuł, że miała ochotę pojechać.

Samolot z Atlanty udało mu się zarezerwować dopiero na wczorajsze popołudnie. Wczesnym rankiem zawiózł dzieci do swojego brata. Rachel nie dzwoniła i bardzo go to niepokoiło.

Nie pomyślał nawet o przesłuchaniu automatycznej sekretarki.

Lot trwał długo; międzylądowania w Amsterdamie i Frankfurtach sprawiły, że dotarł do Monachium dopiero przed dwiema godzinami. Umył się, jak mógł najstaranniej, w lotniskowej toalecie. Wziął nawet prysznic, ogolił się i zmienił ubranie.

Teraz wjechał na rynecek i zaparkował przed budynkiem, który wyglądał na sklep spożywczy. Bawaria nie była krainą, w której w niedzielę tętniło życie. Wszyscy mieszkańcy pozamykali się w domach. Niejaki ruch panował tylko w pobliżu kościoła, którego iglica górowała nad miasteczkiem.

Zaparkował auto obok rzędu innych na nierównej, wyboistej nawierzchni. Na schodach do kościoła jacyś starsi mężczyźni rozmawiali z ożywieniem. Przeważnie brodaci, w ciemnych płaszczach i kapeluszach. Powinien wziąć ze sobą przynajmniej marynarkę, ale pakował się w pośpiechu i nie pomyślał o tym.

Podszedł do nich.

- Przepraszam. Czy któryś z panów mówi po angielsku?
- Tak. Trochę - odezwał się jeden z mężczyzn, najwyraźniej najstarszy z całej czwórki.
- Szukam Dani Czapajewa. Z tego, co wiem, mieszka w okolicy.

- On już nie żyje.

Paul obawiał się, że to właśnie usłyszy Czapajew musiał być bardzo stary.

- Jak dawno zmarł?
- Tej nocy. Został zamordowany.

Czy dobrze słyszał? Zamordowany? Tej nocy? Jego najgorsze przeczucia się sprawdziły. Strach chwycił go za gardło.

Przemógł się i zadał następne pytanie.

- Czy ktoś oprócz niego zginął?
- Nie. Tylko Dania.
- Przypomniał sobie policyjne auto.
- Gdzie to się wydarzyło?

Wyjechał z Kehlheim zgodnie ze wskazówkami. Po dziesięciu minutach ujrzał dom, który rozpoznał bez trudu, ponieważ parkowały przed nim cztery policyjne samochody.

Umundurowany funkcjonariusz pilnował wejścia. Paul podszedł bliżej, ale natychmiast został zatrzymany.

- *Nicht eintreten. Kryminnelle Szene* - zakomunikował policjant.

- Po angielsku, proszę.
- Zakaz wstępu. Miejsce zbrodni.
- W takim razie muszę porozmawiać z osobą, która tu dowodzi.
- Ja dowodzę - odezwał się z wnętrza ktoś, kto mówił po angielsku z gardłowym niemieckim akcentem.

Jakiś mężczyzna w średnim wieku podszedł do frontowego wejścia. Pobrużdżona twarz, rozczochrane czarne włosy, granatowy płaszcz do kolan, oliwkowy garnitur oraz krawat z dzianiny.

- Nazywam się Fritz Pannik. Jestem inspektorem Federalnej Policji. A pan?
- Paul Cutler. Prawnik ze Stanów Zjednoczonych.

Pannik przeszedł obok policjanta stróżującego w drzwiach.

- Co prawnik ze Stanów Zjednoczonych robi tutaj w niedzielny poranek?
- Poszukuję mojej małżonki. Przyjechała tu, by porozmawiać z Danią Czapajewem.

Inspektor rzucił szybkie spojrzenie policjantowi stojącemu w drzwiach i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Paul.
- Wczoraj w Kehlheim pewna kobieta pytała, jak trafić do tego domu. Jest podejrzana o morderstwo.

- Czy zna pan jej rysopis?

Pannik sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął notes.

Otworzył go i czytał:

- Wzrost średni. Włosy ufarbowane na czerwono. Duże piersi. Dżinsy, flanelowa koszula, botki z cholewkami. Ciemne okulary. Kobieta przy kości.

- To nie Rachel, ale być może znam tę osobę.

Jak najkrócej starał się opowiedzieć inspektorowi o Jo Myers, Karolu Borii oraz Bursztynowej Komnacie, opisując dokładnie kobietę, która złożyła wizytę w jego biurze.

Szczupła, z niezbyt wydatnym biustem, kasztanowe włosy i piwne oczy, ośmiokątne okulary w złotych oprawkach.

- Odniosłem wrażenie, że nie były to jej naturalne włosy.
- Niech pan to nazwie intuicją prawnika.
- Ale przeczytała listy Czapajewa oraz Karola Borii, czy tak?
- Od deski do deski.
- Czy na kopertach był ten adres?
- Tylko nazwa miejscowości.

- Czy ma pan coś jeszcze do dodania? Opowiedział inspektorowi o Christianie Knollu oraz o podejrzeniach Jo Myers i swoich własnych.

- I przyjechał pan tu, by ostrzec żonę? - zapytał Pannik.
- Raczej po to, by się przekonać, czy wszystko jest w porządku. Wyrzucałem sobie, że nie przyjechałem tu razem z nią.

- Ale uważał pan tę podróż za stratę czasu?
- Zdecydowanie. Jej ojciec wyraźnie prosił, by się w to nie angażowała.

Dwóch policjantów minęło inspektora; weszli do środka.

- Czy mógłbym tam wejść?
- Jeśli ma pan silne nerwy, proszę.
- Jestem prawnikiem - odparł, jakby to miało jakieś znaczenie.

Nigdy w życiu nie miał do czynienia ze sprawami kryminalnymi i nigdy wcześniej nie był na miejscu zbrodni. Ale nie mógł poskromić ciekawości. Najpierw umiera Boria, a teraz zamordowano Czapajewa. Ale Karol przecież spadł ze schodów.

Chyba że...

Wszedł za Pannikiem do środka. W pokoju panował dziwny zaduch. W powieściach kryminalnych zawsze czytał o słodkim zapachu śmierci. Czy to było właśnie to?

Domek był niewielki. Cztery pomieszczenia: salon, kuchnia, sypialnia oraz łazienka.

Meble stare i wysłużone, ale wszędzie czysto i schludnie. Zwłoki starego człowieka leżały na wydeptanym dywanie, na którym duża szkarłatna plama była jeszcze mokra; krew wypływała z dwóch otworów w czaszce.

- Strzał z bliska - poinformował go Pannik.

Paul nie mógł oderwać oczu od ciała. Nagle poczuł, jak żółć podływa mu do gardła. Próbował z tym walczyć, ale bezskutecznie.

Wybiegł pędem z pokoju.

Pochylony, długo wymiotował. Wszystko, co zjadł na pokładzie samolotu, wylądowało teraz na wilgotnej trawie. Wziął kilka głębokich oddechów i powoli doszedł do siebie.

- Już po wszystkim? - zapytał inspektor.

Przytaknął.

- Sądzi pan, że mogła to zrobić ta kobieta? - spytał inspektora.

- Nie wiem. Jak mówiłem, ta kobieta pytała, gdzie mieszka Czapajew, a jego wnuk zaoferował, że wskaże jej drogę.

- Wczoraj rano razem wyruszyli z rynku. Córka zamordowanego się martwiła, bo wieczorem chłopiec nie przyszedł do domu. Znalazła chłopca związanego w sypialni dziadka.

- Najprawdopodobniej ta kobieta nie potrafiła zabić dziecka.

- Ale nie miała skrupułów wobec starca.

- Czy chłopcu nic się nie stało?

- Jest w szoku, ale nic mu nie będzie. Potwierdził rysopis tej kobiety, ale niewiele więcej może powiedzieć. Był w drugim pokoju. Wie tylko, że rozmawiali. Nie zrozumiał, o czym mówili. Kiedy dziadek oraz ta kobieta byli razem z nim w sypialni, rozmawiali w jakimś obcym języku. Próbowałem go wy badać, mówiąc kilka słów, i wygląda na to, że po rosyjsku.

- Następnie znów opuścili sypialnię. Chłopiec słyszał strzały.

- A potem zaległa cisza aż do chwili, gdy po czterech godzinach przybyła jego matka.

- Strzeliła staremu człowiekowi prosto w głowę?

- Z bliskiej odległości. Najwyraźniej stawka jest wysoka.

- Do środka wszedł jeden z policjantów.

- *Nichts im Haus ninsichtlich des Bernsteinzimmers.*

- Pannik spojrział na Paula.

- Poleciałem im przeszukać dom i znaleźć wszystko, co miałyby związek z Bursztynową Komnatą. Nic nie znaleźli.

Rozległy się trzaski radiostacji, którą jeden z niemieckich policjantów stojących przy drzwiach miał zawieszoną u pasa. Mężczyzna wyciągnął nadajnik i po chwili podszedł do Pannika.

- Muszę jechać - odezwał się po angielsku. - Dzwonili z centrali służby ratowniczej. W ten weekend mam dyżur.

- Co się stało? - zapytał inspektor.

- Wybuch w jednej z kopalń w pobliżu Wartburga.

- Wyciągnięto z podziemnego korytarza Amerykankę. Ale szukają jeszcze jakiegoś mężczyzny. Lokalne władze zwróciły się z prośbą o pomoc.

Pannik pokręcił głową.

- Bardzo niespokojna niedziela.

- Gdzie znajduje się Wartburg? - niezwłocznie zapytał Paul.

- W górach Harzu. Czterdzieści kilometrów stąd na północ. Czasami ściągają na pomoc nasze ekipy ratownicze, kiedy dochodzi do tragedii.

Przez myśl przebiegły mu natychmiast postać Waylanda McKoya oraz zainteresowanie Karola górami Harzu.

- Znalaziono kobietę, Amerykankę. Jak się nazywa?

Pannik zrozumiał jego niepokój i poprosił jednego z podwładnych o sprawdzenie. Słowa poszły w eter. Po dwóch minutach z głośnika radiostacji dotarła odpowiedź w języku niemieckim:

- *Die Frau ist Rachel Cutler. Amerikanerin.*

15.10

Policyjny helikopter przecinał popołudniowe majowe powietrze, zmierzając na północ. Gdy minęli Würzburg, zaczęło padać. Paul zajął miejsce obok inspektora Pannika, a z tyłu za nimi przypięci pasami siedzieli członkowie ekipy górskiego pogotowia ratunkowego.

- Grupa alpinistów usłyszała wybuch i zawiadomiła władze - powiedział Pannik, starając się przekrzyczeć ryk silnika. - Pańską żonę, Herr Cutler, znaleziono w pobliżu wejścia do jednego z podziemnych wyrobisk. Zabrano ją do miejscowego szpitala; to ona poinformowała ratowników o mężczyźnie. Jego nazwisko brzmi Christian Knoll.

Słuchał tej relacji z rosnącym niepokojem. Oczywiście wyobraźni widział raną Rachel w szpitalu. Co się stało? W co właściwie wplątała się jego małżonka? W jaki sposób poznała Knolla? Co się wydarzyło w tej kopalni? Czy Marli i Brentowi grozi niebezpieczeństwo? Powinien zadzwonić do brata, by go ostrzec.

- Wydaje się, że Jo Myers miała rację - oznajmił Pannik.
- Czy w policyjnych raportach nie mówiono, w jakim stanie jest Rachel?

Inspektor zaprzeczył ruchem głowy.

Helikopter wylądował najpierw w miejscu podziemnej eksplozji; wejście do kopalni usytuowane było głęboko w lesie u podnóża wysokiej góry. Najbliższa polana, oddalona o jakieś pół kilometra w kierunku zachodnim, stała się lądowiskiem dla maszyny, z której wysiadła ekipa ratunkowa, by pieszo dotrzeć do miejsca zdarzenia. On wraz z Pannikiem pozostali w helikopterze i polecili na wschód od Wartburga do rejonowego szpitala, w którym zajęto się ratowaniem sędzi Cutler.

Paul kierował się wprost do jej pokoju na czwartej kondygnacji. Rachel była w niebieskiej koszuli nocnej. Głowę miała owiniętą szerokim bandażem. Uśmiechnęła się na jego widok.

- Skąd wiedziałam, że tutaj będziesz?

Podszedł bliżej. Policzki i nos oraz ramiona Rachel były podrapane i posiniaczone.

- Nie miałem wiele pracy w ten weekend i postanowiłem wybrać się na wycieczkę do Niemiec.

- A dzieciaki?
- Nic im się nie stanie.
- Jakim cudem dotarłeś tutaj tak szybko?

- Wyleciałem wczoraj.
- Wczoraj?

Zanim zdążył jej wyjaśnić, Pannik, stojący dotąd dyskretnie przy drzwiach, podszedł bliżej.

- Pozwoli pani, że się przedstawię: inspektor Pannik z Federalnej Policji.

Paul opowiedział Rachel o Jo Myers, Christianie Knollu oraz o tym, co spotkało Danię Czapajewa.

Rachel była zszokowana.

- Czapajew nie żyje?
- Muszę zadzwonić do brata - powiedział Paul do inspektora - i uprzedzić go, żeby nie spuszczał dzieci z oka. Może należałoby powiadomić policję w Atlancie?
- Sądziś, że coś im grozi? - zapytała.
- Nie wiem, co sądzę, Rachel. Wdałaś się w coś bardzo niedobrego. Twój ojciec ostrzegał, żebyś trzymała się od tego z daleka.

- Co masz na myśli?

- Nie odgrywaj pierwszej naiwnej. Czytałem Owidiusza.

Chciał, żebyś trzymała się od tego z daleka, do diabła! A teraz Czapajew nie żyje.

Zesztywniała na twarzy.

- To nie fair, Paul. Nie zrobiłam tego. Nie przypuszczałam, że tak się stanie.
- Ale być może wskazała pani do niego drogę - powiedział bez ogródek Pannik.

Rachel spojrzała zdumiona na inspektora. Dopiero teraz zaczynała rozumieć. Paulowi nagle zrobiło się jej żal. Jak zwykle starał się pomniejszyć jej winę, przenosząc całą odpowiedzialność na siebie.

- To nie do końca prawda - oświadczył. - To ja pokazałem tej kobiecie listy. O Kehlheim dowiedziała się ode mnie.

- Nie zrobiłby pan tego, gdyby się pan nie obawiał, że małżonka jest w niebezpieczeństwie.

Istotnie, nie zrobiłby tego. Spojrzał na Rachel. W jej oczach pojawiły się łzy.

- Paul ma rację, inspektorze: to moja wina. Nie powinnam przyjeżdżać tu sama. Nie powinnam w ogóle wyjeżdżać. On i mój ojciec ostrzegali mnie...

- A ten Christian Knoll? - zapytał Pannik. - Proszę mi o nim opowiedzieć.

Rachel zrelacjonowała wszystko, co wiedziała; nie było tego wiele. Potem dodała:

- Ten mężczyzna uchronił mnie przed potrąceniem przez auto.
- Był czarujący i uprzejmy Naprawdę sądziłam, że chce pomóc.

- Co się stało w kopalni? - drążył sprawę inspektor.
- Posuwaliśmy się zgodnie ze szkicem narysowanym przez Czapajewa. Tunel był bardzo szeroki. Nagle poczułam, jak wokół zatrzęsała się ziemia, a skalna lawina przegrodziła szyb. Obróciłam się w kierunku wyjścia i zaczęłam biec.
- Przebiegłam pół drogi, kiedy spadły na mnie skalne odłamki.
- Na szczęście mnie nie przysypały. Leżałam tam, dopóki nie dotarli ratownicy. Oni mnie wyciągnęli.
- A Knoll?- chciał wiedzieć inspektor.

Pokręciła głową.

- Wołałam kilka razy, gdy tylko skały przestały się sypać, ale bez skutku.
- Może nadal jest w środku? - zasugerował Pannik.
- Czy to było trzęsienie ziemi? - zainteresował się Paul.
- U nas nie zdarzają się trzęsienia ziemi. Prawdopodobnie była to eksplozja materiałów wybuchowych z czasów wojny.
- Tutejsze podziemne chodniki są nimi wypełnione.
- Knoll mówił mi o tym - wtrąciła Rachel.

Drzwi szpitalnej sali się otworzyły i do inspektora podszedł barczysty policjant. Pannik przeprosił ich i wyszedł na zewnątrz.

- Masz rację - wyznała Rachel - powinnam była cię posłuchać.

Nie interesowała go jej skruch.

- Musimy się stąd wydostać i wracać do domu.

Rachel się nie odezwała; zamierzał naciskać, ale wrócił inspektor.

- Skończono przeszukiwanie chodnika. Nikogo wewnątrz nie znaleziono. Jest tam inne wyjście, na drugim krańcu podziemnego tunelu, które nie zostało zasypane. W jaki sposób pani i Knoll dostaliście się do kopalni?

- Przyjechaliśmy wynajętym samochód, potem szliśmy piechotą w górę.
- Co to za auto?
- Rdzawoczerwone volvo.
- Nie znaleziono żadnego samochodu w pobliżu - poinformował Pannik. - Ten Knoll zniknął.

Inspektor sprawiał wrażenie, jakby wiedział coś jeszcze.

- Czy ma pan jakieś nowe informacje? - zapytał Paul.
- Z tego wyrobiska naziści nigdy nie korzystali. To nie oni umieścili w nim materiały wybuchowe. A jest to kolejna eksplozja w ciągu trzech lat.

- To znaczy?
- To znaczy, że wszystko to jest bardzo dziwne.

Paul opuścił szpital i policyjnym radiowozem zabrał się wraz z Pannikiem do Wartburga. Federalnemu inspektorowi przysługiwały pewne przywileje.

- Mamy uprawnienia podobne jak wasze FBI - wyjaśniał mu Pannik. - Pracuję w policji ogólnokrajowej. Lokalne służby z nami współpracują.

Rachel poinformowała ich, że Knoll wynajął dwa pokoje w „Goldene Krone”. Odznaka, którą pokazał federalny inspektor, natychmiast otworzyła przed nimi drzwi do pokoju sędzi Cutler, w którym posprzątało i pościelono łóżko; zniknęła jednak jej walizka. Pokój Knolla również był pusty. W pobliżu nie zaparkowano też rdzawoczerwonego samochodu.

- Herr Knoll opuścił hotel dziś rano - wyjaśnił właściciel zajazdu. - Zapłacił za oba pokoje i odjechał.

- O której godzinie?
- Około dziesiątej trzydzieści.
- Słyszał pan o eksplozji w kopalni?

- W tutejszych kopalniach ciągle coś wybucha, inspektorze. Nie interesuję się tym, czy moi goście biorą w tym udział.

- Widział pan, jak Knoll wracał dziś rano? - zapytał Pannik.

Mężczyzna pokręcił łysą głową. Podziękowali mu i wyszli na zewnątrz.

- Knoll ma nad nami przewagę około pięciu godzin - powiedział Paul - ale może policyjne patrole namierzą volvo.

- Herr Knoll mnie nie interesuje. Najpoważniejszym wykroczeniem, jakiego się dopuścił, było złamanie zakazu wejścia do jaskini.

- Zostawił Rachel w tunelu na pewną śmierć.

- To również nie jest przestępstwo. Zależy mi na odnalezieniu kobiety, która najprawdopodobniej jest morderczynią.

Inspektor miał rację. I Paul rozumiał, że to trudna sprawa.

Rysopis się nie zgadzał. Nazwisko pewnie nie było prawdziwe. Brak dowodów. Brak motywów. Brak wszystkiego.

- Ma pan pomysł, jak jej szukać? - zapytał.
- Pannik spojrzał w zadumie na spokojny rynecek.
- Nie, Herr Cutler. Żadnego.

ZAMEK LOUKOV, REPUBLIKA CZESKA

17.10

Suzanne wzięła cynowy puchar z rąk Ernsta Loringa i rozparła się wygodnie na empirowym krześle. Jej mocodawca słuchał relacji z zadowoleniem.

- Czekałam przez pół godziny i oddaliłam się dopiero wtedy, gdy pojawili się miejscowi stróże prawa. Nikt nie wyszedł z podziemnego tunelu - zakończyła relację.

- Zadzwoń jutro pod jakimś pretekstem do Fellnera i spróbuję dowiedzieć się reszty. Może wymknie mu się coś na temat nieszczęśliwego wypadku, który spotkał Christiana.

Sączyła wino, zadowolona z siebie. Przyjechała do Czech prosto z centralnych Niemiec; minęła granicę i od razu skręciła na południe, w kierunku posiadłości Loringa. Trzysta kilometrów pokonała swoim porsche w ciągu dwóch i pół godziny.

- Bardzo sprytnie udało ci się wymanewrować Christiana pochwalił ją Loring. - Zawsze trudno było go wywieść w pole.

- Zgubiła go zachłanność. Ale muszę powiedzieć, że Czapajew okazał się genialnym aktorem. - Pociągnęła łyk wina: dobry rocznik, z winnic Loringa. - Mimo wszystko, szkoda.

- Staruszek był bardzo dzielny. Utrzymał sekret przez tyle lat.

- Niestety, nie miałam wyboru. Musiałam uciszyć go na zawsze.

- Dobrze, że nie skrzywdziłaś tego chłopca.

- Nie zabijam dzieci. Nie wiedział nic więcej niż to, co powiedzą inni świadkowie z miasteczka. A poza tym to jemu zawdzięczam, że zmusiałam starca, by robił to, czego chciałam.

Loring wyglądał na znużonego.

- Zastanawiam się, kiedy to się wreszcie skończy. Co kilka lat musimy się uciekać do tak drastycznych rozwiązań.

- Czytałam ich listy. Pozostawienie Czapajewa wśród żywych byłoby zbędnym ryzykiem. Gdybym nie zatarła tego tropu, prędzej czy później mielibyśmy znów problemy.

- To smutne, *Draha*, ale masz rację.

- Czy dowiedziałeś się czegoś więcej od faceta z Sankt Petersburga?

- Tylko tyle, że Christian z pewnością ponownie grzebał w archiwach komisji. Nasz urzędnik zdołał zauważyć nazwisko mojego ojca na jednym z dokumentów, który tamten czytał; po jego wyjściu dokument zniknął.

- Dobrze, że Knollem nie musimy się już przejmować.
- Skoro Boria i Czapajew nie żyją, chyba możemy się czuć bezpiecznie.
- Obawiam się, że nie - powiedział Loring. - Pojawił się nowy kłopot.

Odstawiła na bok kielich z winem.

- Słucham?

- W pobliżu Stod przystąpiono do eksploracji podziemnego wyrobiska. Jakiś amerykański przedsiębiorca poszukuje tam skarbów.

- Czy ludzie nigdy nie zrezygnują?

- Pokusa jest zbyt wielka. Trudno powiedzieć, czy ta najnowsza ekspedycja obrała za cel właściwą jaskinię. Niestety, nie dowiemy się tego, dopóki nie dotrą do pieczary i jej nie spenetrują. Z grubsza biorąc, są jednak we właściwym rejonie.

- Mamy tam wtyczkę?

- Tak, w ekipie. Przekazuje mi informacje, ale sam nie wiem, co o tym sądzić. Mówię to z bólem, lecz mój ojciec zachował szczegóły dla siebie... Nie ufał nawet własnemu synowi.

- Chcesz, żebym tam pojechała?

- Proszę. I miej oko na wszystko. Mój informator jest wiarygodny, ale bardzo chciwy. Żąda bardzo dużo. A ja, jak wiesz, nie znoszę ludzi chciwych. Uprzedziłem go, że skontaktuje się z nim kobieta. Jediną osobą, która z nim rozmawiała do tej pory, jest moja sekretarka, i tylko przez telefon.

Nasz informator nie powinien kojarzyć tego ze mną. Wie, że ma się z nim spotkać Margarethe. Musisz tam być na wypadek, gdyby coś znaleźli. Żaden ślad nie może prowadzić do mnie. Jeśli będą kopać w niewłaściwym miejscu, wracaj natychmiast. Ale zastanów się, czy nie trzeba będzie pozbyć się tego faceta. Proszę tylko, żebyś starała się nie zabijać bez wyraźnej potrzeby.

Wiedziała, co chciał przez to powiedzieć.

- W przypadku Czapajewa nie miałam wyboru.

- Rozumiem to, *Drahd*, i doceniam twoje wysiłki.

- Mam nadzieję, że jego śmierć zakończy tak zwaną klątwę Bursztynowej Komnaty.

- Łącznie z dwiema innymi.

- Starzec uśmiechnął się szeroko.

- Christiana i Rachel Cutler? Skinęła głową.

- Wierzę, że to, co robisz, sprawia ci satysfakcję. Dziwne, ale przed paroma dniami wyczułem wahanie, gdy mówiliśmy o ewentualnym zlikwidowaniu Knolla. Czy on cię może

pociągał?

Podniosła puchar i stuknęła w kielich mocodawcy.

- Nie ma mężczyzn niezastąpionych.

Knoll mknął na południe w kierunku Füssen. W Kehlheim oraz w okolicy było zbyt dużo policji, by mógł tam ryzykować nocleg. Wymknął się z Wartburga i wracał na południe, w stronę Alp, z zamiarem odbycia ponownie rozmowy z Danią Czapajewem. Dowiedział się szybko, że staruszek został właśnie zamordowany. Policja poszukiwała kobiety, która poprzedniego dnia wypytywała o drogę do jego domu i opuściła rynecek razem z wnukiem Czapajewa. Policjanci nie wiedzieli, kim była, Knoll natomiast nie miał cienia wątpliwości.

Suzanne Danzer.

Któżby inny? Jakimś cudem ruszyła jego tropem i była u Czapajewa jeszcze przed nim. Wszystkie wskazówki, które tak ochoczo przekazał im Białorusin, zostały przez nią sprokurowane. Co do tego też nie miał wątpliwości. Dał się wciągnąć w pułapkę i omal nie przypłacił tego życiem.

Przypomniawszy sobie myśl Decimusa Juniusa Juvenalisa sformułowaną w *Satyrach*: „Zemsta duszy nikczemnej i umysłu małostkowego jest rozkoszą. Dlatego nikt większej w zemście radości nie znajduje niżeli niewiasta”.

Racja, ale wołał Byrona: „Mężczyzna kocha prędko, lecz nienawidzi z wolna”.

Kiedy ich ścieżki skrzyżują się ponownie, będzie musiał się jej sowicie odpłacić. Wtedy pokaże Susanne, czym jest prawdziwe piekło. Następnym razem on zyska przewagę.

Będzie przygotowany.

Wąskie uliczki Füssen pełne były turystów, jak zwykle wiosną odwiedzających zamek Ludwiga usytuowany na południe od miasta. Bez trudu zgubił się w tłumie wieczornych smakoszy, szukających wolnego miejsca w przepełnionych knajpach, by coś zjeść i łyknąć nieco mocniejszego trunku.

Zrobił sobie półgodzinną przerwę i zjadł kolację w jednym z mniej zatłoczonych lokali, wsłuchując się w takty przepięknej muzyki kameralnej, której koncert odbywał się po drugiej stronie ulicy. Później w pobliżu hotelu natknął się na budkę telefoniczną i zadzwonił do Burg Herz. Odebrał Franz Fellner.

- Słyszałem o dzisiejszej eksplozji w górach. Wyciągnęli z tunelu kobietę i poszukują mężczyzn.

- Nie znajdą - przerwał mu. - To była pułapka.

Opowiedział Fellnerowi, co się wydarzyło od chwili, gdy opuścił Atlantę, do momentu,

kiedy nie tak dawno dowiedział się o śmierci Czapajewa.

- Ciekawe, jakim cudem Rachel Cutler przeżyła. Ale to nie ma znaczenia. Z pewnością natychmiast wróci do Atlanty.

Jesteś pewien, że była w to zamieszana Suzanne?

- Któż, jeśli nie ona, zdołałby mnie wystawić do wiatru? Fellner usiłował powstrzymać chichot.

- Może się starzejesz, Christianie?

- Nie zachowałem się dość ostrożnie.

- Twoje zadufanie jest lepszym wyjaśnieniem - odezwała się nieoczekiwanie Monika, która najwyraźniej słuchała ich rozmowy z innego aparatu.

- Zastanawiałem się właśnie, co z tobą.

- Pewnie myślałeś głównie o tym, jak i gdzie ją zerzniesz.

- Co to za szczęście, że zawsze masz pod ręką katalog moich wad i słabości, by mi o nich przypomnieć.

Monika się roześmiała.

- Obserwowanie ciebie przy pracy, Christianie, to przynajmniej połowa mojej radości z tego wszystkiego.

Puścił to mimo uszu.

- Podejrzewam, że na tym wszelki ślad się urywa. Może powinienem ruszyć na poszukiwanie innych zdobyczy.

- Powiedz mu to, dziecko - usłyszał głos Fellnera.

- Pewien Amerykanin, niejaki Wayland McKoy, prowadzi podziemną eksplorację niedaleko Stod. Utrzymuje, że zamierza odnaleźć skarby z Muzeum Sztuki w Berlinie, być może Bursztynową Komnatę. Zajmował się tym już wcześniej, miał pewne sukcesy. Sprawdź to, żebyśmy niczego nie przegapili.

- W najgorszym razie zdobędziesz trochę ciekawych informacji albo wpadnie ci w ręce jakiś łup.

- Miejsce tych prac jest powszechnie znane?

- Piszą o nim lokalne gazety; stacja CNN International emitowała parokrotnie relacje z tej wyprawy - powiedziała Monika.

- Wiedzieliśmy o tym, zanim wyjechałeś do Atlanty wtrącił Fellner - ale uznałem, że Boria wart był podjęcia natychmiastowego działania.

- Czy Loring też jest zainteresowany tym nowym miejscem eksploracji?

- On bez wątpienia interesuje się wszystkim, czym my się zajmujemy - odparła

Monika.

- Chcesz wiedzieć, czy Suzanne tam będzie? - zaciekał się Fellner.
- Mam ogromną nadzieję, że tak.
- Udanych łowów, Christianie.
- Dziękuję panu. Jeśli Loring zadzwoni, by wybadać, czy zginąłem, proszę go nie rozczarować.
- Zamierzasz działać w konspiracji?
- Może się to okazać konieczne.

WARTBURG, NIEMCY 20.45

Rachel weszła do restauracji i podążyła za Paulem do stolika. Powietrze było ciepłe, przesiąknięte zapachem goździków i czosnku. Umierała z głodu, ale czuła się coraz lepiej. Miejsce bandaża wokół głowy zajął opatrunek umocowany przyklepcem. Miała na sobie spodnie khaki oraz bluzkę z krótkim rękawem, które Paul kupił w tutejszym sklepie; jej nałożone rankiem ubranie po wybuchu nie nadawało się do użytku.

Paul wypisał ją ze szpitala przez dwiema godzinami. Nic jej było, poza pokaźnym guzem na głowie oraz kilkoma skaleczeniami i zadrapaniami. Obiecała lekarzowi, że przez kilka następnych dni będzie się oszczędzać, a Paul go poinformował, że zamierzają niezwłocznie wrócić do Atlanty.

Kelner podszedł do ich stolika i Paul zapytał Rachel, jakie wino sobie życzy.

- Skosztowałabym chętnie dobrego czerwonego - odpowiedziała, przypominając sobie wczorajszą kolację z Knollem.

Kelner się oddalił.

- Dzwoniłem do linii lotniczych - powiedział Paul. - Jutro jest lot z Frankfurtu. Pannik twierdzi, że może nam załatwić transport na lotnisko.

- Gdzie jest inspektor?

- Został w Kehlheim, żeby prowadzić śledztwo w sprawie śmierci Czapajewa. Zostawił mi swój numer telefonu.

- Nie mogę uwierzyć, że Knoll ukradł moje rzeczy.

- Cóż, zapewne nie chciał, żeby cokolwiek pozwoliło policji cię zidentyfikować.

- Wydawał się taki szczerzy. Był nawet szarmancki.

Paul odniósł wrażenie, że Rachel jest oczarowana Knollem.

- Podobał ci się?

- Był interesujący. Podawał się za prywatnego kolekcjonera poszukującego Bursztynowej Komnaty.

- Zaimponował ci?

- Przestań, Paul. Przyznaj choć raz, że prowadzimy dość nieciekawe życie. Praca i dom. Pomyśl sam. Podróżowanie po świecie, poszukiwanie zaginionych dzieł sztuki - to ekscytujące zajęcie.

- Ten człowiek zostawił cię samą w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Rysy jej twarzy stężały.

- Ale wcześniej w Monachium uratował mi życie.
- Powinienem być od razu przyjechać tu z tobą.
- Nie przypominam sobie, żebyś cię zapraszała.

Narastało w niej rozdrażnienie. Dlaczego tak łatwo wpadała w złość? Przecież Paul usiłował jej tylko pomóc.

- Nie, nie zapraszałaś. Ale mimo to powinienem być przyjechać tu z tobą.

Była zdumiona jego reakcją. Trudno powiedzieć, czy był zazdrosny o Knolla, czy martwił się o nią.

- Powinniśmy wracać do domu - naciskał. - Nie mamy tu nic więcej do roboty. Niepokoję się o dzieci. Wciąż mam przed oczyma biednego Czapajewa.

- Wierzysz, że ta kobieta, która była w twoim biurze, zamordowała Czapajewa?
- Kto wie? Ona z pewnością wiedziała, jak go znaleźć, i to dzięki mnie.

Doszła do wniosku, że nadeszła pora.

- Zostańmy, Paul.

-Co?

- Zostańmy.

- Rachel, mało ci tej nauczki? Ludzie tu giną! Musimy stąd uciekać, zanim ofiarą padnie któreś z nas. Dzisiaj ci się poszczęściło. Nie kuś losu. To nie jest powieść przygodowa. To się dzieje naprawdę. I jest głupie. Naziści. Rosjanie.

- Nie mamy z tym nic wspólnego.
- Paul, tata z pewnością coś wiedział. Czapajew też.
- Powinniśmy spróbować. Jesteśmy im to winni.
- Co winni?

- Pozostał jeszcze jeden trop do sprawdzenia. Pamiętasz Waylanda McKoya? Knoll mi mówił, że Stod jest niedaleko stąd. Być może McKoy na coś natrafił. Tata interesował się jego wyprawą.

- Zostaw te sprawy własnemu biegowi, Rachel.
- Co szkodziłoby spróbować?
- Powiedziałaś dokładnie to samo, wybierając się na poszukiwanie Czapajewa.

Odsunęła krzesło i wstała od stolika.

- To nie fair, i ty o tym wiesz - oznajmiła, podnosząc głos. Jeśli zamierzasz jechać do domu, jedź. Ja chcę porozmawiać z Waylandem McKoyem.

Kilkoro gości zwróciło na nich uwagę. Miała nadzieję, że nikt znał angielskiego. Na

twarzy Paula pojawił się jak zwykle wyraz rezygnacji. Nie umiał z nią postępować. Nie był porywczy, nie potrafił się złościć. Zawsze działał w sposób przemyślany. Żaden drobiazg nie wydawał mu się błahy. Nie postępował impulsywnie, był konsekwentny. Czy chociaż raz w życiu zrobił coś spontanicznie? Tak. Tutaj przyleciał pod wpływem impulsu. Ona zaś najwyraźniej miała nadzieję, że odtąd będzie tak już zawsze.

- Usiądź, Rachel - powiedział spokojnie. - Chociaż raz podyskutujmy o czymś racjonalnie.

Usiadła. Zależało jej na tym, żeby został, ale za nic w świecie by się do tego nie przyznała.

- Musisz zająć się swoją kampanią wyborczą. Dlaczego nie skierujesz energii na tę sprawę?

- Muszę to zrobić, Paul. Coś mi mówi, że powinnam iść dalej tym tropem.

- Rachel, w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin dwie osoby pojawiły się znikąd, obydwie szukały tego samego; jedna z nich jest prawdopodobnie zabójczynią, druga zaś okazała się bezwzględna i zostawiła cię na pewną śmierć. Karol nie żyje.

- Tak jak Czupajew. Może twój ojciec też został zamordowany. Zanim tu przyjechałaś, miałaś na ten temat pewne podejrzenia.

- Wciąż mam, ale to się jedno z drugim wiąże. Podobnie jak śmierć twoich rodziców. Być może oni również zginęli z tego samego powodu.

Niemal słyszała, jak jego analityczny mózg pracuje na wysokich obrotach. Rozważał argumenty za i przeciw. Starał się wynaleźć taki, którym nakłoniłby ją do powrotu do domu.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Jedziemy spotkać się z McKoyem.

- Mówisz poważnie?

- Chyba oszalałem, ale nie mam zamiaru zostawiać cię tu samej.

Chwyła go za rękę i uścisnęła.

- Pilnuj mojego tyłka, a ja będę pilnowała twojego.

Dobrze?

Uśmiechnął się szeroko.

- W porządku.

- Tata byłby z nas dumny.

- Twój ojciec przewraca się teraz w grobie. Lekceważymy wszystko, o co prosił.

Przyszedł kelner z butelką wina i napełnił im kieliszki.

Podniosła swój.

- Za sukces.
- Za sukces - powtórzył za nią Cutler.

Wysączyła wino, zadowolona, że Paul zostaje. Ale obraz, który ją bardzo niepokoił, znów mignął jej przed oczyma.

W świetle latarki na sekundę przed wybuchem dojrzała w dłoni Christiana Knolla ostrze sztyletu.

Dotąd nie powiedziała o tym Paulowi ani inspektorowi.

Mogła się spodziewać, jak zareagują; szczególnie pierwszy z nich.

Spojrzała na Paula, wspomniała ojca i Czapajewa, potem pomyślała o dzieciach.

Czy postępuje słusznie?

CZEŚĆ TRZECIA

STOD, NIEMCY PONIEDZIAŁEK, 19 MAJA, 10.15

Wayland McKoy wszedł do pieczary. Otoczyło go chłodne, wilgotne powietrze; ze światła poranka wszedł w całkowite ciemności. Zachwycał się kilkusetletnim wyrobiskiem. *Ein Silberbergwerk*. Kopalnia srebra. Niegdyś „skarb Świętego Cesarstwa Rzymskiego”, obecnie zwyczajna dziura w ziemi, opuszczona i zapomniana; żalosna pamiątka sprzed 1900 roku, w którym tanie srebro z Meksyku zaczęło zalewać świat i doprowadziło do zamknięcia większości kopalń w górach Harzu.

Okolica prezentowała się malowniczo. Masywne wzgórza porośnięte sosnowymi lasami, karłowate zarośla oraz alpejskie łąki - wszystko to było piękne i kolorowe, a jednocześnie sprawiało dość niesamowite wrażenie. Nie bez kozery Goethe pisał o tym miejscu w *Fauście*, że „czarownice odprawiają tam sabat”.

Dawniej tereny te stanowiły południowo-zachodni skrawek wschodnich Niemiec, groźną strefę zakazaną; w lasach wciąż stały rzędy wysokich słupów granicznych. Pola minowe, pułapki detonujące pociski odłamkowe, psy strażnicze oraz zasieki z kolczastego drutu odeszły już do historii.

Wende, zjednoczenie, położyło kres zamordyzmowi i otworzyło przed narodem nowe możliwości. Jedną z nich sam teraz wykorzystywał.

Szedł w dół szerokiego wyrobiska. Co trzydzieści metrów drogę oświetlały stuwatowe żarówki, a kabel elektryczny wytyczał szlak do generatorów ulokowanych na zewnątrz. Ściany były nierówne, chodnik zasypany skalnym rumowiskiem - to efekt działań pierwszego zespołu roboczego przysłanego w zeszłym tygodniu, który miał za zadanie utorować im drogę.

To było proste. Dało się załatwić za pomocą wiertarek udarowych oraz młotów pneumatycznych. Obawa przed pozostawionymi przez Niemców przed wielu laty minami okazała się bezzasadna; wytresowane psy dokładnie obwąchały korytarze, a ekipa fachowców przeprowadziła zwiad. Z kolei brak jakichkolwiek śladów materiałów wybuchowych budził w nim niepokój. Gdyby było to wyrobisko, w którym Niemcy ukryli dzieła sztuki z berlińskiego Muzeum Cesarza Fryderyka, to z pewnością zostałyby zaminowane. Nie znaleziono jednak min. Tylko skały, szlam, piasek oraz tysiące nietoperzy. Te uciążliwe małe bestie przemieszczały w odnogach głównego szybu od początku jesieni do końca wiosny. Spośród wszystkich gatunków zamieszkujących ziemski glob ten akurat okazał się zagrożony. Co dało władzom podstawę do zwłoki. Niemiecki rząd

nie spieszył się z wydaniem zezwolenia na eksplorację kopalni. Na szczęście nietoperze opuszczały podziemne korytarze w maju i powracały do nich dopiero w połowie lipca. Dawało mu to czterdzieści pięć cennych dni na wykopaliska. To wszystko, na co zezwoliły niemieckie władze. Obwarowano umowę zastrzeżeniem, że kopalnia musi być pusta, gdy bestie powrócą.

Im głębiej wchodził do wnętrza góry, tym szyb stawał się większy. To również było niepokojące. Normalnie podziemne tunele się zwężały; w pewnym momencie nie sposób było posuwać się nimi dalej. Dawni górnicy drążyli chodniki dopóty, dopóki mieli urobek. Wszystkie korytarze i chodniki były spuścizną po wiekach górniczej aktywności, a każde pokolenie starało się przewyższyć osiągnięcia poprzedników, odkrywając nowe pokłady i samородki. Mimo rozległości wyrobiska jego szerokość wciąż spędzała Waylandowi sen z powiek. Korytarz był po prostu zbyt wąski, by dało się nim przetransportować coś tak ogromnego jak skarb, którego poszukiwał.

Doszedł do trzyosobowej ekipy robotników. Dwóch ludzi stało na drabinach, trzeci niżej; każdy nawiercał otwory w skalnej ścianie pod kątem sześćdziesięciu stopni. Przewodami doprowadzano elektryczność oraz powietrze. Generatory i sprężarki stały w porannym słońcu o pięćdziesiąt metrów za nim, na zewnątrz szybu. Gorąca niebieskawa poświata rozjaśniała miejsce pracy i wyciskała siódme poty z członków ekipy.

Świdry przestały pracować, a mężczyźni ściągnęli z uszu ochroniacze. On również zdjął swoje dźwiękoszczelne nauszники.

- No i jak wam idzie? - zapytał.

- Dzisiaj posunęliśmy się do przodu o jakieś trzydzieści centymetrów - powiedział jeden z ludzi, ocierając pot z czoła. - Nie wiadomo, jak będzie dalej. Nie wiem też, czy nasz świder udarowy to wytrzyma.

Drugi z robotników sięgnął po rozpuszczalnik i powoli napełnił nim nawiercone otwory. McKoy podszedł do skalnej ściany. Porowaty granit oraz wapień natychmiast wchłonęły brązowy syrop wlany do każdego z odwiertów. Kaustyczny związek chemiczny zwiększył objętość, powodując pęknięcie litej skały. Podszedł inny mężczyzna, w goglach, ściskając ciężki dwuręczny młot. Jedno uderzenie i skała rozkruszona na drobne kawałki opadła na ziemię. Kilka kolejnych centymetrów chodnika było wydrążone.

- Wolno to idzie - stwierdził McKoy.

- Ale to jedyny sposób - dobiegł ich głos z tyłu.

McKoy obrócił się i zobaczył doktora Alfreda Grumera.

Wysoki, o patykowatych kończynach, był wręcz karykaturalnie chudy; siwiejąca

bródka *a la* Van Dyck zaczynała się tuż pod ustami, cienkimi jak żyłeczka. Grumer był tutejszym ekspertem w sprawach penetrowania kopalń. Obronił doktorat z historii sztuki na uniwersytecie w Heidelbergu. McKoy poznał Grumera przed trzema laty, również podczas wyprawy do zamkniętych kopalń w górach Harzu. *Herr Doktor* był równie biegły w ekspertyzach co zachłanny, a to były dwie cechy nie tylko pożądane, ale po prostu konieczne w tym biznesie.

- Niedługo będziemy musieli przerwać - powiedział McKoy.

Grumer podszedł bliżej.

- Zezwolenie jest ważne jeszcze przez cztery tygodnie.

- Zdążymy się dokopać.

- Jeśli jest do czego się dokopać.

- Komora jest tam na pewno. Radar to wykazuje.

- Ale jak długo, do cholery, musimy jeszcze ryć w tej skale?

- Trudno powiedzieć. Ale tam na pewno coś jest.

- A niby w jaki sposób tam się znalazło? Powiedział pan, że wskazania radaru potwierdzają obecność kilku metalowych obiektów - wskazał gestem do tyłu poza zasięg światła. - W tym szybie ledwie się zmieści trzech ludzi idących obok siebie.

- Zakłada pan, że to jedyna droga dojścia - na twarzy Grumera pojawił się niewyraźny uśmiech.

- A panu się wydaje, że ja sram forszą.

Pozostali mężczyźni uruchomili świdry i powrócili do wiercenia. McKoy wycofał się do nieoświetlonego korytarza, w którym było chłodniej i ciszej. Grumer podążył za nim.

- Jeśli do jutra nic się nie wydarzy, do diabła z wierceniem. Użyjemy dynamitu.

- Nie ma pan na to zezwolenia.

- Pieprzę zezwolenie - McKoy przejechał dłonią po wilgotnych, czarnych włosach. - Musimy posuwać się do przodu, i to szybko. W mieście jest ekipa telewizyjna, która czeka w pełnej gotowości. To kosztuje mnie dwa tysiące dolarów dziennie. Ci tłuści biurokraci z Bonn nie mają na głowie zgrai inwestorów, którzy zwałą się tu jutro, by zobaczyć odzyskane dzieła sztuki.

- To było zbyt pochopne - odparł Grumer. - Nie wiadomo przecież, co znajduje się pod skałami.

- Ponoć jest tam ogromna komora.

- Zgadza się. W dodatku nie jest pusta.

Postanowił spuścić nieco z tonu. Nie Grumer przecież był winien, że drażnienie chodnika

szło tak powoli.

- Jest w niej coś, co dało takiego kopa, że radar geologiczny doznał wielokrotnego orgazmu?

- Ujął pan to w bardzo poetycki sposób - uśmiechnął się Grumer.

- Oby pan się piekielnie nie mylił, bo obaj będziemy mieli przerypane.

- Jaskinia to po niemiecku *Höhle* - odparł Grumer. - Piekło zaś to *Hölle*. Zawsze sądziłem, że to podobieństwo nie ogranicza się tylko do brzmienia.

- Zajębiście interesujące, Grumer. Ale jeśli chodzi o moje odczucia, nie są to rozważania na chwilę obecną.

Grumer wydawał się niezrażony. Jak zawsze zresztą.

To jedna z cech tego człowieka, która niezmiernie go irytowała.

- Przyszedłem pana poinformować, że ma pan gości - podjął Niemiec.

- Czy to kolejny reporter?

- Prawnik oraz sędzia z Ameryki.

- Czyżby ktoś już wytoczył nam proces?

Na twarzy Herr Doktora pojawił się szelmowski uśmieszek. McKoy nie był jednak w nastroju do żartów. Miał ochotę wywalić na zbity pysk tego irytującego bęcwała. Ale kontakty Grumera w Ministerstwie Kultury były zbyt cenne, by się go pozbywać.

- Nie chodzi o proces, Herr McKoy. Ci dwoje mówią wciąż o Bursztynowej Komnacie.

- Twarz Amerykanina się rozjaśniła. - Sądziłem, że będzie pan tym zainteresowany.

- Utrzymują, że mają jakieś szczegółowe informacje.

- Jakież świry?

- Chyba nie.

- Czego chcą?

- Porozmawiać.

Spojrzał ponownie w kierunku skalnej ściany i ryczących świrów.

- Dlaczego nie? W tym piekle na dole nie mam nic do roboty.

Paul obrócił się, gdy drzwi malutkiej szopy otworzyły się gwałtownie. Człowiek o posturze niedźwiedzia grizzly, z karkiem byka, szeroką klatką piersiową i gęstymi czarnymi włosami wszedł do pobielonego pomieszczenia. Bawełniana koszula z wyhaftowanym napisem **WYKOPALISKA McKOYA** opinała silnie umięśniony tors i ramiona. Przenikliwe spojrzenie ciemnych oczu natychmiast oceniło sytuację. Alfred Grumer, którego Rachel poznała przed paroma minutami, wszedł do środka za wielkoludem.

- Herr Cutler, Frau Cutler, przedstawiam państwu Waylanda McKoya - powiedział Grumer.

- Nie chciałbym być niegrzeczny - zaczął z miejsca McKoy - ale znaleźliśmy się w sytuacji krytycznej i nie mam zbyt wiele czasu na pogaduszki. Cóż więc mogę dla państwa zrobić?

Paul zaczął wyjaśniać:

- Ostatnich kilka dni spędziliśmy niezwykle interesująco...

- Które z was jest sędzią? - przerwał mu olbrzym.

- Ja - odparła Rachel.

- Co prawnika oraz sędziego z USA skłoniło, by zawracać mi głowę w środku Niemiec?

- Szukamy Bursztynowej Komnaty.

- A kto, do czorta, jej nie szuka? - zachichotał McKoy.

- Pan zapewne sądzi, że jest ukryta gdzieś w pobliżu; może nawet w miejscu, w którym pan kopie - kontynuowała Rachel.

- Jestem pewien, że orły Temidy doskonale zdają sobie sprawę, że nie mogę rozmawiać o szczegółach prac eksploracyjnych. Inwestorzy, z którymi podpisałem kontrakt, zastrzegli sobie poufność.

- Nie prosimy pana o ujawnianie czegokolwiek - włączył się Paul. - Ale przypuszczam, że to, co nas spotkało w ciągu paru ostatnich dni, może okazać się dla pana interesujące.

Pokrótce zrelacjonował McKoyowi i Grumerowi wszystko to, co wydarzyło się od chwili śmierci Karola Borii aż do momentu, gdy wyciągnięto Rachel z zasypanej kopalni.

Grumer usiadł na jednym ze stołków.

- Słyszeliśmy o eksplozji. Mężczyzny nie odnaleziono?

- Knoll nie zginął. On po prostu czmychnął stamtąd - wyjaśnił Paul i zrelacjonował to, czego dowiedzieli się wraz z inspektorem Pannikiem w Wartburgu.

- Wciąż nie wiem, czego ode mnie chcecie - wtrącił McKoy.

- Kilku informacji. Kim jest Josef Loring?

- Czeskim przemysłowcem - odpowiedział McKoy. - Nie żyje od blisko trzydziestu lat. Chodziły słuchy, że tuż po wojnie odnalazł Bursztynową Komnatę, ale on nigdy tego nie potwierdził. Jeszcze jedna pogłoska nadająca się do prasy brukowej.

Do rozmowy włączył się Grumer.

- Loring miał wiele pasji oraz bardzo bogate zbiory sztuki.

W tym jedną z największych w świecie bursztynowych kolekcji. Jak rozumiem, zbiory

przeszły obecnie w ręce jego syna.

W jaki sposób pani ojciec dowiedział się o nim?

Rachel opowiedziała o działalności ojca w pracach komisji. Wspomniała również o Yancym i Marlenie Cutlerach oraz o podejrzeniach ojca związanych z ich śmiercią.

- Jak ma na imię syn Loringa? - zapytała.

- Ernst - odparł Grumer. - Musi mieć teraz z osiemdziesiąt lat. Wciąż żyje i mieszka w rodzinnej posiadłości w południowych Czechach. To niedaleko stąd.

W Grumerze było coś, co Paulowi po prostu się nie podobało. Pomarszczone czoło? Rozbiegane oczy, które wyrażały nie to, co mówiły usta? Niemiec przypominał mu malarza pokojowego, który niedawno usiłował zmniejszyć masę spadkową o dwanaście tysięcy trzysta dolarów i musiał zadowolić się kwotą tysiąc dwieście pięćdziesiąt. Ten człowiek też gotów był kłamać bez skrupułów. Typ niewzbudzający zaufania.

- Macie korespondencję ojca? - zwrócił się Grumer do Rachel.

Paul nie miał ochoty pokazywać mu listów, ale pomyślał, że będzie to gest dobrej woli z ich strony. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął listy. Grumer i McKoy, każdy z osobna, pograżyli się w lekturze. Treść korespondencji przyciągnęła przede wszystkim uwagę Amerykanina. Kiedy skończyli czytać, Herr Doktor zapytał:

- Ten Czapajew już nie żyje? Paul przytaknął.

- Pani ojciec, pani Cutler... a tak na marginesie, czy wy oboje jesteście małżeństwem? - zapytał McKoy.

- Po rozwodzie - odparła Rachel.

- I podróżujecie razem po całych Niemczech?

- Czy to ma jakikolwiek związek ze sprawą? - spytała Rachel z kamienną twarzą.

Olbrzym z Karoliny Północnej spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Być może nie, Wysoki Sądzie. Ale to wy oboje zakłóciliście mi pracowity poranek, chcąc zadać moc pytań. To nie ja zacząłem rozgłaszać, że pani ojciec pracował dla Rosjan, poszukując Bursztynowej Komnaty.

- Interesował się także tym, co pan teraz robi.

- Powiedział coś konkretnego?

- Nie - odparł Paul. - Ale śledził relacje CNN oraz bardzo mu zależało na przeczytaniu artykułu z „USA Today”. Wiemy też, że studiował mapę Niemiec i przeglądał tuż przed śmiercią stare artykuły poświęcone Bursztynowej Komnacie.

McKoy podszedł wolnym krokiem do obrotowego fotela i klapnął na niego. Konstrukcja jęknęła pod ciężarem jego cielska.

- Sądźcie, że trafiliśmy na właściwy tunel?
 - Karol z pewnością wiedział coś na temat Bursztynowej Komnaty - podjął wątek Paul. - Podobnie zresztą jak Czapajew.
 - Nawet moi rodzice mogli coś wiedzieć. I ktoś prawdopodobnie postanowił, żeby zabrali to ze sobą do grobu.
 - Czy dysponujecie dowodami, że to pańscy rodzice byli celem bombowego zamachu?
 - zapytał McKoy.
 - Nie - odparł Paul. - Ale po śmierci Czapajewa nie mogę pozbyć się wątpliwości. Karola dręczyły wyrzuty sumienia z powodu tego, co przydarzyło się moim rodzicom. Zaczynam nabierać przekonania, że kryje się za tym coś więcej niż do tej pory sądziłem.
 - Zbyt wiele zbiegów okoliczności, tak?
 - Można tak to określić.
 - A ten tunel, do którego skierował was Czapajew? - tym razem zapytał Grumer.
 - Nic tam nie było - odparła Rachel. - Ponadto Knoll przypuszczał, że ściana na końcu została zawałona w wyniku eksplozji. Tak przynajmniej powiedział.
- Olbrzym się uśmiechnął.
- Staruszek wystawił was do wiatru?
 - Najprawdopodobniej - potwierdził Paul.
 - Ale właściwie dlaczego i po co Czapajew skierował was na ślepy tor?
- Rachel musiała przyznać, że też tego nie rozumie.
- A co z Loringiem? Dlaczego jego osoba niepokoiła mojego ojca do tego stopnia, że poprosił Cutlerów o przeprowadzenie dyskretnego dochodzenia?
 - Plotki na temat Bursztynowej Komnaty są szeroko rozpowszechnione. Jest ich tak wiele, że trudno nad nimi zapanować. Być może pani ojciec zamierzał sprawdzić jakiś trop podsunął myśl Grumer.
 - Wie pan coś na temat tego Christiana Knolla? - to pytanie Paul skierował wprost do Herr Doktora.
 - Nie. Nigdy nie słyszałem tego nazwiska.
 - Przybyliście tu, żeby przyłączyć się do poszukiwań? zapytał nagle McKoy.
- Paul się uśmiechnął. Połowa drogi za nimi.
- Raczej nie. Nie znamy się na poszukiwaniu skarbów.
 - Po prostu zaangażowaliśmy się głęboko w sprawę, która nas prawdopodobnie nie dotyczy. Byliśmy niedaleko; uznaliśmy ten wypad za wart fatygi.
 - Prowadzę eksplorację w tych górach już od lat...

W tym momencie drzwi szopy otworzyły się z hukiem.

- Przebiliśmy się - wysapał zmęczony, ale roześmiany mężczyzna w mocno zabrudzonym roboczym kombinezonie i pędem wybiegł z powrotem.

- Idziemy, Grumer.

Rachel rzuciła się do przodu, zagradzając im drogę.

- Niech pan nam pozwoli iść z wami.

- Po jaką cholere?

- Przez wzgląd na pamięć mojego ojca.

- McKoy wahał się kilka sekund.

- Dlaczego nie? Ale, do diabła, proszę zejść mi z drogi.

Rachel poczuła się nieswojo. Szyb był węższy niż ten wczorajszy, a wejście zostało daleko za nimi. Dwadzieścia cztery godziny temu omal żywcem jej nie zasypało. Teraz znów znalazła się pod ziemią, podążając szlakiem oświetlonym przez żarówki w głębi kolejnej niemieckiej góry.

Korytarz kończył się otwartą galerią otoczoną ścianami z szarobiałej skały; naprzeciw widoczny był uskok wzdłuż czarnej szczeliny. Jeden z robotników walił młotem, poszerzając szczelinę do rozmiarów wystarczająco dużych, by mógł przecisnąć się przez nią człowiek.

McKoy zdjął ze ściany jedną z lamp i podszedł do otworu.

- Czy ktoś zaglądał już do środka?
- Nie - odparł jeden z robotników.
- To dobrze.

McKoy podniósł z piasku aluminiowy teleskop i przymocował do wierzchołka uchwyt lampy. Następnie wyciągnął segmenty i światło znalazło się na wysokości około trzech metrów. Podszedł do szczeliny i wsunął zapaloną lampę w egipskie ciemności.

- Niech mnie szlag trafi! - wykrzyknął podekscytowany. Pieczara jest ogromna. W środku stoją trzy ciężarówki. Ja pieprzę! - Podniósł lampę wyżej. - Jakies ciała. Dwa trupy.

Z tyłu dobiegł odgłos kroków. Rachel obróciła się i zobaczyła tróje ludzi pędzących w ich stronę z kamerami wideo w rękach, reflektorami oraz zasilaczami na baterie.

- Przygotujcie sprzęt - polecił olbrzym z Karoliny Północnej. - Chcę mieć udokumentowane pierwsze wejście.

Sprzedalem prawa do filmowania - zwrócił się do Rachel i Paula. - Powstanie z tego specjalna audycja telewizyjna.

Chcą kręcić wszystko na bieżąco, jak leci.

Grumer podszedł bliżej.

- Ciężarówki, mówi pan?
- Wyglądają jak büssingi NAG, czteroipółtonowe.
- Niemieckie.
- To nie najlepsza wiadomość.
- Co ma pan na myśli?
- Podczas ewakuacji zbiorów berlińskiego muzeum nie korzystano ze środków

transportu. Eksponaty wynosili ludzie.

- Człowieku, co ty pierdolisz?

- Jak powiedziałem, Herr McKoy, dzieła sztuki z Muzeum Cesarza Fryderyka wywieziono z Berlina najpierw koleją, potem ciężarówkami do kopalnianych wyrobisk. Jednak Niemcy z pewnością nie pozostawili w środku samochodów ciężarowych. Były wtedy na wagę złota, niezbędne do realizacji innych zadań.

- Nie wiemy, do diabła, co się naprawdę zdarzyło, Grumer. Nie można wykluczyć, że pieprzone Szwaby postanowiły pozostawić tu ciężarówki, no nie?

- W jaki sposób auta dostały się do wnętrza góry? McKoy przybliżył twarz do twarzy Niemca.

- Powiedział pan niedawno, że może tu być inne wejście.

Grumer cofnął się.

- Skoro pan tak mówi, Herr McKoy...

- Amerykanin dźgnął go palcem w pierś.

- Nie. To pan tak powiedział!

Wielkolud zajął się ekipą telewizyjną. Reflektory rozjarzyły się pełnym blaskiem. Dwie kamery były gotowe.

Dźwiękowiec podniósł mikrofon na tyczce i stanął z boku.

Mężczyźni skinęli głowami.

McKoy wszedł w ciemną otchłań.

Paul wkroczył tam jako ostatni. Szedł za dwójką robotników, którzy ciągnęli belki z lampami; niebieskawa halogenowa poświata rozpraszała mrok.

- To jest naturalna pieczara - zawyrokował Grumer, a jego głos odbiło echo.

Paul przyglądał się badawczo skale, która wznosiła się łukiem na wysokości prawie dwudziestu metrów. Przypominało to sklepienie jakiejś wspaniałej katedry; strop oraz ściany jaskini były udekorowane kryształkami minerałów i skamielinami, które skrzyły się w świetle. Grunt był miękki, piaszczysty, podobnie jak w prowadzącym do groty chodniku. Wziął głęboki oddech mimo zapachu stęchlizny unoszącego się w pieczarze. Światła reflektorów padały na odległą ścianę naprzeciw. Widoczne w niej było inne wejście, a przynajmniej to, co z niego pozostało; dość duże, by przejechały przez nie ciężarówki. Teraz wypełnione było szczelnie skalnymi blokami i szutrem.

- Drugie wejście, czyż nie tak? - triumfował McKoy.

- Tak - zgodził się Grumer. - Ale to dziwne. Zamysł ukrycia wiązał się z tym, by móc to kiedyś wydobyć. Po co więc coś takiego?

Paul oglądał trzy ciężarówki. Zostały zaparkowane pod dziwnymi kątami. Ze wszystkich osiemnastu opon powietrze zeszło całkowicie, koła zdeformowały się pod wpływem ciężaru. Ciemny brezent nadal okrywał długie platformy ciężarowe, ale pleśń zniszczyła tkaninę niemal do cna; stalowe kabiny i ramy w dużym stopniu przeżarte były rdzą.

McKoy wszedł głębiej do pieczary, a krok za nim postępował kamerzysta.

- Proszę się nie martwić o dźwięk, zmiksujemy później.

Teraz kręcimy film.

Rachel wysunęła się naprzód.

- Dziwne, co? Czuję się jak w grobie - powiedział Paul idący tuż za nią.

- Dokładnie to samo mi się nasunęło - przytaknęła.

- Spójrzcie na to - odezwał się McKoy.

W świetle reflektorów zobaczyli dwa trupy leżące na piasku, otoczone z obu stron skałami i gruzem. Pozostały z nich jedynie kości, resztki odzieży oraz skórzane buty.

- Zginęli od strzałów w głowę - zawyrokował McKoy.

Jeden z robotników przysunął światło bliżej.

- Proszę nie dotykać niczego, dopóki nie sporządzimy pełnej dokumentacji fotograficznej. Ministerstwo tego rygorystycznie wymaga - głos Herr Doktora brzmiał stanowczo.

- Dwa kolejne ciała leżą po tamtej stronie - powiadomił jeden z robotników.

McKoy i członkowie ekipy filmowej ruszyli we wskazanym kierunku. Grumer z robotnikami podążyli za nimi; Rachel również. Paul pozostał przy szczątkach pierwszej dwójki.

Ubranie przegniło, ale nawet w przyćmionym świetle resztki tkaniny przypominały mundur. Kości poszarzały i szerniały, wnętrzności i mięśnie dawno zamieniły się w proch. Bez cienia wątpliwości w każdej z czaszek widniał nienaturalny otwór.

Wyglądało na to, że obaj zabici upadli na plecy: kręgosłupy i żebra zachowały anatomiczne położenie. Jeden miał wojskowy bagnet przytroczony do resztek czegoś, co kiedyś było brezentowym pasem. W skórzanej kaburze obok nie było pistoletu.

Skierował wzrok na prawo.

W cieniu dostrzegł jakiś czarny prostokąt, częściowo przysypany piaskiem. Ignorując ostrzeżenie Grumera, sięgnął ręką w to miejsce i podniósł portfel.

Ostrożnie rozłożył połówki z popękanej skóry. W części przeznaczony na pieniądze znajdowały się zbutwiałe resztki banknotów. Wsunął palec do jednej z bocznych

przegródek. Nic. Potem do drugiej. Wyciągnął kawałki jakiejś karty.

Krawędzie były postrzępione i kruche, większość liter napisanych atramentem całkowicie wyblakła, ale kilka pozostało.

Wysilił wzrok, starając się odczytać litery:

AUSGEGEBEN 15-3-51. VERFAELLT 15-3-55.

GUSTAY MULLER.

Były jeszcze jakieś słowa, ale pozostały z nich jedynie pojedyncze litery, z których nie potrafił ułożyć całości.

Zamknął portfel i ruszył w kierunku grupy. Omijał ciężarówkę z tyłu i nagle dostrzegł stojącego samotnie z boku Grumera. Już miał podejść i pokazać mu portfel, gdy zobaczył, że Niemiec pochyła się nad innym szkieletem. Rachel, McKoy i pozostali znajdowali się o jakieś dziesięć metrów na lewo, odwrócenie plecami; dobiegał stamtąd szum pracujących kamer oraz głos McKoya, który mówił coś prosto do obiektywu. Robotnicy zmontowali teleskopowe stanowisko i podwiesili pośrodku belkę z reflektorami halogenowymi. Było dostatecznie jasno, by dostrzec, że Grumer przeszukuje piasek wokół szkieletu.

Paul stanął w cieniu za jedną z ciężarówek i obserwował.

Grumer omiatał światłem latarki kości zagłębione w piasku. Zastanawiał się, do jakiej janki musiało tu kiedyś dojść.

Snop światła latarki zatrzymał się przy końcu wyciągniętej ręki, ukazując wyraźnie kości palców dłoni. Skoncentrował wzrok. Na piasku dojrzał jakieś litery. Niektóre zamazane, ale trzy pozostały, rozmieszczone w regularnych odstępach.

O -1 - C.

Grumer wstał i zrobił trzy zdjęcia; lampa błyskowa oślepiła Paula.

Potem Niemiec pochylił się i ręką zatarł litery pozostawione przez kogoś na piasku.

McKoy był podniecony. Filmowano jego spektakularny sukces. Trzy przeżarte rdzą niemieckie ciężarówki z okresu drugiej wojny światowej odnalezione w niemal nienaruszonym stanie w dawnej kopalni soli. Pięć ciał, wszystkie z dziurami w czaszkach. Widowisko telewizyjne będzie fascynujące.

Honoraria za powtórzenia z pewnością osiągną zawrotną wysokość.

- Macie wystarczająco dużo ujęć z zewnątrz? - zapytał jednego z operatorów.

- Nawet za dużo.

- W takim razie zobaczmy, co jest w tych pieprzonych ciężarówkach - powiedział, po czym chwycił latarkę i ruszył w stronę stojącego najbliżej samochodu. - Grumer, gdzie pan jest?

Herr Doktor wysunął się z cienia.

- Gotów? - zapytał Amerykanin.

Grumer przytaknął.

McKoy także był gotów.

We wnętrzu każdej przyczepy spodziewał się zobaczyć drewniane skrzynie zbite naprędce i spakowane byle jak.

W środku zapewne znajdą liczące setki lat gobeliny, kostiumy oraz dywany tworzące miękką osłonę. Słyszał, że kustosze z Ermitażu bez skrupułów sięgali po koronacyjne stroje Mikołaja czy Aleksandra i zawijali w nie obrazy, wysyłając te skarby na wschód, byle dalej od nazistów. Bezcenne szaty poupychane w skrzyniach skleconych z lichego drewna.

Cokolwiek, byle chronić płótna i porcelanę. Miał nadzieję, że Niemcy cechowali się podobną niefrasobliwością. Jeśli trafili do właściwej pieczary, tej, w której ukryto zbiory z berlińskiego muzeum, powinny się tu znajdować najcenniejsze eksponaty z tej kolekcji. Być może *Ulica w Delftach* Vermeera lub *Głowa Giustusa* Leonarda da Vinci, albo *Park* Moneta. Każde z tych płócien na wolnym rynku byłoby warte miliony dolarów. Nawet jeśli niemiecki rząd uprze się przy zachowaniu praw własności (co było całkiem prawdopodobne), znaleźne będzie opiewać na sumę zakończoną sześcioma zerami.

Ostrożnie odchylił zbutwiałą plandekę i skierował do środka snop światła. Platforma ciężarówki była pusta. Nie było tam nic oprócz rdzy i piasku.

Rzucił się pędem do drugiego samochodu.

Pusty.

Popędził do trzeciego.

Także pusty.

- Do kurwy nędzy! - zaklął. - Wyłączcie te przekłete kamery.

Grumer oświetlił latarką wnętrze paki w każdej ciężarówce.

- Obawiałem się tego. - Olbrzym z Karoliny Północnej nie zareagował. - Wszystkie znaki świadczyły, że to nie będzie ta pieczara - ciągnął Herr Doktor.

Najwyraźniej Niemca cieszył rozwój sytuacji.

- W takim razie dlaczego nie poinformował mnie pan o tym już w styczniu?

- Wtedy jeszcze nie byłem pewien. Odczyty radaru wskazywały, że w środku jest coś dużego i metalowego. Dopiero kilka dni temu, gdy byliśmy już blisko, zacząłem podejrzewać, że trudzimy się daremnie.

Paul podszedł bliżej.

- Jakiś problem?

- Problem, panie prawniku, polega na tym, że te pieprzone ciężarówki są puste. Nawet jednej cholernej rzeczy nie ma na żadne) z nich. Właśnie wydałem milion dolarów na to, by dotrzeć do trzech zardzewiałych ciężarówek. Jak, do kurwy nędzy, wytłumaczę ten fakt ludziom, którzy przylatują tu jutro, spodziewając się, że dzięki zainwestowanej forsie staną się bogaczami?

- Zdawali sobie sprawę z ryzyka, kiedy lokowali pieniądze - skomentował Paul.

- Nie przyzna się do tego żaden z tych drani.

- Czy nie poinformował ich pan szczerze o takiej możliwości? - zapytała Rachel.

- Byłem równie szczerzy jak każdy, kto dramatycznie potrzebuje pieniędzy - odparł, po czym otrząsnął się ze wstrętem. - Jezu Chryste Wszechmogący, niech to wszystko szlag trafi!

STOD

12.45

Knoll rzucił torbę podróżną na łóżko i ogarnął wzrokiem hotelowy pokój. „Christinenhof liczył pięć kondygnacji; jego ściany zewnętrzne wzniesiono z muru pruskiego, a wnętrza tchnęły wielowiekową historią oraz gościnnością. Z rozmysłem wybrał pokój na trzeciej kondygnacji i od ulicy, rezygnując z bardziej komfortowego i droższego, którego okna wychodziły na ogród. Nie interesował go widok, lecz lokalizacja. „Christinenhof usytuowany był bezpośrednio naprzeciw hotelu „Garni”, w którym Wayland McKoy oraz jego ekipa zajmowali całą czwartą kondygnację.

Od nadskakującego pracownika miejskiego biura turystycznego usłyszał sporo na temat podziemnych prac eksploracyjnych McKoya. Dowiedział się również, że następnego dnia do miasta miała zjechać grupa inwestorów, dla której zarezerwowano pokoje w hotelu „Garni”. Dwa pozostałe hotele miały gościć tych, którzy się tam nie pomieszczą.

- To dobry interes - ocenił konsultant.

Dla Knolla również był dobry. Nic tak nie odciąga uwagi od jego poczynań jak tłum.

Rozsunął suwak torby podróżnej i wyciągnął elektryczną maszynkę do golenia.

Wczoraj miał ciężki dzień. Danzer kolejny raz go pokonała.

Teraz prawdopodobnie chępiła się przed Ernstem Loringiem, jak sprytnym fortem zwabiła go do podziemnego wyrobiska.

Ale dlaczego chciała go zabić? Ich rywalizacja nie przewidywała nigdy ostatecznego rozwiązania. Czyżby stawka była aż tak wielka? Co mogło być tak ważne, że zginąć musieli Dania Czapajew, on oraz Rachel Cutler? Bursztynowa Komnata? Być może. Musiał jeszcze trochę powęszyć i miał zamiar uczynić to po zakończeniu tej drugorzędnej misji tutaj.

Nie spieszył się, jadąc na północ z Ftissen do Stod.

Nie widział powodu do pośpiechu. Gazety w Monachium komentowały wybuch w kopalni w górach Harzu, podając nazwisko Rachel Cutler jako tej, która szczęśliwie przeżyła eksplozję. O nim nie było żadnej wzmianki; zaledwie kilka słów o poszukiwaniach niezidentyfikowanego białego mężczyzny oraz o sceptycznym nastawieniu ratowników do możliwości odnalezienia go żywego. Nie miał wątpliwości, że Rachel powiadomiła władze o jego osobie. Policja zapewne już się dowiedziała, że rankiem wymeldował się z „Goldene Krone”, zabierając rzeczy swoje i sędzi Cutler. Nic o tym jednak nie pisano. Ciekawe. Czyżby policyjna zasadzka? Prawdopodobnie.

Ale tym się nie przejmował. Nie popełnił żadnego przestępstwa. Dlaczego policja miałaby go ścigać? Mógł przerażony zdecydować się na wyjazd z miasta - tak bliskie otarcie się o śmierć napędziłoby stracha każdemu. Rachel Cutler przeżyła i zapewne teraz znajdowała się już w drodze do Ameryki.

Niemiecka przygoda pozostanie dla niej tylko przykrym wspomnieniem. Wróci do roli sędziego w wielkim mieście.

Krucjata jej ojca, poszukiwacza Bursztynowej Komnaty, umrze razem z nim.

Brał rano prysznic, ale się nie ogolił; szyja i podbródek były szorstkie jak papier ścierny i piekły. Najpierw jednak wyciągnął pistolet leżący na dnie torby podróżnej. Delikatnie pocierał gładki i matowy polimer, potem wziął broń do ręki i przyłożył palec do spustu. Pistolet nie ważył więcej niż dziesięć dekagramów; egzemplarz nowej serii CZ-75B był prezentem od Ernsta Loringa.

- Kazałem rozbudować magazynek tak, by mieścił piętnaście naboji - poinformował Loring, wręczając mu rusznikarskie cacko. - Dziesięcionabojowych używają policjanci.

Jest to nasz oryginalny projekt. Pamiętałem twoje uwagi krytyczne na temat zmniejszenia pojemności magazynka do dziesięciu naboji. Zleciłem też, zgodnie z twoją sugestią, korektę zabezpieczenia, dzięki czemu pistolet można nosić odbezpieczony. Zmiany wprowadziliśmy niedawno do produkcji.

Czeskie huty Loringa były największym w Europie Środkowowschodniej producentem broni ręcznej; o jakości ich produktów opowiadano legendy. Zachodnie rynki otwarto w pełni na jego wyroby dopiero w ostatnich latach; wysokie cła oraz ograniczenia importowe odeszły do historii wraz z Żelazną Kurtyną. Na szczęście Fellner pozwolił Knollowi zatrzymać pistolet. Ten gest bardzo sobie cenił.

- Poleciałem również nagwintować lufę, co umożliwi dokręcenie tłumika - powiedział Loring, wręczając mu to cacko. - Suzanne ma identyczny. Mam nadzieję, że spodoba ci się moja przewrotność. Macie równe szanse w walce, że się tak wyrażę.

Knoll dokręcił tłumik do krótkiej lufy i załadował pełny magazynek.

Tak, jego przewrotność Loringa bardzo mu się podobała.

Rzucił pistolet na łóżko i sięgnął po golarkę. Po drodze do łazienki zatrzymał się na moment przy jedynym z okien.

Front hotelu „Garni” znajdował się po drugiej stronie ulicy; aż do szóstej kondygnacji okna wychodziły na tę stronę.

Knoll dowiedział się, że „Garni” był najdroższym hotelem w mieście. To oczywiste, że Wayland McKoy wybrał najlepszy. Knoll dowiedział się także, meldując się w recepcji, że

„Garni” ma dużą restaurację i salę konferencyjną, a te dwa przybytki były potrzebne organizatorowi ekspedycji. Personel hotelu „Christinenhof” był zadowolony, że nie musiał zaspokajać potrzeb tak dużej grupy. Uśmiechnął się na tę uwagę.

Kapitalizm posocjalistyczny tak bardzo różnił się od zachodniego! W Ameryce hotele walczyłyby o zdobycie tak intratnego klienta.

Spoglądał przez czarną kratę z kutego żelaza, chroniącą okno. Popołudniowe niebo było szare i wyblakłe, gruba warstwa chmur napływała od północy. Z tego, co mu powiedziano, członkowie ekspedycji wracali zwykle około szóstej po południu. Planował o tej porze rozpocząć rekonesans; podczas obiadu w hotelu „Garni” zamierzał zdobyć jak najwięcej informacji w towarzyskich rozmowach.

Spojrzał w dół na ulicę. Najpierw w lewą, potem w prawą stronę. Nagle jego wzrok przykuła kobieca sylwetka. Przeciskała się przez tłumy spacerowiczów na ulicy przeznaczonej wyłącznie dla pieszych. Włosy blond. Ładna twarz. Ubrana sportowo. Na prawym ramieniu miała skórzaną torebkę.

Suzanne Danzer.

Bez przebrania. W całej swojej krasie.

Fascynujące.

Rzucił golarzkę na łóżko, wsunął pistolet pod kurtkę do kabury na uprząży i wyskoczył z pokoju.

Suzanne poczuła na sobie czyjś wzrok. Zatrzymała się i rozejrzała wokół. Ulica była zatłoczona, tłum rojnie wyległ z biur na lunch. Stod było sporym miastem. Około pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, jak się zdążyła dowiedzieć. Znajdowała się w najstarszej części miasta; we wszystkich kierunkach ciągnęły się całe kwartały wielopiętrowych budowli z kamienia lub cegły, których frontowe ściany były wzniesione z drewna lub muru pruskiego. Niektóre z domów pamiętały czasy średniowiecza, inne natomiast odrestaurowano w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych dwudziestego stulecia, ponieważ legły w gruzach wskutek bombardowań w 1945 roku. Budowniczowie wykonali dobrą robotę, bogato przyozdabiając fasady w ornamenty, posągi naturalnej wielkości oraz płaskorzeźby. Wszystko to miało służyć jako tło zdjęć wykonywanych przez turystów.

Wysoko ponad nią na niebie górowało Opactwo pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej. Monumentalna budowla została wzniesiona w szesnastym stuleciu jako wyraz wdzięczności dla Matki Boskiej za pomoc w odparciu nieprzyjaciół. Barokowy gmach stał na skalnym urwisku ponad miastem Stod i płynącą w dole rzeką Eder. Jej mętne wody

były widowym znakiem niesubordynacji feudalnych możnowładców.

Patrzyła w górę z zapartym tchem.

Strzelisty budynek opactwa zdawał się pochylać do przodu; jego dwie żółte wieże od zachodu łączyła galeryjka.

Wyobrazila sobie czasy, gdy mnisi i prałaci, dumni z włości, spoglądali na okolicę ze swej wyniosłej siedziby. „Twierdza Boga” - takim określeniem nazwał to miejsce jeden ze średniowiecznych kronikarzy Kamienne ściany, na przemian białe i w kolorze bursztynu, tworzyły elewację; dach ułożono z rdzawych dachówek. Też kolor bursztynu. Być może to szczęśliwy omen. Gdyby polegała na czymkolwiek oprócz samej siebie, zapewne tak by to potraktowała. Ale w tej chwili jej uwagę pochłaniało nieodparte wrażenie, że jest śledzona.

Z pewnością wszyscy ludzie Waylanda McKoya wzbudzali zainteresowanie. Może ktoś ją wziął za członka ekipy Albo był tu ktoś jeszcze. Któryś z agentów. I obserwował ją. Ale skąd? Wzdłuż wąskiej uliczki ciągnęły się setki okien, najczęściej przez kilka kondygnacji. Po kocich łbach kręcił się gęsty tłum ludzi; nie dało się zidentyfikować każdej twarzy. Oprócz tego ten ktoś mógł być ucharakteryzowany Albo oddalony o sto metrów od niej, z galerii opactwa spoglądał w dół. W popołudniowym słońcu dostrzegła tylko maciupkie sylwetki, zapewne turystów podziwiających niepowtarzalny widok.

Postanowiła się tym nie przejmować.

Skręciła do hotelu „Garni”.

Podeszła do recepcji i zwróciła się do recepcjonisty po niemiecku:

- Chciałabym zostawić wiadomość dla Alfreda Grumera.
- Oczywiście - odparł mężczyzna i przesunął w jej stronę bloczek z fiszkami.

„Będę w kościele św. Gerharda, dziesiąta wieczorem.

Czekam. Margarethe” - napisała i złożyła karteczkę.

- Dopilnuję, żeby wiadomość dotarła do doktora Grumera zapewnił mężczyzna z recepcji.

Knoll stał w holu „Chirstinenhof i ostrożnie odchylił stopy, chcąc obserwować z parteru ulicę. Spoglądał na Suzanne Danzer, która zatrzymała się w odległości niespełna trzydziestu metrów i rozglądała dookoła.

Czyżby wyczuła jego obecność?

Miała niezwykłą intuicję. Wyostrzony instynkt. Zdaniem Junga antyczne spojrzenie na kobietę obejmowało cztery aspekty jej charakteru: impulsywność, uczuciowość, intelekt oraz moralność. Ich uosobieniami były Ewa, Helena, Zofia oraz Maria. Danzer z pewnością nie można było odmówić pierwszych trzech atrybutów, nie posiadała jednak za grosz

moralności. Miała za to inną cechę - była bezwzględna. Teraz zapewne, przekonana, że on leży pod tonami skał w podziemnym wyrobisku o czterdzieści kilometrów stąd, trochę sobie odpuściła. Liczył na to, że Franz Fellner przekazał Loringowi informację o braku wieści od swego detektywa. Dzięki temu Knoll zyskałby na czasie i mógł się zorientować, co się dzieje.

Co ważniejsze, dawało mu to również czas na wyrównanie rachunków z atrakcyjną rywalką.

Jakie zlecono jej zadanie, skoro całkiem jawnie weszła do hotelu „Garni”? Z pewnością nieprzypadkowo znalazła się właśnie w Stod, gdzie zakwaterował się z ekipą Wayland McKoy, i to właśnie w zajmowanym przez nich hotelu.

Czyżby miała informatora wśród osób pracujących dla Amerykanina? Wcale by go to nie dziwiło. Sam wielokrotnie opłacał informatorów w różnych miejscach wykopalisk, dzięki czemu Fellner dostawał wiadomości z pierwszej ręki na temat znalezisk. Łowcy skarbów zwykle ochoczo sprzedawali na czarnym rynku przynajmniej część zdobyczy, gdyż wszystko, co udawało im się odnaleźć, było dawno uznane za bezpowrotnie utracone. Doświadczenie nakazywało im unikać zbędnych utarczek z rządem i ukrywać kłopotliwe znaleziska. Niemieckie władze cieszyły się wśród nich złą sławą, konfiskowały najciekawsze łupy wydobywane spod ziemi. Wprowadziły obowiązek zgłaszania znalezisk; ci, którzy tego nie robili, narażali się na surowe kary. Ale zawsze chciwość brała górę nad obawą. Dzięki temu kilka skarbów, które wzbogaciły prywatną kolekcję Fellnera, Knoll zakupił od pozbawionych skrupułów znalazców.

Zaczął padać lekki deszcz. Pojawiły się parasole. W oddali rozległ się grzmot. Danzer wyszła z „Garni”. Stanął za krawędzią okna. Miał nadzieję, że nie przejdzie przez ulicę i nie wkroczy do hotelu „Christinenhof. W niewielkim holu nie miałby gdzie się ukryć.

Odetchnął z ulgą, kiedy podniosła kołnierz kurtki i ruszyła z powrotem w dół ulicy. Skierował się do frontowych drzwi i ostrożnie wyjrzał. Danzer weszła do hotelu „Gebler” przy tej samej ulicy; jego belkowana poprzecznie fasada wybrzuszyła się pod ciężarem wieków. Mijał ten hotel po drodze. To, że zatrzymała się w nim, było sensowne. Blisko i wygodnie. Cofnął się do holu i ustawił się koło okna, starając się nie wzbudzać podejrzeń kręcących się wokół niego osób.

Minęło piętnaście minut, a ona wciąż nie wychodziła.

Uśmiechnął się.

Był teraz pewien.

Mieszka tam.

13.15

Paul spoglądał na Grumera jak rasowy prawnik, analizując każdy grymas na twarzy, każdą reakcję, oraz starając się przewidzieć ewentualne odpowiedzi. On, McKoy, Grumer oraz Rachel znaleźli się ponownie w szopie na zewnątrz kopalni.

Krople deszczu dudniły o blaszany dach. Upłynęły blisko trzy godziny od odkrycia zawartości pieczary i nastroj McKoya, podobnie zresztą jak pogoda, był coraz bardziej posepny.

- Co się, do cholery, dzieje, Grumer? - zapytał.

Niemiec przysiadł na stołku.

- Są dwa możliwe wyjaśnienia. Po pierwsze, ciężarówki puste wjeżdżały do jaskini. Po drugie, ktoś dotarł tam przed nami.

- Jak mógł nas wyprzedzić? Cztery dni drążyliśmy przejście do tej pieczary, a drugie wyjście jest zawałone tonami skalnych odłamów.

- To mogło się zdarzyć przed dziesiątkami lat.

McKoy wziął głęboki oddech.

- Grumer, jutro przylatuje tu dwadzieścia osiem osób.

- Wpieprzyli w tę szurzą norę furę pieniędzy. I co mam im teraz powiedzieć? Że ktoś inny wygrał wyścig?

- To jest fakt.

McKoy zerwał się z krzesła, jakby chciał go udusić.

-1 co dobrego panu z tego przyjdzie? - próbowała go powstrzymać Rachel.

- Przynajmniej poczułbym się nieporównanie lepiej.

- Niech pan usiądzie - nalegała Rachel.

Paul znał ten ton głosu: posługiwała się nim na sali rozpraw Silny. Stanowczy Niedopuszczający dyskusji, kategorię Tego tonu używała też bardzo często we własnym domu.

- Jezu Chryste. Ależ wdepnąłem w gówno - wydusił z siebie wielki mężczyzna, posłusznie siadając. - Wygląda na to, że będę potrzebował prawnika. Sędzia z pewnością nie może się tym zająć. Bardzo jest pan zajęty, Cutler?

Paul pokręcił głową.

- Zajmuję się sprawami spadkowymi. Ale w mojej firmie jest wielu dobrych

adwokatów oraz specjalistów od umów prawnych.

- Tylko że oni są za wielką wodą, a pan jesteś na miejscu.
- Zgadnij pan, na kogo padnie mój wybór?
- Przecież ci inwestorzy musieli być uprzedzeni i zdawali sobie sprawę z ryzyka? -

zapytała Rachel.

- Wszystko to funta kłaków warte. Ci ludzie mają nie tylko pieniądze, ale i sztaby prawników. Do przyszłego tygodnia zatopią mnie po uszy w prawniczym gównie. Nikt nie uwierzy, że nie wiedziałem, co znajdę w tej dziurze, a raczej - że niczego nie znajdę.

- Nie zgadzam się z panem - powiedziała Rachel. - Z jakiego powodu ktoś miałby przypuszczać, że kopał pan, z góry wiedząc, że do niczego się nie dokopie? To byłoby finansowe samobójstwo.

- Choćby z powodu tej drobnej opłaty dla mnie, wynoszącej kilkaset tysięcy dolarów, zagwarantowanej w umowie bez względu na to, czy cokolwiek znajdziemy, czy też nie.

- Może powinieneś jednak - zwróciła się Rachel do Paula - zadzwonić do kancelarii. Ten gość naprawdę potrzebuje prawnika.

- Posłuchajcie, spróbuję wam coś wyjaśnić - przerwał McKoy - Za wielką wodą prowadzę interes. Tego tutaj nie robię dla chleba. Ale takie przedsięwzięcia są piekielnie kosztowne. Podczas poprzedniej eksploracji zainkasowałem podobne pieniądze i udało mi się oddać wszystko z nawiązką. Inwestorzy mieli całkiem przyzwoite zyski. Nikt nie narzekał.

- A tym razem nie wyszło - dokończył Paul. - Chyba że te ciężarówki okażą się coś warte, w co raczej należy wątpić. W dodatku, aby to stwierdzić, trzeba je będzie jakoś stąd wyciągnąć.

- A tego panu zrobić nie wolno - wtrącił Grumer. - Dojście do drugiej jaskini jest niemożliwe. Przekopanie chodnika kosztowałoby miliony.

- Stul pysk, Grumer.

Paul spojrzał na McKoya. Na twarzy wielkoluda malowało się, tak dobrze mu znane z własnego doświadczenia, połączenie kapitulacji i obawy. Wielu jego klientów podobnie reagowało, prędzej czy później. Uważał jednak, że teraz powinni tu pozostać. W myślach przywołał obraz Grumera zacierającego litery na piasku w jaskini.

- W porządku, McKoy, jeśli chce pan skorzystać z mojej pomocy, zrobię, co tylko będę mógł.

Rachel rzuciła na niego spojrzenie, w którym było zdziwienie pomieszane z dumą. Jeszcze wczoraj chciał wracać do domu i zostawić całą tę sprawę policji. Teraz na jej

oczach z własnej woli zaproponował Waylandowi McKoyowi, że będzie go reprezentować. Postanowił pokierować ognistym rydwanem sunącym po nieboskłonie, pod wpływem nagłego impulsu wyzwolonego przez siły, których nie rozumiał ani nie potrafił utrzymać w ryzach.

- W porządku - zgodził się McKoy - Zatrudniam pana.

Grumer, przydad się na coś i załatw pokoje dla tych ludzi w „Garni”. Dopisz koszty do mojego rachunku.

Herr Doktor był najwyraźniej niezadowolony, że wydawano mu polecenia, jednak nie zaprotestował i ruszył w stronę telefonu.

- Co to jest „Garni”? - dopytywał się Paul.

- To hotel, w którym zakwaterowani jesteśmy w mieście.

Paul wskazał głową Grumera.

- On też?

- A gdzieżby indziej?

Stod bardzo spodobało się Paulowi. To dość duże miasto poprzecinane było starymi uliczkami, jakby przeniesionymi prosto z wieków średnich. Wzdłuż wybrukowanych traktów stały rzędami czarno-białe domy z pruskiego muru, przylegające do siebie tak blisko, jak książki na półce. Nad wszystkim górowało monumentalne opactwo wzniesione na wierzchołku stromej góry. Jej stoki porośnięte były gęsto modrzewiami i bukami, spod których przebijały wiosenne kwiaty.

Wraz z Rachel jechali do miasta, podążając za Grumerem i McKoyem. Droga wiała się meandrami po starówce. Wreszcie zatrzymali się przed hotelem „Garni”. Niewielki parking dla hotelowych gości znajdował się nieco dalej w dole ulicy, bliżej rzeki, tuż za strefą przeznaczoną wyłącznie dla pieszych.

W recepcji się dowiedzieli, że ekipa łowcy skarbów w większości jest zakwaterowana na czwartej kondygnacji.

Trzecią przeznaczono dla inwestorów, którzy mieli przylecieć nazajutrz. Negocjacje McKoya oraz parę euro wciśnięte w dłoń recepcjonistki sprawiły, że znalazł się wolny pokój na drugiej. Na pytanie, czy chcą wspólny pokój, czy dwa osobne, Rachel bez namysłu odparła, że jeden.

Ledwie zamknęły się drzwi za służbą hotelową, która wniosła bagaże na górę, sędzia Cutler zadała pytanie:

- No dobrze, Paulu Cutler, powiedz mi wreszcie, do czego właściwie zmierzasz?

- A do czego ty zmierzasz? Wspólny pokój... Zdawało mi się, że jesteśmy rozwiedzeni.

Przypominałaś mi o tym wielokrotnie z niekłamaną satysfakcją.

- Paul, wiem, że coś kombinujesz i nie mam zamiaru spuszczać cię z oka. Wczoraj wypruwałaś z siebie flaki, żebym zgodziła się wrócić do domu. Teraz ochoczo zaproponowałaś, że będziesz reprezentować tego faceta... A jeśli on jest oszustem?

- Tym bardziej potrzebuje prawnika.

- Paul...

Wskazał gestem na podwójne łóżko.

- Dzień i noc? -Co?

- Zamierzasz mieć mnie na oku dzień i noc?

- Nie będzie to nic, czego byśmy wcześniej nie robili.

- Byliśmy małżeństwem przez dziesięć lat.

- Cała ta eskapada zaczyna mi się podobać - uśmiechnął się Paul.

- Będziesz łaskaw w końcu mi odpowiedzieć na pytanie?

Usiadł na krawędzi łóżka i opowiedział jej o tym, co zdarzyło się w pieczarze. Potem pokazał jej portfel, który przez całe popołudnie tkwił w jego tylnej kieszeni.

- Grumer celowo i świadomie zamazał litery zapisane na piasku. Co do tego nie mam wątpliwości. Ten gość coś knuje.

- Dlaczego nie powiedziałaś o tym McKoyowi?

- Sam nie wiem - wzruszył ramionami. - Myślałem o tym. Ale jak mówisz, on może okazać się oszustem.

- Jesteś pewien, że były to litery O-I-C?

- Staralem się je dobrze odczytać.

- Czy twoim zdaniem ma to coś wspólnego z ojcem i Bursztynową Komnatą?

- W tej chwili nie prosz mnie, bym wskazał ci jakieś powiązania. Oprócz tego, że Karol żywo interesował się tym, co zamierzał McKoy. Ale to niekoniecznie coś musi znaczyć.

Rachel podniosła ostrożnie portfel i przyglądała się uważnie resztkom rozpadającego się kartonika.

- *Ausgegeben 15-3-51. Verfallt 15-3-55. Gustav Muller.*

- Powinniśmy spytać kogoś, co to znaczy?

- To chyba nie jest dobry pomysł. W tej chwili nie ufam nikomu, wyjąwszy, rzecz jasna, moją współlokatorkę.

- Powinniśmy raczej zajrzeć do słownika niemiecko-angielskiego i sami to przetłumaczyć.

Dwie przecznice od hotelu „Garni” zobaczyli słownik na półce w zagraconym sklepiku z

pamiętkami. Cienki tomik przeznaczony najwyraźniej dla turystów, zawierający pospolite słowa i zwroty.

- *Ausgegeben* oznacza „wydany”, *verfdllt* to „wygasa”, „traci ważność” - powiedział i spojrział na Rachel. - Numery muszą więc oznaczać daty Pisane w porządku stosowanym w Europie.. W przeciwną stronę. Wydane 15 marca 1951 roku.

- Ważne do 15 marca 1955 roku.

- To już po wojnie. Grumer miał rację. Ktoś wyprzedził McKoya w wyścigu po skarb, który tu ukryto. Nie wcześniej niż w marcu 1951 roku.

- Ale co to było?

- Dobre pytanie.

- Musiało mieć wielką wartość. Pięć ciał z przestrzelonymi głowami?

- I było ważne. Wszystkie trzy ciężarówki wymiecione do czysta. Nie został nawet najmniejszy strzęp czy okruch.

- Grumer coś wie - Paul odłożył słownik z powrotem na półkę. - Inaczej po co by robił najpierw zdjęcia, a potem zacierał litery na piasku? Co właściwie chciał udokumentować? I dla kogo?

- Może powinniśmy jednak powiedzieć o tym McKoyowi? Przez chwilę zastanawiał się nad jej sugestią.

- Nie sądzę. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

22.00

Suzanne odsunęła aksamitną zasłonę oddzielającą zewnętrzną galerię oraz portal od wewnętrznej nawy Kościoła św. Gerharda był pusty. Na tablicy ogłoszeń wywieszanej na zewnątrz widniała informacja, że sanktuarium jest dostępne dla zwiedzających do godziny dwudziestej trzeciej. Dlatego właśnie wybrała to miejsce na spotkanie. W dodatku było oddalone o kilka kwartałów od hotelu, znajdowało się na skraju miasta, z dala od wścibskich oczu.

Kościół zbudowany był w stylu romańskim. Mury wzniesiono z cegły, fasadę zwieńczały dwie wieże. Symetryczny układ, dużo przestrzeni. Rzędy arkad ciągnęły się łagodnymi łukami. Bogato zdobione prezbiterium znajdowało się na końcu długiej nawy. Ołtarz główny, zakrystia oraz stalle na chórze także świeciły pustkami. Kilka świec migotało w bocznej nawie przy ołtarzu; ich płomyki przypominały gwiazdy, świecące też w pozłaczonych ornamentach wysoko nad jej głową.

Ruszyła do przodu i zatrzymała się pod pozłacaną amboną z wyrzeźbionymi postaciami czterech ewangelistów.

Spojrzała na schody prowadzące w górę. Po obu ich stronach znajdowały się kolejne posągi. Alegorie chrześcijańskich wartości: Wiary, Nadziei, Miłosierdzia, Roztropności, Odwagi, Wstrzemięźliwości oraz Sprawiedliwości. Natychmiast rozpoznała dłuto mistrza Riemenschneidera. Szesnaste stulecie. Na ambonie nie było nikogo. Wyobraziła sobie jednak biskupa, jak zwraca się do gromady wiernych, wychwalając pod niebiosa boskie cnoty oraz walory głębokiej wiary.

Skradała się po cichu w kierunku odległego końca nawy, wyęzając słuch i wzrok. Cisza ją irytowała. Prawą dłoń trzymała w kieszeni kurtki, ściskając palcami bez rękawiczki chłodną stal automatycznego pistoletu sauer .32, pochodzącego z prywatnych zbiorów Loringa. Przed trzema laty otrzymała go w prezencie od Ernst. O mały włos nie wzięła ze sobą nowej broni CZ-75B, także daru Loringa. Posłuchał jej podpowiedzi i identyczny egzemplarz sprezentował wówczas Christianowi. Jaka szkoda, że Knoll już nie będzie miał okazji użyć tego pistoletu!

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zacisnęła palce na rękojeści broni i odwróciła się. Wysoki chudy mężczyzna odsunął kotarę i ruszył w jej stronę.

- Margarethe? - zapytał szeptem.
- Herr Grumer?

Mężczyzna skinął głową i podszedł bliżej. Cuchnął piwem i smażonymi kielbaskami.

- To niebezpieczne - powiedział.

- Nikt nie wie, że coś nas łączy, Herr Doktor. Pan po prostu przyszedł do kościoła porozmawiać z Bogiem.

- Wszyscy czasem tego potrzebujemy.

- Jego paranoja zupełnie jej nie obchodziła.

- Czego się pan dowiedział?

Grumer sięgnął do kieszeni marynarki i pokazał jej pięć fotografii. Przyglądała się im w przyćmionym świetle. Trzy ciężarówki. Pięć ludzkich szkieletów. Litery na piasku.

- Ciężarówki są puste. Jest drugie wejście do pieczary, ale całkowicie zawałone skalnym rumowiskiem. Zwłoki z pewnością są z okresu powojennego. Świadczą o tym jednoznacznie mundury oraz sprzęt.

Pokazała mu fotografię, na której widniały litery napisane na piasku.

- Co pan z tym zrobił?

- Zatarłem własnymi rękami.

- Więc po co robił pan zdjęcia?

- Żeby pani mi uwierzyła.

-1 żeby pan mógł podnieść cenę.

Grumer uśmiechnął się oblesnie. Nienawidziła chciwości.

- Coś jeszcze?

- Dwoje Amerykanów pojawiło się na miejscu poszukiwań.

Wysłuchiwała relacji Grumera o Rachel i Paulu Cutlerach.

- Ta kobieta była podczas wybuchu w kopalni niedaleko Wartburga. Przyjechali wypytać McKoya o Bursztynową Komnatę.

Fakt, że Rachel Cutler przeżyła eksplozję, był bardzo interesujący.

- Czy oprócz niej ktoś jeszcze przeżył eksplozję?

- Mówiła tylko, że był tam jeszcze niejaki Christian Knoll.

- Po wybuchu wyjechał z Wartburga i ukradł wszystkie rzeczy Frau Cutler.

Natychmiast uruchomiła instynkt samoobronny. Knoll przeżył. Sytuacja, która jeszcze przed chwilą wydawała się jej całkowicie opanowana, nagle zaczęła być niepokojąca.

- Czy McKoy wciąż słucha pana rad?

- O tyle, o ile. Jest do głębi wstrząśnięty tym, że ciężarówki ktoś opróżnił. Obawia się, że inwestorzy, którzy sfinansowali prace w tej kopalni, pozwą go do sądu. Zaangażował Cutlera w charakterze swojego adwokata.

- Przecież się prawie nie znają.

- W tej chwili z całą pewnością ufa mu bardziej niż mnie. Cutlerowie przywieźli ze sobą korespondencję między jej ojcem a człowiekiem, który nazywał się Dania Czapajew.

- Te listy dotyczą Bursztynowej Komnaty.

Nic nowego. Te listy czytała w biurze Paula Cutlera.

Ale powinna udawać zainteresowanie.

- Widział pan te listy?

- Widziałem.

- Kto je teraz ma?

- Państwo Cutler.

Tym tropem wyprowadzi go w pole.

- Jeśli zdobędzie pan te listy, pańskie honorarium znacznie wzrośnie.

- Tak też sobie pomyślałem.

- Niech pan poda swoją cenę, Grumer.

- Pięć milionów euro.

- Dlaczego pan uważa, że jest wart aż tyle? Grumer wskazał na zdjęcia.

- Udostępniając pani to wszystko, wykazałem dobrą wolę i fachowość. Są to wyraźne dowody grabieży, której dokonano już po wojnie. Czy nie o to chodziło zleceniodawcy?

Nie odpowiedziała na pytanie, odezwała się natomiast zdawkowo:

- Przekażę pańską cenę.

- Ernstowi Loringowi?

- Nie powiedziałam, dla kogo pracuję; to nie ma żadnego znaczenia. Jak rozumiem, nikt nie łączy pana z moim zleceniodawcą.

- Ale nazwisko Loring wymienili zarówno Cutlerowie, jak i ojciec Frau Cutler w liście.

Ten człowiek stawał się powoli niepotrzebnym świadkiem i musiała się tym czym prędzej zająć. Podobnie zresztą jak Cutlerowie. Ilu jeszcze?

- Nie muszę chyba dodawać - podjęła rozmowę - że listy są równie ważne jak to, co robi McKoy. Chodzi również o czas.

Chcę, żeby zostało to załatwione szybko i jestem gotowa dopłacić za pośpiech.

Grumer zasalutował.

- Czy jutrzejszy dzień uzna pani za dostatecznie szybki termin dostarczenia listów?

Cutlerowie zamieszkali w hotelu „Garni”.

- Chciałabym tam zajrzeć sama.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie się pani zatrzymała, a zadzwonię, jak tylko będzie to

możliwe.

- Zatrzymałam się w hotelu „Gabler”.
- Znam to miejsce. Odezwę się do pani przed ósmą rano.

Kotara w drugim końcu nawy się poruszyła. Cichymi krokami zmierzał w ich kierunku odziany w habit przeor.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła jedenasta wieczór.

- Wyjdźmy na zewnątrz. Prawdopodobnie zaraz zamkną świątynię.

Knoll wycofał się w strefę cienia. Danzer i mężczyzna opuścili kościół św Gerharda, wychodząc przez wrota z brązu zdobione reliefami, i zatrzymali się we frontowym portyku, nie dalej niż dwadzieścia metrów od niego. Oprócz nich ani pod kościołem, ani na brukowanej uliczce nie było żywej duszy.

- Zatem jutro dam panu odpowiedź - odezwała się Danzer. - Spotkamy się tutaj.
- Nie sądzę, żeby to było możliwe - odparł mężczyzna, wskazując gestem na tablicę przymocowaną do kamienia obok portalu z brązu. - We wtorki są tu odprawiane msze o dziewiątej wieczorem.

Danzer spojrzała na tablicę ogłoszeń kościelnych.

- Bardzo słusznie, Herr Grumer.

Tyczkowaty chudzielec wznosił rękę ku górze, tam, gdzie na tle bezchmurnego, rozgwieżdżonego nieba widniało opactwo skąpane w strumieniach złotego i białego światła.

- Opactwo zamykają dopiero o północy. Wieczorem w zasadzie nikt tam nie przychodzi. Proponuję spotkanie o dwudziestej drugiej trzydzieści.

- Zgoda.
- A zaliczka byłaby mile widziana. Potraktowałbym to jako dowód dobrej woli ze strony pani mocodawcy. Powiedzmy, jakiś milion euro?

Knoll nie znał tego mężczyzny, ale uznał go za kompletnego idiotę, ponieważ usiłował przycisnąć Danzer do muru.

On sam oceniał jej profesjonalizm znacznie wyżej i to samo powinien uczynić ten Grumer, jeśli nie chce popełniać głupstw. Najwyraźniej był amatorem, którym ona posługiwała się tylko do zdobycia informacji o kolejnych ruchach Waylanda McKoya.

A może kryło się za tym coś więcej?

Milion euro? Jako zaliczka?

Mężczyzna nazwiskiem Grumer zszedł kamiennymi schodami do ulicy i skręcił na wschód. Danzer ruszyła w ślad za nim, ale skierowała się w przeciwnym kierunku.

Wiedząc, gdzie się zatrzymała, Knoll bez trudu trafił do tego kościoła; śledził ją od chwili, gdy wyszła z hotelu. Jej obecność z pewnością komplikowała sprawy, ale w tej chwili tak naprawdę interesował go ten mężczyzna.

Odczekał, aż Danzer zniknie za rogiem, potem ruszył tropem świeżego mięsa. Trzymał się z daleka; facet zmierzał do hotelu „Garni”, to oczywiste.

Był o tym przekonany.

Wiedział także, gdzie dokładnie będzie Suzanne Danzer jutro o dwudziestej drugiej trzydzieści.

Rachel zgasiła światło w łazience i podeszła do łóżka. Paul siedział oparty o poduszki i czytał „International Herald Tribune”, którą kupił wcześniej w sklepie z pamiątkami, tam, gdzie zaglądali do słownika niemiecko-angielskiego.

Myślała intensywnie o swoim byłym mężu. Udzielając niezliczonych rozwodów, obserwowała, jak ludzie wzajemnie starali się niszczyć. Każdy detal z ich życia, przed laty zupełnie nieistotny, nagle urastał do rangi nieprzewyżzonego problemu, świadczył o stosowaniu psychicznych tortur lub był dowodem maltretowania. W najlepszym przypadku po prostu służył za dowód, że pożycie małżeńskie uległo nieodwracalnemu rozkładowi, co było wymagane przez prawo. Na szczęście z nimi tak nie było. W pewne ponure czwartkowe popołudnie ona i Paul razem określili, co ich różni, siedząc przy stole w jadalni - tym samym, przy którym w ostatni wtorek Cutler opowiadał jej o ojcu oraz o Bursztynowej Komnacie.

Przez ostatni tydzień nie była najmilsza dla byłego męża.

Niepotrzebnie na przykład powiedziała, że jest podszyty tchórzem. Dlaczego się nie powstrzymała? Przecież na sali sądowej, na której każde jej słowo i gest muszą być przemyślane, potrafi nad sobą zapanować.

- Wciąż boli cię głowa? - zapytał Paul.

Usiadła na łóżku; materac był twardy, a puchowa kołdra miękka i ciepła.

- Trochę.

Obraz lśniącego ostrza znów przemknął jej przed oczami.

Czy Knoll rzeczywiście zamierzał nim nią ugodzić? Czy słusznie nie wspomniała o tym Paulowi?

- Musimy zadzwonić do inspektora Pannika. Powinien wiedzieć, co się dzieje i gdzie jesteśmy. Zapewne się niepokoi, czy coś się nam nie przytrafiło.

Paul spojrzał na nią znad gazety.

- Masz rację. Zrobimy to jutro. Lepiej się zabezpieczyć na wypadek, gdyby coś miało się

wydarzyć.

Wróciła ponownie myślami do Christiana Knolla. Podobała się jej jego pewność siebie, intrygowała i wzbudziła od dawna tłumione emocje. Miała czterdzieści lat i kochała naprawdę jednego mężczyznę, czyli ojca; krótki romans w *college'u* się nie liczył. Potem pojawił się Paul. Kiedy się pobierali, nie była dziewicą, ale nie miała też dużego doświadczenia. Jej wybranek należał do mężczyzn nieśmiałych i płochliwych, którzy najlepiej się czuli w towarzystwie najbliższych. Z pewnością nie był podobny do Christiana Knolla, ale za to bardzo lojalny, wierny i uczciwy. Dlaczego przedtem te cechy wydawały się jej nudne? Czyżby była po prostu niedojrzała? Niewykluczone. Marla i Brent uwielbiali ojca. Dla niego też dzieciaki były najważniejsze. Trudno winić mężczyznę za miłość do dzieci i wierność żonie. O co więc chodziło? Oddalili się od siebie? To było najprostsze wyjaśnienie. Ale czy rzeczywiście tak się stało? Być może stres zebrał swoje żniwo.

Bóg jeden wie, ilu naciskom musieli oboje ulegać na co dzień.

Jednak najlepszym wytłumaczeniem wydawało się lenistwo. Nie miała ochoty trzymać się tego, o czym wiedziała, że jest słuszne. Przeczytała kiedyś o „pogardzie wobec bliskości”, która miała jakoby opisywać to, co przytrafiało się licznym małżeństwom. Trafne spostrzeżenie.

- Paul, jestem ci wdzięczna za wszystko. Bardziej niż ci się wydaje.
- Skłamałbym, twierdząc, że nie jest to fascynujące. Oprócz tego zdobędę nowego klienta dla kancelarii. Wygląda na to, że Wayland McKoy będzie potrzebował pomocy prawnej.
- Mam przeczucie, że rozpęta się tutaj istne piekło, kiedy zjadą się ci inwestorzy.

Paul odrzucił gazetę na dywan.

- Myślę, że masz rację. To będzie chyba ekscytujące.

Zgasił nocną lampkę. Portfel znaleziony w podziemnej pieczarze leżał obok niej, listy Karola także.

Zgasła lampkę po swojej stronie.

- To dziwne uczucie - odezwała się. - Śpimy znów razem w jednym łóżku, po raz pierwszy od trzech lat.

Owinęła się kołdrą po swojej stronie. Założyła jedną z jego koszul z długim rękawem z diagonalu. Pachniały miło, swojsko; pamiętała ten zapach z dziesięciu lat małżeństwa. Paul obrócił się do niej plecami, nie chcąc widocznie zawłaszczać jej połowy łóżka. Zdecydowała się wykonać pierwszy ruch i przytuliła się do niego.

- Paulu Cutler, jesteś dobrym człowiekiem.

Objęła go ramieniem. Wyczuła jego napięcie i zastanawiała się, czy to nerwy, czy szok.
- Ty też nie jesteś taka zła - odrzekł.

WTOREK, 20 MAJA, 9.10

Paul podążał za Rachel zimnym i zawilgoconym podziemnym chodnikiem, który prowadził do pieczary z trzema ciężarówkami. W szopie naziemnej dowiedzieli się, że McKoy był pod ziemią już od siódmej rano. Grumer jeszcze nie dotarł do kopalni, co nie było niczym niezwykłym, gdyż, jak powiedział człowiek pełniący wachtę, Herr Doktor rzadko pokazywał się przed południem.

Wkroczyli do oświetlonej pieczary.

Wykorzystał tę chwilę i przyjrzał się z bliska trzem ciężarowym samochodom. Wczoraj podeksytowanie spowodowało, że nie było czasu na bardziej szczegółowe oględziny.

Wszystkie światła, lusterka wsteczne oraz przednie szyby były nienaruszone. Obłe maski również sprawiały wrażenie nietkniętych, oprócz tego, że z wierzchu pokrywała je warstwa rdzy; gdyby nie sflaczały opony oraz spleśniałe plandeki, można by pomyśleć, że pojazdy za chwilę będą mogły wyjechać ze skalnego garażu.

Drzwi kabin w dwóch ciężarówkach były otwarte. Zajrzał do wnętrza pierwszej. Skórzane siedzenia były podarte i zmurszałe, ale to skutek rozkładu. Zegary i wskaźniki na tablicy rozdzielczej wygaszone. Nie dostrzegł w kabinie ani skrawka papieru, czegokolwiek, co stanowiłoby namacalny dowód. Przyłapał się na tym, że się zastanawia, skąd mogły pochodzić ciężarówki. Czy służyły do przewożenia niemieckich żołnierzy? Albo transportowania Żydów do obozów koncentracyjnych? Czy towarzyszyły wojskom radzieckim w drodze do Berlina albo może były przy wkraczaniu oddziałów amerykańskich od zachodu? Ich obecność w bebeczach niemieckiej góry wydawała mu się czymś surrealistycznym.

Po skalnej ścianie przesunął się jakiś cień, ujawniając ruch po drugiej stronie położonej najdalej ciężarówki.

- McKoy? - zawołał.
- Jestem tutaj.

Poszukiwacz skarbów i Rachel obeszli ciężarówki dookoła. Olbrzym obrócił twarz w ich stronę.

- To są niewątpliwie samochody marki Büssing NAG.

Ciężar cztery i pół tony, diesel. Długość sześć metrów. Szerokość dwa metry dwadzieścia pięć centymetrów. Wysokość trzy metry.

Podszedł do zardzewiałej bocznej karoserii i huknął w nią pięścią. Brązowoczerwone

płatki opadły na ziemię, ale metalowa blacha wytrzymała.

- Solidna stal i żelazo. Te samochody mogły przewozić nawet siedem ton ładunku. Ale z piekielnie małą prędkością.

- Nie więcej niż trzydzieści dwa do trzydziestu trzech kilometrów na godzinę.

- Co z tego wynika? - zainteresowała się Rachel.

- No cóż, Wysoki Sądzie, po prostu tych cholernych aut nie użyto do przewozu kilku obrazów i waz. Takie auta przeznaczano do misji specjalnych. Służyły do transportu bardzo delikatnych ładunków. Niemcy z pewnością nie pozostawiliby ich pod ziemią w kopalni.

- Czyli... - zaczęła Rachel.

- Wszystko to nie ma nawet za grosz sensu - wyjaśnił McKoy, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożony arkusz złożonego papieru. Wręczył go Paulowi. - Chciałbym bardzo, żeby się pan z tym zapoznał.

Paul rozłożył kartkę i podszedł do jednej z podwieszonych lamp. Było to memorandum. Czytali razem z Rachel w milczeniu.

KORPORACJA WYKOPALISK W NIEMCZECH 6798 Moffat Boulevard Raleigh, Karolina Północna 27 615 Do: Potencjalni partnerzy Od: Wayland McKoy, kierownik projektu Dotyczy: Po kawalek historii udaj się na darmowe wakacje w Niemczech.

Korporacja Wykopalisk w Niemczech ma zaszczyt być sponsorem opisanego niżej programu oraz współudziałowcem tego przedsięwzięcia wraz z takim firmami, jak: Chrysler Motor Company (Jeep Division), Coleman, Eveready, HewlettPackard, IBM, Saturn Marine, Boston Electric Tool Company oraz Olympus America, Inc.

W ostatnich dniach drugiej wojny światowej z Berlina wyjechał pociąg załadowany blisko 1200 dziełami sztuki. Skład dotarł do przedmieść Magdeburga, potem został skierowany na południe w kierunku gór Harzu i nikt go już więcej nie widział.

Obecnie podejmujemy ekspedycję w celu zlokalizowania i wydobywania pociągu spod ziemi.

Prawo niemieckie stanowi, że prawowici właściciele mają dziewięćdziesiąt dni na przedstawienie roszczeń do odnalezionych dzieł. Po tym czasie dzieła sztuki są wystawiane na aukcję, przy czym 50% przychodów zostaje przekazane rządowi Niemiec, drugie zaś 50% pozostaje do dyspozycji organizatorów wyprawy oraz współfinansujących partnerów. Spis inwentaryzacyjny tego, co przewożono pociągiem, zostanie dostarczony na żądanie.

Minimalna wartość tego skarbu została oszacowana na 360 milionów dolarów, z czego 50% przechodzi w ręce niemieckich władz. Wspólnikom pozostaje do dyspozycji 180

milionów dolarów, która to kwota zostanie rozdzielona stosownie do liczby zakupionych udziałów. Oczywiście, z wyłączeniem dzieł, co do których roszczenia zgłoszą prawowici właściciele, minus opłaty aukcyjne, podatki etc.

Pieniądze wyłożone przez partnerów zostaną im zwrócone z funduszy otrzymanych z tytułu sprzedaży praw mediom. Wszyscy partnerzy oraz ich współmałżonkowie otrzymują zaproszenie do złożenia wizyty w miejscu prowadzenia prac w Niemczech. Założenie: odkryliśmy właściwe miejsce. Przeprowadziliśmy badania. Sprzedaliśmy prawa do obsługi medialnej. Dysponujemy doświadczeniem oraz sprzętem umożliwiającym szybkie drążenie chodników. Korporacja Wykopalisk w Niemczech uzyskała zezwolenie na prowadzenie podziemnej eksploracji przez 45 dni. Obecnie sprzedano prawa do 45 udziałów, wartości 25 000 dolarów każdy, które posłużą do sfinansowania końcowego etapu ekspedycji (faza III). Pozostało jeszcze około udziałów o nominalnej wartości 15 000 dolarów. Jeśli jesteście państwo zainteresowani losami tego ekscytującego przedsięwzięcia, jestem gotów udzielić dodatkowych informacji, także telefonicznie.

Z poważaniem Wayland McKoy, prezes Korporacji Wykopalisk w Niemczech.

- Taki dokument rozesłałem do potencjalnych inwestorów - oznajmił McKoy.
- Jak należy rozumieć słowa: „Pieniądze wyłożone przez partnerów zostaną im zwrócone z funduszy otrzymanych z tytułu sprzedaży praw mediom”? - zapytał Paul.
- Oznaczają dokładnie to, co zostało napisane. Kilka korporacji wykupiło prawa do nakręcenia i dystrybucji filmu o tym, co odnajdziemy - To jednak opiera się na założeniu, że coś odnajdziecie.

Nie przyjmował pan opłat z góry, prawda?

McKoy pokręcił głową.

- Cholera jasna, nie.
- Problem polega na tym - wtrąciła Rachel - że nie sprecyzował pan tego w dokumencie. Wspólnicy mogli pomyśleć, zresztą byłoby to uzasadnione, że już wcześniej zdołał pan zgromadzić fundusze.

Paul przeczytał kolejne zdanie.

- „Obecnie podejmujemy ekspedycję w celu zlokalizowania i wydobycia pociągu spod ziemi”. To brzmi tak, jakbyście rzeczywiście odnaleźli pociąg.
- Sądziłem - westchnął ciężko McKoy - że tak jest.
- Radar do badań geologicznych wskazywał, że ukryto tu coś wielkiego. I, do cholery - wskazał gestem na ciężarówkę - rzeczywiście są wielkie.
- Czy ustęp o czterdziestu pięciu udziałach wartości dwudziestu pięciu tysięcy

dolarów jest zgodny z prawdą? - zapytał Paul. - Daje to w sumie jeden i ćwierć miliona dolarów.

- Tyle zdołałem zebrać. Później sprzedałem jeszcze udziały na sumę stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. W sumie jest sześćdziesięciu inwestorów.

- Używa pan wobec nich określeń „wspólnicy”, „partnerzy” - Paul wskazał gestem na dokument. - To nie to samo, co inwestorzy.

- Ale brzmi lepiej - odparł McKoy, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Czy firmy wymienione z nazwy również są inwestorami?

- Dostarczyły sprzęt i wyposażenie jako darowiznę lub po obniżonych cenach. W pewnym sensie zatem tak. Chociaż nie oczekują niczego w zamian.

- Kusił pan kwotami rzędu trzystu sześćdziesięciu milionów dolarów, z czego połowa miałyby być przeznaczona dla wspólników. To nie może być prawda.

- Ale, do cholery, jest. Historycy sztuki na tyle właśnie oceniają zbiory berlińskiego muzeum.

- Przyjmijmy, że te arcydzieła zostaną odnalezione - wtrąciła znów Rachel. - Cała pańska wina, panie McKoy, polega na tym, że tym listem wprowadza pan w błąd. Można to nawet podciągnąć pod oszustwo.

- Skoro mamy ze sobą współpracować, proszę, mówcie mi oboje po imieniu. Powiem ci, młoda damo, że zrobiłem wszystko, co trzeba, by zebrać pieniądze. Nikogo nie okłamałem i nie miałem zamiaru oszukiwać kogokolwiek. Chciałem tylko przeprowadzić prace wykopaliskowe i to właśnie robię.

- Nie zatrzymałem dla siebie nawet centa oprócz tego, co wziąłem na początku.

Paul spodziewał się usłyszeć reprimendę za „młodą damę”, ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego Rachel zwróciła uwagę na coś jeszcze.

- W takim razie mamy następny kłopot. W dokumencie nie ma ani słowa o twojej prowizji w wysokości stu tysięcy dolarów.

- Wszystkich jednak o tym informowałem. A tak na marginesie, jest pani jedynym promykiem słońca podczas tej szalejącej zawieruchy.

Rachel nie dała się zbyć komplementem.

- Musisz wysłuchać prawdy.

- Posłuchaj, połowę z tych stu tysięcy zapłaciłem Grumerowi za czas i fatygę. To on wy dębił zezwolenie z ministerstwa. Bez tego nie byłoby żadnych poszukiwań. Resztę zatrzymałem jako zapłatę za mój czas. Wpływy od ostatnich udziałowców poszły na wynagrodzenie moje i Grumera oraz na pokrycie niezbędnych wydatków. Gdybym nie

zebrał tej forsy, byłem gotów zaciągnąć pożyczkę, a to z powodu głębokiego przekonania o powodzeniu przedsięwzięcia.

- Kiedy wspólnicy tutaj dotrą? - chciał się dowiedzieć Paul.

- Dwadzieścia osiem osób wraz ze współmałżonkami ma się zjawić dzisiaj w porze lunchu. Prawie wszyscy przyjęli nasze zaproszenie.

Paul, jako rasowy prawnik, studiował każdy wyraz w dokumencie, analizując znaczenie słów i ich połączeń. Czy ta odezwa była oszustwem? Może. Z całą pewnością nie jest jednoznaczna. Czy powinien podzielić się z McKoyem tym, co wie o Grumerze i pokazać mu portfel? Może on potrafiłby wyjaśnić symbolikę liter narysowanych na piasku? McKoy wciąż jednak stanowił dla niego niewiadomą. Był obcy. Ale przecież wszyscy jego klienci byli niemal tak samo obcy. W jednej chwili ktoś całkiem obcy może okazać się zaufanym powiernikiem. Nie. Postanowił zachować milczenie i poczekać jeszcze trochę, obserwując bieg wypadków.

Suzanne wkroczyła do hotelu „Garni” i weszła na piętro marmurowymi schodami. Grumer przekazał jej wiadomość, że McKoy oraz Cutlerowie wyjechali na miejsce podziemnej eksploracji. Herr Doktor czekał na nią w holu na drugiej kondygnacji.

- Tam - powiedział. - Pokój dwadzieścia jeden.

Zatrzymała się przy drzwiach z dębowych desek pokrytych ciemną politurą. Ich ościeżnica, i tak nadgryziona zębem czasu, nosiła wyraźne ślady wandalizmu. Zamek był podklamkowy, wykonany z pokrytego patyną mosiądzu i tradycyjny.

Nie miał zasuwki. Otwieranie zamków nie było jej specjalnością. Posłużyła się przecinakiem do listów, o który poprosiła recepcjonistkę, wsuwając jego ostrze pod futrynę i bez trudu wysuwając zatrzask z otworu.

Pchnęła drzwi.

- Przeszukujmy delikatnie. Nie ma potrzeby działać ostentacyjnie.

Grumer zaczął od mebli. Ona podeszła do bagaży i stwierdziła, że jest tylko jedna torba podróżna. Szybko przeszukała odzież, głównie męską, lecz nie znalazła listów. Potem sprawdziła łazienkę. Kosmetyki również były niemal wyłącznie męskie. W końcu zajrzała w miejsca najczęściej służące do ukrywania różnych rzeczy: pod materac i pod łóżko, na szafę, do szuflad nocnych stolików.

- Listów nie ma - orzekł Grumer.

- Przeszukajmy jeszcze raz.

Tak też zrobili. Tym razem nie zachowali ostrożności.

Kiedy skończyli, pokój wywrócony był do góry nogami.

Ale listów nie znaleźli. Jej cierpliwość się wyczerpała.

- Niech pan jedzie do kopalni, Herr Doktor, i poszuka tam listów; w przeciwnym razie nie wypłacę panu nawet jednego euro. Czy wyrażam się jasno?

Grumer zdawał się wyczuwać, że ona nie żartuje, i skinąwszy głową, wyszedł.

BURG HERZ

10.45

Knoll wchodził w nią coraz głębiej. Monika na czworakach, tyłem do niego, z głową zanurzoną w poduszkę z gęsiego puchu, unosiła w górę jędrne pośladki.

- Pieprz mnie, Christian. Niech wiem, co ominęło tę sukę z Georgii.

Uderzał coraz mocniej; po czole spływały mu krople potu. Ona sięgnęła ręką do tyłu i łagodnie pieściła jego jądra.

Wiedziała dokładnie, jak doprowadzić go do szczytowania.

To właśnie budziło w nim niepokój. Monika знаła go zbyt dobrze.

Chwyił obiema rękoma jej wąską talię i obrócił kobietę przodem do siebie. Przyjęła tę zmianę i westchnęła jak kotka po udanym polowaniu. Czuł, jak Monika dochodzi do orgazmu, który po kilku chwilach wstrząsnął jej ciałem; z jej ust wybiegł jęk wyrażający niewypowiedzianą rozkosz.

Wbił się w nią jeszcze kilka razy i sam zaczął szczytować.

Ona nie przestawała masować jego jąder aż do momentu, gdy wycisnęła z niego ostatnią kroplę spermy.

Nieźle, pomyślał. Naprawdę nieźle.

Zwolniła uchwyt. Wszedł z niej i położył się odprężony na łóżku. Ona przewróciła się na brzuch. Uspokoił oddech i pozwolił, by ostatni spazm orgazmu wstrząsnął ciałem.

Leżał nieruchomo, nie chcąc dać suce satysfakcji. Nie musi wiedzieć, że było mu tak dobrze.

- Do diabła z jakąś tam zahukaną prawniczką, co?

Wzruszył ramionami.

- Nie miałem okazji tego sprawdzić.

- A ta Włoszka, której poderżnąłeś gardło... była dobra? Pocałował jej palec wskazujący i kciuk.

- *Mullissemo*. Z pewnością było to warte ceny, której zażądała.

- A Suzanne Danzer? - W jej głosie pobrzmiwała jawna niechęć.

- Z zazdrością nie jest ci do twarzy.

- Nie pochlebiaj sobie.

Uniosła się na łokciu. Wciągnęła go do swojego pokoju, gdy tylko się zjawił pół godziny

temu. Burg Herz leżał na zachód od Stod, oddalony jedynie o godzinę jazdy. Wrócił po dalsze instrukcje, uznając, że lepiej porozmawiać z mocodawcą twarzą w twarz niż przez telefon.

- Nie rozumiem, Christianie, co ty widzisz w tej Danzer.

- Masz przecież taki wysublimowany gust, a uganiaś się za puszką na datki Loringa.

- Ta puszka na datki, jak byłaś łaskawa ją określić, obroniła z wyróżnieniem dyplom na paryskiej Sorbonie. Mówi kilkunastoma językami, przynajmniej o tyłu wiem. Dysponuje rozległą wiedzą z historii sztuki i potrafi strzelać z biodra celnie jak snajper. Jest przy tym atrakcyjna i doskonale daje dupy. Z całą pewnością Suzanne jest obiektem godnym westchnień.

- W dodatku jest lepsza od ciebie?

- Niech ją piekło pochłonie - wyszczerzył zęby w uśmiechu - naprawdę jest lepsza. Ale odpłacę jej za wszystko właśnie piekielnym ogniem.

- Nie traktuj tego tak dosłownie, Christianie. Przemoc bardzo przyciąga uwagę. Świat nie jest twoim prywatnym podwórkiem.

- Jestem świadom zarówno swojej siły, jak i swoich ograniczeń.

Monika uśmiechnęła się kwaśno; ten jej grymas należał do tych, za którymi nigdy nie przepadała. Wydawało się, że z całkowitą determinacją starała się skomplikować wszystko.

Miał mniej kłopotów, dopóki spektakl reżyserował Fellner.

Teraz interesy mieszały się z życiem osobistym. I chyba nie był to dobry pomysł.

- Ojciec chce uczestniczyć w tym spotkaniu. Prosił, byśmy przyszli do jego gabinetu.

Poderwał się z materaca.

- No to nie każmy mu dłużej czekać.

Podążył za Moniką do gabinetu jej ojca. Stary człowiek siedział za osiemnastowiecznym biurkiem z włoskiego orzecha, które kupił w Berlinie przed dwudziestoma laty. Pykał fajkę z kości słoniowej z bursztynowym ustnikiem, jeszcze jednym kolekcjonerskim rarytasem należącym niegdyś do cara Rosji, Aleksandra II, a wykradzionym złodziejowi z Rumunii.

Fellner wyglądał na zmęczonego życiem, lecz Knoll miał nadzieję, że jeszcze sporo czasu przyjdzie im pracować razem. Będzie go bardzo żałował. Będzie brakować mu żartów na temat literatury klasycznej i sztuki, a także dysput politycznych. W ciągu lat spędzonych w Burg Herz nauczył się wiele; była to edukacja praktyczna prowadzona jednocześnie z poszukiwaniem zagrabionych skarbów we wszystkich zakątkach świata. Odczuwał głęboką wdzięczność za szansę, którą mu dano, za dostatnie życie; był gotów zrobić wszystko, czego

stary człowiek zażąda, aż do samego końca.

- Christian. Witamy w domu. Usiądź. Opowiedz mi, co się wydarzyło - przywitał go Fellner serdecznie, z ciepłym uśmiechem.

Usiedli razem z Moniką. Zrelacjonował wszystko, czego dowiedział się o Danzer oraz o jej spotkaniu poprzedniego wieczora z mężczyzną nazwiskiem Grumer.

- Znam go - oznajmił Fellner. - *Herr Doktor* Alfred Grumer.

Akademicka dziwka. Przenosi się z jednego uniwersytetu na drugi. Ma jednak powiązania z niemieckim rządem i handluje swoimi wpływami. Nic dziwnego, że taki człowiek jak McKoy podczepił się do niego.

- Dla mnie jest oczywiste, że Grumer jest informatorem Danzer w ekipie McKoya - zawyrokowała Monika.

- Zgadzasz się z tobą - powiedział Fellner. - Grumer nie kręciłby się tam, gdyby nie miał na oku profitów. To może okazać się bardziej interesujące, niż początkowo sądziliśmy.

- Ernst jest tym żywo zainteresowany. Zadzwoił do mnie ponownie dzisiaj rano. Rzekomo w trosce o twój stan zdrowia, Christianie. Powiedziałem mu, że nie mieliśmy z tobą kontaktu od kilku dni.

- Wszystko to z pewnością pasuje do układanki - skwitował Knoll.

- Jakiej układanki? - zapytała Monika.

Ojciec uśmiechnął się szeroko do córki.

- Być może nadeszła już pora, kochanie, żebyś się dowiedziała o wszystkim. Co o tym sądzisz, Christianie?

Monika sprawiała wrażenie urażonej. Uwielbiał patrzeć na jej zmieszanie. Niech wie, suka, że nie dopuszczają jej do wszystkiego.

Fellner wysunął jedną z szuflad i wyciągnął z niej grubą segregator.

- Razem z Christianem śledziliśmy to całymi latami.

Rozłożył na biurku bogaty zbiór wycinków z gazet oraz artykułów z czasopism.

- Do pierwszej śmierci, o której wiemy, doszło w 1957 roku. To był reporter z jednej z moich gazet wychodzących w Hamburgu. Przyjechał tu przeprowadzić wywiad.

- Zaspokoilem jego ciekawość, otrzymał ode mnie mnóstwo informacji, a tydzień później został potrącony przez autobus w Berlinie. Świadkowie twierdzą, że ktoś go popchnął.

- Następną śmierć zdarzyła się dwa lata później. Kolejny reporter. Włoch. Auto zepchnęło go z alpejskiej szosy Kolejne dwa zgony w 1960 roku, przedawkowanie

narkotyków oraz napad rabunkowy ze skutkiem śmiertelnym. Między 1960 a 1970 rokiem w całej Europie zginęło ponad tuzin ludzi.

Dziennikarze. Ludzie z ubezpieczeń. Policjoni detektywi.

Przyczyny ich śmiertelnych zejść sięgały od rzekomych samobójstw po trzy niekwestionowane morderstwa.

- Moja droga, wszyscy ci ludzie poszukiwali Bursztynowej Komnaty. Poprzednicy Christiana, moi dwaj pierwsi detektywi, śledzili uważnie prasę. Wszystko, co mogło się z tym wiązać, poddawane było skrupulatnej analizie. W siódmej i ósmej dekadzie dwudziestego stulecia tragiczne przypadki przestano odnotowywać. Wiemy zaledwie o sześciu w ciągu dwudziestu lat. Ostatni przytrafił się polskiemu reporterowi trzy lata temu podczas eksplozji w kopalni - kontynuował Fellner, po czym spojrzął na Monikę. - Nie znam dokładnej lokalizacji, ale z całą pewnością wiem, że było to w pobliżu miejsca wybuchu, w którym o mały włos nie zginął Christian.

- Idę o zakład, że to ta sama kopalnia - wtrącił Knoll.

- To bardzo dziwne, nie sądzisz? Christian odnajduje nazwisko Karola Borii w Sankt Petersburgu. Następną rzeczą, o której się dowiadujemy, jest zgon Borii, a wkrótce potem jego przyjaciela. Kochanie, Christian i ja od dawna jesteśmy przekonani, że Loring wie znacznie więcej na temat Bursztynowej Komnaty niż chce ujawnić.

- Jego ojciec kochał bursztyn - skomentowała Monika. On tak samo.

- Josef był człowiekiem bardzo powściągliwym. Znacznie bardziej niż Ernst. Trudno było dociec, co myślał naprawdę.

- Rozmawiałem z nim wiele razy na temat Bursztynowej Komnaty. Kiedyś zaproponowałem mu nawet rodzaj *joint venture* - wspólne poszukiwania jantarowych boazerii aż do skutku. Ale odmówił. Było jednak w tej odmowie coś, co mnie zaniepokoiło. Zacząłem więc prowadzić to archiwum, sprawdzając wszystko, co tylko mogłem. I stwierdziłem, że liczba zgonów jest zbyt duża, by uznać to wszystko za zbieg okoliczności lub jedynie przypadek. Ostatnio Suzanne podjęła próbę pogrzebania żywcem Christiana. I zamierza zapłacić milion euro za informacje na temat przebiegu podziemnej eksploracji - kontynuował, kręcąc głową. - Powiedziałbym, że ślad, który uważaliśmy za prowadzący donikąd, zrobił się nagle bardzo gorący.

Monika wskazała gestem na wycinki prasowe rozłożone wachlarzem na biurku.

- Twoim zdaniem wszyscy ci ludzie zostali zamordowani?

- Czyż możesz sformułować jakiś inny logiczny wniosek? - odpowiedział pytaniem Fellner.

Monika podeszła do biurka i zaczęła kartkować artykuły.

- Trafiliśmy celnie z Borią, czy tak?

- Właśnie - dodał Knoll. - Chociaż pewności nie mam.

- Ale podjęcie przez nas tego tropu zmusiło Suzanne do zamordowania Czapajewa oraz próby wyeliminowania mnie.

- Miejsce tej podziemnej eksploracji może mieć duże znaczenie - podjął wątek Fellner. - Uważam, że nadszedł koniec sparingu. Christianie masz moje zezwolenie, na podjęcie działań, które uznasz za konieczne.

Monika spojrzała ze zdumieniem na ojca.

- Myślałam, że przekazałeś mi władzę.

- Musisz uszanować ostatnią słabostkę starego ojca uśmiechnął się Fellner. - Christian i ja pracowaliśmy nad tym całe lata. Czuję, że wreszcie trafiliśmy na właściwy trop.

- Proszę cię więc, kochanie, o udzielenie mi prerogatyw na sfinalizowanie tej sprawy.

Monika zdobyła się na kwaśny uśmiech, najwyraźniej niezadowolona z przebiegu rozmowy. Ale cóż mogła powiedzieć? Nigdy otwarcie nie sprzeciwiła się ojcu, chociaż gdy był nieobecny, wielokrotnie zżymała się z powodu jego bezgranicznego opanowania. Fellner prezentował starą szkołę, w której mężczyźni rządzili, a kobiety rodziły dzieci. Zarządzał finansowym imperium, które zdominowało europejski rynek mediów. O jego względy zabiegali politycy oraz przemysłowcy.

Jednak ani żona, ani syn już nie żyli; jedyną osobą noszącą jego nazwisko pozostała Monika. W tej sytuacji był zmuszony do wychowania jej na kobietę, która będzie bardziej męska niż przeciętny mężczyzna. Na szczęście była bardzo stanowcza. I bystra.

- Oczywiście, tato; jak sobie życzysz.

Fellner wyciągnął ręce i ujął dłonie córki.

- Wiem, że tego nie akceptujesz. Ale Kocham cię za posłuszeństwo.

- To coś nowego - nie mógł się powstrzymać Knoll.

Monika spojrzała na niego ze złością.

- Masz rację, Christianie - zachichotał Fellner. - Znasz ją dobrze. Wy dwoje stanowicie zgrany zespół. - Monika, udając obojętność, rozsiadła się wygodnie w fotelu. - Christianie, wracaj do Stod i sprawdź, co się tam dzieje. Potraktuj Suzanne tak, jak uznasz za stosowne. Zanim umrę, pragnę tak czy inaczej poznać losy Bursztynowej Komnaty. Jeśli będziesz miał jakieś skrupuły, przypomnij sobie kopalniany chodnik oraz twoje dziesięć milionów euro.

Knoll wstał.

- Z pewnością o tym nie zapomnę.

STOD

13.45

Sala recepcyjna hotelu „Garni” była pełna. Paul stał obok Rachel, obserwując, jak rozwija się sytuacja. Gdyby wystrój wnętrza odgrywał jakąkolwiek rolę, miła atmosfera w pomieszczeniu sprzyjałaby Waylandowi McKoyowi. Kolorowe mapy Niemiec oprawione w grube ramy wisiały na ścianach wyłożonych boazerią z dębowego drewna. Migocące mosiężne żyrandole, gładkie i ciemne zabytkowe krzesła oraz oryginalny perski dywan podkreślały rangę spotkania.

Na krzesłach zasiadło pięćdziesiąt sześć osób. Ich twarze były jednocześnie zaintrygowane i zmęczone. Przewieziono ich tu prosto z Frankfurtu; cztery godziny wcześniej przylecieli z Ameryki. Rozpiętość wieku była znaczna: od wczesnej trzydziestki po niemal sześćdziesiątkę. Różnili się również kolorem skóry. Większość reprezentowała rasę białą, ale były dwie pary czarnoskóre, obie w starszym wieku, oraz małżeństwo Japończyków. Na twarzach wszystkich malowała się żądza dobrych wieści.

McKoy i Grumer wraz z piątką robotników zatrudnionych do drążenia chodnika stali na podeście w długim pomieszczeniu. Ustawiono tam też telewizor podłączony do kamery wideo. Dwóch posepnych mężczyzn zasiadło z tyłu z notatnikami w rękach; wyglądali na reporterów. Łowca skarbów nie chciał ich wpuścić do środka, ale obaj wyciągnęli legitymacje niemieckiej agencji informacyjnej, która także wykupiła prawa do relacji i uparli się, że zostaną.

- Uważaj na to, co będziesz mówić - ostrzegł go Paul.

- Witam naszych współników - rozpoczął McKoy z uśmiechem kaznodziei występującego przed kamerami.

- Gwar ucichł. - Na zewnątrz przygotowaliśmy dla was kawę, soki oraz ciastka z owocami. Wiem, że macie za sobą długą podróż i jesteście zmęczeni. Odczuwacie to cholerne wyczerpanie po długim locie pasażerskim odrzutowcem, prawda? Ale jestem pewien, że z niecierpliwością oczekujecie na relację o tym, jak się mają sprawy.

Bezpośrednia forma była pomysłem Paula. McKoy chciał grać na zwłokę, jednak zaangażowany przezeń prawnik wyperswadował mu to rozwiązanie, argumentując, że wzbudzi jedynie nieufność.

- Mów tonem przyjaznym i łagodnym - instruował. Żadnych „pierdolcie się” czy innych

wyrażeń nieparlamentarnych, których używałeś wczoraj, zgoda?

McKoy go zapewniał, że wie, co to dobre maniery; ponadto ukończył kursy uczące publicznego przemawiania.

- Wiem, jakie pytanie ciśnie się wam na usta. Czy coś już znaleźliśmy? Nie, jeszcze nie. Ale wczoraj poczyniliśmy razem duży krok naprzód - oznajmił, wskazując gestem chudego Niemca. - Przedstawiam wam Alfreda Grumera.

Herr Doktor, jak go nazywamy, jest profesorem historii sztuki na uniwersytecie w Moguncji i naszym ekspertem zatrudnionym na stałe w czasie podziemnych poszukiwań. Oddam mu głos, by wyjaśnił wam szczegóły tego, co się dotąd wydarzyło.

Grumer wystąpił naprzód. Wyglądał na klasycznego zaniedbanego profesora w swojej tweedowej marynarce, sztruksowych spodniach i krawacie z dzianiny Stał z prawą ręką w kieszeni spodni, trzymając lewą swobodnie opuszczoną.

- Zamierzam powiedzieć państwu parę słów o przebiegu tego przedsięwzięcia - rozpoczął z rozbajającym uśmiechem. - Grabieże dzieł sztuki mają za sobą wielowiekową tradycję. Już starożytni Grecy i Rzymianie pozbawiali posiadanych skarbów podbite przez siebie nacje. W dwunastym i trzynastym wieku krzyżowcy łupili bez litości Europę południowo-wschodnią oraz Bliski Wschód. Kościoły i katedry zachodniej Europy do dziś pełne są zagrabionych wtedy dzieł sztuki.

W wieku .siedemnastym zaczęto posługiwać się bardziej cywilizowanymi metodami. Po militarnej porażce wielkie koronne kolekcje (albowiem w tamtych czasach muzea jeszcze nie istniały) były raczej nabywane niż rozkradane. Podam przykład. Kiedy w 1757 roku armia carska okupowała Berlin, kolekcja Fryderyka II nie została nawet tknięta. Pokuszenie się o nią uważane byłoby za barbarzyństwo nawet przez Rosjan, którzy w oczach reszty Europy uchodzili za barbarzyńców.

Największym grabieżcą w dziejach był najprawdopodobniej Napoleon. Opróżnił do czysta muzea Niemiec, Hiszpanii i Włoch, by zappełnić sale wystawowe Luwru. Po klęsce pod Waterloo na Kongresie Wiedeńskim w 1815 roku zobowiązano Francję do zwrotu zrabowanych dzieł sztuki. Część z nich rzeczywiście zwrócono, ale wiele pozostało w rękach Francuzów i wciąż można je podziwiać w Paryżu.

Paul był zafascynowany prezentacją Grumera. Niczym doświadczony nauczyciel, mówił interesująco i trzymał się tematu. Zebrani pozostawali najwyraźniej pod wrażeniem jego rozległej wiedzy fachowej.

- Wasz prezydent Lincoln podczas wojny secesyjnej wydał rozporządzenie nakazujące ochronę dzieł sztuki, bibliotek, zbiorów naukowych oraz cennych instrumentów

znajdujących się na terenach skonfederowanego Południa.

W 1874 roku na konferencji w Brukseli zgłoszono podobną propozycję. Car Rosji Mikołaj II zaproponował nawet dalej idące projekty ochrony, które zaakceptowano w Hadze w 1907 roku. Uchwalone konwencje nie były jednak przestrzegane w kolejnych dwóch wojnach światowych.

Hitler zignorował całkowicie konwencję haską i postępował dokładnie tak jak Napoleon. Naziści stworzyli cały aparat administracyjny, który zajmował się wyłącznie grabieżą. Wódz Trzeciej Rzeszy zamierzał wznieść niezwykłą budowlę: Muzeum Führera. W założeniu miało ono być największą w świecie ekspozycją dzieł sztuki. Zamierzano je usytuować w austriackim Linzu. Hitler nadał temu przedsięwzięciu nazwę *Sonderauftrag Linz*. „Misja specjalna Linz”.

Obiekt miał być sercem Trzeciej Rzeszy, zaprojektowanym przez samego wodza.

Grumer zrobił krótką pauzę, by słuchacze poukładali sobie w głowach przekazane informacje.

- Grabież dzieł sztuki przez Hitlera służyła wszelako innemu celowi. Osłabiała morale wroga, a przede wszystkim Rosjan. Carskie posiadłości wokół ówczesnego Leningradu były plądrowane na oczach okolicznych mieszkańców. Od czasów Gotów i Wandalii Europa nie była świadkiem tak barbarzyńskiego traktowania kulturowego dziedzictwa. Muzea w Niemczech zapełniły się zrabowanymi arcydziełami, głównie te w Berlinie. W ostatnich latach wojny, gdy Rosjanie i Amerykanie zbliżali się z obu stron, zbiory z berlińskiego Muzeum Cesarza Fryderyka ewakuowano pociągiem, który wyruszył na południe w kierunku gór Harzu. Do tego regionu, w którym właśnie się znajdujecie.

Nagle na ekranie telewizora pojawiło się panoramiczne ujęcie górskiego pasma. Grumer za pomocą pilota zatrzymał obraz na ujęciu przedstawiającym zalesioną scenerię.

- Naziści uwielbiali chować rzeczy pod ziemią. Góry Harzu, które nas tu otaczają, były wykorzystywane w tym celu intensywnie, gdyż podziemne magazyny znajdowały się niedaleko Berlina. Przykłady tego, co zostało odnalezione po wojnie, potwierdzają tę hipotezę. Niemiecka kolekcja narodowa, licząca miliony woluminów, obrazów najprzeróżniejszych szkół i stylów oraz całe tony rzeźb, została ukryta.

Chyba najdziwniejszy taki ładunek odkryto niedaleko stąd.

Oddział amerykańskich żołnierzy złożył raport o znalezieniu świeżo wzniesionego muru grubości blisko dwóch metrów, ciągnącego się pięćset metrów w głąb masywu góry. Mur rozebrano, a po jego drugiej stronie znajdowały się zaryglowane stalowe wrota.

Paul obserwował twarze inwestorów. Słuchali wykładu w całkowitym skupieniu. Jego

również pochłonął on bez reszty.

- W środku Amerykanie znaleźli cztery ogromne skrzynie. Jedna z nich ozdobiona była nazistowskimi symbolami, z boku widniało nazwisko Adolfa Hitlera. Trzy pozostałe udekorowane były wojskowymi sztandarami. Znalaziono ponadto kunsztownej roboty berło i jabłko, dwie korony oraz miecz.

Wszystko zostało zaaranżowane jak w teatrze i przypominało grobowiec. Wyobraźcie sobie, co pomyśleli żołnierze.

Zapewne byli przekonani, że natrafili na grobowiec Hitlera.

A jednak okazało się to grą pozorów. W tych skrzyniach wyglądających jak trumny spoczywały doczesne szczątki feldmarszałka von Hindenburga i jego małżonki, Fryderyka Wielkiego oraz Fryderyka Wilhelma I.

Grumer nacisnął guzik pilota i włączył wideo. Kolorowy obraz przedstawiał teraz wnętrze podziemnej pieczary McKoy podjechał wcześniej do miejsca prac eksploracyjnych i nakręcił oraz zmontował nowy film, mając zastąpić ten nakręcony poprzedniego dnia, z nadzieją, że w ten sposób zaciekawi partnerów i zyska nieco na czasie. Grumer korzystał teraz z tego materiału, wyjaśniając przebieg drażenia chodnika, obecność trzech samochodów ciężarowych oraz ludzkich ciał. Pięćdziesiąt sześć oczu zauroczonych wpatrywało się w ekran.

- Odnalezienie tych trzech ciężarówek jest niezwykle intrygujące. Nie ulega wątpliwości, że w jaskini przechowywano coś, co miało ogromną wartość. Tego typu samochody ciężarowe były w czasie wojny niezwykle cenne i pozostawienie aż trzech z nich pod ziemią oznacza, że szło o wielką stawkę. Pięć ludzkich szkieletów dodaje niesamowitości temu odkryciu.

- Co znaleźliście we wnętrzu ciężarówek? - padło pierwsze pytanie z audytorium.

McKoy zrobił krok do przodu.

- Są puste.

- Puste?! - odezwało się z niedowierzaniem kilka głosów naraz.

- Właśnie. Wszystkie trzy platformy okazały się puste potwierdził McKoy i gestem polecił Grumerowi, by włożył kolejną kasetę wideo.

- Nie ma w tym nic niezwykłego - podjął *Herr Doktor*.

Na ekranie zmaterializował się nowy obraz: wnętrze jaskini, które zostało celowo pominięte na pierwszej kasecie.

- Widzimy tu drugie wejście do pieczary - wyjaśnił Grumer, wskazując ekran. - Zakładamy, że za nim znajduje się kolejna komora. Teraz przystąpimy do drażenia właśnie

tam.

- Chcecie nam powiedzieć, że na ciężarówkach niczego nie znaleźliście? - zapytał starszy mężczyzna.

Paul zrozumiał, że zaczynają się schody. Pytania. Rzeczywistość. Jednak przeciwicyli wszystkie możliwe tematy; on i Rachel przygotowali McKoya, trenując z nim krzyżowy ogień pytań, jakiemu poddaje się świadków. Paul zaakceptował hipotezę o istnieniu drugiej pieczary. Do diabła, przecież mogła tam być! Któż to wie? Przynajmniej na kilka dni wspólnicy zostaną uspokojeni - do czasu, kiedy ekipa poszukiwacza skarbów przekopie się do drugiego wyjścia, rozwiewając wszelkie złudzenia.

McKoy zręcznie unikał podejmowania rękawicy, odpowiadając na każde pytanie wyczerpująco i z uśmiechem na twarzy. Mówił prawdę. Potrafił zapanować na emocjami tłumu. Wzrok Paula nieustannie omiatał rozległą salę, usiłując ocenić reakcje poszczególnych osób.

Na razie szło nie najgorzej.

Większość zebranych wydawała się usatysfakcjonowana wyjaśnieniami.

Zauważył kobietę, która wsunęła się niepostrzeżenie do środka i stanęła na samym końcu sali, przy podwójnych drzwiach prowadzących do holu. Była niska, miała blond włosy średniej długości. Trzymała się w cieniu, co utrudniało rozpoznanie rysów twarzy. Jednak wydała mu się znajoma.

- Jest tu z nami Paul Cutler, mój prawny doradca - oznajmił McKoy.

Obrócił się na dźwięk własnego nazwiska.

- Pan Cutler pozostaje do dyspozycji Herr Doktora Grumera oraz mojej, gdybyśmy napotkali problemy prawne związane z podziemną eksploracją. Nie spodziewamy się ich, ale pan Cutler, prawnik z Atlanty, wspomniałomyślnie zaoferował nam swój czas.

Uśmiechnął się do zebranych; niezbyt zadowolony z tej zdawkowej prezentacji, jednocześnie nie potrafił zdobyć się na powiedzenie czegokolwiek. Podziękował przybyłym za uwagę i spojrzał znów w kierunku drzwi.

Kobieta zniknęła.

Suzanne wymknęła się ukradkiem z hotelu. Widziała i słyszała dostatecznie dużo. McKoy, Grumer oraz oboje Cutlerowie byli tu i najwyraźniej mieli mnóstwo roboty.

Jeśli dobrze policzyła, pięciu robotników również było na sali. Według informacji Herr Doktora na liście płac pozostawały jeszcze dwie osoby, pełniące prawdopodobnie straż w kopalni.

Wychwyciła krótkie spojrzenie Paula Cutlera, nie obawiała się jednak, że ją pozna. Jej wygląd różnił się bardzo od tego, który mógł zapamiętać z ubiegłego tygodnia, gdy odwiedziła go w biurze w Atlancie. Na wszelki wypadek stała w cieniu i nie była na sali dłużej niż kilka chwil, by zobaczyć, co się dzieje i policzyć, kogo trzeba. Skorzystała z okazji, by zajrzeć do hotelu „Garni”, nie dowierzała jednak Alferdowi Grumerowi. Był zbyt niemiecki, zbyt zachłanny.

Milion euro? Głupiec, coś sobie ubrdał. Czy naprawdę uważał jej mocodawcę za tak wielkiego naiwniaka?

Na zewnątrz podbiegła do swego porsche i odjechała pędem w kierunku wschodnim, do kopalni. Zaparkowała w gęstym lesie około pół kilometra od celu. Szybko pokonała dzielący ją dystans, natrafiła na szopę i wejście do podziemnego wyrobiska. W polu widzenia nie było żadnych samochodów ani ludzi.

Zakradła się do stojącego otworem szybu i ruszyła szlakiem wytyczonym przez świeące żarówki do pogrążonego częściowo w mroku korytarza. Trzy belki z halogenowymi reflektorami były ciemne; światło dobiegało z położonej dalej pieczary. Wspięła się na palcach i sprawdziła temperaturę nad jedną z lamp. Powietrze było ciepłe. Spojrzała w dół i spostrzegła, że kable od trzech belek oświetleniowych są wyciągnięte z gniazd wtykowych.

W cieniu po drugiej stronie galerii zauważyła sylwetkę człowieka leżącego na brzuchu. Podeszła bliżej. Na piasku leżał mężczyzna w kombinezonie. Sprawdziła puls. Słaby, ale wyczuwalny.

Zajrzała do wnętrza pieczary przez szczelinę w skałach.

Na przeciwległej ścianie tańczył cień. Przykucnęła i wsunęła się do środka. Żaden cień nie zdradzał jej obecności, piasek drobny jak proch tłumiał odgłosy kroków. Zdecydowała się nie wyciągać broni do chwili, gdy się przekona, kto wszedł tu przed nią.

Podeszła do najbliższej ciężarówki i przykucnęła pod podwoziem. Przy stojącym najdalej samochodzie dostrzegła nogi oraz buty Ruszyły w prawo. Powoli, bez pośpiechu.

Ten ktoś z pewnością nie zauważył jej obecności. Siedziała nieruchomo, zdecydowana nie opuszczać kryjówek.

Nogi zatrzymały się z tyłu platformy położonej najdalej ciężarówce.

Usłyszała trzask rozdieranej plandeki. Kimkolwiek był ten ktoś, lustrował wnętrze ciężarowego auta. Wykorzystała ten moment, przesunęła się do przodu pierwszego samochodu i sprintem pokonała odległość do maski drugiego auta.

Śledzonego miała teraz po przekątnej. Ostrożnie zerknęła w kierunku postaci oddalonej o jakieś sześć metrów.

Christian Knoll.

Poczuła, jak przenika ją zimny dreszcz.

Knoll sprawdził platformę ostatniej ciężarówce. Pusta. Te samochody zostały przez kogoś opróżnione. Ani w kabinach, ani na platformach nie było niczego. Ale kto mógł to zrobić? McKoy? Niemożliwe. Usłyszaliby w mieście o sensacyjnym znalezisku. Pozostałyby też jakieś ślady. Deski po skrzyniach. Materiał wyściełający. Tu jednak nie było nic.

No i czy McKoy pozostawiłby miejsce prac eksploracyjnych pod strażą jednego tylko, łatwego do pokonania mężczyzny, gdyby znalazł tu dzieła sztuki warte krocie? Bardziej logiczne się wydawało, że ciężarówki były już puste, gdy poszukiwacz skarbów z Ameryki przebił się przez skały do pieczary.

Ale kto i kiedy zdołał je opróżnić?

A te ciała? Czy byli to grabieżcy sprzed paru dziesiątków lat? Być może. Nie zdziwiłoby go to nadmiernie. Liczne z podziemnych wyrobisk w górach Harzu zostały splądrowane, przeważnie przez żołnierzy amerykańskich i sowieckich, którzy okupowali te obszary. Niektóre ogołocili później rabusie i łowcy skarbów, zanim rząd objął te obszary kontrolą.

Podszedł do jednego z ciał i spoglądał w dół na poczerwiałe kości. Scenariusz wydarzeń wydał mu się osobliwy. Dlaczego Danzer interesowała się tym, co najwyraźniej nie kryło żadnych skarbów? Interesowała się aż tak, by opłacać tajnego informatora, który żądał, bagatela, miliona euro jako zaliczki za informację.

Jaką informację?

Nagle coś go zaniepokoiło. Ufał swojemu instynktowi.

Temu, który w Atlancie podpowiedział mu, że Danzer jest na jego tropie. Teraz czuł, że w jaskini oprócz niego jest ktoś jeszcze.

Postanowił poruszać się dalej, jak gdyby nigdy nic. Nagły ruch mógł wystraszyć nieproszonego gościa. Ruszył wolnym krokiem wzdłuż ciężarówce, manewrując tak, by zagrozić temu komuś drogę odwrotu, stając między nim a wyjściem.

Intruz świadomie unikał światła lamp, nie chcąc, by cień zdradził jego obecność. Zatrzymał się i przyklęknął, szukając wzrokiem nóg i stóp pod którąś z trzech ciężarówek.

Niczego nie dostrzegł.

Suzanne stała wyprostowana przed jednym z pękniętych kół.

Patrzyła, jak Knoll przemieszcza się w głąb jaskini, potem usłyszała, że się zatrzymał. Nie czynił nic, by wytłumić odgłos kroków; to ją zaniepokoiło. Czyżby wyczuł jej obecność? Tak jak wtedy w Atlancie? Być może szperał teraz wzrokiem pod ciężarówkami, podobnie jak ona chwilę wcześniej. Jeśli tak, nie zobaczył niczego. Jednak wahał się zbyt długo. Nie była przyzwyczajona do takiego wyrachowania. Większość jej przeciwników nie była równie przebiegła jak Christian Knoll. Z chwilą, gdy się upewni, że to ona, będzie mógł odplacić jej za wszystko, a było tego piekielnie dużo. Z pewnością wiedział już o Czapajewie, a także o tym, że tamta kopalnia była zasadzką. Bez wątpienia zawęził listę podejrzanych o te ekscesy.

Fakt, że Knoll przemierzał jaskinię w poprzek, niepokoił ją nad wyraz.

Usiłował złapać ją w sidła. Sukinsyn, wie.

Wyciągnęła sauera, jej palec dotknął spustu.

Knoll szarpnął prawą ręką i uwolnił sztylet z pochwy. Objął dłonią rękojeść z nefrytu i był gotów. Raz jeszcze zerknął pod ciężarówki. Żadnych stóp. Ten ktoś z pewnością stał za kołami. Postanowił ruszyć do akcji. Przeskoczył nagle obok zardzewiałej maski najbliższej ciężarówki i znalazł się po jej drugiej stronie.

Suzanne Danzer stała o sześć metrów od niego, przytulona do obręczy i opony tylnego koła. Podniosła pistolet i wymierzyła. Doskoczył do kabiny ciężarówki stojącej obok. Dwa pociski z przytłumionym hukiem opuściły lufę; kule odbiły się od skalnej ściany.

Podniósł się i zamachnął sztyletem.

Suzanne, spodziewając się ataku nożem, rzuciła się na ziemię.

Sztylet to był znak firmowy Knolla. Dostrzegła w świetle błysk ostrza, gdy znalazła się na ziemi. Zdawała sobie sprawę, że tylko na moment skrył się przed strzałami. Natychmiast się wyprostował, uniósł dłoń i cisnął sztylet w jej kierunku.

Na szczęście była na to przygotowana.

Sztylet świsnął obok niej i przeciął zbutwiałą plandekę najbliższej ciężarówki, wbijając się przez cieką warstwę tkaniny aż po rękojeść. Za parę sekund Knoll znów przystąpił do natarcia. Oddała następny strzał w jego kierunku. Kolejny raz kula trafiła w skalną ścianę.

- Nie tym razem, Suzanne - wycedził Knoll przez zęby Teraz jesteś moja.

- Nie masz już broni.

- Jesteś pewna?

Spojrzała na pistolet, zastanawiając się, ile pocisków zostało jeszcze w magazynku. Cztery? Wzrokiem omiatała pieczarę, a jednocześnie intensywnie myślała. Knoll znajdował się między nią a wyjściem. Musiała wymyślić coś, co pochłonie uwagę skurwiela dostatecznie długo, by mogła wyrwać się z potrzasku. Patrzyła badawczo na skalne ściany, ciężarówki i światła.

Światła.

Ciemność będzie jej sojusznikiem.

Szybkim ruchem wyciągnęła z broni napoczęty magazynek i założyła pełny. Teraz miała siedem strzałów. Wymierzyła w najbliższą belkę z lampami i wystrzeliła. Lampy eksplodowały, rozsiewając snop elektrycznych iskier i dym. Wstała i ile sił w nogach popędziła w kierunku wyjścia, oddając po drodze strzał ku drugiej belce oświetleniowej. Znowu nastąpił wybuch i rozbłysk; potem lampy zgasły i pieczara pogrążyła się w całkowitych ciemnościach. Wytyczyła kierunek biegu w ostatnim błysku światła i miała tylko nadzieję, że uda jej się pobiec prosto.

Jeśli nie, uderzy w skalną ścianę.

Knoll zerwał się i popędził w stronę sztyletu, gdy eksplodowała pierwsza belka oświetleniowa. Zrozumiał, że pozostało mu tylko kilka sekund; ponadto Danzer miała rację, brak sztyletu czynił go bezbronnym. Pistolet bardzo by się mu przydał.

Jednak lekkomyślnie zostawił swój CZ-75B w hotelowym pokoju, sądząc, że podczas krótkiego zwiadu nie będzie go potrzebował. Tak naprawdę wolał cichą klingę niż pistolet, ale piętnaście pocisków byłoby teraz nieocenione.

Wyciągnął sztylet z brezentowej plandeki i zawrócił.

Danzer pędziła sprintem w kierunku otworu prowadzącego do chodnika. Szykował się do następnego rzutu.

Eksplozja drugiej belki oświetleniowej oślepiła go kompletnie.

Jaskinia pogrążyła się w nieprzeniknionym mroku.

Suzanne biegła prosto przed siebie i szczęśliwie trafiła w szczelinę prowadzącą ku chodnikowi oświetlonemu żarówkami. Skoncentrowała się na najbliższym rozżarzonej punkcie i znowu popędziła prosto przed siebie, potem wbiegła w wąski korytarz, rozbijając pistoletem żarówki i wygaszając tym samym świetlisty szlak.

Oślepiiony drugą feerią iskier Knoll zamknął oczy i przez chwilę stał spokojnie. Monika nazywała Danzer „małą, myszatką kreaturą”.

Jakże się myliła. Suzanne była naprawdę piekielnie niebezpieczna.

Gryzący zapach spalonych przewodów elektrycznych wypełnił jego nozdrza. W ciemnej pieczarze zaczęło robić się chłodno. Otworzył oczy Smolista czerń powoli rzedła, nawet rozróżniał kontury. Z tyłu za szczeliną wejściową i dalej następowały kolejne rozbłyski, żarówki jedna po drugiej były roztrzaskiwane.

Pobiegł w tamtą stronę.

Suzanne pędziła co tchu w kierunku światła. Za sobą słyszała zbliżającego się Knolla. Musiała biec, ile sił w nogach.

Wreszcie w świetle pochmurnego popołudnia pobiegła przez gęsty las w stronę samochodu. Miała nadzieję, że zachowała wystarczającą przewagę nad Knollem, by zdążyć dobiec bezpiecznie do auta. Gdy i on wyjdzie z szybu, może nie od razu się zorientuje, w którym kierunku kontynuować pościg.

Biegła zygzakiem między wysokimi sosnami, przez gęste zarośla paproci. Oddychała ciężko, rozkazując nogom, by nie przestały się poruszać. Przychodziło im to z trudem.

Knoll wypadł pędem z tunelu i szybko rozejrzał się po okolicy. Na prawo, pośród drzew, w odległości około pięćdziesięciu metrów, mignęła mu kolorowa plama. Chwilę później dostrzegł biegnącą postać.

Kobieta.

Danzer.

Ruszył sprintem w jej kierunku, ściskając w dłoni sztylet.

Suzanne ostatkiem sił dobiegła do porsche i wskoczyła do środka. Uruchomiła silnik, wrzuciła szybko jedynkę i nacisnęła gaz do dechy. Opony w pierwszej chwili się poślizgnęły, potem jednak chwyciły podłoże i auto szarpnęło do przodu.

We wstecznym lusterku dostrzegła sylwetkę Knolla ze sztyletem w ręku.

Dojechała pędem do szosy, zatrzymała się i wystawiła głowę przed okno. Filuternie zasalutowała i odjechała, z każdą chwilą nabierając prędkości.

Knoll niemal uśmiechnął się na widok tego gestu. Zrewanżowała się za szydercze pozdrowienie na lotnisku w Atlancie.

Prawdopodobnie była z siebie dumna, zadowolona z udanej ucieczki i kolejnego nad nim zwycięstwa.

Sprawdził zegarek. Czwarta trzydzieści po południu.

To bez znaczenia.

Wiedział dokładnie, gdzie Suzanne będzie za sześć godzin.

16.45

Paul przyglądał się, jak ostatni ze współników wychodził z sali konferencyjnej. McKoy posyłał każdemu uśmiech, wymieniał uścisk dłoni i zapewniał, że sprawy przyjmą jeszcze dobry obrót. Wyglądał na zadowolonego. Spotkanie miało całkiem udany przebieg. Przez blisko dwie godziny odpierali pytania, okraszając odpowiedzi romantycznymi wzmiankami o chciwych nazistach i zapomnianych skarbach, wykorzystując historię jak narkotyk, którym zaspokajali zapotrzebowanie inwestorów na sensację.

McKoy podszedł do niego.

- Ten pieprzony Grumer był całkiem dobry, co?

Paul, Rachel i poszukiwacz skarbów zostali teraz sami.

Partnerzy udali się na górę, każdy do swojego pokoju. Herr Doktor opuścił ich przed paroma minutami.

- Grumer doskonale panował nad salą - oznajmił Paul. - Ale mimo wszystko nie jestem zadowolony z tej gry na zwłokę.

- Któż tu gra na zwłokę? Mam zamiar przebić się przez drugie wyjście, a ono rzeczywiście może prowadzić do drugiej komory.

Rachel zmarszczyła brwi.

- Twój geologiczny radar przewidział taką możliwość?

- Niech mnie cholera, jeśli wiem, Wysoki Sądzie.

Sędzia Cutler przyjęła to rubaszne wyznanie z uśmiechem. Towarzystwo McKoya wydawało się jej odpowiadać; jego obcesowość i ostry język nie różniły się aż tak bardzo od stosowanych przez nią środków wyrazu.

- Przewieziemy jutro grupę do kopalni i pozwolimy im napatrzeć się do syta - zaproponował Wayland. - Dzięki temu powinniśmy zyskać kilka dni. Być może poszczęści się nam za drugim wejściem.

- A gruszki urosną na wierzbie - wtrącił z przekąsem Paul. - Jesteś w tarapatkach, McKoy. Musimy przeanalizować twoje położenie od strony prawnej. Proponuję nawiązać kontakt z moją kancelarią i przesłać im tekst dokumentu, który rozesłałeś inwestorom.

McKoy westchnął ciężko.

- Ile będzie mnie to kosztować?

- Zaliczka dziesięć tysięcy. Opracujemy analizę prawną przy stawce dwieście

pięćdziesiąt za godzinę. Później stawka według wypracowanych godzin, płatne na koniec miesiąca.

- Ty pokrywasz też koszty.

- W ten sposób pozbywam się swoich pięćdziesięciu tysięcy - tym razem McKay westchnął jeszcze ciężiej. - Miałem cholerne szczęście, że nie zdążyłem ich wydać.

Paul zastanawiał się, czy nie nadeszła pora, by Wayland dowiedział się o machlojkach Grumera. Czy powinien też poinformować go o literach wypisanych na piasku? Być może Herr Doktor wiedział, że pieczara została ogołocona ze skarbów i po prostu zachował dla siebie tę informację. Grumer wyznał poprzedniego dnia, że podejrzewał, iż odejdą z kwitkiem. Być może uda się zwalić całą winę na niego, obywatela obcego kraju; wtedy mogliby wystąpić wobec niego z uzasadnionymi roszczeniami: „Gdyby nie Grumer, McKoy nie podjąłby podziemnej eksploracji”. W ten sposób wspólnicy zostaliby zmuszeni do ścigania Grumera po niemieckich sądach.

Koszty rosłyby w zawrotnym tempie i w końcu przestałoby się im to opłacać. A takie komplikacje skłoniłyby niedźwiedzie do powrotu do matecznika.

- Jest jeszcze coś, o czym chciałbym... - zaczął Paul.

- Herr McKoy! - zawołał Grumer, wbiegając do sali konferencyjnej. - Doszło do wypadku na miejscu eksploracji.

Rachel dokonała oględzin głowy robotnika. Guz rozmiarów kurzego jaja sięgał poniżej jego gęstych brązowych włosów.

Ona, Paul oraz McKoy znajdowali się w podziemnej pieczarze.

- Stałem w tamtym miejscu - mężczyzna wskazał na zewnątrz. - Ostatnia rzecz, którą pamiętam, to nagła i nieprzenikniona ciemność.

- Widział pan kogoś albo słyszał coś? - spytał McKoy -Nie.

Robotnicy byli zajęci wymianą żarówek w belkach oświetleniowych. Jedna z lamp znów zaświeciła. Rachel obejrzała badawczo scenę wydarzeń. Rozbite lampki, zerwane żarówki w głównym chodniku, jedna z plandek rozcięta z boku u dołu.

- Facet zaszedł mnie od tyłu - kontynuował relację robotnik, pocierając tył głowy.

- Skąd wiesz, że to był facet? - zainteresował się McKoy.

- Widziałem go - odezwał się inny robotnik. - Byłem w szopie na zewnątrz, szykując się do obejścia pobliskich tuneli. Widziałem, jak z szybu wybiegła kobieta z pistoletem w dłoni. Po chwili wypadł ścigający ją mężczyzna. Z nożem.

- Oboje zniknęli w lesie.

- Pobiegnęś za nimi? - dopytywał McKoy.

- Cholera, nie.

- Do diabła, dlaczego?

- Płaci mi pan za drażnienie skał, nie za bohaterские wyczyny! W tunelu panowały egipskie ciemności. Wróciłem i przyniosłem latarkę. Wtedy znalazłem Dannyego. Leżał w chodniku.

- Jak wyglądała ta kobieta? - zapytał Paul.

- Blondynka, tak mi się wydaje. Niska. Szybka jak Struś Pędziwiatr.

Paul pokiwał głową.

- Była wcześniej w hotelu.

- Kiedy? - spytał McKoy.

- Kiedy ty i Grumer przemawialiście do zebranych.

Weszła na chwilę i zaraz potem się zmyła.

McKoy zrozumiał.

- Chciał się upewnić, że wszyscy zostaliśmy w hotelu.

- Na to wygląda - zgodził się Paul. - Przypuszczam, że jest to ta sama kobieta, która odwiedziła mnie w Atlancie.

- Zmieniła wygląd, ale wydawała mi się znajoma.

- Prawnicza intuicja i tego typu pierdoły? - upewnił się Wayland.

- Coś w tym rodzaju.

- Przyjrzał się pan mężczyźnie? - Rachel skierowała pytanie do robotnika.

- Wysoki gość. Włosy blond. Z nożem w ręku.

- Knoll - stwierdziła autorytatywnie. Widok sztyletu w kopalnianym chodniku ponownie przemknął przed jej oczami. - Oni są tutaj, Paul. Oboje są tutaj.

Rachel czuła się z lekka zaniepokojona, gdy razem z Paulem zmierzali do swojego pokoju na drugiej kondygnacji. Jej zegarek wskazywał godzinę 20.10. Wcześniej Paul zadzwonił do Fritza Pannika, ale nie pozostało mu nic innego, jak nagrać wiadomość na automatycznej sekretarce. Powiedział o Knollu i kobiecie, o swoich podejrzeniach i poprosił inspektora, by ten oddzwonił. Jednak w hotelowej recepcji nie czekała na Paule żadna wiadomość.

McKoy się upierał, by oni też wzięli udział we wspólnej kolacji z inwestorami. Rachel to odpowiadało - im większy tłum, tym lepiej. Ona, Paul, McKoy oraz Grumer podzielili grupę między siebie. Rozmowy koncentrowały się na podziemnej eksploracji oraz domniemaniach, co uda się im znaleźć.

Myśli Rachel jednak przez cały czas krążyły wokół Knolla i tej kobiety.

- To było brudne - odezwała się teraz. - Musiałam uważać na każde słowo, by później nikt nie mógł stwierdzić, że został wyprowadzony w pole. Może wcale nie był to najlepszy pomysł?

Paul skręcił w korytarz prowadzący do ich pokoju.

- Ale teraz są zawładnięci przez ducha przygody.

- Jesteś szanowanym prawnikiem. A ja sędzią. McKoy przyczepił się do nas niczym rzep. Gdyby naciągnął tych ludzi, zostalibyśmy uznani za współwinnych. Twój tata zwykł mawiać, że jeśli nie potrafisz uciec wielkim psom, lepiej schowaj się na ganku. Jestem skłonna wycofać się z tej zadymy.

Z kieszeni wyciągnął klucz od pokoju.

- Nie sądzę, żeby McKoy komukolwiek złupił skórę. Im dłużej wczytuję się w ten dokument, tym bardziej uważam jego treść za niejednoznaczną, ale daleką od nabijania w butelkę.

Sądzę, że Wayland był naprawdę zszokowany tym, co znalazł w kopalni. Ale Grumer... cóż, on chyba coś jednak ukrywa.

Otworzył drzwi i zapalił światło.

W pokoju panował kompletny rozgardiasz. Szuflady wyciągnięte, drzwi szafy otwarte na oścież. Ktoś powywracał materace na drugą stronę. Ich ubrania leżały rozrzucone na podłodze.

- Pokojówka chyba za dużo wypila - zażartował Paul.

Rachel jednak nie było do śmiechu.

- Wcale cię to nie niepokoi? Ktoś przeszukiwał nasz pokój.

A niech to cholera! Listy taty. I ten portfel, który znalazłeś.

Paul zamknął drzwi. Zdjął płaszcz i jednym ruchem podciągnął poły koszuli. Pas z portfelem owinięty był wokół jego brzucha.

- Dość trudno je znaleźć w tym miejscu.

- Wielki Boże! Nigdy więcej nie skarzę cię za nadmiar przezorności, Paulu Cutler.

Opuścił poły koszuli.

- Kopie korespondencji mam w sejfie w biurze, tak na wszelki wypadek.

- Przewidywałeś, że może się stać coś takiego? Wzruszył ramionami.

- Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Po prostu chciałem być przygotowany. Teraz, gdy Knoll i ta kobieta są tutaj, wszystko może się zdarzyć.

- Może jednak powinniśmy się stąd wynieść. Sędziowska kampania wyborcza w domu nie wydaje mi się już tak paskudna. Marcus Nettles to pestka w porównaniu z tymi

dwojgiem.

- Sądzę, że nadeszła pora, byśmy zrobili coś innego - powiedział Paul spokojnie.

Chwyła w lot jego intencję.

- To prawda. Poszukajmy Waylanda.

Paul patrzył, jak McKoy napiera na drzwi. Rachel stała z tyłu za nim. Intensywność uderzeń olbrzymia wzmocniły trzy ogromne kufle piwa, które pochłonął wcześniej.

- Grumer, otwieraj te przekłete drzwi! - wydierał się McKoy.

Grumer wciąż miał na sobie elegancką koszulę oraz spodnie, w których był na kolacji.

- Co się dzieje, Herr McKoy? Czy zdarzył się kolejny wypadek?

McKoy wtargnął do pokoju, odsuwając Grumera na bok.

Paul i Rachel weszli za nim. Dwie nocne lampki słabo oświetlały pokój. Grumer najwidoczniej był pogrążony w lekturze. Rozłożony egzemplarz przetłumaczonego na angielski dzieła Polka *Wpływ Flamandów na malarstwo niemieckiego renesansu* leżał na łóżku. McKoy chwycił Grumera za koszulę i pchnął go mocno na twardą ścianę, sprawiając, że ramki obrazów zastukały.

- Jestem chamem z Karoliny Północnej. Teraz w dodatku nieźle wstawionym chamem z Karoliny Północnej. Być może nie wiesz, co to znaczy, ale zapewniam cię, że nie wróży ci nic dobrego. Naprawdę nie żartuję, Grumer. Do kurwy nędzy, nie żartuję! Cutler opowiedział mi o literach, które zacierałeś na piasku. Gdzie są zdjęcia?

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

McKoy rozluźnił uchwyt i walnął Niemca pięścią w żołądek. Chudzielec zgiął się w pół i z trudem łapał oddech.

- Spróbujmy zatem jeszcze raz - Wayland wyprostował go. - Gdzie są zdjęcia?

Herr Doktor nie mógł złapać powietrza, pluł żółcią, ale ręką wskazał łóżko. Rachel chwyciła książkę. Między kartkami był plik kolorowych zdjęć, na których widniały ludzkie szkielety oraz litery napisane na piasku.

McKoy pchnął Niemca na dywan i przystąpił do analizowania fotografii.

- Chcę wiedzieć, o co chodzi, Grumer. I, do diabła, po co?

Paul się zastanawiał, czy nie powinien udzielić mu reprimendy z powodu stosowania przemocy, ale doszedł do wniosku, że Grumer zasłużył na cięgi. Oprócz tego Wayland najprawdopodobniej wcale by go nie posłuchał.

- Dla pieniędzy Herr McKoy - wykrztusił w końcu Grumer.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które ci zapłaciłem, nie wystarczyło?

Grumer nie odpowiedział.

- Jeśli nie chcesz za chwilę pluć krwią, lepiej powiedz mi wszystko.

Chudzielec najwyraźniej przestraszył się groźby.

- Przed miesiącem skontaktował się ze mną pewien mężczyzna...

- Nazwisko!

- Nie powiedział, jak się nazywa - Grumer wciągnął powietrze.

Olbrzym szykował się do zadania następnego ciosu.

- Błagam... to prawda. Nie podał nazwiska; rozmawiał ze mną przez telefon. Przeczytał gdzieś, że jestem członkiem ekipy prowadzącej podziemną eksplorację i zaoferował mi dwadzieścia tysięcy euro za informacje. Nie widziałem w tym nic złego. Poinstruował mnie, że skontaktuje się ze mną kobieta imieniem Margarethe.

-I?

- Spotkałem się z nią wczoraj wieczorem.

- Czy ona lub pan przeszukaliście nasz pokój? - spytała Rachel.

- Zrobiliśmy to oboje. Była zainteresowana listami pani ojca.

- Powiedziała dlaczego? - zapytał McKoy.

- Nie. Ale wydaje mi się, że wiem - Grumer oddychał już w miarę normalnie, ale prawą dłońią pocierał żołądek i opierał się o ścianę. - Czy słyszał pan kiedyś nazwę *Retter der Verlorenen Antiquitateri*.

- Nie - odparł Wayland. - Oświeć mnie.

- To grupa złożona z dziewięciu osób. Ich tożsamość nie jest znana, ale wszyscy są bardzo zamożnymi miłośnikami sztuki. Zatrudniają tropicieli, własnych prywatnych detektywów; nazywają ich akwizytorami. Charakter ich działania odzwierciedla nazwa stowarzyszenia, która oznacza „Wybawcy Zaginionych Dzieł Sztuki”. Kradną tylko skarby, które zostały wcześniej skradzione przez innych. Wszyscy akwizytorzy pozostający na usługach członków stowarzyszenia rywalizują o nagrody. Jest to wyrafinowana i kosztowna gra, ale jednak gra.

- Przejdź do meritum - ponaglał Wayland.

- Ta Margarethe, jak podejrzewam, jest akwizytorem.

- Nie powiedziała tego wprost ani nawet nie sugerowała, ale przypuszczam, że mam rację.

- A Christian Knoll? - spytała Rachel.

- Tak samo. Obydwoje starają się za wszelką cenę coś znaleźć.

- Mam coraz większą ochotę ponownie dać ci wpierdol - McKoy zaczął tracić cierpliwość. - Dla kogo pracuje Margarethe?

- Mogę tylko zgadywać, ale przypuszczam, że dla Ernsta Loringa.

Nazwisko nie uszło uwagi Paula; zauważył, że Rachel też drgnęła na jego dźwięk.

- Z tego, co powiedziałaś, wynika, że członkowie klubu zawzięcie ze sobą konkurują. Do odzyskania są tysiące zaginionych skarbów sztuki. Większość z czasów drugiej wojny światowej, ale wiele spośród nich wykradziono z muzeów i prywatnych kolekcji na całym świecie. Całkiem sprytnie, mówiąc szczerze. Kraść ukradzione. Któż zgłosi to policji? - McKoy ruszył w stronę Grumera. - Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę. Zmierzaj do cholernego sedna sprawy.

- Bursztynowa Komnata - odparł Grumer, z trudem łapiąc oddech.

- Każ mu wyjaśnić - Rachel trąciła w ramię Waylanda.

- To znów tylko moje domniemania. Bursztynowa Komnata opuściła Królewiec gdzieś między styczniem a kwietniem 1945 roku. Nikt nie wie tego na pewno. Źródła nie są zgodne. Erich Koch, *gauleiter* Prus Wschodnich, wywiózł bursztynową boazerię na bezpośredni rozkaz Hitlera.

- Koch był jednak protegowanym Hermanna Göringa, w rzeczywistości bardziej lojalnym wobec dowódcy Luftwaffe niż wobec Führera. Rywalizacja między Hitlerem a Göringiem w zakresie gromadzenia zagrabionych dzieł sztuki jest dobrze udokumentowana. Göring miał obsesyjną ideę stworzenia muzeum sztuki narodowej w Karinhall, swojej posiadłości.

- Hitler zastrzegł sobie prawo pierwszeństwa do wszystkich zagrabionych skarbów, ale rywal wielokrotnie zdołał go ubiec.

- W miarę upływu lat Hitler coraz bardziej przejmował się tym współzawodnictwem, co pochłaniało wiele czasu, który powinien poświęcić na inne sprawy. A Göring okazał się bardzo przedsiębiorczy i z zapałem gromadził dzieła sztuki...

- Cóż, do kurwy nędzy, ma to wspólnego z nami? - przerwał mu McKoy.

- Göring pragnął, by Bursztynowa Komnata stanęła w pełnej okazałości w Karinhall. Zdaniem niektórych to właśnie on, nie Hitler, wydał rozkaz wywiezienia jej z Królewca. Zależało mu na tym, żeby Koch bezpiecznie ukrył bursztynową boazerię przed Rosjanami, Amerykanami i Hitlerem. Ale dość powszechna jest też hipoteza, że Hitler odkrył ten plan i skonfiskował skarb, zanim dowódca Luftwaffe zdołał go ukryć.

- Tata miał rację - odezwała się nieoczekiwanie Rachel.

- Co masz na myśli? - Paul spojrział na nią zdumiony.

- Opowiedział mi kiedyś o Bursztynowej Komnacie oraz o przesłuchaniach Göringa już po wojnie. Jedyne, co tamten powiedział, to że dał się ubiec Hitlerowi.

Potem opowiedziała im ojcowską historię o Mauthausen oraz o czterech niemieckich żołnierzach, których torturowano, dopóki nie umarli z zimna.

- Skąd masz te wszystkie informacje? - Paul zwrócił się do Grumera. - Mój teść zgromadził wiele artykułów na temat Bursztynowej Komnaty, ale w żadnym z nich nie padła wzmianka na temat tego, o czym przed chwilą powiedziałeś.

Świadomie nie powiedział „były teść”, Rachel zaś nie skorygowała swoim zwyczajem.

- Nie ma w tym nic dziwnego - wyjaśnił Grumer. - Zachodnia prasa rzadko zajmowała się Bursztynową Komnatą.

- Niewiele osób wie, co to w ogóle jest. Tylko badacze w Niemczech i Rosji przez długie lata studiowali jej dzieje. Słyszałem niejednokrotnie o tej wizycie Göringa w Mauthausen, ale nigdy nie była to relacja naocznego świadka, jak ta powtórzona teraz przez Frau Cutler.

- Jaki to ma związek z naszymi pracami eksploracyjnymi? - chciał ustalić McKoy.

- Jeden z dokumentów potwierdza, że jantarowa boazeria została załadowana na trzy ciężarówki, kiedy Hitler przejął nad nią kontrolę. Ciężarówki ruszyły na południe od Królewca i nikt już nigdy ich nie zobaczył. Były to duże auta ciężarowe...

- Na przykład marki Büssing NAG - dokończył Wayland.

Grumer przytaknął.

McKoy opadł na brzeg łóżka.

- Te trzy ciężarówki, które odnaleźliśmy? - zapytał nieco łagodniejszym tonem.

- Czy nie byłby to zbyt wielki zbieg okoliczności, jak pan sądzi?

- Ale ciężarówki są puste - zaprotestował Paul.

- Właśnie - podjął Grumer. - Być może Wybawcy Zaginionych Dzieł Sztuki dowiedzieli się wcześniej, gdzie ich szukać. Być może to właśnie wyjaśnia żywe zainteresowanie naszymi wykopaliskami obojga akwizytorów.

- Ale pan nie jest do końca pewny, czy Knoll i ta kobieta mają jakieś powiązania z tym stowarzyszeniem - powątpiewała Rachel.

- Rzeczywiście, nie mam, Frau Cutler. Ale Margarethe nie wygląda mi na niezależną kolekcjonerkę. Jakiś czas przebywała pani w towarzystwie Knolla. Czy nie odniosła pani wrażenia, że on pracuje dla kogoś?

- Knoll nie chciał mi powiedzieć, dla kogo.

- Co dodatkowo potwierdza hipotezę Grumera - ocenił McKoy.

Paul wyciągnął z kieszeni marynarki portfel znaleziony w pieczarze i wręczył go Grumerowi.

- Co powiesz o tym? - spytał i zrelacjonował, w jaki sposób wszedł w posiadanie tego przedmiotu.

- Pan znalazł to, czego ja szukałem. Informacje, których żądał zleceniodawca, miały dotyczyć wszelkich śladów pozostawionych później niż w roku 1945. Szukałem w pobliżu pięciu szkieletów, ale nie znalazłem. A to jest dowód, że pieczara została splądrowana dobrych kilka lat po wojnie.

- Na ocalałym skrawku karty jest coś napisane. O co tu chodzi?

Grumer przyjrzał się z bliska.

- To rodzaj zezwolenia czy licencji. Wydane w marcu 1951 roku. Ważne do 15 marca 1955 roku.

- I ta Margarethe chciała właśnie tego? - zapytał Wayland.

- Zamierzała sownie zapłacić za takie znalezisko - przytaknął Grumer.

McKoy przeczesał włosy palcami. Wyglądał na wycieńczonego. Grumer wykorzystał ten moment i podjął próbę usprawiedliwienia się.

- Herr McKoy, nie miałem pojęcia, że pieczara jest splądrowana. Byłem równie podekscytowany jak pan, kiedy się do niej przebiliśmy. Jednak coraz wyraźniej odczytywałem negatywne sygnały. Żadnych ładunków wybuchowych ani nawet niewypałów. Wąski chodnik. Nie było drzwi ani stalowych wzmocnień w szybie, także w jaskini. I te ciężarówki.

- Ciężarówki o dużej ładowności nie powinny się tu znaleźć.

- Chyba że kiedyś przywieziono tu nimi tę pieprzoną Bursztynową Komnatę.

- Słusznie.

- Niech pan nam powie coś więcej o tym, co mogło się nadarzyć - Paul zwrócił się do Grumera.

- Niewiele mogę powiedzieć. Z relacji świadków wynika, że bursztynowe płyty ścienne spakowano do skrzyń, potem załadowano na trzy ciężarówki. Konwój zmierzał najprawdopodobniej na południe, do Berchtesgaden, by znaleźć bezpieczne schronienie w Alpach. Ale armie radziecka i amerykańska zajmowały już niemal całe Niemcy. Nie było dokąd jechać. W tej sytuacji samochody ciężarowe ukryto naprędce byle gdzie. Nie zachowały się żadne relacje z tego wydarzenia. Niewykluczone więc, że ukryto je w jednej z kopalń w górach Harzu.

- Domyślasz się tego na podstawie żywego zainteresowania Margarethe listami Borii oraz faktu, że tu przyjechała.

- I wysnuwasz z tego wniosek, że Bursztynowa Komnata ma z tym coś wspólnego? -

zapytał Wayland.

- Istotnie, taki wniosek wydaje się logiczny.
- Na jakiej podstawie wnioskuje pan, że Loring jest pracodawcą Margarethe?
- To jedynie moje domysły. Wiele czytałem i słyszałem przez lata. Rodzina Lormgów

była i jest żywo zainteresowana Bursztynową Komnatą.

- A dlaczego wymazał pan te litery? - zapytała nagle Rachel. - Czy Margarethe zapłaciła panu także za to?

- Nie do końca. Dała tylko jasno do zrozumienia, że nie powinno w środku pozostać nic, co wskazywałoby na czyjąś obecność w jaskini po 1945 roku.

- Jakie to może mieć znaczenie? - dopytywała się sędzia Cutler.

- Nie mam doprawdy najmniejszego pojęcia.

- Jak ona wygląda? - to pytanie zadał mu Paul.

- To ta sama kobieta, którą opisywał pan po południu.

- Zdaje pan sobie sprawę, że ona mogła zamordować Czapajewa oraz ojca Rachel.

- I nie pisałeś nawet cholernego słówka! - wrzeszczał na niego McKoy. - Powinienem zatłuc cię na śmierć! Zdajesz sobie przecież sprawę, w jakie gówno wdepnąłem, gdy pieczara okazała się już splądrowana. A teraz jeszcze to.

Przetarł oczy, najwyraźniej starając się uspokoić. Zwyciężyła jednak ciekawość.

- Kiedy macie następne spotkanie, Grumer?

- Powiedziała, że zadzwoni.

- Chcę wiedzieć o tym w tej samej sekundzie, kiedy ta suka to zrobi. Mam już tego dość. Czy wyrażam się jasno?

- Nie można jaśniej - wystękał Grumer.

McKoy wstał i ruszył w kierunku drzwi.

- Lepiej, żebyś mnie posłuchał, Grumer. Masz mnie powiadomić w sekundę po tym, jak usłyszysz jej głos.

- Oczywiście. Zgodnie z rozkazem.

Paul otwierał drzwi i w tym samym momencie zadzwonił telefon w ich pokoju. Gdy Rachel weszła, on już trzymał słuchawkę przy uchu. Dzwonił Fritz Pannik. Paul szybko zdał inspektorowi relację z tego, co stało się wcześniej, informując, że Knoll i podejrzana kobieta kręcą się w pobliżu, a przynajmniej byli tu jeszcze przed paroma godzinami.

- Przyślę jutro z rana kogoś z lokalnej policji, by spisał wasze zeznania.

- Sądzi pan, że tych dwoje wciąż tu jest?

- Jeśli to, co mówi Alfred Grumer, jest prawdą, myślę, że tak. Miłych snów, Herr

Cutler, i do usłyszenia jutro.

Paul odłożył słuchawkę i usiadł na łóżku.

- Co o tym sądzisz? - zapytała Rachel.

- Ty jesteś od sądenia. Czy Grumer jest wiarygodnym świadkiem?

- Według mnie nie. Ale McKoy chyba kupił jego opowiastki.

- Nie jestem tego pewien. Mam wrażenie, że nasz poszukiwacz skarbów również coś ukrywa. Nie umiem tego sprecyzować dokładnie, ale on czegoś nam nie mówi. Słuchał bardzo uważnie słów Herr Doktora na temat Bursztynowej Komnaty. Nie możemy jednak teraz się tym przejmować.

- Niepokoją mnie Knoll i ta kobieta. Krążą wokół i wcale mi się to nie podoba.

Usiadła na łóżku obok niego. Jego wzrok padł na pełne piersi, dodatkowo podkreślone obcisłym golfem. Królowa Lodu? Nie dla niego. Czuł jej bliskość ostatniej nocy i ta bliskość nie dawała mu zasnąć. Wdychał jej woń, gdy spała.

W pewnym momencie usiłował sobie wyobrazić, że czas cofnął się o trzy lata, że ciągle są małżeństwem i on wciąż może się z nią kochać. Wszystko wydało mu się takie nierealne.

Utracony skarb. Mordercy krążący wokół. Jego była małżonka znowu razem z nim w jednym łóżku.

- Być może miałaś rację od początku - podjęła rozmowę. W pewnym sensie to wszystko nas zupełnie nie dotyczy i powinniśmy wyplątać się z tej afery. Musimy myśleć o Marli i Brencie. - Spojrzała na niego. - No i jeszcze o nas samych - dodała, nakrywając jego dłoń własną.

- Co masz na myśli?

Pocałowała go delikatnie w usta. Siedział sztywno. Zamienił się w słuł soli. Wtedy objęła go ramionami i pocałowała namiętnie.

- Jesteś pewna, Rachel? - zapytał, gdy przestała.

- Nie rozumiem, dlaczego chwilami bywałam tak wrogo nastawiona. Jesteś dobrym człowiekiem, Paul. Nie zasługujesz na ciosy, które ci zadałam.

- To nie była tylko twoja wina.

- Znowu zaczynasz po dawnemu. Zawsze dzielisz winę na dwoje. Pozwól, że choć raz wezmę całą na siebie.

- Z przyjemnością.

- Chcę tego. I jest jeszcze coś, czego chcę.

Dostrzegł w jej oczach spojrzenie, które zrozumiał w lot.

Zerwał się z łóżka na równe nogi.

- To naprawdę oryginalne. Nie byliśmy ze sobą od trzech lat. Zdążyłem już do tego przywyknąć. Sądziłem, że te sprawy., mamy już za sobą.

- Paul, chociaż raz zdaj się na instynkt. Nie wszystko musi przebiegać zgodnie z planem. Cóż złego widzisz w starej jak świat metodzie fizycznego odprężenia?

Wytrzymał jej spojrzenie.

- Pragnę czegoś więcej niż tylko to, Rachel.

- Ja także.

Podszedł do okna, aby zachować dystans; podniósł żaluzje, by cokolwiek robić, by zyskać odrobinę na czasie. Było tego za wiele jak na jego wytrzymałość i działało się zbyt szybko.

Wyjrzał na ulicę, myśląc, jak długo marzył, by znów iść z nią do łóżka. Nie zjawiał się w sądzie na odczytaniu wyroku w sprawie o rozwód. Kilka godzin później odebrał go faksem; sekretarka bez słowa położyła kartkę na jego biurku. Nawet na nią nie spojrzał i zsunął dokument do kosza na śmieci. Jak jednym podpisem sędziego mógł przerwać to, co zdaniem Paula ze wszech miar miało rację bytu?

Spojrzał na Rachel.

Wyglądała cudownie mimo wczorajszych sińców i zadrapań. Od samego początku tworzyli osobliwą parę. Ale on ją kochał i ona jego też. Wspólnie wydali na świat dwoje dzieci, oboje je uwielbiali. Czy teraz los daje im drugą szansę?

Odwrócił się z powrotem do okna i starał się znaleźć odpowiedź w ciemnościach. Już miał zamiar ruszyć w stronę łóżka, kiedy dostrzegł na ulicy znajomą sylwetkę mężczyzny.

To był Alfred Grumer.

Szedł mocnym i zdecydowanym krokiem, najwidoczniej opuściwszy przed chwilą główne wyjście hotelu „Garni”.

- Grumer wychodzi - poinformował.

Rachel skoczyła do okna i przytuliła się do niego, by spojrzeć na ulicę.

- Nie mówił, że zamierza wyjść.

- Być może odebrał telefon od Margarethe - chwycił marynarkę i skoczył ku drzwiom.

- Wiedziałem, że on kłamie.

- Dokąd idziesz?

- Jeszcze pytasz?

Paul i Rachel wyszli z hotelu i skręcili w kierunku, w którym pomaszerował Grumer. Niemiec wyprzedzał ich o jakieś sto metrów, szybko pokonując brukowaną uliczkę, wzdłuż której ciągnęły się nieoświetlone o tej porze sklepy oraz kafejki ciągle jeszcze kuszące zapóźnionych przechodniów piwem, strawą oraz muzyką. Uliczne latarnie co jakiś czas oświetlały drogę żółtawym blaskiem.

- Co my robimy? - zapytała Rachel.
- Sprawdzamy, co on zamierza zrobić.
- Czy to na pewno dobry pomysł?
- Może nie. Ale tak czy inaczej nie mamy wyjścia.

Nie dodał, że oprócz tego ta eskapada pozwoliła mu odłożyć na później trudną życiową decyzję. Zastanawiał się, czy Rachel nie poczuła się samotna albo przestraszona.

Martwiło go to, co powiedziała w Wartburgu, broniąc Knolla, chociaż sukinsyn zostawił ją na pewną śmierć. Paulowi nie bardzo mu odpowiadała rola pocieszyciela.

- Paul, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć.

Grumer wciąż był daleko przed nimi; nie zmniejszał tempa marszu.

-Co?

- Tuż przed eksplozją w kopalni obróciłam się i zobaczyłam nóż w dłoni Knolla.

Zatrzymał się i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Trzymał w ręku sztylet. Potem strop nad nami się zawalił.

-1 mówisz mi o tym dopiero teraz?

- Wiem. Powinam zrobić to od razu. Ale obawiałam się, że nie zostałbyś w Niemczech albo opowiedział o tym Pannikowi, a wtedy on wziąłby sprawę w swoje ręce.

- Rachel, czy tobie naprawdę odbiło? To gównem jest naprawdę poważne! I masz rację, z pewnością bym tu nie został i nie pozwolił zostać tobie. Nie mów mi tylko, do diabła, że możesz robić, co chcesz. - Nagle spojrzał w stronę Grumera, który właśnie zniknął za rogiem po prawej stronie. - Do cholery z tym. Pospieszmy się.

Zaczął niemal biec, aż łopotały poły marynarki. Rachel dotrzymywała mu kroku. Uliczka zaczęła się stopniowo wznosić. Dotarli do rogu, przy którym Grumer skręcił i na moment się zatrzymali. Na lewo znajdowała się zamknięta już „Konditoref z markizami zwisającymi nad rogiem uliczek.

Ostrożnie rozejrzał się dookoła. Grumer wciąż dziarsko maszerował przed siebie,

najwyraźniej nie przejmując się tym, czy jest śledzony Niemiec przeciął niewielki placzyk z fontanną otoczoną rabatami, na których kwitły pelargonie. Wszystko uliczki, sklepy i rośliny - było nieskazitelnie czyste i zadbane, zgodnie z niemieckim charakterem i obyczajem.

- Powinniśmy utrzymywać dystans - odezwał się Paul. Ale tu jest ciemniej, korzystniej dla nas.

- Dokąd idziemy?

- Wygląda na to, że na górę, do opactwa.

Zerknął na zegarek; była dwudziesta druga dwadzieścia pięć.

Z przodu Grumer nagle skręcił w lewo za czarny żywopłot. Podbiegli truchtem i dostrzegli w ciemności, jak zniknął, krocząc betonową ścieżką. Na tabliczce widniał napis OPACTWO POD WEZWANIEM MATKI BOSKIEJ BOLESNEJ. Strzałka wskazywała kierunek na wprost.

- Miałaś rację - powiedziała Rachel. - On zmierza do opactwa.

Weszli na ścieżkę, na której mogły się zmieścić najwyżej cztery osoby. W wieczornym mroku szlak wspinał się stromymi zakolami ku skalnemu urwisku. W połowie drogi minęli jakąś parę spacerowiczów. Dotarli do ostrego zakrętu.

Paul się zatrzymał. Grumer wciąż był przed nimi, forsował stok w szybkim tempie.

- Chodź do mnie - Paul przywołał Rachel, obejmując ją ramieniem i przytulając do siebie. - Jeśli się obejrzy, zobaczy parę zakochanych. Z tej odległości nas nie rozpozna.

Szli teraz wolniej.

- Nie wywiniesz się z tego tak łatwo - dodała.

- Co masz na myśli?

- To, o czym rozmawialiśmy w pokoju. Wiesz dobrze, o co chodzi.

- Nie zamierzam się z niczego wywijać.

- Potrzebowałeś więcej czasu na przemyślenie; ten spacer nadaje się do tego idealnie.

Nie protestował. Miała rację. Musiał to przemyśleć, ale przecież nie teraz. W tej chwili najważniejszym jego zmartwieniem był Grumer. Stroma ścieżka wiła się zakolami, czuł, jak drętwieją mu mięśnie ud i łydek. Sądził, że jest w niezłej kondycji, ale swoje codzienne pięć kilometrów przebiegał w Atlancie po płaskim terenie, który w niczym nie przypominał tego morderczego podejścia.

Ścieżka przed nimi się skończyła, a Grumer zniknął na samym szczycie.

Opactwo nie było już odległym gmaszyskiem. Ogromna fasada miała długość dwóch piłkarskich boisk i wyłaniała się nagle zza skalnego wyłomu; ściany piły się w górę,

wsparte na kamiennych fundamentach. Jaskrawe światło lamp sodowych rozmieszczonych w lesie u podnóża budowli oświetlało kolorowe kamienie i odbijało się w trzech kondygnacjach wysokich wielodzielnych okien.

Przed nimi pojawiło się oświetlone wejście na dziedziniec, otoczony ze wszystkich stron zabudowaniami. Po obu stronach głównej bramy stały dwie baszty. Za nimi podwórzec pograżony był w półmroku. Wyprzedzający ich o najwyższej pięćdziesiąt metrów Grumer zniknął w otwartej furcie. Jaskrawe oświetlenie zbiło nieco z tropu Paula. Gdzieś zza oślepiającego blasku jupiterów dobiegało gruchanie gołębi. Nic nie widział.

Rachel szła przodem, a on podziwiał figury apostołów Piotra i Pawła na poczerńniętych kamiennych cokołach po obu stronach wejścia. Otaczali ich aniołowie i święci na przemian z rybami i syrenami. Pośrodku nad portalem znajdował się herb królewski: dwa złote klucze na niebieskim tle. Na samym szczycie ustawiono ogromny krzyż; w ostrym świetle odczytał inskrypcję: *Absit gloria nisi in cruce*.

- Chwała jedynie w krzyżu - wymamrotał.

-Co?

Wskazał ku górze.

- Inskrypcja. „Chwała jedynie w krzyżu”. Z listu do Galatów, 6,14.

Minęli główną furtę. Umieszczona na słupie tabliczka obwieszczała, że znaleźli się na dziedzińcu furtiana. Na szczęście podwórze tonęło w mroku. Grumer znajdował się już na jego przeciwległym krańcu i wspinał się po szerokich schodach, zmierzając do budowli wyglądającej jak kościół.

- Nie możemy tamtędy wejść- zawyrokowała Rachel. - Ile osób może być w środku o tej porze?

- To prawda. Musimy znaleźć inną drogę.

Rozejrzał się po dziedzińcu i obejrzał badawczo budowlę.

Trzy kondygnacje okien otaczały ich ze wszystkich stron.

Budynki miały barokowe fasady, ozdobione półkolistymi łukami, misternymi stiukami oraz posągami świadczącymi o ich religijnym charakterze. W większości okien było ciemno.

W kilku za zaciągniętymi storami tańczyły cienie.

Kościół, do którego wnętrza wkroczył Grumer, znajdował się na przeciwległym krańcu ciemnego dziedzińca.

Między dwiema bliźniaczymi wieżami znajdowała się rzęsiście oświetlona graniasta kopuła.

Spostrzegł, że przybudówka ostatniego z budynków, który w rzeczywistości mógł być frontem opactwa wychodzącym na Stod i rzekę, usytuowana była na najwyższym punkcie skalnej skarpy.

Wskazał podwójne dębowe drzwi na drugim końcu dziedzińca, z tyłu za kościołem.

- Może za nimi będzie drugie wejście.

Przeszli spiesznie przez brukowany podwórzec, mijając wysepki drzew i krzewów. Wiatr ustał, ale nadal było chłodno.

Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Pchał ciężkie wrota do wewnątrz powoli, żeby nie skrzypiały. Przed sobą zobaczyli coś w rodzaju alejki, na której końcu jarzyły się cztery światła. Weszli do środka. W połowie krużganku prowadziły na górę schody z drewnianą balustradą. Na ścianie wisiały portrety królów i cesarzy. W korytarzu za schodami wyszli na kolejną furkę.

- Kościół musi być na tym poziomie. Te drzwi na pewno prowadzą do wnętrza - wyszeptał.

Klamka ustąpiła za pierwszym naciśnięciem. Uchylił furkę na kilka centymetrów, ciągnąc do siebie. Poczul strumień ciepłego powietrza. Ciężka aksamitna kotara wisiała po obu stronach, zostawiając jedynie wąskie przejście. Światło przenikało przez nią i przebijało od dołu. Położył palec na ustach i razem z Rachel weszli do kościoła.

Uchylił ostrożnie kotarę i rozglądał się badawczo po wnętrzu. Ogromną nawę oświetlały pojedyncze plamy pomarańczowego światła. Monumentalna architektura, freski na suficie oraz sztukaterie tworzyły spójną kompozycję, która po prostu zapierała dech w piersiach. Dominowały czerwień o brązowym odcieniu, kolor szary oraz złoto. Kanelowane marmurowe pilastry sięgały sklepień, każdy wsparty na połączonym cokole ozdobionym rzeźbami.

Pobiegł wzrokiem w prawo.

Połączana korona stanowiła obramowanie centralnej części ogromnego ołtarza głównego. Na wielkim medalionie widniał napis: *Non coronabitur, nisi legitime certaverit.* „Bez sprawiedliwej walki nie ma zwycięstwa”. Znowu Biblia, Tymoteusz, 2,5.

Po lewej stronie ołtarza dostrzegł dwie postacie. Byli to Grumer i blondynka, którą widział rano.

- Ona tu jest - rzucił Paul cicho przez ramię do Rachel. Grumer znów z nią rozmawia.

- Słyszysz coś? - wyszeptała mu do ucha.

Pokręcił przecząco głową i wskazał na lewo. Wąski korytarzyk prowadził do miejsca, gdzie stali ci dwoje; aksamitne kotary opierały się niemal na kamiennej posadzce,

stanowiąc dla nich osłonę. Wąskie drewniane schodki przy końcu korytarza prowadziły najprawdopodobniej na chór. Paul doszedł do wniosku, że w korytarzyku czekali na swoją kolej akolici usługujący do mszy. Na palcach ruszyli przed siebie. Przez kolejną szczelinę ostrożnie zerknął do wnętrza, stojąc nieruchomo za kotarą z aksamitu. Grumer i kobieta stali obok ludowego ołtarza. Czytał gdzieś, że takie ołtarze wnoszono często w europejskich kościołach. Barokowy posąg średniowiecznego katolika ustawiano z dala od głównego ołtarza, umożliwiając wiernym bezpośredni kontakt z Bogiem.

Później wierni dzięki odprawianej liturgii bardziej aktywnie uczestniczyli w nabożeństwie. Dlatego ołtarze ludowe znajdowały się tylko w starych kościołach, a drewniany podest i ołtarz wstawiano zamiast ostatnich, zwykle pustych ławek.

Paul i Rachel znajdowali się teraz zaledwie o dwadzieścia metrów od Grumera i kobiety. Ich cicha rozmowa była ledwo słyszalna, głosy rozchodziły się w pustej przestrzeni.

Suzanne piorunującym wzrokiem patrzyła na Alfreda Grumera, który, o dziwo, okazał się bardzo hardy.

- Co wydarzyło się dzisiaj na miejscu prac eksploracyjnych? - zaczął obcesowo Grumer.

- Zjawił się jeden z moich kolegów i nie wytrzymał nerwowo.

- Widzę, że jest pani na bieżąco poinformowana o wszystkim, co się tu dzieje.

Ton, którym zwracał się do niej Niemiec, nie podobał się jej.

- Nie mam wyboru. Zlecono mi zadanie i dlatego tu jestem.

- Czy ma pani dla mnie pieniądze?

- Czy ma pan dla mnie informacje?

- Herr Cutler znalazł w pieczarze portfel. Z dokumentami wystawionymi w 1951 roku.

Jaskinię splądrowano już po wojnie. Czy o taką informację pani chodziło?

- Gdzie jest ten portfel?

- Nie udało mi się go wykraść; może jutro.

- A listy Borii?

- Nie miałem cienia szansy, by wejść w ich posiadanie.

- Po tym, co zdarzyło się dziś po południu, wszyscy mają się na baczności.

- Dwa razy pan zawiódł i żąda pięciu milionów euro?

- Oczekiwała pani informacji oraz dat. Przekazałem pani te informacje. Zniszczyłem też dowody pozostawione na piasku.

- To tylko pańskie wymysły Sposób na podniesienie ceny Prawda jest taka, że nie

mam żadnych dowodów potwierdzających to, co pan powiedział.

- Porozmawiajmy o konkretach, Margarethe. Konkretem jest Bursztynowa Komnata, czy nie mam racji?

Zbyła pytanie milczeniem.

- Trzy puste niemieckie ciężarówki o dużej ładowności.

- Podziemna pieczara z zawalonym wejściem. Pięć ciał, wszystkie ofiary zabite strzałami w głowę. Między 1951 a 1955 rokiem. To jest jaskinia, w której Hitler ukrył bursztynową boazerię. Później ktoś ją stąd wykradł. Zgaduję, że tym kimś jest pani mocodawca. W przeciwnym razie nie byłaby pani tym tak żywo zainteresowana.

- Spekulacje, Herr Doktor.

- Nawet pani nie mrugnęła okiem, kiedy zażądałem pięciu milionów euro - dodał zadowolony z siebie Grumer; coraz mniej i mniej jej się to podobało.

- Co jeszcze? - zapytała.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, w latach sześćdziesiątych krążyła powszechnie pogłoska, jakoby Josef Loring był faszystowskim kolaborantem. Ale po wojnie udało mu się nawiązać dobre stosunki z komunistami w Czechosłowacji. Trzeba przyznać, że był niezłym graczem. Jego fabryki i huty, jak sądzę, stanowiły potężny argument cementujący tę przyjaźń przez wiele lat. Mówiono, że Josef Loring odnalazł pieczarę, w której Hitler ukrył Bursztynową Komnatę. Miejscowi przysięgają, że przyjeżdżał tu wielokrotnie ze swoimi ludźmi i prowadził potajemnie eksplorację, zanim rząd przejął nad tym kontrolę. W jednym z wyrobisk, jak sobie wyobrażam, odnalazł bursztynowe płyty i florenckie mozaiki. Czy to była Komnata, Margarethe?

- Herr Doktor, nie potwierdzam ani nie zaprzeczam, chociaż pański wykład z historii był niezwykle fascynujący.

- Ale co z Waylandem McKoyem? Czy ma zamiar na tym poprzestać?

- Zamierza dalej drążyć i odnaleźć drugie wejście, ale z pewnością nic nie znajdzie. O czym zresztą pani wie najlepiej, prawda? Powiedziałbym, że wyprawa się skończyła.

- Wobec tego pytam ponownie: czy przyniosła pani ze sobą zapłatę, którą uzgodniliśmy?

Miała Grumera po dziurki w nosie. Loring miał rację.

Był chciwym sukinsynem. I dlatego należało zająć się nim bez dalszej zwłoki.

- Mam dla pana pieniądze; Herr Grumer.

Sięgnęła do kieszeni żakietu i poczuła w dłoni karbowaną rękojeść sauera, do którego krótkiej lufy wcześniej dokręciła tłumik. Nagle coś śmignęło obok jej lewego ramienia i

głucho uderzyło w klatkę piersiową Grumera. Niemiec jęknął, odchylił się do tyłu i runął na posadzkę. W przyćmionym świetle dostrzegła rękojeść sztyletu wykonaną z nefrytu z umieszczonym centralnie ametystem.

Christian Knoll zeskoczył z chóru na kamienną posadzkę głównej nawy z pistoletem w dłoni. Dała nura za podest i wyciągnęła broń, mając nadzieję, że podwyższenie jest zrobione z prawdziwego drewna orzechowego, że nie jest to tylko okleina.

Zaryzykowała i wychyliła się na moment.

Usłyszała stłumiony odgłos strzału; pocisk odbił się rykoszetem od podestu, zaledwie o kilka centymetrów od jej twarzy. Przypadła do ziemi i przeczołgała się do tyłu.

- Pomysłowy ten numer z kopalnią, Suzanne - odezwał się Knoll.

Serce waliło jej jak młotem.

- Wykonuję tylko swoją robotę, Christianie.
- Musiałaś zamordować Czapajewa?
- Przepraszam, drogi przyjacielu, ale nie mogę wdawać się w szczegóły.
- To było haniebne! Chcę się dowiedzieć, dlaczego to zrobiłaś, zanim umrzesz.
- Jeszcze nie umarłam.

Usłyszała cichy chichot Knolla, który odbił się echem po świątyni.

- Tym razem mam pistolet - powiedział Knoll. - To ten prezent od Loringa. Doskonała broń na dzisiejszą okazję.

CZ-75B. Magazynek z piętnastoma nabojami. Do tej pory Knoll wystrzelił jeden. Zostało mu czternaście szans na zadanie jej śmiertelnego ciosu. O wiele za dużo.

- Nie ma tu belek z lampami, które mogłabyś zestrzelić, Suzanne. W rzeczywistości znalazłaś się w potrzasku.

Zrozumiała, że miał rację, i poczuła dziwną słabość.

Paul słyszał jedynie strzępy rozmowy. Przekonał się jednak, że jego podejrzenia wobec Grumera były jak najbardziej uzasadnione. Herr Doktor najwyraźniej działał na dwa fronty i właśnie przed chwilą poniósł cenę, jaką czasem przychodzi płacić za brak lojalności.

Patrzył ze zgrozą, jak Grumer kona, a dwoje pozostałych wyrównuje między sobą rachunki. Towarzyszyły temu przytłumione odgłosy wystrzałów; pociski leciały przez nawę niczym puch z rozdartych poduszek. Rachel zerkała znad jego ramienia. Oboje stali nieruchomo, nawet nie drgnęli, nie chcąc ujawnić swojej obecności. Wiedział, że muszą wyjść czym prędzej z kościoła, ale jak to uczynić w przenikliwej ciszy? W odróżnieniu od dwójki walczącej w nawie głównej nie byli uzbrojeni.

- To jest Knoll - szepnęła mu do ucha Rachel.

Domyślił się oczywiście. A ta kobieta była bez wątpienia Jo Myers vel Suzanne, jak nazywał ją Knoll. Natychmiast rozpoznał jej głos. Nie miał teraz wątpliwości, że to ona zabiła Czapajewa, ponieważ nie wyparła się tego. Nagabnięta wprost przez Knolla. Rachel przytuliła się mocno do Paula. Drżała na całym ciele. Sięgnął do tyłu i chwycił ją za udo, przyciągając do siebie uspokajająco, ale jego dłoń również drżała.

Knoll przykucnął w drugim rzędzie ławek. Było to korzystne usytuowanie. Wprawdzie nie znał rozkładu kościoła, jednak nie ulegało wątpliwości, że Danzer nie miała szansy uciec, nie wystawiając się przynajmniej przez kilka sekund na pewny strzał.

- Powiedz mi, Suzanne, po co ci była ta eksplozja w kopalni? Nigdy wcześniej nie przekraczaliśmy pewnej granicy.

- To, co zrobiłam, zapewne przeszkodziło ci sprzątnąć tę Cutler. Zamierzałeś ją zerznąć, a potem dla odmiany poderznąć gardło, prawda?

- Oba pomysły przeszły mi przez głowę. Mówiąc prawdę, nastawiony byłem bardziej na to pierwsze rozwiązanie, a ty nagle przerwałaś mi w tak grubiański sposób.

- Przykro mi, Christianie. Wygląda na to, że pani Cutler powinna mi dziękować. Widziałam na własne oczy, że wyszła cało z wybuchu. Nie sądzę, żeby miała tyle szczęścia w konfrontacji z twoim sztyletem. Ominęło ją to, co spotkało Grumera, prawda?

- Jak to ładnie określiłaś, Suzanne, ja też wykonuję tylko swoją robotę.

- Posłuchaj, Christianie, być może nie powinniśmy uciekać się do ostateczności. Proponuję ci rozejm. Moglibyśmy wrócić do hotelu i nieco się odprężyć, pozbywając się frustracji wraz z potem. Co ty na to?

Propozycja była kusząca. Ale tym razem sprawy zaszły za daleko; wiedział, że Danzer usiłowała tylko zyskać na czasie.

- No, Christianie. Gwarantuję, że będzie o niebo lepiej niż z tą rozpieszczoną Moniką. Nigdy przecież nie narzekałeś.

- Zanim to rozważę, muszę ci zadać kilka pytań.

- Spróbuję odpowiedzieć.

- Dlaczego ta pieczara jest dla ciebie taka ważna?

- Nie mogę o tym mówić. Lojalność, rozumiesz to najlepiej.

- Ciężarówki są puste. Nic na nich nie ma. Skąd więc to zainteresowanie?

- Ta sama odpowiedź.

- Archiwista w Sankt Petersburgu jest na waszej liście płac, mam rację?

- Oczywiście.

- Wiedziałaś, że pojechałem do Georgii?
- Sądziłam, że robię słusznie, schodząc ci z drogi. Najwidoczniej jednak nie.
- Byłaś w domu Borii?
- Naturalnie.
- Gdybym nie skręcił starcowi karku, ty byś to zrobiła, prawda?
- Znasz mnie zbyt dobrze.

Paul stał tuż za zasłoną, gdy usłyszał, jak Knoll przyznaje się do zamordowania Karola Borii. Rachel jęknęła i cofnęła się do tyłu, odpychając się od niego. Zasłona się naprężyła.

Zrozumiał, że ruch i jej głuche westchnienie były dostatecznie silne, by przyciągnąć uwagę walczącej ze sobą dwójki.

Błyskawicznie popchnął ją na podłogę, obejmując wpeł, by osłabić skutki upadku własnym ramieniem.

Knoll usłyszał jęk i dostrzegł ruch zasłony. Oddał trzy strzały w kierunku aksamitnej tkaniny na wysokości klatki piersiowej człowieka.

Suzanne zauważyła ruch zasłony, ale była całkowicie pochłonięta tym, jak wydostać się z kościoła. Wykorzystała moment, kiedy Knoll strzelał trzykrotnie, by oddać jeden strzał w jego stronę. Pocisk wyrwał drzazgi z kościelnej ławki. Knoll dał nura, próbując się zasłonić, i w tej samej chwili Suzanne ruszyła pędem w stronę pograżonego w ciemnościach ołtarza głównego i ukryła się w przejściu zwieńczonym łukowym sklepieniem.

- Ruszajmy stąd - powiedział bezgłośnie Paul. Podał Rachel dłoń, pomagając jej wstać, i ruszyli biegiem ku drzwiom. Kule podziurawiły kurtynę i wbiły się w kamień.

Miał nadzieję, że Knoll i kobieta będą zbyt zajęci sobą, żeby zawracać sobie głowę intruzami. Chyba że połączą siły, uznając ich za wspólnego wroga. Nie miał zamiaru czekać bezczynnie, by się przekonać, którą z opcji tamci dwoje wybiorą.

Dobiegli do kościelnej furty.

Czuł rwący ból w ramieniu, ale zastrzyk adrenaliny we krwi działał jak silny środek znieczulający. Gdy znaleźli się na zewnątrz świątyni, odważył się powiedzieć głośniejszym głosem:

- Nie możemy biec przez dziedziniec, bo nas wystrzelają jak kaczki.

Skierował się ku schodkom prowadzącym na górę.

- Chodź - ponaglił ją.

Knoll widział, jak Danzer znika pod ciemnym sklepieniem, ale kolumny, podest i ołtarz utrudniały mu oddanie celnego strzału. Pełgające cienie również nie ułatwiały zadania.

W tym jednak momencie bardziej go interesowało, kto stał za zasłoną. Knoll szedł do kościoła tą samą drogą, ale wybrał schodki prowadzące na chór.

Ostrożnie podszedł do kotary i zerknął za nią z pistoletem gotowym do strzału.

Nie było nikogo.

Usłyszał, jak drzwi się otwierają, a następnie zamykają.

Szybko podbiegł ku zwłokom Grumera, stanął nad nim w rozkroku i wyciągnął sztylet. Wytarł ostrze z krwi i wsunął klingę do pochwy w rękawie.

Następnie minął zasłonę i ruszył na łowy.

Paul prowadził schodami na górę, kątem oka zerkając na uduchowione oblicza królów i cesarzy w ciężkich ramach. Rachel szła pospiesznie za nim.

- Ten skurwiel zamordował tatę - wydusiła z siebie.
- Wiem, Rachel. Teraz jednak my jesteśmy w poważnych tarapatach.

Zawrócił na podeście schodów, potem niemal przeskoczył ostatnie kilka stopni. Na górze był kolejny ciemny korytarz. Usłyszał, jak pod nimi otwierają się drzwi. Zastygł w bezruchu, zatrzymując Rachel i zatykając jej usta dłonią.

Z dołu dobiegł odgłos kroków. Powoli, ale zdecydowanie zmierzały w ich stronę. Gestem nakazał jej milczenie i na palcach skręcili w lewo - w jedynym kierunku, w którym mogli iść - ku zamkniętym drzwiom na końcu korytarza.

Nacisnął klamkę.

Ustąpiła.

Uchylił drzwi do środka i wsunęli się do wnętrza.

Suzanne stała w ciemnej niszy za głównym ołtarzem. Silny i słodki zapach kadzideł z dwóch metalowych czar ustawionych pod ścianą drażnił jej nozdrza. Kolorowe szaty liturgiczne wisiały w dwóch rzędach na metalowych wieszakach.

Powinna dokończyć to, co rozpoczął Knoll. Sukinsyn, tym razem on był z pewnością górą. Niepokoilo ją najbardziej, w jaki sposób ją odnalazł. Zachowała ostrożność, opuszczając hotel; oglądała się często do tyłu w drodze do opactwa. Nikt jej nie śledził, była pewna. Nie. Knoll był wcześniej w kościele i czekał. Ale jakim cudem? Grumer? Możliwe. Martwiło ją, że Knoll tak dokładnie znał jej plany. Zastanawiała się też, dlaczego nie kontynuował pogoni, kiedy umknęła mu z kopalni.

Spodziewała się większego rozczarowania, gdy odjeżdżała mu sprzed nosa; wyraz jego twarzy jej nie usatysfakcjonował.

Spojrzała wzdłuż sklepienia.

Christian wciąż był w kościele; musiała go odnaleźć, by załatwić sprawę ostatecznie. Loring życzyłby sobie tego.

Żadnych niepotrzebnych świadków. Nawet jego. Wyrzała i dostrzegła, jak Knoll znika

między kotarami.

Drzwi zostały otwarte, potem zamknięte.

Usłyszała kroki na schodach prowadzących na górę.

Z sauerem w dłoni ruszyła ostrożnie w kierunku oddalającego się odgłosu.

Knoll na górze dosłyszał ciche kroki. Ktokolwiek to był, wchodził po schodach.

Podążył w tamtą stronę z pistoletem gotowym do strzału.

Paul i Rachel stanęli w przepastnym pomieszczeniu. Napis na tabliczce obwieszczał w języku niemieckim, że znaleźli się w Sali Marmurowej. Pilastry z tego surowca, rozmieszczone równomiernie wzdłuż czterech ścian, miały co najmniej dwanaście metrów wysokości; wszystkie były bogato ornamentowane połączanymi liśćmi. Mury utrzymane w kolorze soczystej brzoskwini i jasnej szarości. Sufit zdobiły wspaniałe freski, przedstawiające rydwany, lwy oraz wizerunek Herkulesa. Trójwymiarowe elementy architektoniczne sprawiały, że rozwieszona na wszystkich ścianach obrazy dawały wrażenie głębi, choć znajdowały się na płaszczyźnie.

Malarskie motywy zapewne zainteresowałyby Paula znacznie bardziej, gdyby nie facet z nabitym pistoletem, który najprawdopodobniej deptał im po piętach.

Szedł przodem po posadzce ułożonej w szachownicę.

Mijali mosiężne kraty w podłodze, przez które do wnętrza napływało ciepłe powietrze. Kolejne zdobione drzwi znajdowały się na przeciwległym krańcu komnaty. Z tego, co widział, nie mieli innego wyjścia.

Drzwi, przez które weszli, nagle skrzyknęły i uchyliły się do wewnątrz.

W mgnieniu oka Paul otworzył drzwi przed sobą i wyszli na okrągły taras. Za ciężką kamienną balustradą rozciągała się ciemność sięgająca aż po Stod gdzieś daleko w dole.

Aksamitny nieboskłon nad ich głowami usiany był gwiazdami. Za nimi widniała jasno oświetlona bursztynowo-biała fasada, odcinając się wyraźnie w mroku nocy. Kamienne lwy i smoki spoglądały w dół, nieprzerwanie stróżując. Na twarzach poczuli chłodny powiew. Taras zdolny pomieścić dziesięć osób miał kształt końskiej podkowy, dochodząc do kolejnych drzwi naprzeciwko.

Ruszyli z Rachel po obwodzie ku tamtym drzwiom.

Były zamknięte.

Drzwi, przez które przed momentem weszli, powoli się uchylały. Wyjrzał pospiesznie za balustradę i zrozumiał, że nie ma którejdy uciekać. Za tarasem stumetrowa otchłań sięgała aż do rzeki.

Rachel chyba już się domyśliła, że znaleźli się w potrzasku, bo spojrzała na niego

oczyma pełnymi łez. Z pewnością zadawali sobie to samo pytanie.

Czy naprawdę czeka ich śmierć?

Knoll otworzył drzwi i zorientował się, że prowadzą na taras.

Stanął nieruchomo. Danzer pewnie wciąż czaiła się gdzieś za nim. Nie mógł jednak wykluczyć, że czmychnęła z opactwa. To bez znaczenia. Gdy tylko się dowie, kto oprócz nich był w kościele, znajdzie ją w hotelu. Jeśli nie tam, poszuka gdzie indziej. Tym razem nie pozwoli jej się wymknąć.

Wyjrzał zza grubych dębowych drzwi i przebiegł wzrokiem taras. Nie zobaczył nikogo. Zrobił krok do przodu i zamknął za sobą drzwi, potem przeszedł przez szerokie zakole.

W połowie drogi spojrzął w bok. Światła Stod mieniły się na lewo; rzeka biegła głęboko w dole po prawej. Dotarł do kolejnych drzwi i przekonał się, że są zamknięte.

Nagle wrota prowadzące do Sali Marmurowej na drugim krańcu tarasu otworzyły się z impetem i pojawiła się Suzanne Danzer. Skoczył za balustradę i ukrył się za kamiennymi filarami.

Padły dwa przytłumione strzały wymierzone prosto w niego.

Chybiła.

Odpowiedział ogniem.

Danzer oddała kolejny strzał w jego kierunku. Kamienne okruchy, które odpadły od muru, oślepiły go na moment.

Doczołgał się do najbliższych drzwi. Żelazny zamek pokryty był rdzą. Wypalił dwa razy i zamek puścił.

Otworzył natychmiast drzwi i wczuł się do środka.

Danzer zdecydowała, że wystarczy. Widziała, jak drzwi po drugiej stronie podkowiastego tarasu się otworzyły. Nikt nie wszedł do środka. Knoll musiał się wczułgać. Dystans między nimi się zmniejszał, a Knoll był zbyt niebezpieczny, by mogła go ścigać, wystawiając się na jego strzały. Wiedziała, że był na samej górze opactwa, a zatem za najrozsądniejsze uznała wyjście z potrzasku i powrót do miasta, zanim drań zdoła się przemieścić na dół. Musi opuścić Niemcy i jak najszybciej wracać do zamku Loukov pod skrzydła Ernsta Loringa. Jej misja w Stod dobiegła końca. Grumer nie żył i podobnie jak w przypadku Karola Borii, załatwił to za nią Christian. Miejsce podziemnej eksploracji wydawało się także bezpieczne. Wobec powyższego narażanie się teraz byłoby idiotyczne.

Zawróciła i pobięła z powrotem przez Salę Marmurową.

Rachel trzymała się zimnego kamiennego słupka balustrady. Paul wisiał obok niej, desperacko zaciskając dłonie na kolumieniec. To ona wpadła na pomysł, żeby zawiśli na

zewnątrz, kiedy otwierały się drzwi na drugim końcu tarasu. Pod ich stopami rozciągała się nieprzenikniona czeluść. Silny wiatr miotał ich ciałami. Z każdą sekundą Rachel miała coraz mniej sił.

Ze zgrozą słuchali, jak kule odbijały się od tarasu i śmigały w ciemnościach. Żywili w duchu nadzieję, że ktokolwiek za nimi podążał, nie wyjrzy za balustradę. Paul, zapuszczając żurawia, zobaczył, jak zamek drzwi z tej strony tarasu został przestrzelony i ktoś wczołgał się do środka.

- Knoll - wyszeptał.

Od jakiejś minuty panowała cisza. Nie dobiegał ich żaden odgłos.

Czuła ból w ramionach.

- Dłużej nie wytrzymam - powiedziała cicho.

Paul wyjrzał raz jeszcze.

- Nie ma nikogo. Podciągamy się.

Przerzucił prawą nogę przez poręcz, potem dźwignął całe ciało i przeleciał na drugą stronę balustrady. Następnie chwycił ją za rękę i wciągnął. Gdy oboje poczuli grunt pod nogami, oparli się o zimną balustradę i spoglądali w dół ku srebrnej nitce rzeki.

- Nie mogę uwierzyć, że się nam udało.

- Chyba zwariowałem do końca, wdając się w to wszystko.

- Przecież to ty przyciągnąłeś mnie tu na górę.

- Nawet mi o tym nie przypominaj.

Paul odchylił przymknięte drzwi, ona weszła do środka za nim. Pomieszczenie okazało się biblioteką. Wszystkie ściany od podłogi do sufitu zastawione były regałami z połyskującego drewna orzechowego, a na nich spoczywały opasłe tomiska, których grzbiety były połączane z barokowym przepychem. Minęli furtę z kutego żelaza i szybko sunęli po śliskim parkiecie. Dwa ogromne drewniane globusy stały w niszach między półkami. W ciepłym powietrzu czuć było woń stęchlizny. Żółty prostokąt światła przebijał przez drzwi otwarte na drugim końcu biblioteki; za nimi dostrzegli wierzchołek jeszcze jednych schodów.

Paul wskazał gestem przed siebie.

- Tędy.

- Knoll tutaj wszedł - przypomniała.

- Wiem. Ale musiał stąd zniknąć po całej tej strzelaninie.

Wyszła za Paulem z biblioteki i zeszła schodami w dół.

Ciemny korytarz na dole skręcał gwałtownie w prawo. Miała nadzieję, że będzie tam

furta, która wyprowadzi ich na dziedziniec. Gdy dochodzili do końca schodów, Paul obrócił się gwałtownie na bok; z ciemności wyłonił się czarny cień i jej były mąż osunął się na ziemię.

Dłoń w rękawiczce chwyciła Rachel za gardło, uniosła ze schodów i uderzyła o ścianę. Przez chwilę ja zamroczyło, a potem zobaczyła dzikie oczy Christiana Knolla, który przyłożył czubek sztyletu do jej podbródka.

- To jest twój były mąż? - spytał chrapliwie, zionąc na nią ciepłym oddechem. - Przybył ci na ratunek?

Spojrzała na Paula leżącego bez ruchu na kamiennej posadzce. Z powrotem podniosła oczy na Knolla.

- Być może nie mieści się to w twojej głowie, Frau Cutler, ale nie mam powodów, by cię zabijać. Uśmiercenie ciebie z pewnością byłoby rozwiązaniem ostatecznym, ale niekoniecznie najbardziej rozsądnym. Najpierw umiera ojciec, potem ty. Dwa zgony jeden po drugim. Nie. Chociaż bardzo chciałbym pozbyć się kłopotu, nie mogę cię zabić. A zatem proszę, wracaj do domu.

- Zabiłeś... mojego ojca.

- Twój ojciec rozumiał, jakie zagrożenia niesie ze sobą życie. Powinnaś posłuchać jego rad. Ja też znam mit o Faetonie.

- Fascynująca opowieść o impulsywnym młodzieńcu. I o bezradności starszych ludzi, usiłujących młodym przekazać własne doświadczenie i rozsądek. Co bóg słońca powiedział Faetonowi? „Spójrz mi w twarz i jeśli możesz, spójrz w moje serce. Zobaczysz tam ojcowski niepokój i miłość”. Weź sobie do serca to ostrzeżenie, Frau Cutler. Mogę zawsze zmienić zdanie. Czy naprawdę pragniesz tego, by te cudowne dzieciaki ronily łzy z bursztynu, kiedy zginiesz rażona gromem?

Nagle przypomniała sobie ojca leżącego w trumnie.

Pochowała go w tweedowej marynarce, tej samej, w której pojawił się w sądzie na rozprawie o zmianę nazwiska. Nigdy nie wierzyła, że tak po prostu spadł ze schodów. Jego morderca był teraz tuż obok i przyciskał ją do muru. Przesunęła się i zamachnęła, by uderzyć Knolla kolanem w krocze, ale dłoń wokół jej szyi wzmocniła uchwyt, a czubek sztyletu przeciął skórę.

Stęknęła i wzięła głęboki oddech.

- No, no, Frau Cutler. Tylko bez numerów.

Knoll puścił jej gardło, ale wciąż trzymał sztylet przy podbródku. Przesunął dłonią wzdłuż jej ciała do krocza i chwycił ją mocno.

- Jestem pewien, że nie miałabyś nic przeciw temu. Przesunął dłoń wyżej i zaczął masować przez sweter jej piersi. - Naprawdę szkoda, że nie mamy więcej czasu.

Nagle wzmocnił uścisk na prawej piersi i przekręcił dłoń.

Poczuła rwący ból.

- Posłuchaj mojej rady, Frau Cutler. Wracaj do domu. I bądź szczęśliwa. Wychowaj dzieci na porządnym ludzi - przykazał, a następnie wskazał ręką Paula. - Zrób dobrze swojemu byłemu i zapomnij o wszystkim. To nie jest twoja sprawa.

- Zabiłeś mojego... ojca - zdołała wyrzucić z siebie mimo bólu.

Prawa dłoń poluzowała uścisk piersi i zacisnęła się ponownie na jej szyi.

- Jeśli spotkamy się jeszcze raz, poderżnę ci gardło.

Zrozumiałaś?

Nie odpowiedziała. Nóż wsunął się głębiej. Chciała krzyknąć, ale nie mogła.

- Pytam, czy zrozumiałaś? - Knoll cedził słowa.

- Tak - odpowiedziała bezgłośnie.

Cofnął ostrze. Krew kapiała z ranki na szyi. Stała nieruchomo oparta o ścianę. Niepokoiła się o Paula. Wciąż się nie poruszał.

- Proszę zrobić tak, jak mówię, Frau Cutler.

Ruszył ku wyjściu.

Rzuciła się na niego.

Knoll machnął prawą ręką i rękojeść sztyletu trafiła ją w prawą skroń. Oczy uciekły jej gdzieś do tyłu. Korytarz zawirował. Do gardła napłynęła żółć. Zobaczyła, jak Marla i Brent biegną w jej stronę z rozwartymi ramionami. Coś krzyczeli, ruszali ustami, lecz nie mogła rozróżnić słów.

Ogarnęła ją ciemność.

CZEŚĆ CZWARTA

23.50

Suzanne biegła w dół zboczem w kierunku miasta. Po drodze minęła trójkę zapóźnionych spacerowiczów, na których nawet nie spojrzała. Jedyne jej zmartwieniem było dotrzeć do hotelu „Gebler”, zabrać rzeczy i zniknąć. Poczucie się bezpiecznie dopiero po przekroczeniu czeskiej granicy i dotarciu do zamku Loukov, dopóki Loring i Fellner nie rozwiążą tej sprawy między sobą.

Nagle pojawienie się Knolla zaskoczyło ją po raz drugi.

Zaciekły sukinsyn! Wiedziała jednak, że bardzo boleśnie nadepnęła mu na odcisk. Postanowiła, że nie popełni po raz kolejny tego samego błędu. Nie wolno go drażnić. Jeśli Christian jest w Stod, ona musi wynosić się z tego kraju.

Dotarła do uliczki i szybkim truchtem ruszyła w stronę hotelu.

Dzięki Bogu, była już spakowana. Wszystko było gotowe do wyjazdu, planowała bowiem opuścić Stod natychmiast po wykończeniu Alfreda Grumera. Drogę oświetlało teraz mniej latarni niż przedtem, ale wejście do hotelu tonęło w powodzi świateł. Weszła do holu. Pełniący nocny dyżur recepcjonista stukał w klawiaturę komputera; nawet nie podniósł głowy. Na górze zarzuciła na ramię torbę podróżną i położyła na łóżku zwitek euro; kwota znacznie przekraczała należność za noclegi. Nie miała czasu na formalności.

Próbowała przemyśleć wszystko od początku. Może Knoll nie wiedział, gdzie się zatrzymała. Stod było sporym miastem, hotele i zajazdy napotykało się co krok. Nie, zdecydowała. On wiedział i prawdopodobnie zaraz się tu pojawi.

Pomyślała znów o tarasie na samej górze opactwa. Knoll szedł za kimś, kto był obecny w kościele przez cały czas.

To powinno ją również niepokoić. Jednak to nie ona zabiła Grumera. Bez względu na to, co ów ktoś widział, w znacznie większym stopniu było to zmartwienie Knolla niż jej.

Z torby podróżnej wyjęła zapasowy magazynek do sauera i załadowała. Potem wsunęła pistolet do kieszeni. Na dole przeszła szybko przez hol i wyszła przed front. Spojrzała w prawo, potem w lewo. Knoll, oddalony o jakieś sto metrów, zmierzał w jej kierunku. Gdy ją zobaczył, zaczął biec. Sprintem ruszyła przed siebie wzdłuż opustoszałej ulicy, potem skręciła za róg.

Biegła, klucząc, bez ustanku. Może uda jej się zgubić go w labiryncie starych i bliźniaczo do siebie podobnych uliczek.

Zatrzymała się. Z trudem łapała powietrze.

Z tyłu dobiegał ją odgłos kroków.

Przybliżały się.

Był tuż, tuż.

W suchym powietrzu Knoll, oddychając, wypuszczał kłęby pary. Idealnie wyliczył czas. Jeszcze kilka chwil i dopadnie sukę.

Skręcił i za rogiem się zatrzymał.

Cisza.

To ciekawe.

Chwył pistolet i ostrożnie ruszył do przodu. Wczoraj przestudiował na planie otrzymanym w biurze turystycznym rozkład starej części miasta. Między kwartałami zabytkowych budynków przebiegały wąskie brukowane uliczki i jeszcze węższe alejki. Spadziste dachy, mansardowe okna oraz łuki przyozdobione mitologicznymi stworami znajdowały się z każdej strony. Łatwo było się zgubić w tym labiryncie podobnych uliczek. Jednak on wiedział dokładnie, gdzie Danzer zastawiła stalowoszare porsche. Odnalazł je wczoraj w czasie rozpoznania terenu, wiedząc, że prawdopodobnie zaparkowała w pobliżu hotelu szybki samochód.

Skierował się więc teraz właśnie tam, jak zresztą zamierzała uczynić i ona w chwili, gdy go dojrzała.

Znów się zatrzymał.

Cisza niemal dźwięczała w uszach.

Z oddali nie dobiegał odgłos uderzających o kocie łby butów.

Ruszył powoli przed siebie i doszedł do rogu. Ulica była prosta; jej mrok rozpraszała jedynie lampa usytuowana na przeciwległym krańcu. W połowie znajdowało się kolejne skrzyżowanie. Alejka biegnąca w prawo miała zaledwie trzydzieści metrów i kończyła się przed czymś, co wyglądało na zaplecze sklepu. Nieduży pojemnik na śmieci stał po prawej, czarne bmw po lewej stronie. Była to właśnie alejka raczej niż ulica. Doszedł do końca i sprawdził samochód. Zamknięty.

Podniósł klapę pojemnika na śmieci. W środku było tylko kilka gazet i plastikowa torba cuchnąca zepsutą rybą. Nacisnął klamkę przy drzwiach domu. Były zamknięte.

Z pistoletem w ręku ruszył z powrotem ku głównej ulicy i skręcił w prawo.

Suzanne odczekała pięć minut, zanim wypełzła spod bmw.

Zdołała się wcisnąć pod auto tylko dzięki filigranowej sylwetce. Na wszelki wypadek pistolet miała odbezpieczony.

Knoll nie zajrzał pod auto; zadowolił się sprawdzeniem, czy jego drzwi są zamknięte.

Alejka najwyraźniej była zupełnie wyludniona.

Wyciągnęła z kubła na śmieci torbę podróżną przykrytą starymi gazetami. Rybi fetor przylgnął do skóry, z której zrobiona była torba. Wsunęła sauera do kieszeni i zdecydowała się pójść do swego auta inną drogą. Przez chwilę pomyślała, czy nie lepiej zostawić je w cholerę i rano wynająć samochód.

Zawsze mogła tu później wrócić i zabrać swoje porsche, gdy sprawy się ułożą. Jej zadaniem było wykonanie tego, czego żądał pracodawca. Chociaż Loring pozostawił jej wolną rękę, coraz bardziej obawiała się bezpośredniej konfrontacji z Knollem oraz przyciągnięcia uwagi osób postronnych.

Ponadto całkowita eliminacja rywala okazała się dużo trudniejsza niż jej się wydawało.

Zatrzymała się w alejce przed skrzyżowaniem i przez kilka sekund nasłuchiwała.

Nie usłyszała jego kroków.

Zerwała się do biegu, lecz nie skręciła w prawo, jak uczynił to Knoll. Pobiegła w lewo.

Nagle w czoło uderzyła ją pięść, która wyłoniła się z ciemnego wejścia. Głowa odskoczyła jej do tyłu i wróciła na swoje miejsce. Ból w pierwszej chwili był ogromny; następnie poczuła, że czyjaś dłoń owija się wokół jej szyi. Jej ciało uniosło się ponad ziemię i ciężko gruchnęło o ścianę. Na twarzy Christiana Knolla pojawił się odpychający nordycki uśmiech.

- Uważasz mnie za aż takiego głąba? - zapytał; ich twarze dzieliły zaledwie centymetry.

- Przestań, Christianie. Spróbujmy załatwić to polubownie. W opactwie zaproponowałam ci rozwiązanie konfliktu poważnie. Chodźmy do twojego pokoju. Pamiętasz, jak było we Francji? To prawdziwa rozkosz.

- Cóż jest tak ważne, że postanowiłaś mnie z tego powodu zabić? - chciał zaspokoić ciekawość, zaciskając jednocześnie uścisk na jej krtani.

- Jeśli ci powiem, puścisz mnie?

- Ja nie żartuję, Suzanne. Mam przykazane postępować tak, by przyniosło mi to satysfakcję. Jestem przekonany, że wiesz, co mi przynosi satysfakcję.

- Kto oprócz nas był w kościele? - postanowiła zyskać na czasie.

- Cutlerowie. Wygląda na to, że są tym bardzo zainteresowani. Zechcesz mnie może oświecić?

- Skąd mam to wiedzieć?

- Jestem przekonany, że wiesz dużo więcej niż skłonna będziesz wyjawić - zacisnął mocniej dłoń na jej szyi.

- Dobrze już, dobrze, Christianie. Chodzi o Bursztynową Komnatę.
- A konkretnie?
- Komnatę ukrył tu Hitler. Musiałam się co do tego upewnić i dlatego tu jestem.
- Upewnić się co do czego?
- Wiesz, że to interesuje Loringa. Poszukuje jej od lat, zresztą tak jak Fellner.

Zyskaliśmy po prostu informacje, których wy nie macie.

- Na przykład?
- Wiesz, że nie mogę powiedzieć. To nie *fair*.
- A wysadzenie mnie w powietrze było *fair*. Co jest grane, Suzanne? To nie są zwykłe

łowy.

- Proponuję ci układ. Wróćmy do twojego pokoju. Porozmawiamy potem.

Przyrzekam.

- Nie mam najmniejszej ochoty na seks.

Jednak dopięła swego. Dłoń na jej szyi rozluźniła uścisk na tyle, by zdołała odbić się od ściany i wymierzyć mu potężnego kopniaka kolanem w jądra.

Knoll zgiął się z bólu. Kopnęła go jeszcze raz między nogi, po czym pobiegła co tchu ku wolności.

Knoll czuł niesamowity ból w kroczu. Do oczu napłynęły mu łzy. Ta suka znowu to zrobiła. Szybka jak kot. Puścił ją tylko na moment, chcąc poprawić uchwyt. Ale to wystarczyło, by zaatakowała.

Psiakrew!

Podniósł wzrok i zobaczył, jak Danzer znika w końcu ulicy. Między nogami nie przestawało boleć. Z trudem łapał oddech, ale zapewne uda mu się oddać celny strzał w jej kierunku. Sięgnął do kieszeni po pistolet, ale zatrzymał się w połowie drogi.

Nie ma potrzeby.

Zajmie się nią jutro.

ŚRODA, 21 MAJA, 1.30

Rachel otworzyła oczy. Głowa pękała jej z bólu. Żołądek podjeżdżał do gardła, czuła mdłości. Sweter cuchnął wymiocinami. Rana na szyi szczypała. Palcem sprawdziła obrys zakrzepłej krwi, potem przypomniała sobie, jak w jej brodę wbijał się szpic sztyletu.

Pochylał nad nią się mężczyzna w brązowym habicie mnicha. Twarz miał pobrużdżoną i wpatrywał się w Rachel zaniepokojonym, wodnistymi oczyma. Siedziała oparta o ścianę w korytarzu, w którym zaatakował ją Knoll.

- Co się stało? - zapytała.

- To ty nam powiedz - usłyszała w odpowiedzi głos Waylanda McKoya.

Usiłowała wyostrzyć spojrzenie.

- Nie widzę cię, McKoy Wielkolud podszedł bliżej.

- Gdzie jest Paul? - zapytała.

- Leży tu nieprzytomny. Nieźle oberwał w głowę. Jesteś cała?

- Tak. Tylko piekielnie boli mnie głowa.

- I nie dziwota. Mnisi usłyszeli strzały w kościele. Znaleźli Grumera, potem was oboje. Twój klucz od pokoju zaprowadził ich do hotelu „Garni”. I w ten sposób ja się tu znalazłem.

- Trzeba wezwać lekarza.

- Ten mnich jest lekarzem. Twierdzi, że twoja głowa jest cała. Nie ma pęknięć.

- A co z Grumerem?

- Zapewne smaży się już w piekle.

- To był Knoll i ta kobieta. Grumer przyszedł tu spotkać się z nią ponownie i zginął z ręki Knolla.

- Pierdolony skurwiel dostał to, na co zasłużył. A czy możesz mi powiedzieć, dlaczego wy oboje nie zaprosiliście mnie na tę eskapadę?

Głowa nie przestawała jej boleć.

- Masz szczęście, że cię nie zaprosiliśmy.

O kilka stóp od nich zajęczał Paul. Ruszyła po kamiennej posadzce. Żołądek powoli się uspokajał.

- Paul, wszystko w porządku? Pocierał lewą stronę głowy.

- Co się stało?

- Knoll się na nas zaczął.

Przysunęła się bliżej i obejrzała jego głowę.

- Skaleczyłaś się w podbródek? - chciał wiedzieć McKoy.

- Nieważne.

- Proszę Wysokiego Sądu. Mamy tu martwego Niemca oraz policjantów, którzy zadają tysiące pytań. Was oboje znaleziono nieprzytomnych, a ty mi mówisz, że to nieważne.

- Co tu się, do cholery, wydarzyło?

- Musimy zadzwonić do inspektora Pannika - powiedział do niej Paul.

- Dobrze, Paul.

- Przepraszam. Halo? Pamiętacie mnie? - wtrącił się Wayland.

Mnich podał jej wilgotny ręcznik. Przyłożyła go Paulowi do głowy. Na tkaninie pojawiła się krwawa plama.

- Chyba rozciął ci głowę.

- Co ci się stało? - Paul dotknął dłonią rany na jej podbródku.

Postanowiła powiedzieć całą prawdę.

- Knoll mnie ostrzegł. Powiedział, żebyśmy wracali do domu i trzymali się z dala od tego.

- Z dala od czego? - McKoy pochylił się nad nimi.

- Nie bardzo wiem - odparła. - Dowiedzieliśmy się tylko, że kobieta zamordowała Czapajewa, a Knoll mojego ojca.

- Skąd to wiecie?

Opowiedziała mu o tym, co się wydarzyło w kościele.

- Nie słyszałem dokładnie wszystkiego, o czym rozmawiali ze sobą Grumer i ta kobieta - dodał Paul. - Tylko oderwane słowa i urywki zdań. Ale wydaje mi się, że jedno z nich, chyba Grumer, wspomniało o Bursztynowej Komnacie.

McKoy pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nigdy nawet mi się nie śniło, że sprawy zajdą tak daleko. Cóż za cholerne głupstwo popełniłem?

- Jakie głupstwo masz na myśli? - zainteresował się Paul.

- McKoy nie odpowiedział.

- No mów! - ponagliła go Rachel.

- Ale łowca skarbów milczał.

McKoy stał w podziemnej pieczarze, usiłując zebrać myśli, i wpatrywał się w trzy

nadgryzione zębem czasu ciężarówki.

Powoli skierował wzrok na wiekowe skalne ściany, szukając w nich jakiegoś śladu. Gdybyż te ściany umiały mówić! Czy powiedziałyby mu więcej niż to, co sam wiedział? Albo więcej niż się domyślał? Czy potrafiłyby mu wyjaśnić, dlaczego Niemcy wjechali do wnętrza góry trzema ciężarówkami, a potem wysadzili dynamitem jedyne wyjście? A może to nie Niemcy zablokowali wejście? Czy te ściany potrafiłyby opisać, w jaki sposób czeski przemysłowiec po latach dostał się do wnętrza jaskini, wykradł to, co tu ukryto, i potem wysadził w powietrze wejście? A może te ściany niczego nie wiedziały? I były równie milczące jak głosy, które przez lata usiłowały przebić się na zewnątrz, lecz trafiały jedynie na szlak wiodący ku śmierci.

Usłyszał odgłosy kroków z tyłu za sobą, od strony wejścia. Drugie wyjście z jaskini nadal zawałone było skalnym rumowiskiem i gruzem, a jego ekipa jeszcze nie przystąpiła do drażenia. Mieli podjąć prace nazajutrz. Spojrzał na zegarek-, dochodziła jedenasta przed południem. Odwrócił się i dostrzegł Paula i Rachel wyłaniających się z cienia.

- Nie spodziewałem się, że pojawicie się tu tak wcześnie.

- Jak wasze głowy?

- Oczekujemy odpowiedzi. McKoy, nie graj z nami w kotka i myszkę - odezwał się Paul. - Jesteśmy zanurzeni w tym po uszy, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie. Wczoraj wieczorem żałowałeś tego, co zrobiłeś. Co miałeś na myśli?

- Nie zamierzacie posłuchać rady Knolla i wrócić do domu?

- Sądzisz, że powinniśmy? - zapytała Rachel.

- Ty jesteś od sądenia.

- Skończcie z tym przekomarzaniem - przerwał Paul. O co chodzi?

- Chodźcie za mną - powiedział Wayland i zaprowadził ich w poprzek pieczary do jednego z ludzkich szkieletów zagłębionych w piasku. - Niewiele zostało z odzieży, którą ci goście mieli na sobie, ale z tych strzępów można wnioskować, że są to mundury pamiętające czasy drugiej wojny światowej. Ten deseń to z pewnością wzór używany przez marynarkę USA.

Pochylił się i wskazał palcem.

- To pochwa od bagnetu M4, wyrób amerykański, także z okresu wojny. Nie jestem pewien, ale kabura wygląda na wzór francuski. Niemcy nie nosili amerykańskich mundurów ani nie używali francuskiego sprzętu. Po wojnie jednak różne struktury militarne i paramilitarne posługiwały się amerykańskim sprzętem. Francuska Legia Cudzoziemska.

Grecka Armia Narodowa. Piechota holenderska. - Wskazał gestem pieczarę. - Jeden z tych nieszczęśników miał na sobie bryczesy oraz buty bez kieszonek. Tak po wojnie ubierali się też Węgrzy pod butem Sowietów. Odzież, puste ciężarówki i portfel, który znalazłeś, wyjaśniają wszystko.

- To znaczy? - zapytał Paul.

- To miejsce ktoś obrabował.

- Doszedłeś do tego na podstawie mundurów, które ci faceci nosili? - zapytała z niedowierzaniem Rachel.

- Chociaż wydaje się wam, że jestem tylko prostakiem z Karoliny Północnej, znam historię wojskowości bardzo dobrze, bo to moje hobby. Pomaga mi to w przygotowaniu prac eksploracyjnych. Wiem, że mam rację. Intuicja podpowiadała mi to już w poniedziałek. Ktoś dotarł do tej jaskini już po wojnie. Co do tego nie mam wątpliwości. Ci nieszczęśnicy byli albo byłymi żołnierzami, albo służyli w wojsku, albo robotników przebrano w wojskowe łachy z demobilu. Zastrzelono ich, kiedy skończyli robotę.

- A zatem całe to przedstawienie w wykonaniu twoim i Grumera było wyreżyserowane? - zachnęła się Rachel.

- Do jasnej cholery, nie. Marzyłem, że to miejsce będzie wypełnione dziełami sztuki, ale gdy tylko zjrzałem do środka, zrozumiałem, że dotarliśmy na miejsce zbrodni. Nie miałem jednak aż do tej pory pojęcia, jak potwornej zbrodni.

Paul wskazał na piasek.

- Obok tego ciała widniały na piasku litery. - Pochylił się i odtworzył na piasku litery O, I oraz C, rozmieszczając je w takich odstępach, w jakich zapamiętał. - Wyglądały mniej więcej tak.

McKoy wyciągnął z kieszeni zdjęcia wykonane przez Grumera.

Paul dopisał trzy dodatkowe litery: L, R, N, wypełniając puste miejsca, i w końcu z C zrobił G. Teraz napis na piasku głosił LORING.

- Sukinsyn - nie wytrzymał Wayland, porównując fotografię z tym, co widział na piasku. - Sądzę, Cutler, że masz rację.

- Jakie argumenty przemawiają za tym? - Rachel skierowała pytanie do Paula.

- Litery nie były wyraźne. Ostatnia z nich mogła być zatartym G. W każdym razie to nazwisko wciąż się pojawia. Twój ojciec wspominał o nim także w jednym z listów.

- Przeczytałem go jeszcze raz całkiem niedawno.

McKoy pogрузił się w lekturze pisanego odręcznie listu.

W połowie tekstu jego uwagę przyciągnęło nazwisko Loringa.

Yancy dzwonił wieczorem w dniu poprzedzającym katastrofę. Odnalazł człowieka, którego brat pracował w posiadłości Loringa; tego, o którym wspominałeś. Miałeś racje. Nie powinienem prosić Yancyego by rozpytał się ponownie, gdy będzie we Włoszech.

Wzrok McKoya spotkał się ze spojrzeniem Paula.

- Sądzisz, że to z powodu twoich rodziców podłożono tę bombę?

- Sam już nie wiem, co o tym myśleć - odparł Paul i wskazał ręką piasek. - Wczoraj wieczorem Grumer mówił o Loringu. Padło to nazwisko także z ust Karola. Może i mój ojciec je rzucił mimochodem. Prawdopodobnie ten gość na piasku właśnie jego chciał wskazać. Wiem tylko, że Knoll zabił ojca Rachel, a ta kobieta uśmierciła Czupajewa.

- Chodźcie, pokażę wam jeszcze coś - powiedział McKoy i poprowadził ich ku mapie rozłożonej w pobliżu jednej z belek oświetleniowych. - Dziś rano wykonałem kilka odczytów z użyciem kompasu. Drugi zawałony szyb biegnie w kierunku północno-wschodnim.

Pochylił się i wskazał palcem.

- To mapa tego rejonu sporządzona w 1943 roku. Była tu kiedyś brukowana droga biegnąca równolegle do podnóża góry i potem skręcająca ku północnemu wschodowi.

Paul i Rachel pochylili się nad mapą.

- Idę o zakład, że te ciężarówki wjechały tu przez to zawałone wejście, a przedtem dojechały tą drogą. Potrzebowały utwardzonej nawierzchni. Były zbyt ciężkie, by poruszać się po piasku i błocie.

- Wierysz w to, co wczoraj wieczorem powiedział Grumer? - zapytała zaintrygowana Rachel.

- Że była tu ukryta Bursztynowa Komnata? Nie mam co do tego wątpliwości.

- A co twoim zdaniem za tym przemawia? - zapytał Paul.

- Podejrzewam, że to nie naziści zawałili wejście, lecz ten ktoś, kto już po wojnie splądrował to miejsce. Niemcy przecież chcieliby w końcu odzyskać bursztynowe płyty, które tu ukryli.

- Wobec tego zamknięcie dostępu do nich nie miało sensu. Ale ten skurwiol, który tu był w latach pięćdziesiątych, z pewnością nie chciał, by ktokolwiek się dowiedział, co stąd zabrał. Zamordował swoich pomocników i zawałił wejście. Natrafiliśmy na tę pieczarę przypadkiem, dzięki wskazaniom radaru geologicznego.

- Fakt, że udało nam się dokopać, to kolejny łut szczęścia.

- Zawsze przydaje się odrobina szczęścia - stwierdziła Rachel filozoficznie.

- Niemcy oraz nasz rabuś najprawdopodobniej nie wiedzieli o drugim korytarzu,

przebiegającym w tak niedużej odległości od pieczary. Jak powiedziałaś, pomógł nam ślepy los, bowiem szukaliśmy wagonów kolejowych wyładowanych dziełami sztuki.

- Linie kolejowe w czasie wojny docierały aż tutaj w góry? zdziwił się Paul.
- Tak, do cholery! Po szynach dowozili zapasy amunicji z magazynów.

Rachel wstała i skierowała wzrok na ciężarówkę.

- W takim razie mogłoby to być miejsce, które tata dawno temu zamierzał sprawdzić?
- Pewnie tak - odparł Wayland.
- Wracając do punktu wyjścia, McKoy, powiedz nam, nad czym wczoraj tak ubolewałaś? - nie dawał za wygraną Paul.

McKoy podniósł się z miejsca.

- Nie znam was obojga, do cholery, ani trochę. Ale zasłużyliście na moje zaufanie. Wracajmy do szopy i opowiem wam wszystko po kolei.

Poranne słońce z trudem przebijało się przez zakurzone szyby obskurnej szopy.

- Co wiecie na temat Hermanna Göringa? - zapytał McKoy.
- Tylko tyle, ile pokazują na kanale historycznym - odparł Paul.

Olbrzym się uśmiechnął.

- Był drugi w hierarchii po Hitlerze, ale pod sam koniec wojny, w kwietniu 1945 roku, Hitler kazał go aresztować za poduszczeniem Martina Bormanna. Ten bowiem przekonał wodza, że Göring szykuje przewrót i zamierza przejąć władzę. Bormann i Göring nigdy nie byli w dobrych stosunkach. W rezultacie Hitler uznał dowódcę Luftwaffe za zdrajcę, pozbawił go rangi oraz stanowisk i aresztował. Amerykanie znaleźli go w ostatnich dniach wojny, kiedy zajmowali południowe tereny Niemiec.

Kiedy Göring w areszcie czekał na proces, był intensywnie przesłuchiwany. Jego zeznania zostały spisane w dokumencie, który nazwano Zbiorem Protokołów Przesłuchań (ZPP). Przez całe lata dokument ten przechowywano w tajnych archiwach.

- Dlaczego? - zapytała Rachel. - Jego zeznania powinny mieć raczej wartość dokumentalną niż stanowić tajemnicę.

Przecież wojna dobiegła już końca.

McKoy wyjaśnił im, że były dwa ważne powody, dla których alianci ukrywali ten dokument. Po pierwsze, po wojnie lawinowo pojawiały się żądania zwrotu zagrabionych dzieł sztuki. Wiele z tych wniosków było podejrzanych lub zgoła fałszywych. Żaden z rządów nie dysponował czasem ani finansami, by prowadzić drobiazgowe dochodzenie i zaspokajać roszczenia, których liczba sięgała setek tysięcy. Zaś ZPP ustalał wyłącznie zasadność roszczeń. Po drugie, powód pragmatyczny. Według powszechnej opinii niemal

wszyscy ludzie - z wyjątkiem garstki skorumpowanych kreatur - przeciwstawiali się nazistowskiemu terrorowi. Jednak ludzie sporządzający ZPP publicznie rozpowszechniali plotki o kokosach, jakie marszandzi we Francji, Holandii i Belgii zbijali na handlu z nazistowskimi okupantami, dostarczając im dzieła sztuki. Była to tak zwana Operacja Specjalna Linz, która miała na celu stworzenie Światowego Muzeum Sztuki pod auspicjami Hitlera. Utajnienie raportu z przesłuchań Göringa zmniejszyło ryzyko ujawnienia, że takich nikczemników było bardzo wielu.

Göring dokładał starań, by wykraść dzieła sztuki każdego z podbitych krajów, zanim dobrali się do nich złodzieje nasłani przez Hitlera. Führer zamierzał przeprowadzić totalną czystkę w tym, co uważał za dekadenczką sztukę. Na jego liście znaleźli się Picasso, van Gogh, Matisse, Nolde, Gauguin i Grosz.

Göring znał natomiast prawdziwą wartość tych arcydzieł.

- Czy z tym, o czym powiedziałaś, ma jakiś związek Bursztynowa Komnata? - zapytał Paul.

- Pierwszą żoną Göringa była szwedzka hrabina Karin von Kantzow. Przed wojną ta dama zwiedzała Pałac Jekaterynowski pod ówczesnym Leningradem i zakochała się po prostu w Bursztynowej Komnacie. Kiedy zmarła w 1931 roku, Göring pochował ją w Szwecji, ale komuniści zbezczeszcili jej grób. Wdowiec zbudował więc posiadłość na północ od Berlina, którą nazwał Karinhall, i umieścił doczesne szczątki zmarłej w ogromnym mauzoleum. Miejsce to miało jarmarczny wygląd, było prostackie. Zajmowało setki tysięcy akrów i ciągnęło się na północ aż po Bałtyk oraz po granice z Polską na wschodzie. Göring pragnął odtworzyć komnatę z bursztynu ku czci hrabiny, zbudował więc dokładnie taką samą salę o rozmiarach dziesięć metrów na dziesięć i zamierzał wyłożyć ją jantarową boazerią.

- Skąd o tym wszystkim wiesz? - zaciekała się Rachel.

- W ZPP zachowały się relacje z rozmów z Alfredem Rosenbergiem, ministrem Rzeszy do spraw okupowanych ziem wschodnich. Departament ten został utworzony przez Hitlera w celu nadzorowania grabieży łupów ze wschodniej Europy. Rosenberg wielokrotnie powtarzał w zeznaniach, że Göring miał obsesję na punkcie Bursztynowej Komnaty.

Następnie McKoy opowiedział im o kulisach zagorzałej rywalizacji o dzieła sztuki między Göringiem a Hitlerem. Smak Hitlera ponoć był zgodny z jego narodowosocjalistycznym światopoglądem. Im dalej na wschód, tym skarby były warte mniej.

- Führer nie interesował się sztuką rosyjską - powiedział McKoy - Zaliczał naród rosyjski do podludzi. Jednak w jego oczach Bursztynowa Komnata nie była rosyjskim dziedzictwem. Bursztynowe arcydzieło było darem Fryderyka I, króla Prus, dla Piotra Wielkiego. A zatem było to niemieckie rękodzieło i o jego powrót na niemieckie ziemie należało walczyć. W 1945 roku Hitler osobiście rozkazał wywiezienie bursztynowych płyt naściennych z Królewca. Lecz Erich Koch, gubernator Prus Wschodnich, był oddany Göringowi.

I t u tkwi szkopuł. Josef Loring oraz Koch byli ze sobą dość blisko. Koch desperacko potrzebował surowców oraz wydajnych fabryk, żeby dostarczać kontyngenty gubernatorom innych okupowanych prowincji. Loring współpracował z nazistami, otwierając nowe rodzinne kopalnie, huty i fabryki produkujące na potrzeby niemieckiej armii. Jednakże, asekurując się, nawiązał także kontakty z sowieckim wywiadem. To wyjaśnia, dlaczego tak świetnie prosperował w powojennej Czechosłowacji kontrolowanej przez Sowietów.

Skąd wiesz o tym wszystkim? - dziwił się Paul.

McKoy podszedł do skórzanej teczki leżącej na stoliku.

Wyciągnął z niej plik spiętych dokumentów i wręczył prawnikowi z Atlarvty.

- Przejdź do czwartej strony. Zaznaczyłem odpowiednie ustępy. Przeczytaj je.

Paul przerzucił kartki i odnalazł w tekście zaznaczone miejsca:

Rozmowy przeprowadzone z kilkoma osobami znającymi Kocha i Josefa Loringa potwierdzają, że ci dwaj spotykali się bardzo często. Loring był jednym z głównych finansowych filarów Kocha i zapewniał gubernatorowi Prus życie w luksusie. Czy te zażyłe stosunki umożliwiły zdobycie informacji lub być może nawet przejęcie Bursztynowej Komnaty? Odpowiedź na tak postawione pytanie jest trudna.

Jeśli Loring posiadał jakąś wiedzę na ten temat lub nawet same bursztynowe płyty, należy przypuszczać, że Sowietci o niczym nie wiedzieli.

Tuż po zakończeniu wojny, jeszcze w maju 1945 roku, sowiecki rząd wszczął dochodzenie w sprawie boazerii z bursztynu. Alfred Rohde, dyrektor zbiorów sztuki gromadzonych przez Hitlera w Królewcu, był pierwszym informatorem Sowietów. Rohde, wielbiciel bursztynu, wyjawiał sowieckim śledczym, że skrzynie z płytami wciąż pozostawały w pałacu, kiedy opuszczał Królewec 5 kwietnia 1945 roku. Rohde pokazał śledczym spalone pomieszczenie, w którym wedle jego zeznań przetrzymywano skrzynie. Kawalki połączanego drewna oraz miedziane zawiasy (które, jak sądzono, stanowiły fragment drzwi do Bursztynowej Komnaty) przetrwały pożogę. Wniosek o zniszczeniu

bursztynowego arcydzieła wydawał się więc niepodważalny i dochodzenie zostało zakończone. Jednak w marcu 1946 roku Anatolij Kuczumow, kustosz pałaców w Puszkynie (dawniej Carskie Sioło), odwiedził Królewiec. Tam pośród ruin odnalazł fragmenty florenckiej mozaiki, stanowiącej część Bursztynowej Komnaty Kuczumow wierzył, że nawet jeśli jakieś części komnaty spłonęły, bursztynowe reliefy ocalały; zlecił więc wznowienie poszukiwań.

Tymczasem Rohde nagle zmarł; zginął wraz z małżonką w dniu, w którym mieli ponownie złożyć zeznanie sowieckim władzom. Co ciekawe, lekarz, który podpisał akt zgonu Rohdego, zniknął bez śladu tego samego dnia. W tym momencie śledztwo przejęło Sowieckie Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego oraz Nadzwyczajna Komisja Państwowa; prace dochodzeniowe trwały aż do 1960 roku.

Niewiele osób godziło się z tezą, że bursztynowa boazeria przepadła w czasie bombardowania Królewca. Wielu ekspertów wątpi, by mozaiki uległy faktycznie zniszczeniu. Niemcy potrafili być bardzo sprytni, a zważywszy wartość skarbu oraz rangę osób zainteresowanych jego losami, nie wydaje się to możliwe. Ponadto, uwzględniając aktywność Loringa w regionie Harzu w latach powojennych, jego fascynację bursztynem oraz wielkie sumy pieniędzy i niewyczerpane źródła dochodów pozostające w jego dyspozycji, nie można wykluczyć, że przemysłowiec odnalazł bursztynowy skarb. Rozmowy z potomkami mieszkańców tamtych okolic potwierdzają, że Loring bywał często w górach Harzu, prowadząc podziemne eksploracje za wiedzą i przyzwoleniem władz sowieckich. Jeden ze świadków twierdził nawet, że Loring pracował tu, gdyż krążyła pogłoska o trzech ciężarówkach, które miały dotrzeć do środkowych Niemiec z Królewca. Ich punktem docelowym były kopalnie w Austrii lub Alpach, jednak marszruta konwoju została zmieniona z uwagi na zbliżanie się wojsk radzieckich i armii amerykańskiej. Wedle poszlak chodziło o trzy samochody ciężarowe. Nie zostało to jednak udokumentowane.

Josef Loring zmarł w 1967 roku. Jego syn Ernst odziedziczył rodzinną fortunę. Żaden z nich nigdy nie wypowiedział się publicznie na temat Bursztynowej Komnaty.

- Wiedziałaś? - zapytał z wyrzutem Paul. - Więc wszystko, co działo się w poniedziałek i wczoraj, było wyłącznie spektaklem teatralnym? Przez cały czas podążałaś tropem Bursztynowej Komnaty?

- Uważasz, że wywiodłem was w pole? Dwoje nieznajomych pojawia się niespodziewanie. Sądzisz, że poświęciłbym wam choćby sekundę, gdybyście nie zaczęli od pytania o Bursztynową Komnatę? Oraz o Loringa?

- Jesteś skurwysynem, McKoy - warknął Paul, sam zdziwiony, skąd u niego takie

słowa. Nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek w życiu zdarzyło mu się być tak wulgarnym, jak w ciągu paru ostatnich dni. Widocznie ten prostak z Karoliny Północnej miał na niego zły wpływ.

- Kto jest autorem tego tekstu? - zapytała Rachel, podchodząc do dokumentów.

- Rafał Doliński, dziennikarz z Polski. Dowiedział się wiele o Bursztynowej Komnacie. Moim skromnym zdaniem miał bzika na jej punkcie. Kiedy byłem tu przed trzema laty, odnalazł mnie.

- To właśnie on pierwszy wspomniał mi o bursztynie. W swoim dochodzeniu posunął się bardzo daleko i pisał właśnie artykuł dla jednego z europejskich magazynów. Liczył na wywiad z samym Loringiem, co miało być argumentem dla jego wydawcy. Przesłał Loringowi kopię tekstu z prośbą o rozmowę. Czech nigdy nie odpowiedział, a miesiąc później Doliński już nie żył - skończył relację McKoy, po czym spojrzał na Rachel. - Zginął podczas wybuchu w kopalni w pobliżu Wartburga.

- Niech to szlag trafi, McKoy! Wiedziałaś o tym wszystkim i nic nam nie powiedziałaś! Grumer nie żyje - wykrzyknął podenerwowany Paul.

- Do cholery z Grumerem. Był chciwym i obłudnym łajdakiem. Zginął dlatego, że był zachłanny. To nie mój kłopot. Celowo nie wspomniałem mu o tym nawet słowem. Ale czułem, że to jest właściwa pieczara. Od pierwszych wskazań radaru. Kiedy w poniedziałek ujrzałem te przeklęte wozy w ciemności, byłem przekonany, że trafiłem w dziesiątkę.

- A zatem naciągnąłeś inwestorów tylko po to, by się przekonać, że masz rację - podsumował Paul.

- Zakładałem, że tak czy inaczej wygram. Że znajdziemy obrazy lub bursztyn. Im było wszystko jedno.

- Jesteś cholernie dobrym aktorem - przyznała Rachel. Wystrychnąłeś na dudka nawet mnie.

- Moja wściekłość na widok splądrowanych ciężarówek była jak najbardziej autentyczna. Miałem nadzieję, że gra *va banque* się opłaci i inwestorzy nie będą mieli nic przeciw odnalezieniu skarbów z innej półki. Liczyłem, że Doliński się mylił, że bursztynowych płyt nie odnalazł ani Loring, ani nikt inny. Kiedy jednak na własne oczy zobaczyłem puste platformy i zawałone wejście do jaskini, zrozumiałem, że wpadłem po uszy w gówno.

-1 nadal tkwisz po uszy w gównie - uświadomił mu Paul.

McKoy pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Pomyśl tylko, Cutler. Coś się tutaj wydarzyło. Nie jest to zwykła dziura w ziemi. Ta

pieczara nigdy nie miała zostać odnaleziona. Trafiliśmy na nią wyłącznie dzięki nowoczesnej technologii. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ktoś interesuje się żywo tym, co wiedzieli Karol Boria i Czapajew. Interesuje się do tego stopnia, że nie waha się zabić ich obu. Być może ten ktoś był tak silnie tym zainteresowany, że wysłał na tamten świat twoich rodziców.

Paul rzucił McKoyowi zimne spojrzenie.

- Doliński powiedział mi wiele o ludziach, którzy zginęli, poszukując Bursztynowej Komnaty - ciągnął dalej olbrzym. Trop doprowadził go do pierwszych lat po wojnie. Pamiętam, że miał wtedy pietra. Przypuszczam, że on także padł ofiarą.

Paul nie zaprotestował. McKoy miał rację. Ktoś tu snuł intrygę, która miała bezpośredni związek z Bursztynową Komnatą. O nic innego nie mogło chodzić. Po prostu zbyt dużo było tych przypadków, żeby uznać je za zwykły zbieg okoliczności.

- Zakładając, że masz rację, co powinniśmy teraz zrobić? - zapytała w końcu Rachel. W jej głosie pobrzmiwała dezorientacja.

- Zamierzam pojechać do Republiki Czeskiej i pogadać z Ernstem Loringiem - odparł natychmiast McKoy. - Pora, by ktoś to wreszcie uczynił.

- My też jedziemy - oznajmił Paul.

- My? - zachnęła się Rachel.

- Do jasnej cholery, miałaś rację. Twój ojciec i moi rodzice zginęli w związku z tą sprawą. Dotarłem aż tak daleko i zamierzam to skończyć.

Sędzia Cutler wyglądała na zaskoczoną. Czy odkryła w nim właśnie coś nowego? Coś, czego nie dostrzegła nigdy wcześniej? Pod płaszczykiem opanowania i spokoju głęboko skrywał determinację. Być może tak właśnie było. On z pewnością też dowiadywał się czegoś o sobie. Przeżycia ostatniej nocy mocno nim wstrząsnęły Gorączkowa ucieczka z Rachel przed ścigającym ich Knollem. Groza chwil spędzonych sto metrów nad niemiecką rzeką, gdy wisieli, trzymając się balustrady. Byli szczęśliwi, gdy udało im się wyjść cało z opresji; niemal się do siebie przytulili. Teraz jednak był zdecydowany dotrzeć do prawdy, dowiedzieć się, co spotkało Karola Borię, jego rodziców oraz Danię Czapajewa.

- Paul - oświadczyła Rachel. - Nie zamierzam przeżyć ponownie czegoś takiego jak to, co przydarzyło się nam ostatniej nocy. To niedorzeczna decyzja. Mamy dwójkę dzieci.

Przypomnij sobie, co mówiłeś mi w zeszłym tygodniu i powtarzałeś jeszcze w Wartburgu. Teraz przyznaję ci rację.

I chcę wracać do domu.

Spojrzał na nią hardo.

- Jedź. Ja cię nie zatrzymuję.

Ton własnego głosu i błyskawiczna odpowiedź przypomniały mu, że podobnie odpowiedział jej przed trzema laty, kiedy powiadomiła go o złożeniu pozwu rozwodowego. Wtedy była to brawura. Znowu ona zdobyła punkt. Panowała nad sytuacją. Tym razem słowa te oznaczały coś przeciwnego.

Zamierzał jechać do Czech, a ona mogła mu towarzyszyć lub wracać do domu. Nie robiło mu to różnicy.

- Cały czas czegoś nie rozumiem, Wysoki Sądzie - wtrącił nieoczekiwanie McKoy. Rachel spojrzała na niego. - Twój ojciec przechowywał listy od Czapajewa i zostawiał sobie kopie wysłanych. Po co? I dlaczego zostawił je w miejscu, co do którego nie miał wątpliwości, że je znajdziesz? Gdyby rzeczywiście chciał, byś się w to nie mieszała, spaliby te cholerne epistoły i tajemnicę zabrał ze sobą do grobu. Nie znałem starszego pana, ale myślę tak jak on. Kiedyś on również był poszukiwaczem skarbów. Chciał, żeby bursztynowe arcydzieło zostało odnalezione, jeśli to jeszcze możliwe. Jediną osobą, której mógł zdradzić tę tajemnicę, byłaś ty. To oczywiste, twój staruszek był sprytny; powstrzymał się od ujawnienia ci wszystkich informacji, ale jego przekaz jest jasny i klarowny: jedź i znajdź to, Rachel.

Paul w duchu przyznał mu rację. Dokładnie tak kombinował Boria. Nigdy przedtem nie zastanawiał się nad tym głębiej.

Rachel uśmiechnęła się szeroko.

- Wydaje mi się, że mój tata polubiłby cię, McKoy. Kiedy wyruszamy?

- Jutro. Teraz muszę się zająć współnikami, żeby nam dali choć odrobinę czasu.

NEBRA, NIEMCY

14.10

Knoll siedział w malutkim hotelowym pokoju i rozmyślał o grupie zwanej *Retter der Verlorenen Antiquitäten*, czyli o Wybawcach Zaginionych Dzieł Sztuki. Tworzyło ją dziewięciu najbogatszych mieszkańców Europy. Rekrutowali się głównie spośród przemysłowców; było wśród nich dwóch finansistów, jeden posiadacz ziemski oraz jeden człowiek z tytułem doktora. W zasadzie nie zajmowali się niczym innym oprócz poszukiwania skradzionych skarbów we wszystkich zakątkach świata. Większość z tych ludzi znano oficjalnie jako prywatnych kolekcjonerów dzieł sztuki. Każdy z nich miał odmienne zainteresowania: dawni mistrzowie, sztuka współczesna, impresjoniści, sztuka Afryki, sztuka wiktoriańska, surrealizm, sztuka neolitu. Te różnice sprawiały, że spotkania klubu były tak fascynujące. Podział ten definiował w dużym stopniu obszar zainteresowań akwizytorów pracujących dla każdego z członków. Najczęściej nie wchodzili sobie w drogę.

Sporadycznie tylko dochodziło do rywalizacji; czasem chcieli udowodnić sobie nawzajem, który szybciej zdobędzie jakiś przedmiot. Był to wyścig po zdobycz, rywalizacja w poszukiwaniu tego, co uznano za utracone na zawsze. Najkrócej mówiąc, klub zaspokajał potrzebę konkurowania, nieobcą także bogatym ludziom, w dodatku w sposób pozbawiony jakichkolwiek hamulców.

Jemu to wydawało się w porządku. On również nie miał żadnych hamulców. To rozumiał.

Powrócił myślami do spotkania klubowiczów sprzed miesiąca.

Zjazdy te odbywały się na zmianę w rezydencjach poszczególnych członków, rozmieszczonych w tak różnych miejscach, jak na przykład Kopenhaga i Neapol. Zgodnie z tradycją na każdym spotkaniu dokonywano prezentacji ostatnich zdobyczy, przy czym przede wszystkim podziwiano osiągnięcia gospodarza i jego akwizytora. Niekiedy ci dwaj nie mieli nic do pokazania i wtedy inni członkowie na ochotnika chwalili się tym, co udało im się zdobyć. Knoll wiedział jednak, że każdy klubowicz gorąco chciał coś pokazać, gdy przychodziła jego kolej na ugoszczenie pozostałych członków stowarzyszenia. Fellner bardzo lubił się chełpić.

Podobnie jak Loring. To był jeszcze jeden aspekt ich zaciętej rywalizacji.

W poprzednim miesiącu Fellner gościł wszystkich u siebie. Cała dziewiątka klubowiczów przybyła do Burg Herz, ale tylko sześciu akwizytorów dysponowało wolnym

czasem. Nie było w tym nic niezwykłego, gdyż poszukiwania były priorytetem, nieporównywalnym z grzecznościowym udziałem w prezentacji osiągnięć kolegi. Ale czasem nie przybywali na zjazdy z zazdrości. Dotyczyło to Suzanne, która właśnie dlatego opuściła ostatnie spotkanie. W następnym miesiącu gospodarzem miał być Loring i Knoll zamierzał odplacić jej pięknym za nadobne i zbojkotować zjazd w zamku Loukov. Nie było to *fair*, bo miał dobre stosunki z Loringiem.

Kilka razy Ernst sownie go wynagrodził za zdobycze, które ostatecznie trafiły do jego kolekcji. Członkowie klubu często obdarowywali akwizytorów innych klubowiczów, pomnażając w ten sposób dziewięciokrotnie liczbę par oczu prześwietlających świat w poszukiwaniu skarbów, które warte były zdobycia. Członkowie klubu wymieniali między sobą lub odsprzedawali odnalezione skarby. Często również organizowali aukcje. Ekspozyty, którymi interesowało się kilku z nich, poddawano licytacji podczas zjazdów, dzięki czemu klubowicze zyskiwali pieniądze ze zdobyczy które ich nie interesowały, a dzieła sztuki nie wychodziły poza ich grono.

Zasady były bardzo klarowne, a rywalizacja szlachetna.

Dlaczego więc Suzanne Danzer z taką zaciekłością usiłowała to zmienić?

Dlaczego starała się go zabić?

Pukanie do drzwi przerwało jego rozmyślenia. Czekał od blisko dwóch godzin, odkąd przyjechał z położonego na zachód Stod do Nebry, niewielkiej osady położonej w połowie drogi do Burg Herz. Wstał i otworzył drzwi. Monika weszła natychmiast do środka. Pachniała słodkimi lemonkami.

Zamknął za sobą drzwi i przekreślił klucz w zamku.

Zlustrowała go od stóp do głów.

- Ciężka noc, Christianie?

- Nie mam ochoty na żarty.

Klapnęła na łóżko, zadzierając nogi do góry i odsłaniając krocze, jeszcze w dżinsach.

- Na to też nie - dodał, wciąż czując ból w pachwinie od kopniaka wymierzonego przez Danzer. Nie miał najmniejszego zamiaru chwalić się tym.

- Dlaczego więc musiałam tu przyjechać i spotkać się z tobą? - zapytała. - I dlaczego ojciec nie powinien o tym wiedzieć?

Opowiedział Monice, co wydarzyło się w opactwie, o Grumerze oraz pościgu za Danzer po uliczkach Stod. Pomiął szczegóły, które pozwoliły jej uciec.

- Zdażyła czmychnąć, zanim ją dogoniłem, ale wspominała o Bursztynowej Komnacie. Stwierdziła, że w 1945 roku Hitler ukrył bursztynowe panele wewnątrz tej góry.

- Wierzysz w to?

Zastanawiał się nad tym przez cały dzień.

- Wierzę.
- Dlaczego za nią nie pojechałeś?
- Nie ma potrzeby. Uciekła do zamku Loukov.
- Skąd wiesz?
- Lata rywalizacji to kopalnia wiedzy o sobie nawzajem.
- Loring dzwonił znowu wczoraj rano. Tak jak prosiłeś, oj cieć utrzymywał, że nie miał od ciebie żadnych wiadomości.
- Co wyjaśnia, dlaczego Danzer tak bezceremonialnie paradowała po uliczkach Stod. Spojrzała na niego badawczo.
- Co zamierzasz teraz zrobić?
- Proszę cię o pozwolenie wejścia do zamku Loukov.
- Muszę przeszukać posiadłość Loringa.
- Wiesz, jak zareagowałby mój ojciec.

Tak, wiedział. Zasady obowiązujące w klubie jednoznacznie zakazywały wkraczanie na prywatny teren pozostałych członków. Podczas prezentacji szczegóły dotyczące nowej zdobyczy nie obchodziły nikogo. Tym, co ich wiązało, było milczenie na temat tego, co posiadali pozostali członkowie klubu. Nie ujawniano również źródeł, chyba że członek klubu, który wszedł w posiadanie skarbu, chciał je ujawnić.

Tajemnicą otaczano nie tylko klubowiczów, ale także akwizytorów, co zapewniało im swobodę działania: ich informatorzy mogli być w tej sytuacji ponownie wykorzystani i nie oznaczało to wchodzenia na teren innych. Kluczem do sukcesu było przestrzeganie prywatności; ukrywanie sposobu, w jaki podobni ludzie o podobnych zainteresowaniach dochodzili do podobnej satysfakcji. Nienaruszalność prywatnych posiadłości była świętą zasadą, a natychmiastowym skutkiem jej złamania - wykluczenie z klubu.

- O co chodzi? - spytał. - Zabrakło ci tupetu? Przecież ty teraz rządzisz?
- Muszę znać powód, Chrystianie.
- Wykraczam poza zwykle poszukiwanie zdobyczy. Loring też złamał zasady, nakazując Danzer, by mnie zabiła. Usiłowała zresztą dokonać tego kilkakrotnie. Chcę wiedzieć .dlaczego i jestem przekonany, że znajdę odpowiedź w Volary.

Miał nadzieję, że odpowiednio ją usposobił. Monika była dumna i arogancka. Z pewnością nie spodobała się jej wczorajsza rozmowa z ojcem. Złość powinna przeważać nad zdrowym rozsądkiem. Z satysfakcją stwierdził, że go nie rozczarowała.

- Masz rację, do cholery. Chcę wiedzieć, co ta suka i ten stary pierdoła knują. Ojciec uważa, że wszystko to są nasze wymysły i jakieś nieporozumienie. Chciał porozmawiać z Loringiem i powiedzieć mu prawdę; musiałam mu to wyperswadować. Masz moją zgodę. Zrób to.

Dostrzegł w jej oczach pożądanie. Władza działała na nią jak afrodyzjak.

- Pojadę tam już dzisiaj. Nie będziemy się kontaktowali do czasu mojego powrotu. Jeśli mnie złapią, wezmę wszystko na siebie. Powiem, że działałem na własną rękę, a ty nie wiedziałaś o niczym.

Monika uśmiechnęła się szeroko.

- To szlachetnie z twojej strony, mój rycerzu. A teraz pokaż mi, jak bardzo się za mną stęskniłeś.

Paul patrzył, jak inspektor Pannik wchodzi do sali jadalnej hotelu „Garni” i zmierza prosto do stolika, przy którym siedzieli wraz z Rachel. Inspektor od razu poinformował ich, co dotychczas udało się ustalić w śledztwie.

- Sprawdziliśmy hotele i dowiedzieliśmy się, że mężczyzna odpowiadający rysopisowi Knolla zameldował się po drugiej stronie ulicy w hotelu „Christinenhof”. Z kolei kobieta o rysopisie przypominającym Suzanne kilka numerów dalej przy tej samej ulicy, w hotelu „Gebler”.

- Wie pan coś więcej na temat Knolla? - zapytał Paul.

Pannik pokręcił przecząco głową.

- Niestety, jest wciąż zagadką. W archiwach Interpolu nie ma jego danych, a bez odcisków palców nie zdołamy dowiedzieć się wiele. Nie wiemy, skąd pochodzi ani gdzie mieszka. Apartament w Wiedniu, o którym wspomniała Frau Cutler, był zapewne fałszywym tropem. Na wszelki wypadek kazałem jednak to sprawdzić i nic nie wskazuje na to, żeby ten Knoll mieszkał w Austrii.

- Musi mieć jakiś paszport - podsunęła Rachel.

- Zapewne. Nawet kilka i każdy na inne nazwisko. Taki człowiek jak on nigdy nie pozostawi prawdziwego nazwiska w rządowej bazie danych.

- A kobieta? - dopytywała się Rachel.

- O niej wiemy jeszcze mniej. Na miejscu zbrodni w domu Czapajewa nie pozostawiła żadnych śladów. Zginął od strzału w tył głowy z bliskiej odległości z broni kalibru dziewięć milimetrów. To świadczy tylko o jej bezwzględności.

Paul opowiedział inspektorowi o Wybawcach Zaginionych Dzieł Sztuki oraz przedstawił teorię Grumera dotyczącą Knolla i tej kobiety.

- Nigdy nie słyszałem o podobnej organizacji. Chociaż nazwisko Loring jest mi znane. Jego huty produkują najlepszą broń ręczną w Europie. Jest także liczącym się producentem stali. Zalicza się do grona największych przemysłowców w Europie Środkowowschodniej.

- Zamierzamy złożyć mu wizytę - oznajmiła Rachel.
- Pannik zwrócił ku niej twarz.
- W jakim celu?

Opowiedziała mu o tym, czego dowiedzieli się od McKoya o Rafale Dolińskim i Bursztynowej Komnacie.

- Wayland sądzi, że Loring wie coś o bursztynowych płytach, być może także o moim ojcu, Czapajewie i...

- Rodzicach Herr Cutlera?
- Właśnie - wtrącił Paul.

- Proszę mi wybaczyć, ale czy nie sądzicie państwo, że tą sprawą powinny zająć się odpowiednie służby? Zdaje się, że ryzyko rośnie w zastraszającym tempie.

- Życie jest pełne ryzyka - odparł Paul.
- Czasem warto je podejmować. Ale igranie ze śmiercią to głupota.
- Jesteśmy zdania, że w tym przypadku warto je podjąć powiedziała z przekonaniem Rachel.

- Czeska policja nie jest zbyt skora do współpracy - ostrzegł ich Pannik. - Przypuszczam, że Loring ma kontakty w Ministerstwie Sprawiedliwości i może co najmniej utrudniać, i to skutecznie, oficjalne dochodzenie. Chociaż w Republice Czeskiej nie rządzą już komuniści, nadal obowiązują tam niektóre dawne i utrzymywane w sekrecie układy. Nasz wydział napotyka wciąż poważne opóźnienia w odpowiedzi na formalne zapytania. Naszym zdaniem są one całkowicie nieuzasadnione.

- Życzy pan sobie, byśmy byli pańskimi oczami i uszami? zapytała Rachel.

- Taka myśl przemknęła mi nawet przez głowę. Jesteście jednak osobami prywatnymi i podejmujecie całkowicie prywatną misję. Jeśli przypadkiem dowiecie się czegoś, co pozwoli mi podjąć oficjalne śledztwo, będę zobowiązany.

- Sądziłem, że podejmujemy zbyt wielkie ryzyko - nie mógł się powstrzymać od złośliwego komentarza Paul.

Pannik spojrział na niego chłodno.

- Tak uważam, Herr Cutler.

Suzanne stała na balkonie wychodzącym z jej sypialni. Słońce późnego popołudnia

miało kolor czerwonopomarańczowy i delikatnie ogrzewało jej skórę. W zamku Loukov czuła się bezpieczna i pełna energii. Posiadłość rozciągała się na wiele kilometrów wokół. Ziemie te były kiedyś własnością książąt, lasy pełne zwierzyny, lecz polowania na jelenie i dziki stanowiły przywilej klasy panującej. Dawniej na leśnych polanach znajdowały się osady, w których mieszkali robotnicy pracujący w kamieniołomach, murarze i cieśle zatrudnieni przy wznoszeniu zamku oraz kowale. Zanim wzniesiono do końca mury, upłynęły dwa stulecia; natomiast na ich zburzenie i pozostawienie kupy gruzów alianci potrzebowali niespełna godziny.

Jednak rodzina Loringów podjęła trud odbudowy; zrekonstruowane zamczysko było równie wspaniałe jak pierwotnie.

Suzanne spoglądała na wierzchołki szumiących drzew.

Z tego miejsca roztaczał się widok w kierunku południowo-wschodnim. Lekki wiaterek działał orzeźwiająco. Osady odeszły już do historii; ich miejsce zajęły pojedyncze domostwa i domy, w których od pokoleń zamieszkiwała służba Loringa.

Lokaje, ogrodnicy, pokojówki, kucharze i szoferzy zawsze mieli zapewnione kwatery Rodziny, których liczba dochodziła do niemal pięćdziesięciu, mieszkały na terenie posiadłości; dzieci dziedziczyły po rodzicach zajęcia. Loringowie byli hojni i lojalni, nic zatem dziwnego, że ludzie służyli u nich dożywotnio i z pokolenia na pokolenie.

Jej ojciec był jednym z nich. Oddany bez reszty Loringom pasjonat historii został drugim akwizytorem Ernst na rok przed jej przyjściem na świat. Matka zmarła nagle, kiedy Suzanne miała trzy lata. Zarówno Loring, jak i ojciec wyrażali się o niej w samych superlatywach. Najwidoczniej była damą pełną uroku. Podczas gdy ojciec podróżował po świecie w poszukiwaniu zaginionych dzieł sztuki, matka dawała lekcje dwóm synom Loringa. Byli od Suzanne dużo starsi, nigdy nie miała z nimi bliskiego kontaktu; kiedy zaś stała się nastolatką, oni wyjechali już na studia uniwersyteckie. Żaden z nich nie odwiedzał często zamku Loukov. Nie wiedzieli też o istnieniu klubu ani o tym, czym zajmował się ich ojciec. Był to sekret, który Loring dzielił wyłącznie z nią.

Miłość do sztuki zjednała jej uczucia Loringa. Propozycja, by zajęła miejsce ojca, padła w dniu jego pogrzebu. Była nią zaskoczona. Nawet zszokowana: Pełna wątpliwości. Ale Loring jej zaufał; zarówno jej inteligencja i determinacja, jak i jego bezgraniczna ufność inspirowały ją nieustannie do sukcesów.

Teraz jednak, gdy stała samotnie w promieniach słońca, myślała, że w ciągu kilku ostatnich dni wielokrotnie podejmowała zbyt duże ryzyko. Christian Knoll nie był człowiekiem, którego można lekceważyć. Zdawał sobie sprawę z zamachów na własne życie

i wiedział, że dokonała ich ona. Dwukrotnie też wystrychnęła go na dudka. Pierwszy raz w kopalni, drugi, kiedy kopnęła go w pachwinę. Nigdy przedtem rywalizacja między nimi nie przekroczyła pewnego poziomu. Ta eskalacja odbierała Susanne psychiczny komfort, ale rozumiała potrzebę. Sprawa jednak wymagała jakiegoś rozwiązania. Loring powinien porozmawiać z Franzem Fellnerem i coś ustalić.

Do drzwi sypialni ktoś cicho zapukał.

Weszła do środka i zapytała, o co chodzi. Zza drzwi pokojówka powiedziała, że Loring chce się z nią widzieć w gabinecie.

Świetnie, ona także musi z nim porozmawiać.

Gabinet usytuowany był dwa piętra niżej, w północno-zachodnim skrzydle parteru. Suzanne nazywała go Komnatą Łowiecką; na ścianach porozwieszano poroża, a na suficie widniał fresk przedstawiający zwierzęta z herbów czeskich królów.

Na jednej ze ścian dominował olbrzymi obraz olejny z siedemnastego wieku, w sposób niezwykle realistyczny przedstawiający muszkiety, torby myśliwskie, oszczepy oraz rogi.

Loring siedział wygodnie na sofie, kiedy otworzyła drzwi.

- Wejdz, moje dziecko - powiedział po czesku.

Usiadła obok niego.

- Myślałem długo i intensywnie o tym, co mi wcześniej zrelacjonowałaś, i przyznaję ci rację. Coś koniecznie trzeba zrobić.

- Pieczara w Stod z całą pewnością jest właściwym miejscem.

- Sądziłem, że nikt nigdy jej nie odnajdzie, ale tak już się stało.

- Wiesz to na pewno?

- Nie, nie jestem pewien. Ale na podstawie kilku faktów, o których mówił mi ojciec przed śmiercią, wszystko zdaje się zgadzać. Ciężarówka, ciała, zawalone wejście.

- Ten trop prowadzi donikąd - powiedziała z naciskiem.

- Czy na pewno, moja droga?

Jej analityczny umysł ruszył do pracy.

- Grumer, Boria i Czapajew pożegnali się z tym światem.

Cutlerowie są amatorami. Przecież fakt, że Rachel Cutler zdołała przeżyć, nie ma chyba znaczenia? Nie wie nic oprócz tego, co było w listach jej ojca, a to niewiele. Jakieś wzmianki, które łatwo zdementować.

- Mówiłaś, że jej mąż był w hotelu w grupie McKoya.

- Tak, ale żaden trop nie doprowadzi ich do nas. Amatorów nie ma się co obawiać, jak zawsze.

- Fellner, Monika i Christian nie są amatorami. Wydaje mi się, że odrobinę za bardzo rozbudziliśmy ich ciekawość.

Wiedziała o rozmowach Loringa z Fellnerem w ciągu kilku ostatnich dni. Fellner najprawdopodobniej kłamał, utrzymując, że nie wie, co dzieje się z Knollem.

- Zgadzam się. Ta trójka zapewne coś knuje. Ale przecież możecie załatwić to między sobą, ty i pan Fellner.

Loring zsunął się z kanapy.

- To takie trudne, *Draha*. Zostało mi już niewiele życia...

- Nie chcę słuchać takich rzeczy - przerwała mu natychmiast. - Jesteś zdrow jak ryba. Przed tobą jeszcze wiele lat.

- Ale za mną siedemdziesiąt siedem. Bądź realistką.

Nie lubiła myśleć o tym, że on umrze. Gdy zdarzyło się to matce, była zbyt mała, by w pełni zrozumieć i odczuć stratę.

Śmierć ojca wciąż powracała we wspomnieniach i sprawiała rzeczywisty ból. Utraty drugiego ojca w życiu po prostu sobie nic wyobrażała.

- Obaj moi synowie są dobrymi ludźmi. Prowadzą z sukcesem rodzinne interesy. Kiedy odejdę, wszystko to przejdzie w ich ręce. Należy im się z urodzenia - wyznał Loring, a potem spojrzał na nią. - Pieniądze są takie ponętne. Ich robienie to niezła frajda. Odpowiednio lokowane i zarządzane, pomnażają się same. Utrzymanie miliardów w twardej walucie wymaga niewielu umiejętności. Moja rodzina tego dowiodła. Nasza fortuna powstała dwieście pięćdziesiąt lat temu i po prostu przekazywano ją z pokolenia na pokolenie.

- Jestem zdania, że nie doceniasz wkładu własnego i twojego ojca. Przecież zdołaliście przepłynąć przez mielizny obu wojen światowych.

- Polityka niekiedy wciska się na siłę w interesy, ale zawsze są takie miejsca, w których można bezpiecznie inwestować. Dla nas była to Ameryka.

Loring wrócił i ponownie usiadł na brzegu kanapy. Pachniał wybornym tytoniem, podobnie jak cały gabinet.

- Jednak sztuka, *Draha*, jest bardziej ulotna. Zmienia się razem z nami. To, co było arcydziełem przed pięciuset laty, dziś może zostać uznane za kicz. A jednak niektóre arcydzieła w niewytłumaczalny sposób przetrwały przez całe tysiąclecia.

I to właśnie najbardziej mnie fascynuje. Ty podzielasz moją fascynację. I wielbisz sztukę. Dzięki temu właśnie wnosisz do mego życia tak wiele radości. Chociaż w twoich żyłach nie płynie moja krew, zaszczepiłem ci moją pasję. Nie ulega najmniejszej

wątpliwości, że jesteś moją córką duchową.

Zawsze tak się czuła. Żona Loringa zmarła przed dwudziestoma laty. Nie była to śmierć nagła ani nieoczekiwana.

Stopniowo i powoli atakował ją rak, miała napady niewyobrażalnych bóleści. Jego synowie odeszli z domu już przed dziesięcioleciami. Miał kilka pasji oprócz dzieł sztuki, między innymi zajmował się ogrodnictwem i stolarką. Ale jego nadwerężone stawy i zanikające mięśnie w poważnym stopniu utrudniały tego typu zajęcia. Był miliarderem, mieszkał w zamkowej fortecy i odziedziczył nazwisko znane w całej Europie, ale pod wieloma względami była wszystkim, co stary człowiek pozostawi po sobie.

- Zawsze uważałam się za twoją córkę.

- Kiedy odejdę, ty obejmiesz w posiadanie zamek Loukov.

Nie odpowiedziała.

- Zostawię ci także w spadku sto pięćdziesiąt milionów euro, żebyś mogła utrzymać posiadłość oraz całą moją kolekcję, oficjalną i prywatną. Oczywiście tylko ty i ja znamy zasoby prywatnej części zbiorów. Zapiisałem też w testamencie dyspozycję, zgodnie z którą odziedziczysz po mnie członkostwo klubu. To moja wola i zrobiłem to, będąc przy zdrowych zmysłach. Chcę, żebyś zajęła moje miejsce.

Usłyszała już zbyt wiele. Słowa uwięzły jej w gardle.

- A co z twoimi synami? To oni są prawowitymi spadkobiercami.

- I otrzymają lwią część mojego majątku. Ta posiadłość, moje zbiory oraz pieniądze to zaledwie odrobina tego, co mam. Rozmawiałem o tym z obydwojma i żaden się nie sprzeciwił.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Powiedz, że postarasz się mnie nie zawieść, i nie wracajmy do tego więcej.

- Tego akurat możesz być pewien.

Uśmiechnął się i lekko poklepał ją po dłoni.

- Zawsze byłem z ciebie dumny Jak z córki - wyznał i zaczerpnął tchu. - Teraz musimy zrobić jeszcze jedną rzecz, która zagwarantuje bezpieczeństwo temu, czego uzyskanie kosztowało tyle trudu i wysiłku.

Zrozumiała, co miał na myśli. Myślała o tym przez cały dzień. W rzeczywistości był tylko jeden sposób rozwiązania tego problemu.

Loring wstał, podszedł do biurka i ze spokojem wystukał numer telefonu. Po chwili uzyskał połączenie z Burg Herz.

- Franz, jak się miewasz?

Nastąpiła krótka przerwa i po drugiej stronie łącza odezwał się Fellner. Loring był spięty. Wiedziała, że to dla niego trudne. Fellner był nie tylko rywalem, ale jednocześnie wieloletnim przyjacielem.

Jednak musieli to zrobić.

- Muszę z tobą jak najszybciej porozmawiać, Franz. To niezwykle istotne... Nie, przyślę po ciebie samolot i porozmawiamy dziś wieczorem. Niestety, nie mogę opuścić Czech.

Odrzutowiec będzie u was w ciągu godziny, a przed północą wrócisz z powrotem... Tak, proszę, weź ze sobą Monikę. Ta sprawa dotyczy również jej. Christiana także... Och, wciąż nie wiesz, co się z nim dzieje? Szkoda. O piątej trzydzieści samolot będzie na ciebie czekał. Do zobaczenia niebawem.

Loring odłożył słuchawkę i westchnął.

- Jakie to przykre. Franz do końca nie przestaje bawić się z nami w kotka i myszkę.

PRAGA, REPUBLIKA CZECH

18.50

Reprezentacyjny, złoto-szary korporacyjny odrzutowiec kołował po betonowej płycie i po chwili się zatrzymał. Silniki zawyły, zwalniając obroty. Suzanne stała wraz z Loringiem w przyćmionym wieczornym świetle, a obsługa lotniska przystawiała metalowe schodki do drzwiczek samolotu. Pierwszy wynurzył się Franz Fellner, w ciemnym garniturze i pod krawatem. Za nim Monika w białym golfie i granatowym żakiecie, który podkreślał jej figurę, oraz w opiętych dżinsach. Cała ona, pomyślała Suzanne. Obrzydliwa mieszanka kindersztuby i seksu. I chociaż Monika Fellner dopiero co wyszła z wartego miliony dolarów prywatnego odrzutowca, który wylądował na jednym z ważniejszych lotnisk Europy, jej twarz wyrażała pogardę typową dla kogoś, kto wywodził się ze społecznych dołów.

Różnica wieku między nimi wynosiła zaledwie trzy lata, Monika była starsza. Córka Fellnera stała się członkiem klubu przed kilkoma laty; nigdy nie było sekretem, że pewnego dnia przejmie schedę po ojcu. Wszystko w życiu przychodziło jej bardzo łatwo. Życie Suzanne było zupełnie inne. Chociaż dorastała w posiadłości Loringa, zawsze ciężko pracowała, uczyła się i dawała z siebie wszystko, by mu się odwdziaczyć. Wiele razy się zastanawiała, czy przyczyną wzajemnej niechęci między nią a Moniką nie był Knoll. Niejednokrotnie córka Fellnera dawała jej do zrozumienia, że traktuje Christiana jak swoją własność. Jeszcze przed kilkoma godzinami, zanim Loring oznajmił Suzanne, że zamek Loukov kiedyś będzie należał do niej, nie śmiała nawet marzyć, że dane jej będzie życie podobne do tego, które pędziła Monika Fellner. Teraz jednak stało się to rzeczywistością i nie mogła pozbyć się satysfakcji na myśl o tym, co powie jej konkurentka na wieść, że niedługo ich status się zrówna.

Loring wyszedł naprzeciw gościom i dziarsko uścisnął dłoń Fellnera. Następnie objął Monikę i delikatnie pocałował ją w policzek. Fellner powitał Suzanne uśmiechem i uprzejmym skłonieniem głowy, jak członek klubu - akwizytora.

Podróż do zamku Loukov sportowym mercedesem była przyjemna i przebiegała spokojnie. Rozmawiali o interesach i polityce. Gdy wreszcie dotarli na miejsce, w sali jadalnej czekała na nich kolacja. Wniesiono danie główne i Fellner zapytał po niemiecku:

- Cóż to za pilna sprawa, o której musimy porozmawiać dziś wieczorem?

Suzanne zauważyła, że do tej pory Loring starał się podtrzymywać towarzyską

rozmowę, zabawiając gości miłą pogawędką, by się odprężyli. Jej mocodawca westchnął.

- Chodzi o Christiana i Suzanne.

Monika rzuciła nienawistne spojrzenie w jej stronę; Danzer widywała je już wcześniej, nie była więc zaskoczona.

- Wiem - ciągnął Loring - że Christian wyszedł cało z eksplozji w kopalni. Jestem także pewien, że wy oboje wiecie z kolei, iż wybuch był dziełem Suzanne.

Fellner odłożył na stół nóż i widelec i spojrzał na gospodarza.

- Istotnie, wiemy o jednym i o drugim.

- W ciągu dwóch ostatnich dni jednak utrzymywałeś, że nie masz pojęcia, gdzie się podziewa Christian.

- Mówiąc szczerze, nie uważałem tej informacji za taką, która mogłaby cię zainteresować. I nie mogłem nie zadawać sobie pytania, skąd ta nagła troska o Christiana - odparł Fellner dość szorstko. Uznał widocznie, że nadeszła pora, by skończyć z konwenansami.

- Wiem o wizycie, którą Christian złożył dwa tygodnie temu w Sankt Petersburgu. Mówiąc prawdę, wszystko zaczęło się od niej właśnie.

- Byliśmy przekonani, że opłacasz tego urzędnika w archiwum - wtrąciła Monika tonem jeszcze bardziej opryskliwym niż jej ojciec.

- Pytam więc ponownie, Ernst, w jakim celu nas tu ściągnąłeś? - niecierpliwił się Fellner.

- Chodzi o Bursztynową Komnatę - odparł powoli Loring.

- A konkretnie?

- Skończmy kolację. Potem porozmawiamy.

- Szczerze mówiąc, nie mam apetytu. Pokonałem twoim samolotem trzysta kilometrów po to, żeby z tobą porozmawiać, a zatem rozmawiajmy.

Loring złożył serwetkę.

- Jak sobie życzysz, Franz. A zatem pozwólcie wraz z Moniką ze mną.

Suzanne postępowała za nimi. Loring prowadził gości parterem. Szeroki korytarz omijał pokoje, w których znajdowało się mnóstwo bezcennych dzieł sztuki i zabytków. Były to oficjalne zbiory Loringa, efekt sześciu dziesięcioleci osobistych poszukiwań oraz wcześniejszych stu lat z czasów jego ojca, dziadka i pradziadka. W otaczających komnatach znajdowały się najcenniejsze dzieła światowej sztuki - zasoby kolekcji Loringa były znane wyłącznie jemu i Suzanne, ukryte za grubymi ścianami z kamienia w wiejskiej z pozoru posiadłości w kraju byłego bloku wschodniego.

Już wkrótce wszystko to stanie się jej własnością.

- Mam zamiar złamać jedną z naszych świętych zasad oświadczył Loring. - Dobrowolnie zamierzam pokazać wam swoją prywatną kolekcję.

- Czy to konieczne? - zdziwił się Fellner.

- Jestem pewien, że tak.

Minęli gabinet gospodarza i przeszli długim korytarzem do pokoju usytuowanego na samym końcu. Prostokątne pomieszczenie miało sklepienie krzyżowe; na ścianach wisiały malowidła wyobrażające znaki zodiaku oraz portrety apostołów. Masywny piec wykonany z delftów zajmował jeden z narożników. Siedemnastowieczne gabloty z drewna kasztanowego, inkrustowane kością słoniową z Afryki, stały wzdłuż ścian. Szklane półki niemal uginały się pod ciężarem porcelany pamiętającej szesnasty i siedemnasty wiek. Fellner i Monika przez chwilę w milczeniu podziwiali niektóre z cenniejszych eksponatów.

- To Sala Romańska - objaśnił Loring. - Nie pamiętam, czy wy oboje byliście tu wcześniej.

- Ja nie byłem - przyznał Fellner.

- Ja również nie - dodała Monika.

- Tu znajdują się najcenniejsze szkła - wyjaśnił Czech i wskazał kaflowy piec. - Piec służy jedynie do ozdoby, ciepłe powietrze dochodzi tędy - pokazał kratę w podłodze. Specjalne agregaty, których wy także, jak sądzę, używacie.

Niemiec przytaknął.

- Suzanne! - przywołał ją Loring.

Wyszła przed jedną z drewnianych gablot, czwartą w rzędzie złożonym z sześciu.

- Powszechne doświadczenie jest po prostu powszechnym złudzeniem - powiedziała powoli niskim głosem.

Witryna wraz z fragmentem ściany zaczęła się obracać wokół własnej osi, zatrzymała się w połowie drogi i odsłoniła sekretne przejście.

- Czujniki akustyczne uaktywniane głosem moim oraz Suzanne. Część służby wie o istnieniu tej komnaty. Od czasu do czasu musi być przecież sprzątna. Ale jestem tak samo jak ty, Franz, absolutnie przekonany o lojalności mojej służby oraz o jej dyskrecji. Na wszelki wypadek jednak zmieniamy hasło co siedem dni.

- Ten tydzień wydaje się interesujący - podjął rozmowę Fellner. - Kafka, jak sądzę. Pierwsze zdanie z opowiadania *Powszechne złudzenie*. Jakże trafne.

Loring uśmiechnął się szeroko.

- My jesteśmy lojalni wobec naszych czeskich autorów Suzanne odsunęła się na bok,

puszczając przodem gości.

Monika otarła się o nią, omiatając spojrzeniem zimnym i pogardliwym. Suzanne weszła do środka w ślad za swym patronem. W przepastnej komnacie za ścianą stały kolejne wystawowe witryny, wisały na ścianach obrazy i gobeliny.

- Jestem pewien, że macie podobną komnatę - Loring skierował te słowa do Fellnera. - To zbiory gromadzone od dwóch stuleci. Ostatnie czterdzieści lat w ramach członkostwa w klubie.

Fellner i Monika oglądali kolejne gabloty.

- Cudowne - pochwalił Fellner. - Naprawdę robi wrażenie. Wiele z nich pamiętam z prezentacji. Ale, Ernst, *gros* utrzymywałeś w tajemnicy - zatrzymał się przed poczerniałą czaszką umieszczoną w szklanej gablocie. - Człowiek pekiński?

- W posiadaniu naszej rodziny od końca wojny.

- Jeśli dobrze pamiętam, czaszka zaginęła w Chinach podczas transportu do Stanów Zjednoczonych.

Loring skinął głową.

- Ojciec odebrał ją złodziejom, którzy sprzątnęli to sprzed nosa marynarzom odpowiedzialnym za transport.

- Fascynujące. Ta czaszka świadczy, że gatunek ludzki istniał na Ziemi o pół miliona lat wcześniej. Chińczycy i Amerykanie gotowi byliby zabić, żeby ją odzyskać. A ona znalazła oazę tu, w środkowych Czechach. Żyjemy w dziwnych czasach, nieprawda?

- Święta racja, przyjacielu. Święta racja - zgodził się Loring i wskazał podwójne drzwi na drugim końcu podłużnej sali. Tędy, Franz.

Fellner ruszył w stronę wysokich drzwi. Były pomalowane na biało i miały złoczone żyłki. Monika podążyła w ślad za ojcem.

- Idź przodem. Otwórz je - zachęcał Loring przyjaciela.

Suzanne z ulgą stwierdziła, że choć raz Monika nie klepała trzy po trzy. Jej ojciec chwycił mosiężną klamkę i pchnął drzwi do przodu.

- Wielki Boże! - wykrzyknął Fellner, wkraczając do wnętrza rześście oświetlonej komnaty.

Pomieszczenia miało kształt idealnego kwadratu; sklepienie znajdowało się wysoko nad ich głowami i ozdobione było kolorowymi malowidłami. Trzy spośród czterech ścian podzielone były na wyraźne segmenty wyłożone mozaiką z bursztynu w kolorze złotobrazowym. Każdy segment oddzielony był lustrzanym pilastrem. Bursztynowe reliefy sprawiały wrażenie boazerii złożonej z długich i wąskich płyt wyżej oraz krótszych

prostokątów umocowanych niżej.

Tulipany, róże, rzeźbione głowy, figurki, muszle, motywy kwiatowe, monogramy, odciski muszli, woluty oraz kwieciste girlandy - wszystko wykonane z jantaru - ozdabiały ściany Bursztynowej Komnaty Herb Romanowów, bursztynowa płaskorzeźba przedstawiająca dwugłowego orła rosyjskich carów, widniał na wielu panelach w niższych rzędach. Górne partie oraz framugi trzech par białych podwójnych drzwi zdobiły złocenia w kształcie winorośli. Figurki cherubinów oraz damskie popiersia rozdzielały i zwieńczyły płyty górnych rzędów oraz okalały drzwi i okna. Lustrzane pilastry były dodatkowo udekorowane połączanymi świecznikami, w których zamiast świec płonęły jaskrawym światłem żarówki. Podłogę wyłożono parkietem, którego intarsje były równie misterne jak reliefy na bursztynowych ścianach. Lampki odbijały się w lśniącym parkiecie niczym promienie słońca.

Loring wszedł do środka.

- Pomieszczenie ma dokładnie takie wymiary jak komnata w Pałacu Jekaterynowskim. Kwadrat o boku dziesięć metrów i sklepienie na wysokości siedmiu i pół metra.

Monika, w przeciwieństwie do ojca, zachowała zimną krew.

- Czy to jest powód tej gry z Christianem?

- Dotarliście odrobinę za blisko. Utrzymywaliśmy to w sekrecie przez ponad pięćdziesiąt lat. Nie mogłem pozwolić na dalsze podchody i ryzyko, że dowiedzą się o tym Rosjanie lub Niemcy. Nie muszę chyba wam uświadamiać, jaka byłaby ich reakcja.

Fellner przeszedł na drugi koniec komnaty i pełen zachwytu oglądał bursztynowy stolik precyzyjnie dopasowany do dwóch dolnych płyt ściennych. Potem przyszła kolej na florencką mozaikę, jedną z tych, w których oszlifowane kolorowe nefryty oprawiono w połączane okucia z brązu.

- Nigdy nie wierzyłem w te opowieści. Wedle jednej z nich Sowieci ukryli mozaiki, zanim hitlerowskie wojska dotarły do Pałacu Jekaterynowskiego. Inna wersja głosiła, że w ruinach Królewca po bombardowaniu w 1945 roku odnaleziono reszki komnaty, z której został jedynie pył.

- Pierwsza opowieść miała się z prawdą. Rosjanie nie mogli zabrać niepostrzeżenie tych czterech mozaik. Usiłowali wprawdzie rozmontować górne płyty z bursztynem, ale odpadły od ściany. Zdecydowali się więc nie dotykać reszty, w tym również mozaiki. Natomiast w drugiej historii jest ziarno prawdy. Była to sztuczka zaaranżowana przez samego Hitlera.

- Jak to?

- Hitler wiedział o zakusach Göringa na bursztynową boazerię. Liczył na lojalność Kocha wobec siebie. Z tego właśnie powodu osobiście rozkazał wywieźć płyty z Królewca pod nadzorem specjalnego oddziału SS. Jego ludzie mieli nie tylko zająć się transportem, ale i Göringiem, gdyby ten zaczął sprawiać kłopoty. Relacja między Hitlerem a szefem Reichstagu zawsze była dość osobliwa. Nie darzyli się wzajemnie zaufaniem, ale jednocześnie byli całkowicie od siebie uzależnieni. Dopiero pod koniec wojny, kiedy Bormann ostatecznie podkopał autorytet Göringa, Hitler zwrócił się przeciwko niemu.

Monika podeszła bezwiednie do tryforium, którego każdy segment składał się z dwudziestu szybek, od podłogi do połowy ściany. Każdy też zwieńczony był półksiężycami, nad którymi z kolei umieszczono trzy półkoliste okna, złożone z ośmiu obramowanych szybek każdy. Dolne segmenty służyły za drzwi, chociaż wyglądały jak okna. Przez szyby wpadało światło, a za nimi namalowany był ogród.

Loring zauważył jej zainteresowanie.

- To pomieszczenie jest otoczone ścianami ze wszystkich czterech stron, żeby nie było widoczne z zewnątrz.

- Zleciłem wykonanie malowideł ściennych oraz takie oświetlenie, żeby uzyskać wrażenie otwartej przestrzeni za oknami.

- Oryginalna komnata w Pałacu Jekaterynowskim wychodziła na wielki dziedziniec, dobrałem więc dziewiętnastowieczne rekwizyty z czasów, gdy go powiększono i otoczono ogrodzeniem - wyjaśniał, podchodząc do Moniki. - Bramy w oddali są prawdziwe. Trawniki, krzewy oraz kwiaty skopiowano na podstawie szkiców z tamtej epoki; posłużyły za modele.

- Naprawdę są niezwykle. Wydaje się, jakby człowiek stał na piętrze pałacu. Czy możesz sobie wyobrazić na tym tle militarne parady, które odbywały się tam regularnie, albo wieczorne przechadzki arystokracji, podczas których z oddali przygrywała orkiestra?

- Genialne - przyznała Monika i cofnęła się przed okna do wnętrza Bursztynowej Komnaty. - Jak udało wam się odtworzyć tak precyzyjnie układ tych płyt? Latem ubiegłego roku byłam w Sankt Petersburgu i zwiedzałam Pałac Jekaterynowski. Odrestaurowali tam niemal w całości Bursztynową Komnatę. Wstawili nowe gzymsy, połączane okucia, okna i drzwi, odtworzyli też wiele reliefów z bursztynu. Niezła robota, muszę przyznać, ale nie umeblują się do tego, co zrobiliście tutaj.

Loring wyszedł na środek pomieszczenia.

- To całkiem proste, moja droga. Zdecydowana większość tego, co tu widzisz, to oryginał, a nie reprodukcja. Znasz tę historię?

- Powiedzmy, że częściowo - odparła córka Fellnera.

- W takim razie wiesz na pewno, że płyty już były w opłakanym stanie, kiedy w 1941 roku przejęli je naziści. Pruscy rzemieślnicy, którzy zaczęli pracę nad komnatą, przyklejali bryłki bursztynu do grubych dębowych listew, używając prymitywnego spoiwa sporządzonego z wosku pszczelego i żywicy. Gdyby bursztynowe panele utrzymały się w nienaruszonym stanie, można by to porównać do wody, która pozostawiona w szklance przetrwałaby dwieście lat. Woda wcześniej czy później wyparuje i żadne podejmowane po rym czasie zabiegi tego nie zmienią - kontynuując prelekcję, zatoczył ramieniem wokół siebie. - To samo da się powiedzieć o tym, co jest tutaj. Przez dwieście lat dębina się rozciągała i kurczyła, a wilgotny klimat Carskiego Sioła dokończył dzieło. W miarę upływu lat drewno się wypaczało, spoiwo pękało, a kawałki bursztynu odpadały. Ubytki wynosiły niemal trzydzieści procent w chwili, kiedy na scenie pojawili się naziści. Kolejne dziesięć procent odkleiło się podczas transportu. Kiedy mój ojciec odnalazł bursztynową boazerię, była w opłakanym stanie.

- Zawsze byłem przekonany, że Josef wiedział znacznie więcej niż gotów był to przyznać - powiedział Fellner.

- Nie wyobrażasz sobie za to, jak bardzo był rozczarowany, kiedy w końcu odnalazł bursztynowe płyty. Poszukiwał ich przez siedem lat, wyobrażał sobie, jakie są piękne; przywoływał w pamięci ich świetność z czasów przed rewolucją październikową, kiedy miał okazję podziwiać Bursztynową Komnatę pod Sankt Petersburgiem.

- Odnalazł je w tej jaskini niedaleko Stod, czy tak? - spytała Monika.

- Zgadza się, moja droga. Te trzy niemieckie ciężarówki przewiozły skrzynie. Ojciec odnalazł je latem 1952 roku.

- Ale jakim cudem? - nie dowierzał Fellner. - Poszukiwali ich z pełną determinacją Rosjanie oraz całe mnóstwo innych prywatnych kolekcjonerów. Wtedy wszyscy pożąдали Bursztynowej Komnaty i nikt nie dawał wiary pogłoskom, że została zniszczona. Josef był pod jarzmem komunistów.

- W jaki sposób udało mu się odnaleźć tak niezwykłą zdobycz? I co jeszcze ważniejsze, w jaki sposób zdołał wejść w jej posiadanie?

- Ojciec był blisko związany z Erichem Kochem. Ten wyjawiał mu, że Hitler szykował się do przewiezienia płyt na południe z okupowanych terenów Związku Radzieckiego jeszcze przed wkroczeniem Armii Czerwonej. Koch, zawsze lojalny wobec Göringa, nie był jednak głupcem. Kiedy Hitler rozkazał ewakuację arcydzieła, wykonał rozkaz i nie powiadomił od razu dowódcy Luftwaffe. Ale płyty z jantaru zdołały dotrzeć jedynie w góry

Harzu i tam zostały ukryte w podziemnym wyrobisku. Koch w końcu wyjawiał to Göringowi, ale nawet on nie wiedział, w którym miejscu ukryto komnatę. Dowódca Luftwaffe odszukał czterech żołnierzy z oddziału nadzorującego konwój. Podobno poddawał ich okrutnym torturom, ale nie pisnęli ani słowa na temat podziemnej kryjówki - kontynuował opowieść Loring, po czym pokręcił z niedowierzaniem głową. - Pod koniec wojny Göring zaczął zdradzać symptomy obłędu. Koch śmiertelnie się go obawiał i właśnie dlatego postanowił rozrzucić fragmenty Bursztynowej Komnaty - zawiasy, mosiężne klamki, kamienie z mozaiki - w ruinach zamku w Królewcu. W ten sposób puścił w obieg fałszywą informację o jej zniszczeniu, spreparowaną nie tylko dla Sowietów, ale przede wszystkim dla Göringa. Te mozaiki były jednak reprodukcjami, nad którymi Niemcy pracowali od 1941 roku.

- Nigdy nie wierzyłem w hipotezę, że bursztynowe reliefy spłonęły podczas bombardowania Królewca - skomentował I'„diner. - Całe miasto pachniałoby żywicznym kadzidło.

Loring zachichotał.

- To prawda. Nie rozumiałem, dlaczego nikt nie zwrócił na ten drobiazg uwagi. W żadnym raporcie na temat bombardowań nie przewinęła się wzmianka o intensywnej woni żywicy. Wyobraźcie sobie dwadzieścia ton bursztynu powoli spalającego się na smołę! Zapach rozszedłby się na wiele kilometrów i utrzymywał przez wiele dni.

Monika potarła lekko jedną z wypolerowanych ścian.

- W niczym nie przypomina zimnego kamienia. Jest niemal ciepły, gdy go dotykam. I o wiele ciemniejszy niż sobie wyobrażałam. Z pewnością ciemniejszy niż płyty odrestaurowane w Pałacu Jekaterynowskim.

- Bursztyn ciemnieje z upływem czasu - wyjaśnił jej ojciec. - Pocięty na kawałki, wypolerowany oraz sklejonny jantarem nie przestaje się starzeć. Bursztynowa Komnata w osiemnastym stuleciu była z pewnością znacznie jaśniejsza niż ta, którą widzimy tutaj.

Loring skinął głową.

- I chociaż bryłki bursztynu zamocowane na płytach liczą miliony lat, są kruche jak kryształy i równie wrażliwe.

- To właśnie czyni ten skarb jeszcze bardziej fascynującym.

- Odbija też światło - dodał Fellner. - Człowiek się czuje, jakby stał w słońcu. Czuje promieniowanie, chociaż bez ciepła.

- Tak jak w oryginale, płytki bursztynu są ułożone na srebrnej folii. Dzięki temu silniej odbijają światło.

- Co masz na myśli, mówiąc „jak w oryginale”? - zdziwił się Fellner.

- Jak już wspomniałem, ojciec był rozczarowany, kiedy dotarł do pieczary i odnalazł bursztynowy skarb. Dębowe listwy zbutwiały, niemal wszystkie bryłki bursztynu poodpadały. Zebrał skrupulatnie wszystko, potem zdobył odbitki fotografii, które Sowieci zrobili w komnacie jeszcze przed wojną.

- Podobnie jak współcześni restauratorzy w Carskim Siole, wykorzystał te zdjęcia do odtworzenia pierwotnego. Z tą różnicą, że on dysponował oryginalnymi bryłkami jantaru.

- Gdzie znalazł wykonawców? - zapytała Monika. - Z tego, co wiem, obróbka bursztynu zanikła w latach wojny. Większość starych mistrzów została wymordowana.

Loring przytaknął.

- Niektórzy przetrwali dzięki Kochowi. Göring zamierzał odtworzyć oryginalną komnatę i polecił mu aresztować jubilerów specjalizujących się w bursztynie. Chciał ich mieć pod ręką w razie potrzeby. Ojciec zdołał odnaleźć kilku spośród nich jeszcze przed końcem wojny. Później zaoferował im oraz ich rodzinom godziwą egzystencję. Większość z nich przyjęła ofertę i zamieszkała tu w odosobnieniu, restaurując powoli arcydzieło, bryłką po bryłce. Kilku ich potomków wciąż tu mieszka i zajmuje się konserwacją komnaty.

- Czy nie jest to zbyt wielkie ryzyko? - zdziwił się Fellner.

- Nie sądzę. Ci ludzie oraz ich rodziny są całkowicie lojalni. Życie w dawnej Czechosłowacji było ciężkie. Bardzo brutalne. Wszyscy, co do jednego, odczuwają wdzięczność za hojność, którą okazał im Josef Loring. Wszystkim, czego od nich oczekiwaliśmy, była dobra praca oraz dyskrecja.

- Odtworzenie całości dzieła, które tu widzicie, zajęło blisko dziesięć lat. Na szczęście Rosjanie solidnie szkolili rzemieślników, restauratorzy byli znakomitymi fachowcami.

- Tak czy owak, musiało to kosztować fortunę - Fellner zatoczył ramieniem, wskazując ściany.

Loring skinął głową.

- Ojciec kupował bursztyn potrzebny do restauracji na wolnym rynku, co sporo kosztowało nawet w latach pięćdziesiątych. Do rekonstrukcji wprowadzono też nowoczesną technologię. Nowe płyty nie są wykonane z drewna dębowego. W jego miejsce zastosowano masę z drobin dębiny, sośniny oraz popiołu. Dzięki temu płyty są bardziej odporne na zmiany temperatury; między bursztynem i sklejką umieszczono także środki chroniące przed wilgocią. Bursztynowa Komnata została nie tylko precyzyjnie odtworzona, ale też przygotowana, by przetrwać wieki.

Suzanne stała w milczeniu w pobliżu drzwi i obserwowała uważnie Fellnera. Stary

Niemiec był najwyraźniej zdumiony Zastanawiała się często, czy coś może wprawić w osłupienie człowieka takiego jak Franz Fellner, miliardera posiadającego zbiory sztuki, które śmiało mogły konkurować z kolekcjami największych muzeów świata. Rozumiała jednak, że jest równie zszokowany jak ona sama, gdy Loring pokazał jej arcydzieło po raz pierwszy.

Fellner wskazał gestem.

- Dokąd prowadzą pozostałe drzwi?

- To pomieszczenie znajduje się w centrum mojej prywatnej galerii. Wznieśliśmy ściany i rozmieściliśmy drzwi i okna dokładnie tak, jak w Pałacu Jekaterynowskim. Prowadzą do innych sal mojej prywatnej kolekcji.

- Jak długo komnata się tu znajduje? - zaciekał się Fellner.

- Pięćdziesiąt lat.

- To zdumiewające, że udało ci się ukryć ten fakt - skomentowała Monika. - Nie było chyba łatwo wyprowadzić w pole Sowietów.

- Podczas wojny ojciec utrzymywał dobre stosunki zarówno z Sowietami, jak i z Niemcami. Czechosłowacja stanowiła dla nazistów dogodny punkt przerzutowy twardej waluty i złota do Szwajcarii. Nasza rodzina pomagała w realizacji tego rodzaju transferów. Po wojnie Sowietci korzystali z podobnych usług. Stawką za to była wolność i swoboda działania.

Fellner się uśmiechnął.

- Wyobrażam sobie. Sowietci przekazywali lipne informacje na temat swoich posunięć, a te były podawane dalej Amerykanom i Brytyjczykom.

- Jest takie stare rosyjskie przysłowie: jeśli coś robi się w złym celu, nie może być dobre. Odnosi się to do podejścia Rosjan do sztuki, która ich zdaniem jest wyrazem społecznych niepokojów. I tłumaczy, dlaczego było to możliwe.

Suzanne nie przestawała obserwować Fellnera, Monika zaś podeszła do wysokich gablot ustawionych wzdłuż dwóch ścian Bursztynowej Komnaty. W środku były przeróżne eksponaty. Siedemnastowieczne figury szachowe, samowar i flaszka z osiemnastego stulecia, damska toaletka, klepsydra, łyżeczki, medaliony oraz ozdobne pudierka. Wszystko z jantaru, jak objaśnił Loring, wykonane przez mistrzów z Królewca i Gdańska.

- Są przepiękne - powiedziała z zachwytem.

- Wiele przedmiotów z bursztynu przechowuję w sali z eksponatami z czasów Piotra Wielkiego. To zdobycze Suzanne oraz jej ojca. Nie dla wszystkich oczu przeznaczone. Wojenne trofea.

Stary Czech spojrział na Suzanne i uśmiechnął się. Potem ponownie zwrócił się do gości.

- Czy możemy teraz przejść do mojego gabinetu? Usiądziemy sobie wygodnie i porozmawiamy jeszcze przez chwilę.

Suzanne usiadła nieco z boku, by obserwować Monikę, Fellnera i Loringa. Z przyjemnością patrzyła, jak szef przeżywał chwilę triumfu. Lokaj właśnie wyszedł, podawszy uprzednio kawę, brandy oraz ciasto.

- Zawsze mnie zastanawiało - podjął dyskurs Fellner jakim cudem Josef przetrwał wojnę tak zdumiewająco dobrze.

- Ojciec nienawidził nazistów - odparł Loring. - Jego huty i fabryki oddano do ich dyspozycji, ale wykuwanie słabej stali lub produkowanie rdzewiejących pocisków czy armat nieznoszących mrozów wcale nie było trudne. Była to jednak niebezpieczna gra. Hitlerowcy podchodzili z fanatyzmem do jakości; jednak dobre stosunki z Kochem okazały się pomocne. Rzadko pytano go o cokolwiek. Ojciec wiedział, że Niemcy przegrają wojnę, i przepowiedział zajęcie przez Sowieców Europy Środkowowschodniej, dlatego przez cały czas współpracował z radzieckim wywiadem.

- Nie miałem o tym pojęcia - wyznał Fellner.

Loring pokiwał głową.

- Był czeskim patriotą. Ale po prostu działał na własny sposób. Po wojnie Sowieci byli mu wdzięczni. Oni również go potrzebowali, a zatem zostawili go w spokoju. Ja zaś zdołałem przedłużyć te dobre stosunki. Nasza rodzina współpracowała ściśle z każdym czechosłowackim rządem od 1945 roku. Ojciec miał rację, jeśli chodzi o Sowieców I mogę dodać, że rację miał również Hitler.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zdziwiła się Monika.

Gospodarz położył dłonie na kolanach.

- Hitler zawsze wierzył, że Amerykanie oraz Brytyjczycy dołączą do niego w walce przeciwko Stalinowi. Prawdziwym wrogiem Niemiec była sowiecka Rosja; był też przekonany, że tak samo uważają Churchill i Roosevelt. Z tego właśnie powodu ukrył tak dużo pieniędzy i dzieł sztuki. Zamierzał sięgnąć po to wszystko, kiedy już alianci sprzymierzą się z nim z zamiarem pokonania ZSRR. Führer był, rzecz jasna, szaleńcem, ale historia potwierdziła wiele jego przekonań.

Kiedy w 1948 roku Sowieci zorganizowali blokadę Berlina, Ameryka, Anglia i Niemcy natychmiast połączyły się przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

- Stalin był postrachem wszystkich - wtrącił Fellner. W jeszcze większym stopniu niż Hitler. Unicestwił sześćdziesiąt milionów ludzkich istnień, Hitler zaś dziesięć milionów. Kiedy Stalin zmarł w 1953 roku, wszyscy odetchnęli z ulgą.

- Zakładam, że Christian przekazał wam informacje o ludzkich szczątkach znalezionych w pieczarze pod Stod - odezwał się po chwili Loring. Ojciec Moniki przytaknął. - Pracowali w podziemnym wyrobisku; zostali wynajęci w Egipcie. Wtedy był tam ogromny szyb, podłożono dynamit tylko przy wejściu od zewnątrz. Ojciec zdetonował ładunek, przebił się przez rumowisko i wydobyl rozpadające się bursztynowe płyty.

- Potem wysadził w powietrze wejście i chodnik, pozostawiając ciała w jaskini.

- Josef ich zabił?

- Własnoręcznie. Pogrążonych we śnie.

-1 od tamtej pory mordujecie ludzi - skwitowała Monika.

Loring spojrzał na nią.

- Nasi akwizytorzy zapewniali utrzymanie sekretu w tajemnicy Muszę jednak wyznać, że gorliwość i determinacja, z jaką ludzie poszukiwali Bursztynowej Komnaty, nas zaskoczyła. Wieloma osobami zawładnęła prawdziwa obsesja odnalezienia jantarowego skarbu. Co jakiś czas myliliśmy tropy, rozgłaszaliśmy pogłoski, które naprowadzały zapaleńców na fałszywy ślad. Być może przypominasz sobie artykuł w gazecie „Raboczaja Tribuna” sprzed kilku lat. Była w nim mowa o tym, że sowiecki wywiad wojskowy zdołał odnaleźć bursztynowe reliefy w pewnej kopalni usytuowanej niedaleko starej bazy paliwowej we wschodnich Niemczech, w odległości około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Berlina.

- Trzymam do dziś ten artykuł - przytaknął Fellner.

- Wszystko to były czcze wymysły. Suzanne zaaranżowała przeciek, który dotarł do właściwych ludzi. Żywiliśmy nadzieję, że większość tropicieli pójdzie po rozum do głowy i zrezygnuje z dalszych poszukiwań.

Fellner pokiwał sceptycznie głową.

- Ten skarb jest zbyt cenny. Zbyt intrygujący. Taki łup działa jak narkotyk.

- W zupełności podzielam to przekonanie. Ilekroć przychodzę do tej komnaty, po prostu siadam i patrzę. Niemal czuję, jak bursztyn przywraca mi zdrowie i siły.

- I w dodatku jest bezcenny - wtrąciła Monika.

- Prawda, moja droga. Czytałem kiedyś rozważania na temat wojennych łupów, czyli zabytków kultury materialnej wykonanych z drogich kamieni i szlachetnych metali.

- Autor sugerował, że przedmioty te były skazane na zniszczenie podczas wojen, gdyż łączna wartość poszczególnych ich elementów przekraczała znacznie wartość całości.

- Jeden z komentatorów, bodaj z „London Times”, napisał, że Bursztynową Komnatę należy oceniać podobnie. W konkluzji stwierdził, że wyłącznie takie artefakty, jak książki

czy obrazy, których wartość zawiera się w kompozycji i treści i do których powstania użyto surowców niemających wartości materialnej, mogą przetrwać wojenną zawieruchę bez uszczerbku.

- Czy przyczyniłeś się w jakiś sposób do sformułowania tych rewelacji? - zaciekał się Fellner.

Loring podniósł filiżankę z kawą i uśmiechnął się.

- Były to przemyślenia własne autora. Ale my dołożyliśmy starań, żeby artykuł zyskał rozgłos.

- Cóż więc się stało? - zapytała Monika. - Dlaczego zamordowanie tylu ludzi było konieczne?

- Początkowo nie mieliśmy wyboru. Alfred Rohde nadzorował załadunek skrzyń w Królewcu i znał miejsce, w którym je ukryto. Ten głupiec w dodatku powiedział wszystko żonie.

- Ojciec musiał więc zlikwidować ich oboje, zanim zdążyli podzielić się tym z Sowietami. Nieco wcześniej Stalin powołał specjalną komisję, która miała poprowadzić dochodzenie.

- Podstęp nazistów w zamku w Królewcu spalił na panewce, gdyż Sowietci nie dali się wyprowadzić w pole. Byli pewni, że bursztynowe płyty ocalały i podjęli z pełną determinacją poszukiwania.

- Ale przecież Koch przeżył wojnę i zeznawał przed Rosjanami - przerwał mu Fellner.

- To prawda. Ale to my opłacaliśmy jego obrońców aż do dnia, w którym zmarł. Gdy Polacy skazali go na karę śmierci za zbrodnie wojenne, pozostawał przy życiu wyłącznie dzięki interwencji Rosjan. Byli do końca przekonani, że *gauleiter* zna kryjówkę Bursztynowej Komnaty. W rzeczywistości Koch wiedział tylko, że ciężarówki wyjechały z Królewca na zachód, a potem zbczyły na południe. Nie miał najmniejszego pojęcia, co stało się z nimi później. To my podsunęliśmy mu pomysł, by łudził Sowietów Wiedzą o miejscu ukrycia boazerii z jantaru. Pozwolili się wodzić za nos aż do wczesnych lat sześćdziesiątych. Darowali mu życie w zamian za informacje, jednak nie do końca udało mu się wykpić. Dzisiejszy Królewiec jest faktycznie zupełnie innym miastem niż to z lat wojny.

- A zatem opłacając adwokatów Kocha, zapewniłeś sobie jego lojalność. Nigdy nie zdradził źródła swoich dochodów ani też nie wyciągnął asa z rękawa, gdyż nie miał najmniejszych powodów wierzyć Rosjanom, że dotrzymają danego słowa.

Twarz Loringa rozjaśniła się w uśmiechu.

- Dokładnie tak, stary przyjacielu. Ten gest pozwolił nam również utrzymywać stały kontakt z jedyną żyjącą osobą, która wiedziała, kto mógł posiadać cenne informacje na temat miejsca ukrycia bursztynowego skarbu.

- Z osobą, którą przy okazji trudno było zabić bez ściągnięcia niepożądanego uwagi.

Loring przytaknął.

- Na całe szczęście Koch współpracował ochoczo i nigdy niczego nie wyjawiał.

- A pozostali? - chciała wiedzieć Monika.

- Czasem ktoś docierał zbyt blisko i wtedy konieczne stawało się zaaranżowanie tragicznego wypadku. Niekiedy rezygnowaliśmy z zachowania ostrożności i po prostu zabijaliśmy delikwenta, zwłaszcza gdy zależało nam na czasie. Ojciec wymyślił „klątwę Bursztynowej Komnaty” i karmił opowieściami o niej dziennikarzy. To była pożywka dla prasy i... Franz, wybac mi, proszę, oczywiście bardzo szybko się przyjęła.

- Nadawała się doskonale na czołówki gazet, jak przypuszczam.

- A Karol Boria i Dania Czapajew? - zapytała Monika.

- Ci dwaj mogli przysporzyć nam najwięcej kłopotów, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy aż do ostatnich wydarzeń. Byli najbliżsi prawdy. W rzeczywistości chyba udało im się natrafić na te same informacje, na które my natknęliśmy się po wojnie. Z jakiegoś powodu jednak zatrzymali dla siebie to, co wiedzieli, i utrzymywali w największej tajemnicy.

- Wydaje się, że nienawiść do sowieckiego reżimu znacznie wpłynęła na ich postawę. Wiedzieliśmy o działaniach Borii w Sowieckiej Nadzwyczajnej Komisji. W końcu jednak wyemigrował do Ameryki i straciliśmy jego ślad. Nazwisko Czapajewa również znaleźliśmy. On z kolei zniknął gdzieś w Europie. Ponieważ żaden z nich nie wydawał się nadmiernie rozmowny, nie stwarzali realnego zagrożenia i pozostawiliśmy ich w spokoju. Oczywiście tylko do chwili, kiedy Christian wpadł na ich trop.

- Teraz zamilkli na wieki - skitowała opowieść Monika.

- To samo byś zrobiła, gdybyś była na naszym miejscu, moja droga.

Suzanne obserwowała wzburzenie Moniki na takie postawienie sprawy przez Loringa. Ale oczywiście miał rację.

Ta suka z pewnością nawet własnego ojca utopiłaby w łyżce wody, gdyby widziała w tym interes.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał Loring.

- Dowiedzieliśmy się, gdzie mieszka Boria, przed siedmioma laty, całkiem przypadkowo. Jego córka poślubiła Paula Cutlera, którego ojciec był amerykańskim

miłośnikiem i mecenasem sztuki. Przez kilka lat stary Cutler prowadził w Europie poszukiwania Bursztynowej Komnaty Jakimś sposobem udało mu się dotrzeć do krewnego jednego z naszych ludzi zatrudnionych przy restaurowaniu bursztynowych płyt. Teraz już wiemy, że jego nazwisko Boria uzyskał od Czapajewa i że to właśnie Boria poprosił starego Cutlera o dyskretne zbadanie sprawy Cztery lata temu sprawy doszły do takiego punktu, że zostaliśmy zmuszeni do działania. Ich samolot eksplodował. Dzięki przekupieniu włoskiej policji oraz odpowiednio ulokowanym znacznym sumom lotnicza katastrofa poszła na konto terrorystów.

- Czy było to dzieło Suzanne? - zainteresowała się Monika.
- Loring przytaknął.
- Ona naprawdę jest nadzwyczaj utalentowana.
- Czy urzędnik z archiwum „w Sankt Petersburgu pracuje dla was? - zapytał Fellner.
- Oczywiście. Sowieci, mimo całej ich niewydolności, są bardzo skrupulatni, jeśli chodzi o zapisywanie wszystkiego.

- W ich archiwach znajdują się dziesiątki milionów stron dokumentów; nikt nie wie, co w nich jest ani jak je właściwie posegregować. Aby zabezpieczyć się przed ciekawskimi, którzy mogliby natrafić na interesujące zapiski, musimy więc opłacać urzędasz z archiwum za czujność i dobrą wolę.

Mocodawca Suzanne wypił kawę, odstawił filizankę i spodek na bok. Spojrzał prosto w oczy Fellnerowi.

- Franz” mówię ci o tym wszystkim dobrowolnie i niczego nie ukrywając. Niestety, choć ubolewam, dopuściłem, by sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zamachy na życie Christiana podjęte przez Suzanne oraz wczorajsza gonitwa po ulicach Stod dowodzą, że sprawy mogą potoczyć się w złym kierunku. To w efekcie zupełnie niepotrzebnie ściągnie uwagę na nas, że nie wspomnę już o pozostałych członkach klubu.

- Pomyślałem więc, że gdy poznasz prawdę, przerwiemy tę walkę. Nie ma już nic do odkrycia, jeśli chodzi o Bursztynową Komnatę. Przykro mi z powodu Christiana. Wiem, że Suzanne nie chciała mu zrobić krzywdy; działała z mojego polecenia.

- Uznałem to za konieczne wobec zaistniałej sytuacji.
- Ja również żałuję tego, co się stało, Ernst. Naprawdę cieszę się, że bursztynowe płyty są w twoich rękach. Jakaś częśćka we mnie się raduje, bo są całe i bezpieczne. Zawsze się obawiałem, że Sowieci je w końcu odnajdą. A oni nie są lepsi od Cyganów, jeśli chodzi o stosunek do dzieł sztuki.

- Ojciec i ja myśleliśmy podobnie. Sowieci doprowadzili arcydzieło z jantaru do

takiego stanu, że za błogosławieństwo trzeba uznać wykradzenie go przez Niemców. Któż wie, jaki los spotkałby Bursztynową Komnatę, gdyby dostała się w łapy Stalina czy Chruszczowa? Komuniści bardziej przejmowali się konstrukcją bomb niż własnym dziedzictwem kulturowym.

- Czy proponuje pan zawarcie czegoś w rodzaju rozejmu? - chciała ustalić Monika.

Suzanne ledwie powstrzymała śmiech, widząc niecierpliwość tej suki. Nieszczęsne maleństwo. Odkrycie w przyszłości Bursztynowej Komnaty nie było jej, niestety, pisane.

- Istotnie, tego właśnie pragnę - potwierdził gospodarz. Suzanne, czy mogę cię prosić?

Wstała z miejsca i przeszła do rogu gabinetu. Na podłodze stały tam dwie nieduże sosnowe skrzynie. Chwyliła za rączki zrobione z liny i postawiła je naprzeciw Franza Fellnera.

- Są tu dwie figurki z brązu, które przed laty tak bardzo ci się spodobały - powiedział Loring.

Suzanne uniosła wieko jednej ze skrzyń. Fellner wyłuskał z wyściółki z cedrowych wiórów rzeźbę i podziwiał ją w pełnym świetle. Suzanne знаła dobrze to dzieło. Odkupiła je z rąk pewnego mieszkańca New Delhi, a ten ukradł z wioski na południu Indii. Wciąż pozostawało na liście najbardziej poszukiwanych zaginionych dzieł sztuki hinduskiej, ale przez ostatnie pięć lat spoczywało bezpiecznie w komnatach zamku Loukov.

- Suzanne i Christian zaciecie o to rywalizowali - westchnął Loring.

- Kolejna walka, którą przegraliśmy - przyznał Fellner.

- Teraz jest twoje. To zadośćuczynienie za wszystko, co wydarzyło się ostatnio.

- Herr Loring, proszę mi wybaczyć - powiedziała spokojnie Monika. - Teraz ja podejmuję decyzje w kwestiach związanych z członkostwem w klubie. Brązowe figurki są na pewno bardzo cenne, ale mnie nie wydają się równie interesujące jak ojcu. Zastanawiam się, jak zażegnać ten konflikt.

- Bursztynowa Komnata należała od dawna do najbardziej poszukiwanych dzieł sztuki. Czy pozostali członkowie klubu nie powinni także poznać prawdy?

Loring wzruszył ramionami.

- Wolalbym, żeby ta sprawa pozostała między nami.

Sekret da się utrzymać tak długo, jak długo wie o nim niewiele osób, moja droga. Jednak w tych okolicznościach pozostawiam to do twojego uznania. Wiezę, że pozostali członkowie klubu potraktują tę informację jako poufną, podobnie jak w przypadku wszystkich innych trofeów.

Monika usiadła znów w fotelu i uśmiechnęła się, najwyraźniej zadowolona z siebie.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą pragnąłbym się z wami podzielić - podjął rozmowę mocodawca Suzanne, zwracając się wprost do Moniki. - Podobnie jak twój ojciec ciebie, również ja muszę wyznaczyć następcę. W testamencie sporządziłem zapis, zgodnie z którym Suzanne odziedziczy tę posiadłość i zbiory oraz zajmie moje miejsce w klubie, kiedy zamknę na zawsze oczy. Zapisałem jej też dostatecznie dużo gotówki, by mogła należycie zadbać o wszystko.

Suzanne z satysfakcją obserwowała twarz Moniki, na której szok i niezadowolenie z powodu tej wiadomości walczyły o pierwszeństwo. Biedaczka, nie zdołała utrzymać uczuć na wodzy.

- Będzie pierwszą akwizytką, która dostąpi zaszczytu członkostwa w klubie. To zasłużone wyróżnienie, nie uważacie?

Ani Fellner, ani Monika się nie odezwali. On był urzeczony podarkiem z brązu. Jego córka siedziała przybita.

W końcu Fellner ostrożnie umieścił posążek w skrzyni.

- Ernst, uważam sprawę za zamkniętą. Ubolewam, że wydarzyły się rzeczy, które omal nie doprowadziły do pogorszenia stosunków między nami. Ale teraz wszystko rozumiem.

Jestem przekonany, że postąpiłbym tak samo w podobnej sytuacji. Suzanne, serdecznie ci gratuluje.

Skinęła głową w podzięcie.

- Jeśli chodzi o poinformowanie członków klubu, proszę o czas do namysłu - przemówiła wreszcie Monika. - Przed czerwcowym spotkaniem powiadomię was, co postanowiłam.

- To niestety wszystko, o co może prosić cię tak stary człowiek jak ja, moja droga - powiedział Loring szarmancko. - Czekam więc na decyzję - dodał i spojrzał na Fellnera. A może zechcielibyście zostać tu na noc?

- Niestety, musimy wracać do Burg Herz. Jutro rano mam spotkanie w interesach. Ale zapewniam cię, że tę wycieczkę uważam za wartą zachodu. Zanim was opuścimy, czy mogę raz jeszcze spojrzeć na Bursztynową Komnatę?

- Oczywiście, przyjacielu. Oczywiście.

Podróż powrotna na lotnisko Ruzyne przebiegła spokojnie.

Fellner wraz z córką siedzieli w mercedesie z tyłu, Loring natomiast zajął miejsce obok kierującej limuzyną Suzanne.

Ta zerknęła kilkakrotnie we wsteczne lusterko, by obserwować Monikę. Trzymała się mocno, suka. Z pewnością nie była zadowolona z faktu, że rozmowę prowadzili głównie

dwaj starcy Franz Fellner na pewno nie należał do ludzi, którzy łatwo wypuszczają z rąk władzę, a jego córka nie była kobietą, która lubiła ją z kimkolwiek dzielić.

Mniej więcej w połowie drogi Monika się ożywiła.

- Muszę prosić pana o wybaczenie, Herr Loring.
- Odwrócił twarz w jej stronę.
- Za cóż to, moja droga?
- Byłam opryskliwa.
- Ależ drobiazg! Pamiętam te czasy, gdy ojciec przekazywał mi członkostwo w klubie.

Byłem dużo starszy niż ty teraz i równie ambitny. On, podobnie jak twój ojciec, też niechętnie przekazywał władzę. Zawsze jednak dochodziliśmy do porozumienia i w końcu ustąpił.

- Moja córka jest niecierpliwa. Pod tym względem bardzo przypomina własną matkę - skomentował Fellner.

- Chyba nawet bardziej niż ciebie, Franz.
- Fellner wybuchnął śmiechem.
- Zapewne.
- Ufam, że Christian zostanie o wszystkim poinformowany? - spytał jeszcze Loring.
- Natychmiast.
- Gdzie on teraz jest?
- Naprawdę nie mam pojęcia - odparł Fellner. - A ty, kochanie?
- Nie wiem, ojczu. Nie miałam od niego żadnych wiadomości.

Dojechali na lotnisko tuż przed północą. Odrzutowiec Loringa czekał na poplamionym olejem pasie zatankowany i gotowy do startu. Zatrzymali się w jego pobliżu. Wszyscy czworo wysiedli, potem Suzanne otworzyła bagażnik. Pilot zszedł na płytę po schodkach. Wskazała mu dwie sosnowe skrzynki. Wziął obie i zaniósł do luku bagażowego.

- Owinąłem starannie brązowe figurki - powiedział Loring, starając się przekrzyczeć ryk silników. - Powinny przetrwać podróż w nienaruszonym stanie.

Suzanne podała kopertę swemu mocomodawcy.

- Tu macie odpowiednie zezwolenia, które wcześniej przygotowałem i podstemplowałem w Pradze w ministerstwie. Mogą się wam przydać, gdyby celnicy zarządzili kontrolę po wylądowaniu.

Fellner schował kopertę do kieszeni.

- Rzadko bywam kontrolowany.

Stary Czech się uśmiechnął.

- Tak przypuszczałem - rzekł, po czym obrócił się do Moniki i objął ją. - Miło było cię zobaczyć, moja droga.

Z niecierpliwością oczekuję przyszłych potyczek, podobnie zresztą jak Suzanne, prawda, *Draha*.

Monika uśmiechnęła się i cmoknęła powietrze koło policzków starca. Suzanne nie odezwała się ani słowem. Znała swoje miejsce w szyku. Do niej należało działanie, nie rozmowy Pewnego dnia, gdy zostanie członkiem klubu, jej akwizytor będzie postępować w podobny sposób - przynajmniej taką miała nadzieję. Tuż przed wejściem na schodki Monika obrzuciła ją przelotnym pogardliwym spojrzeniem. Obaj starsi panowie uścisnęli sobie dłonie i Niemiec zniknął w samolocie. Pilot zatrzasnął właz ładowni, po czym wbiegł po schodkach do maszyny i zamknął za sobą drzwi.

Suzanne i Loring stali na płycie, gdy odrzutowiec kołował na pas startowy w strumieniach gorącego powietrza z silników. Potem wsiedli do mercedesa i odjechali. Tuż po opuszczeniu lotniska Suzanne zatrzymała auto na poboczu drogi.

Odrzutowiec mknął po ciemnym pasie startowym i wzniósł się ku bezchmurnemu nocnemu niebu. Odległość tłumiła wszelkie odgłosy. Na betonowej płycie były jeszcze trzy samoloty: dwa właśnie wylądowały, jeden szykował się do lotu.

Suzanne i Loring siedzieli w samochodzie z głowami obróconymi w prawo i zadartymi w górę.

- To wielka strata, *Draha* - wyszeptał Loring.

- Przynajmniej spędzili miło wieczór. Herr Fellner był zachwycony Bursztynową Komnatą.

- Cieszę się, że mógł ją zobaczyć.

Pasażerski odrzutowiec zniknął po zachodniej stronie nieba; jego światła pozycyjne słabły wraz z rosnącą wysokością.

- Figurki z brązu wróciły do gablot? - zapytał Loring.

- Skinęła głową.

- Sosnowe skrzynie zapakowane do pełna?

- Oczywiście.

- Jak działa mechanizm?

- Włącznik ciśnieniowy, reaguje na określonej wysokości.

- A ładunek?

- Potężny.

- Kiedy?

Spojrzała na zegarek i przeliczyła szybko w myślach.

Zgodnie z szacowanym tempem wznoszenia się maszyny wysokość tysiąca pięciuset metrów powinna wystarczyć...

Przez moment jaskrawy żółty błysk rozświetlił niebo w oddali, niczym wybuch supernowej; materiały wybuchowe umieszczone przez nią w sosnowych skrzynkach eksplodowały, zapalając paliwo i unicestwiając Fellnera, Monikę oraz dwóch pilotów.

Światelka zniknęły.

Loring wciąż wpatrywał się w dal, chociaż już było po eksplozji.

- Taka strata! Szlag trafił odrzutowiec wart sześć milionów dolarów.

Powoli obrócił się w jej stronę.

- Ale to cena, jaką trzeba było zapłacić za twoją przyszłość.

CZWARTEK, 22 MAJA, 8.50

Knoll zaparkował w lesie około pół kilometra od szosy.

Czarnego peugeota wypożyczył wczoraj w Norymberdze.

Noc spędził parę kilometrów stąd w malowniczej czeskiej osadzie. Wyspał się solidnie, wiedząc, że dzisiejszy dzień i wieczór mogą być bardzo wyczerpujące. W niewielkiej knajpce zjadł lekkie śniadanie i opuścił ją pospiesznie, żeby nikt nie zapamiętał żadnych szczegółów z nim związanych.

Nie ulegało wątpliwości, że w tej części Czech Loring miał wszędzie oczy i uszy.

Znał topografię tego miejsca. W rzeczywistości wkroczył już na tereny Loringa, od wieków posiadłości rodzinnej, która ciągnęła się przez wiele kilometrów w każdym kierunku. Zamek usytuowany był na północno-zachodnim jej skraju i otoczony gęstym lasem, w którym rosły brzozy, buki oraz topole. Region Sumava w południowo-zachodnich Czechach był ważnym ośrodkiem pozyskiwania drewna, lecz Loringowie nie zajmowali się sprzedażą tarcicy.

Wyciągnął plecak z bagażnika i pieszo ruszył w kierunku północnym. Po dwudziestu minutach jego oczom ukazał się zamek Loukov w całej okazałości. Warowna budowla usytuowana na skalistym wzgórzu górowała nad wierzchołkami drzew, oddalona teraz o niespełna kilometr. Na zachodzie Orlik płynął z wolna ku południowi. Punkt obserwacyjny, do którego Knoll dotarł, pozwalał mu widzieć wyraźnie wschodnie wejście do zamkowej budowli przeznaczone dla pojazdów mechanicznych oraz bramę zachodnią dla służby i samochodów dostawczych.

Zamek był naprawdę imponujący. Przeróżne baszty i budynki wyrastały w górę ponad murami obronnymi wzniesionymi na planie prostokąta. Znał dobrze rozkład całego kompleksu. Na niższych kondygnacjach znajdowały się przede wszystkim reprezentacyjne salony oraz kunsztownie zdobione komnaty gościnne, natomiast wyższe piętra zajmowały sypialnie oraz pokoje mieszkalne. Gdzieś między nimi, w pełnej zakamarków kamiennej strukturze znajdowały się sekretne pomieszczenia, w których Loring przechowywał prywatną kolekcję - podobne zapewne do tych, w których trzymał ją Fellner oraz pozostała siódemka klubowiczów.

Szkopuł w tym, że aby je odnaleźć, Knoll musiał dostać się do wnętrza. Podejrzewał, ba, niemal był pewien, gdzie znajdują się sekretne komnaty; udało mu się to odkryć na jednym ze spotkań klubu poświęcony architekturze. Ale i tak jeszcze czekało go sporo

roboty W krótkim czasie. Zanim nadejdzie poranek.

Fakt, że Monika zezwoliła mu na potajemne wkroczenie tutaj, nie był dla niego zaskoczeniem. Gotowa była uczynić wszystko, żeby zapewnić sobie kontrolę nad biznesem.

Fellner był szczodry, ale jego córka okaże się z pewnością lepsza. Stary człowiek nie będzie żył wiecznie. Chociaż Knoll go lubił i szanował, perspektywa pracy z Moniką była po prostu odurzająca. To twarda sztuka, ale znał jej czułe miejsca. Uda mu się ją zdominować, w to nie wątpił. Może nawet zdoła przejąć fortunę, którą odziedziczy Monika.

Niebezpieczna gra, to pewne, ale warta ryzyka. Fakt, że córka Fellnera nie była zdolna do miłości, wydawał się nawet sprzyjać jego planom. On również nie potrafił kochać. Stanowiliby idealną parę, a wszystko, czego aby potrzebowali, by wytrwać w związku, to seks i władza.

Ściągnął plecak i poszukał lornetki. Z bezpiecznej kryjówki w gęstej kępie topoli obserwował uważnie cały zamkowy kompleks. Niebieskie niebo podkreślało kontury budowli. Jego uwagę przykuł obrazek po stronie wschodniej. Brukowaną drogą, pokonując stromy i kręty podjazd, zbliżały się dwa auta.

Samochody policyjne.

Interesujące.

Suzanne wrzuciła na porcelanowy talerz świeżo upieczoną cynamonową bułeczkę i posmarowała ją odrobiną dżemu z malin. Usiadła przy stole. Loring zajął miejsce na drugim jego końcu. Pomieszczenie to było jedną z mniejszych w zamku sal jadalnych, zarezerwowaną do wyłącznego użytku stałych mieszkańców. Renesansowe gobeliny obramowane dębiną wisiały na jednej z alabastrowych ścian. Druga, inkrustowana kamieniami półszlachetnymi, zawieszona była połączanymi ikonami patronów Czech. Spożywali posiłek tylko we dwoje, tak jak czynili to zawsze, gdy Suzanne była w zamku.

- Tytułowe strony praskich gazet poświęcone są nocnej eksplozji - Loring złożył gazetę i odłożył na stół. - Autor nie ma żadnej teorii na temat przyczyn. Stwierdza tylko, że samolot eksplodował tuż po starcie i że śmierć poniosły wszystkie osoby będące na pokładzie. Wymienia z nazwiska Fellnera, Monikę oraz dwóch pilotów.

Wypiła łyk kawy.

- Jest mi bardzo przykro z powodu pana Fellnera. Był godnym szacunku człowiekiem. A Monice krzyżyk na drogę.

Prędzej czy później stałaby się dla nas prawdziwym utrapieniem. Jej zuchwałość nastreczyłaby poważnych problemów.

- Wierzę, że masz rację, *Draha*.

- Ugryzła kęs ciepłej bułeczki.
- Może wreszcie przyjdzie kres zabijania?
- Żywię taką nadzieję.
- To część mojej pracy, za którą szczególnie nie przepadam.
- Spodziewam się, że nie może być inaczej.
- Czy mój ojciec to lubił?
- Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł? - spojrzał na nią przenikliwie Loring.
- Myślałam o nim ostatniej nocy. Był dla mnie bardzo dobry. Nie miałam pojęcia, że

był zdolny do czegoś takiego.

- Skarbie, twój ojciec robił to, co było konieczne. Podobnie jak ty Jesteś do niego bardzo podobna. Byłby z ciebie dumny.

Jednakże jej w tej chwili nie rozpieła duma. Zamordowała Czapajewa i tyle innych osób. Czy ich twarze będzie pamiętać już zawsze? Obawiała się, że tak. Ponadto nie zrezygnowała jeszcze z posiadania dzieci. Swego czasu rozmyślała o tym jak o elemencie przyszłego życia. Ale po tym, co wydarzyło się wczoraj, jej osobiste plany musiały zostać skorygowane.

Teraz miała przed sobą perspektywę życia bez żadnych ograniczeń i to ją nadzwyczaj ekscytowało. Jeśli śmierć tych ludzi była warunkiem koniecznym, mogła oczywiście ubolewać, ale szkoda czasu na rozpamiętywanie. Nigdy więcej. Pora ruszyć do przodu i cisnąć w kąt wyrzuty sumienia.

Do jadalni wszedł lokaj, przemierzył salę i zatrzymał się przy stole. Loring podniósł wzrok.

- Proszę pana, przyjechała policja i życzy sobie rozmawiać z panem.

Zerknęła na swego mocodawcę i uśmiechnęła się.

- Jestem ci winna sto koron.

Poprzedniej nocy w drodze powrotnej z Pragi założył się z nią, że policja zjawi się w zamku przed dziesiątą rano.

Dochodziła dziewiąta czterdzieści.

- Wprowadź ich - polecił Loring.

Po chwili kilku umundurowanych funkcjonariuszy dziarskim krokiem weszło do sali jadalnej.

- Panie Loring - odezwał się pierwszy z nich - jakże jesteśmy radzi, że jest pan zdrow i cały. Katastrofa pańskiego odrzutowca to ogromna tragedia.

Loring wstał od stołu i podszedł do stróżów prawa.

- Wszyscy jesteśmy w szoku. Herr Fellner oraz jego córka gościli u nas wczoraj wieczorem na kolacji. Obaj piloci pracowali dla mnie od wielu lat. Ich rodziny mieszkają na terenie mojej posiadłości. Zamierzam odwiedzić obie wdowy.

To doprawdy nieszczęście.

- Przepraszamy za najście. Ale jesteśmy zmuszeni zadać panu kilka pytań. Chodzi o ewentualne przyczyny tego, co się wczoraj stało.

Loring wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Mogę jedynie stwierdzić, że w ciągu paru ostatnich tygodni personel informował mnie kilka razy o pogróżkach kierowanych pod moim adresem. Jeden z moich koncernów zamierza wkroczyć na rynki Bliskiego Wschodu. Od pewnego czasu prowadzimy na ten temat oficjalne negocjacje. Osoby, które dzwoniły z pogróżkami, najwyraźniej nie życzą sobie moich fabryk na terenie ich państwa. Otrzymaliśmy informacje, że autorami gróźb byli Saudyjczycy; sądzę, że mogą to być uzasadnione domysły. Oprócz tego nic więcej nie umiem panom powiedzieć.

- Nigdy nie przypuszczałem, że mam tak zagorzałych przeciwników.

- Dysponuje pan jakimiś dowodami w sprawie tych telefonów?

Loring skinął głową.

- Moja sekretarka w Pradze udzieli wam więcej informacji. Już jej przekazałem, by pozostawała dzisiaj do panów dyspozycji.

- Przełożeni polecieli mi zapewnić, że będzie pan informowany szczegółowo o przebiegu i wynikach śledztwa. Czy tymczasem nie potrzebuje pan ochrony? Może roztropniej byłoby się zabezpieczyć?

- Te mury zapewniają mi niezawodną ochronę, a moja służba jest bardzo czujna. Nic mi tu nie grozi.

- To dobrze, panie Loring. Proszę pamiętać, że w razie potrzeby zawsze może nas pan wezwać.

Policjanci wyszli. Loring zasiadł z powrotem do stołu.

- Jakie wrażenia?

- Nie ma powodu, by nie wierzyć w to, co usłyszeliśmy.

- Twoje kontakty w Ministerstwie Sprawiedliwości również powinny okazać się pomocne.

- Zadzwoń tam później, dziękując za wizytę policjantów, i zapewnię o pełnej gotowości do współpracy.

- Do członków klubu powinieneś zadzwonić osobiście.

- Wyrazić swój głęboki żal.
- Święta racja. Zajmę się tym teraz.

Paul kierował landroverem. Rachel siedziała obok niego, McKoy z tyłu. Olbrzym z Karoliny Północnej milczał niemal przez całą drogę na wschód od Stod. Do Norymbergi dojechali autostradą, potem zaczęła się dwupasmówka, która zawiodła ich przez niemiecką granicę do południowo-zachodnich Czech.

Okolica stawała się stopniowo coraz bardziej pofałdowana i zalesiona, często poprzecinana szachownicą obsianych zbożami pól oraz jeziorami, które czyniły ten krajobraz urzekającym. Wcześniej, kiedy Paul studiował mapę, by znaleźć najkrótszą trasę, zwrócił uwagę na Česke Budejovice, największe miasto regionu, i przypomniał sobie audycję CNN poświęconą piwu marki Budvar, znanemu lepiej pod niemiecką nazwą Budweiser. Amerykański koncern o tej samej nazwie na próżno usiłował wykupić czeskiego imiennika, gdyż tutejsi mieszkańcy stanowczo odrzucali wielomilionową ofertę w dolarach, dumnie twierdząc, że produkowali piwo setki lat przed powstaniem Ameryki.

Trasa po stronie czeskiej wiodła przez szereg uroczych średniowiecznych miasteczek; nad większością z nich górowały zameczki bądź też grube mury obronne. Wskazówki uprzejmych sklepikarzy pozwoliły im nie zboczyć z trasy, dzięki czemu tuż przed drugą po południu Rachel dostrzegła w oddali zamek Loukoy.

Warowna budowla wzniesiona przez arystokratyczny ród usytuowana została na skalistym wzgórzu górującym ponad gęsto porośniętym lasem. Dwie wielokątne wieże oraz trzy na planie koła wznosiły się wysoko ponad zewnętrzne kamienne fasady, przyozdobione biforiami i z ciemnymi wykuszami dla łuczników. Liczne okna i półkoliste bastiony oplatały szarobiałą budowlę, a kominy wyrastały ze wszystkich stron. Flaga biało-czerwono-niebieska lekko łopotała w popołudniowym wietrze. Dwa szerokie pasy i trójkąt. Paul rozpoznał flagę państwową Czech.

- Człowiek niemal się spodziewa, że ujrzy galopującego rycerza w pełnej zbroi - skomentowała widok Rachel.
- Sukinsyn, umie żyć po pańsku - dorzucił McKoy. - Już lubię tego Loringa.

Paul prowadził landrovera stromym podjazdem w kierunku głównej bramy. Ogromne dębowe wrota wzmocnione żelaznymi sztabami otworzyły się, odsłaniając pokryty brukiem dziedziniec. Wzdłuż budynków posadzono kolorowe krzewy róż oraz wiosenne kwiaty. Paul zaparkował i wszyscy troje wysiedli. Porsche w kolorze szary metalik oraz kremowy mercedes stały nieopodal.

- Skurwiel ma też czym jeździć - nie mógł się powstrzymać McKoy.

- Czy ktoś zgadnie, gdzie są drzwi frontowe? - zapytał Paul.

Sześć par drzwi prowadziło z dziedzińca do różnych budynków. Przez chwilę Paul przyglądał się badawczo mansardowym oknom, nad którymi widniały herby, oraz pruskim murom o bogatym deseni. Interesujące architektonicznie połączenie gotyku i baroku, dowód, jak się domyślał, że budowa trwała bardzo długo i zmieniali się budowniczowie.

- Podejrzewam, że to będą tamte drzwi - McKoy wskazał kierunek.

Były to dębowe drzwi zwieńczone łukiem; po bokach stały kamienne filary; szczyt ozdobiono misternie rzeźbionym herbem. McKoy podszedł do progu i zastukał wypolerowaną metalową kołatką. Otworzył lokaj. McKoy wyjaśnił uprzejmie, kim są oraz w jakim celu się tu zjawili. Po jakichś pięciu minutach zasiedli w pełnym przepychu holu.

Na ścianach wisiały wypchane głowy jeleni i dzików oraz poroża. W ogromnym granitowym kominku buzował ogień, pomieszczenie oświetlały witrażowe lampy. Zdobiony stiukami sufit podpierały drewniane filary, na ścianach wisiały też obrazy olejne. Paul przyjrzał się płótnom. Dwa dzieła Rubensa, jeden Dürer oraz jeden Van Dyck. Niewiarygodne.

Muzeum w Atlancie dałoby wiele, by móc wystawić chociaż jedno z tych arcydzieł.

Mężczyzna, który wszedł cicho przez podwójne drzwi, dobiegał osiemdziesiątki. Był wysoki; jego siwe włosy straciły połysk, a pomarszczoną szyję i podbródek zdobiła rzadka szczecina. Sprawiał wrażenie człowieka niezwykle uprzejmego, jak należało się spodziewać po osobie z wielowiekowym arystokratycznym rodowodem. A może pod tą maską obojętności kryją się wielkie emocje - pomyślał Paul.

- Dzień dobry. Nazywam się Ernst Loring. Zazwyczaj nie przyjmuję nieproszonych gości, zwłaszcza takich, którzy ot, tak sobie przejeżdżają przez bramę, ale lokaj przedstawił mi powody państwa wizyty. Muszę przyznać, że poczułem się zaintrygowany - starszy mężczyzna przywitał ich czystą angielszczyzną.

McKoy się przedstawił i wyciągnął dłoń, którą Loring uścisnął.

- Nareszcie mam okazję pana poznać. Od lat czytałem wzmianki na pana temat.

Loring się uśmiechnął. Jego reakcja wydawała się naturalna.

- Nie może pan dawać wiary wszystkiemu, co pan czyta lub słyszy. Obawiam się, że prasa lubuje się w przedstawianiu mnie jako człowieka bardzo interesującego, a w rzeczywistości wcale taki nie jestem.

Paul zrobił krok do przodu i przedstawił siebie oraz Rachel.

- Miło mi poznać oboje państwa - powiedział gospodarz. Może jednak usiądziemy? Zaraz zostaną podane napoje.

Zasiedli w neogotyckich fotelach oraz na kanapie ustawionej przodem do kominka. Loring zwrócił się do McKoya:

- Lokaj wspomniał o pracach eksploracyjnych, które prowadzi pan w Niemczech. Któregoś dnia czytałem coś o tym, jak mi się wydaje. Z pewnością wymaga to ciągłego nadzoru z pana strony. Dlaczegoż więc jest pan tu, a nie tam?

- Tam nie ma już nawet pieprzonego feniga.

Twarz starca wyrażała zdziwienie, nic ponadto. Poszukiwacz skarbów opowiedział mu o podziemnym wyrobisku, trzech ciężarówkach, pięciu ludzkich szczątkach oraz literach na piasku. Pokazał mu też zdjęcia wykonane przez Alfreda Grumera oraz dodatkowe ujęcie zrobione wczoraj rano, gdy Paul uzupełnił brakujące litery i powstało słowo LORING.

- Czy potrafi pan wyjaśnić, dlaczego nieboszczyk wyskrobał na piasku pańskie nazwisko? - zapytał bez ogródek McKoy.

- Nie ma żadnych dowodów, że nieszczęśnik to właśnie napisał. Jak sam pan stwierdził, są to wyłącznie hipotezy.

Paul siedział w milczeniu, zadowolony, że McKoy przejął inicjatywę; mógł dzięki temu obserwować reakcje Czecha.

Spojrzał na Rachel; ona również taksowała starego człowieka wzrokiem, jakim podczas rozpraw w sądzie spoglądała na podsądnych.

- Jednakże - podjął Loring - staram się zrozumieć powody, które każą panu tak właśnie sądzić. Trzy pierwotne litery tworzą poniekąd pewną całość.

McKoy i Loring mierzyli się wzrokiem.

- Panie Loring, proszę mi pozwolić przejść do sedna.

- W tej jaskini ukryta była Bursztynowa Komnata i moim zdaniem pan lub pański ojciec ją stamtąd wywieźliście. Nie wiem tylko, czy bursztynowe płyty wciąż są w pańskim posiadaniu.

- Ale jestem przekonany, że były.

- Gdybym nawet posiadał taki skarb, dlaczegoż miałbym podzielić się tą informacją właśnie z panem?

- Z pewnością nie zrobiłby pan tego. Ale nie chciałby pan również, jak sądzę, bym tymi przypuszczeniami podzielił się z prasą. Podpisałem kilka kontraktów z agencjami informacyjnymi na całym świecie. Podziemna eksploracja okazała się całkowitą klęską, ale to, czego się przy okazji dowiedziałem, to prawdziwy dynamit. Dzięki niemu zdołałbym zaspokoić roszczenia przynajmniej części moich inwestorów Zakładam również, że żywo tym zainteresowani byłiby Rosjanie. Z tego, co słyszałem, do dziś nie zrezygnowali z

odzyskania utraconego skarbu.

- I sądzi pan, że byłbym gotów zapłacić za milczenie?

Paul nie dowierzał własnym uszom. Wymuszanie pieniędzy? Do głowy mu nie przyszło, że McKoy przyjechał do Czech, by jawnie szantażować Loringa. Oczywiście, że Rachel również nie miała o tym zielonego pojęcia.

- Chwileczkę, Wayland - wtrąciła się teraz, podnosząc głos. - Nigdy nie pisnąłeś słowa o szantażu.

- Nie zamierzamy w tym uczestniczyć - zawtórował jej Paul.

- Wy dwoje musicie przyjąć reguły gry - McKoy wcale się nie spieszył. - Rozmyślałem o tym przez całą drogę. Ten facet nie pokaże nam Bursztynowej Komnaty, nawet gdyby była w jego posiadaniu. Grumer nie żyje. Pięciu innych spoczęło w jaskini pod Stod. Do tego dochodzi twój ojciec, Rachel, oraz twoi rodzice, Paul, a także Czapajew... Wszyscy oni dołączyli do grona aniołków. W którą stronę się człowiek nie obróci, tam trup. - McKoy przeniósł wzrok na Loringa. -1 jestem zdania, że ten sukinsyn wie cholernie wiele na ten temat; znacznie więcej niż skłonny byłby nam powiedzieć.

Skronie starego mężczyzny pulsowały.

- Niebywały wprost brak ogłady, panie McKoy. Gości pan w moich progach i oskarża mnie o morderstwa i kradzież? Loring mówił głośno, lecz spokojnie.

- Nie oskarżam pana. Ale wie pan dużo więcej niż jest pan skłonny wyjawić. Pańskie nazwisko od lat jest wymieniane, ilekroć wspomina się o Bursztynowej Komnacie.

- Plotki.

- Rafał Doliński - McKoy zagrał *va banque*.

Loring zbył go milczeniem.

- To dziennikarz z Polski, który skontaktował się z panem przed trzema laty. Przesłał na pana ręce roboczą wersję artykułu, nad którym wtedy pracował. Miły gość. Naprawdę dał się lubić. Bardzo zapalony Parę tygodni później wyleciał w powietrze. Przypomina pan sobie?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- W tej samej kopalni obecną tu panią Cutler o mało co nie spotkał podobny los. Być może nawet był to ten sam szyb.

- Czytałem o eksplozji przed kilkoma dniami. Ale nadal nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną.

- Założmy się, że ma - powiedział kpiąco McKoy - Wiem, że prasa uwielbia tego rodzaju spekulacje. Niech pan to przemyśli, Loring. To będzie sensacja na światową skalę.

- Międzynarodowy finansista, zaginiony skarb, naziści, morderstwa. Nie wspominam nawet o Niemcach. Jeśli odnalazł pan bursztynowe arcydzieło na ich terytorium, zapewne zechcą je odzyskać. Byłaby to wspianiała karta przetargowa w negocjacjach z Rosjanami.

Paul nie mógł dłużej milczeć:

- Panie Loring, chcę, by pan wiedział, że Rachel i ja nie zdawaliśmy sobie sprawy z intencji McKoya, gdy zgodziliśmy się tutaj przyjechać. Zależy nam wyłącznie na odnalezieniu Bursztynowej Komnaty; przede wszystkim Rachel pragnie wypełnić wolę swojego ojca, i to wszystko. Jestem prawnikiem, moja eksmałżonka sędzią. W żadnym razie nie zamierzamy uczestniczyć w szantażu.

- Nie musi mnie pan o tym przekonywać - odparł gospodarz, po czym zwrócił się do poszukiwacza skarbów. - Być może ma pan nawet rację. Tego rodzaju spekulacje mogłyby okazać się dla mnie kłopotliwe. Żyjemy w świecie, w którym pozory są daleko bardziej istotne niż rzeczywistość. Traktuję pańskie perswazje bardziej jako rodzaj zabezpieczenia niż szantaż.

Wąskie usta starego człowieka wykrzywiły się w uśmiechu.

- Niech pan je traktuje tak, jak się panu żywnie podoba.

Ja natomiast oczekuję wyłącznie zapłaty Mam w tej chwili poważne kłopoty z płynnością finansową oraz bardzo wiele do powiedzenia bardzo wielu ludziom. Cena za moje milczenie rośnie z każdą minutą.

Rachel zbladła. Paul domyślał się, że za sekundę wybuchnie. Od samego początku nie miała zaufania do McKoya.

Podejrzany wydawał się jej apodyktyczny stosunek do ludzi; martwiła się, że za bardzo wikłają się w jego sprawy. Paul wyobrażał sobie, co za chwilę usłyszy. To jego wina, że wdepnęli po uszy w łajno. I on musiał również postanowić, jak się z tego wywikłać.

- Czy mogę coś zaproponować? - zapytał Loring.

- Słuchamy - odparł Paul w nadziei na odrobinę rozsądku.

- Potrzebuję nieco czasu na przemyślenie całej tej sytuacji. Z pewnością nie planujecie państwo wracać jeszcze dziś do Stod. Proszę, żebyście u mnie przenocowali. Zjemy kolację, a potem znowu porozmawiamy.

- Byłoby cudownie - szybko odpowiedział McKoy Planowaliśmy poszukać jakiegoś hotelu w okolicy.

- Doskonale; polecę służbie, by wniosła państwa bagaże.

Suzanne otworzyła drzwi swojej sypialni. Stał przed nimi lokaj, który zwrócił się do niej po czesku:

- Pan Loring chce się z panią widzieć w Sali Przodków.
- Powiedział też, żeby skorzystała pani z ukrytych przejść i trzymała się z dala od głównych korytarzy.
- Czy wyjaśnił dlaczego?
- Mamy gości, którzy będą tu nocować. Być może to jest powód.
- Dziękuję. Zaraz schodzę.

Zamknęła drzwi. Dziwne. Kazał jej skorzystać z ukrytych przejść. W zamku aż się roilo od sekretnych drzwi i korytarzy, które niegdyś dla członków arystokratycznego rodu stanowiły drogę ucieczki, obecnie zaś odwiedzanych głównie przez służbę, której zadaniem było utrzymanie porządku w komnatach zamkowych. Jej sypialnia znajdowała się w tylnej części fortecznej budowli, za ciągiem głównych korytarzy oraz komnatami rodzinnymi, w połowie drogi do kuchni i pomieszczeń roboczych, czyli za punktem, w którym zaczynał się labirynt ukrytych przejść.

Zeszła na dół. Najbliższe wejście do sekretnego korytarza ukryte było w niewielkim salonie na parterze. Szła przy ścianie wyłożonej boazerią. Ozdobne stiuki obramowywały ciemne deski z drewna orzechowego, na których nie widać było słoï. Ponad gotyckim kominkiem sięgnęła do ozdobnej woluty, by nacisnąć przycisk zwalniający mechanizm.

Fragment muru obok kominka przesunął się, otwierając przejście. Gdy w nim zniknęła, ściana powróciła na miejsce.

W wąskim korytarzu mogła pomieścić się zaledwie jedna osoba, wszystkie zakręty były pod kątem prostym. Co jakiś czas w kamiennej ścianie pojawiał się zarys drzwi prowadzących do kolejnych korytarzy lub do komnat. Bawiła się tu jeszcze jako dziecko, wyobrażając sobie, że jest czeską księżniczką uciekającą na wolność przed pogańskimi najeźdźcami, którzy wdarli się przez mury obronne. Bardzo dobrze знаła układ korytarzy.

Do Sali Przodków nie prowadziło jednak ukryte wejście z sekretnych korytarzy; najbliższe znajdowało się w Komnacie Błękitnej. Loring tak nazywał to pomieszczenie, ponieważ na ścianach wisiały dekoracyjne skóry lakierowane na niebiesko ze złożonymi tłoczeniami. Weszła teraz do tej sali i nasłuchiwała pod drzwiami, czy z korytarza nie dobiegają jakieś odgłosy. Było cicho, przemknęła więc szybko do Sali Przodków, zamykając

za sobą drzwi.

Loring stał w półokrągłej wnęce przed oknem w ołowianych ramach. Na ścianie ponad dwoma wyrzeźbionymi w kamieniu lwami znajdował się herb rodzinny. Pozostałe ściany zdobiły portrety antenatów, w tym Josefa Loringa.

- Wydaje się, że opatrzność podarowała nam prezent rozpoczął i pokrótce opowiedział jej o wizycie Waylanda McKoya oraz obojga Cutlerów.

Uniosła brwi w zdumieniu.

- Temu McKoyowi nie brakuje tupetu.

- Bardziej niż ci się wydaje. On wcale nie ma zamiaru wymusić okupu. Idę o zakład, że chciał tylko sprawdzić moją reakcję. Udaje prostaka, by wprowadzić w błąd swojego rozmówcę. Wcale nie przyjechał tu po forszę. Przybył, by odnaleźć Bursztynową Komnatę, i prawdopodobnie dlatego niemal mnie zmusił, bym zaproponował im tutaj nocleg.

- Po co więc to zrobiłeś?

Loring splótł dłonie za plecami, potem podszedł do olejnego portretu swego ojca. Ten spoglądał nań z obrazu z niezmaconym spokojem. Na portrecie fale białych włosów opadały na pobrużdżone czoło, usta uśmiechały się zagadkowo.

Oto człowiek, który wywarł duży wpływ na swoje czasy i oczekiwał tego samego od swoich dzieci.

- Moje siostry i brat nie przeżyli wojny - zaczął cichym głosem Loring. - Zawsze uważałem to za dar opatrzności.

Nie byłem dzieckiem pierworodnym. To nie miało stać się moim dziedzictwem.

Wiedziała o tym i zastanawiała się teraz, czy Loring nie tłumaczył czegoś postaci na obrazie, zapewne kończąc rozmowę, którą rozpoczęli przed wieloma dziesiątkami lat.

Ojciec opowiadał jej kiedyś o starym Josefie. Był ponoć bezkompromisowy oraz trudny we współżyciu. Od swego jedynego ocalałego dziecka wymagał bardzo wiele.

- Mój brat miał wszystko odziedziczyć. Ale w końcu cała odpowiedzialność spadła na moje barki. Ostatnie trzydzieści lat to trudny okres. Mówiąc szczerze, bardzo trudny.

- Ale go przetrwałeś. I nawet nieźle prosperowałeś w tym czasie.

Obrócił twarz w jej stronę.

- Być może to jeszcze jeden znak od opatrzności? - powiedział i podszedł bliżej. - Ojciec postawił przede mną nie lada wyzwanie. Z jednej strony przekazał mi w spadku dzieło sztuki o niewyobrażalnym pięknie: Bursztynową Komnatę. Z drugiej natomiast naraził na nieustanne odpieranie ataków ludzi, którzy chcieliby ją posiąść. Za jego czasów sprawy toczyły się zupełnie inaczej. Życie za Żelazną Kurtyną miało tę zaletę, że można było zabić

każdego, kogo się tylko chciało - wyznał, po czym zrobił pauzę. - Ojciec żarliwie pragnął, żeby wszystko to pozostało w rękach rodziny Na tym punkcie miał po prostu bzika. Ty jesteś teraz moją rodziną, *Draha*, w takim samym stopniu jak synowie.

Oni z krwi i lędzwi, a ty z ducha.

Stary człowiek wpatrywał się w jej twarz przez kilka sekund, potem delikatnie pogładził dłonią po policzku.

- Do wieczora pozostań w swojej komnacie, nie pokazując się nikomu. Później... wiesz, co musisz zrobić.

Knoll przedzierał się przez zarośla. Las był gęsto porośnięty, ale nie na tyle, by nie dało się przejść. Unikał otwartych przestrzeni, starał się kryć pod koronami drzew, podchodząc leśnymi duktami jak najbliższej zamku, by na samym końcu przemknąć przez nikogo nieostrzeżony.

Wieczór był suchy i chłodny, noc z pewnością zapowiadała się bardzo zimna. Zachodzące słońce pochyliło się nad zachodnim niebem, jego promienie przebijały przez wiosenne liście i prawie nie dawały ciepła. Nad głową Knolla ćwierkały wróble. Pomyślał o pobycie we Włoszech sprzed dwóch tygodni: tam również przemierzał las w kierunku zamku, wykonując inną misję. Jego wyprawa zakończyła się śmiercią dwojga ludzi. Zastanawiał się, czy tej nocy jego pobyt tutaj przyniesie śmiertelne żniwo.

Szlak wiódł teraz stromo pod górę; skarpa dochodziła do podnóża zamkowych murów. Przez całe popołudnie czekał cierpliwie w bukowym zagajniku oddalonym o jakiś kilometr na południe. Widział, jak wczesnym rankiem przyjechały dwa policyjne radiowozy i po niedługim czasie odjechały.

Zastanawiał się, jaki interes mogła mieć do Loringa czeska policja. Po południu przez główną bramę wjechał landrover i pozostał. Być może samochód przywiózł gości. Obowiązki gospodarzy mogą odciągnąć uwagę Loringa i Suzanne i wtedy jego wizyta pozostałaby niezauważona, na co liczył również w przypadku włoskiej prostytutki, która gościła wówczas u Piętro Caproniego. Dotąd nie wiedział, czy Danzer przebywała w posiadłości, gdyż jej porsche nie wyjeżdżało ani nie wjeżdżało tego dnia; przypuszczał jednak, że tam była.

Gdzież indziej mogła być?

Zatrzymał się o trzydzieści metrów przed zachodnim wejściem. Brama znajdowała się na dole potężnej okrągłej baszty.

Kamienna ściana wyrastała w górę na dwadzieścia metrów, niemal zupełnie gładka; było w niej tylko kilka szczelin dla łuczników. Przypory odchodziły od murów ukosem;

było to rozwiązanie wymyślone w późnym średniowieczu, pozwalające na wzmocnienie konstrukcji. Przy okazji umożliwiało zrzucanie głazów i pocisków z góry na oblegających twierdzę przeciwników. Rozbawiła go myśl o nieprzydatności tego rozwiązania w czasach współczesnych. Tak wiele się zmieniło przez czterysta lat.

Przyjrzał się sięgającym do nieba blankom grubych murów. Na wyższych piętrach znajdowały się prostokątne okna z żelaznymi kratami. Nie ulegało wątpliwości, że w czasach średniowiecza baszta miała chronić tylne wejście do zamku. Ale wysokość i rozmiary budowli kazały się domyślać, że połączona była ze skrzydłami zamku, których dachy znajdowały się na różnej wysokości. Znał to przejście z poprzednich klubowych spotkań. Było używane głównie przez zamkową służbę; na zewnątrz murów wybrukowano podjazd, żeby samochody mogły zawrócić.

Musiał przedostać się do środka szybko i niepostrzeżenie. Przyglądał się ciężkiej drewnianej bramie wzmocnionej sztabami z pocerniałego żelaza. Niemal na pewno była zamknięta, ale nie widział instalacji alarmowej. Wiedział, że Loring, podobnie zresztą jak Fellner, nie przywiązywał wagi do zabezpieczeń. Rozległość zamkowych zabudowań oraz lokalizacja były skuteczniejsze niż każdy system alarmowy. Oprócz członków klubu oraz akwizytorów nikt tak naprawdę nie wiedział, co mogło się kryć w tych murach i posiadłości.

Wyjrzał z gęstych zarośli i dostrzegł ciemną szczelinę w bramie. Podbiegł szybko: wrota rzeczywiście były uchylone. Przecisnął się i wszedł na szeroki krużganek zwieńczony beczkowym sklepieniem. Trzysta lat temu przez te wrota wciągano armaty za zamkowe mury lub salwowano się ucieczką. Teraz wjeżdżały tędy samochody, o czym świadczyły ślady bieżników opon. Ciemny krużganek skręcał dwukrotnie. Najpierw w lewo, potem w prawo. Wiedział, że było to celowe rozwiązanie, mające zdezorientować napastników.

Dwie spuszczone kraty, jedna w połowie podejścia, druga tuż przy jego końcu, służyły do rozdzielenia oddziałów szturmujących zamek.

Jednym z obowiązków osoby goszczącej klubowiczów podczas comiesięcznych spotkań było zapewnienie noclegu tym, którzy sobie tego życzyli, oraz ich akwizytorom. W posiadłości Loringa pokoi sypialnych było znacznie więcej niż potrzebowano. Atmosfera panująca w starym zamczysku była najprawdopodobniej powodem, dla którego niemal wszyscy chętnie korzystali z gościnności Loringa. Knoll nocował tu wielokrotnie; podczas jednego ze spotkań gospodarz opowiedział historię zamku. Mówił, jak dzielnie jego przodkowie bronili warowni przez blisko pięć wieków. Opowiadał o walkach na śmierć i życie staczanych w tym właśnie wejściu. Knoll pamiętał też rozmowę na temat sekretnych

przejść i korytarzy. Po zburzeniu zamku przez aliantów, podczas jego rekonstrukcji sekretne korytarze ułatwiły regulację temperatury w komnatach i salach, a także doprowadzenie bieżącej wody i elektryczności do pomieszczeń oświetlanych niegdyś jedynie światłem słonecznym. W pamięć zapadło Knollowi sekretne wejście do gabinetu Loringa. Pewnej nocy stary Czech pokazał je swym gościom. W zamku było takich sekretnych przejść bez liku. Burg Herz Fellnera pod tym względem nie różnił się znacznie; tego typu rozwiązania stosowano powszechnie w fortecach wznoszonych w wiekach piętnastym i szesnastym.

Skradał się pogrążonym w półmroku chodnikiem; zatrzymał się dopiero na końcu pnącej się w górę ścieżki. Przed nim znajdowało się nieduże pomieszczenie. Wokół stały budynki pochodzące z pięciu różnych epok. Jeden ze stołpów zbudowanych na planie koła wznosił się wysoko do nieba na drugim krańcu warowni. Z parteru dobiegł go stukot garów oraz głosy rozmawiających ludzi. Zapach smażonego mięsa mieszał się z silnym odorem dochodzącym ze stojących nieopodal kubłów na śmieci. Postrzępione skrzynki na warzywa i owoce oraz wilgotne kartony z tektury tworzyły wysokie pryzmy, chybotliwe niczym dziecięce klocki. Na dziedzińcu było schludnie i czysto, ale z całą pewnością tu znajdowały się trzewia okazałej budowli - kuchni, stajnie, kwatery zamkowej załogi, spiżarnia oraz solarnia. Personel trudził się tu właśnie, by utrzymać resztę zamkowego kompleksu w nienagannym stanie.

Knoll krył się w cieniu.

Na piętrach okien było dużo, a w każdym z nich mogła pojawić się para oczu, które go dojrzą. Natychmiast podniesiono by alarm. Musiał dostać się do środka niezauważony przez nikogo. Sztylet ukrył w pochwie na prawym przedramieniu pod rękawem bawełnianej kurtki. CZ-75B, prezent od Loringa, tkwił w skórzanej kaburze; w kieszeni umieścił dwa zapasowe magazynki. W sumie czterdzieści pięć kul. Jednak ostatnią rzeczą, której pragnął, była potrzeba ich użycia.

Ostatnie kilka kroków pokonał w kucki, przytulając się do kamiennej ściany. Przelazł przez krawędź muru na wąski chodnik i popędził ku drzwiom oddalonym o jakieś dziesięć metrów. Chwycił za klamkę. Otwarte. Wszedł do środka.

Natychmiast przywitał go zapach świeżych produktów oraz wilgotnego powietrza.

Znalazł się w krótkim korytarzu prowadzącym do ciemnego pomieszczenia. Potężne, ośmiokątne dębowe filary podpierały belki niskiego stropu. Na jednej ze ścian znajdowało się wygasłe palenisko. Powietrze było chłodne, pudełka i skrzynki poukładane w wysokie stopy. Była to zapewne dawna spiżarnia, teraz służąca za magazyn. Z pomieszczenia

wychodziło dwoje drzwi. Jedne znajdowały się na wprost Knolla, drugie z lewej strony. Przypomnił sobie odgłosy i zapachy z zewnątrz i doszedł do wniosku, że drzwi z lewej prowadzą do kuchni. On musiał kierować się na wschód, zdecydował więc ruszyć do drzwi, które miał przed sobą, i wyszedł na kolejny korytarz.

Już zamierzał iść dalej, gdy usłyszał głosy oraz kroki dobiegające zza najbliższego rogu. Szybko wycofał się z powrotem do magazynu i ukrył za stosem skrzynek. Na środku pomieszczenia wisiała pod sufitem lampa. Miał nadzieję, że rozmawiający po prostu przejdą obok. Nie chciał zabijać ani nawet okaleczyć nikogo ze służby. Już i tak niedobrze się stało, że się tu znalazł. Nie chciał stawiać Fellnera w jeszcze bardziej kłopotliwej sytuacji, gdyby użył przemocy.

Musiał jednak zrobić to, co zamierzał.

Wcisnął się za pryzmę skrzynek, opierając się o kamienną ścianę. Dzięki nierównościom skrzynkowej budowli mógł obserwować, co się dzieje. Ciszę zakłócało jedynie bzyczenie muchy tłukącej się o szyby w oknie.

Drzwi się otworzyły.

- Potrzebujemy ogórków i pietruszki. Sprawdź przy okazji, czy mamy zapas puszek z brzoskwiniami w syropie - powiedział jakiś mężczyzna po czesku.

Na szczęście żaden z przybyłych nie pociągnął łańcuszka górnej lampy, zadowolając się promieniami popołudniowego słońca przebijającymi się przez szyby w ołowianych ramach.

- Tutaj - odezwał się drugi męski głos.

Obaj mężczyźni skierowali się w drugą stronę pomieszczenia. Jakiś karton rzucono na podłogę, później rozległ się odgłos rozdieranego papieru.

- Czy pan Loring wciąż jest przybity?

Knoll zerknął zza skrzynek. Jeden z mężczyzn miał na sobie liberię; nosiła ją służba pokojowa. Rdzawoczerwone spodnie, biała koszula oraz czarny krawat. Drugi był w stroju kamerdynera nadzorującego służących. Loring często się przechwalał, że sam projektował dla nich ubiory.

- On i pani Danzer przez cały dzień zachowywali się bardzo cicho. Policja przyjechała dziś rano, żeby zadać kilka pytań i wyrazić współczucie. Biedny pan Fellner. No i ta jego córka.

- Widziałeś ją wczoraj wieczorem? To prawdziwa piękność.

- Po kolacji w gabinecie serwowałem napoje i ciastka. Była przepiękna. I bardzo bogata. To wielka strata. Czy policja wie już, co się właściwie stało?

- Nie. Samolot po prostu eksplodował w drodze do Niemiec. Wszyscy zginęli.

Krew uderzyła Knollowi do twarzy Czy dobrze słyszał? Fellner i Monika nie żyją?

Poczuł, jak ogarnia go żądza zemsty.

Samolot z Moniką i Fellnerem na pokładzie eksplodował w powietrzu. Było tylko jedno logiczne wytłumaczenie: Ernst Loring zlecił zabójstwo, a stroną techniczną zajęła się Suzanne. Danzer i Loring polowali na niego, ale sfuszerowali.

Postanowili więc zabić staruszka i Monikę. Ale dlaczego? Co się właściwie wydarzyło? Pod wpływem impulsu chciał chwycić sztylet, odepchnąć skrzynki i pociąć na kawałki kamerdynera i lokaja. Może ich krew choć po części stanie się zapłatą za śmierć jego chlebobawców. Ale jaki byłby z tego pożytek? Nakazał sobie spokój. Wziął parę oddechów. Musiał dowiedzieć się czegoś więcej. Chciał wiedzieć, dlaczego. Był teraz bardzo zadowolony, że znalazł się w tym miejscu. Źródło wszystkiego, co się stało, wszystkiego, co się jeszcze może stać, tryskało gdzieś w starych murach zamczyska.

- Weź te pudła i chodźmy stąd - odezwał się jeden z mężczyzn.

Obaj mężczyźni wyszli drzwiami prowadzącymi do kuchni. W pomieszczeniu znowu zrobiło się cicho. Wyszedł zza skrzynek. Czuł napięcie w ramionach, nogi mu drżały.

Czy były to emocje? Smutek? Nie sądził, że jest zdolny do uczuć. A może chodziło o zaprzepaszczoną szansę związania się z Moniką? Albo o to, że nagle stracił posadę, a jego dotychczas poukładane życie w jednej sekundzie legło w gruzach? Odrzucił te myśli i opuścił magazyn, ponownie wychodząc na korytarz. Skręcił w lewo, potem w prawo i znalazł się u podnóża spiralnych schodów. Znając mniej więcej zamek, domyślał się, że powinien wejść co najmniej na drugą kondygnację, by dotrzeć do pomieszczeń, które uważano za główne.

Zatrzymał się u szczytu schodów. Okna wychodziły na kolejny dziedziniec. W jednym dojrzał kobiecą sylwetkę. Jej ciało kołysało się do przodu i do tyłu. Lokalizacja komnaty była podobna do położenia jego pokoju w Burg Herz. Ciche miejsce. Z dala od głównych korytarzy. Bezpieczne. Nagle kobieta podeszła do otwartego okna, wyciągając ręce, by przyciągnąć do środka obie jego połówki.

Zobaczył dziewczęcą buzię z wielkimi oczami.

Suzanne Danzer.

Dobrze.

Knoll odnalazł wejście do sekretnych korytarzy znacznie łatwiej niż się spodziewał, obserwując zza lekko uchylonych drzwi, jak pokojówka zwalnia ukrytą blokadę w jednym z korytarzy na parterze. Domyślił się, że znajduje się w południowym skrzydle zachodniego budynku. Musiał dotrzeć do odległej baszty i podążać w kierunku północno-wschodnim; tam, z tego, co wiedział, znajdują się główne pomieszczenia.

Sekretnym przejściem wyszedł na korytarz i ruszył ostrożnie, żywiąc nadzieję, że nie spotka nikogo z personelu. Późna pora zmniejszyła prawdopodobieństwo takiego zdarzenia.

Jedynymi osobami, które mogły jeszcze kręcić się po zamku, były pokojówki; musiały się upewnić, czy goście przed udaniem się na spoczynek niczego nie potrzebują. Pod sklepieniem zawilgoconego korytarza biegły kanały wentylacyjne, rury doprowadzające wodę oraz przewody elektryczne. Drogę oświetlały nagie żarówki.

Pokonał trzy odcinki spiralnych schodków i znalazł się, jak sądził, w skrzydle północnym. Po drodze mijał małe judasze w zagłębieniach muru, przesłonięte spatynowanymi ołowianymi tarczkami. Po drodze odchylił kilka z nich i zaglądał do wnętrza różnych sal i pomieszczeń. Wizjery były kolejnym reliktem dawnych czasów, anachronizmem; pochodziły z epoki, kiedy oczy i uszy stanowiły jedyne źródło informacji. Teraz służyły za punkty orientacyjne albo dawały rozkosz podglądaczom.

Zatrzymał się przy kolejnym judaszu i odsunął ołowianą tarczkę. Rozpoznał Komnatę Carlotty dzięki misternie rzeźbionemu łożu oraz sekretarzykowi. Loring nazwał tak ten pokój, by uczcić pamięć nałożnicy króla Ludwika I Bawarskiego. Przeciwległą ścianę zdobił jej portret. Zastanawiał się, jakich dekoracji nie pozwala mu podziwiać ograniczone pole wizjera. Były tu jeszcze drewniane reliefy, które zapamiętał, bo kiedyś ta właśnie komnata przypadła mu jako sypialnia.

Ruszył do przodu.

Nagle przez kamienną ścianę usłyszał głośnie rozmowę.

Rozejrzył się za kolejnym judaszem. Gdy zajrzał do środka, zobaczył sylwetkę Rachel Cutler pośrodku jasno oświetlonego pokoju. Miała mokre włosy; nagie ciało owinięte było rdzawoczerwonym ręcznikiem.

Zatrzymał się nieco dłużej.

- Mówiłam ci od razu, że McKoy coś knuje - powiedziała Rachel.

Paul siedział przed sekretarzykiem z palisandru. Wraz z Rachel zostali zakwaterowani

w sypialni na czwartej kondygnacji. Komnata McKoya była usytuowana nieco dalej.

Lokaj, który wniósł na górę ich bagaże, wyjaśnił Cutlerom, że jest to Komnata Weselna, nazwana tak z uwagi na wiszącą nad empyronym łóżem siedemnastowieczną alegorię młodej pary Pokój był przestronny i wyposażony w łazienkę. Rachel miała okazję, by wymoczyć się w wannie oraz przebrać do kolacji, na którą Loring zaprosił ich na godzinę szóstą.

- Kiepsko się z tym czuję - odparł. - Myślę, że Loring nie jest człowiekiem, którego można traktować z góry A już w żadnym wypadku szantażować.

Rachel ściągnęła ręcznik z głowy i wróciła do łazienki, wycierając po drodze włosy. Włączyła suszarkę.

Paul przyglądał się obrazowi wiszącemu na przeciwległej ścianie. Przedstawiał postać skruszonego św. Piotra od kolan w górę. Dzieło Pietra da Cortony lub może Guida Reniego.

Malarstwo włoskie siedemnastego wieku, jeśli dobrze pamiętał. Cenne. Te płótna w ogóle nie powinny się znajdować gdzie indziej niż w zbiorach muzealnych. Wyglądały na oryginalne. Na podstawie swej skąpej wiedzy na temat porcelany oszacował, że figurki ustawione na wystającym ze ściany po obu stronach malowidła kroksztynie były autorstwa Riemenschneidera. Niemiecki piętnasty wiek, bezcenne.

Gdy szli schodami na górę, widział wiele obrazów, gobelinów oraz rzeźb. Pomyślał, ile w Atlancie daliby za to, by wystawić choćby kilka z nich.

Szum suszarki do włosów ucichł. Rachel wyszła z łazienki, rozczesując palcami kasztanowe włosy.

- Jak w hotelowym pokoju - pochwaliła. - Mydło, szampon i suszarka do włosów.
- Z tą różnicą, że pokój jest udekorowany dziełami sztuki wartymi miliony.
- Czy to oryginały?
- Myślę, że tak.
- Paul, musimy coś postanowić w związku z McKoyem.
- Posunęliśmy się za daleko.
- Zgadza się, ale mnie niepokoi Loring. Jest zupełnie innym człowiekiem niż się spodziewałem.
- Oglądałeś zbyt wiele filmów z Jamesem Bondem.
- To po prostu stary człowiek, który kocha sztukę.
- Moim zdaniem potraktował McKoya zbyt łagodnie.
- Czy nie powinniśmy zadzwonić do Pannika i powiadomić go, że zostajemy tu na

noc?

- Nie sędzę. Zobaczymy, jak to wszystko się rozwinie. Ale jestem stanowczo za tym, byśmy jutro się stąd wynieśli.

Rachel zrzuciła z siebie ręcznik i założyła figi. Patrzył na nią, siedząc na krześle i starając się zachować obojętność.

- To nie *fair* - wydusił z siebie.
- Co nie jest *fair*?
- To, że paradujesz przede mną na golasa.

Zapięła stanik, potem podeszła do niego i usiadła mu na kolanach.

- Wczoraj wieczorem mówiłam poważnie. Chcę spróbować jeszcze raz.

Spoglądał na półnągą Królową Lodu, która go obejmowała.

- Nigdy nie przestałam cię kochać, Paul. Nie wiem, co się stało. Sędzę, że to moja duma i złość. Doszłam do punktu, w którym utknęłam. To nie chodziło o nic, co ty zrobiłeś czy czego nie robiłeś. To moja wina. Kiedy usiadłam za sędziowskim stołem, coś się ze mną stało. Naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić.

Miała rację. Ich konflikt przybrał na sile, gdy założyła sędziowską togę. Być może nie umiała pozostawić na sali rozpraw dumy, którą odczuwała, gdy zwracano się do niej per „Wysoki Sędzie”. A dla niego wciąż była Rachel Bates, kobietą, którą kochał. Nie odnosił się do niej z należytych respektem; nie uważał jej za Salomona w spódnicy. Spierał się z nią, radził, co powinna robić, i narzekał, kiedy tego nie robiła. Być może po pewnym czasie ten rozdźwięk między jej dwoma światami stał się nie do zniesienia. W końcu postanowiła pozbyć się jednego z nich.

- Śmierć taty i wszystko, co się potem wydarzyło, pomogło mi zrozumieć samą siebie. Cała rodzina mamy i taty została wymordowana podczas wojny. Nie mam na świecie nikogo oprócz Marli i Brenta... oraz ciebie. - Spojrzał jej w oczy. - Naprawdę tak uważam. Należysz do mojej rodziny, Paul. Trzy lata temu popełniłam duży błąd. Pomyliłam się.

Zdał sobie sprawę, ile musiało ją kosztować przyznanie się do tego. Ale chciał mieć pewność.

- Jak to?

- Wczoraj wieczorem, kiedy pędziliśmy po opactwie, zwisaliśmy z balustrady... to dość, że bym poszła po rozum do głowy. Zjawileś się tu, bo byłeś przekonany, że jestem w niebezpieczeństwie. Nadstawiałeś za mnie głowę. Nie powinnam być taka podła dla ciebie. Nie zasłużyłeś na to. Zawsze domagałeś się tylko odrobiny spokoju oraz konsekwencji. To ja rzucałam ci kłody pod nogi.

Pomyślał o Christianie Knollu. Chociaż Rachel nigdy się do tego nie przyznała, z pewnością pociągał ją ten typ. Paul to wyczuwał. Ale Knoll zostawił ją na pewną śmierć. Być może ten fakt posłużył jej analitycznemu umysłowi za argument, że nie wszystko było takie piękne, na jakie wyglądało. I przychylniej spojrziała na byłego męża. Ale do diabła z tym. Przecież ją kochał. Pragnął, by znów byli razem. Wiedział, że nadszedł moment, w którym rozsądkowi trzeba kazać się zamknąć.

Pocałował ją namiętnie.

Knoll obserwował karesy Cutlerów, podniecony widokiem roznegliżowanej Rachel. Podczas jazdy z Monachium do Kehlheim doszedł do przekonania, że wciąż jej zależy na eksmeżu. I to był najprawdopodobniej powód, dla którego tak stanowczo odrzuciła jego zaloty w Wartburgu. Z całą pewnością była atrakcyjną kobietą. Obfity biust, wąska talia i kuszące łono. Pragnął jej w podziemnym wyrobisku i już do tego zmierzał, kiedy nagle na przeszkodzie stanęła mu Danzer, odpalając ładunki wybuchowe. Dlaczegoż więc nie miałby naprawić tego dziś wieczorem? Jakie to miało znaczenie? Fellner i Monika zginęli. On był bez pracy A gdy zrobi to, co zamierza, z pewnością nie znajdzie chleba u żadnego z członków klubu.

Jego uwagę przyciągnęło pukanie do drzwi sypialnej komnaty.

Jeszcze silniej przywarł oczami do judasza.

- Kto tam? - zapytał Paul.
- McKoy.

Rachel skoczyła na równe nogi, chwyciła ubranie, po czym zniknęła w łazience. Paul wstał i otworzył drzwi.

McKoy ubrany był w zielone spodnie ze sztruksu oraz koszulę w paski. Na wielkich stopach miał brązowe zamszowe buty do kostek.

- Raczej sportowy strój, McKoy.
- Smoking oddałem do pralni.
- Paul trzasnął głośno drzwiami.
- Co ty kombinowałeś z Loringiem?

Poszukiwacz skarbów spojrział na niego.

- Wyluzuj, mecenasie. Staralem się tylko potrząsnąć tym starym dziadygą.
- Więc co kombinowałeś?
- Właśnie, Wayland, o co ci właściwie chodzi? - zapytała Rachel, wychodząc z łazienki ubrana w dzinsową spódnicę z plisami oraz dopasowany sweter z golfem.

Olbrzym zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Wytworna kreacja, Wysoki Sądzie.
- Przejdźmy do rzeczy.
- Zamierzałem sprawdzić, czy staruch pęknie. I tak się stało. Naciskałem, by się przekonać, jaki z niego twardziel.

- Jaki jest naprawdę. Gdyby się okazało, że Loring nie jest w nic zamieszany, po prostu powiedziałby nam: „Do widzenia” i kazał wynosić się do diabła. On jednak postanowił zatrzymać nas tutaj na noc.

- Więc nie mówiłeś tego serio? - zapytał Paul.

- Cutler, wiem, że wy oboje macie mnie za nędzną kreaturę, ale ja naprawdę mam zasady. Przyznaję, że najczęściej bywam relatywistą i podchodzę do moralności dość lekko.

- Ale mimo wszystko nie jestem skończonym łajdakiem. Ten Loring albo coś wie, albo chce się czegoś dowiedzieć. Tak czy inaczej, ma w tym jakiś interes, bo zaproponował nam nocleg.

- Sądzisz, że należy do klubu, o którym rozprawiał Grumer? - spytał Paul.

- Mam nadzieję, że nie - wtrąciła z niepokojem Rachel. Oznaczałoby to, że Knoll oraz ta kobieta kręcą się gdzieś w pobliżu.

McKoy nie wydawał się tym zmartwiony.

- To właśnie jest nasza szansa. Mam dziwne przeczucie.

- A oprócz tego myślę o inwestorach, którzy czekają na mnie w Niemczech. Dlatego potrzebne mi są odpowiedzi. I przypuszczam, że ten stary sukinsyn je zna.

- Jak długo twoi ludzie zdołają podtrzymać zainteresowanie inwestorów? - chciała wiedzieć Rachel.

- Kilka dni. Nie dłużej. Rankiem rozpoczynają drążenie drugiego tunelu, ale powiedziałem im, żeby się nie spieszyli.

- Osobiście uważam to za stratę czasu.

- Jak mamy się zachowywać podczas kolacji?

- Bądźcie na luzie. Spożywajcie jadło gospodarza, pijcie jego trunki i włączcie wszystkie sensory na odbiór informacji. Potrzebujemy zyskać więcej niż mamy do zaoferowania.

- Zrozumieliście?

Rachel się uśmiechnęła.

- Tak, zrozumiałam.

Kolacja przebiegała w serdecznej atmosferze, Loring rozpoczął miłą dyskusję na temat sztuki i polityki. Jego rozeznanie w dziedzinie sztuki zafascynowało Paula. McKoy starał

się przestrzegać dobrych manier i odwdzięczając się za gościnę, nie szczędził gospodarzowi pochwał za wyśmienite potrawy.

Paul przyglądał się wszystkiemu z dystansu; wydawało mu się, że Rachel kokietuje poszukiwacza skarbów. Odniósł nawet wrażenie, że jego była żona nie miałaby nic przeciw temu, gdyby olbrzym przekroczył granicę przyzwoitości.

Po deserze Loring oprowadził ich po rozległym parterze zamku. Paul zauważył holenderskie meble, francuskie zegary oraz rosyjskie żyrandole. Wystrój wnętrza był klasycy styczny; czyste linie w niemal wszystkich płaskorzeźbach.

Kompozycja była wyważona niemal idealnie. Rękodzielnicy z pewnością znali się na swojej robocie.

Każde pomieszczenie miało swoją nazwę. Pokój Walderdorffa. Komnata Molsberga. Zielona Komnata. Komnata Czarownic. We wszystkich znajdowały się zabytkowe meble w większości oryginały, jak poinformował ich Loring - oraz dzieła sztuki. Było tego tyle, że Paul wkrótce przestał nawet starać się zapamiętać, żałując, że nie ma w pobliżu kilku kustoszy z muzeum, którzy objaśniliby go rzeczowo. W Sali Przodków stary człowiek zatrzymał się chwilę dłużej przed olejnym portretem przedstawiającym swego rodzica.

- Mój ojciec był potomkiem bardzo starego rodu. Co zdumiewające, dziedziczono w nim po mieczu. Zawsze znalazł się jakiś Loring, który przejmował schedę. To jeden z powodów, dla których nasz ród panował w tej okolicy przez blisko pięć wieków.

- A jak było w czasach komunistycznego reżimu? - zacięła się Rachel.

- Wtedy również, moja droga. Nasza rodzina odznaczała się zawsze wielkimi zdolnościami przystosowawczymi.

- Nie było wyboru. Adaptacja albo zagłada.

- To znaczy, że pracowaliście dla komunistów? - upewnił się poszukiwacz skarbów.

- Nie było wyjścia, panie McKoy.

Olbrzym nie odpowiedział i skierował po prostu uwagę na olejną podobiznę Josefa Loringa.

- Czy pański ojciec interesował się Bursztynową Komnatą?

- Nawet bardzo.

- A widział oryginał przed drugą wojną światową?

- Mówiąc prawdę, ojciec widział Bursztynową Komnatę jeszcze przed rewolucją październikową. Był wielbicielem bursztynu, podobnie zresztą jak ja, o czym zapewne państwo wiecie.

- Może w końcu zagramy w otwarte karty, Loring? Paul aż się wzdrygnął, słysząc nagle

zawziętość w głosie.

McKoya. Czy teraz przemawiał szczerze, czy też nadal była to zagrywka?

- Kopię dziurę w ziemi sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, co kosztuje mnie milion dolarów. Za cały ten wysiłek otrzymałem w zamian trzy ciężarówki oraz pięć szkieletów. Niech mi pan pozwoli powiedzieć, co o tym myślę.

Loring opadł na jeden ze skórzanych foteli.

- Ależ bardzo proszę.

McKoy wziął kieliszek od lokaja, który balansował tacą między gośćmi.

- Doliński opowiedział mi historię pociągu, który opuścił Rosję w okolicach 1 maja 1945 roku. W wagonach miała znajdować się jakoby rozmontowana Bursztynowa Komnata, zapakowana w skrzynie. Świadkowie twierdzą, że ładunek dotarł do Czechosłowacji, niedaleko miejscowości Tynec-nad-Sazavou. Stamtąd skrzynie przewieziono ponoć na południe.

Jedna z wersji głosi, że bursztynowy skarb ukryto w podziemnym bunkrze, w którym kwaterował feldmarszałek von Schórner, głównodowodzący niemieckiej armii w Czechach. Wedle innej hipotezy skrzynie pojechały na zachód, do Niemiec. Trzecia natomiast głosi, że boazeria z jantaru zawróciła na wschód, do Polski. Który w z tych wariantów jest prawdziwy?

- Ja również słyszałem te opowieści. Ale jeśli dobrze pamiętam, ten bunkier został przekopany przez Sowietów.

- Nic tam nie znaleźli. A zatem ta wersja odpada. Jeśli chodzi o transport do Polski... no cóż, raczej wątpię.

- Dlaczego? - zapytał McKoy, również siadając.

Paul nadal stał, a Rachel obok niego. Oglądanie sparingu między tymi dwoma zaczynało być pasjonujące. Poszukiwacz skarbów z Karoliny Północnej doskonale poradził sobie z inwestorami i wcale nie gorzej poczynał sobie teraz, najwyraźniej intuicyjnie wyczuwając, kiedy powinien przycisnąć, a kiedy pofolgować.

- Polacy nie mieli dosyć pomysłu ani możliwości ukrycia takiego skarbu - wyjaśnił Loring. - Do tej pory ktoś z pewnością odnalazłby arcydzieło.

- Brzmi to tak, jakby kierował się pan uprzedzeniami zganił go McKoy.

- Ależ skąd! To po prostu fakty. W całej swej historii Polacy nigdy nie okazali się zdolni do utrzymania niepodległości państwa przez dłuższy okres. Dają się prowadzić innym, sami nie umieją.

- A zatem twierdzi pan, że na zachód do Niemiec?

- Niczego nie twierdzą, panie McKoy Po prostu z tych trzech opcji, które pan przedstawił, ta wydaje mi się najbardziej prawdopodobna.

Rachel usiadła.

- Panie Loring...

- Ernst, moja droga. Zwracaj się do mnie po imieniu.

- A więc... Ernst. Grumer był przekonany, że Knoll i kobieta, która zabiła Czapaiewa, pracują dla członków klubu. Nazwał ten klub Wybawcami Zaginionych Dzieł Sztuki. Knoll i ta kobieta są prawdopodobnie akwizytorami.

- Wykradają dzieła sztuki, które wcześniej zostały zagrabione.

- Ponoć członkowie tego klubu rywalizują między sobą o to, co jeszcze można odnaleźć.

- To fascynujące. Ale zapewniam was, że nie jestem członkiem żadnej organizacji. Jak widzicie, mój dom jest pełen dzieł sztuki. Jestem znanym kolekcjonerem, a swoje drogocenne zbiory udostępniam publicznie.

- A precjoza z bursztynu? Nie widziałem ich zbyt wiele powątpiewał McKoy.

- Mam kilka przepięknych eksponatów. Chcecie je obejrzeć?

- Niech mnie licho, oczywiście!

Loring wyprowadził ich z Sali Przodków, a potem krętym korytarzem w głąb zamku. Komnata, do której weszli, miała kształt wydłużony i pozbawiona była okien. Loring wcisnął włącznik przy ścianie i zapaliły się lampki w drewnianych gablotach wystawowych wzdłuż ścian. Paul zaczął je oglądać i natychmiast rozpoznał dzieła Vermeyena, czeskie szkło oraz wyroby złotnicze Maira. Każdy eksponat liczył ponad trzysta lat i był w idealnym stanie. W dwóch gablotach znajdowały się wyłącznie wyroby z bursztynu, wśród nich dwupoziomowa szkatułka, szachownica z figurami, tabakiera, mydelniczka oraz miseczka i pędzel do golenia.

- Większość pochodzi z osiemnastego wieku - objaśnił gospodarz. - Wszystkie są dziełem rzemieślników z Carskiego Sioła. Mistrzowie, którzy stworzyli te przepiękne dzieła, byli zatrudnieni do prac nad Bursztynową Komnatą.

- Nigdy w życiu nie widziałem nic wspanialszego - wyznał Paul.

- Jestem bardzo dumny z tej kolekcji. Każdy z tych eksponatów kosztował fortunę. Ale, niestety, nie posiadam Bursztynowej Komnaty, którą mogłyby ozdobić, chociaż niezmiernie tego pragnę.

- Dlaczego panu nie wierzę? - drwił poszukiwacz skarbów.

- Szczerze mówiąc, panie McKoy, nie ma dla mnie znaczenia, czy daje pan wiarę

moim słowom, czy też nie. Dużo ważniejsze jest, jak zamierza pan dowieść swoich twierdzeń.

- Zjawia się pan w moim domu i wysuwa pod moim adresem szalone oskarżenia, grożąc ujawnieniem swoich hipotez światowym mediom. Sądzę jednak, że nie dysponuje pan żadnym dowodem, który potwierdzałby pańskie oszczerstwa, oprócz sfabrykowanego zdjęcia liter na piasku oraz bredni rozgłaszanych przez chciwego naukowca.

- Nie przypominam sobie, jakobym twierdził o Grumerze, że jest członkiem akademii - czujnie zauważył McKoy.

- Nie, o tym pan nie wspomniał. Ale Herr Doktor jest mi znany. Zyskał reputację, której raczej nie uważa się za godną pozazdroszczenia.

Paul usłyszał irytację w głosie Loringa. Starszy przestał być grzeczny i ugodowy. Cedził słowa powoli i dobitnie, jednoznacznie przedstawiał swój punkt widzenia. Jego cierpliwość zaczynała się najwyraźniej wyczerpywać.

McKoy wydawał się tym nie przejmować.

- Sądzę, Loring, że człowiek z pańskim doświadczeniem, w którego żyłach w dodatku płynie błękitna krew, potrafi poradzić sobie z takim jak ja prostakiem, człowiekiem pozbawionym dobrych manier.

- Pańska szczerłość mnie rozbraja - uśmiechnął się Loring. - Rzadko miewałem okazję rozmawiać z ludźmi pańskiego pokroju.

- Przemyślał pan moją ofertę przestawioną po południu?

- Mówiąc prawdę, przemyślałem. Czy milion dolarów amerykańskich rozwiązałby problem pańskich inwestorów?

- Trzy miliony zrobiłyby to znacznie skuteczniej.

- Wobec tego zakładam, że zadowoli się pan kwotą dwóch milionów bez dalszych targów.

- Zadowolę się.

- Loring zachichotał.

- McKoy, lubię takich ludzi jak pan.

PIĄTEK, 23 MAJA, 2.15

Paul zbudził się w środku nocy. Nie mógł zasnąć, gdy położyli się z Rachel na łóżku w kształcie sań tuż przed północą. Ona spała jak zabita obok niego, ale oddychała ciężko, jak zwykle zresztą. Myślami powrócił do finału rozmowy Loringa z McKoyem. Stary człowiek ochoczo zgodził się wybuścić dwa miliony dolarów. Być może poszukiwacz skarbów miał rację... Loring ukrywał coś, co było dla niego warte dwa miliony dolarów. Ale co? Bursztynową Komnatę? To przypuszczenie wydało się Paulowi naciągane. Wyobrażał sobie, jak naziści zrywają z pałacowych ścian bursztynowe płyty, potem przewożą je ciężarówkami przez Związek Radziecki po to, by w niespełna cztery lata później ponownie je rozmontować i przewieźć ciężarówkami do Niemiec. Jantarowe reliefy musiałyby teraz być w oplakany stanie. Nadawałyby się wyłącznie na surowiec do stworzenia innych dzieł sztuki.

W artykułach, które gromadził Boria, pisano, że na bursztynową boazerię składały się setki tysięcy kawałków bursztynu.

Z pewnością na wolnym rynku miało to swoją cenę. Być może tak właśnie było. Loring odnalazł jantarowy skarb i sprzedał bursztyny, zgarniając tyle kasy, że wydanie dwóch milionów dolarów za milczenie nie było niczym nadzwyczajnym.

Paul wstał z łóżka i podkrał się cicho do krzesła, na którym powiesił koszulę i spodnie. Ubrał się, ale nie założył butów: na bosaka nie narobi tyle hałasu. Sen nie przychodził, a on odczuwał nieodpartą potrzebę dokładnego obejrzenia sal wystawowych na parterze. Dzieła sztuki, które tam ujrzał, po prostu go przytłoczyły swoją wielkością; z trudem do niego docierało to, co widział. Żywił nadzieję, że Loring nie będzie miał mu za złe nocnego zwiedzania na własną rękę.

Rzucił jeszcze spojrzenie na Rachel. Zwinęła się w kłębek pod puchową kołdrą. Jej nagie ciało okrywała jego diagonalowa koszula. Przed dwiema godzinami kochała się z nim po raz pierwszy od blisko czterech lat. Wciąż jeszcze czuł w sobie ten żar. Jego ciało było kompletnie wyczerpane, gdyż dał wreszcie upust emocjom, których nie spodziewał się nigdy więcej przeżyć. Czy mogli jeszcze wszystko naprawić? Jeden Bóg wie, jak bardzo tego pragnął. Kilka minionych tygodni z pewnością było zaprawione goryczą. Jej ojciec odszedł z tego świata, ale zrodziła się szansa na ponowne złączenie rodziny Cutlerów. Paul miał nadzieję, że nie wypełnia tylko pustki w jej życiu. Wcześniej Rachel mu powiedziała, że należy do jej rodziny; te słowa wciąż brzmiały mu w uszach.

Zastanawiał się, skąd u niego te podejrzenia. Być może to skutek kopa w bebechy, który zadała mu przed trzema laty; tarcza ochronna przed kolejnym druzgocącym ciosem.

Podszedł na palcach do drzwi i cichutko wymknął się na korytarz. Kinkiety na ścianach rzucały miękkie światło.

Ciszy nie zakłócał żaden dźwięk. Dotarł do szerokiej kamiennej balustrady i spojrzął z góry na hol rozciągający się cztery kondygnacje poniżej. Na marmurową podłogę padało światło z licznych kinkietów. Potężny kryształowy żyrandol zwisający na wysokości trzeciej kondygnacji nie był zapalony.

Ruszył w dół kamiennymi schodami po dywanowym chodniku i dotarł wreszcie na parter. Bezszelestnie, bo na bosaka, wchodził w głąb zamku, mijając szerokie korytarze oraz salę jadalną, aż doszedł do przepastnych komnat służących za sale wystawowe. Drzwi były pootwierane.

Wszedł do Komnaty Czarownic, w której, jak objaśnił gospodarz, odbywały się kiedyś procesy tutejszych czarownic.

Zbliżył się do mahoniowych gablot i włączył małe halogenowe lampki. Na półkach znajdowały się eksponaty z czasów rzymskich. Figurki, sztandary, talerze, naczynia, lampy, dzwonki i narzędzia. A także kilka misternie wyrzeźbionych posągów bogiń. Rozpoznał Victorię, rzymską boginię zwycięstwa, z koroną i gałązką palmy w wyciągniętych dłoniach, umożliwiającą każdemu wybór.

Nagle z korytarza dobiegł jakiś hałas. Niezbyt głośny.

Jak powłóczenie nogą po dywanie. Jednak w panującej ciszy wydał mu się donośny.

Skręcił głowę w lewo ku otwartym drzwiom i znieruchomiał, starając się nawet nie oddychać. Czy był to odgłos kroków, czy też licząca pięćset lat budowla układała się do snu? Wyciągnął rękę i zgasił lampkę przy witrynie. Gabloty pogrążyły się w ciemności. Podkradł się do sofy i przykucnął za nią.

Jego uszu dobiegł kolejny dźwięk. To na pewno były kroki.

Bez wątpienia. Ktoś był na korytarzu. Paul schował się głębie, za kanapę i czekał w nadziei, że ktokolwiek to jest, pójdzie sobie dalej. Być może to tylko ktoś ze służby pałacowej odbywał rutynowy obchód zamku.

W oświetlonym progu pojawił się cień. Paul zerknął zza sofy.

Wayland McKoy mignął w drzwiach.

Powinien się domyślić.

Na palcach podszedł do drzwi. Olbrzym był zaledwie metr przed nim i zmierzał w kierunku pomieszczenia usytuowanego na końcu korytarza. Wcześniej Loring jedynie

wskazał im to miejsce, nazywając je Komnatą Romańską, ale nie zaproponował jej zwiedzenia.

- Nie możesz spać? - zapytał Paul szeptem.

McKoy obrócił się na pięcie, zaskoczony.

- Niech cię szlag trafi, Cutler - wymamrotał cicho. Przestraszyłeś mnie, kutasie.

Poszukiwacz skarbów miał na sobie dżinsy oraz sweter wciągany przez głowę.

- Zaczynamy myśleć podobnie. To mnie przeraża - powiedział Paul, wskazując bosa stopy Waylanda.

- Trochę chamstwa dobrze ci zrobi, wielkomięjska papugo.

Weszli do pogrążonej w mroku Komnaty Czarownic i rozmawiali szeptem.

- Chcesz też pooglądać? - zapytał Paul.

- Do cholery z tym. Ale dwa pierdolone miliony.. Ten dziadyga wyleciał z tym jak mucha do łajna.

- Ciekawe, co on wie?

- Nie mam pojęcia. Ale coś się za tym kryje. Kłopot w tym, że ten czeski Luwr pełen jest bzdetów i możemy tego nie odnaleźć.

- Na dodatek możemy zgubić się w tym labiryncie.

Nagle usłyszeli jakiś brzęk w końcu korytarza. Jakby metal uderzał o kamień. Obaj wystawili głowy i spojrzeli w lewo.

Przyćmiony prostokąt światła rozchodził się z Komnaty Romańskiej na końcu korytarza.

- Głosuję za tym, żebyśmy tam poszli i popatrzyli - oznajmił Wayland.

- Dlaczego nie? Skoro posunęliśmy się już tak daleko...

Poszukiwacz skarbów ruszył przodem po dywanie. Przy otwartych drzwiach Komnaty Romańskiej obydwaj zamarli w bezruchu.

- A niech to cholera - wyrwało się Paulowi.

Knoll spoglądał przez judasza, jak Paul Cutler zakłada ubranie i wymyka się chyłkiem. Rachel nie słyszała, jak jej eksmąż wychodził. Spała przykryta kołdrą. Knoll czekał całe godziny, zanim zdecydował się wykonać pierwszy ruch, dając im wszystkim czas, by wpadli w objęcia Morfeusza. Planował rozpocząć od Cutlerów, potem zająć się McKoyem, a na deser Loringiem oraz Danzer, ostrząc zęby na ostatnią dwójkę i rozkoszując się w wyobraźni ich konaniem. W ten sposób wyrówna rachunki za śmierć Fellnera i Moniki. Ale niespodziewane wyjście prawnika komplikowało sprawę. Z tego, co mówiła Rachel, wynikało, że jej były mąż nie przepadał za ryzykiem. Teraz się okazało, że jednak je lubił,

skoro w środku nocy bosą przedsięwziął eskapadę. Z pewnością nie poszedł do kuchni, żeby coś przekąsić. Najprawdopodobniej zamierzał powęszyć. Będzie musiał zająć się nim nieco później.

Bo najpierw Rachel.

Podkraść się do przejścia, idąc wzdłuż rzędu nagich żarówek.

Odnalazł wyjście i nacisnął sprężynowy mechanizm. Kamienny blok się odsunął i Knoll wszedł do jednej z pustych komnat sypialnych na czwartej kondygnacji. Wyszedł na korytarz i pospiesznie ruszył do pokoju, w którym spała Rachel Cutler.

Wszedł do środka i zaryglował za sobą drzwi.

Zbliżając się do renesansowego kominka, zauważył dźwignię blokady udającą fragment połączanego gzymsu. Nie wszedł tu sekretnym wejściem, bo nie było takiej potrzeby, będzie jednak mógł z niego skorzystać, opuszczając komnatę.

Zwolnił blokadę i zostawił ukryte drzwi półotwarte.

Podszedł cicho do łóżka.

Sędzia Cutler pogrążona była w błogim śnie.

Szarpnął prawym przedramieniem i odczekał, aż sztylet wsunie mu się w dłoń.

- To jest jedno z tych pieprzonych sekretnych wejść - zauważył McKoy.

Paul nigdy nie widział czegoś podobnego. W starych filmach i powieściach występowały często, ale teraz miał je przed oczyma na żywo. Dziesięć metrów przed nimi prostokąt kamiennego muru obrócił się wokół własnej osi. Jedna z witryn była przymocowana na stałe do ruchomego fragmentu ściany. Otwory po każdej ze stron, szerokości około metra, umożliwiały wejście do nieoświetlonego pomieszczenia za ścianą.

McKoy ruszył do przodu.

- Oszalałeś? - Paul chwycił go za rękę.

- Podejmijmy grę, Cutler. Najwidoczniej ktoś nas zaprasza do środka.

- Co masz na myśli?

- Chodzi mi o to, że nasz gospodarz nie otworzył tego przejścia przypadkiem. Nie rozczarujmy go zatem.

Paul uważał postawienie choćby jednego kroku dalej za głupotę. Schodząc po schodach, rozważał różne możliwości, ale nie spodziewał się czegoś takiego. Być może powinien po prostu wrócić na górę do Rachel. Jednak ciekawość przeważała i podążył za poszukiwaczem skarbów.

W sekretnym pomieszczeniu znajdowały się kolejne gabloty i witryny, ustawione pod ścianami oraz pośrodku.

Oniemiały Paul poruszał się w tym labiryncie. Antyczne figurki i popiersia. Rzeźby z Egiptu i Bliskiego Wschodu.

Sztuka Majów, starodawna biżuteria. Jego wzrok przyciągnęło kilka płócien. Obraz Rembrandta z siedemnastego wieku, o którym wiedział, że został wykradzony z niemieckiego muzeum przez trzydziestoma laty, oraz Bellini, który zniknął ze zbiorów we Włoszech w tym samym mniej więcej czasie.

Oba należały do najbardziej w świecie poszukiwanych zaginionych dzieł sztuki. Przypomniał sobie seminarium zorganizowane w Muzeum Sztuki w Atlancie na ten temat.

- McKoy, wszystko, co tu widzisz, to przedmioty kradzione.
- Skąd wiesz?

Zatrzymał się przed jedną z gablot, sięgającą mu do ramion, w której wyeksponowana była poczerniała czaszka spoczywająca na szklanym postumencie.

- To czaszka człowieka pekińskiego. Nikt jej nie widział od zakończenia drugiej wojny światowej. Tamte dwa płótna z całą pewnością również są kradzione. Cholera. To, co mówił Grumer, okazuje się prawdą. Loring jest członkiem klubu.

- Uspokój się, Cutler. Tego nie wiemy Ten facet może ma niewielką kryjówkę, w której trzyma swoje skarby Nie wyciągajmy pochopnych wniosków.

Paul spojrzął przed siebie na otwarte, podwójne, pociągnięte białą emalią drzwi. Za nimi dostrzegł naścienną mozaikę barwy złocistobrazowej. Zrobił krok naprzód. McKoy podążył za nim. W progu obaj znieruchomieli.

- O, kurwa! - wyszeptał zdumiony poszukiwacz skarbów Paul patrzył w osłupieniu na Bursztynową Komnatę.

- Miałeś rację.

Podziwianie niezwykłego widoku przerwało im wejście dwojga osób przez podwójne drzwi po prawej stronie. Jedną z nich był Loring. Drugą blondynka ze Stod. Suzanne. Oboje uzbrojeni.

- Widzę, że przyjęliście moje zaproszenie - odezwał się Loring i pokazał im pistolet. - Co sądzicie na temat mojego skarbu?

McKoy przesunął się do środka. Kobieta zacisnęła palce na broni, wysuwając lufę do przodu.

- Zachowaj zimną krew, moja damo. Zamierzam tylko obejrzeć to rękodzielnicze arcydzieło - uspokoił ją Wayland, podchodząc do jednej z bursztynowych ścian.

Paul zwrócił się do kobiety którą Knoll nazywał Suzanne.

- Odnalazła pani Czapajewa dzięki mnie, prawda?

- Tak, panie Cutler. Pańskie informacje okazały się bardzo pomocne.
- Zabiła pani tego starego człowieka z tego powodu?
- Nie, panie Cutler - wtrącił Loring. - Zabiła go dla mnie.

Loring i kobieta stali w drugim końcu kwadratowego pomieszczenia, które miało dziesięć metrów wysokości.

Podwójne drzwi znajdowały się na trzech ścianach, a na czwartej było okno wychodzące na ogród. Paul szybko jednak zrozumiał pomyłkę i już wiedział, że to tylko bardzo realistyczne ściennie malowidło. Nie wątpił, że pomieszczenie znajdowało się wewnątrz zamkowego kompleksu. McKoy wciąż podziwiał bursztynowe reliefy, głaszcząc ich powierzchnię. Gdyby nie cała ta sytuacja, Paul również chętnie by pooglądał. Ale spece od postępowania spadkowego rzadko bywali w komnatach zamkowych w Czechach, w których w dodatku mierzono do nich z półautomatycznych pistoletów.

Z pewnością w programie jego uczelni nie przewidziano takiego precedensu.

- Zajmij się resztą - powiedział starzec cicho do Suzanne.

Kobieta wyszła. Loring stał po drugiej stronie pomieszczenia i wciąż w nich celował. McKoy zbliżył się do Paula.

- Poczekamy tu, panowie, aż Suzanne sprowadzi panią Cutler.

Olbrzym z Karoliny Północnej podszedł jeszcze bliżej.

- Co, do cholery, robimy? - wyszeptał prawnik.
- Nie wiem, do diabła.

Knoll ściągnął powoli kołdrę i wpełzł na łóżko. Przytulił się do Rachel i zaczął delikatnie masować jej piersi. Zareagowała na pieszczotę delikatnym westchnieniem, nadal śpiąc. Przesunął dłonią wzdłuż jej tułowia i stwierdził, że nie ma nic pod koszulą. Przesunęła się w jego stronę i przytuliła.

- Paul - szepnęła.

Chwyił ją dłonią za gardło, obrócił na plecy i przesunął ku wezłowiu łóżka. Oczy Rachel rozszerzyły się ze zgrozy.

Przystawił jej sztylet do szyi, delikatnie przesuwał jego czubkiem po rance na podbródku, która pozostała po ich spotkaniu w opactwie.

- Powinnaś była posłuchać mojej rady.
- Gdzie jest Paul? - zdołała wyszeptać.
- W moich rękach.

Zaczęła się szarpać. Docisnął ostrze płasko do jej gardła.

- Leż spokojnie, Frau Cutler, bo w przeciwnym razie przetnę ci skórę tą klingą.

Zrozumiałaś?

Przestała się wrywać.

Wskazał głową w stronę otworu w ścianie, zwalniając nieco uchwyt, żeby mogła spojrzeć.

- Jest tam.

Potem zacisnął mocniej dłoń na jej szyi i przesunął sztyletem w dół, odcinając wszystkie guziki od koszuli. Rozsunął poły. Jej piersi unosiły się w ciężkim oddechu. Delikatnie obrysował czubkiem sztyletu jeden z sutków.

- Patrzyłem na was wcześniej zza ściany. Kochałaś się bardzo namiętnie.

Splunęła.

Uderzył ją w twarz na odlew.

- Bezczelna suka! Twój ojciec zrobił to samo i widziałaś, co go za to spotkało.

Wymierzył jej cios w brzuch, który na chwilę odebrał jej dech. Ponownie uderzył ją w twarz, lecz tym razem pięścią.

Potem znów chwycił ją za gardło. Wywróciła białkami oczu, dusząc się. Uszczypnął ją w policzki i potrząsnął głową.

- Kochasz go? Więc chyba nie zaryzykujesz jego życia? Załóżmy, że jesteś dziwką, a jego życie zależy od tego, czy dasz mi dupy. Gwarantuję ci sporo rozkoszy.

- Gdzie... jest... Paul?

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Cóż za upór. Obróć ten gniew w namiętność, a twój Paul zobaczy światło jutrzejszego poranka.

Poczuł naprężenie w pachwinie, oznaczające gotowość do działania. Znów przysunął sztylet do jej szyi i docisnął.

- Dobrze - zgodziła się zrezygnowana.

Zawahał się przez moment.

- Odkładam nóż na bok. Ale jeden niewłaściwy ruch i zabiję. Najpierw ciebie, potem jego.

Zwolnił uścisk i odłożył na bok sztylet. Rozpiął pasek i zamierzał ściągnąć spodnie, gdy Rachel zaczęła krzyczeć.

- W jaki sposób płyty ścienne dostały się w pańskie ręce, Loring? - zapytał McKoy.

- Spadły z niebios.

McKoy się zaśmiał. Paul był zaskoczony opanowaniem Waylanda. Cieszył się, że przynajmniej tamten jest opanowany Bo jego paraliżował śmiertelny strach.

- Zakładam, że w którymś momencie zamierza pan posłużyć się tym pistoletem. Proszę więc, żeby spełnił pan życzenie skazańca i odpowiedział na kilka pytań.

- Miał pan wcześniej rację - podjął Loring. - W 1945 roku ciężarówkami wywieziono bursztynowe płyty z Królewca.

- Później skrzynie przeładowano na pociąg. Skład został zatrzymany w Czechosłowacji. Mój ojciec starał się wtedy zabezpieczyć cenny ładunek, ale nie wyszło. Feldmarszałek von Schórner, do końca lojalny wobec Hitlera, nie dał się przekupić. Von Schórner rozkazał przewieźć skrzynie do Niemiec. Miały dotrzeć do Bawarii, ale zdołały dojechać tylko do Stod.

- Do mojej jaskini?

- Właśnie. Ojciec odnalazł bursztynową boazerię siedem lat po wojnie.

-1 zastrzelił pomocników?

- W tych okolicznościach była to nieodzowna decyzja biznesowa.

- Czy Rafał Doliński również stanowił nieodzowną decyzję biznesową?

- Pański przyjaciel dziennikarz skontaktował się ze mną osobiście i przekazał mi roboczy tekst swojego artykułu.

- Niestety się złożyło, że zawarł w nim zbyt wiele informacji.

- A jak się miały sprawy z Karolem Borią oraz Czapajewem? - wtrącił pytanie Paul.

- Wiele osób widziało wcześniej to, co pan teraz ma okazję podziwiać, panie Cutler.

Czy nie zgodzi się pan ze stwierdzeniem, że jest to skarb, za który warto umrzeć?

- Sądzi pan, że dotyczyło to moich rodziców?

- Zorientowaliśmy się, że pański ojciec rozpytuje się po całej Europie, i uznaliśmy, że ten Włoch zdołał dotrzeć zbyt blisko.

- Po raz pierwszy groziło nam ujawnienie sekretu. Suzanne musiała zająć się i Włochem, i pańskimi rodzicami. Ze smutkiem przyznaję, że była to kolejna niezbędna biznesowa decyzja.

Paul rzucił się znienacka w stronę starego mężczyzny.

Loring wymierzył w niego pistolet. Olbrzym chwycił Paula za ramię.

- Spokojnie, Rocket Man. Jeszcze cię postrzeli, a to niczego nie rozwiąże.

Paul usiłował wyswobodzić się z uchwytu.

- Musimy skrócić skurwysynowi kark.

Wzbierał w nim gniew. Nie podejrzewał, że jest zdolny do takiej wściekłości. Chciał zabić Loringa bez względu na konsekwencje i napawać się każdą sekundą konania skurwiela. McKoy przepchnął go na drugą stronę pomieszczenia.

Loring podszedł do bursztynowej ściany. Wielkolud odwrócony do niego plecami i wyszeptał:

- Opanuj się. Bierz przykład ze mnie.

Suzanne włączyła wielki żyrandol w głównym holu i schody zalało światło. Nie było możliwe, by ktoś ze służby przeszkodził jej w nocnej aktywności, gdyż Loring wydał wcześniej polecenie, by po północy nie wchodzili pod żadnym pozorem do głównego skrzydła. Zastanawiała się nad tym, jak pozbędzie się ciał, i postanowiła zakopać je w lesie w pobliżu zamku jeszcze przed nadejściem poranka. Powoli wchodziła po schodach z pistoletem w dłoni i doszła do podestu na czwartej kondygnacji. Ciszę przerwał nagły krzyk dobiegający z Komnaty Weselnej. Pobiegnęła korytarzem wzdłuż balustrady do dębowych drzwi.

Chwyciła za klamkę. Zamknięte.

Z wnętrza dobiegł kolejny krzyk.

Oddała dwa strzały w stary zamek. Posypały się drzazgi.

Kopnęła drzwi. Raz. Drugi. Jeszcze jeden strzał. Za trzecim kopnięciem drzwi otworzyły z impetem. W panującym w pomieszczeniu półmroku dostrzegła siedzącego na łóżku Christiana Knolla i leżącą pod nim, usiłującą się wyswobodzić Rachel Cutler.

Knoll spojrział na Suzanne, po czym znów uderzył w twarz Amerykankę. W następnej chwili sięgnął po coś, co leżało na łóżku. Dostrzegła, jak jego dłoń zaciska się na rękojeści sztyletu. Wycelowwała i oddała strzał, ale Knoll rzucił się w drugą stronę łóżka; kula chybiła celu. Zauważyła wysuniętą blokadę przy kominku. Skurwiel wszedł ukrytym korytarzem. Dała nura na podłogę, chowając się za krzesłem; wiedziała, czego ma się spodziewać.

Sztylet pomknął w ciemność i przeciął tapicerkę zaledwie centymetry od niej. Oddała dwa kolejne strzały w jego kierunku. W jej stronę padły cztery przytłumione salwy, pociski przebiły oparcie krzesła. Knoll był uzbrojony. Jeszcze raz wypaliła do przeciwnika, potem przeczołgała się ku otwartym drzwiom i wyturlała na korytarz.

Dwa strzały oddane przez Knolla odbiły się od ościeżnic drzwi.

Gdy znalazła się na zewnątrz, wstała i zaczęła biec.

- Muszę iść na odsiecz Rachel - wyszeptał Paul, wciąż kipiąc z wściekłości.

McKoy wciąż stał zwrócony plecami do Loringa.

- Uciekaj stąd, kiedy zrobię następny ruch.

- On ma broń.

- Założę się, że skurwiel nie strzeli w tym pomieszczeniu.

- Nie zaryzykuje dziury w bursztynowych reliefach.

- Nie licz na to...

Zanim zdołał dokończyć zdanie, wielkolud obrócił się twarzą w stronę starca.

- A co z moimi dwoma milionami?
- Z przykrością muszę stwierdzić, że nic z tego. Ale doceniam pańską brawurę.
- Odwagę odziedziczyłem po mamie. Pracowała na ogórkowych polach we wschodniej części Karoliny Północnej.
- Była cholernie odważna.
- To naprawdę rozczulające.
- Poszukiwacz skarbów podszedł bliżej.
- Czy sądzi pan, że ludzie nie wiedzą, gdzie my jesteśmy? Loring wzruszył ramionami.
- No cóż, muszę podjąć ryzyko.
- Moi ludzie wiedzą, gdzie jestem.
- Wątpię, panie McKoy - uśmiechnął się Loring.
- Może się jednak dogadamy?
- Nie jestem zainteresowany.

Nagle McKoy rzucił się na Loringa, pokonując dzielący ich dystans trzech metrów tak szybko, jak pozwalała mu na to potężna sylwetka. Gdy stary człowiek strzelił, Wayland skrzywił się z bólu i krzyknął:

- Biegnij, Cutler!

Paul śmignął przez otwarte drzwi wychodzące z Bursztynowej Komnaty, obracając się na moment wstecz. Widział, jak McKoy pada na parkiet, a Loring repetuje broń. Wypadł z sali i popędził kamienną posadzką, potem przez pogrążony w mroku korytarz dotarł do otworu w ścianie Komnaty Romańskiej.

Spodziewał się, że starzec ruszy za nim w pościg, że padną w jego kierunku strzały. Najwyraźniej jednak Loring nie był zbyt dobry w bieganiu.

Wayland wziął strzał na siebie, umożliwiając tym samym Paulowi wydostanie się z komnaty. Cutler nie sądził, że są ludzie, których stać na takie poświęcenie. To zdarza się tylko w filmach. Ale bez wątpienia widział, nim wybiegł z Bursztynowej Komnaty, jak olbrzym pada na posadzkę.

Odpędził tę myśl od siebie i skoncentrował się na Rachel, biegnąc korytarzem prowadzącym do schodów.

Knoll usłyszał, jak Danzer czmycha korytarzem. Przebiegł przez sypialnię i wyciągnął sztylet. Podszedł do drzwi i zaryzykował wystawienie głowy W odległości dwudziestu metrów Danzer pędziła w kierunku schodów. Wystawił nogę i rzucił idealnie wycelowany

sztylet w jej kierunku. Nóż wbił się w lewe udo uciekającej aż po rękojeść.

Krzyknęła z bólu i upadła na chodnik.

- Nie tym razem, Suzanne - powiedział spokojnie.

Podszedł do niej.

Chwyił się za udo; wokół zagłębionego ostrza spływała krew. Usiłowała się obrócić i wycelować w niego pistolet, ale natychmiast wytrącił jej z dłoni CZ-75B silnym kopnięciem.

Broń odleciała daleko.

Przystawił podeszwę do jej szyi i przycisnął ją do podłogi. Pomachał pistoletem.

- Skończyły się gry i zabawy - powiedział.

Danzer odwróciła się do tyłu, starając się uchwycić rękojeść sztyletu, ale kopnął ją w twarz podeszwą buta.

Potem strzelił dwa razy w głowę; jej ciało znieruchomiało.

- Za Monikę - wyszeptał.

Wyciągnął ostrze z uda i wytarł o jej ubranie. Podniósł pistolet Danzer i ruszył z powrotem do sypialni, postanawiając zakończyć to, co rozpoczął.

McKoy usiłował się podnieść i rozejrzeć, ale nie dał rady.

Bursztynowa Komnata wirowała wokół niego. Nogi miał bezwładne, w głowie mu huczało. Z rany od kuli, która utkwiała w jego barku, tryskała krew. Czuł, że traci świadomość. Nigdy sobie nie wyobrażał, że umrze w wartej miliony Bursztynowej Komnacie, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu.

Pomylił się co do Loringa. Bursztynowe płyty nie były zagrożone nawet przez chwilę. Kula po prostu utkwiała w jego ciele. Miał nadzieję, że przynajmniej Paul Cutler zdołał uciec.

Znów spróbował się podnieść. Z korytarza dobiegł go odgłos zbliżających się w jego kierunku kroków. Opadł bezwładnie na podłogę i leżał na brzuchu. Otworzył lekko lewe oko i dostrzegł niewyraźną sylwetkę Loringa, wchodzącego ponownie do Bursztynowej Komnaty z pistoletem w ręku. Leżał nieruchomo, starając się zgromadzić resztkę sił, jakie mu jeszcze zostały.

Wziął głęboki oddech i czekał, aż Loring podejdzie bliżej. Starzec kopnął lekko butem lewą nogę McKoya, zapewne chcąc sprawdzić, czy już skonał. Wielkolud wstrzymał oddech i usztywnił ciało. W głowie znów zaczęło mu się kręcić na skutek braku tlenu i utraty krwi.

Niech skurwysyn podejdzie bliżej.

Loring zrobił dwa kroki do przodu.

McKoy nagłym kopnięciem podciął nogi starego mężczyzny. Poczł straszny ból w prawym barku i klatce piersiowej. Krew trysnęła z rany. Musiał jednak wytrzymać, dopóki z nim nie skończy.

Loring upadł z impetem na podłogę i upuścił pistolet.

Prawa dłoń wielkoluda zacisnęła się na szyi starca. Sina twarz Czecha raz pojawiała się przed jego oczyma, to znów znikwała.

Musiał się spieszyć.

- Pozdrów ode mnie czarta - wyszeptał chrapliwie.

Ostatkiem sił wydusił resztki życia z Ernsta Loringa.

Potem poddał się ogarniającej go ciemności.

Paul pokonał labirynt korytarzy na parterze i przemierzał po kilka stopni schodów aż na czwartą kondygnację. Zanim wbiegł na jasno oświetlone schody, usłyszał dwa strzały. Na górze.

Zatrzymał się.

To, co robił, wydało mu się pozbawione sensu. Ta kobieta była uzbrojona. On miał gołą rękę. Ale do kogo ona strzelała? Do Rachel? McKoy zasłonił go własnym ciałem, by mógł uciec. Teraz nadeszła kolej na poświęcenie z jego strony.

Ruszył dalej, pokonując po dwa stopnie naraz.

Knoll ściągnął spodnie. Zabicie Danzer było satysfakcjonującą grą wstępną. Rachel leżała bezwładnie na łóżku, jeszcze zamroczona po jego ciosie pięścią. Rzucił pistolet na podłogę i zacisnął dłoń na rękojeści sztyletu. Zbliżył się do łóżka, delikatnie rozchylił jej nogi i przejechał językiem wzdłuż uda.

Nie opierała się. Wyglądało, że Knoll zazna łatwej rozkoszy. Kobieta, najwyraźniej wciąż jeszcze otumaniona, lekko jęknęła i zareagowała na dotyk. Wsunął sztylet do pochwy ukrytej pod rękawem. Wziął w dłonie pośladki Rachel i zaczął lizać jej krocze.

- Och, Paul - wyszeptła.

- Mówiłem ci, że to będzie całkiem przyjemne - odparł szeptem.

Uniósł się i szykował do ataku.

Paul zakręcił na ostatnim podeście przed czwartą kondygnacją i przeskakiwał po kilka schodów. Zapierało mu dech w piersiach, czuł ból w mięśniach, ale tam była Rachel i potrzebowała jego pomocy. Na górze ujrzał ciało Suzanne oraz jej twarz z dziurami po dwóch kulach. Ten widok przyprawił go o mdłości, ale na wspomnienie o Czapajewie i własnych rodzicach poczuł coś w rodzaju satysfakcji. W tej samej sekundzie poraziła go myśl.

Kto zastrzelił Suzanne?

Rachel?

Z głębi korytarza dobiegł go jęk.

Potem usłyszał swoje imię.

Podkraść się do sypialni. Drzwi były otwarte, górny zawias wyrwany z framugi. Zajrzał do wnętrza pogrążonego w półmroku. Oczy powoli się przyzwyczyły. Dostrzegł na łóżku mężczyznę, pod którym leżała Rachel.

Christian Knoll.

Paul wpadł w szal i skoczył w poprzek pokoju, potem długim susem rzucił się na Knolla. Impet sprawił, że obaj stoczyli się z łóżka i spadli na podłogę. Paul wylądował na swym lewym barku, zranionym poprzedniego dnia wieczorem w Stod.

Poczuł rozdzierający ból w prawym ramieniu. Podniósł pięść i uderzył na oślep. Knoll był potężniejszy i bardziej doświadczony, ale Paul ogarnęła furia. Jeszcze raz wymierzył cios pięścią i głowa Niemca odskoczyła do tyłu. Knoll zawył, kopnął Paula i zwałił się na

niego. Podciągnął się do przodu, przewrócił na bok i w końcu z całej siły walnął Cutler pięścią w tors. Ten zakrztusił się własną śliną i usiłował złapać oddech.

Knoll zerwał się na równe nogi i podniósł przeciwnika z podłogi. Jego pięść wylądowała teraz na szczęce Paula, posyłając go na środek sypialnego pokoju. Cutler był oszołomiony, meble przed oczyma mu wirowały, a wysoki drab zbliżał się do niego. Paul miał czterdzieści jeden lat, ale była to jego pierwsza w życiu walka na pięści. Dziwne uczucie, gdy dostaje się w szczękę. Nagle przed oczami przemknął mu widok Knolla siedzącego z gołym tyłkiem na Rachel. Stanął znów mocno na nogach, wziął głęboki oddech i rzucił się do przodu; potężna kontra trafiła go w brzuch.

Cholera. Przegrywał.

Knoll chwycił go za włosy.

- Bardzo nie lubię, gdy mi ktoś przerywa. Zauważyłeś po drodze Fraulein Danzer? Ona też mi przerwała.

- Pierdol się, Knoll!

- Jakiś ty zuchwały I odważny. Ale słabiutki.

Knoll zwolnił uchwyt i wymierzył kolejny cios. Z nosa Paula popłynęła ciurkiem krew. Uderzenie wyrzuciło go przez otwarte drzwi na korytarz. Nie widział już prawie na prawe oko.

Wiedział, że długo nie wytrzyma.

Rachel nie była świadoma tego, co się dzieje obok niej, ale jednak coś ją niepokoiło. Raz wydawało się jej, że kocha się z Paulem, w następnej chwili słyszała odgłosy walki i ciała miotające się po pokoju. Potem do jej uszu dotarł czyjś głos.

Podniosła się na łóżku.

Najpierw dostrzegła Paula, potem tego drugiego.

Knoll.

Jej eksmąż był ubrany, natomiast Niemiec nagi od pasa w dół.

Usiłowała to sobie ułożyć w głowie i nadać temu jakiś sens.

Usłyszała rozmowę:

- Bardzo nie lubię, gdy mi ktoś przerywa. Zauważyłeś po drodze Fraulein Danzer? Ona też mi przerwała.

- Pierdol się, Knoll!

- Jakiś ty zuchwały. I odważny. Ale słabiutki.

Potem Knoll wymierzył cios w twarz Paula. Bryznęła krew i Paul wyleciał na korytarz. Knoll wyszedł za nim.

Usiłowała wstać z łóżka, lecz osunęła się na podłogę. Powoli czołgała się po parkiecie w stronę drzwi. Po drodze natrafiła na parę spodni, jakieś buty i coś twardego.

Namacala dłonią. Były to dwa pistolety. Ominęła je i czołgała się dalej. Przy drzwiach podciągnęła się i stanęła na nogach.

Knoll szedł w kierunku ojca jej dzieci.

Paul zrozumiał, że koniec jest bliski. Ciosy w klatkę piersiową niemal pozbawiły go oddechu, płuca się obkurczyły, najprawdopodobniej kilka żeber miał złamanych. Twarz była obolałą masą, prawie nie widział. Knoll najwyraźniej bawił się z nim. Paul nie był godnym przeciwnikiem. Z mozolem podniósł się na nogi, wspierając się na balustradzie podobnej do tej, na której wisieli wysoko nad Stod poprzedniego wieczora. Spojrzał w dół, w otchłań czterech kondygnacji, i poczuł mdłości. Jaskrawe światło kryształowego żyrandola raziło go w oczy; zmrużył powieki. Nagle jego ciało zostało szarpnięte do tyłu i obrócone. Spoglądała na niego rozradowana twarz Knolla.

- Masz dość, Cutler?

Stać go było tylko na jedno: plunął Knollowi w twarz.

Niemiec odskoczył, potem ruszył do przodu i walnął go pięścią w żołądek. Paul kaszłał śliną i krwią, gdy usiłował złapać dech. Knoll uderzył go ponownie, tym razem w kark, powalając na podłogę. Następnie chwycił go i podniósł do postawy wyprostowanej. Nogi Cutlera były jak z gumy. Niemiec pchnął go w kierunku balustrady, potem cofnął się i szarpnął za prawe przedramię.

W jego dłoni zabłysnął sztylet.

Rachel widziała jak przez mgłę, że Knoll okładał pięściami Paula. Chciała biec mężowi na pomoc, ale z ledwością trzymała się na nogach. Piekła ją twarz, opuchlizna na prawym policzku zaczynała zakłócać ostrość widzenia. Głowa pękała jej z bólu.

Wokół niej wszystko się rozmazywało i wirowało. Ogarnęły ją mdłości, jakby płynęła statkiem podczas sztormu.

Ciało jej eksmeża osunęło się na posadzkę. Knoll się pochylił i postawił go na równe nogi. Nagle przypomniała sobie o dwóch pistoletach i potykając się, weszła z powrotem do sypialni. Szukała po omacku na podłodze, aż wreszcie znalazła jeden; znów chwiejnym krokiem podeszła do progu.

Zwycięski rywal odszedł od skatowanej ofiary i stał plecami do niej. Dostrzegła sztylet w dłoni Niemca i zdała sobie sprawę, że pozostały już tylko sekundy, by go powstrzymać.

Knoll ruszył w stronę Paula z uniesionym w górę ostrzem.

Wymierzyła i po raz pierwszy w życiu pociągnęła za spust.

Pocisk wyleciał z lufy a ona nawet nie poczuła odrzutu; usłyszała jedynie stłumiony huk, jakby balonu pękającego na dziecięcym przyjęciu urodzinowym.

Kula wryła się w plecy mordercy.

Zachwiał się, obrócił i ruszył w jej kierunku, wciąż ściskając sztylet. Wypaliła po raz drugi. Pistolet szarpnął, ale ściskała go kurczowo.

Strzeliła ponownie.

I jeszcze raz.

Pociski przebijały się przez klatkę piersiową Knolla.

Doszło do niej, co musiało się stać w łóżku i oddała trzy strzały w obnażone kroczce oprawcy. Knoll ryczał z bólu, ale jakimś cudem nadal trzymał się na nogach. Spoglądał w dół na krew tryskającą z ran. Zachwiał się i skręcił ku balustradzie. Już miała wystrzelić kolejny raz, gdy nieoczekiwanie Paul rzucił się do przodu i pchnął półnagiego przeciwnika przez poręcz balustrady cztery kondygnacje w dół. Rachel podbiegła do poręczy i widziała, jak ciało Knolla zahaczyło o żyrandol i ogromna kryształowa konstrukcja oderwała się od sufitu. Rozbłysły niebieskie iskry, przez moment ciało i kryształki opadały swobodnie ku marmurowej posadzce; głuchemu uderzeniu zwłok towarzyszył trzask rozpryskujących się szkiełek, które wznosiły się do góry, by z powrotem opaść niczym owacje po wielkim finale symfonicznego koncertu.

Potem zapadła cisza. Absolutna.

Tam w dole Knoll leżał nieruchomo.

Spojrzała na Paula.

- Jesteś cały?

Nie odpowiedział, tylko objął ją ramieniem. Podniosła dłonie i łagodnie pogładziła go po twarzy.

- Czy boli tak bardzo, jak paskudnie wygląda? - zapytała.

- Do cholery, tak.

- Gdzie McKoy?

Paul wziął głęboki oddech.

- Nadstawił się na kulę, żebym mógł przyjść ci z odsieczą. Gdy widziałem go ostatnio, broczył krwią na podłodze Bursztynowej Komnaty.

- Bursztynowej Komnaty?

- To długa historia. Opowiem ci później.

- Wygląda na to, że będę musiała odszczekać wszystkie złe słowa, którego wypowiedziałam pod adresem wielkiego durnia.

- Wygląda no to, że tak - dobiegł ich nagle głos z dołu.

Spojrzała ponad balustradą. McKoy szedł chwiejnym krokiem korytarzem, trzymając się za krwawiące lewe ramię.

- Kto to? - zapytał, wskazując na zwłoki.
- Skurwiel, który zamordował mojego ojca! - krzyknęła w dół Rachel.
- No to rachunki zostały wyrównane. Gdzie jest kobieta?
- Nie żyje - odparł Paul.
- I chuj z nią.
- Co z Loringiem? - zaniepokoił się Paul.
- Uduśiłem skurwysyna.
- I chuj z nim - Paul skrzywił się z bólu. - Bardzo jesteś pokiereszowany?
- Nic takiego, z czym nie poradzi sobie dobry chirurg.
- Paul zdobył się na słaby uśmiech. Spojrzał na Rachel.
- Wydaje mi się, że zaczynam lubić tego gościa.
- Odwzajemniła uśmiech, pierwszy raz od długiego czasu.
- Ja też.

EPILOG

SANKT PETERSBURG, ROSJA 2 WRZEŚNIA

Paul i Rachel stali z przodu bocznej kaplicy. Otaczały ich włoskie marmury w eleganckich tonach żółtej sjeny, zmieszane z rosyjskim malachitem. Ukośne promienie porannego słońca padały na wysoki ikonostas z tyłu za kapłanem, otaczając go poświatą migocącego złota.

Brent stał po lewej stronie ojca, Marla przy boku matki.

Patriarcha uroczystym głosem deklamował tekst małżeńskiej przysięgi. Ceremonię ślubną uświetniał cerkiewny chór. W katedrze św Izaaka nie było nikogo oprócz nowożeńców, dzieci oraz Waylanda McKoya. Paul pobiegł wzrokiem ku witrażowemu oknu pośrodku ściany z ikonami. Scena ukazywała Chrystusa Zmartwychwstałego. Nowy początek.

Idealnie pasuje, pomyślał.

Prawosławny kapłan przyjął przysięgę i pochylił głowę, kończąc ceremonię.

Paul pocałował delikatnie Rachel.

- Kocham cię - wyszeptał.
- Ja ciebie też - usłyszał w odpowiedzi.
- Ach, Cutler, nie rób ceregieli; gorzko, gorzko! - odezwał się McKoy.

Paul uśmiechnął się, posłuchał zachęty i pocałował namiętnie pannę młodą.

- Tato - wtrąciła Marla, sygnalizując, że już wystarczy.
- Nie przeszkadzaj im - skarcił ją Brent.

Poszukiwacz skarbów z Karoliny Północnej zrobił krok do przodu.

- Bystry dzieciak. W które z was wdał się ten malec?

Pan młody się uśmiechnął. Olbrzym wyglądał dziwnie w garniturze i krawacie. Zraniony bark McKoya najwyraźniej już się zagoił. Paul i Rachel również wydobrzeli, choć ostatnie trzy miesiące były czymś w rodzaju trąby powietrznej.

W ciągu godziny po śmierci Knolla Rachel zadzwoniła do Fritza Pannika. To właśnie niemiecki inspektor federalny spowodował natychmiastową interwencję czeskiej policji.

Sam Pannik z nadejściem dnia zjawił się w zamku Loukov wraz z ekipą Europolu. Rosyjski ambasador został wezwany jeszcze przed południem. Po południu przylecieli na miejsce oficjele z Pałacu Jekaterynowskiego oraz Ermitażu. Zespół fachowców z Carskiego Sioła przybył w kolejny poranek; Rosjanie nie marnowali czasu i przystąpili bezzwłocznie

do demontowania bursztynowych płyt oraz przetransportowania ich z powrotem do Sankt Petersburga. Czeski rząd nie stwarzał najmniejszych trudności, gdy ujawniono szczegóły niecnych poczynań Ernsta Loringa.

Detektywi z Europolu szybko ustalili powiązania Czecha z Franzem Fellnerem. Dokumenty odnalezione w zamku Loukov oraz w Burg Herz potwierdzały istnienie i działalność klubu Wybawców Zaginionych Dzieł Sztuki. Ponieważ Franz Fellner nie pozostawił spadkobierców, sprawy przejął niemiecki rząd. W niedługim czasie odkryto sekretną kolekcję magnata medialnego. Zaledwie parę dni wystarczyło śledczym, by ustalić tożsamość pozostałych członków klubu. Ich posiadłości stały się celem ataku brygad Europolu, a konkretnie wydziału do spraw kradzieży dzieł sztuki.

Zasoby prywatnych galerii zapierały dech w piersiach.

Rzeźby, reliefy, biżuteria, grafiki i obrazy, a zwłaszcza płótna dawnych mistrzów uznane za utracone na zawsze.

W ciągu jednej nocy odzyskano skarby warte łącznie miliardy dolarów. Ponieważ jednak akwizytorzy pozyskiwali wyłącznie eksponaty pochodzące z kradzieży, liczne roszczenia byłych właścicieli okazały się niejasne albo wręcz bezpodstawne.

Liczba pozwów złożonych w sądach całej Europy ze strony rządów oraz osób prywatnych urosła szybko do kilku tysięcy.

W tej sytuacji Parlament Europejski podjął uchwałę, że ostateczną instancją w spornych kwestiach będzie Trybunał Międzynarodowy. Jeden z dziennikarzy relacjonujących przebieg tych rozpraw doszedł do wniosku, że rozstrzygnięcie wszystkich konfliktów zajmie najprawdopodobniej kilka dziesięcioleci, przy czym „w końcu jedynymi zwycięzcami okażą się prawnicy”.

Co ciekawe, odrestaurowana przez rodzinę Loringa oryginalna Bursztynowa Komnata została zrekonstruowana z taką dokładnością i precyzją, że idealnie pasowała do ogołconych niegdyś ścian Pałacu Jekaterynowskiego. Początkowo zamierzano wystawiać odzyskany skarb gdzie indziej, pozostawiając w Carskim Siole duplikat. Jednak głosy rosyjskich patriotów przeważały i bursztynowa boazeria powróciła w miejsce swego pierwotnego przeznaczenia - była przecież darem dla Piotra Wielkiego. Choć tak naprawdę *batiuszka* Piotr niezbyt troszczył się o jantarowy skarb; dopiero zasługą jego córki, carycy Elżbiety Piotrowny, było zbudowanie rosyjskiej wersji komnaty. W rezultacie w ciągu dziewięćdziesięciu dni po odnalezieniu, płyty oryginalnej Bursztynowej Komnaty ponownie zdołały ozdobić ściany pomieszczenia na pierwszej kondygnacji Pałacu Jekaterynowskiego.

Rosyjski rząd czuł się do tego stopnia zobowiązany, że zaprosił Paula i Rachel z dziećmi oraz McKoya na uroczystość oficjalnego otwarcia sali. Pokryto też koszty przelotu.

Goszcząc na rosyjskiej ziemi, rozwiedzeni małżonkowie postanowili pobrać się ponownie, tym razem w prawosławnej cerkwi. Napotkali pewne opory z uwagi na wcześniejszy rozwód. Ale gdy wyjaśniono wszystkie okoliczności i okazało się, że zamierzają ponownie tworzyć małżeńskie stadło, władze kościelne wyraziły zgodę. Uroczystość ślubna była urzekająca. Taką pamięta się przez całe życie.

Paul podziękował kapłanowi i odszedł od ołtarza.

- To było uroczyste - oznajmił McKoy - Świetne zakończenie całego tego g... to znaczy, bałaganu.

Rachel się uśmiechnęła.

- Czy wiesz, że dzieciaki naśladują twój styl?

- Tylko moje słownictwo.

Ruszyli do przedniej części katedry.

- Czy rodzina Cutlerów wybiera się teraz do Mińska? - zapytał poszukiwacz skarbów.

- To ostatnia rzecz, jaką mamy do zrobienia - przytaknął Paul. - Potem wracamy do domu.

Świeżo upieczony żonkoś wiedział, że McKoy szukał tu głównie rozgłosu. Chciał zasłużyć na wdzięczność rosyjskiego rządu za odzyskanie jednego z najbardziej poszukiwanych skarbów kulturowego dziedzictwa. Olbrzym uśmiechał się na wspomnienie wczorajszej ceremonii otwarcia Bursztynowej Komnaty, zachwycony licznym udziałem prasy. Wczoraj wziął również udział w telewizyjnym *show* Larryego Kinga i dzięki satelitarnej transmisji odpowiadał na pytania nadchodzące z różnych stron świata. Stacja National Geographic negocjowała z nim temat specjalnej godzinnej audycji poświęconej Bursztynowej Komnacie. Program miał być emitowany na cały świat, a pieniądze, o których wzmiankowano, wystarczały w zupełności na spłacenie inwestorów oraz zakończenie sporu sądowego związanego z pracami eksploracyjnymi w kopalnianym wyrobisku pod Stod.

Zatrzymali się przy głównych drzwiach.

- Wy oboje, uważajcie na siebie! - doradził olbrzym, dodając: - Oraz na maluchy.

Rachel pocałowała go w policzek.

- Czy zdążyłam już podziękować ci za wszystko, co zrobiłeś?

- To samo uczyniłaś dla mnie.

- Chyba jednak nie.

- McKoy się uśmiechnął.
- Zawsze do usług, Wysoki Sądzie.

Paul wymienił uścisk dłoni z niepoprawnym poszukiwaczem skarbów.

- Będziemy w kontakcie, zgoda?
- Cóż, zapewne w niedługim czasie będę potrzebował twojej prawnej porady.
- Nie zamierzasz przypadkiem kopać nowej dziury w ziemi?

McKoy wzruszył ramionami.

- Kto wie? Tam wciąż jeszcze jest do znalezienia kupa g... rzeczy.

Pociąg wyjechał z Sankt Petersburga dwie godziny później.

Podróż na południe w stronę Białorusi trwała pięć godzin i wiodła przez gęste lasy oraz falujące pola obsiane błękitnym lnem. Nadeszła już jesień; liście wskutek porannych chłódów nabierały koloru soczystej czerwieni, pomarańczy oraz żółci.

Rosyjscy oficjele interweniowali u władz Białorusi, załatwiając wszystkie niezbędne formalności. Trumny z ciałami Boriów dotarły na miejsce dzień wcześniej, przewiezione specjalnym samolotem. Ojciec Rachel zawsze pragnął, by pochowano go na ojczystej ziemi, a ona z kolei chciała, by rodzice spoczywali razem i postanowiła przenieść ich doczesne szczątki na Białoruś.

Trumny czekały na dworcu kolejowym w Mińsku. Potem karawany przewiozły je na uroczy cmentarz oddalony o czterdzieści kilometrów od stolicy, niedaleko miejsca, w którym Karol i Maya się urodzili. Rodzina Cutlerów jechała za karawanami wynajętym autem w towarzystwie wysłannika ambasady Stanów Zjednoczonych, który miał dopilnować, żeby wszystko przebiegało bez komplikacji.

Prywatną ceremonię przeniesienia i ponownego pochówku celebrował osobiście patriarcha Białorusi. Rachel, Paul, Marla i Brent stali razem, gdy padały uroczyste słowa.

Lekki wiatr kołysał zbrązowiałymi trawami, kiedy trumny opuszczano do grobu.

- Pożegnajcie się z dziadkiem i babcią - podpowiedziała dzieciom Rachel.

Wręczyła każdemu z nich bukiet błękitnego lnu. Dzieci podeszły do odkrytego grobu i wrzuciły kwiaty lnu. Paul objął żonę. W jej oczach załśniły łzy. Zauważyła, że Paulowi również zbierało się na płacz. Nigdy nie rozmawiali o tym, co zdarzyło się w zamku Loukov.

Na szczęście Knoll nie zdołał dokończyć tego, co zaczął. Paul zaryzykował życie, by go powstrzymać. Rachel kochała swego męża. Dzisiejszego ranka kapłan napominał ich, że małżeństwo jest związkiem zawierany na całe życie; czymś, co winno się traktować z powagą, zwłaszcza gdy w grę wchodzi przyszłość dzieci. I miał rację. Co do tego nie było

wątpliwości.

Podeszła do grobu. Z matką pożegnała się już blisko ćwierć wieku temu.

- Zegnaj, tato.
- Paul stanął za nią.
- Do widzenia, Karolu. Spoczywaj w pokoju.

Przez chwilę trwali w milczeniu, potem podziękowali patriarsze i ruszyli w stronę auta. Gdzieś wysoko na nimi na bezchmurnym popołudniowym niebie szybował jastrząb. Lekki wiatr osłabiał ciepło słonecznych promieni. Dzieci pobiegły przodem ku bramie cmentarza.

- Wracamy do pracy, co? - zapytał Paul.
- Najwyższy czas powrócić do rzeczywistości.

W lipcowej reelekcji odniosła zwycięstwo, chociaż nie zajmowała się niemal kampanią wyborczą. O jej zwycięstwie nad obydwoma rywalami zdecydował rozgłos związany z odkryciem i odzyskaniem Bursztynowej Komnaty. Marcus Nettles poniósł druzgocącą porażkę, ale postawiła sobie za punkt honoru złożenie wizyty swarliwemu prawnikowi oraz zawarcie z nim rozejmu. To był element jej nowego stosunku do świata, którego fundamentem stało się pojednanie.

- Sądysz, że nadal powinnam zasiadać w sędziowskim fotelu? - zapytała.
- To twoje życie, nie moje.
- Zastanawiałam się, czy jest to dobry pomysł. Ta praca za bardzo mnie pochłania.
- Musisz robić to, co daje ci satysfakcję - odparł Paul.
- Wcześniej mi się wydawało, że sędziowska toga czyni mnie szczęśliwą. Ale teraz sama nie wiem.

- Znam kancelarię, która z wielką chęcią zatrudniłaby byłego sędziego w wydziale sporów sądowych.

- Czy przypadkiem nie masz na myśli kancelarii Pridgen & Woodworth?
- No wiesz, trochę się tam liczą z moim zdaniem...

Objęła go ramieniem w pasie, gdy ruszyli dalej. Czuła się dobrze, mając go przy boku. Przez kilka chwil szli w milczeniu, a ona rozkoszowała się tym uczuciem. Wybiegła myślami w przyszłość, rozmyślała o dzieciach oraz Paulu.

Powrót do praktyki adwokackiej nie był pozbawiony sensu.

Pridgen & Woodworth to świetna kancelaria. Spojrzała na męża i powtórzyła w myślach to, co przed chwilą powiedział: „No wiesz, trochę się tam liczą z moim zdaniem...”. Objęła go mocniej i po raz pierwszy nie wdała się w dyskusję.

OD AUTORA

Gromadząc materiały do tej powieści, podróżowałem po Niemczech oraz Austrii, odwiedziłem także były obóz w Mauthausen. Pod koniec tej podróży udałem się do Moskwy i Sankt Petersburga i spędziłem kilka dni w Pałacu Jekaterynowskim w Carskim Siole. Co oczywiste, zadaniem powieści jest głównie dostarczenie rozrywki, ale moim zamiarem było również przekazanie czytelnikowi sprawdzonych i precyzyjnych informacji. W Stanach Zjednoczonych temat Bursztynowej Komnaty jest stosunkowo mało znany, chociaż zasoby „światowej pajęczyny” WWW w ostatnim czasie zaczęły wypełniać tę lukę. W Europie to arcydzieło wciąż budzi zainteresowanie. Ponieważ nie władam językiem niemieckim ani rosyjskim, zmuszony byłem opierać się na źródłach anglojęzycznych, opisujących to, co mogło lub nie mogło się wydarzyć. Niestety, szczegółowa analiza tych źródeł prowadzi do wniosku, że przytaczane fakty często pozostają ze sobą w sprzeczności. Staralem się zatem ograniczyć wyłącznie do tych, które wydawały mi się logiczne. Szczegóły niespójne z całością pominąłem albo zmodyfikowałem na potrzeby fabuły. Kilka konkretnych faktów: więźniów w Mauthausen torturowano w sposób opisany na stronach tej książki. Wszelako Hermann Göring nigdy nie pojawił się osobiście w obozie śmierci.

Rywalizacja Göringa oraz Hitlera na polu grabieży dzieł sztuki jest dobrze udokumentowana, podobnie zresztą jak obsesja tego pierwszego na punkcie Bursztynowej Komnaty, chociaż nie istnieją dowody, jakoby rzeczywiście usiłował ją przejąć. Sowiecka komisja, dla której pracowali Karol Boria i Dania Czapajew, istniała faktycznie i przez wiele lat po wojnie zajmowała się poszukiwaniem zagrabionych dzieł rosyjskiej sztuki, przy czym jednym z najbardziej poszukiwanych skarbów była Bursztynowa Komnata. Są ludzie przekonani o istnieniu klątwy Bursztynowej Komnaty, gdyż kilka osób jej poszukujących zginęło śmiercią nienaturalną (co opisałem w rozdziale 41.) - nie wiadomo tylko, czy był to wypadek, czy też rezultat zbrodniczych knowań. W górach Harzu naziści istotnie ukrywali zrabowane dzieła sztuki; informacje przedstawione w rozdziale 42. są prawdziwe, w tym również ta o odnalezionym grobowcu. Miasto Stod jest wytworem fantazji, ale pierwowzorem jego oraz górującego nad nim opactwa był Melk w Austrii, który naprawdę urzeka. Wykradzione dzieła sztuki opisane w różnych miejscach powieści są prawdziwe i znajdują się na listach poszukiwanych skarbów. I ostatnia uwaga: historia oraz sprzeczności dotyczące tego, co stało się z Bursztynową Komnatą, który to temat poruszony został w rozdziałach 13.

14., 28., 41., 44., oraz 48., w tym również ewentualny trop czeski, oparte są na

dokumentach i relacjach źródłowych, chociaż rozwiązanie fabuły jest wytworem fantazji.

Zaginienie Bursztynowej Komnaty w 1944 roku uznawane jest za niepowetowaną stratę. Obecnie arcydzieło z bursztynu jest restaurowane w Pałacu Jekaterynowskim przez artystów pracujących nad odtworzeniem, płyta po płycie, wspaniałych reliefów naściennych wykonanych w całości ze skamieniałej żywicy. Udało mi się spędzić kilka godzin z kierownikiem tego zespołu, który przedstawił mi skalę trudności takiego przedsięwzięcia. Na szczęście pod koniec lat trzydziestych dwudziestego wieku Rosjanie zdokumentowali obiekt na zdjęciach w związku z planowanymi w następnym dziesięcioleciu pracami renowacyjnymi. Przeszkodziła im, jak powszechnie wiadomo, wojenna zawierucha. Te biało-czarne zdjęcia pozwalają teraz na odtworzenie arcydzieła, które rękodzielnicy stworzyli ponad dwieście pięćdziesiąt lat temu.

Główny konserwator zapoznał mnie również z własną wersją rozwiązania zagadki. Podziela on przekonanie wielu innych osób (o czym piszę w rozdziale 51.), że bursztynowe płyty zostały całkowicie zniszczone w trakcie wojennej pożogi albo też spotkał je los niektórych precjozów ze złota i drogich kamieni, czyli rozebrano je w celu odzyskania surowca, gdyż bursztyn miał znaczną wartość na rynku. Zgodnie z hipotezą konserwatora, ci którym udało się odnaleźć skarb, rozprzedali go po kawałku, gdyż cena odzyskanego tworzywa była w istocie większa niż bezcennego arcydzieła. Podobnie jak złotu, bursztynowi można nadać nową formę. Nie da się więc wykluczyć, że biżuteria i inne wyroby ze skamieniałej żywicy sprzedawane na całym świecie zostały wykonane z surowca użytego niegdyś do stworzenia Bursztynowej Komnaty.

Któż to wie?

Rację miała Elisabeth Browning, której myśl przytaczam w powieści: „Nieoczekiwanie, jak niekiedy się zdarza, to coś zniknęło”.

Jakież to prawdziwe.

I jakie smutne.